

Kod Genesis

Case John



calibre 0.9.43

CASE JOHN

KOD GENESIS

Z ANGIELSKIEGO PRZEŁOŻYŁ PIOTR ROMAN

(...) *Przed wiekami z Ojca zrodzony jako Bóg, w ostatnich zaś czasach dla nas i dla naszego zbawienia narodził się jako człowiek Z Maryi Dziewicy, Bożej Rodzicielki; jeden i ten sam Chrystus Pan, Syn jednorodzony, ma być uznany w dwóch naturach bez pomieszania, bez zamiany, bez podziału i bez rozłączenia (...).*

Nicejsko-konstantynopolskie wyznanie wiary, przyjęte na soborze chalcedońskim w 451 r. n.e. (John N. D. Kelly, *Początki doktryny chrześcijańskiej*, Warszawa 1988, przekład Julii Mrukówny)

Część I

LIPIEC

1

Ojciec Azetti walczył z pokusą.

Stał na schodach parafialnego kościoła, przesuwając w palcach różaniec, patrzył przez pustą *piazza* ku ulubionej *trattoria* - i spoglądał na zegarek. Była 13.39. Umierał z głodu.

Oficjalnie kościół miał być otwarty od ósmej rano do drugiej, a potem od piątej do ósmej. Tak przynajmniej informowała tabliczka, która wisiała na drzwiach od prawie stu lat. Chociaż...

Trattoria znajdowała się na Via delia Felice - cóż za wspaniała nazwa dla średniowiecznego zaułka, brukowanej uliczki, wijącej się od rynku do ślepego końca przy kamiennym murze, wyznaczającym granicę miasteczka.

Jedno z najbardziej nieprzystępnych, ale i najpiękniejszych ze zbudowanych na wzgórzu włoskich miasteczek - Montecastello di Peglia - spoczywało na skalnej kopule, wznoszącej się trzysta metrów nad płaskowyżem Umbrii. Jego koroną i chwałą była Piazza di San Fortunato, gdzie w chłodnym cieniu jedyne go miejscowego kościoła bulgotała niewielka fontanna. Spokojna, przepiękna aromatem sosen, niewielka *piazza* była ulubionym miejscem zakochanych i studentów malarstwa, zbierających się przy murach obronnych, znad których widać było panoramę wiejskiej krainy. Stojąc wysoko nad przypominającym patchworkową kołdrę krajobrazem, patrzyli na „zielone serce” Włoch, inkrustowane drzącymi w upale polami słoneczników.

Ale nie teraz. Nie w tej chwili. W tej chwili wszyscy jedli.

Ojciec Azetti nie jadł. Zza rogu powiał łagodny wietrzyk i obezwładnił go zapachem gorącego chleba. Pieczonego mięsa i cytryny. Rozgrzanej oliwy.

Żołądek księdza zaburczał, musiał to jednak zignorować. Pomijając wszystko inne, Montecastello było prowincjonalnym miasteczkiem. Nie miało hotelu z prawdziwego zdarzenia, jedynie niewielki pensjonat, prowadzony przez parę brytyjskich emigrantów. Ponieważ ojciec Azetti mieszkał tu od niecałych dziesięciu lat, był autsajderem i tak miało pozostać przynajmniej do początku następnego tysiąclecia. Był więc podejrzany, a podejrzani znajdowali się pod nieustannym nadzorem, obserwowali ich wiecznie czujni starsi mieszkańcy miasteczka, wciąż wspominający jego poprzednika. (Czy - jak go nazywali - „dobrego księdza”. Azetti? „To nowy ksiądz”). Gdyby w godzinach przeznaczonych na spowiedź ojciec Azetti zamknął kościół choć minutę wcześniej, ktoś na

pewno by to zauważył i całe Montecastello zatrząsłoby się z oburzenia.

Ksiądz z westchnieniem odwrócił się od *piazza* i wszedł w półmrok kościoła. Zbudowany w czasach, kiedy szkło było skarbem, skazany był na stały półcień. Poza słabo jarzącymi się żarówkami zelektryfikowanych kandelabrow oraz płomykami rozstawionych wzdłuż nawy, nierówno kapiących świec wewnątrz budynku rozjaśniało jedynie światło wpadające przez szereg wąskich okienek, umieszczonych wysoko na zachodniej ścianie. Choć były one nieliczne i niezbyt duże, czasem wywoływały niezwykle efekty - tak jak teraz - dzieląc popołudniowe światło na snopy, tnące powietrze skosem i trafiające ostro w podłogę. Mijając mahoniowe płaskorzeźby z kolejnymi stacjami Drogi Krzyżowej, ojciec Azetti z przyjemnością zauważył, że konfesjonał oblewa jedna z plam naturalnej świetlistości. Wszedł w blask i choć jasność go oślepiła, był nią zachwycony. Zamarł na sekundę w bezruchu, wyobrażając sobie, jak tę scenę mógłby odebrać postronny obserwator. Potem, zażenowany nieco swoim narcyzmem, wszedł do kabiny, zaciągnął zasłonkę i usiadł w ciemności.

Konfesjonał był bardzo stary, drewniany. Duchownego i penitenta oddzielała ścianka, pośrodku której umieszczono kratkę z odsuwaną od strony spowiednika deseczką. Pod kratką, przez całą szerokość przepierzenia, biegła wąska drewniana półeczka. Pochylając głowę, by lepiej słyszeć szeptane wyznania, ojciec Azetti zawsze opierał palce o występ. Nawyk ten najwyraźniej dzielił z wieloma swoimi poprzednikami, bo w drewnie widniały niewielkie zagłębienia.

Ojciec Azetti westchnął, uniósł grzbiet lewej dłoni do oczu i popatrzył przez zmrużone powieki na fluoryzującą tarczę. 13.51.

W dni, gdy nie jadł śniadania, godziny spędzone w konfesjonale były przyjemnością. Wsłuchiwał się wtedy w siebie jak grający Bacha muzyk i w każdym kolejnym akordzie słyszał tych, co siedzieli tu przed nim. W antycznej kabinie odbijały się pogłosem dawne wyznania miłosnych zawodów, szeptane sekrety i rozgrzeszenia. Jej ściany słuchały wyznań miliona grzechów - choć raczej, jak sądził ojciec Azetti - był to tuzin grzechów, popełnionych milion razy.

Dumania księdza przerwały kroki za przepierzeniem. Po chwili odsunięto zasłonę, stęknął opadający na kolana stary człowiek. Spowiednik odsłonił kratkę.

- Obraziłem Pana Boga następującymi grzechami...

Twarz mężczyzny skrywał cień, jego głos był jednak znajomy. Należał do jednego z najznamienitszych mieszkańców Montecastello - doktora Ignazia Baresiego, który podobnie jak ojciec Azetti był autsajderem przybyłym z wielkiego świata, przeflancowanym w duszące piękno prowincji. Tak jak nie do uniknięcia była pewna nieufność mieszkańców wobec nich, tak samo nieunikniona była ich przyjaźń. No, może niezupełnie przyjaźń - ale przymierze, tak bliskie, jak tylko pozwalała na to różnica wieku i zainteresowań. Właściwie poza wykształceniem łączyło ich niewiele. Doktor był siedemdziesięciolatkiem, a ściany jego mieszkania pokrywały dyplomy i certyfikaty, potwierdzające osiągnięcia z zakresu nauki kościelnej i medycyny. Ksiądz był nieco mniej wybitną jednostką - aktywistą w średnim wieku, odstawionym przez Watykan na boczny tor ze względów politycznych.

Spotykali się w piątkowe wieczory przy szachownicy, na *piazza* przed Caffè Centrale, przy kieliszku *vin santo*. Ich rozmowy były pozbawione akcentów osobistych. Czasem padła jakaś uwaga o pogodzie, czasem wznieśli jakiś toast, potem jeden lub drugi mówił: „pionek gońca królewskiego na cztery”. Nawet jednak w ten sposób, po ponad roku nieistotnych uwag i sporadycznych wspominków, wiedzieli o sobie to i owo. Więcej nie było trzeba.

Ostatnio doktor przychodził na *piazza* znacznie rzadziej. Ksiądz wiedział, że starszy pan choruje, ale dopiero teraz zrozumiał, jak bardzo stan Baresiego się pogorszył. Jego głos był tak słaby, że ^aby go słyszeć, ojciec Azetti musiał przycisnąć skroń do kratki.

Nie, żeby był szczególnie ciekawski. Jak w przypadku większości spowiedników, znał niemal wszystkie ludzkie słabostki. W wieku siedemdziesięciu czterech lat doktor mógł najwyżej zgrzeszyć, wzywając nadaremno imienia Boga albo okazując komuś brak życzliwości. Przed chorobą mógł pożądać kobiety, może nawet popełnić cudzołóstwo, ale to już się skończyło dla biedaka, który zdawał się słabnąć z dnia na dzień.

W miasteczku dało się wyczuć niesmaczną atmosferę oczekiwania na zbliżający się koniec doktora, natarczywą niecierpliwość, od której nawet ojciec Azetti nie był całkiem wolny. W końcu u *dottore* był zamożnym, pobożnym i nieżonatym mężczyzną. Dla miasteczka był szczodry, dla kościoła także - przynajmniej dawniej. Tak naprawdę ojciec Azetti sądził, że doktor...

CO?

Ksiądz skoncentrował uwagę na załamującym się głosie penitenta. Doktor mówił bez ładu i składu i - jak to się często zdarza podczas spowiedzi - unikał mówienia o grzechu, a podkreślał swoje intencje (które oczywiście zawsze są dobre). Powiedział coś o dumie, o zaślepieniu przez dumę - oczywiście dochodziła do tego choroba i świadomość śmiertelności. Dostrzegał błędy, jakie popełniał. Zdaniem Azettiego nie było w tym nic niezwykłego - perspektywa śmierci ma moc wyostrowania ludzkiej wrażliwości, szczególnie moralnej. Właśnie rozmyślał nad tym zagadnieniem, kiedy doktor doszedł do sedna i zaczął mówić o grzechu, który popełnił.

Ksiądz słuchał przez chwilę, a potem wykrztusił z trudem:

- Co?! Powtórz!

Baresi powtórzył. Mówił cicho i szybko, jakby się spieszył. Potem zaczął podawać szczegóły, nie mogło być najmniejszych wątpliwości, o czym mówi. Słuchając tych straszliwych detali, ojciec Azetti czuł, jak jego serce zapada się coraz głębiej w nicość. To, co zrobił ten człowiek - co popełnił - było najniezwyklejszym grzechem, jaki można sobie wyobrazić, grzechem tak wielkim, że być może Niebo nigdy się z niego nie otrząśnie. Czy coś takiego było w ogóle możliwe?

Doktor oddychał chrapliwie i czekał w ciemności na rozgrzeszenie.

Ojciec Azetti był jak sparaliżowany. Odebrało mu mowę. Nie mógł myśleć, zapomniał niemal, jak się oddycha. Czuł się jak wrzucony do górskiego strumienia - dopiero po długiej chwili wziął płytki, żabi wdech, ale usta miał nadal jak z drewna.

Doktor próbował coś powiedzieć, musiał się jednak poddać i tylko łapał powietrze nierównymi, dyszącymi haustami. Odchrząknął, wydając z siebie odgłos, jakby się dusił - najpierw zadudniło mu w głębi piersi, a potem zaczął się krztusić. Ksiądz się przestraszył, że starzec umiera, jednak po chwili usłyszał trzaśnięcie drzwi i doktor zniknął.

Ojciec Azetti tkwił nieruchomo na swoim miejscu, jak świadek śmiertelnego wypadku. Jego prawa ręka mimowiednie zakreśliła znak krzyża, po czym wstał, szarpnął zasłonkę na bok i wyszedł z ciemności w snop słonecznego światła.

Przez moment miał wrażenie, że cały świat zniknął. Widział tylko kurz, wznoszący się ku niebu w kolumnie jasnożółtego blasku. Powoli jego wzrok przyzwyczaił się do światła. Kiedy zmrużył oczy, dostrzegł kruchą postać doktora, kuśtykającego między ławkami. Jego głowa, otoczona aureolą siwych włosów, podskakiwała w mroku z każdym zbliżającym go do drzwi krokiem, podkreślanym stukotem laski o kafelkową podłogę.

- *Dottore!* Proszę! - zawołał Azetti i doktor na chwilę się zawahał. Odwrócił się do księdza, który stwierdził, że jego twarz bynajmniej nie wyraża skruchy. Baresi siedział w ekspresie do piekła i promieniował strachem, który otaczał jego postać niczym halo księżyc.

Po chwili zniknął.

2

Ojciec Azetti napisał na kawałku tekturki, że kościół jest zamknięty - CHIUSO. Przypiął tę informację do drzwi, zamknął je na klucz i wyruszył do Rzymu.

Głos doktora rozlegał się w jego głowie jak klakson - raz cichy, raz głośniejszy, czasem nawet odpywał, pozostawiając ciszę, ale ojciec Azetti czuł się, jakby w jego duszy ogłoszono stan wyjątkowy. Ściszony, zdesperowany głos Baresiego, monotonicznie wypowiadającego słowo po słowie, był niczym rozprzestrzeniające się zakażenie, powoli ogarniające cały organizm. Działaj! Zrób coś! - nakazywał mu umysł. Tak więc działał. Jechał do Rzymu. W Rzymie będą wiedzieli, co robić.

U męża kobiety, która sprzątała jego mieszkanie, wyblagał podwiezienie do pobliskiego Todi. W samochodzie poczuł się lepiej, presję zmniejszył łagodzący wpływ działania: zaokrętował się już, był w drodze.

Kierowca był wielkim i głośnym mężczyzną, oddającym się namiętnie - stanowisko duszpasterza dawało ojcu Azettiemu tę wiedzę - grze w karty oraz mającym wielkie upodobanie do grappy. Nie pracował od lat i prawdopodobnie martwiąc się o zatrudnienie żony, starał się być niezwykle uprzejmy - nieustannie przeproszał za kiepskie amortyzatory, upał, stan dróg i świadczące o chorobie psychicznej zachowanie innych kierowców. Za każdym razem, gdy samochód z szarpnięciem hamował, wyciągał dla ochrony rękę, jakby ojciec Azetti był dzieckiem, które nie zna podstawowych praw fizyki i nie wie, że po naciśnięciu hamulca należy napiąć mięśnie i zaprzeczyć się.

Kiedy w końcu dotarli na stację kolejową, mężczyzna wyskoczył z fotela i okrążył auto. Drzwi starego fiata, poobijanego w jakiejś pradawnej kolizji, otworzyły się z pełnym skargi zgrzytem. Powietrze na zewnątrz było niewiele chłodniejsze niż w środku i w dół pleców księdza powoli wędrowała wąska tasiemka potu. Odprowadzając Azettiego do kasy, kierowca zasypał go gradem pytań: Czy ojciec chce, by kupić mu bilet? Czy ma poczekać na dworcu do przyjazdu pociągu? Czy ojciec jest pewien, że nie chce, by go podwieźć do Perugii, gdzie jest węzeł kolejowy? Ksiądz podziękował i odparł, że nie, niczego więcej nie potrzebuje. *No-no-no-no-no-no - grazie, grazie!* W końcu mężczyzna oddalił się z uprzejmym ukłonem i wyraźnymi oznakami ulgi.

Ojciec Azetti miał prawie godzinę do przyjazdu pociągu do Perugii. Tam będzie musiał przesiąść się na pociąg wahadłowy, przejechać na inny dworzec i poczekać kolejną godzinę na połączenie do Rzymu. Usiadł na małej ławce przed budynkiem stacji i zaczął piec się na słońcu. Powietrze było ciężkie od pyłu, a czarny materiał sutanny wchłaniał cały słoneczny żar.

Azetti był jezuitą, członkiem Towarzystwa Jezusowego, zahartowanym i zdyscyplinowanym. Nie mógł ulegać słabościom ciała. Mimo gorąca nie rozluźniał ramion ani nie pozwalał opaść głowie.

Gdyby był zwykłym parafialnym kapłanem w małym umbryjskim miasteczku, treść spowiedzi doktora prawdopodobnie nigdy nie zostałaby przekazana dalej. Będąc prostym księdzem, przypuszczalnie nie pojąłby spowiedzi doktora - nie wspominając już o jej implikacjach. A nawet gdyby zrozumiał, co Baresi powiedział, nie miałby najbledszego pojęcia, co zrobić z tą informacją ani gdzie się z nią udać.

Giulio Azetti nie był jednak zwykłym księdzem.

W świecie świeckim dość popularne stało się w owym czasie pewne pojęcie, opisujące przedziwne zwroty losu: synchroniczność. Dla człowieka religijnego synchroniczność była jednak koncepcją obcą, wręcz demoniczną. Ojciec Azetti musiał traktować łańcuch zdarzeń tak, jakby spajała je Niewidzialna Dłoń i jakby stanowiły nie dzieło przypadku, a wyższej woli. Patrząc w ten sposób na świat, nie mógł nie dojść do wniosku, że jego obecność w tym konkretnym konfesjonale, w którym wysłuchał akurat TEJ spowiedzi, była częścią przemyślanego planu. Niezbadane są wyroki boskie, pomyślał.

Siedząc na peronie, medytował nad ogromem wyznanego mu grzechu. Był odrażający - stanowił nie tylko przestępstwo przeciwko Kościołowi, ale także przeciw całemu kosmosowi. Obrażał naturalny porządek rzeczy i krył w sobie załączek końca Kościoła. I nie tylko Kościoła.

Modlitwa zawsze była jego tarczą, więc próbował się modlić, otoczyć ochronną barierą jak białym szumem, tym razem nic to jednak nie dawało. Głos doktora Baresiego przesączał się przez pacierze i nawet znak krzyża nie umiał go usunąć.

Ojciec Azetti pokręcił głową i popatrzył na zakurzone chwasty, wyrastające z pęknięć w betonie tuż przy podkładach. Tak jak nasiona, które wpadły w szczeliny, niosły w sobie potencjał niszycielskiej wegetacji, tak grzech, z którego wypowiadał się doktor, niósł w sobie - gdyby pozostał nieujawniony... CO?

Groźbę końca świata?

Lipcowy upał był tak silny, że wszystko przed księdzem - szyny i budynek za nimi - zdawało się migotać i rozpuszczać w powietrzu. Pod sutanną ojciec Azetti był pokryty warstwą potu.

Wierzchem rękawa starł wilgoć z czoła i zaczął przepowiadać sobie treść swojego wystąpienia w Rzymie - zakładając oczywiście, że kardynał zechce go przyjąć.

„To sprawa wielkiej wagi, Wasza Eminencjo...”.

„Dowiedziałem się czegoś, co ogromnie zagraża naszej wierze...”.

Na pewno znajdzie odpowiednie słowa. Znacznie trudniejszą częścią zadania będzie przebicie się przez watykańską biurokrację. Próbował sobie wyobrazić, jakie argumenty mogłyby skłonić kardynała Orsiniego - dominikanina - do spotkania z prowincjonalnym księdzem. Ale z pewnością kardynał pamięta jego nazwisko oraz jego samego i zrozumie, że prośba o audiencję nie wynika z błahej przyczyny. Może się też oczywiście zdarzyć i tak, że zadziała to przeciwko niemu - że Orsini uzna, iż przyjechał prosić w swojej sprawie, chcąc wrócić po długim wygnaniu do Rzymu.

Zacisnął mocno powieki. Znajdzie sposób. Będzie musiał go znaleźć.

Ziemia pod jego stopami zadrżała. Tuż obok podskakiwała mała dziewczynka w różowych plastikowych sandałkach. Ojciec Azetti wstał. Nadjeżdżał pociąg.

3

W składzie pociągu z Perugia do Rzymu były stare wagony z tapicerowanymi ławkami i oprawionymi w ramki fotografiami jeziora Como. Śmierdziało w nich tanimi papierosami, a pociąg zdawał się zatrzymywać na skrzyżowaniu z każdą drogą, by zabrać nowych pasażerów. Ojciec Azetti, dręczony głodem - od rana jeszcze nie jadł - i panującą w pociągu nudą, siedział zgarbiony na ławce i wpatrywał się w blednące popołudnie. Po jakimś czasie okolica zaczęła się robić coraz mniej ciekawa, aż wreszcie straciła wiejski charakter i krajobraz wypełniły posępne przemysłowe zabudowania przedmieścia stolicy Włoch. Pociąg wjechał na Stazione Termini i zatrzymał się z

drzeniem. Hamulce wydały z siebie westchnienie ulgi, pootwierano drzwi, a potem na peron wylali się pasażerowie.

Ojciec Azetti znalazł telefon i z niejakim trudem połączył się z *monsignore* Cardone w Todi. Zaczął przeproszać, że sprawia kłopot, ale przyjechał do Rzymu w bardzo ważnej sprawie.

- *Roma?! -* zawołał Cardone.

Ksiądz wyjaśnił, że ma nadzieję wrócić do Montecastello za dzień lub dwa, mogło to jednak potrwać dłużej - w tym przypadku ktoś będzie go musiał zastąpić w jego duszpasterskich obowiązkach. *Monsignore* był tak zszokowany, że zanim ojciec Azetti, jeszcze raz przepraszając, odwiesił słuchawkę, udało mu się wydać z siebie jedynie kolejny oburzony skrzek (*Che?!).*

Ponieważ ojciec Azetti nie miał pieniędzy na hotel, spędził noc na dworcowej - ławce. Rano umył się w męskiej toalecie i ruszył na poszukiwanie taniej kawiarni. Znalazł ją tuż obok dworca i wypił podwójne espresso oraz połknął z wilczym apetytem przesłodzoną bułkę, która jedynie przypominała croissanta. Przytłumiwszy głód, wrócił na dworzec i zaczął szukać wielkiego czerwonego „M” oznaczającego zejście do metra. Jego celem było miasto-państwo w sercu Rzymu: Watykan.

Sprawa nie zapowiadała się łatwo. Wcale się łatwo nie zapowiadała.

Tak jak w każdym niezależnym państwie, również w Watykanie wszystkie sprawy prowadzi aparat administracyjny - tu nazywa się on Kurią - którego najważniejsze zadanie polega na kierowaniu olbrzymią jednostką, do dziś określaną mianem Świętego Imperium Rzymskiego. Poza Sekretariatem Stanu, odpowiedzialnym za sprawy ogólne i stosunki międzynarodowe, Kuria składa się z dziewięciu świętych kongregacji. Każda z nich jest porównywalna do ministerstwa i odpowiada za jeden z aspektów działalności Kościoła.

Najpotężniejszym z tych wydziałów jest Święta Kongregacja Nauki Wiary, która do 1965 roku nosiła nazwę Kongregacji Świętego Oficjum. Licząca sobie ponad czterysta pięćdziesiąt lat „inkwizycja” nadal pozostaje jednym z najważniejszych elementów codziennej działalności Kościoła - tyle że nikt jej już tak nie nazywa.

Poza nadzorowaniem programów nauczania szkół katolickich na całym świecie Kongregacja Nauki Wiary w dalszym ciągu zajmuje się zachowaniem czystości wiary - bada przypadki herezji, osądza naruszenia doktryny wiary, przywołuje do porządku niezdyscyplinowanych księży i ekskomunikuje grzeszników. W nadzwyczajnych przypadkach członkowie kongregacji mogą być wyznaczani do przeprowadzania egzorcyzmów albo podejmowania określonych działań, gdy pojawi się istotne zagrożenie wiary.

Ojciec Azetti przybył do Rzymu właśnie w związku z tym ostatnim obowiązkiem kongregacji.

Prefektem Kongregacji Nauki Wiary był Stefano Orsini, *cardinale* Orsini, który trzydzieści pięć lat wcześniej studiował z Azetti m w watykańskim Papieskim Uniwersytecie Gregoriańskim. Orsini był teraz księciem Kościoła i miał pod sobą dziewięciu pomniejszych kardynałów, dwunastu biskupów i trzydziestu pięciu księży.

Jego biura znajdowały się w pobliżu Bazyliki Świętego Piotra, w Pałacu Świętego Kolegium - budynku, który ojciec Azetti dobrze znał. Trzy pierwsze lata po otrzymaniu święceń spędził, pracując w niewielkim, jasno oświetlonym pomieszczeniu na pierwszym piętrze, otoczony księgami i manuskryptami. Od tamtego czasu minęło jednak sporo czasu i kiedy wspinał się teraz schodami na drugie piętro, czuł, że zaczyna łomotać mu serce.

Nie był to bynajmniej skutek wysiłku. Marmur schodów, wyraźnie cieńszy w środku, wytarty

przez stulecia tysiącami stóp, uświadomił Azettiemu nie tylko to, że ostatni raz wchodził tędy niemal dwadzieścia lat temu, ale także i to, że jego życie również się zużywa. Tak jak materiał schodów, on sam również zniknął.

Ta myśl kazała mu się zatrzymać. Przez chwilę stał na półpiętrze, zaciskając dłoń na poręczy. Ogarnęło go uczucie podobne do nostalgii, choć nie była to nostalgia, lecz coś znacznie bardziej przytłaczającego - poczucie ogromnej, dławiącej straty. Powoli ruszył dalej, z każdym krokiem pograżając się coraz bardziej w tęsknocie za domem.

Był teraz autsajderem, gościem w posiadłości swego Ojca, a znajomość szczegółów budynku - dotyk jedwabistego mosiądzu balustrady, widok światła padającego rombami na marmurową podłogę - wywoływała bolesny skurcz serca.

Zawsze sądził, że większą część życia spędzi w Watykanie. W bibliotece. W tym właśnie budynku. Że będzie wykładał w jednym z kościelnych uniwersytetów. Że może któregoś dnia założy czerwony kardynalski kapelusz.

Zamiast tego spędził ostatnie dziesięć lat na służeniu wiernym w Montecastello. Jego owczarnia składała się ze sklepikarzy, robotników rolnych i drobnych biznesmenów. Było to nieskromne, ale nie umiał powstrzymać się od pytania: co ktoś taki jak on robi w takim miejscu?

Uzyskał doktorat z prawa kanonicznego i poznał Watykan na wylot. Przez wiele lat pracował w Kongregacji Nauki Wiary, a potem w Sekretariacie Stanu. Wykonywał swoje obowiązki w sposób godny podziwu, z zapalem, inteligentnie i skutecznie. Wysłany za granicę na „doszlifowanie”, otrzymał nominację najpierw na stanowisko podsekretarza przy nuncjuszu apostolskim w Meksyku, następnie w Argentynie. Dla wszystkich było oczywiste, że któregoś dnia sam zostanie *nunzio* - papieskim ambasadorem.

Nie miało się tak jednak stać. Podpadł Kurii, organizując demonstracje przeciwko brutalnemu reżimowi wojskowemu w Buenos Aires. Żądał od rządu i policji informacji na temat zaginionych obywateli i dawał prasie zagranicznej wywiady - które tak zaogniły sytuację, że dwukrotnie musiano wymieniać noty dyplomatyczne.

Wraz z wyborem Jana Pawła II stało się jasne, że Watykan nie będzie tolerował politycznej aktywności takich księży jak Azetti. Nowy papież - dominikanin - był zimnowojennym polskim konserwatystą, który uważał, że „sprawiedliwość społeczna” to cel dążeń świeckich, a nie - jak powinno być - zadanie religijne.

Przez większość minionych wieków dominikanie i jezuita realizowali odmienne programy, nie było więc nic dziwnego w tym, że Towarzystwo Jezusowe stało się teraz obiektem generalnej krytyki. Zakon został skarcony za - jak nazwał to nowy papież - „brak równowagi”, czyli poświęcanie większej uwagi polityce niż służbie Kościołowi.

Ta nagana zirytowała Azettiego, choć czwartym ślubem jezuitów jest ślub bezwzględnego posłuszeństwa papieżowi. Nie pojmował, jak można być księdzem i nie stawać w obronie biedaków. Podczas nierejestrowanej rozmowy z amerykańskim dziennikarzem w Buenos Aires zwrócił uwagę na to, że Jan Paweł II nie zabrania wszelkiej aktywności politycznej, lecz jedynie określonej. Mógłby na tym poprzestać i może uszłoby mu to na sucho, zaczął jednak rozwijać ten temat. By nikt nie miał wątpliwości, co ma na myśli, dodał, że wspierana jest działalność antykomunistyczna, wręcz się do niej zachęca, nie toleruje się jednak wypowiedzi skierowanych przeciwko faszystom - choć torturowali i zabili tysiące ludzi.

Dwa dni później uwagi te opublikował - mniej lub bardziej dosłownie - „Christian Science

Monitor”, zamieszczając zdjęcie Azettiego, idącego na czele demonstracji na Plaža de Mayo. Pod fotografią znajdowało się jego nazwisko i jedno słowo: „Schizma”.

W tych okolicznościach Azetti miał szczęście, że nie został ekskomunikowany. Ale wezwano go do Watykanu i zdegradowano. By „zaznać pokory”, wysłano go do parafii tak małej i odległej, że nikt nie umiał mu powiedzieć, gdzie się znajduje. Ktoś uważał, że leży niedaleko Orneto. A może pod Gubbio? Na pewno w Umbrii, tylko gdzie? W końcu, z pomocą dokładnej mapy, ojciec Azetti zlokalizował to miejsce: maleńki punkcik na północ od Todi. Od tego czasu tkwił tam, a jego kariera skurczyła się do wymiarów odpowiednich dla parafialnego księżula.

To było jednak dawno temu.

Teraz ojciec Azetti znów wchodził do przedsionka, który tak dobrze pamiętał. Było to pomieszczenie z dwoma drewnianymi ławkami, starodawnym biurkiem i krucyfiksem na ścianie. Wentylator na suficie obracał się powoli, mieszając parne powietrze.

Sekretarza nie było, biurko stało puste, ale na ekranie przenośnego komputera bezgłośnie machało skrzydłami stado tosterów. Azetti poszukał wzrokiem dzwonka, ponieważ jednak nic takiego nie dostrzegł, uciekł się do niepewnego kasznięcia. Następnie mruknął: „Halo?” - i w końcu usiadł na jednej z ławek, wziął do ręki różaniec i zaczął się modlić.

Był przy dwudziestym pacierzu, gdy z gabinetu kardynała wyszedł ksiądz w białej sutannie i znieruchomiał z wyrazem zaskoczenia na twarzy.

- Mogę w czymś pomóc, ojcze? - zapytał po chwili.

- *Grazie* - odparł Azetti i zerwał się z ławki. Ksiądz wyciągnął dłoń.

- Donato Maggio.

- Azetti. Giulio Azetti z Montecastello. Ojciec Maggio zmarszczył czoło.

- To w Umbrii - wyjaśnił Azetti.

- Och... oczywiście.

Obaj mężczyźni stali przez chwilę, milcząc. W końcu ojciec Maggio usiadł za biurkiem.

- W czym mogę pomóc? - zapytał. Azetti odchrząknął.

- Ojciec jest sekretarzem kardynała? Maggio pokręcił głową i uśmiechnął się.

- Nie, posadzono mnie tu tylko na parę tygodni. Dość sporo się akurat dzieje. Wiele zmian. Tak naprawdę jestem asystentem archiwistą.

Azetti pokiwał głową, miętosząc w rękach kapelusz. Mógł się domyślić stanowiska Maggio. Dwadzieścia lat minęło, ale natychmiast przypomniał sobie zwrot: „archiwalna mysz”. Tak nazywano tych, którzy ciężko trudzili się w archiwach, przeszukując pergaminy i stare iluminowane rękopisy dla kardynałów, biskupów i profesorów z uniwersytetów watykańskich. Maggio miał typowy dla tego gatunku pracowników czerwony, zakatarzony nos i oczy krótkowidza. Po jakimś czasie - z powodu złego oświetlenia, wiekowej pleśni na księgach, konieczności czytania z bardzo bliska - wszyscy archiwiści nabierali tych cech.

- Więc... - podjął po chwili Donato Maggio. - Co mogę dla ojca zrobić? - Był nieco rozczarowany, że gość nie spytał, dlaczego „dość sporo się dzieje” ani na czym polegają „zmiany”, o których napomknął. Mógłby wtedy rzucić uwagę o stanie zdrowia papieża i patrzeć, jak rozszerzają się oczy tego wiejskiego księżula. Gość wydawał się jednak zaabsorbowany własnymi myślami i Maggio musiał powtórzyć: - Co mogę dla ojca zrobić?

- Przyszedłem zobaczyć się z kardynałem. Maggio pokręcił głową.

- Przykro mi...

- To *urgentel* - zawołał Azetti.

Maggio popatrzył na niego z powątpiewaniem.

- Chodzi o zagrożenie wiary - wyjaśnił przybysz. Archiwista uśmiechnął się słabo.

- Jest bardzo zajęty, ojczu. Zapewne o tym wiesz.

- Wiem! Tyle że...

- Audiencje trzeba organizować z dużym wyprzedzeniem - przerwał mu Maggio i zaczął opisywać ze szczegółami całą procedurę. Azetti powinien był się porozumieć z prałatem swojej diecezji, no ale ponieważ już jest w Rzymie... może dałoby się zorganizować spotkanie z którymś z wyższych rangą członków kongregacji i mógłby wyłożyć mu sprawę, z jaką przybywa. Gdyby uznano za wskazane, może... być może... miałby szansę rozmowy z kardynałem - choć z pewnością potrwałoby to parę tygodni. Albo nawet dłużej. Może lepszym rozwiązaniem byłby list?

Ojciec Azetti uderzał palcami w rondo kapelusza. Oskarżano go kiedyś o arogancję, o dbanie o własne sprawy, choć Kościół miał inne priorytety. Ale ta sprawa? Nie! Pośrednik nie wchodził w rachubę, tak samo list. Musiał się zwrócić bezpośrednio do kardynała. Do Orsiniego.

- Zaczekam - oświadczył, po czym wrócił do ławki i usiadł.

- Obawiam się, że ojciec nie rozumie - powiedział Maggio, uśmiechając się anemicznie. - Kardynał nie może widzieć się z każdym, kto chce z nim rozmawiać. To po prostu niemożliwe.

- Rozumiem - mruknął Azetti. - W takim razie zaczekam. Sekretarz machnął rękami w geście bezradności.

Co dzień rano ojciec Azetti zjawiał się o siódmej w Bazylice Świętego Piotra. Odmawiał modlitwy, siadał na ławce niedaleko sławnego posągu apostoła i przyglądał się, jak wierni podchodzą, by całować odlaną w brzoje stopę świętego. Stulecia pocałunków zatarły szpary między palcami, cały przód stopy był wypolerowany na płasko, złała się z nią nawet podeszwa sandała.

O ósmej Azetti wspinał się do poczekalni na drugim piętrze i podawał swoje nazwisko ubranemu na biało ojcu Maggio. Co dzień Maggio chłodno kiwał głową i wpisywał je z wyraźną niechęcią do księgi. Wiejski ksiądz zajmował miejsce na ławce i mimo niewygody pozostawał na nim do końca dnia. O piątej, gdy zamykano gabinety kardynała, wracał tą samą drogą, którą przybył: szedł kolumnadą Berniniego i wychodził przez Bramę Świętej Anny.

Podczas czekania miał mnóstwo czasu na zastanawianie się nad człowiekiem, z którym chciał się zobaczyć. Pamiętał Orsiniego z czasów studenckich - pamiętał jego wielką i niezdarną postać, kontrastującą z przenikliwym, ciętym umysłem. Błyskotliwość Orsiniego była zimna i - jak to określał Azetti - „laserowa”: nie wiedział, co to namiętność, nie interesowały go też niczyje poglądy.

Jego jedyną namiętnością był Kościół i dla jej spełnienia miażdżył i usuwał wszystko, co stało mu na drodze. Wstępowanie przez niego na kolejne szczeble hierarchii watykańskiej było przewidywalne i następowało bardzo gładko. Nikogo nie zaskoczyło mianowanie go na prefekta Kongregacji Nauki Wiary. Było to stanowisko dla kogoś o osobowości policjanta, a Orsini miał taką osobowość. Przypominał ojcu Azettiemu inspektora z *Nędzników* - bezlitosnego, nie znającego wybaczenia. Kojarzył mu się z cnotą zamienioną w kamień.

Oczywiście tacy ludzie również byli potrzebni, a nawet nieodzowni - poza tym to właśnie Orsini powinien poznać spowiedź doktora Baresiego. Będzie wiedział, co robić, i zadba o to, by poczyniono odpowiednie kroki.

Azetti nie chciał myśleć o tym, że może mu się nie udać porozmawiać z kardynałem.

Wieczory i noce spędzał na *stazione* i po pierwszym noclegu odkrył, że jeśli położy na ławce

kapelusze, znajdzie w nim rano kilka tysięcy lirów. Choć spanie na ławce nie było wygodne, nikt go nie niepokoił. Rano mył się w męskiej toalecie i szedł do niewielkiej kawiarni, gdzie wydawał otrzymaną jałmużnę na kawę, *comettos* i wodę mineralną.

Czwartego dnia ojciec Maggio przestał być grzeczny. Zignorował *buongiornos* ojca Azettiego i zachowywał się, jakby gościa nie było. Wciąż przychodzili różni pośrednicy, pytając, czy mogą w czymś pomóc, ale Azetti niezmiennie powtarzał, że może rozmawiać jedynie z *U cardinale*.

Od czasu do czasu ktoś wsadzał głowę do poczekalni, by popatrzeć na zwariowanego księżulka, i natychmiast ją cofał. Słysząc było szepty i strzępy rozmów na korytarzu. Z początku rzucane przez księży uwagi wyrażały zaciekawienie, w głosach personelu słysząc było rozbawienie, stopniowo jednak ton się zmieniał. Głosy obserwatorów powoli twardniały oburzeniem.

- Czego on chce?

- Chce się zobaczyć z kardynałem.

- To niemożliwe!

Stawał się nie tylko irytujący, ale także żenujący. Po pierwsze - mimo codziennych porannych ablucji na dworcu - zaczynał śmierdzieć. Pogorszenie stanu higieny osobistej bardzo ojca Azettiego zawstydzalo i znosił to tylko dlatego, że nie miał wyboru. Wbrew wszelkim próbom utrzymania czystości brud wżerał się w spękania i zagłębienia skóry, zapuszczał korzenie w ubraniu. Jego włosy pokryły się warstewką tłuszczu i nie był w stanie nic z tym zrobić.

Podejmował próby mycia się w nocy, kiedy męska toaleta sprawiała wrażenie opuszczonej, jednak i wtedy ktoś nieustannie przeszkadzał. Wielu ludzi zdawało się bawić obserwowanie księdza myjącego się w publicznej toalecie.

Wszelkie zabiegi niewiele dawały. W maleńkich umywalkach była jedynie zimna woda, mydło nie chciało się pienić, a co najgorsze, nie było ręczników, jedynie dmuchawy gorącego powietrza. Bez względu na to, jak bardzo ojciec Azetti się starał, jak akrobatycznie się wykręcał, pewnych części ciała nie mógł wysuszyć bez wywołania skandalicznej sceny. Po raz pierwszy w życiu zrozumiał, co to znaczy być bezdomnym.

- Nie możemy go usunąć? - spytał jakiś głos.

Szóstego dnia zaczęto wymieniać uwagi na jego temat tak swobodnie, jakby był obcokrajowcem albo zwierzęciem i nie rozumiał, co się wokół mówi. Albo jakby nie istniał.

- Jak by to wyglądało? - zaprotestował ktoś drugi. - Jest księdzem...

Mimo to ojciec Azetti nie zamierzał się poddawać. Kiedy opadały go wątpliwości, wystarczyło, by przypomniał sobie słowa Baresiego. Nie mógł wrócić do Montecastello jako jedyny, kto zna wyznaczenie doktora. Raczej będzie czekał tu aż do śmierci.

Siódmego dnia pojawił się *monsignore* Cardone z Todi i usiadł obok na ławce.

Pomarszczony, przypominający z wyglądu ptaka prałat przez dłuższy czas się nie odzywał, patrząc spod gęstych, siwych brwi na ścianę przed sobą. W końcu uśmiechnął się krzywo i położył dłoń na kolanie ojca Azettiego.

- Powiedziano mi, że tu jesteś.

- Tak? - mruknął Azetti.

- Giulio... o co chodzi? Może mogę ci w czymś pomóc? Azetti pokręcił głową.

- Jedynie jeśli ojciec może wstawić się u kardynała. Inaczej... - wzruszył ramionami.

Monsignore robił, co mógł. Czarował. Rozmawiał z prowincjonalnym księdzem jak jeden mądry kleryk z drugim. Z pewnością Azetti wie, jak to się odbywa. Trzeba przebrnąć przez protokoły i

formalności. Czas kardynała jest bardzo cenny i zadaniem jego ludzi jest chronić go przed wszystkim, co mogłoby go rozproszyć. Zaproponował spacer.

No. Grazie. Molto grazie.

W końcu *monsignore* zaatakował. Słuchaj, Azetti, porzuciłeś swoje obowiązki! Pozostawiłeś samopas swój kościół! Były chrzciny i śmierć - msza pogrzebowa! Co może być ważniejszego od tego?! Ludzie plotkują!

Potem spróbował pochlebstwami. Jeśli Azetti go wtajemniczy, może uda mu się uzyskać dla niego audiencję. Bardzo prawdopodobne, że Jego Eminencja nawet nie wie, iż ktoś czeka na posłuchanie u niego od tyłu dni.

Azetti pokręcił głową.

- Nie mogę powiedzieć tego nikomu z wyjątkiem kardynała. *Monsignore* wstał.

- Jeśli się upierasz, Giulio...

Azetti chciał jakoś złagodzić gniew prałata, zanim jednak zdążył cokolwiek powiedzieć, do pomieszczenia wetknął głowę Donato Maggio.

- Kardynał przyjmie teraz ojca - oświadczył.

Stefano Orsini siedział za ogromnym biurkiem, miał na sobie czarne szaty obrzeżone purpurą, a na głowie czerwoną piuskę. Był potężnym mężczyzną o obwisłej, mięsistej twarzy i dużych brązowych oczach. Przypominały oczy psa - wielkiego i niezbyt przyjaznego. Kiedy do jego nozdrzy doleciał otaczający ojca Azettiego odorek, rysy jego twarzy stężyły, zaraz jednak podniósł wzrok.

- Giulio... jak miło cię widzieć. Siadaj. Powiedziano mi, że czekasz od dawna.

- Wasza Eminencjo... - zaczął Azetti i urwał, czekając, aż ojciec Maggio wyjdzie. Usiadł na skraju skózanego fotela z wysokim oparciem. W głowie kłębiły mu się słowa, które tak często powtarzał sobie w myśli. Kątem oka dostrzegł, że Maggio siada przy drzwiach i zakłada nogę na nogę.

Kaszlnął.

- A więc? - ponaglił go kardynał. Azetti popatrzył w kierunku ojca Maggio.

Oczy kardynała przesunęły się między obydwojma księżmi. Pokręcił głową.

- Jest moim asystentem, Giulio. Ojciec Azetti skinął głową.

- I zostanie - dodał kardynał.

Azetti ponownie skinął głową. Czuł, że kardynał traci cierpliwość.

- Zmęczyło cię życie na wsi? - spytał kardynał pogardliwie. Azetti usłyszał, jak Maggio za jego plecami parska tłumionym śmiechem. Po raz pierwszy uświadomił sobie, że stracił coś: ambicję. Choć fakt ten - nawet jak dla niego - był straszny, czuł w głębi serca, że nie jest to ani w połowie tak złe jak utrata nogi. Czuł się, jakby wreszcie pozbył się gorączki. Rozglądając się po gabinecie Orsiniego, pojął, że mimo nostalgii nic by go nie nakłoniło do powrotu do machinacji, które niosło ze sobą życie w Watykanie. W Montecastello znalazł coś znacznie cenniejszego niż ambicja.

Znalazł wiarę.

Nie był to jednak temat do rozmowy z Orsinim, mimo że kardynał był w Watykanie kimś wyjątkowym - był prawdziwym wyznawcą wiary, gorliwym i niezachwianym żołnierzem Krzyża. Ojciec Azetti wiedział, że Orsiniego nie interesowała jego dusza. Interesowała go władza i nie przyjąłby za dobrą monetę żadnego wyznania wiary - uznałby je za fortel albo sztuczkę, a w najlepszym wypadku za manewr polityczny.

- Nie - odparł. - Nie przyszedłem tu w swojej sprawie. - Popatrzył w szukające łupu oczy

kardynała. - Ale istnieje coś, o czym Kościół powinien wiedzieć. - Zawahał się. - Coś, co może jedynie...

Orsini uniósł dłoń i uśmiechnął się lodowato.

- Giulio, proszę... Oszczędź mi wstępów.

Ojciec Azetti westchnął, popatrzył nerwowo na ojca Maggio i postanowił skoczyć na głęboką wodę. Zupełnie zapomniał o układanej przez tydzień przemowie. Przez chwilę w głowie kłębiły mu się chaotyczne słowa.

- Przyjmowałem... spowiedź... - wydukał wreszcie. - Wysłuchałem spowiedzi, od której niemal stanęło mi serce.

4

Przez następne dni kardynał Orsini chodził bardzo zmartwiony.

Martwił się o Człowieka. Martwił się o Boga. Martwił się także o siebie. Co miał robić? Co ktokolwiek mógł zrobić? Implikacje spowiedzi doktora Baresiego były tak znaczące, że po raz pierwszy w życiu Orsini miał wrażenie, iż poproszono go o wzięcie na barki ciężaru, który okazał się zbyt wielki. Sprawę należało oczywiście przedstawić natychmiast papieżowi, ale Jan Paweł II przez pół doby był ledwie przytomny, jego świadomość pojawiała się i zanikała jak słaby sygnał radiowy. Coś takiego mogło go zabić.

Problem komplikowała jeszcze konieczność zachowania dyskrecji. Nie było nikogo, kto zdaniem kardynała zasługiwałby na wtajemniczenie. Jediną osobą w Watykanie poza nim, która знаła tę sprawę, był ojciec Maggio - i Orsini mógł mieć o to pretensję wyłącznie do siebie. Azetti nie chciał obecności kancelisty, ale kardynał się uparł. „Jest moim asystentem, Giulio”. Dodał także stanowczo: „I zostanie”.

Dlaczego to powiedział? Ponieważ spędzasz zbyt wiele czasu w Watykanie, a za mało w świecie, karciał sam siebie. Jesteś arogantem, który nie potrafi sobie wyobrazić, że parafialny księżulo może mieć do powiedzenia cokolwiek ciekawego - i teraz twoim jedynym zaufanym jest Donato Maggio.

Donato Maggio... Na sam dźwięk tego nazwiska kardynał jęknął. Maggio był badaczem-archiwistą i klerykiem, nie wstydzącym się wyrażać swych poglądów teologicznych. Był tradycjonalistą, modlącym się głośno o „bardziej atletyczny katolicyzm” i wciąż mówił o „prawdziwej mszy”, co było oczywiście ledwie skrywaną krytyką reform wprowadzonych przez Drugi Sobór Watykański.

Dla każdego, dla kogo „prawdziwą mszą” był obrządek trydencio nakazujący odprawiać ją po łacinie, a księdzu stać plecami do wiernych - nowa msza była oszustwem i świętokradztwem.

Choć Orsini nigdy nie dyskutował z ojcem Maggio na temat zagadnień teologicznych, miał podstawy się domyślać, jakie archiwista reprezentuje poglądy. Prawdopodobnie nie tylko nie uznawał nowego sposobu prowadzenia mszy w języku kraju, w którym była odprawiana, ale także negował możliwość dopełnienia wymogu uczestnictwa w niedzielnej mszy poprzez wzięcie udziału w mszy w sobotę wieczór. Jak inni tradycjonałiści, z pewnością był też przeciwnikiem wszelkich innych prób modernizacji Kościoła, mających na celu uczynienie go bardziej przystępnym. I prawdopodobnie nie ograniczał się do sprzeciwu wobec „radykałnych” propozycji, takich jak możliwość wyświęcania kobiet, wyrażanie zgody na zawieranie przez duchownych małżeństw czy legalizacja kontroli urodzin - jego konserwatyzm sięgał znacznie głębiej. Chciałby cofnąć reformy,

które już wprowadzono. Był neandertalczykiem.

Nie było więc sensu pytać go o opinię na temat czynu doktora Baresiego. Tacy księża jak Maggio nie mieli opinii - mieli jedynie odruchy.

Ale nie miało to żadnego znaczenia. Ojciec Azetti przybył do Watykanu ze swoją bombą zegarową w okresie niezwyklej aktywności Kurii, co oznaczało, że izolacja kardynała Orsiniego długo nie potrwa. Choroba papieża była wystarczająco poważna, by Kolegium Kardynalskie zaczęło dyskretnie rozglądać się wśród swych członków za odpowiednim sukcesorem. Wciąż powstawały i zmieniały się nowe listy ewentualnych papieży - *papabiles* - a w biurach Kongregacji Nauki Wiary zakazano używania telefonów komórkowych, gdy okazało się, że dziennikarze oraz inne niepowołane osoby mogą podsłuchiwać prowadzone przez nie rozmowy.

Był to bardzo ruchliwy okres, w którym załatwianie codziennych spraw zastąpiły tajne spotkania i wymienianie się szeptanymi tajemnicami. Kardynał Orsini również w nich uczestniczył. Panowała niezwykle gorąca atmosfera, bo w trakcie owych spotkań omawiano sprawy najwyższej wagi: kto zostanie następnym papieżem i jak będzie wyglądać przyszłość Kościoła.

Dręczony wyznaniem doktora Baresiego, znacznie bardziej doniosłym od wszelkich innych problemów, Orsini podzielił się ciężarem, jaki na niego zwałono, z kilkoma kolegami, prosząc ich o radę.

We wszystkich przypadkach reakcją była długa chwila przerażonego milczenia, po której następowała konstatacja, iż nie da się nic z tym fantem zrobić - no, jedno można by zrobić, było to jednak zbyt przerażające. Ale wszyscy byli zgodni, że bezczynność to także działanie, którego konsekwencje mogą się okazać nie mniej istotne.

Bezczynność... Bezczynność była w tym przypadku równoznaczna z pozwoleniem na to, by świat zatrzymał się jak nienakręcony zegarek, który chodzi od zarania czasu.

Sprawa była tak niezwykle, że koledzy Orsiniego wtajemniczyli w nią swoich przyjaciół i wieść szybko się rozchodziła. W ciągu tygodnia, jaki upłynął od pełnego postękiwań wyznania Azettiego w gabinecie kardynała Orsiniego, w murach Watykanu rozgorzała tajna debata. Podczas jej trwania prałaci gorączkowo szukali wytycznych w archiwach biblioteki Watykanu, ale nie istniała wiedza z przeszłości, która mogłaby rozstrzygnąć powstałe zagadnienie. Wszyscy zgadzali się, że zaistniały w wyniku grzechu doktora Baresiego problem nie został w historii Kościoła przewidziany - z tego prostego powodu, iż dotychczas jego popełnienie nie było możliwe.

Po tygodniach nieformalnych sporów Kuria podjęła decyzję, że niezależnie od tego, co zrobił doktor Baresi, była to wola boska. Nie pozostawało nic innego, jak czekać, aż papież wyzdrowieje - albo zapanuje nowy, któremu będzie można przekazać tę sprawę. Do tego czasu wszyscy powinni zaniechać wszelkich działań. Jednak nie wszyscy się temu podporządkowali.

Kiedy ojciec Maggio dowiedział się o decyzji Kurii, wsiadł do pierwszego pociągu do Neapolu. Biura Umbry Domini, czyli „Cienia Pana”, znajdowały się w trzypiętrowej willi przy Via Viterbo, kilka przecznic od neapolitańskiej opery. Kanoniczny status zakonu, założonego w 1966 roku, tuż po ogłoszeniu zakończenia Drugiego Soboru Watykańskiego, pozostawał od trzydziestu lat niezmienny: był to „świecki instytut”, zrzeszający ponad pięćdziesiąt tysięcy członków i posiadający „misje” w trzynastu krajach. Choć zakon od dawna starał się o prałaturę personalną, większość obserwatorów watykańskich była zdania, że Umbra Domini ma szczęście, iż w ogóle jest jeszcze członkiem Kościoła.

Obiekcje zakonu wobec reform wprowadzonych przez Drugi Sobór Watykański były liczne,

bardzo poważne i głośno wykrzykiwane. Jego rzecznicy szczególnie ostro atakowali reformy Soboru mające na celu „demokratyzację” wiary, określając je jako uleganie modernistycznym, syjonistycznym i socjalistycznym trendom. Dla Umbry Domini najbardziej irytującą spośród nich było zniesienie obowiązku odprawiania mszy po łacinie, co niszczyło ponadtysiącletnią tradycję i przecinało więź, łączącą katolików ze wszystkich zakątków świata. Odprawianie mszy w lokalnym języku było zdaniem Umbry „bękarcim rytuałem, katolikancką wersją ustanowionej przez Boga liturgii”. Wedle założyciela zakonu wprowadzenie nowego obrządku można było wyjaśnić tylko w jeden sposób: podczas posiedzeń Drugiego Soboru Watykańskiego Tron Piotrowy zajmował Antychryst.

Na tym jednak nie koniec. Choć doktryna zakonu nie była przedstawiona w żadnym ogólnie dostępnym dokumencie, wiadomo było, że potępia on liberalne podejście, iż inne religie również zawierają elementy „prawdy i świętości” oraz że - jak ogłosił Drugi Sobór Watykański - „Bóg sam także nie jest daleko” od wyznawców owych religii. Gdyby miało to być prawdą - argumentowali przedstawiciele zakonu - należałoby uznać Kościół za winny masowych prześladowań i zabójstw. Bo jak inaczej wyjaśnić szesnaście wieków sankcjonowanej przez papieża doktrynalnej nietolerancji, której kulminacją była Święta Inkwizycja? Chyba że - jak twierdziła Umbra Domini - doktryna zawsze była prawidłowa, a zwolennicy innych wiar byli niewiernymi oraz wrogami prawdziwego Kościoła.

Krytycy zakonu wzywali do ekskomunikowania wszystkich jego członków, ale papież wciąż się wahał, nie chcąc prowokować schizmy. Wysłannicy Watykanu spotykali się więc potajemnie z przywódcami Umbry Domini, aż w końcu osiągnięto kompromis. Watykan oficjalnie uznał zakon i dał mu zezwolenie na odprawianie mszy po łacinie - pod warunkiem, że zobowiąże się, iż nie będzie składać w przyszłości publicznych oświadczeń, a wszelkie próby zdobywania nowych wyznawców ograniczy do działań słownych.

Tak więc Umbra Domini zamknęła się w sobie. Przywódcy zakonu zniknęli z widoku i przestali udzielać wywiadów. Czasem w Stanach Zjednoczonych albo w Europie pojawiał się jakiś artykuł prasowy na jego temat, ostrzegający, że zakon przemienił się w sektę. „New York Times” oskarżył go o „obsesyjne zachowywanie tajemnicy i wymuszające techniki rekrutacyjne” i zwrócił uwagę na ogromny majątek, jaki zakon zgromadził zaledwie w ciągu kilku lat. W Wielkiej Brytanii „Guardian” posunął się znacznie dalej. Wskazując na przynależność do Umbry Domini „nieprawdopodobnej liczby polityków, przemysłowców i sędziów”, gazeta sugerowała „powstanie pod płaszczykiem zakonu religijnego neofaszystowskiej organizacji politycznej”.

Oskarżenia te jednak zostały zdeprecjonowane i odrzucone przez człowieka, na spotkanie z którym ojciec Maggio przybył do Neapolu. Chodziło o młodego, charyzmatycznego „sternika” Umbry Domini - Silvia delia Torre.

Z oskarżeniem o neofaszystowską naturę zakonu delia Torre rozprawił się podczas spotkania dla nowych członków, wśród których - w głębi tłumu, przyciśnięty do ściany - znajdował się także Donato Maggio. Spotkanie to miało miejsce w maleńkim i bardzo starym neapolitańskim kościele San Eufemio, przyznanym zakonowi we wczesnych latach istnienia i wciąż służącym mu jako „ojczysta” ambona.

Budynek miał za sobą bogatą historię. Został zbudowany w ósmym wieku, w miejscu, w którym kiedyś znajdowała się starożytna świątynia Mitry. Z powodu swego sędziwego wieku w 1972 roku „padł na kolana” - jego dach przeciekał, ściany kruszyły się - i właściwie należałoby go zburzyć ze

względów bezpieczeństwa.

Zakon odrestaurował kościół, choć w prymitywnej budowli niewiele mogło zachwycić krążących wokół jak sępy „znawców”. Wystarczyło pół dnia jazdy, by w innych kościołach ujrzeć dzieła Giotta, Michała Anioła, Leonarda i Fra Lippo Lippiego albo Rafaela i Berniniego. San Eufemio nie przyciągało miłośników sztuki.

Z zewnątrz budynek zdobiły cyprysowe drzwi z ósmego wieku, jednak we wnętrzu panowały ciasnota i mrok. Nieliczne okna wpuszczały zbyt mało światła, nie było w nich szyb, a selenit, prekursor szkła - półprzezroczysty w silnym świetle, ale mleczny jak matowa szyba.

Pozostałe „atrakcje” również nie były specjalnie zachwycające. Brzydki relikwiarz zawierał serce świętego, który nie cieszył się zbyt dużą popularnością. Na honorowym miejscu wisiał bardzo stary i dość ponury obraz ukazujący Zwiastowanie. Wiek tak przyciemnił malowidło, że widać je było wyraźnie jedynie w bardzo słoneczne dni. Ukazywało wtedy dziewicę o drewnianej twarzy, kontemplującą Ducha Świętego, przedstawionego jednak nie jako gołębia, lecz pod postacią bezcielesnego, unoszącego się w powietrzu oka.

W tej mrocznej przestrzeni delia Torre jarzył się jak świeca. Tego dnia, kiedy odpierał wysunięte przez prasę oskarżenia dotyczące neofaszystowskiej natury Umbry Domini (wtedy właśnie członkiem organizacji został również Donato Maggio), najpierw się uśmiechnął, a potem wyrzucił ręce w górę i ze smutkiem pokręcił głową.

Prasa zadziwia mnie... - zaczął. - Jest krańcowo niekonsekwentna i całkowicie zależna. Najpierw narzeka, że mówimy zbyt wiele - powiedział, czyniąc aluzję do czasów, gdy Umbra rozgłaszała swoje poglądy na prawo i lewo - a teraz narzeka, że nic nie mówimy. Ponieważ pasuje to do realizowanych przez nią celów, mylą prawo do prywatności z dążeniem do ukrywania tajemnic, a życie wspólnotowe z konspirowaniem, i w ten sposób dowodzą swojej... zależności. - Na sali rozległ się pomruk rozbawienia. - Prasa ZAWSZE WSZYSTKO myli - oświadczył na koniec delia Torre, podsumowując swoje wystąpienie. Nowicjusze przyjęli jego wystąpienie gorącym aplauzem.

Jeśli chodzi o ojca Maggio, był równocześnie dominikaninem i członkiem Umbry Domini. Do Umbry należało wielu księży - a ponieważ był zakonem świeckim, przynależność do niego nie kłóciła się z przynależnością do kościelnego zakonu. Donato Maggio stanowił jednak dość szczególny przypadek, nie tylko bowiem był członkiem innego zakonu, ale pracował w Watykanie. Stał każdą nogą w innym świecie. Dla Watykanu Umbra Domini była ledwie tolerowaną grupą ekstremistów, czymś na kształt katolickiego Hezbollahu, czekającego tylko na okazję, by wybuchnąć - natomiast Umbra Domini traktowała Watykan jako przeszkodę. Potężną, zniechęconą ze starości, ale niezniszczalną.

Choć ojciec Maggio nigdy nie spotkał się oficjalnie z SiMem delia Torre, zorganizowanie spotkania w cztery oczy nie było problemem. Dowiedziawszy się, że jeden z asystentów kardynała Orsiniego chce rozmawiać z nim w pilnej sprawie, delia Torre jeszcze tego samego wieczoru zaproponował wspólną kolację. Maggio pomyślał, że być może delia Torre sądzi, iż będzie miał do czynienia z sekretarzem Orsiniego, ale co z tego? Nawet jeśli był jedynie archiwalną myszą, generał delia Torre powinien go wysłuchać.

Spotkali się w niewielkiej *trattoria* niedaleko należącego do zakonu kościoła. Restauracja nazywała się „I Matti” i choć z zewnątrz sprawiała wrażenie dość pospolitej, w środku było zaskakująco elegancko. Ojciec Maggio został z szacunkiem przywitany przez szefa sali i poprowadzony schodami do prywatnego pomieszczenia na piętrze. Na nagiej podłodze z drewna, tuż

przy palladiańskim oknie, stał jeden jedyny stół. Był tu także niewielki kominek, w którym trzaskały płonące polana, antyczne lichtarze rzucały złoty blask. Na przykrytym białym obrusem stole stały świece, obok których leżała gałązka obsypanego białymi drobnymi kwiatami wachlinka.

Kiedy ojciec Maggio wszedł, Silvio delia Torre wyglądał przez okno. Odwrócił się na *Scuzi, signore* szefa sali i Maggio od razu zauważył to, co skrywał mrok w kościele: że generał Umbry Domini niezwykle dobrze wygląda. Miał trzydzieści parę lat, szerokie ramiona i słuszną posturę. Był ubrany w dyskretny, lecz drogi garnitur. Jego gęste, kręcone włosy były tak czarne, że wydawały się niemal granatowe. Ojca Maggio najbardziej jednak zaskoczyły oczy delia Torrego o kolorze wyblakłej akwamaryny, ocienione gęstymi, długimi rzęsami.

Klejnoty w wykutych przez Boga oprawach, pomyślał dominikanin, zadowolony z tego sformułowania. Ale w końcu był prawie zawodowcem, bo w wolnym czasie pisywał poezję. Della Torre wstał i Maggio dostrzegł w jego postawie cechy przypominające rzeźby z Forum. Zapamiętał sobie zdanie: „Klasyczny rzymski profil...”, zaraz jednak skoncentrował uwagę na swoim gospodarzu. Serce waliło mu dwa razy szybciej niż zwykle. Jadł kolację z samym delia Torrem!

- *Salve* - przywitał go delia Torre i wyciągnął dłoń na powitanie. - Jesteś pewnie bratem Maggio.

Maggio, jękając się, potwierdził, że tak, faktycznie nim jest, a potem usiadł. Nalewając do kieliszków wino, delia Torre wygłosił kilka niezobowiązujących frazesów i wznosił toast.

- Za naszych przyjaciół w Rzymie! Stuknęli się kieliszkami.

Posiłek był prosty, ale doskonały, tak samo gładko szła rozmowa. Gawędzili przy talerzach bruschetta o piłce nożnej, o Lazio i Sampdorii, o tym, jak nędzna zrobiła się Serie A. Potem kelner otworzył butelkę montepulciano, a w chwilę później następny wszedł z tacą agnelotti, nadziejących tartufo i porami. Maggio zauważył, że agnelotti są jak „delikatne poduszeczki”, na co delia Torre odpowiedział zdaniem, które wydało się Maggio nieprzyzwoitym dowcipem - choć może po prostu nie rozumiał tej uwagi. Jedli i pili, i powoli zaczęli przechodzić do tematów politycznych. Maggio z zachwytem odkrywał, iż zgadzają się niemal we wszystkim. Chrześcijańscy demokraci byli katastrofą, mafia się odradzała, wszędzie było pełno masonów. Jeśli chodzi o Żydów, to cóż... Poplotkowali również o stanie zdrowia papieża i omówili szanse wszystkich wchodzących w rachubę następców. Pojawił się kelner z następnym daniem - pstrągiem - i fachowo wyfiletował obie porcje. Kiedy wyszedł, delia Torre oświadczył, że ogromnie się cieszy, iż Umbra Domini ma przyjaciela w Kongregacji Nauki Wiary. Ojcu Maggio bardzo to schlebiło i między kolejnymi kęsami rozpluwającego się w ustach, soczystego pstrąga prezentował swoją wiedzę o wewnętrznych sprawach kongregacji i charakterach ludzi z dostępem do *U terzo piano* - trzeciego piętra Pałacu Apostolskiego, na którym znajdują się prywatne apartamenty papieża.

- Zawsze dobrze wiedzieć, co myślą kardynał Orsini i papież - stwierdził delia Torre.

Po pstrągu pojawiła się sałatka, a zaraz potem gruby bistecca alla fiorentina z ciemnymi pręgami od zetknięcia z rusztem. Wreszcie kolacja dobiegła końca. Znów zjawił się kelner, posprzątał i zmiótł okruchy ze stołu. Potem postawił przed nimi butelkę vin santo i talerz biscotti, dołożył do ognia i spytał, czy sobie czegoś życzą, a kiedy podziękowali, opuścił salę, zamykając za sobą drzwi.

Della Torre nalał po kieliszku wina i pochylił się do ojca Maggio. Wbijając w niego wzrok, zniżył głos:

- Donato...

Ojciec Maggio odchrząknął.

- Silvio...

- Dość pieprzenia - przerwał mu delia Torre. - Po co się spotkaliśmy?

Ojciec Maggio ukrył zaskoczenie pod płócienną serwetką, kilka razy delikatnie dotykając nią ust. Potem odłożył ją, wziął głęboki wdech i odchrząknął.

- Przyszedł... pojawił się w Watykanie ksiądz... wiejski księżulo... kilka tygodni temu... i opowiedział o pewnej rzeczy...

Della Torre skinął zachęcająco głową.

- Cóż... - dodał ojciec Maggio, wzruszając ramionami - czasem słyszę różne rzeczy, przeznaczone dla uszu kardynała... chyba że z góry się uzna, iż coś jest zbyt ważne, by usłyszał to ktokolwiek postronny. Ta sprawa nie wydawała się w pierwszej chwili istotna, zostałem więc w biurze, kiedy księżulo o tym opowiadał. A teraz... - ojciec Maggio zachichotał - teraz kardynał na pewno żałuje, że mnie nie odesłał.

- Więc tym razem chodzi o coś ważnego. Ojciec Maggio skinął głową.

- Bez najmniejszej wątpliwości. Della Torre milczał przez chwilę.

- Miało to miejsce „kilka tygodni temu”?

- Poza spekulacjami na temat nowego papieża od tamtego dnia prawie o niczym innym nie mówią.

- Dlaczego?

- Ponieważ musieli podjąć decyzję.

- No tak... I co postanowili?

- Nic. To znaczy: nic nie robić. Dlatego tu jestem. Della Torre dolał ojcu Maggio wina.

- Cóż, Donato... może powinieneś opowiedzieć mi tę historię. Ojciec Maggio zmarszczył czoło.

Pochylił się do przodu, oparł łokcie na stole, złożył dłonie czubkami palców i powiedział powoli:

- Zaczęło się od spowiedzi...

Kiedy skończył swoją relację, delia Torre siedział na skraju krzesła z wygasłym cygarem w dłoni. Polana w kominku trzaskała i sypała iskrami, poza tym panowała absolutna cisza.

- Dziękuję, że mi o tym opowiedziałeś - odezwał się w końcu delia Torre.

Ojciec Maggio wypił resztę wina i wstał.

- Muszę wracać. Della Torre skinął głową.

- Dziękuję ci, że *miałeś* odwagę przyjść z tym do mnie. Nie umieli podjąć decyzji, ponieważ nie ma o czym decydować. Można zrobić tylko jedno...

- Wiem - odparł Maggio. - Zabrakło im odwagi.

Della Torre wstał. Maggio wyciągnął ku niemu rękę i delia Torre ujął ją w obie dłonie, a potem powoli uniósł do ust i pocałował. Przez ułamek sekundy watykańskiemu księdzu wydało się, że poczuł na skórze jego język, ale natychmiast pomyślał, że to tylko gra wyobraźni.

- *Grazie* - powiedział delia Torre. - *Molto grazie*.

Część II

LISTOPAD

5Keswick Lane była jedną z ulic, o których ludzie mówią: „Tu nigdy nic się nie dzieje”. Wzdłuż uliczki, wijącej się przez świeżo powstałe osiedle w Burkę, przedmieściu Waszyngtonu, stały domy po czterysta tysięcy dolarów, a przy nich drogie samochody oraz najlepsze gazowe grille. Domy w Cobb’s Crossing, jak określano to osiedle, były zaprojektowane w stylu neokolonialnym. Każdy budynek był nieco inny - różniły się od siebie w kolorze albo detalach - jednak wszystkie pochodziły z tego samego rocznika: miały po sześć lat. Ale ponieważ zadbano o to, by zachować jak najwięcej

drzew, i poświęcono wiele trudu kształtowaniu terenu, cała okolica miała charakter miejsca starego i statecznego.

Jednak prawdę natychmiast zdradzał matowoczarny asfalt ulicy, wyginającej się na zachód i kończącej ślepo kilkaset metrów dalej. Było to idealne miejsce dla dzieci, które mogły się tu bezpiecznie bawić. Ale mieszkające przy Keswick Lane dzieci - z jednym jedynym wyjątkiem - były zbyt duże do zabaw na ulicy. Ze względu na cenę domów zamieszkujący je ludzie - głównie prawnicy, różni lobbyści i dyrektorzy firm - byli już w średnim wieku, nie mieli więc małych dzieci. Ich synowie i córki byli wszędzie, tylko nie na ulicy. Brali lekcje jazdy konnej albo trenowali karate, grali w piłkę nożną lub lacrosse, albo niszczyli demony na ekranach komputerowych monitorów.

Tak więc chodniki oraz sama Keswick Lane sprawiały wrażenie opustoszałych. Widok przechodniów - w każdym wieku - stanowił rzadkość.

Oczywiście pomijając ludzi z psami. Niemal w każdym do., przy tej ulicy był pies. W ciągu tygodnia ich właściciele zjawić się dość późno, co oznaczało, że zwierzaki cieszyły się jedynym prawdziwym spacerem dopiero wieczorem - obowiązkowym okrążeniem wokół schludnych działek Cobb's Crossing.

Drugiego listopada widać było jeszcze pozostałości po Halloween - pozapadane dynie na werandach, tu i ówdzie wiszący na drzwiach wejściowych szkielet z kartonu, a w niektórych oknach sztuczne pajęczyny. Zbliżała się północ i jak zwykle o tej porze wokół panowała cisza. Pewna kobieta, która właśnie wróciła z „Toski” w Kennedy Center, wyprowadziła na spacer swojego labradora imieniem Coffee.

Oboje zatrzymali się naprzeciwko domu o numerze dwieście siedem, po drugiej stronie ulicy, bo Coffee zaczął obwąchiwać słupek skrzynki na listy.

Nagle pies podniósł pysk i z jego gardła wydobył się basowy warkot. Nastroszył sierść na karku i postawił uszy. W tym momencie niebo przeszył jaskrawy błysk, zagrzecotało pękające szkło i przez panoramiczne okno po drugiej stronie ulicy wyleciał człowiek.

Palił się.

Płonący kształt wpadł w krzewy azalii, otoczony ognistą aureolą człowiek wstał, znów się przewrócił i zaczął tarzać się po trawniku. Pies na chodniku po drugiej stronie ulicy szarpał smycz i wył, ale jego pani stała nieruchomo w ciemności i patrzyła przed siebie. Najwyraźniej jej mózg nie przetwarzał tego, co widziały oczy; jej uwagę przykuwał nie płonący mężczyzna, a krata z okna, przez które wyrzuciła go eksplozja.

Było wykonane z jednej wielkiej tafli szkła, na którą nałożono drewnianą kratownicę, mającą imitować małe okienka. Część tej kratownicy przyczepiła się do ubrania mężczyzny i to właśnie ona przyciągnęła uwagę kobiety - wpatrywała się jak zahipnotyzowana w kawałek białej, osmalonej kraty, zgniatanej i pękającej wraz z każdym przetoczeniem się mężczyzny po trawie. Widok ten przypominał jej widziane kilka lat temu fajerwerki - w Meksyku, podczas wakacji - i paraliżowała ją niestosowność tego wspomnienia. Przez krótkie sekundy, które zdawały się ciągnąć w nieskończoność, opierała się szarpaniu psa - aż wreszcie mężczyzna potoczył się w kępę nadrzecznych brzoź, jeszcze kilka razy drgnął konwulsyjnie i zamarł.

Dopiero wtedy ocknęła się z transu. Puściła psa i ruszyła biegiem w stronę płonącego człowieka, zrywając po drodze kurtkę, by gasić nią płomienie. Jego głowa paliła się, brwi zniknęły. Kobieta upadła na kolana, przycisnęła kurtkę do twarzy mężczyzny i stłukła płomienie.

Nagle za jej plecami rozległ się głuchy grzmot. Pies zawył, gdy po trawniku przetoczyła się fala

gorąca i światła. Kiedy kobieta podniosła głowę, palily się już zasłony. Kilka sekund później cały dom stal w płomieniach.

Włoski na jej wełnianej kurtce zapalily się, więc odrzuciła ją na bok, wstała, podbiegła do sąsiedniego domu i załomotała w drzwi.

Otworzył jej mężczyzna w bokserkach, z butelką red doga w ręku.

- Dziewięć jeden jeden! - krzyknęła kobieta. - Niech pan dzwoni pod dziewięćset jedenaście!

Kiedy wróciła pod dom o numerze dwieście siedem - z kocami w rękach - na ulicy zebrał się już tłumek sąsiadów. Wielu z nich miało na sobie nocne stroje, na które zarzucili płaszcze. Mężczyzna na trawniku już się nie palił. Kilku mieszkańców osiedla - jeden boso, ubrany w same spodnie od pidzamy - przeniosło poparzonego w dół podjazdu, by znalazł się dalej od buchającego od palącego się domu gorąca. Kobieta przyłapała się na tym, że mówi:

- Właśnie wyprowadzałam Coffee... byłam akurat po drugiej stronie ulicy...

Paplała o nieistotnych rzeczach, nie mogąc się powstrzymać. Jako psycholog wiedziała, że jest to typowa reakcja na silny uraz. Dopiero kiedy popatrzyła w górę podjazdu i zobaczyła żółto-czerwony samochodzik marki Little Tykę, odstawiony przy drzwiach garażu, przypomniała sobie o ludziach mieszkających w tym domu. Była wśród nich kobieta... jak ona się nazywała? Karen? Kathy! - i śliczny chłopiec, jedyne małe dziecko w osiedlu, które podczas weekendów jeździło tym plastikowym samochodzikiem po podjeździe. Przyszedł pod jej drzwi w Halloween, przebrany za królika, z plastikową dynią w rękach. Dokładnie pamiętała tę scenę: chłopiec stał na werandzie, a matka za nim.

- Kim jesteś? - spytała, trzymając za plecami koszyk z cukierkami.

Chłopczyk jeszcze nie całkiem opanował wymowę „r”.

- Jestem wielkanocny klólik - powiedział ze skupieniem. Matka za jego plecami uśmiechnęła się.

Dlaczego wcześniej o nich nie pomyślała? Samochodzik zaczynał się już topić, plastik kurczył się od gorąca, pojawiały się na nim bąble. Czy byli w środku? - zastanawiała się gorączkowo.

- O mój Boże... o Boże... - wydyszała i ruszyła biegiem w stronę płonącego domu. Kiedy już prawie dotarła do frontowych schodów, ktoś złapał ją za ubranie i pociągnął do tyłu. Pies w dalszym ciągu był.

W izbie przyjęć oddziału nagłych wypadków szpitala Fair Oaks pielęgniarki właśnie szykowały się do cięcia ubrania mężczyzny. Jedna z nich jęknęła.

- Poliester - stwierdziła i pokręciła głową. Bawełna się pali, poliester topi, przylepiając się do skóry. Ofiara miała na sobie czarny golf i pielęgniarce wystarczyło jedno spojrzenie na zwęgloną, lepka paczkę wokół szyi, by wiedzieć, że jego usunięcie będzie bardzo trudne. Doszło do oparzeń trzeciego stopnia i zakażenie było niemal pewne. Nie skóra jednak była głównym problemem - prawdziwym problemem były płuca. Pacjent miał trudności z oddychaniem - wdychając gorące powietrze, prawdopodobnie poparzył tkankę płucną.

Nieco to potrwało, ale w końcu go ustabilizowano. Razem z kroplówkami, skapującymi przez tkwiące w żyłach rąk rurki, zawieziono mężczyznę na salę operacyjną i zaczęto przygotowywać do zabiegu. Najpierw miano zrobić tracheotomię i założyć rurkę do oddychania. Płuca były w bardzo złym stanie, a gardło było tak opuchnięte, że chory ledwie mógł wciągać powietrze. Tracheotomia usunie ten problem. Potem zaczną go „czyścić” - usuwać spaloną skórę i ciało oraz resztki ciała obcych, pozostawiając na wierzchu nagie, surowe mięso.

Anestezjolog właśnie myślał, że nie ma chyba boleśniejszych ran od poparzeń, kiedy pacjent

zacharczał, próbując coś powiedzieć. Straszliwe dźwięki wydobywające się z zaciśniętego gardła ledwie przypominały głos ludzki.

- Wcale nie wygląda jak Latynos - zauważyła jedna z pielęgniarek.

Stażysta, który miał akurat dyżur, stał trzymając obciążone rękawiczkami dłonie na wysokości barków - siostry żartobliwie określały tę pozycję „poddaję się”.

- On nie mówi po hiszpańsku - stwierdził. - To włoski.

- Co powiedział? Stażysta wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Nigdy nie zabrałem się poważnie do nauki tego języka. - Pochylił głowę i wsłuchiwał się przez chwilę w bełkotliwe dźwięki, wydobywające się z ust chorego. - Chyba się modli.

6

Kiedy poparzony mężczyzna leżał na stole operacyjnym, opanowano wreszcie pożar przy Keswick Lane i dwóch strażaków hrabstwa Fairfax szykowało się do wejścia do budynku w poszukiwaniu ewentualnych dalszych ofiar. Sąsiedzi poinformowali ich, że w domu mieszkały dwie osoby - właścicielka z trzyletnim synem. Nie miała męża, była samotną matką. Jej volvo stało w garażu.

Mimo listopadowego chłodu i późnej godziny tłumek gapiów wkrótce liczył ponad pięćdziesiąt osób. Wokół stały karetki, radiowozy, jednostki straży pożarnej i furgonetki telewizyjne. Na dachach samochodów migały światła - czerwone, pomarańczowe i niebieskie - co powodowało, że cała ulica zdawała się na przemian to zapalać, to gasnąć. Wszędzie wiły się węże strażackie, trawnik zamienił się w bagnisko.

Pośród tego chaosu uwijały się dwie ekipy telewizyjne i jedna radiowa, ciągnąc za sobą płatanię kabli i reflektory. Reporterzy pracowali po obu stronach ulicy, podstawiając mikrofony zarówno strażakom, jak i gapiom.

- Który dom jest pański?

- Właściwie to żaden. Wynajmuję mieszkanie w Hamlets. Usłyszałem o tej sprawie w radiu - w policyjnym radiu - więc przyjechałem.

Ogień był bardzo gwałtowny i nie należało się spodziewać, że ktokolwiek przeżył - z wyjątkiem poparzonego mężczyzny, którego eksplozja wyrzuciła przez okno.

Strażacy przeszukali zwęglone i nasączone wodą ruiny parteru, lecz bez efektu. Na piętro nie dało się wejść, bo schody groziły zawaleniem.

Po chwili pod dom podjechał tyłem wóz strażacki, dwóch młodych strażaków wsiadło do kosza, podniesiono ich do okna na piętrze i wybili szybę.

Obaj byli przekonani, że dalsze poszukiwania są bezcelowe. Nikt nie mógł przeżyć tego pożaru. Gdyby nawet ktoś uciekł przed płomieniami, wykończyłby go dym. Jeśli jednak schował się w łazience - na tyle przytomny, by obłożyć drzwi mokrymi ręcznikami - mógł ocaleć. Ogień jest nieprzewidywalny - zwykle bardzo szybko wysysa życie z człowieka, ale czasem zostawia go w spokoju. Z żywiołami nigdy nic nie wiadomo.

Młodszy ze strażaków wsunął przez okno głowę i ramiona do środka i postukał łomem w podłogę. Ponieważ nic nie wskazywało na to, że może się zawalić, wszedł do wnętrza, zostawiając kolegę w koszu podnośnika, gotowego do pomocy w razie potrzeby.

Znalazł dokładnie to, czego się spodziewał: dorosłą osobę i dziecko. Leżeli na łóżkach - a raczej

na tym, co z nich pozostało. Były to wspomnienia materacy, ułożone w prostokąt sprężyny i kawałeczki materiału. Ubrania ofiar były spalone, pozostały jedynie wtopione w skórę zwęglone fragmenty tkaniny. Obok dziecka leżały szklane oczy - jedyna pozostałość po pluszowej zabawce. Chłopiec i matka byli rozpoznawalni - ale gdyby wozy strażackie przybyły kilka minut później albo hydrant stał nieco dalej, oboje razem z domem zniknęliby niemal całkowicie. Pozostałby po nich jedynie popiół i okruchy kości - nic więcej.

Informowanie rodzin o śmierci ich bliskich należy do szeryfa i powinno się to robić natychmiast. Kiedy na drogim przedmieściu, takim jak Cobb's Crossing, płonie dom za czterysta tysięcy dolarów, a w pożarze giną ludzie, jest to wiadomość dnia i rozchodzi się bardzo szybko. Jednak ogień wybuchł już po zamknięciu ostatniego numeru „Post” i wiadomość o tragedii mogła zostać podana dopiero w porannych wiadomościach radiowych i telewizyjnych. Szeryf wykonał kilka telefonów i dowiedział się, że dom należał do Kathleen Annę Lassiter, która mieszkała w nim z synem. Według danych z ubezpieczenia najbliższą rodziną był brat, Joseph, zamieszkały w McLean.

W tej właśnie chwili Joe Lassiter śnił.

W swoim śnie stał na brzegu Potomacu, tuż nad Great Falls, i łowił bassy wielkogębowe. Wykonał zamach i żyłka zatoczyła łuk nad rzeką - idealną parabolę - a haczyk spadł dokładnie we właściwe miejsce. Kiedy tylko przynęta dotknęła wody, bass wziął i Joe zaczął go ściągać, kierując wędzisko ku niebu.

Nagle z jakiegoś powodu zaczął dzwonić telefon, co okropnie zdenerwowało Lassitera. Jakby nie wystarczyło, że te cholerne urządzenia rozdzwaniały się w połowie koncertów w Kennedy Center i w najlepszym momencie Dziewiątej Symfonii w Camden Yards - teraz jeszcze tu! Jakiś idiota przyniósł telefon nad rzekę! Jaki sens ma chodzenie na ryby, jeśli zabiera się ze sobą pieprzoną komórkę?!

Pociągnął wędziskiem delikatnie w prawo i wolną ręką pokręcił korbką kołowrotka. Z odległości dwóch metrów doleciał do niego jego własny głos: „Cześć, tu Joe Lassiter. Nie mogę w tej chwili podejść do telefonu, ale jeśli zostawisz wiadomość, oddzwonię”.

Rzeka, ryba, wędka, kołowrotek... Nagle wszystko zniknęło. Joe leżał w łóżku z zamkniętymi oczami, otoczony ciemnością, i czekał na wiadomość. Dzwoniący odłożył jednak słuchawkę. Ważniacy... - jęknął Joe i wcisnął głowę w poduszkę.

Chciał wrócić do swojego przerwane snu, ale wszystko zniknęło. Rzeka zniknęła, ryba zniknęła, pozostało jedynie gorzkie oburzenie na telefon. Telefon - duch. Jego telefon.

Znów zaterkotał dzwonek. Tym razem Joe odebrał.

- Co jest?!

Głos mężczyzny był profesjonalnie spokojny, rzeczowy i oficjalny. Jednak to, co mówił, nie było wcale rozsądne i tak naprawdę wcale nie dotarło do Joego przez najbliższe dziesięć minut - aż do momentu, gdy znalazł się w samochodzie, jadąc przez nocne Fairfax. Był pożar. Nie dokonano jednoznacznej identyfikacji, ale ciała...

NIE, pomyślał Joe. NIE.

...ciała odpowiadają temu...

ODPOWIADAJĄ?

...co wiemy o mieszkańcach domu. Opisowi pańskiej siostry...

Kathleen...

...i jej syna...

Brandon. Mały Brandon.

Droga biegła wzdłuż Potomacu, niedaleko miejsca, gdzie łowił we śnie. Po drugiej stronie rzeki, za budynkami Georgetown University, niebo już się rozjaśniało.

Jego siostra i siostrzeniec nie żyli. Mężczyzna powiedział, że miały miejsce dwa wypadki śmiertelne. Joe Lassiter zaciskał zęby, aż pulsowało mu w głowie. Kathy. Po raz pierwszy w swoim posranym życiu była naprawdę szczęśliwa. Ustabilizowana. SPOKOJNA. Mimo wszystkich znaków na niebie i ziemi, które przemawiały przeciwko temu, okazała się wspaniałą matką. A chłopak..

Mignęła mu przed oczami buzia Brandona. Potrząsnął głową, chcąc pozbyć się tego obrazu. Otworzył okno, by poczuć zimne powietrze na twarzy. W Rosslyn - Kennedy Center było po przeciwnej stronie rzeki - wjechał na Sześćdziesiątą Szóstą. Z przeciwka jechało już sporo samochodów.

Jak mogło dojść do tego pożaru? Dom był prawie nowy, bezpieczna kuchenka, właściwie podłączone kable, trzystopniowe ogrzewanie - wszystko było tip-top. Osobiście wszystko sprawdził. Wszędzie umieszczono czujniki dymu, wykrywacze tlenu węgla i tryskacze. Kiedy Kathleen została matką, bezpieczeństwo stało się dla niej bardzo ważne.

Ale nie powinien myśleć o domu. Powinien myśleć o siostrze. Robił z tej tragedii abstrakcję, myślał o niej nie jak brat ofiary, a jak detektyw. Może „wypierał” świadomość śmierci siostry, ale coś w nim nie chciało uwierzyć, że Kathy nie żyje. Już sam fakt przekazania tej informacji przez telefon czynił sprawę nierealną. Nie mógł uwierzyć, że dom spłonął - a jeśli nie spłonął, Kathy nie mogła nie żyć. I Brandon nie mógł nie żyć.

Jak to możliwe, że nie wybiegli na zewnątrz?

Człowiek przy telefonie nie przekazał żadnych szczegółów. Joe musiał dowiedzieć się czegoś więcej. Chciał wiedzieć wszystko, choć zdawał sobie sprawę z tego, że to już nieistotne. Wduślił mocno pedał gazu. Wypadki śmiertelne... Tym razem nie uratuje siostry.

Zamierzał jechać do kostnicy w siedzibie hrabstwa, ale w pewnym momencie stwierdził, że jedzie w kierunku domu Kathy, sterowany niczym automat. Kilka skrzyżowań przed Cobb's Crossing poczuł w powietrzu gryzący zapach. W głębi jego duszy tliła się jednak iskierka nadziei, na przekór wszystkiemu. Pewnie to jakaś pomyłka: zły adres, zbieżność nazwisk.

Oświetlany reflektorami wozów strażackich, podjechał do krawężnika i zgasił silnik. Resztę drogi przeszedł.

Wiedział, że zaczęto już śledztwo, mające wyjaśnić przyczynę pożaru - było to rutynowe działanie. Zawsze próbuje się ustalić przyczynę, bo ma ona znaczące implikacje prawne i finansowe. Czy powodem był papieros? Popsuty bojler? Nieodpowiedni komin?

Przed domem stało sześć samochodów, które Joe obejrzał niby mimochodem, ale uważnie: radiowóz, dwa nieoznakowane auta policyjne z kogutami na dachach, dwie jednostki straży pożarnej i brązowe camry, prawdopodobnie należące do inspektora towarzystwa ubezpieczeniowego. Mundurowy policjant rozwijał żółtą taśmę, której koniec zamocował na słupie w rogu podjazdu. Było na niej napisane:

OGRANICZENIE POLICYJNE - NIE PRZEKRACZAĆ

Unoszący się w powietrzu zapach był bardzo intensywny - mieszanka spalonego drewna i stopionego plastiku - najbardziej jednak uderzył Joego widok samego domu. Budynek był martwy i po raz pierwszy od telefonu dotarło do niego znaczenie słów ze słuchawki. WYPADKI ŚMIERTELNE. Jego siostra nie żyła, siostrzeniec również nie żył. Dom - otoczona przerytym oponami trawnikiem platanina zwęglonego drewna i czarnego metalu - wciąż jeszcze się dymił. W

oknach brakowało szyb i wyglądały jak oczy trupa. Przez dziury wyzierało strawione przez ogień wnętrze. Joe odwrócił się i podszedł do policjanta, mocującego żółtą taśmę.

- Co się stało?

Gliniarz był młody, rudy, piegowaty i błękitnooki. Popatrzył na Lassitera z drwiącym uśmiechem i wzruszył ramionami.

- Ogień.

Lassiter miał ochotę trzasnąć go w pysk, ale zamiast tego wziął głęboki wdech. Kiedy wydychał powietrze, w chłodzie poranka zamieniło się w obłoczek pary, przypominającej dym.

- Co było przyczyną pożaru?

Gliniarz przyjrzał mu się, jakby chciał zapamiętać jego twarz. W końcu skinął głową w kierunku wozów strażackich.

- Mówią, że to podpalenie.

Joe był zaskoczony. Spodziewał się czego innego. Może pożaru od papierosa... Kathy w dalszym ciągu paliła, oczywiście nigdy przy dziecku, ale paliła. Papierosa by się spodziewał. Może także awarii grzejnika albo... nie, grzejnika nie, nie w tym domu, nie przy tym systemie ogrzewania. Już raczej spięcia. Papierosa lub spięcia w jakimś urządzeniu...

- Słucham...? - zapytał z niedowierzaniem. Młody policjant przyjrzał mu się uważnie.

- Kim pan jest?

Umysł Lassitera pracował gorączkowo. Rozumiał, że małego robi, co do niego należy, musiano go bowiem poinstruować w czasie szkolenia, że podpalacze często wracają na miejsce przestępstwa. Powinien był się domyślić, obecność policyjnych wozów powinna go od razu oświecić. Kiedy podejrzewa się podpalenie, pożar zazwyczaj staje się miejscem zbrodni. A jeśli doszło do ofiar - staje się sprawą o morderstwo.

- Dlaczego ktoś miałby chcieć spalić dom Kathy? - spytał głośno.

7

- Hej, Joe! Co tu robisz?

Lassiter odwrócił się i zobaczył uśmiechającego się do niego człowieka o rumianej twarzy.

- Jestem Jim Riordan, detektyw, pamiętasz mnie?

- Pamiętam.

- Co tu robisz? - zapytał Riordan. Za nim stała grupka ludzi, trzech mężczyzn i kobieta, przyglądających się Lassiterowi z ciekawością.

- To dom mojej siostry.

Uśmiech zniknął z twarzy Riordana. Pociągnął się za ucho i pokręcił głową.

- Boże drogi, Joe... przykro mi. Nie wiedziałem.

Lassiter siedział naprzeciwko detektywa w jego boksie na komendzie głównej i czekał, aż policjant skończy rozmowę przez telefon. Kiedy widzieli się ostatnim razem, to Riordan siedział w gabinecie Joego z niezbyt wyraźną miną. Miał na sobie garnitur, który z pewnością pamiętał lepsze czasy i sprawiał wrażenie o numer za małego.

- Został mi jeszcze rok i odchodzę z policji - mówił wtedy, pochylając się do przodu. - Co wtedy? Mam siedzieć cały dzień na dupie? Nie zamierzam. Pomyślałem więc sobie, że może zacznę się rozglądać, pomacam trochę, zobaczę, czy dałoby się gdzieś zahaczyć. Dlatego tu jestem.

Podobne rozmowy Lassiter prowadził raz albo dwa razy w tygodniu - jeśli nie z gliną, to z kimś z

FBI, DEA, Pentagonu albo Langley. Wszyscy chcieli dostać robotę, a przy ich zawodzie agencja detektywistyczna była najlogicznym miejscem. Ale kiedy detektyw powiedział, wychodząc: „Co mi tam! Nie wyjdzie? Nie ma sprawy - piszę scenariusz!” - Joe pomyślał, że może by mu się nadał. Gliniarze, którzy umieją pisać, są taką samą rzadkością jak lamparty śnieżne, a firma Lassiter Associates zawsze poszukiwała detektywów, umiejących sporządzać raporty nadające się do wysyłania klientom, których większość stanowili prawnicy i maklerzy giełdowi. Dlatego dla firmy pracowało tylu dziennikarzy. Jeśli Riordan rzeczywiście umiał pisać, może znalazłoby się dla niego miejsce.

- To twoje dupsko! - wrzasnął Riordan do telefonu. Nieskrywana nienawiść w jego głosie przywróciła Lassitera do rzeczywistości. Detektyw walnął słuchawką, popatrzył na Joego i wzruszył ramionami. - Przepraszam - mruknął i zaczął szukać czegoś w biurku. Kiedy znalazł potrzebny dokument, pchnął go przez biurko w stronę Joego. - Nie ma wątpliwości, to podpalenie. Wiele punktów zapalnych, pozostałości przyspieszaczy... wszystko pasuje.

Lassiter popatrzył na wstępny raport inspektora straży pożarnej, zawierający szkic obu poziomów domu. W siedmiu miejscach postawiono krzyżyki, w tym również w obu sypialniach. Joe wiedział, że naturalny ogień niemal zawsze rozprzestrzenia się z jednego źródła. Spojrzał na Riordana.

- To jeszcze nie wszystko... - Detektyw zabębnił palcami w biurko. - Odkrecono gaz, nie tylko w kuchni. W piwnicy też. Majstrowano również przy bojlerze. Strażacy uważają, że gdyby przyjechali pięć minut później, dom pofrunąłby jak rakieta. Nic by z niego nie zostało. Lassiter zmarszczył czoło.

- Więc chcesz powiedzieć, że...

- Chcę powiedzieć, że bez względu na to, kto to był, nie działał zbyt delikatnie. Podpalenie jest ewidentne i tego, co podłożył ogień, nie interesowało, że można to będzie ustalić. To jak... - Riordan zmarszczył brwi. - Nie wiem, jak to nazwać. Coś jak metoda „spalonej ziemi”. Jakby chcieli zostawić po sobie popiół i nic więcej. - Detektyw pochylił się przez biurko w stronę Joego i otworzył usta, zamierzając coś jeszcze dodać, ale zmienił zdanie. Pokręcił z wahaniem głową, na jego twarzy pojawił się wyraz cierpienia. - Nie powinienem ci tego wszystkiego mówić, ale ciągle się zapominam - powiedział w końcu. - Nie wolno ci tego badać, jesteś najbliższą rodziną.

- Jasne, oczywiście - odparł Joe, starając się zachować obojętność. - Pewnie uważasz, że ktoś może spróbować zniszczyć dowody. I chciałbyś wiedzieć: dowody czego? Myślisz sobie: w co jego siostra...

Riordan przerwał mu:

- Myślę, że najlepiej będzie, jeśli zabiorę cię do kostnicy. Zostawię cię tam, żebyś mógł dokonać identyfikacji. Zanim zaczniemy rozmawiać o twojej siostrze, upewnijmy się, że to na pewno ona.

Szli do drzwi, kiedy zadzwonił telefon. Riordan przez chwilę się wahał, wrócił jednak i podniósł słuchawkę.

- Co jest? - spytał, jednocześnie wkładając płaszcz. Słuchał przez parę sekund, a potem rzucił okiem na Lassitera. - Boże przenajświętszy... Tak, jasne, oczywiście - powiedział i rozłączył się.

Kiedy szli do wyjścia, wyjął z paczki papierosa i zapalił go.

- O co chodziło? - spytał Lassiter. Riordan wydmuchnął dym.

- Z czym?

- Z tym telefonem.

Riordan nie odpowiedział, pokręcił jedynie głową, jakby chciał powiedzieć: „Nieważne”.

Dziesięć minut później podjechali pod siedzibę władz hrabstwa. Lassiter odpiął pas i zaczął

wysiadać, ale detektyw zatrzymał go.

- Posłuchaj, Joe - odezwał się nieswoim głosem. - Muszę ci coś powiedzieć. Tutaj. - Odchrząknął. - Chyba zgadzasz się, że lekarz nie powinien operować własnego dziecka?

- Że co?

- Chirurg nie powinien operować swojego dziecka, adwokat nie powinien sam się bronić, a ty... powinieneś zostawić tę sprawę mnie.

- Będę miał to na względzie. Riordan plasnął dłońmi w kierownicę.

- Wiem, że mówię do ściany, ale... - Popatrzył na zegarek. - Widywałem to nieraz, no wiesz... byłych gliniarzy, szpiegów, inspektorów wojskowych, ludzi z doświadczeniem. Jeśli brali coś, co dotyczyło ich osobiście, często kończyło się to katastrofą. Nie dość, że rozgrzebywali własne rany, to jeszcze pieprzyli robotę...

Kiedy Lassiter nic na to nie odpowiedział, detektyw ciężko westchnął i oświadczył:

- Poprosiłem kogoś, by przyprowadził tu twój samochód. Chcę, żebyś po identyfikacji zwłok wrócił do domu. Zadzwoń potem do ciebie.

Joe Lassiter czuł się bardzo dziwnie - jakby działał poza własnym ciałem, jakby był obserwowaną siebie samego kamerą. Nie czuł nic... albo bardzo niewiele. Po prostu był tu, przyszedł do kostnicy zidentyfikować ciało. Widział sam siebie, jak wchodzi do budynku, a potem do poczekalni - nijakiego pomieszczenia z kiczowatymi morskimi krajobrazami na ścianach. Zamienił kilka słów z kobietą w białym kitlu i identyfikatorem z napisem: BEASLEY. Wpisała jego nazwisko do dużej zielonej księgi i zaprowadziła do zimnego pomieszczenia, gdzie trzymano ciała w ściennych szufladach, przypominających kształtem trumny.

Ale nawet gdy już zidentyfikował Kathy, a potem Brandona, nadal nic nie czuł. Wszystko to odbywało się jakby poza nim - jakby poruszał kukielką reprezentującą Joego Lassitera, a prawdziwy Joe Lassiter jedynie się temu przyglądał.

Jasne włosy siostry przypominały czarną, ściśle przylegającą do czaszki skorupę. Wargi miała rozchylone, błękitne oczy wpatrywały się w jaskrawe światło świetlówek. Brwi i powieki Kathy były spalone, co nadawało jej twarzy tępy, głupkowaty wygląd. Z Brandonem było jeszcze gorzej - cała skóra zwęgliła się i popękała.

Joe wiele razy widywał martwych ludzi, a Kathy i Brandon również byli martwi - martwi jak lalki, martwi, jakby nigdy nie żyli. Kobieta w białym kitlu - Beasley - przyjęła sztywną, obronną postawę, jakby czekała, że Joe zacznie szaleć z rozpacz, jakby szykowała się na przyjęcie na siebie fali jego emocji. Jednak kukielka udająca Joego Lassitera kiwnęła tylko głową i spokojnym głosem potwierdziła tożsamość ofiar. Ramiona kobiety rozluźniły się i zapisała coś w formularzu. Joe wyraźnie słyszał skrobanie pisaka, przebijające się przez buczenie agregatów lodówek. Podpisał formularz bez czytania i wyszedł.

Na korytarzu kobieta ostrożnie położyła mu dłoń na ramieniu. Nie czuł dotyku jej ręki, ale zobaczył dotykające jego rękawa palce.

- Miałby pan ochotę usiąść? Dać panu szklanek wody? zapytała.

- Nie, wszystko w porządku. Chciałbym tylko zobaczyć się z patologiem.

Popatrzyła na niego zmartwiona.

- Hramm... Nie jest to...

- Tom jest moim przyjacielem.

- Zadzwoń i spytam - odparła i chwyciła za słuchawkę. - Może być w trakcie sek... może być

akurat zajęty.

W poczekalni dwójka latynoskich dzieciaków siedziała na pomarańczowej plastikowej kanapie. Tuż obok siedział policjant, a kiedy wywołano ich nazwisko, dzieciaki o mało nie wyskoczyły przez sufit. Lassiter wpatrywał się w jeden z landszaftów na ścianie - przedstawiał brzeg w czasie sztormu, fale morskie łamały się na szarych skałach.

Zza jego pleców doleciało śpiewne: „Okej-ej” i kiedy się odwrócił, zobaczył, że kobieta odkłada słuchawkę.

- Pójdzie pan korytarzem do końca i...

- Znam drogę - odparł.

Tom Truong podniósł wzrok znad biurka i wstał.

- Dżo! - zawołał i wyciągnął przed siebie szczupłą dłoń, lekko pachnącą formaliną. Zdawał się równocześnie uśmiechać i marszczyć czoło. - Coś zrobić dla ciebie? Prowadzisz sprawę?

Znajomość Lassitera z patologiem miała dość nietypowy przebieg. Jeszcze dwa lata temu - do czasu, aż Joe rozwalił sobie kolano - grali razem w piłkę w drużynie trzydziestolatków. Truong, choć drobnej budowy, był pełnym werwy obrońcą, miał ostre jak noże łokcie i tak się lepił przy blokowaniu, że przeciwnik padał jak ścięty kosą. Grali przez kilka lat, zanim po raz pierwszy zgadali się na temat swych zawodów - było to w knajpie o nazwie „Whitey's”, gdzie opróżniali dzbanek piwa z okazji uzyskania mistrzostwa. Potem Lassiter okazjonalnie zatrudniał swojego kolegę z boiska jako konsultanta i rzeczoznawcę. Truong był skrupulatnym i utalentowanym patologiem i - mimo kiepskiego angielskiego - znakomitym świadkiem. Sędziowie uwielbiali go.

- Nie chodzi o sprawę. Chodzi o moją siostrę. - Lassiter uniósł podbródek. - Jest tam. Z moim siostrzeńcem.

Truong albo sądził, że Joe żartuje, albo nie zrozumiał, bo spytał z podejrzliwą miną:

- Co mówisz, Dżo? Żartujesz sobie ze mnie, tak?

- Nie. Chodzi o to podpalenie. Uśmiech Truonga zniknął.

- Las-sit-ter... no tak - szepnął pod nosem. - Och, Dżo. Bardzo przykro. Tak przykro mi.

- Zrobiłeś sekcję?

Truong z powagą kiwnął głową.

- Dżimmy kazał specjalnie się spieszyć. Przez podpalenie. - Westchnął. - Twoja siostra.

Dzieciak. - Zmrużył oczy. - No, nie ogień ich zabił.

Lassiter kiwnął głową, ale dopiero po chwili pojął, co usłyszał.

- Co?!

Wielka głowa Truonga kiwała się na chudej szyi.

- W płucach bez cząstek dymu. Żaden tlenek węgla w krwi. Już to mówi, ofiary zmarły przedtem.

To nie tylko. Dodatkowe dowody. Widziałeś ciała?

- Tak. Identyfikowałem je. Po to przyjechałem.

- Patrzyłeś ciała czy twarze?

- Twarze.

- Patrzysz na ciała, oba ciała, widzisz, skóra pokryta... jak drobne cięcia. Normalne, jeśli ludzie w ogniu, rozumiesz. Skóra zawsze pęka! Płyn z ciała puchnie w gorącu: skóra się nie rozciąga i pęka wszędzie... wypuszcza ciśnienie. Ale tutaj, dorosła kobieta, twoja siostra, ma małe cięcia na obu rękach i są inne, nie tylko tam. Ciało też pocięte. Na pewno rany od obrony, rozumiesz? Zobaczyłem je, zacząłem szukać dalej... i znalazłem, dlaczego szukałem. Twoja siostra dziabnięta w klatkę

piersiową. To przyczyna śmierci: zastawka aorty. Pocięta! Mały chłopiec... - Truong pochylił się do przodu, niemal kładąc się na biurku. - Gardło całe poderżnięte. Ucho do ucha. - Patolog opadł na krzesło, jakby ten wywód go zmęczył. Wyrzucił w górę ręce, a potem opuścił je, poruszając dłońmi, jakby pokazywał opadające liście. - Dżo. W chłopiec nie było krwi. Nie żył. Może godzina, dopiero potem ogień!

Lassiter gapił się na niego bez słowa.

- Co z facet? - spytał Truong. - Mąż?

- Z jakim facetem?

- Słyszałem o trzeci człowiek w domu twoja siostra. Wypadł z okno, od wybuchu. Jeśli twoja siostra umarła tak, myślałem, może on... - Patolog wzruszył ramionami.

- Gdzie on jest?

- Oddział poparzenia.

- W którym szpitalu?

Truong znów wzruszył ramionami.

- Może Fair Oaks. Może Fairfax.

8

Godzinę później Lassiter odnalazł Riordana - detektyw urzędował za cudzym biurkiem, w jednym z gabinetów lekarskich szpitala Fair Oaks. Kiedy pielęgniarka wpuściła Joego, Riordan odwrócił się i zeszywniał, jakby chciał coś schować za plecami. Nie wyglądał na szczęśliwego.

- Nie chcesz słuchać, co? - burknął.

- Nie powiedziałaś mi, że macie podejrzanego.

- Nie był podejrzanym, dopóki nie dostaliśmy raportu patologa - odparł defensywnie Riordan. - Do tej chwili był tylko kolejną ofiarą.

- Jakiś facet wylatuje z frontowego okna domu mojej siostry - paląc się! - dwie osoby nie żyją, a ty nawet mi o tym nie wspominasz?! Bo uważasz, że jest ofiarą?!

- Był ofiarą! Spalił się niemal na węgiel.

- Jasne. To oznacza tylko, że jest niekompetentny. Kto to?

- NN.

- Co to znaczy „NN”?

- Kiedy przyjmowali go do szpitala, nie recytował głośno swojego nazwiska, stopnia i numeru.

Nie miał też przy sobie żadnego dokumentu, który pozwoliłby nam ustalić jego tożsamość.

Lassiter przez chwilę milczał, po czym zapytał:

- Kluczyki do samochodu...?

- Nie. Nie miał żadnych kluczy ani pieniędzy. Gówno przy nim znaleźliśmy.

- Więc co? Zrzucono go na spadochronie?

- Daj spokój...

- Sprawdziłeś samochody?

- Jakie samochody?

- Samochody zaparkowane w okolicy! Sprawdziłeś je? Riordan milczał przez chwilę, po czym

odpowiedział:

- Hmra... są sprawdzane.

- Dopiero teraz? To przecież... - Lassiter nagle poczuł się zmęczony. Wystarczyło dokonać

prostego obliczenia w pamięci, by mieć dość. Sąsiedzi zadzwonili pod dziewięćset jedenaście około północy, teraz dochodziła druga po południu. Minęło czternaście godzin i nikt nie wpadł na pomysł, by obejść okolicę i pospisywać numery rejestracyjne samochodów. Jeśli NN nie pracował sam, było po ptakach.

- Nie mamy też ubrania - dodał Riordan. - Było zakrwawione, musieli je pociąć i pielęgniarki się go pozbyły. Ze względu na zagrożenie epidemiologiczne. Próbowałem szukać, ale zniknęło jak kamień w wodę. Jedyne, co nam pozostaje, to czekać, aż lekarze pozwolą nam z nim rozmawiać. Kiedy to nastąpi, zadam mu te same pytania, które i ty byś zadał, i zbiorę odciski palców. Sprawdzimy je i jeśli dopisze nam szczęście, dowiemy się, co to za jeden. Może więc pójdziesz do domu i dasz mi spokojnie popracować?

- Co masz?

- Gdzie?

- Za sobą. Co tam chowasz?

Riordan westchnął, popatrzył w sufit i odsunął się na bok, by Lassiter mógł zobaczyć, co leży na biurku. Była to taca, na jakiej pielęgniarki roznoszą leki. Leżały na niej dwa przedmioty. Jednym był nóż z mniej więcej piętnastocentymetrową klingą. Duży myśliwski nóż, jakim oprawia się w lesie jelenia. Lassiter przyjrzał mu się dokładniej. Nie był to nóż myśliwski, lecz wojskowy.

- K-Bar - powiedział Riordan.

- Co?

- Nóż model K-Bar - wyjaśnił Riordan. - Komandoski sprzęt. Widuje się takie w Quantico, w Bragg... i innych tego typu miejscach.

- Może więc ten facet był żołnierzem? Riordan wzruszył ramionami.

- Może. Istotne jest jednak to, że przyszedł z nożem. Nie chodziło o włamanie, podczas którego dochodzi do szarpaniny w kuchni i ktoś łapie nóż... gość wszedł do domu z bojowym sprzętem. To nie zabawka ani narzędzie do krojenia chleba...

- Chcesz powiedzieć, że morderstwa zostały dokonane z premedytacją?

- Tak. Ten facet dokładnie wiedział, co robi.

Lassiter ponownie przyjrzał się nożowi. W miejscu, gdzie ostrze wchodziło w rękojeść, było kilka brązowych plam. Wyglądały jak zaschnięta krew. Było tam też kilka przyklejonych włosów. Pasma delikatnych blond włosów. Włosów dziecka. Włosów Brandona. W głębi głowy Lassitera zadudniły słowa Toma Truonga: „W chłopiec nie było krwi”.

Drugim przedmiotem na tacy była butelka. Niewielka, miała rozmiary mniej więcej takie, jak miniaturki markowych alkoholi. Wyglądała jednak niecodziennie: grube szkło robiło wrażenie bardzo starego. Zatyczkę z ciemnego metalu ukształtowano w koronę, zwieńczoną maleńkim krzyżem. W butelce był centymetr przezroczystego płynu.

- Pielęgniarki i sanitariusze oczywiście musieli to obmacać - mruknął Riordan. - Możesz mi pomóc? - Podał Lassiterowi niewielką przezroczystą torebkę z naklejką, na której był napis:

NN

Nr ks. gł. - 3601

02.11.1995.

Lassiter otworzył torebkę, a Riordan, posługując się ołówkiem, by nie dotknąć dowodów, ostrożnie wsunął je do niej.

- Gdzie on teraz jest?

Riordan nie odpowiedział na to pytanie.

- Kiedy wrócę do siebie, wprowadzę to do księgi dowodów - oświadczył. - Zdejmiemy wszelkie możliwe odciski, porównamy z odciskami pielęgniarek i sanitariuszy, po czym przepuścimy je przez komputer Biura. Potem spróbuję dowiedzieć się czegoś o tej butelce. Zbadamy jej zawartość i przysiądziemy fałdów, by zebrać jak najwięcej informacji o nożu. - Przerwał na chwilę, a potem dodał: - I jeszcze jedno: twoja siostra próbowała się bronić... Patolog znalazł skrawki skóry i krew pod paznokciami jej prawej ręki. Zlecę badanie DNA i zobaczymy, co wykaże. - Znow na chwilę przerwał. - Może więc byłbyś uprzejmy iść do domu... - dodał.

Lassiter wyszedł za nim na zewnątrz. Detektyw niósł torebkę z dowodami przed sobą, trzymając ją dwoma palcami. W pewnej chwili zatrzymał się i objął Joego wolną ręką.

- Wiesz, nie powinienem w ogóle z tobą rozmawiać... Ani pokazywać ci dowodów. Rozumiesz... - Wbił wzrok we własne buty. - Chcę przez to powiedzieć, że formalnie... jesteś podejrzany.

- Naprawdę?

- Naprawdę.

- O czym ty gadasz, Jim? Detektyw wzruszył ramionami.

- A jeśli siostra zostawiła ci wszystkie pieniądze? Jeśli okaże się, że jej nienawidziłeś? Kto wie?

- To przecież bzdura.

- Jasne, że bzdura - przyznał Riordan. - Ale chciałbym, żebyś wiedział, jak to w tej chwili może wyglądać. Wciąż dostajemy okólniki. Bez przerwy mamy zebrania. I wciąż zadręczają nas „wrażeniem nieprzepisowości”.

- Boicie się nieprzepisowości?

- Nie! Chodzi o WRAŻENIE nieprzepisowości. To co innego. Nie musisz zrobić nic złego. Wystarczy, by to, co zrobisz, źle wyglądało - na przykład tak oceniono by pokazywanie ci tych wynalazków... - Riordan kiwnięciem głowy wskazał przedmioty w torebce. - Mogłoby to zostać nieodpowiednio zinterpretowane.

Lassiter pokręcił głową, ale nic nie powiedział. Był zbyt wypalony wewnątrz, by się irytować. Poza tym Riordan nie miał nic złego na myśli. I w dodatku - przynajmniej formalnie - miał rację.

- W każdym razie - kontynuował detektyw - musisz zadzwonić do kilku osób. Prasa rzuciła się na to i kiedy się dowie, że ogień to nie wszystko...

To zdroworoządkowe stwierdzenie Riordana był jak chluśnięcie zimną wodą. Lassiter zrozumiał, że tkwi w ciemnym tunelu, a jego umysł, próbując zrozumieć to, co się zdarzyło, krąży w kółko. Zupełnie zapomniał o zwykłym w takich sytuacjach obowiązku „obdzwonienia bliskich”. Nagle jego myśli zaprzątnęła perspektywa zajęcia się praktycznymi rzeczami, koniecznymi w przypadku śmierci w rodzinie. Riordan miał rację. Oczywiście, że musi zadzwonić do różnych ludzi. Kathy była jedynym członkiem jego najbliższej rodziny, bo ich rodzice nie żyli, ale pozostawał jeszcze były mąż Kathy, przyjaciele, koledzy z pracy w rozgłośni. A także ciotka Lillian. No i był jeszcze Brandon. Nie miał ojca, ale miał chrzestnych. Trzeba było zadzwonić do wielu ludzi, którzy nie powinni dowiedzieć się o tragedii z telewizji albo gazety. Z każdym krokiem w głowie Joego wydłużała się lista spraw do załatwienia. Będzie musiał zorganizować pogrzeb. Wybrać trumny i nagrobki. Załatwić kwaterę na cmentarzu.

Było tyle do zrobienia, ale nie mógł przestać myśleć o Brandonie - o nożu, krwi i włosach. Dlaczego ktoś chciał - jak ktokolwiek mógł chcieć - poderznąć gardło trzylatkowi?

- Porozmawiam z Tommym Truongiem - odezwał się detektyw. - Spytam, kiedy będzie mógł wydać ciała i...

- W jakim on jest stanie?

- Kto?

Lassiter popatrzył na Riordana bez słowa.

- Masz na myśli pana NN? W poważnym, ale stabilnym. Mówią, że będzie żył. Cieszysz się?

- Jasne.

- Ja też.

Kiedy Lassiter odchodził, Riordan spoglądał za nim, dopóki nie zniknął za rogiem. Lassiter był wielkim chłopem, wysokim i barczystym, atletycznie zbudowanym. I irytującym. Nawet dziś, nawet tutaj zachowywał się, jakby to miejsce do niego należało.

Przez chwilę Riordan zastanawiał się, czy ze względu na swoje powiązania z Lassiterem nie powinien zrezygnować z tej sprawy. Oddać ją. Byłoby to jednak gówniarskie podejście, bo przecież wszyscy wiedzieli, że jest najlepszym pieprzonym detektywem wydziału zabójstw. Poza tym nie chciał oddawać nikomu tej sprawy tylko dlatego, że mogła mu zamknąć widoki na robotę w przyszłości.

No tak... Wyglądało na to, że z Lassiterem będą problemy. Jednak będzie go musiał traktować jak każdego innego, a jeśli straci przez to szansę na zatrudnienie w jego firmie... Cóż, tak czasami bywa.

Sama sprawa nie była wcale skomplikowana. Mieli podejrzanego i narzędzie zbrodni. Zdobędą jeszcze więcej dowodów - co do tego Riordan nie miał najmniejszej wątpliwości. Fakty zawsze się w jakiś sposób uzupełniają, zazębiają. Pojawiają się świadkowie. Nawet gdyby w tym przypadku miało być inaczej, prokurator lada dzień postawi oskarżenie. Nie znali nazwiska sprawcy ani jego motywu, ale nie miało to znaczenia, bo mogli udowodnić czyn. Anonimowego sprawcę, mordującego ludzi z powodów, których nikt nie pojmował, również można było wsadzić do więzienia.

Poza tym może dopisze im szczęście. Może pan NN był marionetką. Może dostał zlecenie. Może gra szła o polisę ubezpieczeniową. Istniał przecież były mąż. Może był też kochanek.

Riordan miał nadzieję, że rozwiązanie okaże się dość proste - inaczej Lassiter usiadłby mu na karku i zacznie go popędzać: zrób to, zrób tamto, sprawdź to, przyjrzyj się tamtemu. Zresztą gdyby to jego siostrę i siostrzeńca zabito, a byłby jak Lassiter właścicielem dużej agencji detektywistycznej, natychmiast rozpocząłby własne śledztwo.

Gość miał z tuzin ludzi, których mógł przydzielić do sprawy. Ba - kilka tuzinów! W Lassiter Associates siedzieli chłopcy pracujący dla FBI, DEA, CIA, „Washington Post” i Bóg wie jeszcze kogo. Joe mógł skierować do sprawy więcej ludzi niż Riordan, na dodatek znacznie lepszych niż ci, którymi dysponowało hrabstwo. Poza tym mógł wydać więcej pieniędzy. Oznaczało to, że Jimmy Riordan będzie przesłuchiwał świadków, których Joe Lassiter już przemaglował. Będzie odkrywał powiązania, które Lassiter odkrył kilka dni przed nim, i szedł za tropami, które Lassiter prześledził *ad nauseam* - będzie więc musiał dreptać wydeptanymi ścieżkami.

Już samo myślenie o takiej perspektywie sprawiało, że miał dość. A był naprawdę zmęczony - wyrwano go ze snu w połowie nocy i od tej chwili nie miał ani chwili odpoczynku. Większość czasu spędził na nogach i teraz bolały go jak cholera. Zużył cały zapas adrenaliny i w głowie zaczynała mu się zalegać pajęczyna. Potrzebował filiżanki kawy, ale najpierw musiał zadzwonić do wydziału.

Lassiter miał bowiem stuprocentową rację co do jednego: należało poszukać samochodu pana NN. Riordan musiał wysłać radiowóz, który na Keswick Lane i w okolicy pospisuje numery z tablic

rejestracyjnych. Potem trzeba je będzie przepuścić przez komputer wydziału komunikacji i gdyby się okazało, że jest wśród nich numer jakiegoś samochodu spoza osiedla, zacząć obchodzić domy w poszukiwaniu właściciela. Gdyby się nie znalazł, trzeba założyć na samochód blokadę i dalej szukać właściciela. Jeśli nie będzie go w domu - muszą dowiedzieć się, gdzie pracuje i tam zasięgnąć języka. A co z samochodami z wypożyczalni? Na nie będą zakładać blokady od razu.

Riordan zadzwonił i usiadł wygodniej, czekając na pielęgniarkę oddziałową. W końcu się pojawiła - sunęła korytarzem jak parostatek, wielkie babsko z ogromnymi cycami. Jej piersi tworzyły coś na kształt półki, na której leżały wiszące na łańcuszku okulary. Próbował się na nią nie gapić, ale nie było to wcale łatwe. (Niedawno dostali kolejny okólnik: „Przedłużający się kontakt wzrokowy to rodzaj molestowania seksualnego”). Zapisał sobie jej nazwisko, datę i godzinę rozmowy. Przedstawił się i poinformował, że przejmuje przedmioty należące do NN. Kazała mu coś podpisać. On też kazał jej coś podpisać.

Zaniósł torebkę z rzeczami podejrzanego do samochodu, zamknął ją w bagażniku i wrócił do szpitala. Chciał porozmawiać z pielęgniarką, która wyjmowała przedmioty z kieszeni NN i wkładała je do torebki. Chciał postawić wszystkie kropki nad „i” - po sprawie O. J. * człowiek nie mógł być wystarczająco staranny.

Pielęgniarka z urazówki miała przerwę, ale znalazł ją w kawiarni przy tomiku Harlequina. Miał do niej tylko kilka pytań, a kiedy na nie odpowiedziała, kupił sobie filiżankę kawy i usiadł, by przejrzeć swój notes.

Był to jeden z setki notesów, jakie posiadał - do każdej sprawy zakładał nowy, ale wszystkie były takie same: czarne okładki, dziesięć na osiemnaście centymetrów, z wymiennymi wkładkami w gęste linie. Na pierwszej stronie każdego notesu wpisywał nazwisko ofiary, numer sprawy i paragrafu. Jego pismo było wyraźne i eleganckie. (Mówcie co chcecie o Jimmym Riordanie, ale jego pismu nie da się nic zarzucić! Dziękuję, siostrzo Tereso!).

W tym ostatnim notesie nie było jeszcze wiele zapisków, choć Riordan wiedział, że prędzej czy później cały się zapełni. I tak jak pozostałe, trafi w końcu na półkę w pokoiku, który służył mu w domu za gabinet. Popijał kawę i myślał o sprawie. NN. Jedyne, co wiedział o nieznanym sprawcy, to - poza tym, co zrobił - stwierdzenie jednego z lekarzy-stażystów, że mówił coś po włosku.

Mogło to być interesujące, ale mogło także okazać się problematyczne. Riordan wsypał do kawy paczuszkę zabielaacza, co praktycznie nie zmieniło jej koloru. Może NN był Włochem...? Riordan miał nadzieję, że nie. Prowadził już kilka spraw z udziałem obcokrajowców, a ponieważ Fairfax znajdowało się blisko Waszyngtonu, ambasady lubiły wtrącać swoje trzy grosze. I wcale nie były pomocne.

A jeśli gość rzeczywiście był obcokrajowcem i na przykład pracował w ambasadzie? I miał immunitet dyplomatyczny? Riordan łyknął jeszcze trochę kawy. Jednak drugi łyk nigdy nie był tak dobry jak pierwszy.

Joe Lassiter nie wyszedł ze szpitala. Zszedł dwa piętra nad kawiarnię i ruszył wzdłuż zielonej linii, ciągnącej się korytarzami. Miał do załatwienia sporo spraw - ale zanim zabierze się do czegokolwiek, musi zobaczyć człowieka, który zamordował Kathy i Brandona. Sanitariusz poinformował go, że zielona linia doprowadzi go do oddziału poparzeń, więc szedł za nią jak za nitką do kłębka.

Jeśli nie było się daltonistą, kolor zastępował umiejętność czytania. Aby iść za kolorową kreską, nie trzeba było umieć czytać po angielsku. Nawet nie trzeba było być zdrowym na umyśle. Człowiek

może być naćpany, chory psychicznie albo może znać jedynie język tagalog, a kolory i tak zaprowadzą go, gdzie zechce.

Lassiter był raz czy dwa razy w siedzibie CIA. Tam też mieli podobny system - choć z innych powodów. Każda osoba poruszająca się po budynku dostawała laminowaną plakietkę z napisem GOŚĆ, PERSONEL albo OCHRONA i kolorowym paskiem, który jednak nie oznaczał, gdzie należy iść, ale gdzie nie wolno wchodzić. Jeśli ktoś szedł korytarzem, środkiem którego ciągnął się czerwony pasek, a miał na marynarce plakietkę z zielonym, każdy wiedział, że znalazł się nie tam, gdzie powinien. Przepraszam bardzo... Na pewno nie pomylił pan drogi?

Joe przeszedł przez podwójne drzwi i wbijając wzrok w podłogę, tępo podążał za paskiem zieleni. Jak przedszkolak. Jak Brandon. Nagle ujrzał obraz chłopca, piszącego swoje imię kredką, wielkimi, drżącymi literami. Kolejny obraz: Brandon śpi z uśmiechem na ustach, a gardło ma poderżnięte jak zwierzę.

Kathy. Ponownie usłyszał głos Tommy'ego Truonga: „...małe cięcia na obu ręce... Na pewno rany od obrony, rozumiesz?”.

Kathy. Leży w ciemności. Śpi. Coś słyszy. Nie wie, co się dzieje. Chlasta nóż, jej ręce unoszą się odruchowo...

Minął dyżurkę pielęgniarek, ale nikt nie zwrócił na niego uwagi. Nie był pewien, co zrobi, kiedy dotrze do końca zielonej linii. Może tylko popatrzy...

Nagle okazało się, że jest u celu. Nie było wiele do oglądania. Przez ogromną szybę widać było NN - przynajmniej wydawało mu się, że to NN. Ponieważ widział tylko jednego chorego, uznał, że musi to być NN. Podłączono go do mnóstwa różnych rurek, a części ciała, których nie zasłaniały bandaże, jak prawie całą głowę - pokrywała gęsta biała maść. Lassiter oparzył sobie kiedyś rękę i przypomniał sobie nazwę tej maści. Silvadene.

Wiedział, że nikt nie widział twarzy tego faceta, zanim się zapalił. Był człowiekiem bez nazwiska. Bez twarzy. Kim był? Dlaczego zrobił to, co zrobił? O czym w tej chwili myślał?

Czy był przytomny? Lassiter nie umiał tego stwierdzić. Ale jeśli tak, może mógłby odpowiedzieć na kilka prostych pytań. Joe właśnie sięgał do gałki w drzwiach, gdy zza parawanu wychylił się mężczyzna w papierowym kitlu i z wrzaskiem wyskoczył na korytarz. Najwyraźniej był to lekarz.

Kiedy ściągnął z twarzy maskę, Lassiter zobaczył, że ma małe, jasne oczka i przypomina susła.
- Nie wyraziłem się wystarczająco jasno? - warknął mężczyzna. - Mówiłem wam! To *sterylne* pomieszczenie.

Lassiter nie odzywał się, przyglądał się jedynie lekarzowi.

- Nikt nie ma prawa wejścia na ten oddział - dodał tamten już spokojniej.

Najwyraźniej uważał Lassitera za policjanta, a Joe nie widział powodu, by go wyprowadzać z błędu.

- Wasz pacjent jest podejrzany o dokonanie podwójnego zabójstwa - oświadczył. - Chciałbym porozmawiać z nim najszybciej, jak się tylko da.

- W tej chwili jest pod wpływem silnych środków uspokajających. Poza tym grozi mu infekcja - powiedział lekarz. - Zawiadomię was, kiedy będziecie mogli go przesłuchać.

Lassiter skinął głową.

- Dziękuję.

- Ale na pewno przez dłuższy czas nic nie powie...

- Tak? A to dlaczego?

Lekarz uśmiechnął się i dotknął palcem swojej krtani.

- Przecież wam mówiłem. Tracheotomia.

- Nie rozumiem.

- Wystarczy, jeśli pan zrozumie, że nie można w tym stanie rozmawiać.

Lassiter popatrzył jeszcze raz na NN, a potem znów na doktora.

- Jak długo nie będzie mógł mówić? - zapytał. Tamten wzruszył ramionami.

- Nie wiem - odparł. - Ale z pewnością będziecie musieli trochę poczekać. Będzie miał sporo blizn na lewej części twarzy, szyi i piersi, ale wyliże się. Nigdzie nie pójdzie. Będziemy was informować o jego stanie.

- Niech pan nie zapomni - powiedział Lassiter i ruszył do wyjścia.

Wieczorem wyciągnął się na kanapie i włączył telewizor. Musiał wykonać około czterdziestu telefonów. Połowa ludzi, do których dzwonił, wiedziała już, co się stało, i indagowała go o szczegóły. Po jakimś czasie powtarzanie w kółko tego samego sprawiło, że to, o czym mówił, stało mu się obce. Recytował swoją kwestię z neutralnością reportera - jakby opowiadał o nieurodzaju w Idaho.

Druga połowa telefonów była znacznie gorsza - gdy obdzwaniani o niczym nie wiedzieli. Informacja o tragedii atakowała ich zniecka, rozsadzała ich normalny dzień niczym szrapnel. Niezależnie od rodzaju reakcji, emocje rozmówców uderzały Joego jak ciosy pięścią.

Przeskakiwał z kanału na kanał, nie był jednak w stanie niczego oglądać. Był zbyt rozedrgany, nie mógł się pozbyć wrażenia, że zapomniał o czymś ważnym. Wziął sobie piwo z lodówki, ruszył kręconymi schodami na górę i wyszedł na taras na drugim piętrze. Dom stał na zboczu wzgórza, więc z tarasu widać było jedynie czubki drzew. Joe oparł się o poręcz i przebijając wzrokiem gęstwinę ciemnych gałęzi, zapatrzył się w blade, zaciągnięte chmurami niebo. Nie było widać gwiazd.

Nagle usłyszał dzwonek telefonu. Z początku postanowił nie odbierać, ale zmienił zdanie.

- Halo?

Ze słuchawki buchnął głos Riordana:

- Halo? To wszystko, co masz do powiedzenia? Halo? A niech cię, kurwa...

Lassiter popatrzył na słuchawkę.

- Słucham?

- Co za: „słucham”? Co robiłeś na oddziale dla poparzonych?!

- To wszystko, o co ci chodzi?

- Powiem ci, o co mi chodzi: NN wyrwał sobie jebaną rurę z gardła!

- Co zrobił?

- Próbował się zabić. Lekarze powiedzieli mi, że jest tak przyczpany, że nie doliczy do zasranych trzech, a on sobie wrywa rurkę do oddychania! Kiedy go znaleźli, ścisnął ją jeszcze w rękach. Musieli mu siłą odginać palce.

Lassiter poczuł nagły przyptyw strachu, ścisnęło go w piersiach. Nie chciał śmierci NN. Miał mnóstwo pytań, a tylko NN znał na nie odpowiedzi. Miał też oczywiście zapłacić za śmierć Kathy i Brandona, był obiektem jego zemsty.

- Jaki jest jego stan? Czy...

- Nie martw się, wyjdzie z tego, nie jest odmóżdżony, ale pomówmy może o tobie, dobrze? Co ci, kurwa, wpadło do łba, by tam poleżeć?! - wrzasnął Riordan, po czym dodał już spokojniej: - Mam nowego partnera, wiesz? Takiego młodego urzędaska. Ciągle ma jakieś świetne pomysły i kiedy

rozmawialiśmy z lekarzem, głośno sobie pomyślał, że NN może wcale nie próbował sam siebie skasować. W istniejących okolicznościach... rozumiesz... przy tylu lekach, i tak dalej... ktoś mógł mu pomóc.

- Co? Czy ktoś...

Ale Riordan nie dał mu dokończyć.

- Wtedy doktor Jak-mu-tam wspomniał o „drugim detektywie”, który przyszedł na oddział. Mój urzędasek-pomagierka natychmiast zapytał: „Jaki drugi detektyw?”. Z wyjaśnień doktora nie wynika, by był to ktoś z nas... wszystko wskazuje na ciebie.

Lassiter nie zamierzał zaprzeczać.

- Chciałem go zobaczyć. Riordan roześmiał się.

- Jasne. Chciałeś się poprzyglądać wystawom. Ale to nie było zbyt mądre.

- Nawet nie doszedłem do drzwi. Doktor mnie wykopał.

- Tak słyszałem.

- Dobrze słyszałeś. A kiedy to się stało? Z tą rurką?

- To ja zadaję pytania - warknął Riordan. - Gdzie potem byłeś?

- Chwileczkę! Uważasz, że wszedłem do środka? Myślisz, że położyłem facetowi ręce na rurce do oddychania? Pytasz mnie o alibi? - Mało brakowało, a odłożyłby słuchawkę. Był niewinny i czuł święte oburzenie niesprawiedliwie oskarżanego człowieka. - Wróciłem do domu i od tego czasu siedzę przy telefonie.

- Możemy to sprawdzić.

- Bierz się do roboty.

- Chyba muszę. Joe, daj sobie coś powiedzieć. Wcale nie myślę, że byłeś w środku. Uważam, że ten gość zrobił to sam. Chciał odjechać. Doktorzy oglądają go co dziesięć minut, na oddziale jest jeszcze jakiś dzieciak, tuż obok znajduje się dyżurka pielęgniarek, wszędzie kręcą się ludzie... nie ma możliwości się wkraść. Ale ty zachowujesz się jak pojebaniec. Przyłazisz tam i udajesz policjanta...

- Nie powiedziałem, że jestem policjantem. Doktor sam sobie...

Riordan udał, że tego nie słyszy.

- Szef wziął mnie na dywanik, że nie postawiłem przy NN strażnika. Co prawda złożyłem zapotrzebowanie, ale sam wiesz, jak to jest... Teraz marnuję czas, sprawdzając wydruk z twoimi jebanymi rozmowami przez telefon. Ale jeśli go nie sprawdzę, może być śmiesznie, bo wszyscy wiedzą, że się znamy. I jeszcze jedno: nie sądzę, że przyszedłeś tylko obejrzeć sobie tego gościa. Założę się, że miałeś kretyński pomysł, by sobie z nim pogadać.

Lassiter wziął głęboki wdech, po czym powoli wypuścił powietrze.

- Załóżmy, że udałoby ci się to zrobić - dodał Riordan - pogadałbyś sobie z kolesiem od serca i wywaliłby ci bebechy. Wyobrażasz sobie, co by się stało, gdyby doszło do procesu? Wiesz, jak obrońca by to wykorzystał?

- Dlaczego próbował popełnić samobójstwo? Riordan westchnął.

- Może sumienie go ruszyło.

- Zastanawiam się...

- Zrób mi przysługę - przerwał mu Riordan. - Nie zastanawiaj się. Pozwól mi samemu rozwiązać tę sprawę. Trzymaj się od niej, kurwa, z daleka!

- Będę się trzymał z daleka, jeśli mi powiesz, kto zabił moją siostrę...

- NN. Jebany NN zabił twoją siostrę.

- Chcę wiedzieć, kim jest. I dlaczego to zrobił.

Było bardzo ciepło jak na listopad, w dniu pogrzebu dochodziło do dwudziestu siedmiu stopni. Opadające liście wirowały w powietrzu, unoszone łagodną bryzą. Lada chwila miała zacząć się zima, ale pogoda była jak w czerwcu i pożółkłe liście wyglądały niemal jak sztuczne. Ludzie przybyli na pogrzeb spoza miasta spodziewali się chłodniejszej pogody i źle się czuli w kaszmirach, tweedach, sztruksach i wełnach. Nawet Lassiter był lekko skołowany. Nietypowe ciepło, spoceni żałobnicy, wirujące liście - wszystko to sprawiało wrażenie, jakby kręcono film, na dodatek niezgodnie z kolejnością wydarzeń i w nieodpowiedniej porze roku.

Joe nie umiał pozbyć się poczucia nierzeczywistości. Nawet trumny wyglądały jak rekwizyty - mała trumna Brandona podkreślała okrucieństwo tego, co się wydarzyło. Pastor z kościoła unitariańskiego, do którego Kathy zaczęła chodzić rok temu, sprawiał wrażenie aktora, wybranego do tej roli spośród wielu kandydatów: miał poważny wygląd i umiał patrzeć oraz składać ręce w emocjonalny, znaczący sposób.

Nie były to jednak prawdziwe emocje, a nawet jeśli były - z pewnością nie dotyczyły Kathy: pastor czuł współczucie dla każdego, był nim przepełniony po brzegi, co czyniło jego żal byle jakim i ogólnym. Joe nie miał o to do niego pretensji - kościół był duży, a pastor nie znał osobiście jego siostry. Kiedy rozmawiali przez telefon o pogrzebie i mszy, duchowny poprosił o pomoc, by „uczłowieczyć ceremonię”. Chciał wiedzieć, jak zwracano się do zmarłej: Kathleen, Kate, Kath, Kathy? Poprosił o jedną lub dwie anegdoty, coś, co przypomniałoby ją rodzinie i przyjaciołom taką, jaka była za życia.

Teraz jednak, nad grobem, odklepywał nudną i schematyczną przemowę. Mówił o pozbawionym granic świecie, w którym mieszkali teraz Kathy i Brandon, o wiecznym życiu ich dusz. Lassiterowi wydawało się to co najmniej pozbawione inwencji - ale do ciotki Lillian, jedynej poza nim członka rodziny, musiało to przemawiać, bo wciąż pochylała się ku pastorowi i ścisnęła jego dłoń.

To dziwne poczucie sztuczności towarzyszyło mu od chwili, kiedy dowiedział się o śmierci Kathy. Z początku sądził, że to normalna reakcja na gwałtowną śmierć, coś w rodzaju szoku, ale tu, na cmentarzu, pojął, że ma tak silne poczucie nierealności, ponieważ - jak większość ludzi - był świadkiem znacznie większej liczby pogrzebów w kinie niż w rzeczywistości i podświadomie czekał na zbliżenie albo powolny najazd na kępę trawy, w której stoi ktoś obcy, ktoś spoza grona żałobników. Kochanek, żegnający się z bezpiecznej odległości, albo morderca.

Czekał też na coś jeszcze - na muzykę albo odpowiednie ujęcie - na coś, co ukaże scenę w perspektywie.

Nic takiego oczywiście się nie wydarzyło i właśnie to czyniło ten pogrzeb tak nierealnym. Czegoś tu brakowało - przyczyny śmierci tych, których oplakiwano. Kathy i Brandon nie byli ofiarami przypadkowej przemocy - wszystko wskazywało na to, że morderstwa zostały dokonane z premedytacją - ale nie znaleziono żadnych dowodów, potwierdzających tę hipotezę, a stan człowieka znajdującego odpowiedzi jeszcze się pogorszył. Był nieprzytomny, w krytycznym stanie, jego zniszczone płuca zostały zainfekowane, z oparzelin sączyła się ropa. Lassiterowi powiedziano, że może potrwać tygodnie, zanim da się go przesłuchać.

Ludzie przy grobie sprawiali wrażenie przygnębionych i znużonych. Przytłoczyła ich ta nagła, brutalna śmierć - zwłaszcza śmierć Brandona. Na pogrzebie byli obecni rodzice kilku jego przyjaciół z przedszkola i przedszkolanka, dziewczyna o długich, brązowych, zaczesanych do tyłu włosach. Jej

dolna warga drżała. Tuż obok niej stał mały chłopiec i trzymał za rękę matkę - kobietę w okularach przeciwsłonecznych i kapeluszu z woalką.

Oplakiwać śmierć Kathy przyszło kilku współpracowników z National Public Radio, gdzie reżyserowała programy. Było też kilku sąsiadów. Koleżanka z pokoju ze Sweet Briar, która przejechała sześćset kilometrów z szacunku dla dwudziestu lat wysyłania sobie kartek na Gwiazdkę i urodziny. A także Murray - wspaniały, wielkiego serca Murray - były mąż Kathy. Nie było bliskich przyjaciół, ponieważ Kathy nie miała bliskich przyjaciół.

Jedynymi przedstawicielami rodziny byli Joe i ciotka Lillian. Ta niewielka reprezentacja rodzinna nie była skutkiem nieco samotniczego i trudnego charakteru Kathy. Joe i Lillian - siedemdziesięciosześcioletnia siostra jego ojca - byli wszystkim, co pozostało z dwóch zanikających gałęzi rodzinnych.

Murray był jedyną osobą, która płakała, ale tak jak w przypadku pastora, jego cierpienie nie dotyczyło wyłącznie kobiety leżącej w trumnie. Murray należał do ludzi, którzy umieli zapłakać z żalu nad kanapą wyrzucaną na śmietnik. Mimo to Joe był mu wdzięczny. Pastor w końcu przestał przemawiać, zamykając swój oratorski popis ozdobnikiem o promieniach na pustkowiu. Lassiter rzucił na każdą trumnę garść ziemi, do grobu Kathy rzucił także białą różę, a potem odwrócił się i odszedł kilka metrów dalej.

Za jego przykładem poszli inni żałobnicy. Joe stanął dziesięć metrów od grobów i kolejni ludzie podchodzili, by uścisnąć mu rękę, pocałować w policzek i powiedzieć, jak im przykro.

Jedną z pierwszych osób była kobieta z chłopcem, która przedstawiła się jako Marie Sanders. - A to Jesse - powiedziała z dumą. Lassiter uśmiechnął się do nich i przez chwilę zastanawiał się, czy chłopiec jest jej synem, bo nie wyglądali podobnie. Dzieciak miał smagłą cerę, duże brązowe oczy i kruczoczarne włosy, opadające lokami na czoło. Był bardzo urodziwy - ona też, choć w inny sposób. Była blada, miała blond włosy i... wydawała się Joemu znajoma.

- Znamy się? - spytał.

Pytanie najwyraźniej jej nie zaskoczyło, ale pokręciła głową.

- Nie sędzę.

- Mam wrażenie, że się już gdzieś... spotkaliśmy. Uśmiechnęła się nerwowo.

- Chciałam jedynie powiedzieć, jak mi przykro. Kathy... - Spojrzała w ziemię i pokręciła głową.

- Dowiedziałam się o tym z telewizyjnych wiadomości.

- Przepraszam, próbowałem obdzwonić wszystkich jej przyjaciół, jednak...

- Nie ma pan powodu przepraszać. Nie znałyśmy się aż tak dobrze.

- Ale powiedziała pani...

- Nie mieszkam tutaj - odparła pospiesznie kobieta. - Właśnie podróżowaliśmy. Oglądaliśmy telewizję satelitarną i jeden z kanałów pokazał wiadomości z Waszyngtonu... Przerwała i zagryzła wargi. - Przepraszam. Mówię od rzeczy.

- Wcale nie.

- Poznałam pańską siostrę... w Europie. Bardzo ją polubiłam. Wiele nas łączyło. Kiedy więc zobaczyłam w telewizji zdjęcie jej i Brandona... - Jej głos zadrżał i mimo woalki Joe dostrzegł błysk łez w oczach. - W każdym razie coś mi kazało tu przyjść. - Wzięła głęboki wdech. - Przykro mi... tak mi przykro z powodu pańskiej straty.

- Dziękuję. Dziękuję za przybycie na pogrzeb.

Kiedy kobieta odeszła, przed Joem stanął zapłakany Murray.

- To takie trudne - powiedział i objął Joego. - Tak kurewsko ciężkie...

Lassiter nie pamiętał już, jak się płacze, ale gardło miał ściśnięte od smutku. Stracił osobę, która wiedziała o nim rzeczy, jakich nikt inny nie wiedział, osobę, z którą dzielił dzieciństwo. Tracił „przymierze” - było to słowo, którego Kathy używała na określenie ich partnerskiego związku, wzajemnego systemu obrony przed rodzicami.

Ujrzał przed oczami jej poważną małą twarzyczkę. Byli wtedy w bawialni ich waszyngtońskiego mieszkania, w czymś przypominającym namiot, który Kathy zbudowała z koców i prześcieradeł. Miał wtedy pięć lat, a Kathy dziesięć.

- Musimy trzymać się razem - oświadczyła. - Ty i ja. Postanowiłam, że musimy utworzyć przymierze.

Było to wiele lat przed tym, jak słowo to stało się elementem jego języka, ale doskonale wiedział, co Kathy ma na myśli. Sporządziła pisemną listę przysięg określających ich obowiązki i odczytała ją. Numer jeden: „Nigdy nie wolno skarżyć na członka Przymierza”. Nakłuli sobie palce i kapnęli na papier po kropli krwi, po czym zakopali go pod świerkiem. Nawet jako dorośli podpisywali listy i kartki do siebie wymyślonym przez Kathy symbolem - pochyloną literą P.

Ich ojciec, Elias, przez ponad dwadzieścia lat był kongresmanem. Za każdym razem, kiedy jego nazwisko pojawiała się w prasie, a bywało to często, zaraz potem następowała informacja w nawiasie: (R-Ky). Pieniądze, które wyniosły go na to stanowisko, należały do jego żony, Josie. Jej dziadek zbił majątek na whisky i wystarczająco dużo pieniędzy przeciekło przez pokolenia, by jedynaczka Josie stała się godnym obiektem łowów ambitnego młodzieńca z nieodpowiedniej dzielnicy Louisville.

Ani Elias, ani Josie nie interesowali się swoimi dziećmi w zakresie wykraczającym poza nadzór. Jak większość ludzi związanych z Kongresem, krążyli między Waszyngtonem a stanem, który ich wybrał, toteż Kathy i Joe byli wychowywani nie przez mamusię i tatusia, ale przez niańki, służące, „dziewczyny do dziecka” i - nieco później - „asystentki”.

Joe nigdy nie zastanawiał się zbyt wiele nad dzielącą go od rodziców przepaścią. Zawsze bał się ojca, a matkę widywał rzadko. Tak po prostu było. Chodził do drogiej szkoły prywatnej w Waszyngtonie i miał tam wielu kolegów, którzy jechali na tym samym wozie. Kathy bardziej się przejmowała sytuacją rodzinną - do momentu, gdy wszystko przestało ją obchodzić.

Wiedział, kiedy to się stało, ponieważ pewnego razu, gdy został wezwany z kuchni, by zanieść Josie drinka, wpadł w sam środek kłótni między siostrą a matką. Kathy z rozpaloną twarzą krzyczała:

- Wcale cię nie obchodzimy! Chciałaś mieć dzieci tylko po to, by mieć co napisać na kartkach bożonarodzeniowych!

Josie, próżna jak zwykle, upiła łyk ze szklaneczki, pochyliła głowę i założyła koleczyk.

- Ależ skarbie... - powiedziała, nie odwracając wzroku od swojego odbicia w lustrze - to nieprawda. Jesteście dla mnie bardzo ważni. - Jeszcze dziś Joe słyszał głos matki: „Bahh-zowaschni”. Uspokoiwszy córkę, wstała, uniosła w górę kryształowy rozpylacz, rozpryskała perfumy w powietrzu i przeszła przez chmurę kropelek. - Teraz daj mamie buziaka, bo muszę zaraz wyjść.

Elias traktował rodzicielskie obowiązki jak pracę. Wpisywał dzieci w swój plan dnia - Joe dowiedział się tego od siostry. Pewnego wieczoru wzięła go w ich waszyngtońskim mieszkaniu do gabinetu ojca i pokazała oprawny w skórę terminarz, gdzie znaleźli przeznaczone dla siebie chwile w pełnym zajęć dniu kongresmana.

7.00 - Śniadanie i modlitwa z Młodymi Republikanami 8.30 - Siedziba RNC: Komitet

Kierowniczy Republikanów * 10.15 - Wycieczka z dziećmi do ogrodu zoologicznego

Niemal każdy kontakt z dziećmi, przynajmniej kiedy byli w Waszyngtonie, Elias planował z góry. Zabrać Joego do Camilla: strzyżenie.

Porozmawiać z Kathy na temat jej marzeń i planów.

Sprawdzali oboje terminarz ojca, by wiedzieć, co ich czeka, i aby uniknąć spotkań, na które byli wleczeni jedynie jako dekoracja, symulowali choroby. Kryli się nawzajem, kłamali, by sobie pomóc, trzymali wspólny front.

Zbiórka funduszy dla senatora Wallinga. Przyprowadzić dzieci. (Mamo! Mamo! Kathy wymiotuje i... ja też niezbyt dobrze się czuję...).

Po ceremonii zaczęła się stypa. Joe miał ochotę porozmawiać z Kathy o ich wspólnym dzieciństwie. O Przymierzu. Rozejrzył się za Murrayem i piękną kobietą z chłopcem. Jak ona miała na imię? Marie. Wbrew temu, co powiedziała, nie mógł się pozbyć wrażenia, że gdzieś już ją widział, skądś ją znał. Poza tym intrygowała go - może dlatego, że oprócz niego samego była jedyną przybyłą na pogrzeb osobą, dla której śmierć Kathy była osobistą stratą. W końcu znalazł Murraya - albo on jego - ale kobieta i chłopiec zniknęli.

Po posiłku zawiózł ciotkę Lillian na lotnisko Dullesa. Wybrał płatną drogę i kiedy wrócił do domu, było niemal kompletnie ciemno. Zwykle cieszyła go perspektywa ujrzenia długiego, krętego podjazdu, usłyszenia pod oponami chrzęstu żwiru i trzeszczenia desek przerzuconego nad strumieniem drewnianego mostka. Właśnie dlatego zbudował ten dom. Przez większość dnia myślał o pracy - o planach, spotkaniach i decyzjach taktycznych - do chwili przejazdu nad strumieniem. Wtedy wszystko z niego opadało.

W okolicy Waszyngtonu nie było drugiego takiego domu - po pierwsze dlatego, że architekt był Holendrem, po drugie dlatego, że był nawiedzony. Albo genialny. Albo jedno i drugie. W każdym razie nienawidził kąta prostego. Efektem tego był dom za milion dolarów, składający się z sinusoidalnych krzywych, nieprawdopodobnych kątów i wielkich, nieoczekiwanych przestrzeni.

Reakcje znajomych były diametralnie różne. Jedni wzdychali z zachwytu, drudzy zagryzali dolną wargę i mądrze kiwali głową, jakby chcieli powiedzieć: „Oto, co nadmiar pieniędzy robi z ludźmi, którzy powinni zachować rozsądek”. Lassiter sądził, że może oceniać ludzi na podstawie reakcji na widok domu, ale tak naprawdę nie był to żaden wskaźnik. Niektórzy z tych, których lubił najbardziej - na przykład Kathy - na widok domu jedynie kręcili głową albo grzecznie się uśmiechali.

Ale wielu z nich zmieniało zdanie po wejściu do środka. Dom był pełen światła, wpadającego przez szklane, beczkowate sklepienie atrium, biegnącego przez dom z północy na południe. Wszystkie pomieszczenia były bardzo duże i przechodziły jedno w drugie. Na ścianach wisiały czarno-białe zdjęcia dawnego Nowego Jorku oraz starannie opracowane rysunki Yellow Kida, Krazy Kata i Little Nemo. Nie było tu zbyt wielu mebli: kilka dużych kanap i sof, ozdobionych elegancko udrapowanymi pokrowcami, i wysokiej klasy pianino, na którym Joe uczył się grać.

Powrót do domu był największą nagrodą dnia, ale tym razem jego chłodne białe ściany i wielkie przestrzenie nie poprawiły mu humoru. Dom wydawał się pusty i zimny - nie był *refugium*, ale fortecą.

Joe nalał sobie szklaneczkę laphroaiga i ruszył do swojego gabinetu. Trzy z jego czterech stojących pod dziwnymi kątami ścian były zastawione aż po sufit regałami z książkami, na wmontowanych w podłogę szynach przesuwawały się biblioteczne drabinki. W rogu pokoju, niewiele ponad pół metra nad podłogą, znajdował się kominek w meksykańskim stylu, przy którym leżało

drewno. Choć było gorąco, Joe rozpałił w nim i usiadł. Popijał szkocką i patrzył, jak ogień pożera polana.

W końcu wcisnął przycisk odtwarzania na automatycznej sekretarce. Było na niej nagranych siedemnaście wiadomości. Wyszedł na taras, by ich wysłuchać. Oparł się o balustradę i patrzył, jak wiatr przygina gałęzie brzoź. Powietrze było teraz nieco świeższe i czuć było nadchodzący deszcz.

Kilka telefonów było związanych z pracą. W TriCom szykowało się wrogie przejęcie i chciał się z nim spotkać prawnik z Lehman Brothers. W kolejnym telefonie meldowano, że w Londynie przydarzyła się „rozpierducha”. Jeden z jego detektywów zachował się „nadgorliwie” (co to znaczy? - zastanawiał się Joe) i sprawą zainteresowało się BBC.

Pozostali dzwoniący chcieli po prostu złożyć kondolencje - byli to przyjaciele i znajomi Joego, którzy nie znali Kathy, nie byli więc na pogrzebie. Były także telefony od stacji telewizyjnej i z „Post”. Potem rozległ się gardłowy głos Moniki - mówiła, jak bardzo jej przykro, i jeśli istnieje coś, wszystko jedno co... to jej numer jest wciąż taki sam.

Lassiter przez chwilę zastanawiał się, czy nie zadzwonić do niej. Jak to się stało, że się rozstali? - pomyślał.

I natychmiast sam sobie odpowiedział: to przecież normalka.

Dokładniej mówiąc, powoli stawało się to normalką. Spotykał kobietę, która mu się podobała, byli ze sobą mniej więcej rok i zaczynało robić się coraz chłodniej. W końcu padało ultimatum, próbowali coś ratować, „przedłużyć”, potem jeszcze raz i wreszcie... Monice zastępowała Claire albo ktoś inny. Teraz rzeczywiście była to Claire, choć akurat w tej chwili przebywała na konferencji w Singapurze. Dzwoniła dwa dni temu i wtedy powiedział jej o śmierci Kathy. Claire nie spotkała się jednak nigdy z Kathy, więc kiedy wspomniała o przyjeździe na pogrzeb, grzecznie powiedział, że nie trzeba - zgodnie z jej oczekiwaniami.

Dopił whisky. Prawda była taka, że lubił towarzystwo kobiet - oczywiście jednej na raz. Monogamia - albo „seryjna monogamia” - była dla niego czymś tak samo naturalnym jak małżeństwo. Jeśli chodzi o małżeństwo, był zdecydowany zawrzeć je „raz na zawsze” i miał w sobie na tyle romantyzmu, że sądził, iż kiedy nadejdzie odpowiednia chwila - natychmiast ją wyczuje. Uważał, że nie będzie miał wtedy żadnych wątpliwości. Małżeństwo stanie się najważniejszą sprawą na świecie, a z Monicą, no cóż... małżeństwo wydawało się... opcją.

Ostatnia wiadomość pochodziła od Riordana i słuchał jej jednym uchem. Kiedy się skończyła, stwierdził, że nie pamięta ani słowa. Cofnął taśmę i przesłuchał ją ponownie.

Riordan należał do ludzi, którzy nie lubią rozmawiać z maszynami. Mówił za szybko i zbyt głośno.

„Przepraszam, jeśli byłem nieco za ostry - powiedział, ale w jego głosie nie było cienia przeprosin. - Wpadnij jutro, dobrze? Chcę ci zadać kilka pytań”.

10

Biuro Riordana znajdowało się przy Route 29, na drugim piętrze jednego z paskudnych pudeł, jakie budowano w latach pięćdziesiątych. Zewnętrzne ściany pokryto płytami niebieskiego plastiku i szkła, poprzedzielanymi paskami aluminium. Był to równocześnie budynek nowoczesny - czyli dość nowy - ale i stary, bo wyglądał znacznie podłej od sąsiednich, dziewiętnastowiecznych.

W środku wcale nie było lepiej. Dźwiękoszczelne płytki na suficie były połamane i poplamione, w linoleum powbijały się dziesięciolecia brudu, zmumifikowanego przez tysiące warstw pasty do

podłóg. Schody przypominały Lassiterowi szkołę średnią, a kiedy nimi wchodził, poczuł zapach kwaśnego mleka - choć nie wiedział, realny czy wymaginowany.

Pierwsze piętro zarezerwowano dla wydziału walki z narkotykami i tabliczka przy schodach ostrzegała:

SEKCJA DZIAŁAŃ TAJNYCH
ABSOLUTNY ZAKAZ OBECNOŚCI
PODEJRZANYCH NA CAŁYM PIĘTRZE

Wydział zabójstw znalazł na drugim piętrze. Było tu kilka gabinetów, parę pustych pomieszczeń, wykorzystywanych prawdopodobnie do przesłuchań, i labirynt boksów, poprzedzielanych do wysokości głowy płytami pilśniowymi. Było syfiasto i chaotycznie i - jak w redakcji gazety - wszyscy zdawali się siedzieć przed komputerami, pisać albo (jak Riordan) rozmawiać przez telefon.

Riordan miał pięćdziesiąt parę lat i jego irlandzka skóra nie starzała się, ale wietrzała. Twarz i dłonie miał wiecznie czerwone, jednak reszta jego ciała była z pewnością bielusiemka. Kiedy zobaczył Lassitera, jego bladobłękitne oczy rozszerzyły się w niemym powitaniu. Wyglądał na zmęczonego. Uniósł brwi i gestem wskazał Joemu krzesło.

W pokoju było gorąco i duszno - najwyraźniej ogrzewanie działało według temperatury, a nie kalendarza. Wszyscy detektywi byli porozbierani do koszul i Lassiter stwierdził, że każdy ma przy sobie broń - pod pachą albo w dziwacznych kaburach z tyłu pleców, przy pasku spodni.

Z tego głównie powodu byli gliniarze nie bardzo nadawali się do zatrudniania w Lassiter Associates. Byli podejrzliwi nawet w niewinnej rozmowie, nie jeździli samochodami, a „pojazdami”, i mieli specyficzny sposób poruszania się i postawę, będącą efektem posiadania odznaki i noszenia broni. Prawie każdy glina chodził w mundurze i uważał, że ludzie powinni reagować na jego widok - choćby nawet miała to być negatywna reakcja. Lassiter z doświadczenia wiedział, że objawy tej choroby utrzymywały się jeszcze przez długi czas po odejściu z policji.

Riordan odłożył słuchawkę, odwrócił się w jego kierunku i klasnął w swoje wielkie, czerwone dłonie.

- Samochód... Myślę, że chciałbyś wiedzieć, że niedaleko domu twojej siostry znaleźliśmy samochód z wypożyczalni i sprawdziliśmy go.

Lassiter pochylił głowę, nic jednak nie powiedział. Wyglądało na to, że detektyw, choć był wkurzony z powodu bezsensownej wyprawy Joego na oddział poparzeń, nie ma już do niego żalu. To było rozliczone.

- Hertz - dodał Riordan. - Wypożyczalnia na lotnisku Dullesa. Nie ma wątpliwości, że to samochód NN. W bagażniku śmierdzi. Prawdopodobnie naftą. Poza tym nikt nie zaprotestował przeciwko blokadzie, którą założyliśmy.

- I...?

Detektyw wzruszył ramionami.

- Facet użył karty kredytowej. Juan Gutierrez, Brookville na Florydzie. Kazałem miejscowym rzucić okiem na ten dom. To blok mieszkalny, pocztę zostawia się na stole w holu. Rzeczywiście mieszkał tam gość, który kazał na siebie mówić Juan, ale to było jakieś dwa, trzy miesiące temu. Nie siedział zbyt często w domu. Praktycznie nigdy go nie było.

Zadzwonił telefon i detektyw podniósł słuchawkę. Lassiter przez chwilę słuchał, wystarczająco długo, by się zorientować, że rozmowa nie dotyczy jego sprawy, i zaczął się rozglądać po boksie Riordana. Ściany udekorowano dziecięcymi rysunkami ze szkoły podstawowej imienia Williama

Tylera. Przedstawiały topornie narysowane ludzkie postacie z pistoletami. Kule wylatywały z nich równiutkimi, ślicznymi łańcuszkami, które wyglądały jak perforacja. Grube pociągnięcia czerwoną kredką znaczyły miejsca, gdzie powstały rany, na kilku rysunkach krew kapła pojedynczymi kroplami. Ta narysowana krew wydawała się bardziej brutalna i prawdziwa niż leżąca się na filmach farba.

Riordan odłożył słuchawkę.

- Na czym stanąłem?

- Na Juanie Gutierrezie.

- Aha. No więc z tego, czego się dowiedzieliśmy, wynika, że dom w Brookville to tylko punkt odbioru poczty. Ale jeszcze nie skończyliśmy szukać. W popielniczce samochodu znaleźliśmy klucz do pokoju w motelu. Trzeba było trochę pochodzić. I co się okazało? - bibbity-bobbity-bum - „Comfort Inn” przy Trzysta Dziewięćdziesiątej Piątej. Juan Gutierrez - pokój dwieście czternaście. Załatwiliśmy nakaz. W pokoju była torba, mapa hrabstwa Fairfax i portfel.

- Portfel...?

- Było w nim prawie dwa tysiące dolców w gotówce, prawo jazdy, karta biblioteczna, karta ubezpieczeniowa i dwie karty VISA - wszystko na nazwisko Juan Gutierrez, Brookville, Floryda. Sprawdziliśmy to i owo i okazało się, że pan Gutierrez to prawdopodobnie wcale nie pan Gutierrez.

- Co masz na myśli?

- Nie ma przeszłości. Pojawił się dwa, trzy miesiące temu, jakby urodził się w wieku czterdziestu trzech lat. Ma kartę biblioteczną, wydaną w sierpniu, ale nie wypożyczył ani jednej książki. Ma prawo jazdy - z początku września - ale nigdy przedtem nie wydawano mu prawa jazdy. Przynajmniej z tego, co wiemy. Nigdy nie kupował samochodu. Nigdy nie dostał mandatu. A obie karty VISA są „zabezpieczone”... no wiesz, tak, jak to robi się z bankrutami i nieuczciwymi kredytobiorcami.

- Na takie karty można podjąć tylko tyle, ile przedtem wpłacono do banku.

- Właśnie. Na każdą kartę dostał dwa tysiące kredytu. Ma je od...

- Września.

- Szybko łapiesz. Oczywiście korzystał z nich. Minał dopiero jeden cykl billingowy, ale uzupełnił limit obu kart, i to bardzo szybko. Poczta zwrotną, przekazem.

- Więc to duch... - mruknął Joe. Określenia tego policjanci używają w odniesieniu do osób ukrywających się pod fałszywą tożsamością.

- Superduch.

- Jak to?

- Nie ukradł dowodu osobistego ani go nie kupił. Wszystko wskazuje na to, że tworzył swój życiorys od zera. Numer ubezpieczenia społecznego jest prawdziwy i należy do prawdziwego Juana Gutierrez, który mieszka w Tampie. Prawdziwy Juan Gutierrez nie jeździ samochodem, ale ma mniej więcej tyle lat, co nasz podejrzany.

- NN zadał sobie sporo trudu...

- Zajebicie dużo. To cholernie mocne papiery. Chce wynająć samochód - zapraszamy! Chce gdzieś lecieć i nie płacić gotówką, bo gotówka jest podejrzana - proszę bardzo, ma karty VIS A! Mógłby polecieć na Księżyc i nikt by nie nabrał najmniejszych podejrzeń. Nie mówię, że wszystko jest nieprzemakalne, bo nie jest, ale dopóki nie zostanie aresztowany, nie zacznie się go sprawdzać jako podejrzanego w żadnej poważniejszej sprawie - nawet bardzo poważnej sprawie - bo jest obstawiony. Na tyle mocno, że można zacząć się zastanawiać.

- Nad czym?

Riordan popatrzył na Lassitera uważnie.

- Czy nie jest zawodowcem. A to każe mi przejść do tematu, z powodu którego cię zaprosiłem. -

Riordan oparł się wygodnie. - Chyba czas porozmawiać o twojej siostrze.

Lassiter skrzywił się.

- Po co? Nie ma o czym rozmawiać.

- Mam na ten temat inne zdanie.

- Masz inne zdanie... Posłuchaj: w życiu Kathy nie było nic, co mogłoby pomóc ci wyjaśnić, dlaczego ktoś zachowujący się jak zawodowiec chciałby poderżnąć jej gardło, spalić dom, zabić dziecko...

- Nie poderżnięto jej gardła. Poderżnięto gardło Brandonowi. Twoja siostra została zaszytowana ciosem w pierś.

Lassiter otworzył usta, ale nic nie powiedział.

Detektyw odchrząknął i kiedy ponownie się odezwał, w jego oczach pojawił się dziwny wyraz, a w głosie słyhać było urazę. Lassiter miał wrażenie, że przez chwilę dostrzegł, jaki Riordan był jako dzieciak: wiecznie niesłusznie ganiony.

- Spójrz na to z mojego punktu widzenia, Joe. Biegam i popycham sprawę ze względu na ciebie, urabiam sobie ręce po łokcie...

- Popychasz sprawę ze względu na mnie?! To podwójne morderstwo!

- Jeśli chcesz wiedzieć, mamy w aktach pięćdziesiąt siedem nierozwiązanych morderstw. Kieruję wszystkie siły na tę jedną jedyną sprawę, by ją jak najszybciej rozwiązać, rozumiesz? Rozmawiałem rano z doktorem Jak-mu-tam i powiedział, że NN wcale dobrze nie wygląda. Ma kompletnie rozjebane płuca. Nie twierdzę, że nie wyjdzie z tego, ale niektórzy ludzie stąd uważają, że marnują czas i pieniądze na sprawę, która w każdej chwili może sama się rozwiązać.

- Chcesz powiedzieć, że jeśli ten facet umrze, sprawa będzie „rozwiązana”?

- Właśnie. Jeśli badania laboratoryjne pozwolą na jednoznaczne wnioski, sprawa będzie rozwiązana. Jeśli odciski NN będą zgodne z odciskami na nożu, jeśli jego DNA zostanie potwierdzone... Kiedy możemy udowodnić, że podejrzany A popełnił przestępstwo X - Riordan rozłożył ręce - wtedy taką sprawę nazywamy rozwiązaną. Jeśli podejrzany A umiera, sprawa jest rozwiązana jeszcze bardziej definitywnie.

Lassiter wbił wzrok w detektywa.

- Ale nie będzie wiadomo dlaczego...

Riordan kilka razy zacisnął pięści i rozcapierzył palce.

- Dlaczego, dlaczego... a jeśli nie ma żadnego „dlaczego”? Jeśli kazał mu to zrobić jakiś karaluch? Jeśli był naćpany i wydało mu się to dobrą zabawą?

- To wcale tak nie wygląda.

- Nie. Nie wygląda. Nie z tym kompletem dokumentów. - Riordan przez chwilę milczał, a potem dodał: - W tym właśnie problem. NN leży nieprzytomny pod kroplówką, a ja mam rozgryźć tę sprawę, nie chciałbym więc, żebyś świrował za każdym razem, kiedy chcę ci zadać kilka pytań dotyczących twojej siostry.

- Masz rację. Przepraszam. Riordan rozchmurzył się.

- No to opowiedz o niej.

Lassiter wzruszył ramionami. Nagle poczuł się bardzo zmęczony.

- Słuchała Prairie Home Companion...

Riordan zapisał i spytał:

- Co to jest?

- Audycja radiowa z Minnesoty. Ma to znaczyć, że moja siostra prowadziła uporządkowane życie. Reżyserowała programy NPR - Ciężko pracowała. Jej życie obracało się wyłącznie wokół pracy i dziecka. Czasem chodziła na wieczorki dla rodziców przedszkolaków oraz spotkania zorganizowanej przez kościół unitariański grupy samotnych matek i ojców. Ale głównie siedziała w domu. Nie miała wrogów.

- Skąd ta pewność?

Joe milczał przez chwilę, zastanawiając się nad odpowiedzią. Nie sądził, by Kathy wiele przed nim ukrywała, ale pewności mieć nie mógł.

- Byliśmy sobie dość bliscy. Kiedy nasi rodzice zginęli, Kathy miała dwadzieścia lat, ja piętnaście.

- Pamiętam. Katastrofa samolotu.

- Helikoptera.

- Okropna tragedia - mruknął Riordan i zaraz zapytał: - Skąd twoja siostra miała pieniądze? Zastanawiałem się, jak mogła sobie pozwolić na tak elegancki dom.

- Ojcu udało się przepuścić większą część majątku matki, ale odziedziczyliśmy po kilkaset tysięcy dolarów. Kathy była dość oszczędna. Dobrze inwestowała. Kiedy urodziła Brandona, sprzedała dom w mieście i przeprowadziła się na przedmieścia.

- Komu zostawiła pieniądze w spadku? Jeśli to nie tajemnica... - dodał Riordan i zamachał obronnie dłońmi.

Musiał wiedzieć albo się domyślać, że Lassiter był wykonawcą testamentu.

- Mógłbym ci pokazać testament, ale nie ma w nim nic ciekawego - odparł Joe. - Zostawiła wszystko Brandonowi. Gdyby zmarł przed nią albo gdyby zmarli razem, wszystko miało iść na cele dobroczynne.

Riordan zanotował to i zapytał:

- Konkretnie?

- Przedszkole Valley Drive. Sweet Briar - to była jej uczelnia. Greenpeace.

- Nic dla ciebie?

- Jedynie kilka rzeczy osobistych. Zdjęcia rodzinne i inne pamiątki. Nic, co by mogło przetrzymać ogień.

Riordan wyglądał na rozczarowanego.

- A co z facetami? Miała jakichś facetów?

- Od kilku lat nie.

- Co z dzieciakiem? Ktoś jej pomagał?

- Nie.

- Dlaczego?

- Nie było ojca. Riordan zamrugnął.

- Nie było ojca? Zmarł?

- Nie.

Riordan zachichotał jak dzieciak.

- Powiedz, jak to się udało, i możesz iść.

- Jej „zegar tykał”. To cytat. A ponieważ nie miała faceta, uznała, że wcale nie potrzebuje do tego mężczyzny.

Oczywiście Kathy nie przedstawiła tego w ten sposób. Powiedziała mu, że chce zostać matką, w swoje urodziny. Trzydzieste siódme. Zaprosił ją na kolację do restauracji hotelu w Little Washington, zarezerwował pokoje na noc i sporo wypili. Kathy nigdy dużo nie piła, więc tego wieczoru, po kilku kieliszkach sherry, Dom Perignon i armaniaku, trochę się wstawiła. Siedziała naprzeciwko Joego z tajemniczym uśmieszkiem na ustach i wodziła widelcem po malinowym sosie, który pozostał po *coeur de creme*. Nagle odrzuciła głowę do tyłu, upiła maleńki łyżek likieru i odstawiła kieliszek.

- Na jakiś czas będzie z tym koniec.

Lassiter popatrzył na nią zdezorientowany. Alkohol nigdy nie był dla Kathy problemem.

- Sprawy zdrowotne?

- Coś w tym rodzaju. - Przeciągnęła palcem po brzegu kieliszka i zachichotała. - Co byś powiedział, gdybym zaszła w ciążę? - zapytała.

Wahał się z odpowiedzią. Nie chciał przypominać jej dotychczasowego fiaska starań zajścia w ciążę, choć wiele razy „próbowali” z Murrayem, ani anoreksji z okresu pokwitania, kiedy waga Kathy spadła do trzydziestu dwóch kilo i lekarze uznali, że mogła doznać trwałych uszkodzeń układu rozrodczego.

- Spytałbym, kto jest tym szczęściarzem. Spytałbym także, dlaczego druga połowa Przymierza nie była informowana o jego pojawieniu się.

Kathy polizała widelec. Jej oczy błysnęły.

- A gdybym powiedziała, że nie ma nikogo?

- Odparłbym, że ten plan ma słaby punkt. Kathy zachichotała.

- Dać się bzyknąć to żaden problem, ale bez zabezpieczenia? W dzisiejszych czasach? Do tego tak, by chwila była odpowiednia? Nawet gdyby się udało, facet mógłby nie chcieć się odczepić, mógłby iść do sądu z żądaniem wspólnej opieki, może nawet chciałby się wprowadzić! Mężczyźni to tylko niepotrzebna komplikacja. Na szczęście mamy lata dziewięćdziesiąte. Są skuteczniejsze sposoby.

- Chcesz powiedzieć, że... Skinęła głową.

- Właśnie. Mam jutro umówioną wizytę. - Uśmiechnęła się. - Na razie będzie to tylko rozmowa, ale właściwie jestem już zdecydowana.

Z początku Lassiter nie podzielał entuzjazmu Kathy, choć starał się tego nie okazywać. Była taka niecierpliwa... Nie umiał wyobrazić jej sobie jako matki. W końcu okazało się jednak, że instynkt jej nie oszukał. Wszystkie kłopoty - a cała sprawa trwała niemal cztery lata i wymagała wielu kosztownych zabiegów - okazały się warte zachodu. Macierzyństwo odmieniło Kathy, wyzwoliło ją z ostrożnego, obronnego zajmowania się wyłącznie sobą. Zdaniem Joego był to nie tylko efekt miłości Brandona do matki, ale także tego, że Kathy po raz pierwszy w życiu się zakochała - w swoim synu.

Riordan poczerwieniał. Był wyraźnie zszokowany.

- Twoja siostra poszła do... jednego z tych miejsc? Do kliniki? Została... sztucznie zapłodniona? - Przez chwilę kręcił głową z dezaprobatą, a potem rozejrzał się wokół podejrzliwie i pochylił do Lassitera. - Jeśli nie będziemy uważać, kobiety przejmą władzę. Śmiejesz się, a ja mówię poważnie. Będziemy jak pieprzone pszczoły...

Lassiter musiał mieć zaskoczoną minę, bo Riordan poczuł się zobowiązany do wyjaśnień.

- Trutnie - dodał, kiwając głową. - Pszczoły nie mogą się bez nich obejść, ale co za to dają?

Powiem ci, co się dzieje: kiedy nadchodzi zima, wywalają trutnie z ula... i chłopcy odmrażają sobie dupska. - Przerwał na chwilę, po czym oświadczył: - To samo może przydarzyć się rase ludzkiej. - Zmarszczył brwi i zrobił zmartwioną minę, jakby powiedział zbyt wiele. - Nie mam nic przeciwko twojej siostrze... - mruknął i westchnął potężnie, jakby chciał wyrzucić z siebie całe zmęczenie, a potem odsunął krzesło do tyłu, wstał i wyciągnął rękę. - Dzięki, że przyszedłeś.

- Ja też dziękuję. Doceniam twój wysiłek. - Uścisnęli sobie dłonie. - Przepraszam, jeśli...

- Eee... daj spokój! - Riordan sprawiał wrażenie rozkojarzonego. - Choć nie powiem, żebyś mi wiele pomógł. Mam na myśli twoją siostrę... - Pokiwał smutno głową. - Nie mam niczego, za czym dałoby się pójść. - Pomacał się pod pachą i poprawił kaburę. - Nie chodzi o miłość, nie chodzi o pieniądze, nie chodzi o rodzinę. Nie wiem... może facet jest marionetką...

- Mogę zadać ci pytanie?

Riordan włożył sportowy płaszcz i poprawił krawat.

- Jakie?

- Chodzi o „Comfort Inn”. Dzwonił stamtąd?

Detektyw postukał krawędzią paczki papierosów o nadgarstek, wyciągnął jednego zębami i zaczął oklepywać kieszenie w poszukiwaniu zapalek. Kiedy wychodzili z budynku, zapalił, zaciągnął się i wypuścił strużkę dymu w szare niebo.

- Nie wiem. Chyba nie sprawdzaliśmy. - Zaciągnął się ponownie i dodał: - Ale to zrobimy.

11

Kilka dni po pogrzebie Lassiter znów zaczął słuchać radia w samochodzie. Przez jakiś czas nie włączał go, ponieważ zaraz po morderstwach, kiedy skakał ze stacji na stację, szukając jazzu w WPFW, wciąż natykał się na wiadomości. Nie podawano w nich nic nowego na temat pożaru i podwójnego morderstwa - wymieniano fakty, kilka słów powiedział Riordan - ale mimo to było coś mrocznego, niepokojącego w słuchaniu raportu o rodzinnej tragedii, wepchniętego jako trzydziestosekundowy kawałek między Howarda Sterna a wiadomości dla kierowców.

„Mówię ci, Robin, rano byłem tak strasznie napalony - nie żartuję, naprawdę! (...) Chłopiec miał gardło poderżnięte od ucha do ucha... (...) Na zewnętrznym pasie Beltway jedzie się zderzak w zderzak...”.

Teraz słuchał reportażu o kobiecie, której ciało znaleziono w bagażniku samochodu, zaparkowanego na jednym z parkingów wokół lotniska National. Rozmawiano z rzecznikiem policji. Mówił, że samochód zwrócił na siebie uwagę, ponieważ przy nietypowo ciepłej pogodzie zwłoki zaczęły się rozkładać. Kobieta została zidentyfikowana. Lassiter miał nadzieję, że jej rodzina nie słucha tego reportażu.

Potem nadawano wiadomości dla kierowców.

„Jadąc na południe G.W., stoi się na hamulcach od Spout Run do mostu Memorial” - informował spiker. I rzeczywiście - jak okiem sięgnąć, w przodzie widać było czerwone światła.

Minęły prawie dwa tygodnie od morderstw i Joe powoli zaczynał się przyzwyczajać. Już nie szokowała go myśl, że jego siostra i siostrzeniec zostali zaszlachtowani w czasie snu, we własnych łózkach. Nie żyli, po prostu nie żyli - i tyle. Podobnie się stało, kiedy zginęli rodzice. Po pewnym czasie miał trudności z przypomnieniem sobie ich twarzy, a jeszcze później wręcz mu się zdawało, że tak naprawdę nigdy nie żyli.

Zjechał przy moście Key i zaczął się przebijać Whitehurst Freeway do ulicy E.

Siedział już jakąś godzinę za biurkiem, kiedy zadzwoniła Victoria i poinformowała go, że ma na linii dziennikarza z „Washington Post”. „Chodzi o sprawę związaną z twoją siostrą” - dodała. Było to dosyć zaskakujące. Media nie interesowały się zbyt długo takimi sprawami, już następnego dnia zwiewały je ze stron gazet i fal radiowych świeższe i równie okrutne wydarzenia.

Kobieta, która dzwoniła, musiała być młoda, sprawiała też wrażenie mocno zdenerwowanej. Miała południowy akcent i dziwaczny zwyczaj wypowiedzienia zdań twierdzących jak pytania.

- Johnette Dały? Przepraszam, że przeszkadzam, panie Lassiter, ale mam zamknięcie numeru? Chciałabym...

- W czym mogę pomóc?

- Hm, chciałabym się dowiedzieć, jak pan zareagował... Czy chce pan skomentować to, co się stało?

Joe był zaskoczony. Ma „skomentować to, co się stało”? Na aparacie telefonicznym zapalił się kolejny przycisk, oznaczający ważną rozmowę - inaczej Victoria zanotowałaby wiadomość.

- O co chodzi? - spytał. - Piszecie retrospektywny artykuł? Zapadła chwila ciszy, a potem dziennikarka ściszym głosem powiedziała:

- Ochmójbożże... To znaczy pan nic nie wie? - Nie czekając na odpowiedź, mówiła dalej: - Byłam pewna, że zaraz do pana zadzwonią. Nie wiedziałam, że...

- O co chodzi?

- Nie chciałam być osobą, która mówi to panu pierwsza, ale... na cmentarzu Fairhaven? Ktoś wykopał pańskiego siostrzeńca... jego ciało? Jakiś wandal albo ktoś w tym rodzaju. I...

- Co?! To jakiś żart?

- Policja nie chce rozmawiać na ten temat, więc pomyślałam sobie, że może pan...

- Przepraszam. Nie mogę w tej chwili rozmawiać.

Przez dłuższą chwilę siedział bez ruchu ze słuchawką w rękę, a potem zadzwonił do Riordana. Detektyw zaczął przeproszać, że wiadomość przekazała mu dziennikarzyca, która podsłuchiwała za pomocą skanera policyjną radiostację.

- Sam dopiero się o tym dowiedziałem - oświadczył - ponieważ nie od razu skojarzono, że to grób ofiary morderstwa, i potraktowano zgłoszenie jak akt wandalizmu. Przepraszam. Ktoś od nas powinien był do Ciebie zadzwonić. Ktoś coś spał. - Westchnął. - Prawdopodobnie ja.

- Co się, do cholery, stało?

- Przypuszczamy, że wydarzyło się to między północą a siódmą rano. W nocy na cmentarzu jest strażnik, ale siedzi w budce i ogląda telewizję. Nic nie słyszał, nic nie widział. To duży teren. W każdym razie jakiś gość przyszedł z samego rana odwiedzić grób matki i zauważył, co się stało.

- Co zrobili? Wykopali ciało Brandona? Po co? Czy... zabrali ciało? - W głowie Joego zadudniło: HIENY CMENTARNE.

W słuchawce przez chwilę panowała cisza, a potem Riordan odchrząknął.

- Ta reporterka... chyba ci wszystkiego nie... nie powiedziała... - Mówił powoli, z trudem wyduszając z siebie słowa. - Ciało twojego siostrzeńca zostało... wyjęte z trumny. Potem - jak twierdzi laboratorium - właśnie czytam ich raport - „Sprawca użył zapalnika magnezowego...”.

- Co?!

- To cytat z raportu: „Sprawca użył zapalnika magnezowego oraz mieszanki sproszkowanego aluminium i tlenku żelaza, popularnie zwanej...”.

- Termitem.

- Właśnie. I... podpalił zwłoki. Znowu. Spalił twojego siostrzeńca ponownie. - Riordan zrobił przerwę. - Ciarki mi chodzą po plecach.

- Dlaczego ktoś miałby robić coś takiego? - zapytał skonsternowany Lassiter.

- Dobre pytanie - mruknął Riordan i powiedział coś o konieczności sprawdzenia okolicznych okręgów pod kątem podobnych wydarzeń. - Jak na razie jeszcze nic nie mamy. Czasem zdarzają się podobne rzeczy. Rozumiesz... bezczeszczenie grobów. Z nienawiści albo innych powodów. Ale coś podobnego?

- Zapalnik magnezowy? Termit?

- Wiem, co chcesz powiedzieć. Snuto już na ten temat wiele dziwnych domysłów, w dodatku przy obiedzie!

- Na przykład?

- Daj spokój...

- Na przykład?

- Że ktoś szuka jakiejś części ciała, że to sataniści... tego typu bzdety. A ja chciałbym wiedzieć, jaki to ma związek z morderstwami. - Odchrząknął i dodał: - No, jedno w każdym razie wiemy.

- Co?

- Że nie zrobił tego pan NN.

Kilka godzin później, po południu, Lassiter poszedł pobiegać z nadzieją, że rozjaśni mu się w głowie, myślał jednak wyłącznie o zwęglonej masce, która kiedyś była twarzą Brandona. Gdy skończył biegać, wrócił do samochodu i pojechał na cmentarz, gdzie niewielki kwadrat ziemi otoczono żółtą taśmą. O pobliski nagrobek opierał się mundurowy policjant i palił papierosa. Kiedy Lassiter się zbliżał, pstryknął na bok peta i zagroził drogę.

- To grób mojej siostry. I siostrzeńca - wyjaśnił Joe. Policjant popatrzył na niego i wzruszył ramionami.

- Jeśli nie przejdzie pan za taśmę...

Lassiter stanął z boku i popatrzył na wydzielony kwadrat. Grób Kathy pokrywały przekwitłe kwiaty, białe wstążki drżały na wietrze. Tuż obok leżał przewrócony nagrobek Brandona, zaraz przy nim zaczynała się dziura. Wykopana ziemia była spiętrzona w stertę, zdawało się, że jest jej więcej, niż mogłoby się zmieścić w wykopie. Wokół widać było resztki materiałów do zbierania śladów - nagrobek obsypano proszkiem, tu i ówdzie bielila się również ziemia - w miejscach, z których zebrano odciski butów, ślady po łopacie i tym podobne. U stóp grobów był jeszcze jeden płaski wykop. Najwyraźniej tam leżało ciało Brandona. Technicy próbowali zebrać spalone szczątki, ale nie do końca im się to udało. Pozostało kilka czarnych pasm i trochę małych, ciemnych grudek popiołu. Rozproszony popiół przypominał Joemu dzieciństwo, ich wielki dom w Georgetown i posypane w zimie popiołem ośnieżone frontowe schody.

Widok czarnych pasm i grudek popiołu poruszył go do głębi. Resztki spalonych zwłok czyniły to, co się stało, realnym - ktoś naprawdę spalił ciało małego Brandona. Najpierw wykopał je i wyjął z trumny, a potem według Riordana oblał benzyną, zapalił i unicestwił.

Po powrocie do domu jego wnętrze wydało się Lassiterowi zbyt wielkie i za ciche. Zadzwoił do Claire i obiecała, że wpadnie.

Jednak zaraz potem zadzwonił ponownie i poprosił, by nie przyjeżdżała. Powiedział jej, co się stało, i dodał, że chyba jednak woli być sam.

Obudził się w nocy i próbował przypomnieć sobie coś, o czym rozmyślał we śnie. Wydawało mu

się to bardzo ważne. Dotyczyło ciała Brandona i musiał zadzwonić do Riordana, by mu o tym powiedzieć. Nie mógł sobie jednak przypomnieć, o co chodziło. Cały czas tkwiło gdzieś w głębi jego głowy, ale im dłużej o tym myślał, tym bardziej się oddalało i w końcu zostało wyparte przez inne myśli. Sfrustrowany, wiercił się i przewracał z boku na bok przez resztę nocy.

W porannym wydaniu „Washington Post” był artykuł na temat tego, co się wydarzyło na cmentarzu. Nie chciał go czytać, ale nie mógł oderwać wzroku od nagłówka:

ZBEZCZESZCZENIE GROBU OFIARY MORDERSTWA

Po południu miał dziwny telefon z Domu Pogrzebowego Evansa, który zajmował się pogrzebem Kathy i Brandona.

- Poprosił mnie o kontakt z panem wydział policji - powiedział mężczyzna ściszo, modulowanym głosem, mającym wyrażać współczucie. - Czy kiedy... ee... zakończone zostanie badanie... ee... szczątków, chce pan, byśmy zajęli się ponownym ich złożeniem do ziemi?

Lassiter wyraził zgodę.

- Chciałby pan wybrać nową trumnę? Policja... ee... wydała starą, ale była nieco... zniszczona...

Joe poprosił o nową trumnę.

- Jeszcze jedno, panie Lassiter. Ee... - Przedsiębiorca pogrzebowy się zawahał, jakby wkraczał na nieznaną teren. - Czy chciałby pan... być obecny przy... składaniu ciała do ziemi? - Zakasłał. - Kiedy będziemy chować pańskiego siostrzeńca ponownie. I czy życzy pan sobie drugiej ceremonii?

Joe odniósł wrażenie, że serce mu się odrywa i gdzieś ucieka.

- Żadnych ceremonii - wykrztusił z trudem. - Ale chcę być przy tym obecny.

- Oczywiście. Zawiadomimy pana.

Dwa dni później był kolejny przepiękny dzień i Joe znów stał na cmentarzu. Ponowne oglądanie opuszczania do małej dziury w ziemi małej trumny miało w sobie coś surrealistycznego.

Tym razem nie było jednak pastora, wzniosłych słów i żałobników - poza nim i Riordanem, który pojawił się w połowie całej operacji. Zasypali trumnę we dwóch. Wysiłek fizyczny dobrze zrobił Lassiterowi, grób był jednak niewielki i sypanie ziemi nie zajęło im zbyt wiele czasu. Postali kilka minut, po czym Lassiter się odwrócił.

- Niesamowite... - mruknął detektyw i pokręcił głową. Wyjął papierosa, zaczekał jednak z zapaleniem, aż odeszli spory kawałek.

Po drugim „pogrzebie” Brandona Riordan dzwonił co dwa dni.

- Muszę ci powiedzieć, Joe, że nadal niczego nie wiemy. Mamy co prawda dobry odcisk ostrza łopaty i kilka odcisków butów - to Nike, model Cheftain, numer dziesięć, nowe - ale poza tym nic. Żadnych odcisków na trumnie ani nagrobku. Ktoś, kto to zrobił, nosił rękawiczki.

Śledztwo posuwało się powoli, z przerwami, ale bez większych postępów. Riordan dbał o to, by informować Joego na bieżąco, dawało mu to bowiem nadzieję, że Lassiter zostawi go w spokoju. Kiedy dzwonił, zawsze wymieniał nowe zebrane dowody.

ODCISKI PALCÓW.

- Zgadnij, czyje?

- Nie muszę zgadywać. Tego poparzonego.

Odciski NN były wszędzie: na nożu, w samochodzie, na portfelu znalezionym w „Comfort Inn”. Były to przydatne dla sprawy dowody, ale nie mówiły nic o tożsamości sprawcy - w dalszym ciągu pozostawał NN.

- Faceta nie ma w systemie - dodał Riordan.

Miał na myśli komputer FBI z ponad stoma milionami kompletów odcisków palców. Były to wzory linii papilarnych wszystkich ludzi, którzy kiedykolwiek zostali aresztowani, składali wniosek o certyfikat bezpieczeństwa albo sprzedaż broni i wszystkich, którzy służyli w wojsku. A także

taksówkarzy, kierowców autobusów i urzędników rządowych.

- Prawie każdy jest w systemie - mruknął Lassiter.

- Tylko prawie...

- Rozumiem. Mają tam całą masę ludzi. Mają ciebie, mnie. Nie mają jednak pana NN.

KREW, WŁOSY, TKANKA.

- Wszystko idealnie pasuje. Odciski na nożu są jego. Krew na nożu też. Ale włosy są Brandona.

A skóra...

- Jaka skóra?

- Pod paznokciami twojej siostry. Też należy do NN. Było to zresztą wiadomo nawet bez badania DNA. Doktor powiedział, że po naszym chłopczyku „przeciągnięto grabiami”... ma cztery głębokie zadrapania od paznokci na policzku. Nie widzieliśmy tego z powodu bandaży. Posadziliśmy na oddziale rysownika. Zrobił kilka szkiców i ostatni jest świetny! To NN bez poparzeń, bez bandaży. Ma włosy i brwi. Jeśli nie miał jakiejś dziwacznej fryzury, wiemy dokładnie, jak wyglądał.

- I co?

- Pokazaliśmy te rysunki w dwudziestu sklepach z bronią, w paru spelunach z wyposażeniem wojskowym i wiesz, czego się dowiedzieliśmy? Sprzedawca w Springfield twierdzi, że sprzedał gościowi nóż K-Bar. Trzy, może cztery tygodnie temu.

- Pamięta to?

- Jakby to było wczoraj.

- Jakim sposobem?

- Mówi, że facet wyróżniał się jak bocian. Miał na sobie zagraniczny, bardzo luźny garnitur...

- Armani.

- Możliwe. W każdym razie w „Sunny’s Surplus” nieczęsto coś takiego widują. Widują koleśki w kombinezonach i bojówkach albo dzieciaki z ostrzyżonymi głowami w czarnych dżinsach. A ten facet był... cytuję: „Prosto z G.Q.”. Na pewno niedługo odkryjemy jego tożsamość.

Mijały dni. W szpitalu kolejni znudzeni policjanci pilnowali pokoju więźnia i sprawdzali każdego, kto przychodził i wychodził. Nie miało to jednak większego sensu, bo do chorego wchodził jedynie pracownicy szpitala, a poza Joe Lassiterem i prasą nikt nie dzwonił z zapytaniami o stan jego zdrowia.

W poniedziałek przed Dniem Dziękczynienia Riordan zadzwonił z informacją, że doktorzy usunęli z gardła NN rurę do oddychania, może więc odpowiadać na pytania. Wyznaczono przesłuchanie na środę.

- I co dalej? - spytał Lassiter.

- Przeniesiemy go do Fairfax, a potem oskarżymy. Nawet jeśli będzie w wózku inwalidzkim.

W opinii lekarzy stan pacjenta znacząco się poprawił, choć nigdy nie będzie „jak nowy”. Miał głębokie blizny na szyi i po lewej stronie twarzy, trwale zniszczona została też część krtani i tkanki płucnej.

- Nie spodoba mu się to - stwierdził Riordan, kiedy opowiedział o tym Joemu.

- A komu by się podobało?

- Z tego, co mówią doktorzy, wynika, że gość był chyba sportowcem. W każdym razie ich zdaniem jest w doskonałej formie... a raczej był.

- Biegacz?

- Nie... raczej nie. Jest trochę za duży. Może był bokserem. Albo futbolistą. Bramkarzem. Nie

wiem. Kimś, kto musi być duży. Może był żołnierzem.

- Dlaczego tak sądzisz?

- Lekarze pokazali mi rentgeny i wygląda to, jakby nieraz dostał. Jakby go torturowano albo coś w tym rodzaju.

- Możesz dokładniej?

- Ma kilka starych złamań i sporo blizn. Najwięcej blizn na plecach... jakby go biczowano.

- Słucham...?

- Nie żartuję. Powinieneś to zobaczyć. Był też postrzelony. Wygląda to na stary postrzał ze strzelby: od przodu, w prawy bark. Kula wyszła pół centymetra od kręgosłupa. Ale jest jeszcze coś...

- Co?

- Moim zdaniem facet jest kafelkarzem.

- Kim? Riordan zachichotał.

- Doktorzy mówią, że ma na kolanach wielkie, grube odciski. Więc od razu pomyślałem: kafelkarz. W jakiej innej robocie można się tego nabawić?

Lassiter zastanawiał się przez chwilę.

- Nie wiem - powiedział w końcu.

- Widzisz! Dam teraz sprawie odpocząć.

12

W środę rano, kiedy Riordan miał przesłuchiwać NN, Joe Lassiter pojechał do swojego biura w Foggy Bottom i zaczął udawać, że pracuje, ale tak naprawdę przez cały czas czekał na telefon od detektywa.

Jego gabinet był wielki i luksusowo urządony, miał działający kominek w stylu georgiańskim, wykładzinę dywanową gołębiego koloru i okna z widokiem na Wzgórze Kapitołińskie. Wyłożone boazerią z drzewa orzechowego ściany były ozdobione litografiami Hockneya. Pod jedną ze ścian stało bogato rzeźbione biurko, pod przeciwległą - dwa fotele z wysokimi oparciami i skórzana kanapa. Dzięki takiemu wystrojowi panowała tu atmosfera powagi i dyskrecji i taki był cel dekoratorskich zabiegów - uspokoić bogatych, ostrożnych i zmartwionych.

Firma Lassiter Associates zajmowała całe ósme piętro, co oznaczało, że poza gabinetem, w którym rezydował właściciel firmy, były tam jeszcze trzy narożne pomieszczenia. Jedno z nich służyło jako sala konferencyjna, pozostałe zajmowali dyrektorzy firmy - Judy Rifkin i Leo Bolton. Osiem gabinetów z oknami przyznano starszym detektywom albo osobom mającym uprawnienia do samodzielnego prowadzenia spraw, natomiast inspektorom terenowym i członkom zespołu zajmującego się gromadzeniem danych oraz sekretarkom i urzędnikom przydzielono boksy w centrum piętra. Poza Lassiterem w siedzibie firmy pracowało trzydzieści sześć osób, a w Nowym Jorku, Chicago, Londynie i Los Angeles kolejnych czterdzieści.

Środki bezpieczeństwa były znakomite i widoczne na każdym kroku - tak jak należało. Każdy, kto wchodził do biura, stykał się z nimi już w recepcji, gdzie system kamer nadzorował ruch pracowników i klientów. Gabinety z oknami były strzeżone przez system biometryczny, sprawdzający odciski palców. Kiedy gość minął recepcję i korytarz i wszedł do któregoś z gabinetów, stwierdzał, że okna są zasłonięte gumowanymi zasłonami, pochłaniającymi drgania - na mało prawdopodobny wypadek, gdyby ktoś próbował podsłuchiwać prowadzone wewnątrz rozmowy, używając lasera do namierzania drgań szyb. Szafy na akta zaopatrzone w masywne zamki numeryczne, a przy każdym

biurku stała niszczarka dokumentów. Ponieważ firma Lassiter Associates składała sprawozdania głównie dyrektorom dużych firm i znanym prawnikom, sporządzano je zazwyczaj w jednym egzemplarzu. Jeśli nie było innych instrukcji, raporty drukowano na papierze impregnowanym fosforem, co uniemożliwiało ich mechaniczne skopiowanie - wszelkie próby tego rodzaju kończą się wtedy otrzymaniem pustej kartki.

Firmowe komputery również wyposażono w odpowiednie zamki, jednak z punktu widzenia bezpieczeństwa znacznie ważniejsze było to, czego im brakowało: żaden nie miał stacji dyskietek, dzięki czemu nie można było kopiować danych. Wewnętrzne programy kontrolowały także pocztę elektroniczną. Gdyby nawet komukolwiek udało się włamać do systemu - choć ludzie z działu zabezpieczeń przysięgali, że to niewykonalne - studwudziestooś-miobitowy algorytm kodujący uniemożliwiał czytanie zawartości serwera.

Wszystko to było bardzo drogie i niektórzy uważali, że przesadne, ale Lassiter wiedział swoje: środki bezpieczeństwa sponały się same. Większość dochodów firmy pochodziła z dwóch źródeł: sporów prawnych, prowadzonych przez wielkie korporacje i bardzo bogatych ludzi, oraz fuzji i przejęć, zwanych przez wszystkich FIP. Jeśli żona hurtownika spożywczego chciała się rozwieść (i dostać pół majątku męża) albo dochodziło do „wrogiego” przejęcia firmy (i pojawiała się perspektywa kombinacji z cenami akcji), zazwyczaj gra szła o duże pieniądze. Często stawką były setki milionów dolarów, a dyskrecja absolutnie konieczna. Zdaniem Lassitera przeciwnik (zawsze był jakiś przeciwnik) nie powinien wiedzieć, że jego firma wspomaga jedną ze stron - chyba że, jak to się czasem zdarzało, uznano, iż informacja o uczestnictwie Lassiter Associates może mieć pożądany wpływ na przebieg pilotowanej sprawy. Zaczynano wtedy „hałaśliwe” śledztwo, do prasy docierały przecieki, prowadzono agresywny nadzór, rozmawiano z adwersarzami.

Jeszcze bardziej liczyło się jednak to, że klientom podobały się wszelkie objawy dbania o ich bezpieczeństwo. Podobały się prawnikom, podobały się maklerom giełdowym, podobały się dyrektorom firm. Kamery, tajne kody i systemy blokujące dawały im poczucie pewności i umacniały w przeświadczeniu, że odpowiednio wydali swoje pieniądze. Mieli też dzięki temu wrażenie, że uczestniczą w znaczącej grze. Leo określił to tak: „A co tam! Za dwieście dolców za godzinę, które nam płać, możemy zawiesić toaletę na sprężynach”.

Ale nawet dysponując najnowocześniejszą na świecie techniką, Joe Lassiter nie mógł zmusić Jimmy’ego Riordana do wykonania telefonu. Rano powiedział sekretarce, by łączyła go tylko z Riordanem, i efektem tego była niezwykła cisza w południowo-zachodnim rogu ósmego piętra. Lassiter zamówił kanapki z roznoszącej je po biurach firmy „Le Bon Appetit”, zwanej przez dzieciaki z uniwersytetu „Bonę” *, a potem zjadł je, siedząc przed kominkiem i przewracając kartki w egzemplarzu *Wojny informatycznej*. Powoli popołudnie przechodziło w wieczór i wkrótce Joe zaczął myśleć o pójściu do domu.

Uznał, że musiał się pojawić jakiś problem. Może NN zażądał obecności adwokata i nie mogli nikogo znaleźć. Może chodziło o język, choć nie, raczej nie, bo Riordan wspomniał, że zabiera ze sobą tłumacza - znajomego zarówno włoski, jak i hiszpański. Może pogorszył się stan zdrowia NN. Może...

Telefon zadzwonił piętnaście po piątej. Słońce zachodziło już nad cmentarzem Arlington.

- Właśnie wróciłem - zaczął Riordan.

- I...?

Detektyw milczał przez chwilę, a potem oświadczył:

- Nie dowiedziałem się absolutnie niczego.

- Jak to?

- Zaczekaj - powiedział Riordan i wrzasnął do kogoś w pobliżu: - Tak, tak, tak, daj mi może pięć minut, co?! - Potem wrócił do rozmowy z Lassiterem: - Był jak ściana. Nie powiedział ani słowa. *Nada.*

- A co z prawnikiem? Spytałeś go...

- Nie rozumiałeś. Powtarzam: nie powiedział zasranego słowa. Niczego. Przeczytaliśmy mu jego prawa w trzech językach i...

- Jesteś pewien, że zrozumiał?

- Zrozumiał. Widziałem to w jego oczach. Zrozumiał każde moje słowo. Co z tego?

- Powinien mieć adwokata.

- Oczywiście! Po kilku godzinach znalazłem mu papugę. Pomyślałem: co mi tam, może ten facet coś z niego wydusi? Nazwisko. Cokolwiek. Zaczekaliśmy więc, aż przyszedł prawnik. Potem usiadłem sobie na korytarzu, adwokat wszedł do środka i gadał. I wiesz co? Przegadał całe pół godziny sam. NN nie powiedział zasranego słówka. Wróciłem więc do środka i wyjaśniłem mu wszystko po kolei. Powiedziałem, jaki to wspaniały kraj, że wszyscy są tu równi i nieważne, kim się jest, liczy się jedynie, co kto zrobił. Dobrego albo złego. Wyjaśniłem, że nie potrzebujemy jego nazwiska, by go oskarżyć czy nawet skazać. Że może iść na sprawę jako NN, a wyrok będzie taki sam. Jednak jeśli nie będzie współpracował, jest trupem. Trupem bez nazwiska, ale trupem.

- Tak mu powiedziałeś?

- Jasne. Dodałem też, że jest oskarżony o morderstwo pierwszego stopnia i podpalenie i mamy dość dowodów, by go skazać. Wyliczyłem dowody i pokazałem mu nóż.

- Wzięłeś nóż do szpitala?

- Wziąłem do szpitala różne rzeczy. Nie martw się, wszystko odbyło się zgodnie z przepisami.

- Jak zareagował?

- W ogóle nie zareagował. Widziałeś Sfinksa? - Riordan zachichotał. - Jedyłą reakcję sprowokowałem butelką.

- Jaką butelką?

- Tą na perfumy, czy do czego to kurestwo jest. Buteleczką z jego kieszeni.

- Co zrobił, kiedy mu ją pokazałeś?

- Nie umiem tego dokładnie opisać, ale wyglądało na to, że coś dla niego znaczyła. Tak jakby... rozszerzyły mu się oczy.

- Rozszerzyły mu się oczy...

- Właśnie.

- No, no!

Riordan zignorował sarkazm w głosie Joego.

- Mówię poważnie. Buteleczką go zaskoczyła. Każę zrobić jeszcze raz analizę wody, która w niej była. Może jest w niej coś, czego nie zauważyli. Jakiś narkotyk...

- I co dalej?

- No więc powiedziałem mu, że mam prawo robić prokuratorowi sugestie. Czy ma wnioskować o karę śmierci, czy o dożywocie... granica jest płynna, rozumiesz? Powiedziałem, że mamy dowody na działanie z premedytacją, że nie uda mu się z tego wyłgać i że za parę dni zabierzemy go do panczernej sali szpitala ogólnego w Fairfax, a wtedy...

- Co to jest „pancerna sala”?

- Izolatka szpitalna z kuloodpornymi szybami. Wiesz, ilu ludzi podczas popełniania przestępstwa doznaje ran? Nie uwierzyłbyś. Dlatego każdy okręg sądowy ma coś takiego. W Waszyngtonie w DC General, tutaj w Fairfax. Stawianie na całą dobę wartownika kosztuje od cholery pieniędzy, więc kiedy tylko podejrzany jako tako wraca do zdrowia, przenosi się go do panczernej sali. Są tam kraty, stalowe drzwi, zamek na zewnątrz... Powiedziałem NN, że kiedy będzie w na tyle dobrym stanie, by wyjść z pancernego pokoju i ze szpitala, jego sytuacja znacznie się pogorszy, bo wtedy oskarżymy go i pójdzie do więzienia hrabstwa. Może do lazaretu, jeśli będzie jeszcze nie całkiem zdrowy, ale na pewno do więzienia. Wiedziałem, że doktorzy zdjęli mu dawki prochów - tylko na dzień, żeby mógł gadać i nie był otumaniony - iw którymś momencie zobaczyłem, że go bierze i nie miałby nic przeciwko zastrzykowi. Oczywiście siedział ze mną jego adwokat i nie mogłem gościa straszyć, ale powiedzieć, że personel lazaretu więziennego jest zajęty jak pies z dwoma fiutami to mogłem...

- Jezu, Riordan!

- Powiedziałem prawdę! Że są zajęci i prawdopodobnie nie będą w stanie zapewnić mu takich wygód, jakie ma tutaj. Nie kłamałem. Powiedziałem mu też, że rok temu - można to sprawdzić w „Post” - wybuchł okropny skandal, kiedy okazało się, że żaden z pacjentów lazaretu nie dostawał nic przeciwbólowego, bo pielęgniarki dawały chorym placebo, a prawdziwe prochy sprzedawały na bloku.

- Jim...

- Powiedziałem mu, że jeśli okazałby się nieco bardziej pomocny, może mógłby zostać w szpitalu - oczywiście w panczernej sali - nieco dłużej. Może tydzień. Dwa. Da mu to więcej czasu do stanięcia na nogi.

- I co?

- Nic.

- Jesteś pewien, że cię zrozumiał?

- Jasne.

- Jak możesz być tego pewien, skoro w ogóle się nie odzywał?

- Bo zna angielski. Rozmawia z pielęgniarkami. Mówi im, że chce mu się pić. Że jest głodny. Że go boli. Gada z nimi jak ta lala. Poza tym... znam się na tym. Przesłuchiwałem kilka tysięcy ludzi i ten facet... To twarde. Mogę przysiąc, że nie było to jego pierwsze przesłuchanie.

Lassiter bez trudu uwierzył. Riordan naprawdę się na tym znał.

- Nie masz nic więcej?

- Niestety nie. Doktor nas w końcu wyrzucił. - Znudzonym, monotonnym głosem Riordan wyrecytował: - „Pa-hac-jent potrzebuje odpo-oo-czynku”. Posłał pielęgniarkę po demerol, a my wstaliśmy, bo NN wyglądał naprawdę kiepsko. Pocił się i co chwila - kiedy się poruszył - jęczał cicho. Zrobiłem więc groźną minę i oświadczyłem, że niedługo wrócę. Wtedy NN popatrzył na mnie z tym swoim zasranym uśmiechem i wiesz, co powiedział?

- Co?

- „Ciao”.

- Ciao...?

- Właśnie. Jakbyśmy występowali w *Słonecznym patrolu* albo czymś takim.

Lassiter milczał przez chwilę.

- I co zamierzasz? - zapytał w końcu.

- Dokładnie to, co mu powiedziałem. Zacznę od przeniesienia go do pancерnej sali. Doktor mówi, że jeśli wszystko pójdzie dobrze, da się to zrobić w przyszłym tygodniu.

W dniu Święta Dziękczynienia Lassiter wstał z łóżka o ósmej rano i stwierdził, że pogoda zaczyna się gwałtownie zmieniać. Za oknami wirowały płatki śniegu, wielkie i wyraźne - jak w czołówce filmów o Bożym Narodzeniu.

Ubrał się szybko, złapał z kuchni kilka puszek tuńczyka i ruszył do samochodu. Miał uczestniczyć w Turkey Trot w Alexandrii - biegu na osiem kilometrów, który co roku ściągał ponad dwa tysiące biegaczy. Kiedy powoli przedzierał się przez kłębowisko śnieżnych płatków, musiał pochylić się do przodu, na kierownicę. Widoczność była tak kiepska, że samochody przed nim były jedynie czerwonaświatłą, zapalającą się i gasnącą za ścianą śniegu. Był to ten rodzaj śniegu, o którym mówi się, że „nie utrzyma się” albo „nie zwiąże się z podłożem”, ale kiedy dojechał do Alexandrii i znalazł miejsce do parkowania, cały świat był biały.

Mnóstwo osób twierdzi, że podczas biegania można przemyśleć wiele ważnych spraw, bo powtarzalność ruchów pozwala umysłowi swobodnie „pływać”. Lassiter do nich nie należał. Nigdy nie myślał w trakcie biegania o swoich problemach, zastanawiał się jedynie nad tym, gdzie postawić nogę i kiedy zawrócić. Albo nad tym, czy ból w kolanie jest oznaką czegoś poważnego, czy jedynie grą wyobraźni.

Podczas tego biegu jego myśli również biegleły podobnym torem. Zastanawiał się nad tempem i jak daleko ma do następnego słupka kilometrowego. Rysował w myśli wektory, po których zamierzał wyprzedzać biegnących przed nim ludzi. Mrugał, by strzepnąć śnieg z oczu, słuchał chrapliwych oddechów biegaczy wokół i dziwił się, że mu tak gorąco - choć powietrze jest takie zimne. Myśli wirowały jak śnieg i niosły go do mety. Bardzo lubił w bieganiu to, że blokowało myślenie. Kiedy biegł, miał wrażenie, że dusza opuszcza ciało, a jedyne, co pozostaje, to ruch.

Gdy finiszował, uświadomił sobie nagle, że na ostatnich kilkuset metrach po obu stronach ulicy stoi tłum i pozdrawia nadbiegających. Wykrzykiwano wyrazy zachęty, dopingowano biegaczy okrzykami „Świetnie wyglądasz!” albo „Już niedaleko!”. Kiedy przecinał kreskę mety, poprzez śnieg zalepiający tarczę stopera odczytał czas: 31.02. Nieźle. Koordynator biegu krzyczał: „Panowie na lewo, panie na prawo!” - i Joe pobiegł za niskim facetem w czerwonych spodniach. Czuł obecność ludzi wokół siebie - ciężko oddychali, mieli zaczerwienione twarze, z ich barków i czubków głów unosiła się para. Śnieg wciąż padał wielkimi, pozbawionymi ciężaru plackami.

Joe byłby gotów przysiąc, że podczas biegu o niczym nie myślał. Ze miał całkowicie pusty umysł. Ale gdy oderwał pasek z numerem i podał go mężczyźnie w czerwonych spodniach, z zaskoczeniem stwierdził, że w którymś momencie podjął decyzję. Kiedy szedł między stołami z sokiem pomarańczowym i batonami, postanowił, że weźmie wolne. Wyjedzie na urlop - na tydzień, miesiąc, wszystko jedno. Na tak długo, jak będzie trzeba, by się dowiedzieć, dlaczego zamordowano Kathy i Brandona i kto za tym stoi. Decyzja została podjęta, koniec, kropka.

Wszedł do budynku szkoły po dres - leżał na parapecie okna, tam, gdzie go zostawił. Gdy zaczął robić ćwiczenia rozciągające nóg, pokręcił głową zdumiony, że tak wiele czasu zajęło mu podjęcie tej decyzji - choć nie pamiętał, by nad nią rozmyślał. Jaki sens miało posiadanie agencji detektywistycznej, jeśli się z niej nie korzystało? Jeśli tylko ktoś z Wall Street chciał się czegoś dowiedzieć, przychodził do niego. Tak samo robili adwokaci z ulicy K. Więc dlaczego on sam miałby zostawiać sprawę tak ważną jak śmierć Kathy i Brandona gliniarzom?

Samochód był cały obsypany śniegiem. Joe starł ramieniem ile się dało z przedniej szyby i

wsiadł. Był rozgrzany od biegu i zanim znalazł kluczyki i uruchomił silnik, szyby pokryły się parą. Dmuchawa potrzebowała chwili, by ją wysuszyć, i mógł jechać.

Wiatr zaczynał się wzmacniać. Zawieszane nad skrzyżowaniami światła kiwały się na boki, znaki drogowe drżały. Śnieg opadał w stożkach blasku reflektorów ciągłą, poziomą falą. Za szarą jak łupek rzeką w ogóle nie było widać miasta. Przez śnieżną zawieruchę przebijało jedynie czerwone światło na szczycie obelisku Waszyngtona, migające jak groźne oko.

Pojechał prosto do swojego biura w Foggy Bottom - mostem przy Czternastej Ulicy przejechał do Independence Avenue, a potem skręcił na zachód. Wiatr pozrywał przewody elektryczne i nieliczne samochody z wahaniem przepelzały przez pozbawione światła skrzyżowania.

Na szczęście budynek, w którym mieściło się biuro, miał własny generator i wszystko działało. Joe zaparkował samochód w wielkim podziemnym garażu i ruszył szybkim krokiem do wind. Nawet pod ziemią słychać było wycie wiatru i czuło się przenikliwy chłód. Kiedy Joe jechał na ósme piętro, pot na jego plecach zaczął zamarzać.

Miał w biurze prysznic i natychmiast z niego skorzystał. Mięśnie stwardniały mu od biegu, ale gorąca woda je zmiękczyła i po pewnym czasie poczuł, jak kwas mlekowy znika. Ponieważ biegał po Mail cztery albo i pięć razy w tygodniu, miał w biurowej szafie ubrania na zmianę. Wycierając włosy ręcznikiem, włożył dżinsy i sweter i podszedł do biurka.

Po raz pierwszy w życiu własny gabinet go mierzył. Regały, boazeria, litografie - na kim chciał zrobić wrażenie? Na ścianach wisiało kilkanaście oprawionych zdjęć, ale na żadnym z nich nie było Kathy ani Brandona. Był jedynie on - ze sławnymi ludźmi. Lassiter podczas konferencji z księciem Bandarem, Lassiter ściskający rękę doradcy do spraw bezpieczeństwa narodowego prezydenta, Lassiter w helikopterze z generałami Połączonego Sztabu Operacji Specjalnych, Lassiter w „Forbesie”...

Na jednym ze zdjęć Lassiter pozował do fotografii w Army-Navy Country Club z przewodniczącym mniejszości senackiej, Bandarem. Senator - z zadartym podbródkiem, uniesionym kijem golfowym i elegancko ustawioną stopą - był archetypiczny: chłopiec z plakatu kampanii na rzecz Starych Pieniędzy i Amerykańskich Wartości. Joe natomiast wyglądał jak wariat: stał w odległości dwóch metrów, wydymał wargi, spoglądał dzikim wzrokiem i brał zamach kijem numer dziewięć jak cepem.

Obok tego „zdjęcia zawodowego golfisty” wisiał prezent od Judy: oprawiony w ramkę w kształcie serca artykuł z „Washingtonian” o najbardziej liczących się i pożądanym waszyngtońskich kawalerach. (Lassiter był numerem dwudziestym szóstym, co było w sumie dosyć pochlebne. A może i nie).

Kiedyś to wszystko było dla niego ważne, a przynajmniej zabawne, ale teraz straciło sens. Czy w życiu naprawdę chodzi o otwieranie kolejnych biur, zarabianie większej ilości pieniędzy, zbudowanie jeszcze większego domu? Po co? Przecież nawet nie lubił Bandara - czemu więc miał na ścianie jego zdjęcie?

Pozdjmował fotografie i postawił je w rogu. Potem wrócił do biurka i wziął kartkę papieru. Podzielił ją na pół pionową linią, po lewej napisał: FIRMA, po prawej: DOCHODZENIE.

Siedział przez chwilę i zastanawiał się, co robić. Problem w znalezieniu zastępstwa, nawet czasowego, polegał na tym, że odpowiadał za wiele spraw i nie do końca było wiadomo, gdzie kończy się jego odpowiedzialność. W efekcie robił wszystko, by sprawy się toczyły, co oznaczało, że zarówno działał koncepcyjnie, jak i gasił pożary, nadzorował sprawy i je prowadził. Można było

powiedzieć, że robił wszystko po trochu, albo ująć to inaczej - że robił to, na co miał ochotę. Jak scedować na kogoś innego coś takiego?

Pod słowem FIRMA napisał: BURT - WSZYSTKIE FIP, a niżej: RIFKIN - WSZELKIE INNE SPRAWY. Leo i Judy byli ambitni i mieli w firmie podobny status. Gdyby dał któremuś z nich przewagę, drugie by odeszło. Jednak nawet podzielenie zadań związanych z prowadzeniem firmy między nich nie wystarczało: było jeszcze wiele spraw natury administracyjnej, dotyczących przepływu pieniędzy, nowych zadań, kontaktów z klientami. W końcu Joe zdecydował się przekazać to Billowi Bohackerowi. Co prawda Bill pracował w nowojorskim biurze, ale mógł prowadzić sprawy stamtąd. Prawie połowa rachunków firmy i tak szła na Wall Street.

BOHACKER - ADMIN.

Przez chwilę się nad tym zastanawiał, po czym zapisał sobie, że musi poprosić Billa, by przyleciał w poniedziałek do Waszyngtonu. Mógł być na miejscu o dziewiątej rano. Spotkają się we czwórkę w sali konferencyjnej i ustalą szczegóły.

Włączył komputer, wpisał aktualne hasło i przejrzał sprawy, które prowadzono w Waszyngtonie. Bezpośrednio był zaangażowany jedynie w dwie z nich, choć każdą prowadzili dla ważnego klienta. Będzie musiał zadzwonić i wyjaśnić, dlaczego bierze urlop. Nie sądził, by stwarzali jakieś problemy, gdyby jednak - poleci im Krolla.

Zrobił kolejną notatkę z lewej strony kartki: AFL-CIO (ZADZWONIC DO UEHLEINA) i AMEX (ZADZWONIC DO REYNOLDSA). Po namyśle coś jeszcze dopisał. Potem wstał i podszedł do okna - śnieg zmienił się w deszcz ze śniegiem. Przez chwilę patrzył za jadącym Pennsylvania Avenue długim lincolnem i słuchał klaszczącego o okno mokrego śniegu.

Wrócił za biurko, usiadł i popatrzył na prawą stronę kartki, z nagłówkiem DOCHODZENIE. Poza tytułem nie było tam niczego. Zamknął oczy i opadł na oparcie fotela. Czy był jakiś punkt zaczepienia? Może Riordan zostawił coś niesprawdzonego, może istnieje coś, czego nie zrobiła policja? Siedział pół godziny, zanim napisał pierwsze słowo: BUTELKA.

Przy NN znaleziono tylko dwie rzeczy - nóż i małą buteleczkę. Policja wiedziała o nożu wszystko, czego dało się o nim dowiedzieć, ale buteleczka nic dla nich nie znaczyła. Riordan po raz drugi kazał zbadać jej zawartość, jednak może warto byłoby dowiedzieć się czegoś więcej o samej buteleczce? Wyglądała na drogą, a na pewno na niecodzienną. Może udałoby się zdobyć jej zdjęcie i mógłby zlecić któremuś ze swych ludzi, by się nią zajęli.

Poniżej napisał: COMFORT INN. Pamiętał, że pytał Riordana, czy NN dzwonił z motelu, ale nie przypominał sobie, by dostał odpowiedź. Oznaczało to najprawdopodobniej, że NN nie dzwonił, ale należało to sprawdzić.

13

Obudził go dźwięk dzwonka i oślepiające słoneczne światło - tak jaskrawe, że zakreśliło mu się w głowie i znów zamknął oczy. Telefon terkotał, a Joe, niczym zaskoczony przez słońce wampir, zataczał się po pokoju z zamkniętymi oczami. Znalazł w końcu aparat, złapał słuchawkę, odchrząknął i wymamrotał:

- Tttak?

- Spałeś? - spytał Riordan.

- Nie - skłamał Joe. Był to odruch. Nie wiedział dlaczego, ale zawsze, gdy budził go telefon, zaprzeczał, że spał. Nawet o trzeciej nad ranem miał poczucie winy - jakby świat oczekiwał od niego

nieustannej gotowości. Jeśli dzwoniący nie spał, to dlaczego on miał spać?

- Na pewno? - upewniał się Riordan.
- Jasne... jestem jak skowronek. Która godzina?
- Siódma zero zero.
- Zaczekaj sekundę.

Poprzedniego wieczoru nie było przez jakiś czas prądu i Lassiter zapomniał na nowo zaprogramować urządzenie zamykające i otwierające żaluzje i okiennice w oknach dachowych i świetlikach. Widział teraz dzięki temu drzewa za oknami - ich pnie i konary, gałęzie i liście pokrywał lód. Kapało z nich i migotały w słońcu, porażając wzrok. Lassiter sięgnął do wyłącznika na ścianie i dotknął go. Kiedy pokój powoli zaczął się zaciemniać, wrócił do telefonu.

- Co jest?
- Zabrano mi sprawę.
- Co? Dlaczego?
- Hm... z dwóch powodów. Po pierwsze... na pewno nie śpisz? Czasem dzwonię do ludzi i...
- W porządku, jestem całkowicie przytomny.
- Musisz być rannym ptaszkiem. Jak ja.
- Zawodowy nawyk.
- No więc... uważa się, że sprawa jest rozwiązana. Ale jeśli o mnie chodzi...
- Nie jest rozwiązana.

- Wiedziałem, że tak powiesz, jednak drugim powodem jest to, że znowu mamy podwójne zabójstwo w Annandale, a jedną z ofiar jest gliniarz.

- Przykro mi.
- Miał dopiero dwadzieścia cztery lata... miły dzieciak, nowy u nas. Zatrzymał się w sklepie spożywczym na kawę. Ojciec dwumiesięcznej dziewczynki, wracał do domu na obiad i nagle - BAM! - dostaje w łeb, kupując filiżankę kawy.

- To straszne...

- To nawet jeszcze nie połowa. Drugą ofiarą jest Tajlandka. Dostała obywatelstwo dwa dni temu. Pracowała w kasie w Święto Dziękczynienia, pięć osiemdziesiąt siedem za godzinę i - BIM BAM BUM! - trzykrotny postrzał w głowę. Witajcie w Ameryce! Radosnego Święta Dziękczynienia! Spoczywaj w pokoju.

- Posłuchaj, Jim, wiem, że to okropne, ale...
- Poza tym dostałem zaproszenie na konferencję i muszę się przygotować - przerwał mu Riordan.
- Konferencję?
- Właśnie. Jedna z tysiąca imprez za oceanem. Organizuje to Interpol. W Pradze. Byłeś kiedy w Pradze?

- Nie byłem. Co to za konferencja?

- Mam poprowadzić panel z paroma żabojadami i jednym ruskim. Kazali mi robić za „typowego amerykańskiego detektywa” czy coś w tym stylu. Mam nawijać o „pracy policyjnej w społeczeństwie demokratycznym”, ponieważ Czesi go nie mieli. Przynajmniej od dość dawna.

- No, no...

- W każdym razie na jakiś czas sprawę twojej siostry i siostrzeńca przejmuje Andy Pisarcik. Niegłupi chłopak. Poradzi sobie. Poczekał, zaraz dam ci numer do niego...

Lassiter poczuł, że ogarnia go zniechęcenie. Riordan był jednym z najlepszych detektywów od

zabójstw w północnej Wirginii, ale Joe nie mógł go zmusić, by nadal zajmował się sprawą zabójstwa jego siostry i siostrzeńca.

- Mogę zapytać o parę spraw... póki jeszcze mogę?

- Pytaj - odparł Riordan.

- Ten nasz człowiek... sprawdziłeś, czy dzwonił z motelu, w którym mieszkał?

Riordan zawahał się.

- Nie wiem... zaraz... „Comfort Inn”. Wiem, że kazałem to sprawdzić. Właśnie kompletuję akta dla Pisarcika. Zaczekaj sekundę. - Joe usłyszał szelest papieru. - Właśnie! Jest. Jeden telefon.

Dzwonił raz, do Chicago. Rozmawiał niecałą minutę, więc chyba nie było to nic ważnego.

- Do kogo dzwonił? Riordan znów się zawahał.

- Hmm... Co to ma, cholera... Dzwonił do hotelu „Embassy Suites”.

- I co?

- A jak myślisz? Odebrała telefonistka. Jeśli połączono go z kimś dalej, raczej trudno będzie się dowiedzieć z kim - powiedział Riordan obronnym tonem. - Nie zająłem się tym bliżej. O ile wiem, jest tam dwieście pokoi. Minutowa rozmowa? Moim zdaniem po prostu źle się połączył.

- A co z buteleczką?

- Zdjęliśmy kilka częściowych odcisków palców. Wszystkie należą do NN. Laboratorium przyjrzało się jeszcze raz jej zawartości i ponownie stwierdzili, że to czysta woda. Śladowe ilości zanieczyszczeń.

- Robiliście zdjęcia tej buteleczki, prawda? Byłaby możliwość dostania paru odbitek?

W słuchawce rozległo się głośne westchnienie.

- Zobaczą, co się da się zrobić, ale na tym koniec, Joe... to już nie moja sprawa. Od tej chwili gadaj z Pisarcikiem.

- Oczywiście. A co z domem z mieszkaniami na wynajem na Florydzie? Tym, w którym „Gutierrez” odbierał pocztę. Masz adres?

Riordan roześmiał się.

- Trzymaj się od tego z daleka - powiedział i odłożył słuchawkę.

W Chicago były cztery hotele o nazwie „Embassy Suites”, ale Lassiter nie chciał prosić Riordana o podanie właściwego adresu, zadzwonił więc do biura i posłał do „Comfort Inn” jednego z wywiadowców, byłego agenta FBI, Tony’ego Harpera. Był pewny, że Tony zdobędzie od recepcjonistki kopię rachunku za pokój - choć prawdopodobnie będzie to trochę kosztować. Nie pomylił się. Dwie godziny później Tony przefaksował kopię rachunku i pokwitowanie na sto dolarów za „wykonanie usługi”.

Poza potwierdzeniem dokonania rozmowy telefonicznej pod kierunkowy trzysta dwanaście, rachunek zawierał numer karty VISA, której „Juan Gutierrez” użył do opłacenia pobytu w motelu. Lassiter mógł za dwadzieścia pięć dolarów kupić spis udzielonych Gutierrezowi kredytów, ale za kilkaset mógł dostać coś znacznie cenniejszego: szczegółową listę wszelkich wydatków, dokonanych przy użyciu tej karty. A także przy użyciu drugiej karty - jeśli dobrze pamiętał, Riordan wspomniał, że Gutierrez miał dwie, i to dopiero od kilku miesięcy. Agencja mogła znaleźć drugą kartę na podstawie numeru pierwszej, a także wszystkie ewentualne pozostałe karty. Żaden problem.

Nie było to całkiem legalne, ale przekraczanie prędkości przy jeździe samochodem też nie jest. W epoce komputerów wtargnięcie w sferę cudzej prywatności to odpowiednik nieprawidłowego przechodzenia przez ulicę: jeśli cię złapią, płacisz mandat i idziesz dalej. Lassiter zaczął przerzucać

notes, aż znalazł numer florydzkiej firmy o nazwie „Mutual General Services”, zajmującej się wyszukiwaniem i sprzedażą danych.

„Mutual” handlowało informacjami i specjalizowało się w „czarnych” danych. Jeśli potrzebowało się wyciągów z kont bankowych, zastrzeżonych numerów telefonów, list płatności kartami kredytowymi czy kopii rachunków telefonicznych, mogli to wszystko dostarczyć - szybko i tanio. Według Leo robili to „w stary, dobry sposób”, czyli po prostu przekupywali kogo trzeba. Prawdopodobnie mieli na liście płac ludzi ze wszystkich ważniejszych firm wydających karty kredytowe i czekała ich w Ameryce świetlana przyszłość. „To fajna nisza - twierdził Leo. - Robią tylko jedno, ale za to dobrze”.

Lassiter zadzwonił do „Mutual General”, podał numer swojego konta i powiedział kobiecie, która odebrała telefon, że chce mieć kopie wszystkich rachunków, płaconych przez Gutierrezza kartą VIS A przez ostatnie trzy miesiące. Podał numer karty i dopłacił za ekspresową usługę.

Potem zaczął się zastanawiać nad rozmową telefoniczną z rachunku z „Comfort Inn”. Opłata wynosiła 1,25 \$ - policzono za minutę rozmowy międzymiastowej, co oznaczało, że musiała trwać nieco krócej.

Rozważał rozmaite ewentualności. Minuta, prawdopodobnie mniej. Nawet zrobienie rezerwacji trwa dłużej. Jeśli NN dzwonił do czyjegoś pokoju, raczej się nie dodzwonił: telefonistka potrzebowałaby chwili na połączenie go, telefon w pokoju zacząłby dzwonić... Wyglądało więc na to, że osoby, do której dzwonił, nie było w pokoju. Chyba że... chyba że dzwonił do siebie, do swojego „domu”. Może po prostu sprawdzał, czy nie zostawiono mu jakichś wiadomości w poczcie głosowej.

Lassiter też miał w biurze pocztę głosową. Zadzwonił pod własny numer, ponaciskał przyciski pozwalające przebić się przez system i sprawdził na zegarku, ile to trwa. Miał dwie krótkie wiadomości i odsłuchanie ich zajęło mu dziewięćdziesiąt dwie sekundy. Zapisał je, skasował i zadzwonił ponownie. Pięćdziesiąt jeden sekund.

Potem zadzwonił do hotelu.

- „Embassy Suites”, z kim pana połączyć? - zapytała telefonistka z centrali.

- Chciałbym rozmawiać z jednym z gości. Z Juanem Gutierrezem - odparł Joe i przeliterował nazwisko.

- Proszę chwileczkę poczekać. - Była to bardzo długa „chwileczka”, wypełniona kiepską muzyką.

W końcu usłyszał: - Przykro mi. Obawiam się, że nikt taki u nas nie mieszka.

Jedną z cech, która czyniła z Lassitera dobrego wywiadowcę, była dokładność. Jeśli zabrnął w ślepej uliczce, zawsze sprawdzał, czy nie ma jakiegoś zapasowego wyjścia. Zamiast więc odłożyć słuchawkę, powiedział:

- To ostatni jego numer, jaki mamy. Mogłaby pani sprawdzić jeszcze raz? Wiem, że minęło kilka tygodni i był w Chicago bardzo krótko, ale może zostawił jakiś numer? Mogłaby pani sprawdzić?

- Jest pan przyjacielem czy...

- Nie. Jestem adwokatem pani Gutierrez - odparł. - Bardzo się martwi.

Znów usłyszał kiepską muzykę. Nie bardzo wiedział, czego się spodziewać, nawet jeśli się okazało, że NN mieszkał u nich. Może był jeszcze jakiś inny rachunek, może prowadzono dalsze rozmowy telefoniczne...

W końcu muzyka umilkła i urzędniczka oświadczyła:

- Ma pan rację. Mieliśmy gościa o tym nazwisku, ale nie wymeldował się...

Lassiter udał, że nie rozumie.

- Przepraszam bardzo, ale...

- No cóż... wyjechał bez wymeldowania się.

- Chce pani powiedzieć, że zwał, nie płacąc? Nie pasuje mi to do...

- Nie, nie to mam na myśli. Kiedy się meldował, sprawdziliśmy jego kartę kredytową. Problem w tym, że... mógłby mi pan zdradzić swoje nazwisko?

- Oczywiście. Michael Armitage. „Hillman, Armitage i Mc-Lean”. Nowy Jork.

- I jest pan adwokatem pani Gutierrez?

- Tak.

- Problem polega na tym, że pan Gutierrez przekroczył limit przysługującego mu kredytu. Chcieliśmy to z nim omówić, ale... wyjechał.

- Rozumiem.

- Mamy więc pewien kłopot...

- Sądzę, że jakoś temu zaradzimy. Chciałem jednak zapytać, jak długo pan Gutierrez u was mieszkał? - Po drugiej stronie zapanowała cisza, która uświadomiła mu, że przekroczył magiczną granicę i zadał o jedno pytanie za dużo.

- Myślę, że najlepiej będzie, jeśli zapyta pan o to dyrektora - powiedziała w końcu urzędniczka. - Mogę poprosić, by do pana oddzwonił...

- Szkoda zachodu, ale bardzo dziękuję - odparł Joe i odłożył słuchawkę.

Zapakowanie do torby sportowego ubrania i zmiany bielizny zajęło mu niecałe pięć minut. Potem wyszedł z domu i ruszył do samochodu z walizką w jednym ręku, a filiżanką kawy w drugim.

W Georgetown, tuż przy moście Key, był punkt „Kinko’s Copies” i tam właśnie się udawał. Zjechał aleją do Rosslyn, zawrócił, przeciął Potomac i dojechał do ulicy M. Zostawił samochód na parkingu „Eagle Liquors” i przeszedł przez uliczkę do punktu ksero. Dziesięć minut później wyszedł stamtąd z perforowaną płachtą wizytówek, wydrukowanych na grubym szarym papierze w czarne plamki. Na wizytówkach był napis:

Victor Oliver, wiceprezes MUEBLES GUTIERREZ 52 Plac 2113, Pd.-zach. Miami, FLA 33134
305-234-2421

Nie miał pojęcia, czy w Miami istnieje Pięćdziesiąty Drugi Plac, ale kod pocztowy był oryginalny, numer telefonu również. Był to numer aparatu kontaktowego DEA*, co oznaczało, że człowiek, który podniesie słuchawkę, przyjmie każdą informację od każdego. Oczywiście gdyby chciano rozmawiać z Victorem Oliverem, DEA zmarnuje trochę czasu na ustalenie, kto to taki.

Weekend był nie dobrą porą na podróżowanie bez rezerwacji. Na lotnisku National zamknięto jeden pas, a loty z Dulles opóźniały się z powodu odmrażania. Mimo to o trzeciej Lassiter siedział już w samolocie startującym na północny zachód w kierunku O’Hare, w fotelu 2B pierwszej klasy. Uważał loty pierwszą klasą za marnowanie pieniędzy - z wyjątkiem bardzo długich tras - ale nie było nic innego. Fotel obok zajmowała brązowooka blondynka w sukience z ogromnym dekoltem, dużo za dużym jak na tak chłodny dzień. Jej perfumy intensywnie pachniały i za każdym razem, kiedy się odzywała, niemal się na nim kładła, klepiąc go przy tym w przedramię dłonią uzbrojoną w dwucentymetrowe, jaskrawoczerwone paznokcie.

Miała na imię Amanda i męża, który handlował nieruchomościami i dużo podróżował. („Prawdę mówiąc, znowu jest w podróży”). Hodowała owczarki szetlandzkie i właśnie wracała do Chicago z wystawy psów w Marylandzie. Lassiter słuchał, grzecznie kiwał głową i przeglądał magazyn

pokładowy. Mimo że jej nie zachęcał, przegadala całą drogę do O'Hare, rozprawiając o zakulisowej polityce na wystawach psów i „sztucznych hodowlanych”, które miały wiele wspólnego z lakierem do włosów i paznokci, witaminą E i zwykłym kuchennym olejem. („Maleńka kropelka oleju na sam nosek i świeci się! To drobiazg, ale na wystawach, na które chodzę, decydują szczegóły”).

Podczas lądowania szum silników nieco ją zagłuszył, niestety nie na długo. Kiedy kołowali do terminalu, oparła się o niego, przycisnęła mu piersi do ramienia i klasnęła w dłonie.

- Gdyby potrzebował pan towarzystwa... - podała swoją wizytówkę - mieszkam tuż za miastem, na północy...

Wizytówka była różowa, a drukowane litery, naśladowujące kaligraficzne pismo - misterne i krągłe. W rogu widniał maleńki rysunek pieska. W kobiecie było coś kłującego, że łatwo ją urazić, i Joe uznał, że nie ma sensu ranić jej uczuć. Wsunął wizytówkę do przedniej kieszonki marynarki.

- Będę prawdopodobnie zajęty jak diabli, ale nigdy nic niewiadomo - mruknął.

Z „Ambassadors Club” TWA zadzwonił do hotelu.

- „Embassy Suites”. Z kim mogę połączyć? - Tym razem odebrał mężczyzna.

- Hm, nie do końca wiem - odparł Lassiter, próbując nadać swojemu głosowi hiszpański akcent. - Kilka tygodni temu gościłem w waszym hotelu i obawiam się, że wyjechałem w zbytnim pośpiechu. Nagła sprawa rodzinna...

- Przykro mi.

- Cóż, była bardzo stara.

- Ach...

- Takie już jest życie. Chciałbym uregulować rachunek.

- O! Rozumiem... więc pan się nie wymeldował?

- Właśnie.

- No tak, oczywiście. Nagłe wypadki się zdarzają. Mogę prosić o pańskie nazwisko? Wezmę księgi i...

- Juan Gutierrez - powiedział Joe i przeliterował.

- Sekundeczkę - odparł mężczyzna i Lassiter usłyszał stukanie klawiatury. Był wdzięczny, że tym razem oszczędzono mu muzyki. - Jest. Zarezerwował pan pokój do dwunastego, tak?

- Chyba tak.

- Wygląda na to, że trzymaliśmy go dla pana jak najdłużej się dało, ale... już mam! Wyczerpał się pański limit na karcie VISA.

- Tak bywa.

Urzędnik zachichotał współczująco.

- Obawiam się, że jest niedobór w wysokości sześciuset trzydziestu siedmiu dolarów i osiemnastu centów. Chce pan porozmawiać z dyrektorem? Może odliczy kilka dni...

- Nie, dziękuję. Nie mam czasu. To w końcu nie wina hotelu.

- Możemy przesłać panu rachunek...

- Nie, to niepotrzebne. Jeden z moich asystentów, Victor Oliver, będzie jutro w Chicago. Każę mu podjechać do was i uregulować rachunek. Może być?

- Oczywiście, panie Gutierrez. Rachunek będzie czekał w recepcji.

Lassiter wziął głęboki wdech.

- Jeszcze jedno... Zostawiłem w pokoju kilka drobiazgów. Czy jeszcze są u was? - zapytał.

- W zasadzie odsyłamy pozostawione rzeczy na adres z karty kredytowej, ale w przypadku niezapłacenia rachunku... jestem pewien, że są w magazynie. Dopilnuję, by pański asystent je odebrał.

- Bardzo dziękuję. Poinstruję Victora, by rozmawiał osobiście z panem.

- Przychodzę dopiero o piątej, więc...

- To doskonale. Mój asystent przez cały dzień będzie miał spotkania. Wątpię, czy uda mu się dotrzeć do was przed szóstą.

- Każdy pracownik recepcji mu pomoże.

- Wolałbym, żeby rozmawiał z panem. Jest pan bardzo życzliwy.

- Dziękuję. Niech pyta o Willisa. Willisa Whitestone'a.

Lassiter lubił Chicago. Wysokie wzgórza za jeziorem i wyrafinowanie miasta zawsze go fascynowały. Wziął taksówkę z lotniska O'Hare do Near North Side i zainstalował się w swoim ulubionym hotelu „Nikko”. Było tu bardzo elegancko i bardzo po japońsku. Hol i korytarze zdobiły przepiękne ikebany, a na parterze mieściła się znakomita restauracja. Wybrał się do niej jeszcze tego samego wieczoru i zamówił *sushi* oraz dwie duże butelki piwa Kirin. W pokoju spodziewał się znaleźć na poduszce czekoladkę, ale przecież był w „Nikko”, więc leżało na niej origami. Wyjący wilk, może pies. Albo Łowca androidów.

Większą część przedpołudnia następnego dnia spędził, wędrując po salach Instytutu Sztuki, a potem pojechał do biura swojej firmy przywitać się z zespołem. Jego chicagowskie biuro było dwa razy mniejsze od waszyngtońskiego, choć rachunki wcale nie mniejsze. Potem zjadł nieco ciężki, ale smaczny lunch „U Berghofa”, skąd wrócił do hotelu na piechotę. Po ulicach, pulsujących bożonarodzeniowymi neonami, krążyli członkowie Armii Zbawienia i kupujący.

W hotelu przebrał się w dres i sportowe buty i pobiegł nad jezioro. Wiał dość silny wiatr, ale pochylił głowę i przebiegł pięć kilometrów do jachtklubu, po czym zawrócił. Kiedy znalazł się w hotelu, było już ciemno.

Czuł zmęczenie, jednak prysznic ożywił go. Potem włożył niebieską oksfordzką koszulę, którą tak lubiła Monica („Ma identyczny kolor jak twoje oczy!”), granatowy garnitur w niemal niewidoczne prążki, burgundowo-czarny krawat, eleganckie pantofle i skórzane rękawiczki. Wszystko pochodziło od Burberry'ego - poza butami marki Johnston & Murphy i czarnym, nieco znoszonym kaszmirowym płaszczem, który kupił przed ośmioma laty w Zurychu. Zazwyczaj ubierał się inaczej, ale teraz miał spotkanie z Willisem Whitestone'em i musiał sprawić na nim odpowiednie wrażenie.

Hotel mieścił się przy State Street, między numerami sześćset a siedemset. Joe trochę pospacerował, wypił w pobliskim barze drinka i wycelował tak, by zjawić się w recepcji dokładnie o szóstej. Był trochę niespokojny, w końcu pracował w ciemno. A jeśli NN zostawił w hotelu broń albo kilogram kokainy? Wziął głęboki wdech i wszedł do holu, emanując pewnością siebie.

Willis Whitestone był bardzo miły. Joe dał mu wizytówkę Victora Olivera, popatrzył na rachunek i odliczył siedem studolarówek. Machnął ręką na resztę.

- Pan Gutierrez mówił, że bardzo mu pan pomógł.

Willis wylewnie podziękował, ostemplował rachunek pieczęcią ZAPŁACONO i podał skórzaną torbę. Joe zarzucił pasek torby na ramię, pomachał na pożegnanie i wyszedł w zimny chicagowski wieczór.

Po powrocie do „Nikko” zdjął płaszcz, jednak nie ściągnął rękawiczek. Torba nosiła ślady dość intensywnego używania, ale była dobrej roboty, z miękkiej i drogiej skóry: elegancka, choć

sportowa, z usztywnionym dnem, miękkimi bokami i szerokim paskiem. Naszywka w środku informowała: CERUTTI, ROMA. Środkowa przegródka była zamykana na suwak, obie duże boczne kieszenie również. *Joe* poodsuwał suwaki i wysypał zawartość torby na łóżko.

Wypadło kilka koszul w stylu retro - musiały być albo bardzo tanie, albo bardzo drogie - pasek do spodni, skarpetki, bielizna, spodnie z tropiku. Bardziej obiecująco wyglądał skórzany portfelik. W środku znajdował się anulowany bilet lotniczy Miami-Chicago, broszurka wypożyczalni samochodów z Alamo i trzy dwudziesto-dolarowe czeki podróżne, podpisane JUAN GUTIERREZ.

Lassitera ogarnęło rozczarowanie.

Musiał być coś jeszcze. Podniósł torbę i zważył ją w dłoni. Obmacał wnętrze każdej kieszeni i boki. Sprawdził środek. Przebadał dno - od zewnątrz i od wewnątrz. Powtórzył to jeszcze raz i jeszcze raz. Torba mogła mieć podwójne dno, ale usztywnienie nie dało się wyjąć.

Za trzecim razem znalazł to, czego szukał: płaską kieszonkę, biegnącą wzdłuż spodu torby. Skórzane wzmocnienie na styku dna i boków dało się wyciągnąć. Z początku Lassiterowi wydawało się, że rwie szew, ale okazało się, że paseczek skóry był przyczepiony na rzepa. Otwór pozwalał wyjąć grubą, prostokątną, plastikową płytkę - dno torby. Plastik otwierał się jak książka, ukazując płaskie, wycięte w piance zagłębienia. W jednej przegródce leżał plik banknotów, w drugiej włoski paszport. Skrytkę wykonano tak starannie, że bardzo trudno było ją zauważyć.

Lassiter wziął paszport i zaczął obracać go w dłoniach. Kiedy otwierał sztywne, czerwone okładki, czuł, jak wali *mu* serce. W środku było zdjęcie człowieka, który zamordował Kathy i Brandona. FRANCO GRIMALDI. Fotografia ukazywała nieco młodszą wersję wygenerowanego przez komputer i policyjnego rysownika człowieka. *Joe* poczuł ogarniające go podniecenie - jak myśliwy, któremu zwierzę weszło w lunetkę celownika. Ale przecież mężczyzna leżał pod strażą w szpitalnym łóżku i nigdzie nie mógł uciec.

NN miał teraz nazwisko i tożsamość, a *Joe* Lassiter był pewien, że bez względu na to, czy Grimaldi powie kiedyś choć jedno słowo, uda mu się rozwikłać tajemnicę śmierci Kathy i Brandona.

Dotychczas nie rozumiał potrzeby zdobycia za wszelką cenę informacji, w jaki sposób i dlaczego zginął ktoś, kogo się kochało. Czytał o rodzinach żołnierzy zaginionych w akcji, przyjaciółach i partnerach ofiar z Lockerbie i zaskakiwała go pasja, z jaką dociekali przyczyn ich śmierci, ich chęć poznania szczegółów, dążenie do uzyskania sprawiedliwości i ukarania winnych. Dlaczego nie mogli dać sobie spokoju? Dlaczego nie wracali do swojego życia i nie próbowali zapomnieć?

Teraz wiedział.

Wziął z barku miniaturową buteleczkę whisky, odkręcił metalową zakrętkę i wlał alkohol do szklanki. Usiadł przy biurku i położył przed sobą paszport. Obok strony ze zdjęciem znajdowały się dane właściciela paszportu: Grimaldi, Franco - ur. 17.03.55. Poniżej przyklejono kawałek ostemplowanego białego papieru, na którym widniał adres: 114 Via Genova, Roma. Prawdopodobnie chodziło o zmianę miejsca zamieszkania. Lassiter podważył papierek i pod spodem rzeczywiście był inny adres. Via Barberini coś tam. W rubrykach wpisano dalsze szczegóły. Wzrost: 185 cm, waga: 99 kg. Włosy: *nero*. Oczy: *marrone*. Kiedy przerzucał kartki z tyłu, gdzie znajdowały się wize i stemple graniczne, na podłogę sfrunął jakiś papierek. Podniósł go.

Był to przekaz telegraficzny na sumę pięćdziesięciu tysięcy dolarów amerykańskich na konto Grimaldiego w filii Credit

Suisse przy Bahnhofstrasse w Zurychu. Dokonano go cztery miesiące temu.

Lassiter odłożył przekaz i skoncentrował się na paszporcie. Miał nadzieję, że uda mu się

prześledzić podróże Grimaldiego, ale strony były tak gęsto zastemplowane, że musiał sporządzić osobną listę. Odwracając kartka po kartce, odcyfrowywał pieczętki - choć nie wszystkie były czytelne - i zapisywał każdy wjazd i wyjazd na kartce papieru. Kiedy skończył, oderwał ją z bloku i sporządził drugą listę - chronologiczną.

Paszport obejmował dziesięć lat podróży, najstarsze stemple pochodziły z 1986 roku. Grimaldi krążył wtedy między Rzymem a Bejrutem. Lassiter doskonale pamiętał, że w tym okresie Bejrut był miejscem na Ziemi najbardziej przypominającym siódmy krąg piekieł. Nieliczni Europejczycy pozostawali w mieście tylko dlatego, że byli przykuci do kaloryferów, na ulicach wybuchały bomby samochodowe, a zabójstwa na zlecenie po obu stronach Zielonej Linii były na porządku dziennym. Co do cholery Grimaldi robił wtedy w Bejrucie?

Potem zaczął krążyć między Włochami i Hiszpanią, wjeżdżał tam najczęściej przez San Sebastian i Bilbao. Kraj Basków. W 1989 roku był w Mozambiku - wjechał przez Maputo - a potem przez niemal trzy lata nigdzie nie jeździł. W czerwcu 1992 znów zaczął podróżować - tym razem na Bałkany. Po serii wjazdów do stolicy Serbii, Belgradu, rok później był kilka razy w stolicy Chorwacji, Zagrzebiu. Potem do 1995 znów nic, następnie były wyjazdy do Pragi, Sao Paulo i Nowego Jorku. Ostatni wjazd do Stanów Zjednoczonych - przez lotnisko John F. Kennedy International - był datowany 18 września 1995.

Lassiter pokręcił głową, nie bardzo wiedząc, co to może znaczyć. Grimaldi mógł mieć drugi, może i trzeci paszport, prawdopodobnie na inne nazwisko. Włochy są częścią Unii Europejskiej, co oznaczało, że nie da się prześledzić jego przemieszczania się między większością krajów Starego Kontynentu. Z pewnością jeździł wielokrotnie po Europie i żaden organ tego nie zanotował.

Ale nawet... Jednak trzyletnia przerwa była znacząca - od 1990 do 1992 roku. Siedział w więzieniu? Może. A może podróżował pod innym nazwiskiem? Ciekawe były też pobyty w Belgradzie, Zagrzebiu i Bejrucie - nie jeździło się tam wtedy turystycznie. I co z Hiszpanią oraz Mozambikiem? Wypoczynek? Jeśli tak - to od czego? Co Grimaldi robił, kiedy nie mordował? Jak żył?

Lassiter odłożył paszport na bok i przyjrzał się pieniądzom. Plik składał się z walut kilku krajów i choć Joe nie umiał wszystkiego zsumować, widział, że jest tego dużo - na pewno ponad dwadzieścia tysięcy dolarów. Może trzydzieści. Ale co z tego?

Umieścił dno na miejscu, pieniądze i paszport włożył do jednej kieszeni torby, ubrania do drugiej i zapiął ją. Jutro wyśle torbę Riordanowi. Anonimowo.

Im szybciej wróci do Waszyngtonu, tym lepiej. Po kilku telefonach zarezerwował miejsce na samolot do BWI. Nie było to najlepsze rozwiązanie, bo dolatywał na pierwszą w południe, a Baltimore leży prawie sto trzydzieści kilometrów od Dulles, gdzie zostawił samochód. Nieważne. W Waszyngtonie był ktoś, z kim chciał jak najszybciej porozmawiać - bardzo stary kumpel z bardzo ciemnego kąta rządu. Nick Woodburn. Woody.

14

Całą drogę z BWI do biura przesiedział w kącie taksówki i myślał o Nicku Woodburnie. W szkole Joe i „Woody” byli najlepszymi przyjaciółmi. Obaj dorastali w Georgetown, niedaleko Dumbarton Oaks, a w dzieciństwie jeździli na te same obozy i uczęszczali do tych samych prywatnych szkół. Przez trzy pierwsze klasy szkoły średniej biegali dla St. Albans i gdyby Woody nie okazał się zbyt jurny, mogliby to robić także w czwartej. „Incydent” - jak potem nazywano to, co się

przydarzyło - miał miejsce mniej więcej dwa tygodnie przed Sztafetą Penn, kiedy to grupa rodziców natknęła się na (w przypadku jednego z ojców należałoby wręcz użyć określenia, że „potknął się o”) Woody’ego i dziewczynę z National Cathedral School, pieprzających się w katedralnym ogródku ziołowym. Reakcją były westchnienia nad moralnością „dzisiejszej młodzieży”, chichoty i pełne oburzenia okrzyki - generalnie biorąc, doszło do zamieszania i w efekcie Nick Woodburn został wysłany na północ i spędził ostatni rok szkoły w Hyde School w Bath w stanie Maine.

Dość powszechnie uważano, że Woody „źle skończy”, a przynajmniej - jak ujął to jeden z jego kumpli - „Do niczego nie dojdzie, bo w jego aktach są wszędzie ślady kutasa”. I rzeczywiście - odrzucono jego podania o przyjęcie do Harvardu i Yale, tak samo było w Princeton, Dartmouth, Columbii i Cornell. (Mogli go przyjąć w Brown, ale nie składał tam podania, gdyż „studiował tam Howard Hunt”).

W końcu Woody immatrykulował się na University of Wisconsin, gdzie spokojnie się uczył, studiując jako główny kierunek arabistykę, i nawet wyrobił sobie taką średnią, że dostał stypendium Rhodesa.

Po Oxfordzie znalazł się w departamencie stanu. Przez dwa lata pracował jako specjalny asystent w Biurze Spraw Politycznych i Wojskowych - był kimś w rodzaju łącznika i bezustannie krążył między Foggy Bottom a Pentagonem. Po ośmiu latach spędzonych za granicą-w Damaszku, Karaczi i Chartumie - sprowadzono go do Waszyngtonu do pracy w Intelligence Research Bureau (z niewiadomych powodów znane pod nazwą INR, nie IRB). Pracował tu od czterech lat i zajmował obecnie stanowisko szefa biura.

Przy niespełna stu pełnoetatowych pracownikach, INR jest równocześnie zarówno najmniejszym, jak i najdyskretniejszym ogniwem amerykańskiej sieci wywiadowczej. Jako taka, nie była zdolna do popełniania grzechów, które notorycznie popełniały większe agencje. Nie prowadziła na przykład operacji paramilitarnych, nie łamała szyfrów ani nie zajmowała się podsłuchem elektronicznym - choć nie stroniła od korzystania z danych zdobytych przez tych, którzy to robili. Nie dodawała do drinków swoich pracowników LSD ani nie nasyłała na nikogo skrytobójców. Zajmowała się (i nadal się zajmuje) - analizą danych zdobywanych za pomocą systemu HUMINT, dyplomatów i attache, zatrudnionych w stu pięćdziesięciu siedmiu amerykańskich ambasadach na całym świecie.

Nieuniknione więc, że kiedy Joe Lassiter potrzebował rzeczy niemożliwej - informacji z Włoch w trakcie przedłużonego weekendu - zadzwonił do swojego przyjaciela.

- Witaj, Woody. Zgadnij, kto dzwoni.

- Hej, Joe! - zawołał Nick Woodburn. - Gdzie... - W tym momencie ton jego głosu gwałtownie się zmienił. - Jezu... tak mi przykro z powodu Kath. Kiedy to się stało, byłem w Lizbonie. Dostałeś kwiaty?

- Tak. Dostałem. Dzięki.

- W gazetach napisali, że mają faceta... tego, który to zrobił.

- Mają. Dlatego właśnie dzwonię. Potrzebuję przysługi.

- Mów.

- Gość jest Włochem. Miałem nadzieję, że mógłbyś się czegoś dowiedzieć. Robię co mogę, wykorzystuję moich ludzi, policja też robi swoje. Pomyślałem jednak...

-Żaden problem. Przefaksuj, co masz, oddzwonię w poniedziałek.

Porozmawiali jeszcze przez chwilę, po czym rozłączyli się z obietnicą, że muszą się niedługo spotkać na lunchu. Lassiter włożył rękawiczki i poszedł do gabinetu skopiować kartki z paszportu

Grimaldiego. W rękawiczkach nie było to takie proste. Kiedy skończył, przefaksował dane do biura Woody'ego w departamencie. Potem wrzucił paszport do torby Grimaldiego i pojechał taksówką na Dulles po samochód.

W drodze powrotnej zatrzymał się przy biurze „Parcels Plus” w Tyson's Corner, kupił wielkie pudło, włożył do niego torbę Grimaldiego i zaadresował je: „Detektyw James Riordan, kwatera główna wydziału policji stanu Fairfax”. Wymyślił jakiś adres zwrotny i zapłacił gotówką. Przez cały czas nie zdejmował rękawiczek. Zastanawiał się, czy nie lepiej wysłać paczkę do... jak mu tam...? - Pisarcika - ale nie byłoby to rozsądne. Nazwisko Pisarcika nie pojawiło się w prasie, nie było oficjalnie wiadomo, że przejął sprawę.

Lassiter wiedział, że Riordan z pewnością się domyśli, kto przysłał paczkę, ale nie powie - chyba że byłby w stanie to udowodnić - wtedy dobrałby mu się do dupy. Prawdopodobnie przekaże pudło Pisarcikowi bez żadnego komentarza.

Kiedy był już z powrotem w swoim biurze, podszedł do drzwi Judy i zapukał. Choć była sobota, podejrzewał, że pracuje. Jeśli chodzi o pracoholizm, była jeszcze gorsza od niego.

- Wejść! - krzyknęła, a zobaczywszy Joego, skrzywiła twarz w komiksowym wyrazie zaskoczenia i udawanego rozgoryczenia. Rozmawiała przez telefon, przyciskając głową słuchawkę do barku, i szybko pisała coś na klawiaturze komputera.

Lassiter bardzo ją lubił. Miała szczupłą twarz o delikatnych rysach, nos z małym garbkiem i burzę kruczoczarnych, wiecznie splątanych loków, ponieważ nieustannie pociągała się za włosy albo nerwowo nawijała pasma na palec. Pochodziła z Brooklynu i było to słychać.

- Cześć, Joe! - zawołała i rzuciła słuchawkę na widełki. - Przykro mi z powodu tego, co się stało. Jak leci? - Nagle zmieniła ton, przypomniawszy sobie widocznie, co się zdarzyło. - To znaczy... czy wszystko u ciebie w porządku?

- Jakoś sobie radzę. Wpadłem, bo mam kilka spraw. Zamierzam na jakiś czas wziąć urlop... - Judy otworzyła usta, by coś powiedzieć, ale przerwał jej gestem dłoni. - Porozmawiamy o tym w poniedziałek, kiedy będzie Bill Bohacker. Chciałbym, aby podczas mojej nieobecności poprowadził sprawy administracyjne. Leo zajmie się fuzjami i przejęciami - poza jedną - a ty przejmiesz kontrolę nad resztą. Nad wszystkimi dochodzeniami.

- Hej! Dziękuję.

- I jeszcze jedno...

- Wal.

- Chcę, żebyś zajęła się także przejęciem przez AMEX. Judy popatrzyła na niego zdziwiona.

- American Express chce kogoś przejąć? O niczym takim nie wiem.

- Nikt nie wie. To tajemnica.

- No dobrze. - Wzięła do ręki notes i długopis. - Kogo chcą przejąć?

- Lassiter Associates.

Judy przez chwilę się nie odzywała, po czym zachichotała nerwowo.

- To żart, prawda? Lassiter pokręcił głową.

- Nie. Chcą z nas zrobić swoją komórkę wywiadowczą.

- I to ci pasuje? Lassiter wzruszył ramionami.

- Nie do końca, ale ja nie jestem częścią handlu. Dostaliby firmę, nie mnie.

- Czyli ją sprzedajesz...

- Nie ująłbym tego tak jednoznacznie. Jednak pojawiła się oferta.

- I chcesz, żebym ją przyjęła?

- Nie. Chcę, byś wynegocjowała najlepsze możliwe warunki. Jeśli spiszesz się tak, jak przy załatwianiu sobie podwyżki we wrześniu, zarobimy jak bandyci.

Uśmiechnęła się.

- To było dobre, nie? Lassiter skrzywił się.

- Dla ciebie tak.

Judy uważnie mu się przyjrzała.

- Nie sądzisz, że lepszy byłby prawnik?

- Nie.

- W porządku.

- Zanim wezmę wolne, dam ci szkic, jak wszystko ma wyglądać. Nie chcę, by prawnicy wtrącali się do tego, dopóki nie będzie umowy, a kiedy powstanie projekt, dopuścimy ich dopiero po mojej rozmowie z tobą.

Judy skinęła głową, zaraz jednak zmarszczyła czoło.

- Dlaczego to robisz? Z powodu Kathy? Może powinieneś się przez jakiś czas wstrzymać?

Lassiter pokręcił głową.

- Nie, chcę tego. Śmierć Kathy być może ma na to pewien wpływ, ale... prawda jest taka, że już mnie to tak bardzo nie bawi. Czuję się, jakbym spędzał życie na trzymaniu klientów za rączkę, kłóceniu się z adwokatami i... sama wiesz, jak jest. Ciągłe trzeba być czujnym i badać przeciwnika, a jeśli się nad tym wszystkim zastanowić - to i tak zwykle stoimy nie po tej stronie, co należy.

Judy się roześmiała.

- Też to zauważyłeś? Dlaczego tak jest?

- To żadna tajemnica. Po prostu za dużo kosztujemy i jedynymi, których stać na nasze stawki, są źli chłopcy.

- Czyli mówisz poważnie?

- Tak, jak najbardziej.

- Dobrze... Przejrzę twój szkic i zabieram się do roboty.

- Zapraszam na lunch. Zęby dać ci rozpęd.

- Ja wybieram lokal?

- Oczywiście. Pod warunkiem, że będzie etiopski albo wietnamski. O pierwszej?

- Świetnie. - Zapisała coś na leżącym na biurku bloku i popatrzyła na Lassitera. - Powiedziałeś, że jest kilka spraw. Co masz jeszcze?

Lubiła udawać osobę niezorganizowaną i udręczoną pracą, ale w rzeczywistości była świetnie zorganizowana. Lassiter wyjął kopię kartki z paszportu Grimaldiego i pchnął ją po blacie biurka.

- To dla mnie - oświadczył. - Chciałbym, żebyś nawiązała kontakt z człowiekiem, z którego usług korzystamy w Rzymie, i kazała mu dowiedzieć się wszystkiego, co się da, o tym facecie.

- O mój Boże... - westchnęła Judy. - To on?

- Tak.

- Wyślę natychmiast zlecenie, ale...

- Wiem, jest weekend.

- Gorzej: to Włochy. Nasz człowiek pracuje, ale co z innymi? To się nie uda.

Lassiter wzruszył ramionami.

- Więc po prostu jak najszybciej. I powiedz mu, żeby za bardzo nie hałasował.

Nadeszła niedziela i minęła i w ten sposób nastał poniedziałek. Odbyło się godzinne spotkanie w sali konferencyjnej, podczas którego dyrektorzy firmy zgodzili się na zwiększony zakres obowiązków w charakterystyczny sposób, zarezerwowany na takie właśnie okazje - można go było określić mianem „grobowego entuzjazmu”.

Po spotkaniu Lassiter wrócił do gabinetu „posprzątać biurko”, a tak naprawdę czekać na telefon od Nicka Woodburna.

Telefon jednak nie dzwonił i przedpołudnie powoli zamieniło się w popołudnie. Wpół do trzeciej podstarzały kurier w elastikach i butach do jazdy na rowerze dostarczył kopertę od Riordana. W środku znajdowało się kilka zdjęć formatu dwadzieścia na dwadzieścia pięć centymetrów, przedstawiających dziwną buteleczkę, którą policja znalazła przy Francu Grimaldim. Teraz, kiedy tożsamość mordercy została ujawniona, buteleczka wydawała się nieważna, ale Lassiter wcisnął przycisk interkomu i poprosił sekretarkę, by sprawdziła, czy gdzieś w pobliżu jest Freddy Dexter.

Dla Lassiter Associates pracowali zarówno wywiadowcy specjalizujący się w rozmowach z ludźmi, jak i w „pościgach papierowych”, trudniący się wyszukiwaniem różnych informacji w stertach pozwów, oświadczeń i materiałów archiwalnych. Freddy, młody człowiek, który trzy lata temu skończył Boston College - był dobry w obu rodzajach działalności.

Kiedy się zjawił, Lassiter dał mu zdjęcia buteleczki i podsunął kilka sugestii.

- Zrób parę odbitek i weź sobie na to tyle czasu, ile ci będzie trzeba. Chcę się dowiedzieć, kto to wyprodukował, do czego służy... wszystko, czego można się dowiedzieć. Prawdopodobnie gdzieś jest muzeum szkła - w Corning, w Steuben, w Waterford. Ktoś musi coś wiedzieć.

- Zaczę od Biblioteki Kongresu i Instytucji Smithsoniańskiej. Jeśli sami nic nie będą wiedzieć, na pewno będą znać kogoś, kto coś wie.

- Możesz także sprawdzić domy aukcyjne, U Sotheby'ego muszą mieć specja od szkła albo znać nazwiska ekspertów.

- Jaki mam budżet?

- Możesz jechać do Nowego Jorku, ale nie do Paryża.

O piątej Judy wetknęła głowę do pokoju, machając faksem.

- Właśnie przyszedł. Z Rzymu.

Lassiter wskazał jej krzesło i wyciągnął rękę po faks.

- Nie ucieszysz się - powiedziała, podając mu kartkę i siadając.

- Dlaczego?

- Wystawił sążnisty rachunek, a zdobył...

- Gównu - stwierdził Lassiter, przejrzawszy faks.

- Właśnie. Według niego Franco Grimaldi nigdy nie był aresztowany. Jest zarejestrowany na liście wyborczej. Głosuje na Motore.

- Co to?

- Chcą podwyższyć dopuszczalną prędkość jazdy samochodem.

Lassiter popatrzył na nią zdziwiony.

- Tylko tyle? To jest platforma działania politycznego?

- Bepi mówi, że mają ponad sto partii. W każdym razie Grimaldi nie jest żonaty - stop - „nigdy nie brał ślubu”. Nie ma niespłaconych długów, nie uczestniczy w żadnym procesie, nie jest zaangażowany w nic urzędowego.

- Co z kredytami?

- Ma trzystudolarowy kredyt w Rinascente.
- Co to?
- Dom towarowy.
- Wspaniale. - Lassiter popatrzył na faks. - A co z wojskiem?
- Nie służył.
- Pracuje?
- Nie.

- Bezrobotny? Judy zawahała się.

- Rozumiem, co masz na myśli.

- Według tego raportu nie ma stałego źródła dochodu. Ale nie korzysta też z pomocy społecznej...

- Więc z czego żyje?

- Nie wiem.

- Bardzo chciałbym się tego dowiedzieć. I jeszcze jedno: z faksu wynika, że nie ma samochodu.

- Zgadza się.

- I głośuje na koleś z motorem?

- Motore.

- No właśnie. Byłby pierwszym pieszym w historii świata, który chce zwiększenia dopuszczalnej prędkości pojazdów.

Judy roześmiała się i sięgnęła po faks.

- Zaraz wrócę - oświadczyła i odwróciła się do drzwi.

- Zaczekaj sekundę. Mam jeszcze jedno pytanie.

- Odpowiedź brzmi: dziewięćset dolców - powiedziała, odwracając się z powrotem do Joego. -

Twierdzi, że pracował szesnaście godzin.

- Wierzysz w to?

- Tak. Jest dobrym wywiadowcą i wie, że to dla ciebie. Nie obijałby się. Wie, że niczego nie znalazł i będziesz rozczarowany. Prawdopodobnie pracował nawet więcej, niż powiedział.

- I co ty na to?

Judy wydeła wargi i zastanawiała się przez chwilę.

- Myślę, że ten twój gość to szpieg - stwierdziła w końcu. Lassiter skinął głową.

- Właśnie. Ja też tak myślę.

We wtorek po południu Lassiter siedział za biurkiem i czuł się jak kretyn. Scedował wszystko Leo, Judy i Billowi, firma działała więc sprawnie bez jego udziału - przynajmniej taką miał nadzieję. Jedyne ślad, jakim dysponował, przekazał Freddy'emu Dexterowi, toteż pozostawało mu jedynie czekanie, nie miał nic do roboty.

Podszedł do okna i powyglądał na zewnątrz. Zapalił ogień w kominku i patrzył w niego, aż polana się dopaliła. Przeczytał „Wall Street Journal” i przez chwilę się zastanawiał, czy się nie przebiec, ale zaraz wymyślił kilka argumentów przeciw. Miał wrażenie, że powinien skontaktować się z Claire, sprawdzić, czy ma wolny wieczór i czy nie poszłaby z nim na kolację albo coś w tym stylu. W końcu zadzwonił telefon.

- Joe...

- Woody!

- Sprawdziłem twojego człowieka.

Lassiter właśnie to chciał usłyszeć, ale w głosie Woody'ego było coś dziwnego.

- Dzięki. Jestem ci naprawdę wdzięczny.

- Na razie nie dziękuj. Coś ci powiem, Joe... - Woody urwał i po chwili dodał: - Ten facet... ten jebany gość śmiertelnie mnie przeraża.

- Co masz na myśli?

- To, że przeraża mnie tak bardzo, że żałuję, iż umieściłem swoje nazwisko na telegramie.

Lassiter nie wiedział, co na to odpowiedzieć.

- Prowadzisz w jego sprawie dochodzenie? - zapytał Woody.

- Tak. Mamy w Rzymie człowieka, który załatwia dla nas to i owo. Jakiś problem w związku z tym?

- Dla mnie nie. Ale może lepiej będzie, jeśli wyślesz tego swojego człowieka na wycieczkę.

- Żartujesz.

- Nie żartuję.

- Dostał sam miał - odparł zaskoczony Lassiter. - Nie dowiedział się absolutnie niczego.

- Wcale mnie to nie dziwi. To bardzo poważny przypadek. Zdobyłeś pewnie informacje o tym, na kogo głosuje albo coś w tym stylu, prawda?

Zapadło milczenie. Siedzieli ze słuchawkami w rękach i każdy po cichu *się* zastanawiał. W końcu Woody przerwał ciszę.

- Pozwól, że o coś zapytam...

- Tak?

- W co była zamieszana twoja siostra?

- W co była zamieszana? W nic nie była zamieszana! Miała dzieciaka. Pracę. Oglądała w telewizji „Przyjaciół”. Lubiła lody. Przecież ją znałeś!

Woody westchnął.

- Cóż, może ten facet dorwał nie tę kobietę, co chciał.

- Może. Nie tylko jednak „dorwał” kobietę. Prawie odciął mojemu siostrzeńcowi głowę.

Znów zamilkli. Tym razem ciszę przerwał Lassiter:

- No więc co z nim? Czego się dowiedziałeś?

- Franco Grimaldi to „zabójca dużego kalibru”. Zabija ludzi, których wszyscy znają. Słyszałeś kiedyś o SISMI?

- Nie. Co to jest? Woody westchnął.

- Przyślę ci paczkę.

- Chcesz mój numer w FedEksie?

- Nie. Jutro po południu przyjdzie do ciebie urzędnik Ministerstwa Spraw Zagranicznych z przypiętą do nadgarstka aktówką. Wyjmie z niej kopertę z raportem, da ci ją i jak najszybciej wyjdzie. Otwórz kopertę, przeczytaj raport, a potem wsadź go do niszcarki. Albo spal. A kiedy skończy się palić, wymieszaj popiół.

Lassiter stał przy oknie i myślał o tym, co mu powiedział Woody, kiedy zajrzała sekretarka.

- Dzwoni jakiś oficer Pisarcik.

- Już odbieram. Halo?

- Pan Lassiter?

- Słucham.

- Mówi oficer Pisarcik z wydziału policji w Fairfax. Mamy dobre wieści.

- Naprawdę...?

- Tak jest, proszę pana! Zidentyfikowaliśmy podejrzanego w sprawie pańskiej siostry, tego NN. Jest Włochem i nazywa się Frank Grimaldi. Detektyw Riordan chciał, by pan dowiedział się o tym pierwszy.

- Świetnie.

- Drugim powodem, dla którego dzwonię, jest to, o czym pewnie pan wie: detektyw Riordan już nie prowadzi tej sprawy.

- Tak, wiem.

- Od tej chwili ja będę się nią zajmował, więc... pomyślałem sobie, że może byłoby dobrze, gdybyśmy się spotkali.

- Chyba tak. Może pan do mnie wpadnie. Wie pan, gdzie mam biuro?

- Jasne! Ale... eee... obawiam się, że dziś się nie da. Powiedzieć panu coś w zaufaniu?

- Tak?

- O wpół do piątej przenosimy więźnia.

- O!

- Bierzemy go do sali pancерnej w Fairfax General. Potem mamy w komisariacie nasiadówkę. „Płeć, rasa i prawo”.

- Może więc spotkamy się w tygodniu?

- Jak pan sobie życzy.

Lassiter odłożył słuchawkę i popatrzył na zegarek. Była czwarta i zaczął prószyć śnieg. Mimo to powinien zdążyć.

Zwykle jeździł powoli, ale teraz pędził jak szalony. Kiedy jechał na zachód w kierunku szpitala, acura wywijała slalomy między samochodami, a wycieraczki plaskały, ściągając z przedniej szyby płatki mokrego śniegu.

To, co zamierzał zrobić, było dość bezsensowne. Zdawał sobie z tego sprawę, ale chciał z bliska obejrzeć zabójcę siostry - i nie tylko obejrzeć. Chciał stanąć z nim twarzą w twarz. Więcej: miał ochotę wyciągnąć skurwysyna z wózka i rozwalić mu głowę o podłogę.

Miał na to wielką ochotę, ale przecież nie mógł tego zrobić. Nawet nie wiedział, co powie. Może tylko: „Cześć, Franco” - by zobaczyć minę tamtego, kiedy usłyszy, jak całkiem obcy facet wymawia jego prawdziwe imię i nazwisko: „Franco Grimaldi”.

Podczas gdy Lassiter walczył z zadymką, oficer Dwayne Tompkins przygotowywał się do asystowania przy przenosinach podejrzanego NN ze szpitala Fair Oaks do Fairfax General. Tompkins był w policji znany jako „Wu”, ponieważ zawsze, kiedy go pytano, jak się nazywa, odpowiadał: „Dwayne - z wu”.

Popatrzył na zegarek. Czekał na sanitariusza, który miał przyprowadzić wózek. Nie znaczyło to, że więzień nie mógł chodzić. Fizjoterapeuci chodzili z nim po korytarzach od dziesięciu dni, a Dwayne towarzyszył mu krok w krok w tych spacerkach. Regulamin szpitala wymagał jednak, by każdy pacjent opuszczał szpital na wózku inwalidzkim.

Choć wózek już się pojawił, musieli jeszcze zaczekać na telefon od Pisarcika z informacją, że jest więźniarka.

Zadanie Wu polegało na odeskortowaniu więźnia do holu, gdzie miał się spotkać z Pisarcikiem. Tam podpisane zostaną dokumenty zwolnienia ze szpitala i więźnia oficjalnie przejmie policja hrabstwa Fairfax.

Potem Wu pojedzie z więźniem w więźniarce jako uzbrojona eskorta, a Pisarcik za nimi w

radiowozie. Tak przewidywał regulamin. W Fairfax pielęgniarki posadzą NN na kolejnym wózku inwalidzkim, po czym Wu i Pisarcik zawiozą go do pancерnej sali. Dopiero po zamknięciu drzwi więzień będzie mógł wstać. Po zamknięciu pancерnej sali cały balet się skończy: świat więcej nie zobaczy pana N-pierdolonego-N.

Wu cieszył się bardzo, że w końcu przenoszono więźnia. Oznaczało to koniec najnudniejszego zadania, jakie wykonywał w swojej krótkiej karierze policyjnej. Od ponad trzech tygodni siedział - nic, tylko siedział! - przez osiem godzin dziennie pod drzwiami izolatki NN. Największym wydarzeniem dnia było sprawdzanie upoważnień wszystkim pielęgniarkom i doktorom, którzy chcieli wejść do pokoju. Sprawdzanie przed wejściem. Sprawdzanie po wyjściu. Jeśli Wu chciał się wysikać, musiał dzwonić po pielęgniarkę dyżurną z piętra, a było to naprawdę żenujące! Zaczął w związku z tym ograniczać spożywanie płynów. Na dodatek nie mógł iść na obiad! Przynoszono mu go. Szpitalne żarcie, które musiał zjadać, siedząc na krześle, z tacą na kolanach.

Oczywiście były także miłe momenty. Ta mała pielęgniareczka... Juliette. Będzie za nią tęsknił.

Doktor wykonał rutynowe końcowe badania, Wu podpisał formularz odebrania pacjenta z piętra i mała Juliette pomogła NN usiąść na wózku.

- Zabieracie go do suki? - spytał doktor.

- Teraz nie mówimy „suka”. To... hm... zbyt... seksistowskie. Lekarz roześmiał się.

- To jak nazywacie suki? Jak brzmi politycznie poprawna nazwa?

Wu wzruszył ramionami.

- Nazywamy je... no wie pan... więźniarki. Doktor znowu się roześmiał.

- Więc zabieracie tego więźnia do więźniarki?

- Tak. Tego tak. Niektórych zabieramy karetką...

- Możecie wyruszać, jest gotowy.

- No to jazda! - Wu wyjął walkie-talkie, zawiadomił Pisarcika, że już jadą, i ruszył za Juliette, która pchała wózek. Z tyłu wyglądała naprawdę seksownie, choć jedna z pielęgniarek powiedziała mu, że Juliette jest nieco nawiedzona i powinien ją sobie wybić z głowy.

Mimo to, kiedy dojechali do windy i nacisnął przycisk ze strzałką skierowaną w dół, pomachał jej. Nigdy nic nie wiadomo. Może będzie miał szczęście.

Ruch był gorszy, niż Lassiter się spodziewał, kiedy acura wjechała na szpitalny parking, była już za piętnaście piąta. Zostawił samochód na miejscu z tabliczką ADMINISTRATOR SZPITALA i obszedł budynek. Przy wejściu do urazówki stała furgonetka z zakratowanymi oknami, a przy niej wysoki policjant z papierosem w zębach.

- Przepraszam, zna pan oficera Pisarcika?

- Jest w środku.

Lassiter wszedł na oddział. Jak zawsze po południu był tu gęsty tłum i wszędzie biegali ludzie, więc ściągnięcie na siebie uwagi pielęgniarki zajęło Joemu dłuższą chwilę.

- Szukam oficera policji Pisarcika. Pielęgniarka wskazała brodą wschodni korytarz.

- Tamtędy do końca.

Poszedł, gdzie kazała, i znalazł Pisarcika przy windzie, z walkie-talkie w ręku. Oficer mógł mieć nie więcej niż dwadzieścia pięć lat.

- Nie wolno tu wchodzić! oświadczył - -- Właśnie przenosimy więźnia.

- Wiem.

- W południowym skrzydle jest druga winda.

- Jestem Joe Lassiter.
- O! Witam - powiedział Pisarcik i po chwili dodał: - Chyba nie zamierza pan...
- Zrobić czegoś głupiego? Nie. Chcę tylko na niego popatrzeć.
- Cholera... nie wiem, panie Lassiter. Właściwie cały teren powinien zostać opróżniony.
- Rozumiem, ale jeśli...

Walkie-talkie Pisarcika zaskrzeczało i policjant skoncentrował się na aparacie.

- Pisarcik! - zameldował się służbiście.
- Więzień przyszykowany, gotów do drogi. Na dole czysto? Pisarcik rzucił okiem na Lassitera.
- Tak, czysto.
- No to ruszamy.

Pisarcik znów popatrzył na Lassitera.

- Mógłby pan stanąć tam, z boku?
- Oczywiście. - Lassiter odsunął się od windy. - Nie ma sprawy.

Przez jakiś czas światelko windy stało na numerze osiem. Lassiter oparł się o ścianę, a Pisarcik chodził nerwowo w tę i z powrotem.

- Mam zebranie... - mruknął.
- Wspominał pan - odparł Joe.
- Chyba się spóźnię.
- Nie pańska wina. Pracuje pan. Pisarcik znów zagadał do walkie-talkie:
- Hej, Wu, co się dzieje?
- Mieli jakiś nagły przypadek. Lekarz musiał wpaść na radiologię.
- Jesteśmy umówieni!
- Już wraca. Zaraz zjedziemy na dół. Pisarcik zwrócił się do Lassitera:
- Za chwilę tu będą.

Lassiter kiwnął głową, nie odwracając oczu od cyferek oznaczających piętra.

Siódme...

Szóste: - Wu mówi, że to najnudniejsze zadanie, jakie kiedykolwiek otrzymał - stwierdził Pisarcik.

Piąte: - Naprawdę?

Czwarte: - No, siedział pod tym pokojem prawie miesiąc. Kiedy chciał się odlać, musiał wzywać pielęgniarkę.

Trzecie: - To rzeczywiście żenujące...

Drugie: - Mam nadzieję, że sam nigdy czegoś takiego nie dostanę.

Drugie: - Dlaczego winda stanęła?

Pisarcik popatrzył na cyfry.

- Nie wiem. Nie powinna, ale...

Światelko zgasło, winda ruszyła i czekali, aż pojawi się jedynka.

Trzecie...

Czwarte: - Co to, kurwa... - zaklął Lassiter i odsunął się od ściany.

Oczy Pisarcika rozszerzyły się i zaczął wrzeszczeć do walkie-talkie:

- Hej! Wu! Co jest grane?! Dwayne! Gdzie jesteś, człowieku? Jediną odpowiedzią był szum.

Winda znów zmieniła kierunek jazdy.

Trzecie - drugie - pierwsze - parter. Kiedy winda zatrzymała się ze zgrzytem, obaj odetchnęli z ulgą. Otworzyły się drzwi.

Na podłodze, oparty plecami o ścianę siedział policjant. Usta miał otwarte w wyrazie zaskoczenia, prawą stronę twarzy zalewała mu krew. Ściana była spryskana na czerwono, w kaburze policjanta brakowało broni. Z jego prawego oka wystawał wbity do połowy długopis.

Pisarcik zrobił krok w kierunku ciała, a potem powoli osunął się na podłogę. Lassiter zbyt późno zauważył, że policjant mdleje. Choć kątem oka widział, jak jego głowa wali o kafelki, nie mógł oderwać wzroku od trupa i długopisu w jego oku. Nagle winda zaczęła się zamykać i Lassiter odruchowo wyciągnął rękę, by do tego nie dopuścić. W głębi korytarza, który wydawał się bardzo odległy, rozległy się krzyki. Drzwi windy gwałtownie zadrgały, rozsunęły się i ponownie zaczęły się zamykać. Lassiter znów je rozepchnął. Potem zrobił to jeszcze raz. I jeszcze raz. Jeszcze raz.

Gdzieś wrzasnęła kobieta, Pisarcik jęknął i zewsząd zbiegli się ludzie.

15

Lassiter chodził w tę i z powrotem wzdłuż okien w swoim gabinecie i próbował ignorować monotony, wwiercający mu się w ucho dźwięk, dobiegający ze słuchawki telefonu. Riordan kazał mu czekać i...

Nagle muzak zamilkł.

- Znaleźliśmy ją - powiedział detektyw.

- Kogo?

- Pielęgniarkę. Juliette Jak-jej-tam.

- Nie żyje?

- Żyje. Ale jest roztrzęsiona. Drży jak osika.

- Więc co się stało?

- Twierdzi, że NN zaczął coś szeptać - jakby miał trudności z mówieniem - a gliniarz, który z nimi był, podszedł bliżej, bo nie słyszał. Albo po prostu nie chciał, żeby ktoś słyszał, co tamten szept. Następne, co zapamiętała, to jak Grimaldi trzyma policjanta za krawat i... nagle było mnóstwo krwi, Dwayne leżał na podłodze z długopisem w oku, a Grimaldi zabierał mu broń.

- Skąd wziął długopis?

- Kto wie? Wszędzie leżą długopisy.

- Co dalej?

- Wywiozła go na wózku.

- Co jej, cholera jasna...

- Trzymał w rękę glocka! Owinął sobie nogi kocem i trzymał na kolanach samopowtarzalny pistolet! Chciałbyś, żeby się z nim kłóciła? Nie sądzę. No więc zrobiła, co chciał. Zatrzymała windę i wysiedli na drugim piętrze, zawiozła go do drugiej windy, wsiedli do niej i pojechali do piwnicy. W tym samym czasie pierwsza winda otworzyła się na parterze, Pisarcik walnął ryjem o ziemię, a Grimaldi już był na parkingu.

- Cholera...

- Właśnie. Przed chwilą znaleźliśmy wózek. Lassiter opadł na kanapę przed kominkiem.

- I co dalej?

- Dalej? Zawiozła go, gdzie kazał. Tak więc sprawa stała się federalna. Porwanie samochodu z bronią w rękę. Teraz to już sprawa Biura.

- Im dalej, tym lepiej. Dokąd pojechali?

- W kierunku Baltimore. Tyle że tam nie dojechali. Zostawił ją na polnej drodze, osiem kilometrów przed Olney. Znalazł ją szeryf, jak szła poboczem. W dalszym ciągu szukamy samochodu.

- Mógł prowadzić?

- Tak sądzę. Z tego, co ona mówi, wynika, że dość dobrze chodzi.

- To po co wózek inwalidzki?

- Polityka szpitala. Wjeżdżasz na wózku i na wózku wyjeżdżasz.

Lassiter zamilkł.

- Chyba zauważyłeś - stwierdził po chwili Riordan - że nie spytałem, co tam robiłeś.

Lassiter mruknął coś niewyraźnie i zapytał:

- Co z twoim partnerem? Tym Pizarro czy jak mu tam?

- Pisarcikiem. No co? Wstyd mu! Doznał wstrząsu mózgu i wszyscy uważają, że cipa z niego. Ale wiesz co? To dobry chłopak. Nic mu nie będzie. - Riordan przerwał, jednak nawet przez telefon Lassiter słyszał, jak kręcą mu się trybiki w głowie. - Pozwól, że o coś zapytam...

- O co?

- Na pewno nic dla mnie nie masz? No wiesz, może powiedziałaś coś komuś niechętny... na przykład o przenoszeniu więźnia?

- Halo?

- Nie zamierzam odpowiadać na to pytanie.

- Nie denerwuj się, w końcu te przenosiny nie były tajemnicą państwową. Wiedzieli o nich ludzie z wydziału, ze szpitala, ludzie z Fairfax. Masa ludzi wiedziała. Może ktoś coś komuś powiedział. Może ty coś komuś powiedziałaś.

- Jasne...

- W każdym razie doktorzy twierdzą, że gość potrzebuje pomocy.

- Jakiej?

- Lekarskiej. Antybiotyków. Specjalnej maści na oparzenia, i to dużo. Rozesłaliśmy wiadomość, może będziemy mieć szczęście.

- Może być teraz wszędzie.

- Nieważne, gdzie jest. Kiedy ginie policjant, wszyscy zaczynają współpracować. Włączyli się federalni. Poza tym skurwiel nie bardzo ma się gdzie schować.

- Jak to?

- Bo jest Włochem i w dodatku ma spaskudzoną gębę. Na trwałe. Jeśli ktoś na niego popatrzy,

szybko odwróci głowę, ale tak naprawdę wszyscy będą mu się dobrze przyglądać. Rozumiesz?

- Rozumiem. - Znów zapadło milczenie. Coś dręczyło Lassitera, jakaś myśl krążyła mu po głowie. W końcu ułożyła się w słowa. - Jak to się stało, że miała kluczyki do samochodu?

- Co? Kto? O czym ty gadasz?

- Pielęgniarka. Dlaczego miała przy sobie kluczyki? Kobiety, które znam, nie trzymają kluczy do samochodu po kieszeniach. Była w pracy, prawda? Kobiety trzymają klucze w torebce, a torebkę w biurku, czy gdzie tam się trzyma rzeczy w szpitalu... w szafce.

- Może właśnie skończyła zmianę albo zamierzała iść po coś do samochodu?

- Zapytasz ją o to?

- Jasne.

- Nie sądzę, by pielęgniarka nosiła ze sobą przez całą zmianę pęk kluczy.

Riordan znów pomilczał, po czym stwierdził:

- Nie wiem. Ale to ciekawe pytanie. Zapytamy ją, jednak moim zdaniem po prostu miała je przy sobie.

- Może. Pewnie tak. Ale koniecznie zapytaj. Twoja sprawa właśnie przestała być „rozwiązana”.

Lassiter został w biurze do późnego wieczora. Siedział za biurkiem i jadł prosto z kartonu zamówione na wynos danie z tajskiej restauracji. Przycisk obok jego kolana uruchamiał płytę w ścianie, za którą mieściły się trzy telewizory - tę innowację wprowadzili poprzedni lokatorzy, kiedy prowadzili kampanię reklamową dla Dana Quayle'a. Lassiter wcisnął przycisk kolanem i płyta się odsunęła.

Wiadomości o jedenastej zaczęły się od głośnej, hałaśliwej muzyki. Na ekranie pojawiło się policyjne zdjęcie Grimaldiego, a spiker oznajmił: „...śmiała uciezka przestępcy ze szpitala kosztowała życie eskortującego go policjanta - jego rodzina oplakuje teraz męża i ojca, a wśród nas krąży kolejny morderca”. Po tym oświadczeniu pokazano reklamę „Washington Post” („Nie kupisz jej - nie będziesz jej miał!”) i „główny reportaż”.

Składał się z ciągu tematycznie powiązanych obrazów. Najpierw pokazano jasnowłosą kobietę o imieniu Ripsy, stojącą na parkingu obok przewróconego wózka inwalidzkiego. W końcu blondyna rzuciła: „Teraz ty, Bill” - i kamera pokazała faceta w średnim wieku, o czerwonych jak u królika oczach i zbyt bujnych włosach. Stał na ciemnej drodze „niedaleko Olney” i przez chwilę opowiadał o „wstrząsających przejściach” pielęgniarki, po czym na ekranie ukazała się Michelle, czarnoskóra dziewczyna, siedząca w domu w Reston u matki Dwayne'a Tompkinsa, schorowanej starej kobiety, która patrzyła w kamerę przerażająco pustym wzrokiem i nie była w stanie nic powiedzieć.

Lassiter patrzył na ekran, trzymając w jednym ręku pałeczki do ryżu, w drugim piwo. Miał trudności ze skoncentrowaniem się na tym, co mówiono. W telewizji jest coś, co odbiera każdej katastrofie realność, i można je oglądać nawet przy kolacji. Śmierć siostry, dwukrotne spalenie siostrzeńca, uciezka Grimaldiego - telewizja przetworzyła te wydarzenia, zamieniła je w coś w rodzaju rozrywki. No, może nie całkiem rozrywki, ale na pewno w coś całkiem innego niż to, czym były w rzeczywistości. Uczyniła je bezosobowymi.

Kiedy nad tym rozmyślał, zauważył, że wszyscy reporterzy mają takie same szaliki... to znaczy w tym samym stylu: w czarno-brązową kratkę. Sprawiało to wrażenie, że mimo różnic wszyscy mają ze sobą coś wspólnego. Wszyscy byli przedstawicielami tego samego plemienia: nacji burberry'owców. Byli burberry'owcami odmiany waszyngtońskiej.

Uśmiechnął się na tę myśl, szybko jednak spochmurniał, gdy zorientował się, że jego obserwacja

jest dokładnie w typie „bystrych” spostrzeżeń, jakie robiła Kathy. Zirytowany, wyłączył telewizory, pogasił światła i pojechał do domu. Próbował się pocieszyć, że przynajmniej Riordan wrócił do sprawy, ale przygnębiło go to jeszcze bardziej, bo przecież sytuacja znacznie się pogorszyła.

Długo nie mógł zasnąć. Ciągle słyszał, jak głowa Pisarcika uderza o podłogę, i widział długopis w oku młodego policjanta.

Co gorsza - miał świadomość, że po raz drugi może się nie udać złapać Grimaldiego. Oznaczało to nie tylko, że zabójca nie zostanie ukarany, ale także to, iż nigdy się nie dowie, dlaczego zamordowano mu siostrę i siostrzeńca.

Ciao.

W końcu zapadł w płytki sen i zaczął śnić o Kathy oraz pewnej rzeczy, która się wydarzyła, kiedy byli dziećmi.

Kathy mogła mieć wtedy jakieś dwanaście lat, co oznaczało, że on miał siedem. Byli w Kentucky, wypłynęli na jezioro łodzią wiosłową, głównie po to, by uciec od Josie. Kathy siedziała na dziobie i czytała jakieś czasopismo. Miała nowe, przepisane przez lekarza okulary przeciwsłoneczne w białych oprawkach, które wybrała sobie dwa tygodnie przed urodzinami, choć dostała je dopiero w dzień urodzin. Uwielbiała te okulary i nosiła je bez przerwy - nawet w domu i w nocy.

W łódce, by móc czytać, przesunęła okulary do góry, ale kiedy wstała, spadły jej z głowy i wylądowały za burtą. Lassiter usłyszał krzyk siostry i zobaczył, jak okulary toną. Ich wydobywanie wydawało się najłatwiejszą rzeczą na świecie, jednak choć Kathy natychmiast wskoczyła do wody, a potem oboje wrócili w to miejsce z maskami i rurkami do oddychania - i spędzili kilka godzin na szukaniu - nie dało się ich odnaleźć.

We śnie Lassiter pływał pod wodą i widział okulary leżące na dnie ze skrzyżowanymi zausznikami, jakby Kathy położyła je na stole. Nurkował i nurkował, ale błyszczący przedmiot raz za razem okazywał się kawałkiem kwarcu, puszką po piwie albo grą światła i w końcu wypływał z niczym. Gdy się obudził, miał wrażenie - tak jak wtedy, tamtego dnia - że znów zawiódł siostrę.

Kiedy przyszedł następnego dnia do pracy, Freddy Dexter wieszał ozdoby na stojącej w holu choince. Jak tylko ujrzał Lassitera, oddał pudełko ze świecidełkami recepcjonistce i pobiegł za szefem.

- Co jest? - spytał Lassiter.

- Szkło - odparł Freddy, wyraźnie z siebie zadowolony.

- Co?

- Buteleczka - przypomniał mu Dexter.

- Ach tak... Może porozmawiamy u mnie? - Kiedy weszli do gabinetu, Lassiter wskazał na krzesło, usiadł za biurkiem i podniósł słuchawkę. - Chcesz kawy?

Freddy pokręcił głową. Lassiter odłożył słuchawkę i oparł się wygodnie. Freddy odchrząknął.

- Szkło jest znacznie ciekawsze, niż się zazwyczaj uważa... - zaczął.

- Naprawdę?

- Tak. Można przez nie patrzeć, pić z niego, ale to jeszcze nic. Ma znacznie więcej przeznaczeń.

- To dobrze. Miałem taką nadzieję.

- Jeśli chcesz, mogę opowiedzieć o wszystkim po kolei: o łatwości formowania go, o pieszczeli...

- O czym...?

- To rura do wydmuchiwania szkła. Wynaleziono ją w Mezopotamii. Nie masz pojęcia, jak trudno było kiedyś produkować przezroczyste szkło.

- Masz rację. Nie mam. Freddy uśmiechnął się.

- W każdym razie nie umiano tego robić do tysiąc czterechsetnego, może nawet czterechsetpięćdziesiątego roku. Ale możemy być tylko wdzięczni, bo dzięki temu mamy witraże zamiast białych szyb. Twoja buteleczka...

- Wreszcie przechodzimy do rzeczy. Freddy zignorował sarkazm w głosie Lassitera.

- Twoja buteleczka musiała być czymś niezwykle nowoczesnym w tamtych czasach.

- Chcesz powiedzieć, że jest aż tak stara?

- Prawdopodobnie tak. Ale dysponujemy jedynie zdjęciami. Nie mając butelki, nie możemy określić, czy to fałszerstwo - dobre fałszerstwo - czy oryginał. Mniej więcej na przełomie wieków Włosi kopiowali wszystko, co tylko wpadło im w ręce - rzeźby, relikwie, ubrania, szkło - co tylko możliwe. Zaczęła się wtedy wielka turystyka, przyjeżdżali do nich ludzie ze Stanów i reszty świata i nagle powstał wielki rynek na antyki.

- Czyli buteleczka...

- Jest antykiem albo kopią buteleczek, jakich księża używali w średniowieczu...

- Co?!

- Służyły do święconej wody. Rozmawiałem z kilkoma ekspertami - kobietą od Christiego, z ludźmi ze Smithsonian i wszyscy byli co do tego zgodni. Buteleczki, o jakich mówimy, takie jak ta, którą znaleziono przy twoim człowieku - robiono w manufakturach w Murano. To dzielnica Wenecji. Oznaczenia na górze i mała metalowa korona na zakrętce świadczą o tym, że buteleczka była przeznaczona dla templariuszy. Brali takie buteleczki na krucjaty. - Freddy rozparł się na krześle, zadowolony z siebie.

Lassiter popatrzył na niego uważnie.

- Krucjaty...

- Tak. Przeciwno islamowi.

- I wozili w nich święconą wodę.

- Właśnie. Święcona woda była bardzo cenna, dlatego przewożono ją w szklanych buteleczkach. Do innych płynów używano wyrobów garncarskich. Mógłbym opowiedzieć ci o butelkach na święconą wodę bardzo wiele. Na przykład Marco Polo wiozł jedną z sobą przez całą podróż do Chin. Oczywiście zakładając, że rzeczywiście jechał do Chin, ale to już inna historia. W każdym razie powiedziano mi, że...

- Spisałeś to?

Freddy poklepał się po wystającym z kieszonki koszułi notesie.

- Oczywiście. Dam ci moje notatki, pomyślałem jednak, że może chcesz wiedzieć od razu, o co chodzi. W każdym razie jest to bardzo stara buteleczka do święconej wody.

- Dzięki - mruknął Lassiter, jeszcze bardziej zdezorientowany niż w jakimkolwiek momencie od początku całej historii. - To była chyba dobra robota.

- Cała przyjemność po mojej stronie.

Po południu zjawiał się kurier z departamentu stanu z - jak zapowiedział Woody - aktówką przymocowaną łańcuszkiem do nadgarstka. Poprosił Lassitera o dokument ze zdjęciem i po porównaniu fotografii na prawie jazdy z siedzącym przed nim człowiekiem wyciągnął z kieszeni klucz i otworzył aktówkę.

Wyjął z niej szarą kopertę i poprosił Lassitera o podpis w niewielkiej czarnej książeczce. Kiedy Joe podpisał, kurier dał mu dużą kopertę, zatrzasnął aktówkę i wyszedł bez słowa. Gdy drzwi się za

nim zamknęły, Lassiter rozerwał kopertę i wyjął z niej cienką teczkę, do której była doklejona żółta karteczka. Na karteczce napisano:

Pobiegajmy jutro Great Falls 0600 przy Overlook - uzupełnię braki.

Na tezcze napisano: GRIMALDI, FRANCO - i była na niej data 29.01.89. Opatrzona była też licznymi stemplami określającymi klasyfikację tajności i przez czyje ręce przechodziła, miała również stempel NOFORN, co - jak Lassiter pamiętał z wojska - było skrótem od: „Nie rozpowszechniać za granicę”. Na pierwszej stronie znajdowały się nazwiska i daty.

Pseudonimy: Franco Grigio, Frank Guttman (i. nn.) Gutierrez

Prawdopodobnie „i. nn.” znaczyło „imię nieznane”. Lassiter zakonotował sobie, że musi przekazać Woody’emu imię Gutier-reza: JUAN.

Ur. 17.03.55. w Rosarno (Kalabria) Matka: Vittorina Patuzzi Ojciec: Giovanni Grimaldi (zm.)

Rodzeństwo:

Giovanni 12.02.53. (zm.)

Ernesto 27.01.54. (zm.)

Giampolo 31.03.57.

Luca 10.02.61.

Angela (Buccio) 07.02.62.

Dante 17.05.64. Adresy:

114 Via Genova, Rzym

237 Via Barberini, Rzym

Heilestrasse 49, Zuoz (Szwajcaria) Służba wojskowa:

Carabinieri: 20.01.73.

SISMI: 15.11.73. (zw. 12.04.86) Weryfikacja:

L'Onda

89 MAPUTO 008041 - FLASH

Tekst, który następował po tym wykazie, informował, że Grimaldi zwrócił na siebie uwagę departamentu stanu 5 stycznia 1989 roku, kiedy to z Maputo, stolicy Mozambiku, otrzymano teleks z tamtejszej delegatury CIA. Donoszono w nim o zabójstwie „jednostronnie kontrolowanego cennego nabytku w sekretariacie Afrykańskiego Kongresu Narodowego”. Miejskowa policja szukała obywatela Włoch - „najemnika”, który poprzedniego wieczoru przyleciał do Maputo z Johannesburga. Ze względu na znaczenie zabitego agenta dla „interesów Ameryki” w tamtym regionie, sprawą zajęła się CIA.

Potem autor opracowania zaczął od początku. Wyjaśnił, że Rosarno to niewielki port w „palcach włoskiego buta”. Grimaldi był jednym z siedmiorga dzieci rybaka, ale nie czuł się związany z rodziną. Jediną osobą z rodzeństwa, z którą (o ile wiedziano) utrzymywał kontakt, była siostra Angela, mieszkająca w Rzymie. Z akt wynikało, że Grimaldi zaczął dziewięćmiesięczną obowiązkową służbę wojskową w 1973 roku, a potem przejął go włoski wywiad wojskowy SISMI, który do czasu reorganizacji w 1993 roku, poza działalnością kontrwywiadowczą i prowadzeniem operacji antyterrorystycznych, prowadził wszelkie możliwe rodzaje operacji z zakresu wywiadu zagranicznego, akcje skierowane przeciwko mafii oraz nadzór elektroniczny.

Grimaldi został przydzielony do L'Onda - czyli „Fali”, stacjonującej w Mediolanie jednostki paramilitarnej, zorganizowanej na wzór brytyjskiego SAS. Głównym zadaniem jednostki było zwalczanie terroryzmu krajowego, ale zdaniem autora raportu jej działalność była zanadto

„burzliwa”. Według akt reputacja L’Onda została popsuta w 1986 roku, z powodu ujawnienia jej roli w szeregu skrytobójczych morderstw i zamachów bombowych. W ciągu ośmiu lat w tych incydentach, wśród których były zamachy na dworce kolejowe i supermarkety, zginęło ponad stu cywili. Zamachy, które początkowo przypisywano ugrupowaniom ultra-lewicowym, okazały się akcjami przygotowanymi przez prowokatorów z L’Onda. Były one elementem prowadzonej przez SISMI „polityki napięcia”, która miała doprowadzić do objęcia władzy przez rząd wojskowy. Plan ten w 1986 roku ujawniono i wkrótce potem rozwiązano L’Onda (albo - co zależy od punktu widzenia - przemianowano ją). Ujawnienie korupcji wielkiego zasięgu i tajnych związków z takimi ugrupowaniami jak mafia sycylijska doprowadziło do reorganizacji SISMI. Jednak w tym czasie Grimaldi już z nimi nie współpracował.

Do raportu dołączono kilka fotografii. Jedna była reprodukcją zdjęcia z akt wojskowych i przedstawiała przystojnego młodzieńca o czarnych, skrzącących się oczach. Zdjęcia numer dwa i trzy zostały zrobione przez śledzących Włocha agentów i były bardzo ziarniste. Wykonane przy użyciu teleobiektywu, ukazywały Grimaldiego, wysiadającego z land-rovera przed bliżej nieokreślonym budynkiem lotniska, najprawdopodobniej gdzieś w tropikach. W tle widać było palmy, a Grimaldi - już nie taki młody - patrzył twardo, w sposób, który Lassiter znał ze szpitala i zdjęć więziennych.

Ciao.

Lassiter wrócił myślami do uwagi Riordana o stanie fizycznym Grimaldiego - że choć wiele razy dostał, wciąż jest w dobrej kondycji. Detektyw podejrzewał, że był żołnierzem. I w pewnym sensie miał rację.

Do akt dołączona była kartka z ręcznym napisem u góry: AKTYWA. Pod nagłówkiem wymieniono listę należących do Grimaldiego nieruchomości.

Apartament na dachu budynku przy Via Barberini, w eleganckiej rzymskiej dzielnicy Parioli.

Drugi apartament pod tym samym adresem (odnośnik informował, że był wynajmowany siostrze Grimaldiego, Angeli).

Dom w Zuoz w Szwajcarii (raport zaznaczał, że to wieś niedaleko St. Moritz).

Poza nieruchomościami Włoch miał konto w Banco Lavoro z wkładem mniej więcej dwudziestu sześciu tysięcy dolarów. Autor raportu twierdził, że Grimaldi miał jeszcze inne konta w Szwajcarii, prawdopodobnie w Credit Suisse, ale szczegóły były „nie dostępne”.

Pod nagłówkiem SAMOCHODY wymieniano dwa: jeepa cherokee (w Rzymie) i rangę rovera (w Zuoz). Z wyjątkiem kredytu w domu towarowym, Grimaldi nie miał innych otwartych kredytów. Najwyraźniej - jeśli chodziło o restauracje i rozrywki, ubrania i inne tego typu rzeczy, „obiekt” wolał płacić gotówką.

Lassiter przez chwilę zastanawiał się nad tym, gdyż jako „Juan Gutierrez” Grimaldi zadał sobie trud wyrobienia karty VISA. Cóż - prawdopodobnie nie miał wyjścia. W Europie może jeszcze królowała gotówka, ale w Stanach od dawna była podejrzana: odliczanie tysiąca dolarów za bilet lotniczy albo rachunek hotelowy jest na tyle niecodzienne, że zwraca powszechną uwagę.

Joe opadł na oparcie fotela. Raport dał Grimaldiemu osobowość, tożsamość, ale była to tożsamość człowieka tajemniczego - co gorsza, był już nieaktualny. Poza wzmianką o Mozambiku nic nie sięgało dalej niż rok 1986. Gdzie - oprócz Maputo - Grimaldi był przez ostatnie dziesięć lat? Co robił? Czy adresy z raportu są aktualne, czy się przeprowadził?

Lassiter wziął do ręki żółtą karteczkę. Nie zamierzał biegać z rana. Nie o szóstej. Ale zmienił zamiar.

Great Falls.

Choć było jeszcze ciemno, gdy mijał zamkniętą budkę przy wjeździe do parku, noc już odchodziła. Znajdował się trzy kilometry od swojego domu w McLean. Biegał tu dwa lub trzy razy w tygodniu, choć nigdy o tej porze. Woody był maratończykiem i w dodatku lubił przychodzić do pracy przed ósmą, więc jego dni rozpoczynały się przed świtem. Zazwyczaj biegał wzdłuż kanału G & Q, który zaczynał się kilka przecznic od jego domu w Georgetown. Jednak czasem jechał do Great Falls, gdzie było miększe podłoże, ładniejsze widoki i zachwycające wzgórza.

Nawet z parkingu Lassiter słyszał dudniącą w oddali wodę. Było niewiele powyżej zera, ale zabezpieczył się przed zimnem starym dressem, postrzępionym na kołnierzyku i rękawach. Kiedy szedł w kierunku Owerlook, niebo na wschodzie zaczęło jaśnieć i delikatny róż podświetlił drzewa i skały na brzegu od strony Marylandu. Minał słup z zaznaczonymi wysokościami, jakie osiągała woda podczas wszystkich powodzi stulecia. Zawsze go te wysokości zadziwiały, ponieważ słup stał na występie skalnym, dobre dwadzieścia metrów nad rzeką. Tabliczka i rysunek informowały o powodzi z 1932 roku, kiedy woda wspięła się dwa metry powyżej punktu, w którym miał teraz głowę. Uświadomił sobie nagle, że zawsze miał w głowie listę miejsc, które zamierzał kiedyś pokazać Brandonowi - i to miejsce również na niej było. A teraz... nic z tego.

Gdy dotarł do Owerlook, oparł się o metalową poręcz i spojrzał w dół na kipiącą wodę. Huk był potężny, widok niezwykły. Zdawało się, że uderzane i polerowane przez tysiąclecia kamienie zaraz się rozpadną. W tym momencie dostrzegł kiwające się, zbliżające się między drzewami światełko. To nadbiegał Woody, z przymocowaną do czoła latarką. Jak górnik, który wyskoczył sobie pobiegać.

- Cześć! - zawołał.

Uścisnęli sobie ręce, a potem Woody pochylił się do przodu, by rozciągnąć mięśnie łydek.

- Dzięki za akta - powiedział Lassiter.

- Spaliłeś je?

- Tak. Jak kazałeś.

- To dobrze. - Woody wyprostował się. - Chodź. Pobiegli przez teren do robienia pikników, w kierunku ścieżki dla biegaczy, wijącej się między drzewami.

- Problem jest tylko taki... - zaczął Joe.

- Wiem. Informacja jest nieaktualna.

Przez jakiś czas biegli w milczeniu obok siebie, omijając wystające z ziemi kamienie. W końcu Woody powiedział:

- Twój facet to opryszek.

- Nie żartuj.

- Po odejściu z SISMI zaczął działać na własną rękę.

- Co robił?

- To i owo. Głównie polował na zlecenie Madrytu na Basków.

- Co takiego?

- Polował na separatystów baskijskich. W Hiszpanii, we Francji. Gdzie się dało. Płacili mu za głowę.

- Jak coś takiego jest możliwe?

- Facet jest kimś w rodzaju łowcy nagród. Tyle że... niektórzy z tych ludzi nie byli - jak to się mówi - „miękkimi celami”. Azylandzi w Sztokholmie. Prawnicy, akademicy. Potem... w osiemdziesiątym dziewiątym... pojechał do Mozambiku. Inny rodzaj zlecenia, choć taka sama robota.

Zdmuchnął gościa, który nazywał się Mtetwa. Wyższej rangi funkcjonariusza ANC. Facet miał ze sto lat. Ale Grimaldi jednej rzeczy nie wiedział: facet był jednym z nas. Agencja się wkurzyła.

- Nie pędź tak.
- Biegnę całkiem spokojnie.
- Ale za szybko.
- Dlatego, że nie ma zbyt wielu nowych danych.

Kiedy mijali mostek u stóp wzgórza, którego zbocze wspinało się stromo, Lassiter ciężko dyszał. Wdrapanie się na szczyt zajęło im dwie minuty, a gdy tam dotarli, mimo niskiej temperatury Joe miał podkoszulek przesiąknięty potem. Stał, oparł dłonie na biodrach, opuścił głowę i wziął głęboki wdech. Z jego pleców unosiła się para.

- Czemu odszedł z SISMI?
- Kto wie? Wielu ludzi odeszło z SISMI.
- Dlaczego?
- Statek tonął... SISMI była beznadziejnie skompromitowana, całkowicie skorumpowana...

Chodź, robi mi się zimno - mruknął Woody i pobiegli dalej. - Infiltrowali mafię, masonów, komunistów, Czerwone Brygady... a może było odwrotnie, kto wie? Nie byliśmy w stanie tego stwierdzić, oni sami też pewnie tego nie wiedzieli. Przynajmniej nie do końca. Każdy ma jakieś sprawy do ukrycia - politykę, pieniądze, religię... różne.

Znów zamilkli. Robiło się coraz jaśniej. Kiedy dotarli do półki skalnej z widokiem na rzekę, zaczęli dreptać w miejscu. Obserwowali kajakarza, który schodził ku wodzie. Jaskrawożółty kajak błyskał między przybrzeżnymi skałami.

Woody popatrzył na Lassitera.

- Problem w tym, że nic z tego nie ma związku z twoją siostrą. Lassiter kiwnął głową.
- Wiem.
- Więc może chodzi o ciebie?
- Co masz na myśli? Woody rozłożył ręce.
- Tyle lat byłeś w Brukseli. Nie masz tam wrogów?
- Wrogów? Może. Ale nie takich.
- Na pewno?

- Raczej tak. Poza tym gdyby ktoś się na mnie zamierzał, pewnie by chciał, żebym o tym wiedział. Jeśli nie... jaki to miałyby sens? - Przez chwilę patrzyli, jak kajakarz wsiada do łódki, a potem znów pobiegli. - I to wszystko, co wiesz na jego temat? - zapytał Joe.

- Mniej więcej. Po Mozambiku zniknął. Jak stary żołnierz. Kilka lat nic... i zabija ci siostrę i jej dzieciaka.

Biegli po prowadzącym wzdłuż Potomacu urwisku. Z ziemi wszędzie wystawały korzenie i musieli się skoncentrować, by nie upaść.

- I co dalej? - spytał w końcu Woody.

Zanim Lassiter zdążył odpowiedzieć, na ścieżce przed nimi pojawiło się przewrócone drzewo. Przeskoczył je jednym susem, a Woody wylądował tuż za nim.

- Nie wiem. Może powinienem gdzieś pojechać. Pomyśleć.
- Dobry pomysł. Niech gliny załatwią sprawę do końca.
- Właśnie.

Wkrótce wybiegli z lasu i pognali przez parking.

- Gdzie byś pojechał? - spytał Woody.
 - Nie wiem - odparł Lassiter i wzruszył ramionami. - Myślałem o... Włoszech.
- Woody nie zamierzał się z nim spierać. Znali się zbyt dobrze.
- Tylko uważaj na swoje dupsko.

16

Rzym. Lotnisko Leonarda da Vinci.

Lassiter siedział w biznes-klasie i czekając, aż boeing 737 się opróżni, kartkował stare wydanie „Time’a”. Przejście między fotelami, które miał po prawej ręce, było zapchane zmęczonymi przelotem przez Atlantyk ludźmi o przekrwionych oczach, desperacko spieszącymi się do terminalu, gdzie oczywiście staną w następnej kolejce. Kiedy jakieś pięć minut później ostatni pasażer wytaczał się stamtąd przygniatany potężnym plecakiem, Lassiter rzucił gazetę na fotel obok, wstał i również ruszył do terminalu.

Tuż przy karuzeli z bagażami był barek, więc zamówił kawę z mlekiem, płacąc trzema jednodolarowymi banknotami. Ludzie, z którymi przyleciał, tłoczyli się w czterech i pięciu szeregach wokół taśmociągu i czekali, aż pojawią się ich walizki, by móc się na nie natychmiast rzucić. Wyglądali jak zmęczone drapieżne zwierzęta - obserwowali każdą sztukę przejeżdżającego bagażu, czekając na odpowiedni moment. Kto już złapał swoją walizkę, gnał do kontroli paszportowej i ustawiał się w trzeciej kolejce.

Lassiter zbyt dużo podróżował, by podzielać podniecenie otaczających go ludzi. Kiedy na taśmociągu pojawił się jego bagaż, nie ruszył się, nadal spokojnie popijał kawę. Patrzył, jak torba krąży po karuzeli, dopóki nie skończył. Potem wziął bagaż i przeszedł przez kontrolę paszportów.

Zawsze szybko zapominał, jak paskudne jest rzymskie lotnisko. Jako inżynier, Leonardo na pewno by się zachwyił latającymi maszynami, ale jako artysta z pewnością skrzyłby się na widok ponurego budynku, lepkich podłóg i znudzonych *carabinieri*. Zawsze było tu brudno i tłoczno.

Tego akurat dnia na lotnisku było pełno urlopowiczów z całego świata. Trener fińskiej drużyny kręglarskiej, za którym stał tłumek zawodników, kłócił się z poważną Włoszką, siedzącą za plastikowym kontuarem, nad którym umieszczono wielki czerwony znak zapytania. Para niskich Hindusów przepychała się przez tłum, ciągnąc za sobą ogromny bagaż - błękitną plastikową skrzynię, obwiązaną gumowymi linami. Na kafelkowanej podłodze siedział szwadron Arabek w czadorach i tradycyjnych szatach, wokół nich biegały dzieciaki, a obok przemykali włoscy biznesmeni i zagraniczni turyści, przepychając i przeciągając swój dobytek przez ten niewiarygodny tłum. Pracownicy odpowiedzialni za obsługę pasażerów biegali od kolejki do kolejki, zadawali nieustannie te same pytania i przyklejali do bagażu numerki. Wśród tego chaosu spacerowali tu i ówdzie żołnierze z pistoletami automatycznymi.

Lassiter wyszedł przed budynek w poszukiwaniu taksówki.

Dzień był szary, powietrze zimne i ciężkie od mgły, która częściowo zmieniała się w deszcz. Joe znalazł taksówkę i wsiadł. Kiedy jechali, przyglądał się osiedlom tanich domów i slumsom wokół zakładów przemysłu lekkiego, ciągnącym się od lotniska do miasta. Włochy naprawdę było stać na więcej - przynajmniej w przeszłości.

Hotel, w którym zamieszkał - „Hassler Medici” - znajdował się tuż nad świeżo odrestaurowanymi Schodami Hiszpańskimi, a z okien pokoju widać było Via Condotti, „Babington’s Tea Room” i McDonalda. Na ulicy przed hotelem stali długowłose chłopak i dziewczyna, rozdający

przechodniom ulotki. Lassiter wziął jedną i w odpowiedzi usłyszał: *Grazie*.

Kiedy się meldował, recepcjonista przeprosił go za natręctwo młodej pary na chodniku i wyjaśnił, o co chodzi. Otóż po setkach lat używania schody były tak zniszczone, że wymagały restauracji - za olbrzymią sumę - albo trzeba byłoby je zamknąć. Po wielokrotnym przesuwaniu terminu rozpoczęto wreszcie prace, a kiedy je skończono, odbyła się ceremonia przecięcia wstęgi, ale po zrobieniu zdjęć dla prasy oznajmiono, że schody nadal pozostaną zamknięte - by znów nie popadły w ruinę.

Doprowadzało to recepcjonistę niemal do apopleksji.

- Naprawili je i chcą zrobić z nich *museol* Ale zapomnieli o jednym! To są schody i po coś istnieją. - Pokręcił głową. - Dziś są zamknięte, a jutro? - Wyrzucił ręce dramatycznym gestem w górę, a potem uśmiechnął się i wyciągnął rękę z kluczem. - Witamy w Wiecznym Mieście, mister Lassiter.

Pokój był duży, cichy i bogato umeblowany. Gdy drzwi zamknęły się za boyem, Lassiter podszedł do łóżka i opadł na plecy z westchnieniem ulgi. Nie zamierzał spać, ale był zmęczony podróżą, a deszczowe szare niebo sprawiało, że popołudnie wyglądało jak wieczór.

Kiedy się obudził, było już ciemno i przez chwilę nie mógł się zorientować, która jest godzina: szósta rano czy szósta wieczór. Leżąc w ciemności, zmusił umysł do koncentracji i w końcu przypomniał sobie, gdzie jest i jaka jest pora dnia. Przyjechał do hotelu w południe, teraz musiał więc być wieczór.

Wstał i rozpakował torbę. Zaniósł do wyłożonej marmurem łazienki szczoteczkę do zębów i brzytwę i rozebrał się. Wszedł pod prysznic, zamknął oczy i przez dłuższą chwilę pozwolił lać się gorącej wodzie na ramiona. Po pięciu minutach wyszedł z kabiny i włożył szlafrok z grubego białego frotte, który wisiał na haczyku na drzwiach łazienki. Potem poszedł do minibarku po butelkę wody Pellegrino.

Odświeżony i rozbudzony, wyjął z torby notebook Compaqua i włączył go. Kiedy komputer skończył rutynową procedurę logowania się, Lassiter otworzył folder z książką telefoniczną i plik Rzymu. Po znalezieniu odpowiedniego numeru zadzwonił do człowieka Judy, prywatnego detektywa, który nie znalazł nic na temat Grimaldiego.

- *Pronto?*

- Dzień dobry... mówi pan po angielsku?

- *Si-iii*. - Zabrzmiało to jak dwie sylaby. W tle głośno śmiało się dziecko.

- Szukam pana... Bepi... - Nazwisko było niemożliwe do wymówienia.

- Bepistraversi! To ja. Joe?

- Tak.

- Judy mówiła, że masz dzwonić.

- Ma pan chwilę czasu?

- Oczywiście. Ale proszę mówić do mnie Bepi.

- W porządku. Gdzie chcesz się spotkać? Mogłbym przyjechać do twojego biura...

- *Un momento...* - Bepi zasłonił mikrofon dłonią, ale mimo to ze słuchawki doleciał gwałtowny potok słów: - *Per! Fcwoe! Ragazzo!* - Zapadła cisza, a potem rozległ się śmiech. W słuchawce znów zabrzmiał głos Bepiego: - - Może lepsza będzie „La Rosetta”. Możemy zjeść tam kolację. - Powiedział Joemu, jak tam dojechać, i dodał: - Zarezerwuję stół.

Lassiter szybko się ubrał i kilka minut później wyszedł z hotelu. Kupił „Herald Tribune”, a kiedy tuż za kioskiem z gazetami znalazł *pasticceria*, zatrzymał się tam na filiżankę kawy. Wieści ze świata

były złe, ale kawa na tyle dobra, że zamówił drugą filiżankę. Niedaleko pluskała fontanna, jednak panujący wokół spokój zakłócała muzyka, dudniąca z głośnika, zamontowanego na przenośnym straganie, w którym można było kazać napisać swoje imię na ziarnku ryżu.

„La Rosetta” była niewielką restauracją w dzielnicy onegdaj robotniczej, ale już od dawna będącej miejscem modnym zarówno wśród turystów, jak i rzymian. Lassiter był tu minionego lata, kiedy miasto się smażyło w słońcu, a ceny sięgały zenitu. Jadł z Monicą w *osteria*, posadzono ich przy małym stoliku, wystawionym na wąziutkiej uliczce, po której co chwila przejeżdżały warkoczące motorowery i skutery. Pamiętał tę kolację jako romantyczną mieszankę światła świec i smrodu spalin.

Teraz jednak była zima. Stoły i krzesła wniesiono do środka, za nimi do wnętrza przenieśli się turyści, biznesmeni i zakochani. „La Rosetta” okazała się przyjazną jaskinią, ze zwisającymi z belek sznurami czosnku i ogniem w kominku. Kiedy tylko Lassiter wszedł, zmaterializował się obok niego młody mężczyzna. Miał czarne, sięgające ramion włosy, zielone oczy i pełen nadziei uśmiech. Pomijając uśmiech, wyglądał jak z reklam strojów Armaniego.

- Jesteś Joe, tak? - zapytał.

- Tak.

- Tony Bepi.

Uścisnęli sobie dłonie i znaleźli stolik w głębi sali, tuż przy drzwiach do kuchni. Rozmowa krążyła przez jakiś czas wokół tak nieistotnych tematów, jak zanieczyszczenie powietrza w Rzymie czy kurs wymiany lir-dolar. W końcu kelner postawił na stole karafkę „domowego” wina, butelkę San Gimignano i przyjął zamówienie.

Kiedy odszedł, Bepi pochylił się do Lassitera i cicho spytał:

- Jesteś zły?

- Dlaczego?

- Tak wysoki rachunek za tak mało informacji!

- Jaki rachunek?

- Grimaldi. Lassiter pokręcił głową.

- Nie. Nie jestem zły.

- Jeśli nawet jesteś, nie mam do ciebie pretensji. Lassiter roześmiał się.

- Naprawdę...

- Więc o co chodzi? - zmarszczył czoło zdziwiony Bepi.

- Rozmawiałem z kimś z rządu. Mówi, że nasz człowiek to bardzo poważna sprawa.

Bepi powtórzył pod nosem:

- „Poważna... sprawa”?

- Jest niebezpieczny. Przyjaciel, z którym rozmawiałem, uważa, że Grimaldi może okazać się dla ciebie problemem, jeśli byłeś nieostrożny...

Bepi ruchem ręki odsunął tę ewentualność i pokręcił głową. Poczęstował Lassitera papierosem, a kiedy ten odmówił, spytał, czy uważa palenie w swojej obecności za „zaczepek”. Lassiter zaprzeczył i Włoch odetchnął z ulgą. Zapalił papierosa, wciągnął dym w płuca i wypuścił długą, szarą strugę w kierunku stolika obok.

- Byłem... - zaczął - byłem... jak wy to mówicie? *Vigile*. Czujny. Judy powiedziała, że muszę być ostrożny. Skorzystałem z czyichś usług, rozumiesz, a kiedy oni prowadzą... - Znów na chwilę zamilkł, szukając odpowiedniego określenia. - Kiedy prowadzą... szerokie poszukiwania i nic nie ma, od razu

wiadomo, że człowiek jest... jak to określiłeś? „Poważny”.

- Dlaczego?

Bepi znowu machnął ręką i wypuścił kolejną chmurę dymu.

- Jesteśmy Włochami! Mamy najślawniejszą biurokrację świata! We Włoszech jest pół miliona ludzi, których jedynym celem życia jest stemplowanie dokumentów! Kiedy to robią, zapisują twoje nazwisko na maleńkiej liście. Jest mnóstwo maleńkich list! No więc co może znaczyć, jeśli zaczynasz czegoś szukać i nic nie ma? - Wzruszył ramionami i ponownie pochylił się do Lassitera. - Znasz Sherlocka Holmesa?

- Dlaczego?

- Cóż... - mruknął Bepi z tajemniczym, zadowolonym uśmiechem. - To musi być pies, bo nie szczeka.

Lassiter roześmiał się i zaczęli rozmawiać o różnych nieistotnych sprawach. Kelner przyniósł sześć talerzy naraz i porozstawiał je, jakby rozdawał karty. Kiedy odszedł, Bepi popatrzył Lassiterowi w oczy.

- Powiedz mi coś - poprosił.

- Tak?

- To SISMI? Mafia? Czy jedno i drugie? Lassiter był zaskoczony. Nie docenił tego Włocha.

- SISMI.

Bepi pokiwał głową.

- Przyjechałeś w związku z nim? Z Grimaldim? - Skrzywił się. - Jeśli sprawa nie jest naprawdę ważna, to chyba szkoda twoich pieniędzy. - Przez chwilę milczał, zastanawiając się nad czymś. - Mogę zapytać o jedno? Kim jest klient?

- Ja jestem klientem. Judy ci nie powiedziała?

- Wiesz, jaka jest Judy. Powiedziała, że zadzwonisz. Że mam czekać przy telefonie. To wszystko.

- No tak... jeśli chodzi o Grimaldiego, to... zadźgał moją siostrę nożem, a potem poderżnął gardło jej synowi.

- Uaaa... - jęknął Włoch i spuścił głowę. - Bardzo... bardzo mi przykro. - Po odpowiednio długiej chwili ciszy podniósł wzrok. - I... co?

- Potrzebuję pomocy.

- *Si-iii?* - Bepi wymówił to słowo tak samo jak przez telefon, na koniec podnosząc głos o oktawę, co miało chyba oznaczać, że jest ostrożny i niezbyt chętny, ale może spróbuje pomóc.

Lassiter nalał im obu wina, upił łyk i powiedział:

- Zamierzam sprawdzić adresy, pod którymi mieszkał Grimaldi, i zobaczyć, co uda mi się osiągnąć. Może porozmawiam z jego siostrą. Potrzebuję tłumacza i przewodnika.

Bepi popijał wino, zastanawiał się przez moment, po czym pochylił się do przodu.

- Pomogę ci - oświadczył.

- Jesteś pewien?

Włoch gestem ręki zbagatelizował ryzyko.

- Sam powiedziałeś, że to osobista sprawa między tobą a Grimaldim, więc nie mam się czym martwić. To cywilizowany kraj. Nawet mafia to nie socjopaci. Jeśli będę tłumaczem, będę jak... tapeta, nie?

Lassiter nieco niepewnie skinął głową, nie bardzo wiedząc, co Bepi ma na myśli, po czym obaj zabrali się za smażone krążki kalmara i pieczone warzywa.

Następnego dnia wyruszyli wczesnie rano samochodem Włocha - Volkswagenem golfem. Auto, choć dość stare, było nieskazitelnie czyste i doskonale utrzymane. Na desce rozdzielczej, w miejscu, gdzie wielu kierowców stawia plastikowego Jezusa, stał plastikowy Lenin, a z lusterka wstecznego zwisała miniaturowa piłka nożna. Bepi wsunął do magnetofonu kasetę i z głośników popłynęła muzyka Verdiego.

Gdy tylko Włoch włączył się do ruchu, zaczęła się seria bliskich spotkań ze śmiercią. Bepi klął i trąbił, przeciskając się między pełzającymi w ślimaczym tempie samochodami. Lassiter pokazał mu trzy adresy: jeden z paszportu Grimaldiego i dwa, które dostał od Woody'ego. Bepi zmarszczył czoło.

- To dwa zupełnie różne światy. Gdzie chcesz jechać najpierw?

- Pod aktualny adres. Ten z paszportu.

Mieszkanie znajdowało się w Testaccio, robotniczej dzielnicy u stóp Awentynu. Pod podanym adresem stała pięciopiętrowa kamienica czynszowa, ponury szary budynek o odpadającym tynku, ożywiony jedynie zwisającą z każdego okna bielizną. Chuda stara kobieta zamiatała chodnik miotłą i mówiła sama do siebie.

- To nie może być tutaj - mruknął Lassiter.

- Dlaczego nie? - zapytał Bepi, sprawdzając jeszcze raz adres.

- Ponieważ on jeździ rangę roverem. Ponieważ ma dom w Szwajcarii.

- Ale to tutaj, sto czternaście. Lassiter jednak nadal nie wierzył.

- To musi być pomyłka.

- Daj mi pogadać z tą starą. - Bepi wysiadł z samochodu i ruszył w kierunku kobiety ze złożonymi dłońmi i spuszczoną głową. - *Scuzi, helia...* - Nie minęła minuta, i był z powrotem za kierownicą. - Nie widziano go tu od paru miesięcy, ale czynsz jest zapłacony - powiedział. - Chodźmy na górę. Może będziemy mogli rzucić okiem.

Mieszkanie Grimaldiego znajdowało się na najwyższym piętrze, tuż obok ciemnych schodów, na których pachniało kapuśniakiem. Przez chwilę stali przed drzwiami.

- Nienawidzę tego - rzucił Lassiter.

- Czego?

Lassiter gestem dłoni wskazał drzwi.

- Takich rzeczy. Robiłem to dawniej w Brukseli i nie zawsze dobrze się kończyło.

- Naprawdę?

- Naprawdę. Chyba powinienem mieć broń...

- Żaden problem - odparł Bepi, wyjmując z kabury przy pasku na plecach berettę. - Masz. Weź moją.

Lassiter zamarł.

- Jezus, Maria! Schowaj to! Kim ty jesteś - Samem Spade? Bepi wzruszył ramionami, pistolet zniknął i Lassiter zapukał do drzwi - z początku ostrożnie, nie bardzo wiedząc, kto może być w mieszkaniu. Kiedy nie zareagowano, zapukał ponownie, nieco mocniej, potem jeszcze raz. W końcu odsunął się na bok, by Bepi mógł otworzyć drzwi za pomocą karty kredytowej, którą cofnął zapadkę taniego zamka.

- W dalszym ciągu uważam, że to nie tutaj - oświadczył Lassiter, kiedy drzwi się otworzyły.

Pokój, do którego weszli, wyglądał czysto i pusto jak cela mnicha. Podłoga z sosnowych desek błyszczała, jakby wypolerowano ją stalową wełną. Ściany były nagie - wisiał na nich tylko stary krucyfiks, opleciony suchymi palmowymi liśćmi. Brakowało ozdób i obrazów, nie było też prawie mebli, poza wąskim metalowym łóżkiem polowym, poobijaną komodą, metalowym biurkiem i krzesłem z prostym oparciem oraz umywalką, nad którą wisiało spękane lustro. Pojedyncze okno otwierało widok na zasypane śmieciami podwórko, a jedyne światło dawała wisząca wysoko pod sufitem lampa z czterdziestowatową żarówką.

- Patrz - powiedział Bepi i wskazał na biurko. - Umie czytać. Albo tylko się modli.

Na biurku leżały trzy książki. Pierwszą była Biblia, której kartki tak pogrubiały od częstego używania, że się nie zamykała. Kiedy Włoch wziął ją do ręki, otworzyła się na Księdze Rodzaju. Pod Biblią leżał podręcznik do nauki łaciny, a pod nim religijna broszura. *Crociata Decima*.

- Co to? - spytał Lassiter.

Bepi podał mu broszurę. Pod tytułem znajdował się duży owal, a w nim linia symbolizująca wzgórze, na szczycie którego stał prosty krzyż. Krzyż rzucał długi cień. W cieniu złotymi literami napisano słowa: UMBRA DOMINI. Lassiter wskazał na tytuł. *Crociata Decima*.

- Co to znaczy?

- Dziesiąta Krucjata.

- Czyli która?

- Nie wiem. Nie jestem przesądny.

- Chyba chciałeś powiedzieć: „religijny”.

- Ehhh! - rozległo się nagle za nimi, od strony drzwi i obaj gwałtownie się odwrócili, spodziewając się policji albo czegoś gorszego. Do pokoju wpadła starucha, kiwając na nich paluchem, jakby byli dziećmi, i wrzeszcząc: - *Vietato! Vietato! Vergogna!* - Wyrwała Lassiterowi broszurę z ręki, rzuciła ją na biurko i zaczęła wypychać ich z pokoju. Jej paluch bujał się na boki jak wahadło metronomu.

- Co ona gada? - spytał Lassiter, kiedy szli do schodów.

- Mówi, że jesteśmy źli. Że powinniśmy się wstydzić.

Był to denerwujący incydent, ale gdy wyszli na ulicę, uśmiechali się.

- Skopała nam dupska - stwierdził Lassiter, wsiadając do samochodu. - Co to było z tym palcem?

- *Vergogna!* - powtórzył Bepi, wrzucił bieg i ruszył spod krawężnika. - Patrz, ona ciągle tam stoi!

Chyba zapamiętuje nasze numery.

Lassiter odwrócił się i spojrzał na obserwujące ich babsko.

- Co znaczy *vergogna!*

- „Wstydźcie się!” - odparł Bepi i wzruszył ramionami, a potem wystawił rękę przez okno i pomachał starej. - No i co dalej?

Lassiter wyjął z kieszeni kartkę i pokazał ją Włochowi.

- Via Barberini.

Budynek z apartamentami do wynajęcia był luksusowy i znajdował się na północ od Villa Borghese, jednej z najmodniejszych dzielnic Rzymu. Fasadę budynku pokrywał kremowy marmur, który uzupełniało szkło i mosiądz. W holu wejściowym znaleźli dozorcę, spryskującego wodą rosnącą przy niewielkiej fontannie kępę paproci. W fontannie pływały chińskie karpie.

Z początku dozorca nie przypominał sobie Grimaldiego, ale garść lirów poprawiła mu pamięć. Wkładając pieniądze do kieszeni, uśmiechnął się i wyjaśnił po włosku, że choć widział go bardzo dawno temu, dobrze pamięta zarówno jego, jak i jego siostrę. Potem kiwnął konfidencjonalnie głową i stwierdził, że Grimaldi należy do ludzi znających się na „tych sprawach”.

- Co on ma na myśli? - spytał Lassiter.

Bepi zapytał dozorcę, po czym przetłumaczył odpowiedź:

- Na interesach i kobietach. Dużo podróżował. Dozorca roześmiał się i powiedział:

- *Si, si! Giacomo Bondi!*

- Chce powiedzieć, że był jak... - zaczął tłumaczyć Bepi.

- James Bond. Zrozumiałem.

Dozorca próbował opisać człowieka, którego życie było „większe niż życie”, i nagle - PUFFF! - zrobił rękami gest, mający przedstawiać wybuch, po czym zakreślił w powietrzu wyimaginowane nawiasy. Nieoczekiwanie *signor* Grimaldi zrobił się *as-solutamente diverso*. Żadnych kobiet, żadnych przyjęć, koniec napiwków. Sprzedał samochód, sprzedał mieszkanie! Sprzedał drugie mieszkanie! Rozdał meble, obrazy - *tutto, tutto, tutto*. Wszystko się rozeszło, nie miał już nic. Fakt, on sam - dozorca pokazał na siebie - również skorzystał z jego filantropii. Grimaldi dał mu elegancką skórzaną kurtkę - *si, si, si - fino, suave*. Mężczyzna pogłaskał się po rękawie.

- Kiedy to było? - spytał Lassiter, a Bepi przetłumaczył.

- Pięć lat temu.

- A co potem?

Dozorca wzruszył ramionami.

- *Niente*.

- Spytaj, czy wie, dokąd udała się jego siostra.

Bepi spytał i dozorca wymamrotał kolejne *si-si-si*, nakazał im gestem, by poszli za nim, i zaprowadził ich do swojego kantorka. Wyjął z biurka wielką księgę i zaczął przerzucać kartki, aż znalazł nazwiska, których szukał. Odwrócił księgę tak, by Lassiter i Bepi mogli je przeczytać.

Grimaldi - 601-03 - 114 Via Genova, Roma Buccio - 314 - 1062 Ave. Crisoforo Colombo, Roma

Postukał w adresy wskazującym palcem, pokręcił z dezaprobatą głową i skrzywił się.

- Niedobrze - powiedział po angielsku.

Ich samochód stał zaparkowany typowo po włosku na chodniku, tuż za budynkiem z apartamentami. Pilnowała go ładna dziewczyna, stojąca w drzwiach sklepu warzywnego, gotowa w każdej chwili do rozmowy z drogówką.

- *Grazie, Cinzia* - powiedział Bepi, kiedy podeszli, i uśmiechnął się, ukazując przerwę między przednimi zębami.

Z kwaciarni obok wyszła właścicielka, starsza, ponura kobieta, i zaczęła prawić im kazanie. Bepi odkrzyknął coś piskliwym głosem i pobiegł przed siebie, wypychając biodra do przodu, jakby się bał, że kobieta smagnie go po tyłku. Dziewczyna roześmiała się głośno, nawet starsza kobieta się uśmiechnęła. Bepi podniósł palec, wszedł z właścicielką do kwaciarni i po chwili wyszedł stamtąd z niewielką poinsecją, której doniczkę owinięto czerwoną folią.

- Pomyślałem sobie... może dla tej jego siostry - oznajmił. - Kwiaty zawsze pomagają wejść. Ostrożnie postawił doniczkę na podłodze przed tylnymi fotelami i tak poukładał wyjęte z bagażnika gazety i plastikowe torby, by na dywanik nie spadł najmniejszy okruch ziemi.

Jazda trwała przynajmniej czterdzieści pięć minut. W końcu Bepi zatrzymał samochód przed ponurym „wysokościowcem” na obrzeżach Rzymu. Był to szary potwór o ścianach zamalowanych graffiti, wokół którego wszędzie leżały śmieci. Nikt nigdy nie próbował zagospodarować czy upiększyć tego terenu. Nie było tu nawet trawy - jedynie spieczona słońcem ziemia i asfalt.

Bepi wcisnął przycisk i zagadał coś po włosku do poobijanej kratki domofonu. Po chwili rozległo się ostre brzęczenie i Bepi otworzył drzwi.

- Co jej powiedziałaś? - zapytał Lassiter. Bepi wzruszył ramionami.

- Prawdę. Że mamy kilka pytań na temat jej brata Franco. Fakt, trochę ją to podnieciło. Spytała, czy mamy o nim jakieś wiadomości. Odparłem, że tak, właściwie tak.

Siostra Grimaldiego, Angela, miała trzydzieści parę lat. Była ubrana w różowy dres, z szyi zwisał jej gruby, złoty łańcuch i wyglądała na dość wymizerowaną. Bepi podał jej poinsecję, która została przyjęta z okrzykami zachwyty. Potem wybuchła zażarta dyskusja, która zakończyła się, kiedy Bepi zgodził się, by ich poczęstowano szklaneczką *limonata*.

Jej zrobienie zajęło sporo czasu i podczas czekania Bepi oglądał pokój, co chwila spoglądając na Lassitera. W mieszkaniu panował nieopisany bałagan, który świadczył chyba o desperacji. W rogu pokoju stała maleńka plastikowa choinka, a na ścianach wisiały oprawione w ramki zdjęcia dzieci. Wszędzie leżały zabawki, sterty ubrań, gazet i brudne talerze. Z pokoju obok dolatywała ogłupiająca melodyjka.

Kiedy gospodyni wreszcie przyniosła napoje na złoconej drewnianej tacy i wszyscy usiedli w znajdującej się w katastrofalnym stanie wnęce do jedzenia posiłków, Angela pochyliła głowę, usadowiła się na krześle i zaczęła obmacywać łańcuch na szyi.

Bepi powiedział kilka słów, które sprawiły, że uśmiechnęła się słabo. Nawinęła na palec pasmo czarnych włosów. Włoch gestykulował i mówił z wielką powagą. Lassiter wyłapał z tego potoku słów jedynie wyraz *fratello*.

Angela rozkręciła się w końcu i zaczęła mówić, jej ręce podkreślały słowa szerokimi, gwałtownymi ruchami. Ton jej głosu brzmiał gorzko, ale Bepi tłumaczył jedynie:

- Chce wiedzieć, o co chodzi tym razem. Co jej duży brat znowu wykręcił. Zabrał jej takie piękne mieszkanie. To też chce zabrać?

Kobieta wyrzuciła z siebie kolejne zdanie. Potem westchnęła, a na jej twarzy pojawiła się uraza.

Dźgnęła się kciukiem w serce.

- Nic nie rozumiem - powiedział Lassiter. - O czym ona mówi?

- Brat zniszczył jej życie - przetłumaczył Bepi. Znow zaczęła się wymiana szybko wypowiedzianych zdań.

- Franco był dla niej bardzo szczodry - powiedział Włoch. - Kupił jej mieszkanie w Parioli, tam, gdzie mieszkała przedtem. Ale nagle, jakieś pięć lat temu doznał... ee... przeżycia religijnego.

- Czego?

- Stał się bardzo pobożny. Odebrał jej mieszkanie. Sprzedał je i oddał pieniądze na cele dobroczynne. To samo zrobił z jej samochodem. I swoim też. A także swoim mieszkaniem. Oddał wszystko jednej z tych religijnych grup i oświadczył, że każdy powinien żyć jak mnich. Wynajął pokój w slumsach. Ona zaczęła się kłócić z mężem i mąż odszedł. Nie miała dachu nad głową, więc przysłała tutaj. *Z bambini*. Mówi, że ten pobożny zasraniec zrujnował jej życie. Mógł ją tak samo dobrze zastrzelić. - Bepi westchnął i podał Angeli chusteczkę.

Lassiter pokręcił głową. Siostra Grimaldiego prawdopodobnie mówiła prawdę (albo to, co uważała za prawdę), ale najwyraźniej czegoś nie wiedziała. Mnisi nie zarzynają śpiących w łóżkach dzieci, a kiedy złożą ślub ubóstwa, na pewno nie podróżują z dwudziestoma tysiącami dolarów, ukrytymi w skrytce w dniu podróźnej torby.

- Powiedz jej, że próbuję się dowiedzieć, czy jej brata łączyło coś z moją siostrą. Powiedz jej, że moja siostra nazywała się Kathy Lassiter.

Zaczęła się kolejna dyskusja. Lassiter wychwycił słowa *Stai Uniti*, ale kobieta sprawiała wrażenie zaskoczonej i zdecydowanie kręciła głową.

Bepi wzruszył ramionami.

- Nie, nic o tym nie wie.

- Powiedz jej, że ten „pobożny zasraniec” zamordował moją siostrę i jej synka. Powiedz jej, że jest poszukiwany za morderstwo.

Kiedy Bepi przetłumaczył, Angela jeszcze gwałtowniej pokręciła głową. *Non e possibile. Fantastico*. Zakończyła jakimś przedziwnym modlitewnym gestem i wywróciła oczy jak postać z obrazu Goi.

- Mówi, że Franco był w przeszłości bardzo twardym człowiekiem... ale to, o czym mówisz, jest raczej niemożliwe.

- Dlaczego?

- Ponieważ tak naprawdę jest księdzem. Złożył śluby czystości i ubóstwa. A teraz... - Bepi zrobił w powietrzu cudzysłów - „poleruje swoją duszę”. Żyje w innym świecie. Nie dba o swoją siostrę. Nie dba o dzieci swojego rodzeństwa. Mówi, że Bóg o nie zadba. - Bepi wzruszył ramionami. - Oczywiście nie znaczy to, by Angela chciała źle mówić o Kościele. - Ponownie wzruszył ramionami. - Może chodzi nie o tę osobę?

Ale Angela miała jeszcze wiele do powiedzenia.

- Mówi, że jej brat nie mógłby nikogo zamordować - przetłumaczył Bepi, kiedy skończyła. - To niemożliwe, bo poszedłby za to do piekła. Powiedziała też, że to jebany święty - to cytat - i... nie znam tego słowa... bije się za nieczyste myśli.

- Biczuje się.

- Właśnie! Biczuje się nawet za niewielkie grzechy, więc wielki grzech, śmiertelny grzech... to niemożliwe.

Nie pozostało nic więcej do powiedzenia. Angela popatrzyła na zegarek i wstała, dając do zrozumienia, że rozmowa skończona. Wymieniono się podziękowaniami - za kwiatek i *limonata* - po czym Lassiter i Bepi znaleźli się z powrotem na ulicy.

- I co o tym sądzisz? - spytał Włoch, kiedy szli do samochodu.

Lassiter myślał o przekazie telegraficznym, który wypadł z paszportu Grimaldiego.

- Zastanawiałem się, dlaczego ktoś taki jak Grimaldi, ktoś, kto złożył ślub ubóstwa, ma konto w szwajcarskim banku.

17

Pożegnali się pod „Hasslerem”.

Ustalili przedtem, jeszcze w samochodzie, że Bepi - oczywiście w dalszym ciągu *discreto* - zajmie się wyjaśnieniem kilku niejasnych wątków tej sprawy, zaczynając od zadzwonienia do wymienionych w raporcie z departamentu stanu członków rodziny Grimaldiego, od których ten się „oddalił”. Może odnowili kontakty.

Jeśli chodzi o Lassitera, to chciał z samego rana lecieć do Szwajcarii, jeśli udałoby mu się zdobyć miejsce w samolocie.

- Ale chyba nie zamierzasz tam lecieć po to, by sprawdzać jego konto bankowe? - zapytał przerażony Bepi. - No wiesz, to jest...

- Oczywiście, że nie - odparł Lassiter, choć nie był do końca szczery. - Grimaldi tam też miał dom.

- Tak, tak, pamiętam... - mruknął w roztargnieniu Bepi, zagapiony na dziewczynę rozdającą ulotki dotyczące Schodów Hiszpańskich. - Chyba niedaleko Sankt Moritz. I co dalej?

Lassiter odparł, że nie wie.

Dziewczyna ciągnęła Bepiego za rękaw, namawiała go na coś, flirtowała z nim, i Bepi dał się poprowadzić do młodzieńca z blokiem w ręku. Popatrzył na Lassitera, wzruszył ramionami i uśmiechnął się przeproszająco.

Lot do Zurychu trwał tylko godzinę, niemal tyle samo zajęło Lassiterowi znalezienie hotelu. Wszystkie lepsze były pozajmowane i w końcu wziął pokój w hotelu „Florida”, przyjemnym, choć nieco zapuszczonym budynku przy Limmat Quai. Kiedyś już tu mieszkał, gdy Lassiter Associates prowadziła sprawę, w której związek zawodowy stalowników spierał się z dyrekcją odlewni aluminium, należącej do żyjącego jak pustelnik szwajcarskiego miliardera.

Jego pokój był podobny do tego, który miał wtedy: niespodziewanie duży, z oknem z widokiem na niedalekie Jezioro Zuryskie. Widok mógłby być wspaniały, niestety szyba była zaparowana, a w powietrzu wirował śnieg.

Zurych był jednym z ulubionych miast Lassitera, choć nie umiałby powiedzieć dlaczego. Miasto było szare i zbudowane głównie z kamienia, stare i pełne rezerwy. Przykucnęło na skraju ciemnego jeziora, zaopatrywanego w wodę z alpejskich lodowców. Kochano tu kulturę - bardziej niemiecką niż szwajcarską - i cudownie się tu spacerowało. Lassiter rzucił torbę na komodę i wyszedł na długi spacer. Z bezbarwnego nieba sypał drobny śnieg i osiadał mu na ramionach. Joe szedł w kierunku Starego Miasta i patrzył na sunącą po zimnej, czarnej wodzie parę łabędzi.

Wkrótce wszedł przez MUnsterbrucke w wąskie, brukowane uliczki Starego Miasta, pełne astronomicznie drogich sklepów. Można było sądzić, że główne zajęcie mieszkańców Zurychu to wytwarzanie litografii, handel książkami i antycznymi instrumentami oraz lekami ziołowymi. Joe miał

nadzieję, że spacer poprawi mu nastrój, i tak rzeczywiście się stało - przynajmniej dopóki nie zrobiło mu się zimno. Sklepy były przepiękne, ale niczego nie potrzebował i nie miał nikogo, komu mógłby coś sprezentować.

Skreślił w Bahnhofstrasse i przez dłuższy czas szedł wzdłuż bożonarodzeniowo wystrojonych wystaw, aż nagle stwierdził, że stoi przed budynkiem, którego podświadomie szukał: mieściła się w nim filia Credit Suisse, w której cztery miesiące temu Franco Grimaldi dostał pieniężny przekaz telegraficzny.

Nie bardzo wiedział, czemu tak bardzo chciał zobaczyć ten budynek - w końcu był to zwykły bank. Ale świadomość, że jest to część świata Grimaldiego, że przechodził przez te właśnie drzwi, dawała jakąś nadzieję na jego odnalezienie. Podobnie jak pusty pokój przy Via Genova, to miejsce było jednym z tych, w których bywał zabójca, i Lassiter czuł się tu bliżej niego.

Zjadł skromną kolację w hotelowej restauracji i spytał o drogę do Zuoz. Recepcjonistka uznała jednak, że jazda samochodem to niezbyt dobry pomysł.

- Znacznie szybciej dojedzie pan pociągiem, przynajmniej do Chur, tam może pan wziąć samochód - oświadczyła. Obiecała zająć się wynajęciem auta i zapewniła, że znajdzie kogoś, kto wróci nim do Zurychu. Szwajcarzy są znani z dyskrecji, ale recepcjonistka, być może zachęcona szczodrym napiwkami, zaczęła rozmowę. - Zuoz jest piękne - stwierdziła. - Na narty, tak?

- Tak - odparł. Co miał powiedzieć innego?

- W tym roku nie ma tam zbyt dużo śniegu, ale w Pontresina jest lodowiec.

Porozmawiali kilka minut i Lassiter wrócił do pokoju. Wyjął z lodówki miniaturkę whisky, wlał zawartość buteleczki do szklanki, rozparł się w fotelu i zadzwonił do Maxa Langa.

Max był przewodniczącym Międzynarodowego Bractwa Urzędników Bankowych i Pracowników Służb Finansowych. Związek branżowy bractwa z siedzibą w Genewie zrzeszał około 2,3 miliona ludzi z krajów tak odległych jak Norwegia, Indie i USA, co oznaczało, że większość czasu Max spędzał - jak sam mówił - „latając nocami z jednego przemówienia na drugie, z jednego lotniska na następne”.

Ale sprawa stalowników była nieco inna. Nie poproszono Maxa o przemówienie, a o zakończenie wojny, w trakcie której straciło pracę tysiąc pięciuset pracowników z Ravenswood w Wirginii Zachodniej. Lassiter Associates została zatrudniona przez związek zawodowy do zdobycia informacji o dyrekcji fabryki. Z Wirginii Zachodniej, gdzie znajdowały się zakłady, ślad prowadził do Szwajcarii. Było to dość zaskakujące, a dalsze śledztwo wykazało, że fabryka należy do szwajcarskiego przemysłowca - prawicowego playboya, który uwielbiał handryczyć się ze związkami.

Sekretariat Langa, zajmujący się interesami kasjerów bankowych, urzędników, rachmistrzów i agentów ubezpieczeniowych, nie miał nic wspólnego ze stalownikami, ale z „braterskiej uprzejmości” prezes zgodził się porozmawiać z bankierami właściciela fabryki. Szybko przekonał ich, że zadzieranie ze związkami nie leży w ich interesie. Dogadano się więc, impas został przełamany, robotnicy odzyskali pracę, a Max Lang wyszedł na bohatera.

- Cześć, Max - odezwał się Lassiter.

- Joe... hej!

- Jak leci?

- Wspaniale. Masz coś dla nas? Coś w stylu Ravenswood?

- Nie.

- Szkoda. Nieźle im dosraliśmy, co?
- Owszem.
- Lepiej: dopierrrdolliliśmy mu.
- Masz rację, Max.
- Ale zasłużył na to!

- Zgadza się.

- No właśnie. Więc niech się pierrrdolla... Lassiter roześmiał się - zapomniał już, że Max lubi naśladować sposób mówienia Al Pacina w „Człowieku z blizną”.

- Och, Joe... - powiedział Max, chichocząc. - Co to były za czasy! Najlepsze.

- Fakt.

- No więc...

- Potrzebuję przysługi, Max.

- Czego tylko sobie zażyczysz...

- Chodzi o naprawdę dużą przysługę. Możesz odmówić.

- Mów - burknął Max.

- To sprawa nie na telefon.

- W porządku.

- W dalszym ciągu używasz PGP?

- Póki nie pojawi się nic lepszego.

- Te same hasła co dawniej?

- Tak.

- Przyślę ci e-maila. Na ten sam adres co dawniej?

- Jasne.

- To świetnie. Może moglibyśmy się spotkać... w Genewie.

- *Wunderbar!*

- Wobec tego zadzwonię za kilka dni.

- Doskonale.

- Słuchaj, Max... jeśli nie bardzo się z tym poczujesz... to dość ważne, ale...

- Przyślesz mi wreszcie te pierrrdollone akta?

- Już wysyłam.

- No to na co czekasz?

Lassiter odłożył słuchawkę, wyjął notebook, utworzył plik GRIMALDI i napisał krótki list:

Max, potrzebuję historii konta z filii Credit Suisse przy Bahn-hofstrasse. Pomyślałem, że może ktoś z waszych mógłby mi pomóc. Konto należy do Włocha. Nazywa się Franco Gri-maldi. Numer konta Q6784-319. Szczególnie interesuje mnie przekaz telegraficzny z lipca na 50 000 \$ - chcę wiedzieć, kto wysłał mu te pieniądze.

Joe

Lassiter posłał plik na twardy dysk, po czym zmienił folder na /n-cipher.pgp. Była to prawnie zastrzeżona wersja programu Pretty Good Privacy, mocnego programu szyfrującego, o którym można było powiedzieć wszystko oprócz tego, że da się złamać. A o to przede wszystkim chodziło. To, o co prosił Maxa Langa, było nie tylko przestępstwem. Było wypowiedzeniem wojny - atakiem na podstawową rację bytu Szwajcarii: tajemnicę bankową. Sama rozmowa na ten temat mogła oznaczać dla Maxa utratę pracy, dlatego Lassiter szyfrował wiadomość także na twardym dysku. Wszedł na pulpit, kliknął KODUJ i zaznaczył ikonę GRIMALDI. Kiedy na ekranie pojawiło się okno dialogowe,

przewiął długą listę, aż doszedł do maxlang@ibbcfsw.org.ch

. Po podświetleniu e-mailowego adresu Langa wcisnął kolejny przycisk i na ekranie pojawiło się okno z migającym napisem KODOWANIE. Gdy hasło zniknęło i plik został zakodowany, wrócił do poprzedniego menu i kliknął USTAWIENIA. To, co zamierzał zrobić, miało służyć bardziej ochronie Maxa niż jego samego - by po odkodowaniu Max nie mógł zapisać tekstu na swoim twardym dysku, Lassiter wybrał opcję ZAAWANSOWANE i zaznaczył: TYLKO DO ODCZYTU. Oznaczało to, że po odkodowaniu tekst można było odczytać na ekranie, ale nie dało się go zapisać.

Po zakończeniu całej procedury wysłał plik Maxowi. Kiedy przyjedzie do Genewy, odpowiedź będzie już na niego czekała. Albo i nie - w końcu prosił o nie byle co.

Następnego dnia podczas śniadania, które jadł w pokoju, zadzwonił do Riordana.

- Nie powinieneś się niczym niepokoić - oświadczył z sarkazmem detektyw. - Uaktualnienie danych? Jak sobie radzimy? - Prychnął. - Nie mam nic. Zero. Mam do powiedzenia tylko tyle, że samochód pielęgniarki znaleziono w rowie na północ od Hagerstown.

- A Grimaldi?

- Zniknął. Tak piszą gazety i ja też używam tego samego określenia. ZNIKNAŁ, jasne? To jebana katastrofa. Mamy zabitego na służbie funkcjonariusza, drugiego w ciągu tygodnia. Idą święta, a my mamy dwa pogrzeby. Dwa! Pomyśl tylko... mamy dzielną wdowę numer jeden, dzielną wdowę numer dwa, dzieci pozbawione ojców i nie możemy znaleźć sprawcy, choć ma ryj jak świńska skóra! - Riordan ponownie prychnął. - Nikt go oczywiście nie widział, o nie! - Przerwał, by złapać oddech. - A co u ciebie? Zamierzasz mnie pocieszyć, dając mi jakiś ślad? Ale gdzie, do jasnej cholery, jesteś?

- W Szwajcarii.

- Ha!

- Właśnie przyjechałem z Rzymu.

- Nie żartuj. A czego się dowiedziałeś w Rzymie?

- Dowiedziałem się, że Grimaldi się... nawrócił. Sprzedał wszystko, co posiadał, i oddał pieniądze na dobroczynność.

- Robisz mnie w wała.

- Nie.

Po drugiej stronie zapadła cisza, a potem Riordan jęknął:

- Niezłe nawrócenie, ja pierniczę...

Zuoz było niewielkim miasteczkiem, przytulonym do zbocza góry. Wzdłuż wąskich uliczek stały solidne szesnastowieczne domy. Były koloru ochry, kremowe lub szare i każdy miał masywne, piękne drzwi. Chodniki mimo drobnego deszczyku zapelniali elegancko ubrani ludzie.

Nawet ze szczegółową mapą znalezienie adresu, którego Lassiter szukał, zajęło mu sporo czasu - choć miało się tam iść od centrum najwyżej dziesięć minut. Mimo mapy i niewielkich rozmiarów miasteczka zgubił się dwa razy i musiał pytać o drogę, korzystając ze swego dość nieporadnego niemieckiego:

- *Isch das der richtig wag to Ramistrasse?*

- *Ja.*

Minął maleńki placzyk ze skromną, idealnie prostokątną fontanną - tak bardzo różniącą się od

fontann Rzymu. Jedyłą jej ozdobą była rzeźba niedźwiedzia z obciętą przednią łapą symbol którejs z prastarych szwajcarskich rodzin.

W końcu znalazł dom - dwupiętrowy budynek z mosiężną tabliczką przy drzwiach, które mogły być starsze od Stanów Zjednoczonych. Było na niej napisane:

Gunther Egloff, Direktor Salve Caelo

Services des Catholiques Nord Gemeinde Pius VI

Lassiter zapukał i zaczął czekać. Po dłuższym czasie z umieszczonego obok tabliczki głośnika dobiegł czyjs głos:

- *Was ist?*

Lassiter przedstawił się i po chwili drzwi się otworzyły. Stał w nich mężczyzna w średnim wieku - każdy szczegół sylwetki świadczył o tym, że dobrze mu się powodzi. Niewielki brzusek, kaszmirowy sweter, kaptcie z baraniego futra. W dłoni trzymał okulary i kieliszek z winem. Ze środka dolatywała muzyka operowa i sączył się zapach płonącego drewna.

- *Bitte?*

Lassiter wahał się przez chwilę. To, co miał do opowiedzenia, zabrzmia prawdopodobnie w uszach tego mężczyzny dziwnie i nieprawdopodobnie. Morderstwo. Podpalenie. Nocna zgroza.

- Mówi pan po angielsku?

- Trochę.

- Mój niemiecki jest...

- Rozumiem. W czym mogę pomóc?

- Chodzi o właściciela tego domu, pana Grimaldiego. Przez twarz mężczyzny przemknął wyraz zdziwienia, ale zaraz uśmiechnął się i szerzej otworzył drzwi.

- Proszę wejść. Musi panu być zimno.

Lassiter podziękował, wszedł do środka i ponownie się przedstawił.

- Nazywam się Egloff - powiedział mężczyzna i zaprowadził gościa do olbrzymiego pokoju, zdominowanego przez gigantyczny kamienny kominek. - Mogę poczęstować pana kieliszkiem wina?

- Bardzo proszę - odparł Lassiter.

Gospodarz ściszył Pucciniego, wziął pogrzebacz i wzruszył drewno w kominku.

- Obawiam się, że to jakieś nieporozumienie - oświadczył. - Pan Grimaldi już od kilku lat nie jest właścicielem tego domu.

- Naprawdę?

- Tak. Jest pan Amerykaninem? Kanadyjczykiem?

- Amerykaninem.

- Interesuje się pan domem czy panem Grimaldim?

- Grimaldim.

- Rozumiem... - Egloff nalał wina do kieliszka i podał go Lassiterowi.

- Jestem detektywem.

Brwi Egloff'a wygięły się w górę.

- Detektyw!

Spojrzenie Lassitera przyciągnęła wisząca na przeciwległej ścianie mapa topograficzna, przedstawiająca górzysty region jakiejś krainy bez pozaznaczanych granic. Egloff podążył za jego wzrokiem.

- Zgadnie pan, co to jest? - spytał. Lassiter wzruszył ramionami.

- Gdzieś w Rosji... może Gruzja?
- Bośnia. Jesteśmy tam dość aktywni. Pomagamy uciekinierom.
- „My”?
- Salve Caelo. Lassiter pokręcił głową.
- Przepraszam, ale...
- Jesteśmy organizacją charytatywną. Dużo działamy na Bałkanach.
- Rozumiem. - Joe przypomniał sobie paszport Grimaldiego i liczne stemple wjazdu przez Zagrzeb i Belgrad.

- Wie pan coś o Bośni, panie Lassiter? Joe rozłożył dłonie w geście bezradności.
- Tylko tyle, że tamtejsza sytuacja jest bardzo skomplikowana.
- Wcale nie jest skomplikowana. Jest bardzo prosta. Można ją wyjaśnić dwoma słowami.
- Czyżby? Egloff skinął głową.
- IMPERIALIZM ISLAMSKI. To, co się dzieje w Bośni, to polityczny czerniak, początek czegoś straszliwego. Co pan o tym myśli?

- Myślę, że były to więcej niż dwa słowa.

Egloff roześmiał się.

- Ma pan rację. Ale proszę mi powiedzieć, jakie dochodzenie pan prowadzi... do tego w Zuoz!
- Badam sprawę morderstwa. Podwójnego morderstwa.
- Naprawdę? Panie Lassiter, jest pan pełen niespodzianek!
- Zabito kobietę i jej syna.
- Rozumiem. A co ma z tym wspólnego pan Grimaldi?
- Jest zabójcą.
- Hmm... - Egloff usiadł, założył nogę na nogę i napił się wina. - Nie sędzę.

Lassiter wzruszył ramionami.

- W takim razie myli się pan.
- Cóż... jeśli jest pan pewien. Czego ma pan nadzieję się dowiedzieć?
- Chciałbym wiedzieć, dlaczego to zrobił.

Egloff wydał z siebie odgłos przypominający gdakanie kury i westchnął.

- I po to przyjechał pan tu aż z Ameryki? Żeby popatrzeć na ten stary dom?
- Byłem w Rzymie, a ponieważ wiedziałem, że miał dom także tutaj...
- No tak, oczywiście. Dom. Jak mówiłem, kiedyś należał do niego, ale było to wiele lat temu.
- Spotkał go pan kiedyś?
- Owszem...

- I jakie zrobił na panu wrażenie?

Z głośnika na stole, którego Lassiter dotychczas nie zauważył, doleciał cichy, chrapliwy głos. Był to interkom, podobny do tego, jakiego Kathy używała w domu do pilnowania Brandona - stawiała nadajnik niedaleko łóżka, kiedy mały szedł spać, by słyszeć go, gdyby zaczął płakać.

- Moja żona... - wyjaśnił gospodarz. - Jest chora.

- Przykro mi.

- To nie potrwa minuty. Jeśli miałby pan ochotę... - Egloff wskazał na karafkę i wstał.

Kiedy wyszedł, Lassiter zaczął się przyglądać wiszącym na ścianach akwarelom. Były to dość niezwykle wyobrażenia scen religijnych. „Zwiastowanie” przedstawiało dziewczynę w drukowanej w renifery koszuli nocnej, klęczącą przy łóżku i wpatrzoną w wypływającego z telewizora atletycznie

zbudowanego anioła. „Ostatnia Wieczerza” odbywała się przy wielkim stole w pomieszczeniu, które Wyglądało na współczesną kawiarnię. Idący do Damaszku Saul miał na ramionach plecak, drogę zapełniały samochody, a na jego głowę padało przypominające wodospad migotliwe światło. Po kilku minutach Egloff przyczłapał z powrotem, szurając kapciami z baranicy.

- Są niesamowite - stwierdził Lassiter, wskazując akwarele.

- Malowała je moja żona - odparł gospodarz, po czym usiadł na fotelu i zmienił temat: - Jeśli chodzi o Grimaldiego... kiedy po raz pierwszy zobaczyłem ten dom, pomyślałem: eurośmieć. Była tu sama skóra i chrom. Czarna skóra! Wyobraża pan sobie? W takim budynku jak ten? Potem poznałem właściciela i okazało się, że... jest zupełnie inny, niż się spodziewałem. Skromnie ubrany. Spokojny. Po prostu dżentelmen.

- Uzyskał pan... dobrą cenę?

Egloff przez chwilę się wahał, po czym odparł:

- Tak. Dobrą i uczciwą.

- Powiedział, dlaczego chce sprzedać dom? Egloff wzruszył ramionami.

- Odniosłem wrażenie, że miał kłopoty finansowe.

- Naprawdę? Mnie mówiono, że oddał cały majątek na cele dobroczynne.

- Och? Kto tak panu powiedział?

- Jego siostra.

- Rozumiem... - mruknął Egloff. Sprawiał wrażenie wytrąconego z równowagi.

- Może pańska organizacja... powiedział pan, że zajmujecie się dobroczynnością...

Egloff nagle klasnął w dłonie i wstał, uśmiechając się przepaszająco.

- Cóż... choć to wszystko jest bardzo interesujące, obawiam się, że muszę wracać do pracy. -

Wziął Lassitera za łokieć i zaprowadził go do wyjścia. Podali sobie ręce. - Może gdyby zostawił mi pan wizytówkę... mógłbym coś...

- Oczywiście. - Lassiter wyjął z kieszeni kartonik. Egloff popatrzył na nadruk.

- Gdzie można pana znaleźć w Szwajcarii?

- W „Beau Rivage” w Genewie.

- Znakomicie. A potem?

- Wracam do Waszyngtonu - odparł Joe i niemal natychmiast uświadomił sobie, że wcale nie zamierza tam wracać.

Gospodarz otworzył drzwi i ponownie uściśnieli sobie dłonie.

Lassiter wyszedł na chłód, postawił kołnierz i otulił nim ciasno szyję.

Egloff pomachał mu.

- *Ciao!* - rzucił i drzwi się zatrzasnęły, a Joe został sam na schodach. Postał przez chwilę, przyglądając się mosiężnej tabliczce i starając się zapamiętać obce nazwy. SALVE CAELO. SERVICES DES CATHOLIQUES NORD. GEMEINDE PIUS VI. Zanim się odwrócił, by odejść, powiódł spojrzeniem po drzwiach i zdawało mu się, że w judaszu coś błysnęło. Jakby mrugnęło oko jastrzębia. Albo sowy.

Nie mógł go jednak obserwować żaden ptak. Jeśli obserwował go jakiś drapieżnik, to nazywał się Egloff.

Jak powiedział, zamierzał jechać wieczorem do Genewy. Miał nawet bilet - kupiony przez recepcjonistkę z Zurychu - na pociąg z Chur.

Gdy stał na chłodnym peronie i sprawdzał rozkład jazdy, rzucił również okiem na wiszącą obok

dużą mapę Szwajcarii i nagle zmienił zdanie. Nie spieszyło mu się do Genewy, a w Chur mógł coś załatwić. Wziął pokój na jedną noc w niewielkim hotelu naprzeciwko dworca.

Rozmowa z Egloffem była niepokojąca. Dziwaczne było jego stwierdzenie o „islamskim imperializmie”, nie zapytał też w ogóle o zabójstwo siostry Lassitera. Było to naprawdę zastanawiające - w przypadku morderstwa ludzie rzadko okazywali się tak mało ciekawscy. Ale za to wypytywał o jego plany podróże i o to, w jakim hotelu się zatrzyma.

Na tym nie koniec, pomyślał Joe, spoglądając przez hotelowe okno na dworzec po drugiej stronie ulicy. Zbyt dużo było tu zbiegów okoliczności, a zbiegi okoliczności zawsze go denerwowały.

Egloff zajmował się działalnością dobroczynną o podłożu religijnym - tak samo Grimaldi, choć jedynie jako darczyńca. Jedną z organizacji Egloff'a działała na Bałkanach - tam też, według paszportu, kilkakrotnie wyjeżdżał Grimaldi. Ale oczywiście nie musiało to wcale oznaczać, że istnieje między nimi jakiś związek. Wielu ludzi daje pieniądze na cele dobroczynne, wiele organizacji dobroczynnych działało w Bośni. Łączące Egloff'a i Grimaldiego podobieństwa nie były aż tak bardzo dziwne i znaczące. Znacznie ciekawszy był sposób zmiany właściciela domu: czy został on - jak twierdził Egloff - sprzedany, czy - jak twierdziła siostra Grimaldiego - oddany? Mówiąc inaczej: czy Egloff kłamał? Na to pytanie Lassiter najłatwiej mógł zdobyć odpowiedź właśnie w stolicy kantonu - Chur.

Rano poprosił recepcjonistkę o wskazanie drogi do Handels-register, gdzie trzymano akta dotyczące nieruchomości. Biuro znajdowało się trzy przecznice od hotelu i po wejściu do środka Joe wyjaśnił urzędnikowi, że jest zainteresowany pewną nieruchomością w Zuoz. Urzędnik skinął głową i przeszedł do sąsiedniego pomieszczenia, skąd wrócił po minucie z wielką jak atlas starodawną księgą, oprawną w marokańską skórę. Znajdowała się w niej chronologiczna lista wszystkich sprzedaży nieruchomości, jakie miały miejsce w Zuoz od 1917 roku. Listę tę sporządzało kilkunastu urzędników o starannym, wymaganym w przypadku urzędowych tekstów charakterze pisma, a każdy z nich używał niebieskiego atramentu. Lassiter przewracał karty, aż dotarł do wpisu dotyczącego Heilestrasse 49.

W księdze zanotowano sprzedaż domu *Salve Caelo* w 1991 roku. Cena wynosiła jeden frank szwajcarski. Tuż pod wpisem znajdowały się podpisy Franca Grimaldiego i Gunthera Egloff'a. Lassiter przez dłuższą chwilę stał przed księgą wieczystą, wodził palcem po podpisie Grimaldiego i zastanawiał się, dlaczego Egloff kłamał.

Glacier Express mijał jeden pocztówkowy widok po drugim i w końcu, z głośnym zgrzytnięciem hamulców, zatrzymał się na genewskim dworcu. Lassiter musiał jakoś spędzić pół godziny, więc postanowił wykorzystać je na znalezienie hotelu. Każdego poza „Beau Rivage”. Potem poszedł do „La Perle”, gdzie przy stoliku z widokiem na jezioro siedział Max.

Max przypominał z wyglądu trolla, których podobizny Kathy zbierała w dzieciństwie. Miał takie same dołeczki w policzkach i szeroką twarz, tak samo krótkie i grube ciało oraz rude włosy, przypominające bawełniane nici na głowach lalek. Wstał z uśmiechem od ucha do ucha i uściśnął dłoń Lassitera obydwoma rękami. Kiedy usiedli, Joe zastanawiał się przez moment, czy stopy jego przyjaciela dotykają podłogi. Prawdopodobnie nie dotykały.

Jak na tak małego człowieka, Max miał ogromny apetyt i wkrótce pochłonął drugą porcję *carpaccio*.

- Mówią, że mam metabolizm kolibra - oświadczył Max, zauważywszy zdumione spojrzenie Joego.

- Dużo latasz?

Max przeżuł i zamrugał.

- Głównie to robię. Znaczą się latam. Zachichotał, rozbawiony. - Jak wiesz, mamy sztandarowe lata kapitalizmu. Biznes kwitnie. Powinno być coraz więcej urzędników, coraz więcej kasjerów, ale nie... nic z tego. W miejscowościach, w których jeszcze niedawno nie było telefonów, teraz są pierrrdollone bankomaty. Są nawet na Celebes i w Phnom Penh! - gdzie dwa lata temu nie było banków! Kiedyś banki pobierały opłaty za transakcje prowadzone przy użyciu bankomatów, a teraz za operacje w okienku chcą więcej niż za bankomatowe. Wkrótce wszyscy kasjerzy stracą pracę. Ja też stracę pracę! I kto wtedy będzie miał pieniądze, by składać depozyty? Tak więc banki również stracą pracę. To będzie koniec świata. Mówię ci, Joe, nie do potulnych świat należy. Należy do liczykrup! Nie może być nic bardziej tragicznego.

Kelner zabrał ich talerze, a kiedy zaczął skomplikowany balet przy podpalaniu steku, Max sięgnął do aktówki i pchnął po blacie stołu cienką kopertę. Była jaskrawoczerwona i widniał na niej biały tekst układający się w kształt krzyża, dzięki czemu wyglądała jak szwajcarska flaga. Napis brzmiał:

Bezpieczeństwo

PRYWATNOŚĆ i najwyższe zaufanie twoje osobiste szwajcarskie konto w banku

Twarz Maxa aż poczerwieniała z uciechy z dowcipu, jaki wymyślił.

Historia konta została wydrukowana na długiej wstędze papieru, podobnej do tych, jakich używano w starego typu drukarkach, i Lassiter obejrzał wydruk dopiero w swoim hotelowym pokoju. Tu i ówdzie Max zrobił dopisek.

Grimaldi miał konto od kilkunastu lat, ale podejmował pieniądze dość rzadko i w sposób nie rzucający się w oczy. Na podstawie zmian stanu konta można było odgadnąć, kiedy kupił mieszkanie w Rzymie, dom w Zuoz i samochody. W kwietniu 1991 roku w ciągu dwóch kolejnych dni przekazano telegraficznie spore sumy z Banco di Lazio w Rzymie. Dopisek Maxa informował, że są to wpływy za sprzedaż nieruchomości. Prawdopodobnie chodziło o mieszkania Grimaldiego. W tym momencie stan konta wynosił niemal dwa miliony franków szwajcarskich. Dwa dni później szereg czeków gotówkowych sprawił, że na koncie zostało jedynie tysiąc franków. Trzy чеki były niewielkie: 10 000 franków szwajcarskich zostało przekazanych Fundacji Odbudowy Dachy Capella Cecilia, 5000 Afrykańskiemu Kongresowi Narodowemu, 5000 - Fundacji Edukacyjnej Euzkadi.

Czwarty czek, wystawiony na Umbre Domini, SA (Neapol) pochłonął resztę pieniędzy: 1 842 000 franków szwajcarskich.

Lassiter wpatrywał się w wydruk i próbował znaleźć w tym wszystkim jakiś sens. Dwa z trzech mniejszych czeków mogły być „zapłatą za krew”, mogły być gestami wobec ANC i baskijskiego frontu wyzwolenia narodowego, których przedstawicieli Grimaldi ściagał. Fundacja Odbudowy Dachy była prawdopodobnie jedynie fundacją na rzecz odbudowy dachu, tak jak „czasem cygaro jest tylko cygarem”. Na koniec wyskakiwał jednak półtonowy goryl: czek na prawie milion dolarów.

Lassiter zmarszczył czoło. Jego znajomość łaciny po roku niezwykle nudnych wykładów w St. Alban nie była zbyt imponująca. Mimo to wiedział, co oznacza „umbra domini”. Cień. Pan. Cień Pana. Wiedział też, gdzie już kiedyś widział te słowa: na broszurce w pokoju Grimaldiego w slumsach przy Via Genova.

światał widniały aureole, w oddali po wodzie sunęła łódź, przesuwając się powoli w kręgu światła. Z francuskiego brzegu jeziora doleciał basowy dźwięk syreny i Lassiter stwierdził: „To jest piękne”. Ale tak naprawdę nie czuł tego sercem.

Podniecająca i piękna była natomiast historia konta Grimaldiego. Siedzenie dróg poruszania się pieniędzy niemal zawsze pozwalało odkryć wiele rzeczy i Joe sporo czasu spędził, studiując arkusze kalkulacyjne, śledząc prowadzoną przez wielkie korporacje grę w „trzy karty” i wydzierając liczbom skrywane przez nie tajemnice.

Wrócił do wydruku. W 1992 i 1993 roku co miesiąc na konto Grimaldiego wpływało mniej więcej tysiąc dolarów od Salve Caelo - „organizacji dobroczynnej” Eglofffa. Depozyty składano przez niemal rok, po czym wpłaty się urwały. Pod koniec 1993 roku na koncie zostało dokładnie tysiąc franków szwajcarskich. Obok tej sumy Max dopisał ręcznie: „Minimum wymagane do utrzymania konta”.

Potem konto pozostawało uśpione do 4 sierpnia 1995 roku - dnia datowania przekazu telegraficznego, który wypadł na podłogę pokoju w Chicago. Tego dnia na koncie Grimaldiego zdeponowano pięćdziesiąt tysięcy dolarów z konta neapolitańskiej filii Banco di Parma. I tu również był dopisek, wykonany starannym pismem Maxa: „Konto Umbry Domini”.

Tydzień później, jedenastego sierpnia, Grimaldi podjął całą tę sumę.

Tak więc to, co Lassiter znalazł w Chicago w dniu torby Grimaldiego, te dwadzieścia, może trzydzieści tysięcy, niemal na pewno było resztą pieniędzy od Umbry Domini. Przez chwilę się zastanawiał i doszedł do wniosku, że Grimaldiego znowu wynajęto do roboty. Tylko do jakiej?

I co z płatnościami z lat 92-93? Lassiter popatrzył na skopiowane strony w paszporcie i uświadomił sobie, że comiesięczne przekazy zbiegały się w czasie z pobytami Grimaldiego w Serbii, Chorwacji i Bośni. Wyglądało to tak, jakby pracował dla Salve Caelo - być może tak było, ale co dla nich robił? Życiorys Grimaldiego nie miał wiele wspólnego z działalnością charytatywną, choć ze słów Eglofffa wynikało, że nie ma szczególnie dobrej opinii o tym regionie świata. Jak on to określił? „Polityczny czerniak”.

Sięgnął po telefon i zadzwonił do Rzymu, do Bepiego. Patrzył na łagodne światło, rzucające kręgi na wodę jeziora, i czekał cierpliwie. Telefon dzwonił i dzwonił i Lassiter właśnie zamierzał odłożyć słuchawkę, kiedy doleciał z niej trzask, jakieś szuranie, a potem ktoś zawołał:

- *Pronto?* - W tle słychać było chichotanie kobiety.

- Bepi? Tu Joe Lassiter.

- Joe! - Bepi odchrząknął. - Co słychać?

Lassiter przeprosił za późną porę i wyjaśnił, że potrzebuje natychmiast pewnej informacji. Czy Bepi mógłby się czegoś dowiedzieć o religijnym stowarzyszeniu o nazwie Umbra Domini i organizacji dobroczynnej Salve Caelo?

- Żaden problem.

- Ale po cichu, rozumiesz? Nie chcę wzburzać fal.

- *Si, si... discreto.*

- Doskonale. Możesz zacząć zaraz?

- Potrzebujesz... pisemnego raportu?

- Nie.

- Świetnie. Umówię się na kolację z Giannim. Wie wszystko o religii! Wszystko. Co tylko chcesz.

Żaden problem.

- Znakomicie. Będę jutro w Rzymie. Spotkamy się na lunchu.

- *Solid*.

- Co?

- *Solid*. To amerykańskie powiedzenie jazzowe. - Bepi zawahał się. - A nie?

- Nie. *Yowzah*.

Spotkał się z Bepim w kawiarni przy Via Veneto, niedaleko amerykańskiej ambasady. Powietrze było czyste i zimne, ale choć stoliki wystawiono na chodnik, nie było zbyt chłodno dzięki elektrycznym słoneczkom, których pomarańczowe zwoje pulsowały przyjemnym ciepłem. Gdy Lassiter się zjawił, z Bepim siedział Gianni Massina, dziennikarz zajmujący się zagadnieniami religijnymi dla magazynu informacyjnego „Attenzione”.

Kiedy ściskali sobie dłonie, Lassiter ze zdziwieniem stwierdził, że Massina bardzo przypomina znanego talk-mastera - Johnny'ego Carsona. Jednak w odróżnieniu od klaustrofobicznych gestów pochodzącego ze środkowego zachodu Carsona, język ciała Włocha był bardzo bogaty. Gdy Joe wyjaśnił, dlaczego jest tak zaskoczony, Massina się roześmiał.

- Ciągle to samo... ten drugi Gianni! Wiele razy mi to mówiono. Chciałbym mieć choć małą cząstkę jego fortuny.

- Kto by nie chciał? - mruknął Joe.

- Ale wygląda na *to*, że mocno ją nadszarpnęła jego obsesja żenienia się. - Massina pokręcił smutno głową. - Problem z Ameryką... - westchnął - cały wasz problem polega na tym, że nie nauczyliście się sztuki romansowania. Nikt w Ameryce... przepraszam, nie mam na myśli pana... żaden Amerykanin tego nie umie! Cóż, purytańska spuścizna... wy macie swoje prawa i rozwody, a my swoje grzechy i romanse. - Massina zachichotał, zaraz jednak spoważniał. - Przepraszam. Ja tu sobie żartuję, a przecież mamy do załatwienia poważne sprawy.

Podszedł kelner i zamówili kawę.

- No więc... mój przyjaciel mówi, że interesuje pana Umbra Domini.

- Bardzo.

Massina pochylił się konspiracyjnie.

- W takim razie powinien pan być ostrożny. - Zmarszczył czoło. - To jedna z odrodzeniowych religii. Macie je chyba także w Stanach.

Lassiter musiał zrobić zdziwioną minę, bo Massina odwrócił się do Bepiego. Przez chwilę obaj rozmawiali po włosku, po czym Bepi uśmiechnął się szeroko.

- Gianni ma na myśli nie tyle „odradzanie się”, co rodzenie się na nowo - wyjaśnił.

- Właśnie - potwierdził Massina. - Oni się rodzą na nowo. Coś podobnego macie w Ameryce. Z Patem Robertsonem. Twierdzą, że jedyną wiarą jest stara wiara. W Ameryce większość tego typu ugrupowań to głównie protestanci i ciągle tworzą nowe Kościoły. Tutaj pozostają w łonie Kościoła katolickiego i tworzą... jak to się nazywa? *Associazioni*. - Nagle znalazł odpowiednie określenie: - Zakony laickie.

- Takie jak dominikanie?

- Nie. Nie jak dominikanie. W grupach takich jak Umbra księży stanowią mniejszość. Są bardziej jak... brak mi słowa... - Massina i Bepi znów zaczęli terkotać po włosku.

- Jak Hamas! - zawołał w końcu Massina. - Dokładnie tacy sami! To coś takiego jak odrzuceniowy front fundamentalistyczny, tyle że katolicki! Bardzo ortodoksyjny i bardzo silnie zmotywowany. Oczywiście nie mówimy o polityce, ale o religii.

- W co wierzą?
- W stary obrządek. W mszę trydencką...
- Mszę odprawianą po łacinie - wyjaśnił Bepi.
- Podczas której ksiądz stoi plecami do wiernych - dodał Massina. - Od Drugiego Soboru Watykańskiego ksiądz stoi twarzą do wiernych i odprawia mszę w miejscowym języku.
- I to takie ważne? - spytał Lassiter.
- To sprawa życia i śmierci - stwierdził Massina.
- Tak naprawdę - wtrącił się Bepi - to rzeczywiście sprawa życia po śmierci.
- Jeśli są „frontem odrzuceniowym”, to co odrzucają? Obaj Włosi odpowiedzieli chórem:
- Drugi Sobór Watykański.

Lassiter odsunął filiżankę z kawą i pochylił się do przodu.

- Wybaczcie, ale założmy, że nie ma głupich pytań. Co to był Drugi Sobór Watykański? Co ustanowił? To tak, jak „ogólna teoria względności”... każdy coś o tym słyszał, ale nikt...
- To był punkt zwrotny - przerwał mu Bepi.
- Bomba - poprawił go Massina. - Bomba, której wybuch omal nie rozerwał Kościoła na pół. Ale bez melodramatyzmu. Był to zjazd przywódców katolickich z całego świata, którego celem miała być modernizacja Kościoła... niektórzy nazywali to „liberalizacją”. Tradycjoniści byli przeciwni wielu reformom, zaczęli więc tworzyć własne stowarzyszenia, grupy takie jak Umbra Domini czy Legion Chrystusowy. We Francji pojawił się arcybiskup Lefebvre...

Bepi popatrzył na Lassitera.

- Wyglądasz na skołowanego - zauważył.
- Może do zrozumienia tego trzeba być katolikiem.
- Może - mruknął Massina. - Ale może i nie. Niektórzy z tych ludzi są... niezrównoważeni. Twierdzą, że papież to antychryst. Że na Tronie Piotrowym siedzi diabeł. A mszę w języku danego kraju nazywają Czarną Mszą.

Lassiter uśmiechnął się z niedowierzaniem.

- Oni naprawdę mówią poważnie! - zawołał Massina.
- A Umbra?
- Umbra jest najgorsza. Z początku byli bardzo hałaśliwi i wszyscy sądzili, że dojdzie do schizmy i zostaną ekskomunikowani, ale... uspokoili się. Dokonano pewnych ustaleń, zgodzono się na kompromisy. Teraz odprawiają mszę po łacinie, mężczyźni i kobiety modlą się osobno, mają też własne szkoły.

- Watykan nie chce rozłamu - dodał Bepi.

- Oni sami też wolą pozostać we wspólnocie. Mimo to prasa nazywa ich „katolickim hezbollahem”.

Bepi roześmiał się.

- „Prasa”? - spytał.

Massina wydał wargi i uśmiechnął się chytrze.

- W porządku, ja! Co to za różnica? Prasa to ja. A czym oni są? Hezbollah to „partia Boga”. Czym jest Umbra Domini? Radykalnym ugrupowaniem religijnym o celach politycznych. Dlatego nazwałem ich „katolickim hezbollahem”. I patrzcie! - Massina sięgnął do teczki i wyjął z niej jakąś broszurę. - Niech pan spojrzy na to! Przyniosłem ją specjalnie dla pana. *Crociata Diecima!*

Lassiter wpatrywał się w broszurę. Była taka sama jak ta, którą widział w pokoju Grimaldiego

przy Via Genova.

- Umbra wypuściła tysiące egzemplarzy jakieś cztery, może pięć lat temu - wyjaśnił Massina. - To materiał rekrutacyjny na Dziesiątą Krucjatę.

- Co to takiego?

- To pierwsza krucjata od pięciuset lat - odparł Massina, wskazując na broszurę. - Oczywiście przeciwko islamowi. Twierdzą, że Bośnia to „islamski przyczółek” i wzywają wszystkich wiernych do broni. I tu pojawia się pańskie drugie ugrupowanie. Salve Caelo. Prowadzi je Umbra.

- W ramach działalności dobroczynnej. Massina machnął ręką.

- To, co robią, ma niewiele wspólnego z dobroczynnością. Niedaleko Bihaća prowadzili „obóz dla uchodźców”. Równie dobrze „obozem dla uchodźców” mógłby być Oświęcim. Był to zwykły obóz koncentracyjny i miejsce spędu po akcjach wojskowych - oczywiście skierowanych przeciwko muzułmanom. Widzi pan w tym ironię? Sami tworzyli uchodźców, po czym zamykali ich w obozach! Najpierw robili to dla Serbów, potem dla Chorwatów. Ale zawsze na szkodę muzułmanów.

- Tak więc wiemy już, co Grimaldi robił w Bośni - mruknął Lassiter. - Prowadził działalność humanitarną... - Teraz jasne stały się też jego powiązania z Egloffem.

- Nazywają to „bardziej atletycznym katolicyzmem” - dodał Bepi.

- To ważne rozróżnienie - powiedział Massina, stukając palcem w broszurę - ponieważ Drugi Sobór Watykański ustanowił, że „wszystkie wiary są bliskie Bogu”. Nie jest pan katolikiem, więc nie rozumie pan tego, ale przed Drugim Soborem postawienie stopy w innym kościele czy jakiegokolwiek świątyni było śmiertelnym grzechem. Tak więc założenie, że muzułmanie, protestanci albo wyznawcy jakiegokolwiek innej wiary mogą być bliscy Bogu, mogą dzielić się Jego łaską - było wielką zmianą dla religii, która jeszcze niedawno paliła za takie poglądy na stosie.

Lassiter skinął głową.

- Co jeszcze robią?

- Publikują. Wydają książki, broszury, kasety wideo, robią filmy. O kontroli urodzin, o masonach, przerywaniu ciąży, homoseksualizmie... twierdzą, że homoseksualistów należy znakować żelazem.

- Tatuować - poprawił go Bepi.

Lassiter milczał przez chwilę, a potem zapytał:

- O jak licznej grupie mówimy? Massina wzruszył ramionami.

- Sądzę, że teraz jest ich jakieś pięćdziesiąt tysięcy. Może więcej. Większość mieszka we Włoszech, Hiszpanii, Argentynie, trochę w USA. Myślę, że mają też wyznawców w Japonii. Zarówno Niebieskich, jak i Białych.

Lassiter popatrzył na niego ze zdziwieniem.

- W zakonie są dwie grupy. Biali mają bardzo surową regułę. Każdy dzień zaczynają w kościele. Co dzień oddają pieniądze. Kobiety zasłaniają włosy, zakrywają ciała. Ale w porównaniu z Niebieskimi... to jeszcze nic! Niebiescy „porzucają świat”.

- To znaczy?

- Żyją jak mnisi. Tylko mężczyźni mogą zostać do nich przyjęci. Składają śluby czystości, ubóstwa...

- Jeśli o mnie chodzi, nie jestem religijny stwierdził Bepi.

- ...i biczą się.

- Zwykłymi batami? Massina wzruszył ramionami.

- To dawna tradycja. Bóg jest tradycjonalistą.

- Powiedz mu także o marszu - rzucił Bepi.

- Jakim marszu? - spytał Lassiter.

- To kolejny pomysł w tym stylu - odparł Massina. - Kolejna pokuta. W niedzielę Niebiescy idą do komunii na kolanach. Muszą przejść sporą odległość, taką samą, jaką przeszedł Chrystus, niosąc krzyż na Golgotę. To bardzo bolesne, bo na drodze leżą kamienie, a do kościoła prowadzą granitowe stopnie...

Lassiterowi przypomniało się nagle, co mówił Riordano.

- Kafelkarz... - mruknął pod nosem.

- Co? - spytał Bepi.

- Jeden z gliniarzy sądził, że Grimaldi zarabia na życie układaniem kafelków - wyjaśnił Joe - bo nikt nie był w stanie wyjaśnić pochodzenia odcisków na jego kolanach.

- No, jeśli jest Niebieskim...

- Kto temu wszystkiemu przewodzi? Biskup? Massina pochylił się do Lassitera.

- Nie jest pan zbyt religijny, prawda?

- Nie.

- Tak pomyślałem. Przywódcą organizacji jest ktoś określany mianem - palcami zaznaczył w powietrzu cudzysłowy - „prostego księdza”. Człowiek, który nazywa się delia Torre.

- „Prosty ksiądz”! - zawołał Bepi. - To tak, jakby nazwać...

- Jest dość charyzmatyczny.

- ...Beatlesów zespołem garażowym! - dokończył Bepi.

- Jak powiedziałem - kontynuował Massina - jest dość charyzmatyczny. I dość młody. Trzydzieści parę lat. Oczywiście dominikanin. Jak założyciel Umbry.

- Dlaczego „oczywiście”?

- Cóż... dominikanie to najwięksi ortodoksi. Czarni bracia. Inkwizycja była właśnie ich dziełem. W każdym razie delia Torre jest bardzo utalentowanym mówcą. Zawsze ma pełen kościół. Tłum wylewa się na ulicę. Kiedy chodzi między ludźmi, całują skraj jego sutanny. To nie byle co.

- Gdzie ma kościół?

- W Neapolu. Kościół San Eufemio. Niewielki, bardzo stary. Chyba z siódmego wieku. Urządzili go jak teatr, wydali majątek na oświetlenie. Słyszałem, że zaangażowali fachowca z Londynu, który zajmuje się oświetlaniem koncertów rockowych. W każdym razie efekt jest niesamowity. Gdy delia Torre wchodzi na ambonę, wygląda to, jakby wypływał z ciemności, a światło jest tak ustawione, że sprawia wrażenie, jakby świecił się od środka. Kiedy mówi - spokojnie, ale z pasją - niemal hipnotyzuje ludzi. Każdy z jego słuchaczy chce zostać zbawiony.

- Czy to znaczy, że pan tam był?

- Raz - odparł Massina. - Przeraziło mnie to, co ujrzałem i poczułem. Byłem tak bliski... - rozsunął palec wskazujący i kciuk na pół centymetra - pocałowania jego ręki.

- Myśli pan, że delia Torre zechciałby się ze mną zobaczyć? Massina zawahał się.

- Gdyby przedstawił się pan jako dziennikarz... tak. Żyje po to, by głosić Słowo.

- Czyli gdybym na przykład pisał artykuł... Bepi uniósł rękę i pompatycznie wydeklamował:

- Na przykład „Nowe prądy w katolicyzmie”... Massina wzruszył ramionami.

- Kto wie? Może by się z panem spotkał.

- Zna angielski?

- Zna wiele języków. Studiował w Heidelbergu, Tokio i Bostonie. Jak na „prostego księdza” jest

bardzo wykształcony.

- Nie byłoby to dla Joego niebezpieczne? - zapytał Bepi. Massina roześmiał się.

- Nie sądzę. W końcu to ksiądz. Ale niech pan uważa - powiedział, zwracając się ponownie do Lassitera - może zechcieć pana nawrócić.

Neapol. Lassiter wziął taksówkę, kazał się zawieźć pod jakiś adres znajdujący się kilka domów od kwatery głównej Umbry Domini i resztę drogi powoli przeszedł.

Tu, na miejscu, pretekst reportażu nie wydawał się już tak dobry. Choć Joe miał ze sobą wizytówki, identyfikujące go jako Johna C. Delaneya, waszyngtońskiego producenta programów dla CNN, musiał się liczyć z tym, że delia Torre będzie się go spodziewał. W końcu pukał do drzwi mieszkania Grimaldiego w Rzymie, spotkał się z jego siostrą, badał jego konto bankowe i sporo opowiedział Guntherowi Egloffowi. Oczywiście było możliwe, że Szwajcar zapomniał o nim po zamknięciu drzwi, ale

Lassiter w to wątpił. Choć pytania, jakie Egloff zadawał, były pozornie obojętne, poprosił o wizytówkę (i dostał ją), spytał o hotel i cel dalszej podróży. Poza tym obserwował, jak Lassiter odchodzi - przez judasza w drzwiach.

Był ku temu uzasadniony powód: istniał łańcuch łączących się w całość elementów. Grimaldi - Umbra Domini. Umbra Domini - Salve Caelo. Salve Caelo - Egloff. Egloff - Grimaldi.

Stanął przed rozpadającą się neoklasyczną willą, której wysoka drewniana brama była otwarta, ukazując niewielkie podwórze. Na środku bulgotała fontanna, napełniana wodą przez kłębowisko gargulców.

Wnętrze willi było tak nowoczesne, jak stara była na zewnątrz. Powietrze pulsowało jarzeniowym światłem, warczały faksy, dzwoniły telefony komórkowe, buczały komputery. Dwujęzyczna kobieta w sukience z długimi rękawami popatrzyła na wizytówkę, nie biorąc jej do ręki, i skierowała Lassitera do biura rzecznika prasowego, gdzie rozpatrywano prośby przedstawicieli prasy.

Siedział tam dziesięć minut, otoczony mnóstwem książek i broszur z logo Umbry Domini. Na każdej z nich widniał złoty owal, a w środku, na purpurowym tle, linia sugerująca wzgórze. Na wzgórzu krzyż, pod nim długi cień, a w nim złote litery, układające się w napis: UMBRA DOMINI. Broszury były wydrukowane w różnych językach, również po angielsku, zanim jednak zdążył się bliżej im przyjrzeć, wyszedł do niego wyglądający bardzo światowo młodzieniec z modną fryzurą.

- Dante Villa - przedstawił się, wyciągając rękę.

- Jack Delaney. Pracuję dla CNN.

- Ma pan wizytówkę?

- Oczywiście. - Joe sięgnął do kieszeni i podał sekretarzowi kartonik.

- W czym mogę pomóc, panie Delaney?

- Hm... myśleliśmy o tym, by zrobić reportaż o nowych prądach w chrześcijaństwie.

Młodzieniec uniósł brwi i odrzucił do tyłu błyszczące loki.

- Naprawdę?

- Tak. Z tego, co zdążyliśmy się dowiedzieć, Umbra Domini jest jednym z najszybciej rozwijających się laickich zakonów katolickich. Mógłby to być ważny element większej całości... to zależy.

- Od czego?

- Wie pan, jaka jest telewizja. Dużo zależy od tego, co będziemy mogli sfilmować. To główny

powód mojego przybycia. Powiedziano mi, że ojciec delia Torre byłby doskonałym rzecznikiem waszego zgromadzenia. Tak więc... miałem nadzieję, że mógłbym odbyć z nim wstępną rozmowę... zorientować się, jak brzmi. Nie zajęłoby to zbyt wiele czasu. Mógłbym mu przedstawić, czego oczekujemy.

Młodzieniec zmarszczył czoło.

- Mówiono mi, że powinienem z nim porozmawiać - oświadczył Lassiter.

Mars nie ustąpił z czoła młodego człowieka, ale spytał, jak długo zamierza pozostać w Neapolu.

Lassiter odparł:

- Wiem, powinienem załatwiać wszystko z wyprzedzeniem, jednak nie było to możliwe. Pracowaliśmy nad czymś innym, jednak pomyślałem sobie: a co ci szkodzi, możesz przecież spróbować... Byłem w Rzymie i pomyślałem, że może wpadnę na chwilę. Zobaczę, czy mi się poszczęści.

- Rozumiem. - Młodzieniec zastanawiał się przez chwilę. - Ojciec delia Torre jest bardzo zajęty, wiem jednak, że chętnie rozszerzyłby... że widzi wielką przyszłość dla zakonu... - sekretarz uśmiechnął się - po tamtej stronie wielkiego stawu.

- Naprawdę?

- Oczywiście. Mamy już w Stanach wiele ośrodków.

- Cóż... Wobec tego... - Lassiter wyjął notes.

- Ich liczba wciąż wzrasta. Mogę pokazać dane.

- Gdzie są te ośrodki?

- Wszędzie, gdzie są ludzie. W Nowym Jorku, Los Angeles, Dallas.

- Czyli głównie w miastach.

- W praktyce tak. Organizujemy się przede wszystkim wokół naszych szkół. Mamy jednak także kilka domów odosobnienia na wsi. Ale to bardzo skromne miejsca.

- I gdybyśmy chcieli filmować...

- Nie musielibyście wcale opuszczać Stanów. - Młody człowiek podszedł do biurka, przerzucił kartki leżącego na nim kołonoatnika i uśmiechnął się. - Moglibyście to nawet zrobić w samym Waszyngtonie. Zaczynając od Saint Bartholomew's High School...

- Saint Bart's?

- Zna pan tę szkołę?

- Grywałem przeciwko niej. W szkole średniej. Byli w IAC.

- Co to takiego?

- Liga szkolna.

- Aha...

- Nie wiedziałem, że Saint Bart's to...

- Jedni z nas? - Dante Villa zachichotał. - Większość ludzi sądzi, że wszystkie katolickie szkoły są podobne. Ale oczywiście nie są. - Odwrócił się do biurka. - Maryland jest niedaleko Waszyngtonu, prawda? - Wymówił to jak dwa osobne słowa: MARY-land.

- Tak, tuż obok.

- Mamy tam dom odosobnienia. I prowadzimy także nasz program w miejscu zwanym „Anacostia”.

- To dzielnica Waszyngtonu.

- No proszę! Może dam panu listę...

- Wspaniale.
 - Mamy cały zestaw informacyjny dla prasy... jeśli ma pan ochotę się z nim zapoznać.
 - Świetnie. A jeśli chodzi o... ojca delia Torre? Młodzieniec obdarzył Lassitera wielkodusznym uśmiechem.
 - Dam panu zestaw informacyjny i spróbuję porozmawiać z jego sekretarzem. Może pan będzie uprzejmy usiąść?
- Czekając, Lassiter studiował rozkładaną mapę świata. W centrum znajdował się Neapol, ostemplowany logo Umbry Domini, skąd rozchodziły się linie do miast, gdzie zakon miał swoje placówki. Byli reprezentowani w wielu krajach - w Kanadzie, Chile i nawet w europejskiej Słowenii. Byli praktycznie wszędzie.
- Na odwrocie mapy przedstawiono za pomocą słupków liczbę członków zakonu w każdym kraju, ale Lassiter nie zdążył się temu bliżej przyjrzeć, bo młody człowiek wrócił. Niósł w ręku wiązaną teczkę z purpurowo-złotym logo Umbry Domini i naklejką informującą, że wszystkie materiały są w języku angielskim.
- Jest tu mnóstwo informacji, w tym artykuły z „New York Timesa” i katolickiej gazety „Changing Times” - oświadczył.
 - Wspaniale.
 - Jeśli zaś chodzi o ojca delia Torre... - powiedział z promiennym uśmiechem sekretarz i popatrzył na fałszywą wizytówkę, którą trzymał w dłoni - to chyba ma pan wielkie szczęście, panie Delaney.
 - Zwykle mówi się do mnie „Jack”. Dante Villa uśmiechnął się znowu.
 - Hm... o dziewiątej jest spotkanie dla nowych członków, o dziesiątej święcenia kapłańskie. Ma więc okienko... popatrzmy... najlepsza pora to wpół do dwunastej.
 - Doceniam pańską pomoc...
 - Ojciec delia Torę spytał, czy będzie pan z fotografem.
 - Nie.
 - Nieważne. W materiałach prasowych jest wiele zdjęć. - Dante wyciągnął dłoń.
 - Więc o której? - spytał Lassiter, wyjmując notes.
 - Jedenasta trzydzieści rano. Ale nie tutaj, lecz w kościele. Narysuję panu, jak tam dojechać.

19

W drodze powrotnej Joe czuł takie zmęczenie, że zasnąłby, gdyby taksówka miała działające amortyzatory. Niestety nie miała - siedział więc, trzymając się postrzępionego skórzanego uchwytu i wyglądając przez okno, podczas gdy auto podskakiwało i szaiptało. Minęli Teatro San Carlo i pojechali w kierunku portu. Wyczerpanie Joego było po części wynikiem stresu, spowodowanego koniecznością udawania kogoś innego - kłamstwo zawsze go frustrowało - jednak tak naprawdę najgorsza była świadomość, że nie może być w dwóch miejscach naraz. Grimaldi przebywał w Ameryce, ale odpowiedzi kryły się w Europie, głęboko schowane w średniowiecznym bagnie polityki Umbry Domini i przeszłości Grimaldiego.

Powoli Lassiterowi zaczynało świtać, że to nie Kathy była celem Grimaldiego. Celem był Brandon. Kathy zginęła w walce o życie syna, ale to Brandona ZASZLACHTOWANO. Rozpruto mu gardło od ucha do ucha, niemal rytualnie, a potem dwukrotnie spalono. Brandona, nie Kathy.

W dodatku po raz drugi nie spalił go Grimaldi, który leżał wtedy w szpitalu.

Ktoś inny zadał sobie trud ekshumowania dziecka i podpalenia szczątków. Oznaczało to jednak, że Grimaldi był uczestnikiem spisku. Wykluczało przypuszczenie, że był on jedynie... jak to Riordan określili? - „marionetką” - kimś, kogo działania nie da się wyjaśnić, bo nie jest kierowane logiką. Z doświadczenia Lassiter wiedział, że wariaci nie konspirują, tylko po prostu działają. Na własną rękę.

Już od samego myślenia na ten temat bolała go głowa. Założenie, że morderstwa popełniono w ramach zorganizowanego spisku; czyniło je jeszcze bardziej tajemniczymi. Co mogły mieć wspólnego z Umbrą Domini? A nie było przecież wątpliwości, że to oni opłacali Grimaldiego.

Lassiter zatrzymał się w niewielkim hotelu i dostał pokój z widokiem na port Santa Lucia. Wyszedł na balkon z telefonem w jednym ręku i słuchawką w drugim i zadzwonił do Bepiego, by zapytać, czy mogliby następnego dnia wieczorem spotkać się na kolacji. Czekaając i słuchając brzęczenia dzwoniącego w Rzymie telefonu, przyglądał się, jak słońce zanurza się w Morzu Śródziemnym niczym wchodząca do wanny kobieta.

Bepi nie odebrał. Lassiter zadzwonił na jego pager, podając numer telefonu hotelu, by Bepi mógł oddzwonić, kiedy otrzyma wiadomość, ale to było wszystko, co mógł zdziałać. Potem przypomniał sobie o materiałach prasowych Umbry.

Sprowadzały się one do gładkiego przedstawienia czyściutkiej i niewinnej organizacji, czegoś w rodzaju „Klubu Czterech H” dla duszy. Wymieniano w nich między innymi listę organizacji siostrzanych i Lassiter natychmiast zauważył, że jest wśród nich Salve Caelo. Pomijano wszystko, co mogłoby wydać się kontrowersyjne, nie było najmniejszej wzmianki o ekstremistycznych poglądach zakonu.

Zamiast tego skoncentrowano się na przedstawianiu dobrych uczynków Umbry i wyliczaniu wciąż rosnącej liczby członków. Zamieszczono też w nich wiele zdjęć dzieci, bawiących się na podwórkach albo siedzących w klasach szkół parafialnych, sponsorowanych przez Umbrę Domini. Były wśród nich również zdjęcia pokazujące młodzież sprzątającą zaśmiecony park, pomagającą starszym oraz służącą do mszy. Fotografie kościelnych budynków przed i po odbudowie rywalizowały o uwagę ze zdjęciami misjonarzy działających w buszu. Serię zdjęć zamykała fotografia ukazująca uśmiechniętych muzułmanów, pracujących w ogrodzie warzywnym w „obozie dla uchodźców” Salve Caelo w Bośni.

Człowieka, dzięki któremu możliwe były te wszystkie dobre uczynki, ukazano na kilku błyszczących fotografiach formatu dwadzieścia na dwadzieścia pięć centymetrów. Lassiter pomyślał, że jeśli zdjęcia dobrze oddają rzeczywistość, Silvio delia Torre powinien występować w filmach. Wyglądał jak amant - miał wysokie kości policzkowe, oczy o barwie rozświetlonego słońcem morza, szeroki, ironiczny uśmiech i gęste, kruczoczarne włosy.

Poza zdjęciami i oświadczeniami dla prasy były tu kserokopie artykułów prasowych o dobroczynnej działalności Umbry oraz dwa artykuły o ojcu delia Torre. W obu pisano o wielkim talencie językowym księdza - jeden z autorów uważał, że mówi sześcioma, drugi, że dziewięcioma językami - oraz o jego osiągnięciach sportowych - podobno szczególnie wyróżniał się jako kick bokser. W jednym z artykułów napisano: „Ojciec delia Torre może rywalizować z najlepszymi. Tak więc uważaj, Jean-Claude!”

Na końcu było „oświadczenie o celach działania”, nijakie i bezbarwne. Nie wspomniano o rytualnych biczowaniach, „islamskim imperializmie” czy tatuowaniu homoseksualistów, podkreślano za to rolę „wartości rodzinnych”, „kultury chrześcijańskiej” i „podstawowych zasad katolicyzmu”.

W końcu teczka z materiałami prasowymi Umbry zadziałała jak tabletki Valium i Lassiter zasnął w fotelu.

Obudził się ze znacznie lepszym samopoczuciem, które jednak natychmiast się pogorszyło, gdy wszedł na poranną kawę do kafejki przy hotelu. Małe głośniki warczały, wypełniając całe pomieszczenie radosnymi frazami europopu. Lassiter nigdy nie rozumiał, co ludzie widzą w tej gównianej muzyce. Ale przynajmniej kawa była dobra.

Kościół San Eufemio był mały i stary, osadzająca się ziemia spowodowała przekrzywienie się budowli, w efekcie czego żaden z zaplanowanych przez architekta kątów nie zachował się w oryginale. Stał wciśnięty między dwa znacznie większe i nowsze budynki, więc wyglądał, jakby sąsiedzi starali się wypchnąć go spomiędzy siebie.

Krótki dróżka prowadziła do ogromnych, zwieńczonych łukiem i nabitych metalem drzwi - tak starych, że ich powierzchnia była głęboko wyżłobiona w miejscach, gdzie miękkie wczesne drewno każdego przyrostu rocznego zerodowało, pozostawiając paseczki twardszego drewna. Lassiter widział te drzwi na jednej z fotografii z „zestawu prasowego” - były szeroko otwarte, wychodziła z nich para świeżo upieczonych małżonków - i przypomniał sobie, że pochodzą z ósmego wieku. Dotknął porowatego drewna: było twarde jak kamień.

Teraz drzwi nie były jednak otwarte, nie było przycisku ani nawet klamki - jedynie wielka dziurka od staromodnego klucza. Lassiter obszedł budynek w poszukiwaniu innego wejścia i wkrótce znalazł je z boku. Zatrzymał się na chwilę, powtarzając sobie w myśli: Jack Delaney... CNN... Nowe prądy w katolicyzmie.

Zapukał w drzwi i znieruchomiał zaskoczony, bo otworzył mu osobiście Della Torre. Przywódca Umbry był ubrany w czarny golf, brązowe spodnie i mokasyny. Wyglądał jeszcze lepiej niż na zdjęciach. W odróżnieniu od aktorów, których Lassiter spotykał w życiu i którzy okazywali się drobniejsi, niż sugerowały ich zdjęcia, Della Torre był większy, niż Lassiter sobie wyobraził. Był przynajmniej jego wzrostu, atletycznie zbudowany, i w ogóle nie pasował do wyobrażenia Lassitera o księżach - nie odpowiadał ideałowi Platona, według którego kapłan powinien mieć sześćdziesiąt lat, siwe włosy i nosić stosowny strój.

- Jack Delaney, prawda? - odezwał się ksiądz z uśmiechem. - Dante prosił, bym pana przyjął. Proszę wejść. - Jego angielski był nieskazitelny i pozbawiony obcego akcentu.

- Dziękuję.

Della Torre otworzył kolejne drzwi i weszli do ascetycznego, ale elegancko urządzonego gabinetu. Lassiter usiadł na czerwonym, wyłożonym skórą obrotowym krześle, Della Torre naprzeciwko, po drugiej stronie stołu podobnego do tych, jakie widuje się w bibliotekach. Przypominając sobie słowa Massiny o kunszcie, z jakim Della Torre wykorzystuje oświetlenie podczas mszy, Lassiter zauważył umieszczone w zagłębieniach starego, tynkowanego sufitu reflektorki.

- Podobno kręci pan reportaż dla CNN...

- Zastanawiamy się nad tym.

- Cóż... to wspaniale! Czasem przychodzi mi na myśl, że niektóre media nas unikają.

Lassiter zachichotał, tak, jak się po nim spodziewano.

- To z pewnością ich strata. Della Torre wzruszył ramionami.

- Też tak uważam, ale... - pochylił się do przodu - to w końcu nieważne. - Splótł palce i oparł łokcie o stół. - Od czego powinniśmy zacząć?

___ No cóż... chodzi mi o to, by wyczuć, jak ksiądz wypadnie w nagraniu, i dowiedzieć się czegoś

więcej o samym stowarzyszeniu. Gdyby mógł ksiądz powiedzieć kilka słów o początkach Umbry Domini...

Oczywiście - odparł delia Torre i usiadł wygodniej. Jak pan z pewnością wie, jesteśmy produktem - w pewnym sensie „produktem ubocznym” - Drugiego Soboru Watykańskiego.

Przez następne dziesięć minut *capo Umbry Domini* z uśmiechem odbijał piłki Lassitera.

- Czy organizacja bardzo zmieniła się w minionych latach?

- Cóż... to nie tajemnica, że staliśmy się więksi i silniejsi...

- Gdyby miał ksiądz wymienić program, z którego jesteście najbardziej dumni... co by to było?

- Docieranie do społeczności lokalnych.

- Co jest, waszym zdaniem, największym wyzwaniem dla współczesnego Kościoła?

- Jest wiele wyzwań. Żyjemy w trudnych czasach. Moim zdaniem największym wyzwaniem dla katolików jest to, co lubię nazywać „pokusą współczesności”.

Po każdej odpowiedzi Lassiter z namysłem kiwał głową i skrupulatnie zapisywał ją w notesie. Zaczynał coraz lepiej wyczuwać swojego adwersarza. Teflon i stal. Postanowił zmienić taktykę.

- Twierdzi się, że Umbra ma ambicje polityczne.

- Tak? - Della Torre wyczuł zmianę i pochylił głowę. - Kto tak twierdzi?

Lassiter wzruszył ramionami.

- Mam w hotelu teczkę pełną wycinków. Artykuły, które ściągnąłem przez Nexis. Kilka jest dość krytycznych. Ich autorzy uważają, że Umbra Domini jest powiązana z pravicowymi ugrupowaniami, takimi jak Front Narodowy...

- To absurd. Co prawda niektórzy nasi członkowie martwią się pewnymi zjawiskami mającymi związek z imigracją, ale to sprawy natury politycznej, nie teologicznej. Jesteśmy organizacją zróżnicowaną, nasi członkowie reprezentują rozmaite poglądy.

- Mówi się, że Umbra jest homofobiczna.

- Hm...

- I że nawołujecie do znakowania gejów.

- Cieszę się, że podnosi pan ten temat, da mi to bowiem okazję wyjaśnić wątpliwości. Rzeczywiście uważamy homoseksualizm za grzech i mówimy o tym bez ogródek, więc z pewnością wielu ludzi może nas uważać za „homofobicznych”. Prawdą jest jednak - także i to, że Umbra Domini pełni funkcje pedagogiczne. Jesteśmy nauczycielami i jako nauczyciele czasem używam hiperboli. Stąd cały hałas wokół tej sprawy. Ale bez względu na to, co ktokolwiek powiedział, nikt w Umbrze Domini nie sądzi, by należało znakować homoseksualistów. Choć uważam za rozsądny pomysł, by policja ich rejestrowała.

- Ciekawe - mruknął Lassiter i zrobił notatkę. - Chciałem zapytać jeszcze o coś: w jednym z artykułów wspomina się o organizacji dobroczynnej... Salve... - przez chwilę udawał, że szuka brakującego słowa.

- Caelo.

- Właśnie. Salve Caelo. O ich działalności w Bośni. Napisano, że...

- Wiem, co się na ten temat pisze. Dziennikarze twierdzą, że pod płaszczykiem pomocy humanitarnej założyliśmy tam obóz koncentracyjny... Ale niczego nie udowodniono.

- Naprawdę?

Della Torre popatrzył w sufit, jakby zwracał się do jakiegoś wyższego autorytetu. Po chwili spojrzął na Lassitera.

- Pozwoli pan, że o coś spytam, Jack.

- Niech ksiądz strzela.

- Czy nie jest rzeczą zadziwiającą, że wiara i pobożność niemal tak samo często wyzwalają ataki, jak i zachwyty? Opowieści, do których pan nawiązuje, to nic więcej jak zawiść.

- Zawiść? Co ksiądz ma na myśli? Della Torre westchnął i kiedy ponownie się odezwał, jego niski głos wypełnił całe pomieszczenie. Modulował słowa, wypowiadając je w sposób świadczący o najwyższym kunszcie oratorskim.

- Proszę sobie wyobrazić Umbra Domini jako piękną dziewczycę... - zaczął, wpatrując się w Lassitera swoimi intensywnie błękitnymi oczami, a potem nastąpiła przemowa nieporównywalna z czymkolwiek, co Lassiter słyszał w życiu: rozwinął się przed nim wzorzysty dywan dźwięków, który niosł falę słów o znaczeniu nieco innym od tego, co było w rzeczywistości wypowiedane. Joe miał wrażenie, że popada w trans. Czuł się, jakby słyszał hipnotyzujący syreni śpiew. Nagle jednak słońce schowało się za chmurę, pokój pociemniał i Lassiter przejrzał próżność księdza. Kryła się w jego oczach. Te oczy wsysały człowieka - nie były błękitne, ale miały odcień akwamaryny, jaki ma czasem woda w okolicy Wielkiej Rify Koralowej u wybrzeży Australii. Były to bardzo piękne oczy - tyle że nieprawdziwe. Della Torre miał soczewki kontaktowe, w dodatku nie zwyczajne, a kolorowane. Joe natychmiast rozpoznał ten odcień.

Takie oczy miała Monica.

Był ciekaw, czy przywódca Umbry Domini tak samo długo zastanawiał się jak ona - wybierając między mieszanką akwamaryny i kolorem ciemnego nieba a błękitnoszafirowym. Bez względu jednak na to, czy wybór przyszedł mu łatwo, czy trudno, najwyraźniej oboje zdecydowali się na ten sam kolor prawdopodobnie z tego samego powodu. Był to fascynujący, niemal hipnotyzujący odcień błękitu.

Della Torre uśmiechnął się i pokręcił głową. Wyglądało na to, że nie dostrzegł zmiany w reakcjach Lassitera.

- Kiedy słyszę ataki na Umbrę Domini, wcale mnie nie złością - oświadczył. - Jest mi tylko smutno. Współczuję ludziom, którzy produkują te historyjki. Są zagubieni w ciemnościach własnej duszy - zakończył swoją przemowę z łokciami wspartymi na stole i podbródkiem spoczywającym na splecionych dłoniach.

Lassiter przez chwilę milczał. Po chwili słońce wyszło zza chmury i pokój zapulsował światłem. Joe odchrząknął i bez zastanowienia spytał:

- A co z Frankiem Grimaldim?

Della Torre opadł na oparcie i popatrzył na Lassitera rozbawiony.

- Grimaldim?

- To jeden z waszych ludzi.

- I...?

- Jest poszukiwany za morderstwo. Della Torre z namysłem skinął głową.

- Aha...

- W Stanach.

- Hmm... - Della Torre przez chwilę kiwał się w przód i w tył. - Przyszedł pan tutaj po to, by zadać to pytanie, prawda?

Lassiter skinął głową.

- Tak.

- Cóż...
- Chcę wiedzieć, dlaczego zrobił to, co zrobił.
- I sądzi pan, że ja mógłbym to wiedzieć?
- Tak sądzę.
- Dlaczego?

Zaatakuj go, nakazał sobie Lassiter.

- Ponieważ zapłacił mu pan dużą sumę pieniędzy.
- Naprawdę? Kiedy?
- W sierpniu.

- Rozumiem. - Della Torre obrócił się wraz z krzesłem i popatrzył przez okno. - Mówiąc, że mu zapłaciłem...

- Umbra Domini mu zapłaciła. Przekazano czek z waszego banku do jego banku. Credit Suisse.

Della Torre mruknął coś niewyraźnie, odkręcił krzesło i spojrzał Lassiterowi w twarz.

- Zbadam tę sprawę - powiedział, po czym dodał: - Nie jest pan dziennikarzem, prawda... Jack?
- Nie.

- A ludzie, których zabił ten człowiek, byli panu bliscy?

- Tak. Bardzo bliscy - odparł Joe. Jeszcze zanim skończył to mówić, uderzyło go, skąd delia Torre wiedział, że zginęła więcej niż jedna osoba?

Przewodniczący Umbry przez jakiś czas milczał, a potem odezwał się cicho:

- Wiesz, Joe... - przerwał, by Lassiter do końca pojął, że wersja „Jacka Delaneya” już nie obowiązuje. - Wiesz... nie możesz zrobić nic, co by ci ich oddało.

- Wiem, ale...

- Przestańmy się okłamywać. Wiem o twojej wizycie w Zuoz... Gunther dzwonił do mnie. Wiem także o twojej podróży do Rzymu. Wiem również, co kryje się w twoim sercu, i nie mam o to pretensji.

- I co z tego? - spytał Lassiter.

- Pozwól, że zadam ci pytanie. Joe skinął głową.

- Wierzysz w Boga?

Po chwili zastanowienia Lassiter odparł:

- Chyba tak. Tak, sądzę, że tak.

- I wierzysz w to, że na tym świecie dobro pochodzi od Boga?

- Tak przypuszczam.

- A diabeł?

- Co ma z nim być?

- Wierzysz w diabła?

- Nie.

- No to w zło. Wierzysz w istnienie zła?

- Oczywiście. Widziałem je.

- No więc... skąd bierze się zło, jeśli nie od diabła?

- Nie wiem. - Lassiter poczuł, że traci cierpliwość. - Nigdy się nad tym nie zastanawiałem. Kiedy jednak widzę zło, wiem, że to zło. A widywałem je wiele razy.

- Wszyscy je widzimy. To jednak za mało. Powinieneś się nad tym zagadnieniem dobrze zastanowić.

- Dlaczego?

- Bo z tego właśnie powodu zabito twoją siostrę i siostrzeńca. Gdy Lassiter zastanawiał się nad znaczeniem słów księdza, miał wrażenie, że cisza wokół nich pęcznieje niedopowiedzeniami.

- Co to ma znaczyć? - spytał po chwili.

- To, co powiedziałem. Powinieneś się zastanowić nad źródłem zła.

Lassiter pokręcił głową.

- Jeśli chce ksiądz powiedzieć, że Grimaldi jest złem... zgadzam się. Widziałem, co zrobił.

- Nie to mam na myśli.

- W takim razie co? Że Kathy była złem? Brandon? Della Torre patrzył na niego przez długą chwilę w milczeniu, a potem wstał i powiedział:

- Pokażę ci kościół.

Lassiter ruszył za nim wąskim korytarzem, którym dotarli do ciemnego pomieszczenia. Della Torre ponaciskał kilka klawiszy i pomieszczenie pojaśniało, robiąc się większe - choć jego granice nie były jeszcze całkiem widoczne. Światło, które wpadało przez umieszczone wysoko szeregi małych okienek, otaczało delia Torrego dziwną błękitną poświatą. Przez chwilę jego postać zdawała się nie materialnym ciałem z krwi i kości, a fantazmatem, ułudą uplecioną z dymu.

- Pomódl się ze mną, Joe.

Ksiądz podszedł do pulpitu, stojącego na bogato rzeźbionym antycznym podium, które dzięki podświetleniu od dołu zdawało się unosić w powietrzu. Lassiter usiadł w ławce. Czuł się nieswojo. Nie modlił się od bardzo dawna i teraz także nie miał na to zbyt wielkiej ochoty - zwłaszcza przy delia Torrem. Wyczuwał intuicyjnie, że ukłęknięcie przed tym człowiekiem byłoby niebezpieczne.

Ale czuł się taki samotny, a mały kościół przypominał lepsze czasy, kiedy bywał z Kathy w katedrze narodowej - „siódmej co do wielkości na świecie”. Ile razy im to mówiono? Uwielbiali to miejsce, witraże i uspokajającą muzykę, ciemne krypty w dole, wysokie gotyckie przestrzenie i przerażające gargulce.

Stojący za pulpitem przewodniczący Umbry unosił się nad nim, migotał w świetle, ale mimo to wyglądał jak pomnik - ze złożonymi w modlitwie dłońmi i pochyloną głową. Światło odbijało się od jego kości policzkowych i zatrzymywało niczym aureola wokół gęstych, kręconych włosów.

- Nigdy więcej bólu... - wyszeptał delia Torre tęsknym, przepelnionym lamentem głosem, który rezonował tak magicznie, iż Lassiterowi wydało się, że ksiądz mówi we wnętrzu jego głowy. - Nigdy więcej bólu. - Przycisnął dłonie do piersi i uniósł oczy ku niebu. Joe czuł się jak sparaliżowany. - Stajemy przed Tobą w Twym domu, byś widział, Panie, że jedno z Twych dzieci przepelnia ból. Zabierz z jego serca chęć zemsty i z powrotem w nim zagość, bowiem zemsta jest tylko Twoim prawem. Przyjmij go do swego serca, Panie. Oswobodź go od nienawiści! Oswobodź go od zła.

Słowa odbijały się od ścian i zdawały się płynąć zewsząd - także z dołu i z góry.

- Przybyliśmy do domu Twojego, Panie...

- *Sam!*

Della Torre zamarł z otwartymi ustami niczym wyjęta z wody ryba.

- *Scuzi, papa...* - W przejściu między rzędami stał stary pijak i kiwał się na boki. Przez chwilę zdawało się, że upadnie, ale jakoś udało mu się zachować równowagę. Opadł z bezbronnym uśmiechem na kolana, podniósł wzrok ku księdzu i nagle poleciał do przodu, waląc czołem w kamienną podłogę.

Della Torre stał przez chwilę jak sparaliżowany, po czym zaczął wymachiwać ramionami i

krzyczeć:

- *Vaffanculo! Vaffanculo!*

Choć Lassiter nie znał włoskiego, doskonale wyczuwał, co ksiądz mówi. Było to coś więcej niż: „Idź stąd!” - znaczyło tyle co: „Wypierdalaj, ale już!”. Twarz delia Torrego zmieniła się - współczująca fasada odpadła, ukazując kryjącą się pod spodem furię. Nagle maska pojawiła się znowu - tak samo szybko, jak przedtem zniknęła. Della Torre znów był pełen współczucia i szedł z podwyższenia, by pomóc nieszczęśnikowi.

Lassiter dołączył do niego.

- Spróbujmy zanieść go do biura - powiedział delia Torre. - Znam go. Zadzwonię do jego żony.

Podnieśli nieprzytomnego mężczyznę i zawlekli go do biura. W biurze pijany stary człowiek natychmiast wysunął im się z rąk.

- *Papa!* - zawył i zaczął machać rękami, uderzając księdza ramieniem.

Della Torre zatoczył się do tyłu i coś wypadło mu z kieszeni.

Niewielka buteleczka. Lassiter patrzył, jak sunie, podskakując po podłodze - w końcu się zatrzymała, jakimś cudem nie pękła. Podniósł buteleczkę i wbił w nią wzrok.

Była to taka sama butelka, jak ta, którą policja znalazła przy Grimaldim. Lassiter pamiętał, kiedy ujrzał ją po raz pierwszy: gdy rozmawiał z Riordanem w pokoju lekarskim w szpitalu Fairfax. Na tacy leżała buteleczka. I nóż. Nóż z przyklejoną do ostrza krwią i kępką delikatnych jasnych włosów. Włosów Brandona. Przed oczami Lassitera pojawiło się policyjne zdjęcie: modelowane szkło, po obu stronach wytłoczony krzyż, metalowa zatyczka w kształcie korony.

- Dziękuję - powiedział delia Torre, wyciągając rękę. - Zdziwiające, że się nie stłukła.

Lassiter pochylił głowę, by tamten nie mógł zobaczyć wyrazu jego oczu.

- Chyba już sobie pójdę - oświadczył. - Muszę złapać samolot.

Zanim ksiądz zdążył odpowiedzieć, ruszył do wyjścia. Della Torre pobiegł za nim.

- Joe! Co się stało? Proszę, wróć! Jeszcze nie skończyliśmy. Lassiter nie odwrócił się jednak. Jego wargi wymawiały bezgłośnie słowa: „Masz rację jak cholera. Jeszcze nie skończyliśmy”.

20

W ogóle nie pamiętał drogi powrotnej do hotelu. Przez cały czas myślał o delia Torrem i zastanawiał się, dlaczego przywódca Umbry tak długo udawał, że wierzy, iż Joe jest dziennikarzem. Czemu to zrobił? Gdyby Joe nie zapytał o Grimaldiego, mogli krążyć wokół sedna sprawy godzinę albo i dwie. Wszystko to jeszcze tylko pogłębiało tajemnicę. Dlaczego, choć delia Torre wiedział, kim Joe naprawdę jest i czego chce, zgodził się na spotkanie?

W końcu Lassiter uznał, że delia Torre po prostu chciał się z nim spotkać - być może tylko po to, by osobiście go ocenić. Zachowując się wobec niego tak, jak się zachował - wiedząc, że jest oszukiwany, przekazywał konkretną informację: mam nad tobą przewagę. Użył swojej wiedzy jak rzezimieszek, który odsuwa płaszcz i pokazuje pistolet za paskiem - tyle że pokazał przewagę psychologiczną.

Albo chodziło o to, albo po prostu grał na zwłokę.

Pomysł ten przyszedł Lassiterowi do głowy, kiedy taksówka hamowała przed hotelem. Wetknął kierowcy garść lirów, wysiadł i wszedł do holu. Recepcjonista podniósł wzrok i popatrzył na niego.

- *Signore!* - zawołał.

Lassiter obejrzał się, ale szedł dalej w kierunku windy.

- Co się stało? - zapytał przez ramię. Recepcjonista otworzył usta, zamknął je, po czym ponownie otworzył. W końcu wyrzucił ręce w górę i zawołał:

- *B-B-Benvenuti!*

- *Grazie*. Może mi pan wystawić rachunek? Zaraz zejść z powrotem na dół.

- Ale *signore*...

Lassiter nacisnął przycisk przywołujący windę.

- Tak?

- Może... - recepcjonista wyszedł zza kontuaru - zechciałby pan uczynić mi ten zaszczyt i... - wskazał na bar i mrugnął konspiracyjnie.

Lassiter pokręcił głową.

- Za wcześniej jak dla mnie.

- Tak, ale...

- Przepraszam. Muszę iść.

Pokój Lassitera znajdował się na drugim piętrze, na końcu korytarza. Kiedy nim szedł, usłyszał dzwonek telefonu - dobiegał z jego pokoju. Bepi, pomyślał i ruszył szybkim krokiem do drzwi, szukając równocześnie w kieszeni białej plastikowej karty, służącej jako klucz. Wsunął kartę w zamek i czekał, aż zapali się zielona dioda. Światelko zapaliło się, telefon przestał dzwonić, drzwi się otworzyły i ktoś w pokoju powiedział:

- *Pronto?*

Co tu się dzieje?!

Za biurkiem, przed komputerem Lassitera, ze słuchawką w ręku siedział ogromny mężczyzna - tak samo szeroki, jak wysoki. Był o wiele za duży na krzesło, w którym usiadł. Widząc Lassitera, odłożył słuchawkę, wziął głęboki wdech, wypuścił powietrze, wstał i ruszył do drzwi.

Lassiter nie wiedział, co powiedzieć - jego podręcznik dobrych manier nie przewidywał podobnego przypadku. Wydobyl z siebie jedynie:

- Kim jesteś, do cholery?

Nieznajomy przypominał materac. Materac, któremu przydałoby się golenie.

- *Scusi* - powiedział cicho, lekko się uśmiechnął i obrócił bokiem, by minąć Lassitera w drzwiach.

Wszystko odbywało się spokojnie i grzecznie. Lassiter dotknął rękawa wielkoluda.

- Chwileczkę...

W tym momencie wydarzenia nabrały tempa i wszystko zaczęło dziać się jednocześnie. Lassiter dostał straszliwy cios w twarz - i głowę rozsadziła mu eksplozja bólu. Poczul w ustach smak krwi, poleciał do tyłu i huknął plecami o ścianę. Uniósł ręce, by sparować następne uderzenie, ale nie powstrzymał wbijającego się mu w klatkę piersiową kafara. Raz, drugi - trzeci!

Ciało Joego co chwila wybuchalo bólem, a w pokoju migalo, jakby psula się żarówka - a może migotanie pochodziło z wnętrza głowy - nie wiadomo. Coś ciężkiego spadło Lassiterowi na szyję i rzuciło go na kolana i dłonie - zobaczył czubek drogiego buta, który cofał się, jakby zamierzał strzelić gola. Widział ten but z niezwykłą wyrazistością - załamki skóry, szwy...

Nagle usłyszał przeraźliwy krzyk. Przez chwilę sądził, że to on sam krzyczy, ale kiedy uniósł głowę, zobaczył w otwartych drzwiach pokojówkę z rozszerzonymi przerażeniem oczami i rozdziawionymi ustami. Chciał coś powiedzieć, ale but nagle zmienił kierunek: ruszył do przodu z taką prędkością, aż jego kontur się rozmazał - i wylądował głęboko w jego żebrach. Rozległ się

chrzęst pękającej kości, podobny do odgłosu, jaki wydaje łamany chrust albo stary bambus. Pokojówka znów wrzasnęła - a może i nie? Może tym razem zrobił to on? Nie, to z pewnością nie on - nie miał dość powietrza w płucach, by wydać z siebie jakikolwiek dźwięk, nie mógł nawet oddychać. Czuł się, jakby umierał.

Tak nagle jak się zaczęło, wszystko się skończyło. Materac zniknął, a pokojówka biegła po korytarzu, drąc się wniebogłosy. Prawdopodobnie uratowała mu życie i powinien jej podziękować, ale za bardzo go wszystko bolało, by potrafił zdobyć się na grzeczność. Wstał ze straszliwym trudem, bez słowa zamknął drzwi i zataczając się poszedł do łazienki.

Każdy wdech był jak uderzenie nożem, oddychał więc płytko, równocześnie trzymając się za bok, w którym niemal wyczuwał kawałki pokruszonych żeber. Nie wiedział dlaczego, ale pierwsze, co zrobił, to odkręcił wodę. Jakby pomogło, bo poczuł wyraźną ulgę.

Oparł się o umywalkę i spojrział w lustro. To, co ujrzał, nie było takie straszne. Był poobijany, ale w jednym kawałku. Jego twarz przypominała wgnieciony błotnik. Miał zakrwawiony nos i pękniętą wargę, prawdopodobnie sam ją przegryzł. Ostrożnie sprawdził zęby i westchnął z zaskoczeniem, kiedy jeden z nich ustąpił pod lekkim naciskiem języka i wypadł do wnętrza ust. Wypluł go do umywalki i woda natychmiast go spłukała.

Delikatnie podciągnął koszulę, odsłaniając rozkwitającą na prawym boku purpurową plamę. Dotknął siniaka palcami i omal nie zemdlął. Ból wybuchł w głębi ciała i zaczął się rozchodzić niczym fala uderzeniowa, łamiąc się jak grzywacz. Lassiter wydał z siebie zduszony jęk. Potrzebujesz rentgena, pomyślał. Dentysty. I demerolu. Ale nie w tej kolejności.

I nie w Neapolu.

Nieco zbyt późno na to wpadł, jednak teraz już wiedział, dlaczego delia Torre udawał, że wierzy, iż jest tym, za kogo się podaje - chciał go zająć na czas przeszukania pokoju.

Rozległo się natarczywe pukanie do drzwi i męski głos poprosił o otwarcie.

- Mister Lassiter... *per favore*... nic panu nie jest?

- Wszystko w porządku! - odrzyknął Lassiter, choć chciało mu się jęczeć.

- Na pewno, *signore*! Policja...

- Proszę się nie martwić!

Mężczyzna, który był pod drzwiami, odszedł, pomrukując coś po włosku. Minutę później zadzwonił telefon i po raz pierwszy w życiu Joe cieszył się, że ma aparat w łazience. Podniósł słuchawkę - dzwonił dyrektor hotelu - i oświadczył, że nie chce rozmawiać z policją ani składać skargi.

- Ależ mister Lassiter, to pańskie prawo! Został pan napadnięty!

- Proszę sprowadzić mi z garażu samochód i obciążyć rachunkiem kartę VISA.

- Na pewno, *signore*!

- Zaraz będę na dole.

Zmiana koszuli i spakowanie się zajęło mu niemal pół godziny, a kiedy skończył, potrzebował wszystkich resztek sił, by zmusić się do przejścia korytarza. Dyrektor stał na podwórku przed hotelem i wyglądał na przerażonego, oburzonego i przepraszającego - wszystko naraz. Samochód z wypożyczalni stał nieopodal z włączonym silnikiem. Na widok Lassitera dyrektor szybko podbiegł do auta, z lekkim ukłonem otworzył drzwi i obserwował, jak gość wsuwa się za kierownicę. Kiedy Lassiterowi się to wreszcie udało, dyrektor zatrzasnął wytrenowanym ruchem drzwiczki samochodu, pochylił głowę i uśmiechnął się.

- Gdzie recepcjonista? - spytał Lassiter. Dyrektor zmarszczył czoło.

- Roberto?

- Tak. Nie widziałem go w środku.

- Wyszedł niedawno. Astma...

- Mam nadzieję, że wkrótce stan jego zdrowia się poprawi.

- *Grazie. Il signore e molto gentile!*

- Kiedy zobaczę skurwiela następnym razem, nie pozna sam siebie.

Zapadła dłuższa cisza. W końcu dyrektor spytał:

- *Scusi?*

- Obiecuję - warknął Lassiter.

Jeszcze tego samego dnia wyruszył do Rzymu. Przyciskał do żeber torbę z lodem i jadąc autostradą na północ, gadał do siebie.

Co ty sobie, kurwa, myślałeś? - wściekał się. W ogóle nie myślałeś, bo jakbyś myślał, nie dostałbyś w dupę we własnym pieprzonym pokoju hotelowym. Prawdopodobnie masz powbijane w płuca żebra, a nawet jeśli nie, z pewnością przez dłuższy czas nie będziesz mógł spać na tym boku... Jezzzuuu! Jak to kurewsko boli!

Nie tylko żebra go bolały. Zmiażdżono także jego dumę. Della Torre trzymał go w kościele najpierw piękną gadką, potem modlitwą... modlitwą! - podczas gdy jego koleś Materac przeszukiwał pokój w hotelu. A mógł przetrzymać go jeszcze dłużej („Przyjmij go do Swego serca, Panie”), gdyby nie pojawił się tamten pijaczyna i nie złamał zaklęcia. Potem próbujący go zatrzymać recepcjonista: „Może zechciałby pan uczynić mi ten zaszczyt i...”. Ile jeszcze potrzebował sygnałów, że coś się dzieje i jest obiektem manipulacji?

I wreszcie scena w pokoju. *Pronto?* Kim jesteś, do cholery? *Scusi.* BANG!

To naprawdę bolało - ponieważ boksował na uczelni i szło mu całkiem nieźle. Nie zwykł przegrywać walk i tak naprawdę nie było ważne, jak dużego miał przeciwnika. Wiedział, jak uderzać. Jak nie dać się uderzyć. Przynajmniej tak mu się dotychczas wydawało.

Ale oberwanie po pysku ma również pozytywne strony. Budzi człowieka, wyostrza zmysły i każe mu intensywnie myśleć, jak uniknąć powtórki. Właśnie dlatego Lassiter postanowił spędzić noc w „Mozarcie”, obskurnym hoteliku przy wyłożonej kostką uliczce niedaleko Via del Corso.

Hotel zajmował zachodnie skrzydło podupadającego *palazzo* - miał pokoje ponadczterometrowej wysokości, zapuszczony ogród i byle jaki bar. Choć kiedy Joe tam dotarł, zbliżała się północ, poprosił o apartament na piętrze, z widokiem na ulicę. Mimo że boy, który zaprowadził go do numeru, nie był najmłodszy, Joe ledwo mógł za nim nadążyć. Przy każdym kroku musiał zaciskać zęby.

Kiedy boy sobie poszedł, Lassiter zamknął dokładnie drzwi, podszedł do minibarku i wlał do plastikowego kubeczka dwie miniaturki whisky. Potem usiadł przy biurku pod oknem i wyjął z torby „książkę sprawy”.

Wiele lat temu, kiedy pracował w Brukseli, wyrobił sobie nawyk robienia zapisków dotyczących każdego nowego śledztwa w osobnym notesie. Było to praktyczne z kilku powodów, przede wszystkim jednak ułatwiało odnajdywanie nazwisk, które prawdopodobnie by mu umykały, gdyby prowadził rejestr alfabetyczny. Mógł zapomnieć nazwisko konkretnego wywiadowcy, patologa albo osoby, która analizowała dokumenty, ale nigdy nie zapominał spraw. Ponieważ pamiętał także osoby pracujące przy określonych sprawach, wystarczyło wziąć notes z zapiskami dotyczącymi danego

śledztwa i już miał nazwiska.

Po pierwszym roku zaczął używać tego samego rodzaju notatników - niedrogich, spiętych spiralą, o rozmiarach osiem na dwadzieścia centymetrów, które można było trzymać w jednym ręku i pasowały do wewnętrznej kieszeni marynarki. Gdyby przestano je produkować, Lassiter Associates prawdopodobnie zawiesiłaby działalność.

Kiedy zaczynał nowy notes, wpisywał nazwiska, adresy i numery telefonów od tyłu, dzięki czemu nigdy nie brakowało na nie miejsca.

W przypadku „sprawy” Kathy i Brandona postępował tak samo, ale jak na razie zebrало się niewiele telefonów. Pierwszy był numer Riordana, potem telefony kilku lekarzy. Tom Truong, hotel w Chicago. Bepi. Angela. Egloff. Umbra Domini.

Popijał whisky i wyglądał przez okno. Widok był nawet dość ładny - wzdłuż niemal całej ulicy ciągnęły się lipy. Podniósł słuchawkę i wykręcił numer Bepiego - najpierw domowy, potem biurowy. Ponieważ odezwały się jedynie automatyczne sekretarki, zadzwonił na komórkę, ale też się dodzwonił. W końcu wybrał numer pagera i zostawił numer do „Mozarta”. Ponieważ dwadzieścia cztery godziny temu przeszedł tę samą procedurę w Neapolu, zaczynał się niepokoić. Nie było to do Bepiego podobne i Lassiter podejrzewał, że mogło się stać coś złego. Po pierwsze był zbyt ważnym klientem, po drugie młody Włoch kochał technikę i zawsze chwalił się, że nigdy nie melduje się później niż po dziesięciu minutach - „bez względu na to, czy oglądam mecz Lazio, czy lecę do Tokio albo do Los Angeles”.

Lassiter uśmiechnął się, kiedy sobie przypominał te zapewnienia - prawdopodobnie chłopak nigdy nie był nawet w Genewie, a tym bardziej w Los Angeles.

Zadzwonił do swojego biura w nadziei, że może Judy pracuje do późna. Kiedy odebrano w recepcji i usłyszał hałas w tle, dotarło do niego, że trafił na wieczór corocznego przedświątecznego przyjęcia. Dziewczyna, która odebrała, pracowała na zlecenie i najprawdopodobniej źle go słyszała.

- Taaak?

- Mówi Joe Lassiter.

- Kto?

- Joe Lassiter.

- Przykro mi, pana Lassitera nie ma.

- Nie... chodzi o...

- Poza tym biuro jest zamknięte.

Zirytowany, odłożył słuchawkę i zadzwonił do swojej poczty głosowej. Miał kilka wiadomości, jedyna interesująca pochodziła od Riordana, ale była tak nagrana, że praktycznie nie dało się nic zrozumieć. Coś o czekach. „Pokochasz te czek!” Co to miało znaczyć?

Lassiter popatrzył na zegarek. W Stanach była siódma wieczór. Zadzwonił do Riordana do domu, jednak nikt nie odebrał. Spróbował na komendzie.

- Przykro mi, detektywa Riordana nie ma w mieście. Lassiter huknął dłonią w stół, aż whisky podskoczyła w szklance.

Mógł równie dobrze siedzieć w kesonie - nie mógł się z nikim porozumieć.

Spytał, kiedy Riordan wróci.

- Nie wiem. Prawdopodobnie dwudziestego czwartego, dzień przed świętami.

- Można się z nim jakoś skontaktować?

- To zależy.

- Jestem jego przyjacielem.

- W takim razie pewnie panu powiedział, że jest na konferencji. W Pradze. - Policjant wypowiedział to jak „Praudze”.

- W Pradze?

- Praudze sraudze... - burknął tamten. - Pojechał sobie na wycieczkę za pieniądze podatników!

- Ma pan numer, pod którym mogę go złapać?

- Proszę zaczekać.

Czekając, Lassiter przypomniał sobie, że Riordan rzeczywiście wspominał o jakiejś konferencji - miała coś wspólnego z Europą Wschodnią i demokratyzacją policji. Pokazywał nawet bilet na samolot.

- Jest pan tam jeszcze?

- Jestem.

- Jimmy jest w cu-dow-nym hou-telu „Intercontinental” w egzotycznej Praudze - poinformował go gliniarz. - To bardzo długi numer. Trzeba zacząć od zero jedenaście. Ma pan czym zapisać? Nie da się zapamiętać tylu...

- Dawaj pan.

Lassiter dopisał numer z tyłu notesu do nazwiska Riordana, rozłączył się i zadzwonił do „Intercontinentalu”. Choć była niemal druga w nocy, detektyw nie odebrał i Lassiter zostawił kolejną wiadomość.

Potem wyciągnął się na łóżku, z jękiem zsunął buty i zapadł w niespokojny sen.

Gdy się obudził, zbliżało się południe. Leżał w tej samej pozycji, w jakiej się położył - płasko na plecach. Pomagając sobie rękami i łokciami, uniósł się z trudem, powoli wstał i trzymając się za bok, poszedł niepewnie do łazienki. Stał przed lustrem i bardzo ostrożnie podciągnął podkoszulek. Na widok tęczy kolorów na skórze aż jęknął: żółć i malwa, purpura, czerń i chorobliwy odcień różu.

Niemal pięć minut minęło, zanim udało mu się wyregulować wodę do odpowiedniej temperatury, a wysuszenie ciała po kąpieli zajęło prawie dwa razy tyle czasu co kąpiel. Niektórych miejsc ledwie mógł dotknąć ręcznikiem, schylenie się wywoływało straszliwy ból, nagle ruchy były jeszcze gorsze. Ubrał się z cierpliwością buddyjskiego mnicha, robiąc przy tym przerwę na zamówienie do pokoju kawy i rogalików. Kiedy dziesięć minut później przyniesiono tacę, walczył ze sznurowadłami. Doszedł do wniosku, że chyba lepiej będzie kupić mokasyny.

Gdy kelner wyszedł, Lassiter włączył telewizję, oczywiście używając pilota. Szukając CNN, przeskakiwał z kanału na kanał i w którymś momencie na ekranie mignęła twarz Bepiego. Zanim to do niego dotarło, przeskoczył dalej i musiał wrócić.

Zdjęcie było stare, musiało pochodzić z rozdania dyplomów lub jakiejś innej imprezy w tym stylu. Bepi uśmiechał się na nim od ucha do ucha i miał znacznie krótsze, starannie uczesane włosy.

Wyglądał tak świeżo i promiennie, że gdyby istniał jakiś sensowny powód pokazywania go w telewizji, Lassiter również by się uśmiechnął.

Po chwili zdjęcie Bepiego zostało zastąpione sceną na żywo. Na chodniku przed wielkim kościołem stał reporter i coś mówił, a grupa dzieciaków gapiła się i stroiła miny do kamery. Obok stały dwa radiowozy i karetka.

Kamera przeniosła się na trójkę ponurych mężczyzn w mundurach, popychających nosze na kółkach. Chodnik był nierówny, prawdopodobnie wyłożony granitową kostką, bo mężczyźni z trudnością posuwali się do przodu. Nosze podskakiwały i bujały się na boki i kilka razy trzeba było

podnieść całe urządzenie, by pokonać jakąś przeszkodę.

Obraz wrócił do studia i Lassiterowi udało się wyłapać kilka słów: *Santa Maria... Polizia... Bepistraversi... Molto strono*. Potem spiker uśmiechnął się, przesunął papiery na biurku i przeszedł do następnej historii.

Lassiter skakał z kanału na kanał, ale nie bardzo wiedział, co właściwie ogląda. Nie umiał określić, czy zapłakana kobieta w czerni, którą o coś pytano, to żona Bepiego czy nielegalna imigrantka.

Sfrustrowany, zadzwonił do Judy Rifkin, do domu. W Waszyngtonie była dopiero siódma trzydzieści rano, ale nie obchodziło go to.

- Joe! Gdzie jesteś?

- W Rzymie.

- Zamierzałam dziś do ciebie dzwonić. Sprawa z American Express robi się naprawdę gorąca...

- Wydaje mi się, że Bepi nie żyje. W słuchawce zapadła cisza.

- Nagle wszystko zaczęło się robić agresywniejsze i... zobaczyłem jego twarz w telewizji - powiedział Joe. - Nie rozumiałem, co mówili, ale pokazali karetkę, radiowozy i nosze.

- Jesteś pewien?

- Nie, nie jestem. Może... może jest podejrzany w jakiejś sprawie. Nie wiem, cholera, o co chodzi, ale nie mogę się do niego dodzwonić i... - Bok Lassitera przeszył ból i mimowolnie jęknął.

- Co się stało?

- Nic... wczoraj wieczorem ktoś mnie poobijał.

- Ciebie?

- Tak, mnie. Nie chodzi jednak o mnie, a o Bepiego. Rzuć okiem na teleksy - Reutera, AP, co się da. Poszukaj jego nazwiska i przefaksuj mi, co znajdziesz.

- Gdzie mieszkasz?

Podał hotelowe numery i odłożył słuchawkę. Czekając, wziął książkę telefoniczną, znalazł Associated Press i zadzwonił do nich. Nie umieli mu jednak pomóc. Tak samo było w BBC, Westinghouse Radio i Romę Daily American.

Dwie godziny później zapukano do drzwi i wsunięto pod nie kopertę. W środku znajdowały się dwie kartki: papier firmowy Lassiter Associates oraz jeszcze jedna kartka. Na papierze firmowym napisano:

Dołączam depezę Reutera. U ciebie wszystko gra? Rifkin.

Depesza brzmiała następująco:

Copyright 1996 Reuters, Limited The Reuter Library Report December 23, 1996, BC cycle

DŁUGOŚĆ: 115 słów

TYTUŁ: OFIARA W KOŚCIELE

POCHODZENIE: RZYM

TREŚĆ: Dziś w godzinach rannych pod katedrą Santa Maria

Maggiore, kilka przecznic od Colosseum, znaleziono zwłoki prywatnego detektywa. Według policji ofiara, Antonio Bepistraversi, 26, był przed śmiercią torturowany.

Ciało odkryła sześćdziesięcioletnia Lucilla Conti. Dostrzegła je na schodach, prowadzących na wzgórze Esquiline od tylnego wejścia do bazyliki. W rozmowie z dziennikarzami pani Conti powiedziała, że początkowo sądziła, iż to jeden z bezdomnych, którzy opanowali pobliski Piazza Vjttorio Emanuele II. Zaczęła obchodzić mężczyznę, by nie poprosił jej o pieniądze, ale widząc, że

się nie rusza, podeszła i zauważyła, że głowa mężczyzny znajduje się w plastikowym worku.

Detektywi z wydziału zabójstw stwierdzili, że zabójstwo miało miejsce w „podupadającej okolicy”, ale są pewni, że sprawę uda się rozwiązać.

Lassiter przeczytał doniesienie trzy razy, mając cichą nadzieję, że może czegoś nie zrozumiał, jednak za każdym razem wychodziło mu, to samo. Bepi nie żył i miał niełatwą śmierć. Niełatwą i okrutną.

Uznał, że powinien natychmiast porozmawiać z Giannim Massiną. Jeżeli ktokolwiek był w stanie wyjaśnić mu, co się stało, był to Massina. Otworzył notes od tyłu, znalazł numer dziennikarza i zadzwonił.

- Pronto?

- Joe Lassiter przy aparacie.

- Tak?

- Rozmawialiśmy kilka dni temu...

- Oczywiście, pamiętam... - Głos dziennikarza załamał się. - Słyszał pan? O Bepim?

- Tak. Widziałem w telewizji. Massina westchnął ciężko.

- Ciągle jeszcze nie mogę w to uwierzyć - powiedział i westchnął ponownie.

- Dzwonię właśnie dlatego... Bepi pracował dla mnie i pomyślałem sobie, że może... Umbra Domini... ponieważ znaleziono go pod kościołem...

- Wokół Umbry krąży masa plotek, ale coś takiego? - mruknął sceptycznie Massina. - Nie sądzę. A kościół, pod którym go znaleziono... cóż, jest interesujący, nie ma jednak żadnych powiązań z Umbrą Domini.

- Dlaczego mówi pan „interesujący”?

- Ponieważ... taki jest! Ma sześćset lat, a legenda mówi, że został zbudowany po opadzie śniegu, cudownym opadzie śniegu, który zostawił na ziemi ślad... rzutu katedry. Tak więc co roku, w dniu wyświęcenia kościoła, ludzie rzucają z *duomo* płatki kwiatów... białe płatki! W kościele są także bezcenne relikwie: kawałki drewna ze Żłóbka. Pięć!

- Prawdziwe?

- Skąd mam wiedzieć? To religia. Wszystko jest prawdziwe i nic nie jest prawdziwe! Chce pan wiedzieć, co jest prawdziwe? Okolica kościoła jest prawdziwa.

- Reuter określił ją mianem „podupadającej”. Massina parsknął.

- Nazywamy ten plac „Piazza Gówna i Igieł”. Nawet kurwy tam nie chodzą. Tylko ćpuny i wariaci.

- I co z tego?

- Jak to: „I co z tego”?

- I co z tego, że to syfiaste miejsce? Reuter napisał, że go torturowano, więc prawdopodobnie odbyło się to gdzie indziej. Nie torturuje się ludzi na kościelnych schodach.

- Ma pan rację. Tam go tylko rzucili. Rozmawiałem z glinami... tylko między nami, okej? Mówią, że przyniesiono go około piątej rano. Nie wiedzą, gdzie był przedtem, są pewni, że nie zginął na schodach. W każdym razie nie w takiej pozycji. - Massina zamilkł na chwilę, a potem dodał: - Miał dzieciaka.

- Wiem, mówił mi.

Znów zapadła cisza. I znów przerwał ją Włoch.

- Wie pan, jak zginął? - zapytał.

- Nie. Nie do końca. Dziennikarz głośno wciągnął powietrze.

- Policja nie ujawniła tego, ale... związali mu ręce i nogi na plecach i obwiązali liną szyję, robiąc... nie wiem, czy dobrze to określe - węzeł ściskający...

- Pętlę zaciskową.

- Pętlę zaciskową. Im bardziej się człowiek szarpie, tym bardziej pętla się zaciska, rozumie pan? Policja mówi, że to trwało wiele godzin. Zaczynał się dusić - popuszczano linę. I tak raz za razem. Na gardle miał wiele otarć. Na nadgarstkach i kostkach nóg również. Musieli go torturować zwiazanego - tak, by nie mógł się nie szarpać.

- Co pan ma na myśli?

Massina znów wciągnął ze świstem powietrze.

- Znaleźli go z plastikowym workiem na głowie. Kiedy człowiekowi założy się na głowę taki worek, wstrzymuje oddech, próbuje zachować spokój, ale w końcu odruchy zwyciężają i zaczyna się szarpać. Wtedy sznur się zaciska, człowiek zaczyna tracić przytomność i zdejmują torbę. Luzują linę. I tak wiele razy. Na koniec znów zakładają torbę - tyle że już jej nie zdejmują. Koniec.

Lassiter milczał. Co miałby na to odpowiedzieć? Massina odchrząknął.

- Co takiego, pańskim zdaniem, chcieli z niego wydobyć?

- Informacje.

- Jakie?

- Nie wiem. Może jedynie... zarzucali wędkę? Może nie mieli nic konkretnego na myśli? Może próbowali sprawdzić, ile wie... albo ile ja wiem? A może zrobił to jakiś wariat?

- Nie wierzę w to.

- Ja też nie.

Zawisła między nimi cisza, którą przerwał Lassiter:

- A więc...

- Felice Natale, tak?

- Właśnie.

- Niech pan uważa na siebie.

- Pan też. No cóż... wesołych świąt.

21

Kiedy tylko się rozłączył, telefon zaczął dzwonić jak na alarm. Joe z odrazą podniósł słuchawkę, jakby była brudna.

- Lassiter, słucham - powiedział obojętnym tonem, jakiego używał, gdy jego sekretarka miała przerwę na kawę.

- Zgadnij, kto dzwoni!

- Jimmy - odparł Lassiter. - Mam do ciebie kilka... - Zamierzał opowiedzieć o Bepim i swoich problemach w Neapolu, ale Riordan zakrzyknął go:

- Nie wpadłbyś na to, co? Sprawa utknęła w martwym punkcie, ty wyjeżdżasz Bóg wie dokąd, ale wiesz co? Chyba na coś trafiłem.

Lassiter usiadł wyprostowany. Riordan prychnął.

- Zaczęłeś wreszcie słuchać, co?

- Tak. Słucham z uwagą.

- Kiedy możesz przyjechać?

- Dokąd?
- Do Pragi! A jak myślisz, skąd dzwonię?
- Jimmy... zdarzyło się kilka spraw. Nie...
- To tylko godzinka lotu!

Do Lassitera wreszcie dotarło, że Riordan tak naprawdę wcale go nie słucha, ponieważ jest czymś niezwykle podniecony.

- Dlaczego nie powiesz mi tego przez telefon?
- Bo jest tu ktoś, kogo musisz poznać! Wsiadaj więc do samolotu i przylatuj!
- Jesteś pewien, że...
- Zaufaj mi. To ważne.

Lassiter odłożył słuchawkę i próbował się zastanowić. Czuł, że powinien zostać w Rzymie i coś zrobić w związku z Bepim, ale kiedy dobrze się zastanowił, doszedł do wniosku, że nie bardzo wie, co to miałyby być. Poza tym mógł następnego dnia wrócić do Rzymu. A nawet wcześniej.

Cztery godziny później stał na parkingu pod hotelem „Intercontinental” w stolicy Republiki Czeskiej i patrzył na efekt wizji postępu sekretarzy partyjnych - betonowo-szklane pudło, którego pseudonowoczesność obiecywała wewnątrz pełne pozbawionych gustu reprodukcji, poplamionych dywanów i europopu. Zbudowany podczas zimnej wojny gmach miał być reklamą partii komunistycznej, architektonicznym manifestem, oznajmiającym wszystkim: MASZERUJEMY W PRZYSZŁOŚĆ, DZIAŁAJĄC RAMIĘ W RAMIĘ! Jak to się jednak często zdarza z architektonicznymi manifestami, ten także nie spełnił swego celu i dziś hotel zdawał się mówić: „Nie potrzebujemy zgniłego luksusu!”.

Lassiter znalazł Riordana przy restauracyjnym stoliku - z ponurym Czechem w skórzanym płaszczu. Detektyw był ubrany w „regulaminowy” garnitur i krawat, ale jego kompan o długich do ramion, tłustych włosach sprawiał wrażenie rockandrollowca, który ma wolne, albo chorującego na gruźlicę geniusza. Na stole leżała paczka papierosów o nazwie „Trump”, wokół stały puste butelki po pilznerze. Lassiter pozwolił torbie opaść na podłogę i wsunął się do boksu, w którym stał stół.

- Lepiej, żeby okazało się, że było warto... - mruknął. Riordan popatrzył na niego, nie wierząc własnym oczom.

- Hej, Joe! Przywitaj się z Franzem...
- Halo, Franz.
- Joe Lassiter - Franz Janaček - dokonał prezentacji Riordan.

Podali sobie ręce. Czech miał mocny uścisk dłoni, zapadnięte oczy, skórę o niezdrowym odcieniu i basowy, zdający się wypływać spod ziemi głos, a kiedy mówił, jego słowa były podkreślane efektami wizualnymi - w jego szczęce migotał złoty ząb.

- Miło mi - powiedział Janaček.

- Franz jest... - zaczął Riordan i urwał. - No właśnie, kim ty właściwie jesteś? Ministrem spraw wewnętrznych?

Janaček się uśmiechnął.

- Jeszcze nie. - Wyjął z wewnętrznej kieszeni płaszcza wizytówkę i rzucił ją w kałużę piwa. Lassiter przyjrzał się jej ze zdziwieniem - Janaček był naczelnikiem wydziału śledczego policji praskiej.

Riordan radośnie wyszczerzył zęby.

- Wspaniały kraj, co nie? Uwielbiam to miasto! Stawiam kolejkę. - Zamachał na kelnera w taki

sposób, jakby jego krzesło było wypływającym z portu pasażerskim liniowcem, a na nabrzeżu stała zapłakana rodzina.

Bar wypełniali mężczyźni w średnim wieku i ciemnych garniturach. Stali grupkami po trzech i czterech i rozmawiali chyba w kilkunastu językach. Niemal wszyscy palili papierosy i powietrze było przesycone odorem taniego tytoniu.

Riordan kiwnął w ich kierunku głową.

- Wszyscy tu są! FBI, Secret Service, KGB - nawet zasrani Mounties. Uwierzyłbyś? Mounties! Scotland Yard. Gendarmes - nigdy przedtem nie spotkałem francuskiego żandarma!

- Świński raj - mruknął Janaček i zapalił papierosa. Riordan roześmiał się.

- Franz jest hipisem.

Przyniesiono piwo i Lassiter upił łyk. Było znakomite, ale rana na wardze zapiekła go i jęknął.

- Co się stało? - spytał Czech.

- Upadłem. Riordan skrzywił się.

- Nie łyżj.

- Ktoś włamał się do mojego pokoju.

- I co?

- Można powiedzieć, że opierał się przy aresztowaniu.

- Uciekł? - spytał Janaček.

- Na razie tak.

- To kiepsko - mruknął Riordan. - Ale na razie dość

0tobie. Prawdopodobnie zastanawiałeś się, dlaczego dzwoniłem. Lassiter roześmiał się.

- Jesteś pijany, prawda?

- Technicznie biorąc, nieco przekroczyłem punkt skraplania.

1co z tego? Prowadzimy razem z Franzem panel.

- Na temat?

- Zimnych spraw. Lassiter pokręcił głową.

- Co to jest?

- Nierozwiązane przestępstwa. Zabójstwa albo poważne przestępstwa, w przypadku których nie możemy zamknąć śledztwa - wyjaśnił Janaček.

- Z braku dowodów - dodał Riordan.

- Albo gorzej... - wtrącił Janaček - z braku motywu.

- To poważny problem - oświadczył Riordan. - Co robić z takimi sprawami? Mieć nadzieję, że kiedyś, jakoś, sama się rozwiąże? Co robić? - powtórzył.

- Nie wiem - mruknął Lassiter. - A co robicie? Riordan wzruszył ramionami.

- Aby to omówić, zorganizowaliśmy dyskusję panelową. Ale cały czas wracamy do studni. Raz za razem. Wciąż przesłuchujemy ludzi... może ktoś się wreszcie przyzna. Albo modlimy się o nowe techniki - jak na przykład badanie DNA. Jednak w większości przypadków zimne sprawy pozostają zimne. To przygnębiające.

Lassiter potrząsnął głową, jakby chciał, żeby mu się w niej rozjaśniło.

- Tak więc - powiedział - rozmawialiście o przypadku mojej siostry i...

- Właściwie to nie rozmawialiśmy. Ta sprawa jest zakończona. Musimy jedynie znowu złapać tego gościa. - Detektyw opuścił głowę i cicho beknął.

- Więc co ja tu robię? - spytał Lassiter. Riordan zaczął go denerwować.

- Już do tego dochodzę, ale... no właśnie, podczas panelu ktoś zapytał o seryjnych zabójców.

- To dobre pytanie - wtrącił Janaček - bo w tego typu sprawach często mamy ciało, ale brakuje motywu.

- Otóż to. Taki psychol najczęściej zabija dla samego zabijania - dodał Riordan.

- Myślę, że wiele zimnych spraw do tego pasuje - oświadczył Czech.

- Facet, który zadał to pytanie, kazał sobie dać przykład. A Janaček... no, powiedz mu.

Czech pochylił się do przodu.

- Przykład, który podałem, to podpalenie i morderstwo. Jakies trzy, cztery miesiące temu.

Rodzina, która mieszkała niedaleko parku Stromovka. Dwie ofiary.

- Teraz słuchaj uważnie - wtrącił Riordan. - Ofiarami byli chłopiec, dwa i pół roku, oraz jego matka. Była noc, spali. Dom zjarał się do fundamentów.

- Użyli przyspieszaczy, więc prawie nic nie zostało - wyjaśnił Janaček. - Kilka kości. Zęby. Podejrzewaliśmy męża, ale... nie.

- Nie było innej kobiety, innego mężczyzny, nie było ubezpieczenia - powiedział Riordan.

Janaček kiwnął głową i dodał:

- A także żadnych długów, niczego.

- Szczęśliwa rodzina - mruknął Riordan.

- Gdzie był wtedy mąż tej kobiety? - spytał Lassiter. Janaček machnął ręką, jakby chciał zetrzeć z powietrza jakąś plamę.

- Na meczu Sparty... poza miastem. Riordan popatrzył na Lassitera.

- Brzmi znajomo? - zapytał.

- Faktycznie... Kiedy to miało miejsce?

- Pierwszego września.

Lassiter zmarszczył czoło. Próbował przypomnieć sobie szczegóły z paszportu Grimaldiego.

- Sprawdziłem to - oświadczył Riordan, jakby czytał w jego myślach. - Wjechał do Czech kilka dni wcześniej.

Przez chwilę w milczeniu popijali piwo. W końcu Lassiter podniósł głowę i powiedział:

- Może to zwykły zbieg okoliczności... Riordan pokiwał głową.

- Oczywiście.

- Albo jeden z tych dziwnych przypadków...

- Naprawdę tak uważasz? - spytał Janaček.

- Nie.

Po kolejnej długiej minucie ciszy Lassiter powiedział:

- Mógłbym porozmawiać z mężem? Janaček zmarszczył czoło.

- Z Jirim Reinerem? Nie zna angielskiego.

- Z twoją pomocą oczywiście. Janaček zastanawiał się przez chwilę.

- Czemu miałoby to służyć? - zapytał w końcu.

- Chciałbym się dowiedzieć, czy jego żona miała cokolwiek wspólnego z moją siostrą. Może coś łączyło dzieci? Szukałbym między tymi dwiema sprawami jakiegoś związku.

- Na przykład?

- Nie wiem.

Janaček wzruszył ramionami.

- Jifi jest ciągle bardzo... zaburzony. Doktor daje mu leki. Na uspokojenie. Wciąż się boją, że

może popełnić samobójstwo. Czemu zresztą nie miałbyście tego zrobić? - Blade oczy Czecha skierowały się na Lassitera. - Jednej nocy stracił wszystko, co miał... żonę, syna, dom.

- To był tylko taki pomysł - mruknął zakłopotany Lassiter. Janaček wciągnął powietrze przez zęby i pokiwał głową,

- Więc Jifi... on... - Czech kilka razy rozcapierzył palce i zacisnął dłonie, jakby mógł złapać odpowiednie słowo z powie trza - trochę trudno się z nim porozumieć. Nie chce z nikim rozmawiać.

Lassiter skinął głową.

- Mimmmo tooo... - powiedział Janaček, rozciągając słowa - ponieważ sprawy są tak podobne... może powinniśmy sobie pomóc. Myślicie, że mógłbym dostać kopię stron tego włoskiego paszportu?

Lassiter i Riordan wymienili się spojrzeniami.

- Jestem pewien, że detektyw Riordan może to załatwić - odparł Joe.

- A zdjęcie? Riordan kiwnął głową.

- Pewnie. Żaden problem. Janaček dopił piwo i wstał.

- Dobra. Idę na to. Zapytam Jiriego i jego doktora. - Wzruszył ramionami. - Może... - Wyciągnął rękę i obaj Amerykanie pozęgnali się z nim. - Porozmawiamy rano.

- Dzięki - powiedział Lassiter.

Czech skinął głową i ruszył do wyjścia, odwrócił się jednak jeszcze.

- Wiecie, sprawa, która ciągnie się z kraju do kraju... to niezwykle. Do tego przez kontynenty. Nie znam nic podobnego poza terroryzmem. A wiemy, że to nie terroryzm.

- Wiemy? - spytał Riordan.

- Oczywiście.

- Skąd?

- Stąd - wtrącił Lassiter - że nie ma oświadczeń dla prasy, a nic nie wskazuje na polityczne działanie.

Janaček kiwnął głową i popatrzył na Riordana.

- Muszę iść. - Stuknął się palcem w głowę. - Kiedy wrócisz cło Stanów, może zwróć się do tego swojego FBI i sprawdź, czy nie mają czegoś, co by pasowało do tych przestępstw.

- Oczywiście - odparł Riordan. - Zadzwoń do mojego FBI. Zobaczą, co mają.

Następnego, ostatniego dnia konferencji zarówno Janaček jak i Riordan byli zajęci do późnego popołudnia. Zaczęło się od wspólnego śniadania, potem ciągnęły się dyskusje, panele i warsztaty, zakończone ogólnym zebraniem. Na wieczór zaplanowano bankiet.

Janaček zadzwonił z wiadomością, że próbuje zorganizować spotkanie z Reinerem. Gdzieś je wcisną, będzie w kontakcie.

Lassiter musiał jakoś zapełnić sobie dzień. Miał ochotę na różne rzeczy, ale najbardziej chciał przebiec się wzdłuż rzeki i uliczkami Starego Miasta. Choć określenie, że jego żebra są wrażliwe na dotyk było - oględnie mówiąc - łagodne, mógł bieć, dopóki będzie to robił powoli i ostrożnie. Najważniejsze, żeby w nic nie uderzyć i nie stracić oddechu.

Od pierwszych kroków po wyjściu z hotelu czuł, jak bardzo zanieczyszczone jest powietrze. Było zimno i ciężki, metaliczny smak gryzł w usta. Postkomunistyczna spuścizna Pragi, czyli liczne zakłady przemysłu ciężkiego - w połączeniu z położeniem miasta w dolinie rzeki - tworzyły poważny problem ekologiczny, szczególnie w zimie.

Ale serce miasta było stare i piękne, oszczędzono mu bowiem zarówno bombardowań w czasie wojny, jak i powojennej przebudowy, której ofiarą padła większość europejskich stolic. Kiedy Joe

biegł przez sławny most Karola, zaczął padać śnieg. Mijał kolejne poczemniałe ze starości posągi - falangę skorodowanych świętych, spoglądających ze swoich postumentów na spieszących dokądś przechodniów. Nieliczne stragany - z pocztówkami, zdjęciami, ozdobami świątecznymi, rękodziełem - przycupnęły przed niewielkimi piecykami na węgiel. Od rzeki dał lodowaty wiatr. Na rogach ulic stały grubo poubierane kobiety - nad plastikowymi wanienkami z żywym karpem. Riordan, który kiedyś przystanął obok, gdy jeden z klientów dokonywał zakupu, ostrzegł go, by się za bardzo do nich nie zbliżał. Rybę brało się za skrzela na hak, kładło na desce i obcinało łeb uderzeniem siekiery - po takiej operacji najlepsze spodnie Riordana były pełne bebechów.

Kiedy Lassiter po kilku kilometrach zawrócił i biegł przez most, stragany zniknęły. Wiatr osłabł i na wyciągniętych dłoniach, bosych stopach i w niewidzących oczach świętych figur zaczynał gromadzić się śnieg. Wkrótce chodniki pełne były mokrej brei. Bojąc się poślizgnąć, Lassiter przeszedł ostatnie dwie przecznice. Brał płytkie wdechy, ale klatka piersiowa w dalszym ciągu go bolała.

W recepcji czekała na niego wiadomość od Janačka: spotkanie z Jifim Reinerem zostało umówione na osiemnastą.

Po prysznicu Lassiter włączył notebook i podłączył go do telefonu. Chciał za pomocą systemu Nexis sprawdzić, czy istnieją artykuły prasowe o morderstwach połączonych z podpaleniem, podobnych do przypadku Kathy i Brandona oraz żony i syna Jifiego Reintera. Wystukał międzynarodowy numer dostępu do AT & T i wszedł w program Nexis/Lexis. Mógł poprosić o to kogoś z biura, ale zawsze uważał, że badanie zasobów Internetu powinno opierać się na intuicji - zwłaszcza jeśli szuka się czegoś, co nie ma nazwy.

Nexis to droga baza danych, na którą składają się artykuły z gazet i czasopism, dostarczane przez setki publikacji, biuletynów i agencji prasowych na całym świecie. Nie jest ona pełna, ale bardzo obszerna. Ma szybką przeglądarkę i jeśli zdefiniuje się hasła, zlokalizowanie poszukiwanej sprawy jest proste - niezależnie od tego, czy chodzi o biuletyn z sofijskiego biura Reutersa z 1980 roku, artykuł o pracach badawczych nad serotoniną z „Journal of Endocrinology” czy kolumnę o *wadlopen* z wydanego w minionym tygodniu numeru „Het Patrol”.

Bazę danych tego programu można było otworzyć, stosując operatory logiczne - w tym również pojęcia I/ALBO oraz ograniczenia NIE - w połączeniu z definiującymi artykuł słowami kluczowymi. Lassiter wpisał: podpalenie, zabójstwo i dziecko.

Ekran przez kilka sekund jarzył się spokojnie, po czym pojawiła się na nim informacja, że znaleziono ponad tysiąc podobnych przypadków, w związku z czym poszukiwania zostały przerwane. Lassiter zastanawiał się przez chwilę i zawęził je dopiskiem: 1995.

W ciągu kilku sekund komputer wymienił dwieście czternaście przypadków, ale większość z nich okazała się nieistotna. Znaczna część z nich była wtórnymi opisami przestępstw, w których podpalenie nie miało bezpośredniego związku ani z dzieckiem, ani z później popełnionym morderstwem. Lassiter przedefiniował poszukiwania. Wpisał: Kathleen Lassiter, podpalenie i 1995.

Było dziewiętnaście informacji na ten temat w „Washington Post”, „Fairfax Journal” i depešach Associated Press. W pierwszych trzech dniach po zabójstwach napisano osiem artykułów, dwa po zbezczeszczeniu grobu, resztę po „ucieczce NN” i morderstwie policjanta. Od tego czasu nie pojawiło się nic nowego.

Przeglądanie tych artykułów było przygnębiające - po pierwsze ożywiało na nowo horror śmierci siostry, po drugie uświadomiło Joemu, jak niewiele warta jest sieć, którą zarzuca. Choć można było

tak skonfigurować kryteria poszukiwania, by odnaleźć wszystko, co znajdowało się w Nexis na temat śmierci jego siostry, były one zbyt ogólne. Istniały dziesiątki synonimów słów „dziecko”, „podpalenie” i „zabójstwo”. Gdyby zastosował wszystkie, musiałby się przebijać przez tysiące artykułów.

Zniechęcające było także to, że prasa śledziła każdą sprawę przez bardzo krótki czas, w dodatku bardzo powierzchownie. Śmierć Kathy i Brandona była „nowością” jedynie przez kilka dni i dotyczące jej artykuły nie ukazywały się wystarczająco długo, by uświadamiać, z jak wielką premedytacją i okrucieństwem to morderstwo zostało dokonane. Żaden z dziennikarzy nie zastanowił się również nad tym, co może oznaczać wykopanie szczątków Brandona z ziemi, ani nie wziął pod uwagę możliwości, że NN mógł mieć współników. Przedstawiano wydarzenia, ale nie zastanawiano się nad nimi.

Lassiter podejrzewał, że podobnie jest w niemal każdym wielkim ośrodku miejskim, gdzie sobotnie podwójne morderstwo musi ustąpić miejsca niedzielnemu ostrzelaniu ludzi z przejeżdżającego samochodu. Przypadek Kathy był szczególnie okrutny, ale nawet nim zajmowano się bardzo krótko.

Wpisał: Reiner, podpalenie i Praga. Nie pojawiło się nic. Sfrustrowany, użył przeglądarki, która w każdym z wyszukanych artykułów natychmiast pokazywała miejsca występowania kluczowych haseł. W efekcie tych poszukiwań uznał, że może go interesować jeden artykuł. Była to króciutka informacja z maleńkiego dziennika, wydawanego w Bressingham w Kolumbii Brytyjskiej, prawie dwieście kilometrów na północ od Vancouver. Przedstawiano w nim przypadek Briana i Marion Kerrów oraz ich trzyletniego syna Barry’ego - wszyscy troje zginęli w pożarze, który miejscowa policja określiła mianem „podejrzanego”.

Choć nie chodziło tu jedynie o matkę z dzieckiem - jak w sprawie Kathy i Reinerów - Joe przeszukał bazę, używając hasła: Kerr i Bressingham, ogień lub podpalenie.

Ponieważ wydarzyło się to w małym miasteczku, uznał, że sprawa musiała być tam głośna. Rzeczywiście tak było. Znalazł osiem artykułów na ten temat i wszystkie przeczytał. Dwa dni po pożarze policja potwierdziła podpalenie. Ogień wybuchł w trzech różnych miejscach i badanie laboratoryjne wykazało, że użyto przyspieszaczy. Świadkowie zeznali, że tuż przed wybuchem pożaru widzieli uciekającego z domu mężczyznę.

Pierwszą wspólną cechą, jaka zwróciła uwagę Lassitera, było to, że wszystkie dzieci to chłopcy. Brandon. Syn Reinerów. Syn Kerrów.

Ale przypadek Kerrów niezbyt pasował do pozostałych. Lassiter pamiętałby kanadyjską wzię w paszporcie Grimaldiego - a był pewien, że nic takiego nie widział. Bardziej znacząca była jednak data: czternasty listopada. Grimaldi był w tym czasie w szpitalu. Minęło dopiero kilka dni od pogrzebu Kathy i Brandona. Joe wyłączył komputer i zadzwonił do Waszyngtonu, do Judy.

- Hej! Gdzie jesteś? - zapytała.

- W Pradze.

- Daj mi swój numer... masz być ze mną w kontakcie! Podał jej numer.

- Coś nowego w sprawie Bepiego? Lassiter przez chwilę milczał.

- Nie.

- Więc... może ma to coś wspólnego z tobą - stwierdziła Judy. - Albo i nie.

- Ma stuprocentowy związek z... tą sprawą. Bez wątpliwości. Stuprocentowy.

- W takim razie wnoś się stamtąd!

- Skąd? Jestem w Pradze. I na razie nie mogę wyjechać.

- Dlaczego?

- Ponieważ muszę załatwić jeszcze kilka rzeczy i chcę, żebyś ty też coś pozałatwiała. Po pierwsze chciałbym, by zajęto się rodziną Bepiego. Żeby dostali jakieś pieniądze i mieli stały dochód. Tyle, by wystarczyło na dzieciaka i tego, kto za niego odpowiada. Musimy zadbać o to, żeby nie mieli żadnych problemów.

- Jak długo mamy to robić?

- Tyle, ile będzie trzeba.

- To może sporo kosztować.

- Mam dużo pieniędzy.

- Załatwione. Co jeszcze?

- AmEx.

- A konkretnie?

- Ty mi powiedz.

- Chcieliby wiedzieć, co zamierzasz robić po sprzedaży firmy.

- Nic. A w każdym razie nic takiego, co mogłoby ich interesować.

- W takim układzie wykładają dwanaście i pół plus opcje warte pewnie ze trzy dalsze miliony.

Haczyk: nie wolno ich zrealizować przez pięć lat. Chcą niekonkurencyjnej umowy.

- Żaden problem.

- Chłopcy od zakupów twierdzą, że jeśli zostaniesz w zarządzie, pójdą znacznie wyżej.

- I tak pójdą. Powiedz im, że opcje mnie nie interesują. Chcę pieniędzy.

- Rozumiem.

- Moim celem jest spieniężenie tego, co mam. Jeśli zostanę spłacony, chcę...

- Trzymać się z daleka, rozumiem.

Następnie Lassiter zadzwonił do Roya Dunwolda, kierownika czteroosobowego biura Lassiter Associates w Londynie. Roy był robociarskim dzieciakiem i wychował się - w zależności od tego, co akurat pasowało - w Derry albo Londonderry, w każdym razie w niełatwych warunkach. Przesiedział dwa lata w Borstals za serię kradzieży samochodów, branych dla przejażdżki, która skończyła się, kiedy porsche razem z nim w środku zderzyło się z karawanem jadącym na czele konduktu pogrzebowego bojownika IRA.

Po trzech miesiącach w szpitalu i znacznie dłuższym pobycie w zakładzie dla nieletnich został warunkowo zwolniony i oddany pod opiekę ciotki w Londynie, prowadzącej hotel w Kilburn. Ciotka stwierdziła rzecz oczywistą: kradzieże samochodów mogą być co najwyżej hobby. Chłopak musi mieć zawód.

I tak Roy zaczął zdobywać zawód - zapisał się do szkoły wieczorowej, a potem przeniósł się do jednej z lepszych szkół politechnicznych. Ponieważ dobrze się uczył, po jej ukończeniu dostał pracę jako specjalista od systemów informacyjnych w GCHQ-Cheltenham, angielskim odpowiedniku Agencji Bezpieczeństwa Narodowego. Po roku pracy w centrali wysłano go do bazy satelitów szpiegowskich w górach Troódos na Cyprze. Jednak P° pięciu latach na egejskim zadupiu stwierdził, że ma do końca życia dość retsiny i jednonocnych romansów, wrócił do Anglii i zatrudnił się w sektorze prywatnym. „Brakowało mi deszczu” - mówił przyjaciółom, tłumacząc swoją decyzję. W końcu Lassiter wyciągnął go z Kroll Associates - wprawdzie dał mu taką samą pensję, ale pozwolił wybrać sobie służbowy samochód.

Roy wybrał porsche.

Trochę potrwało, zanim Lassiterowi udało się z nim połączyć.

- Nie wiem, ile wiesz, ale... pracuję nad prywatną sprawą - powiedział.

- Twoja siostra.

- I siostrzeniec.

- Zgadza się.

- Szukam podobnych przestępstw... podpaleń z morderstwami, w których ofiarami były dzieci.

Znalazłem dwa przypadki: w Pradze i Kanadzie.

- Jesteś pewien, że są ze sobą powiązane?

- Nie. Ale to możliwe. Pomyślałem, że mógłbyś pomóc mi szukać dalszych przypadków.

- Gdzie?

- Wszędzie. Możesz zacząć od Europy.

- Najbardziej prawdopodobna jest Anglia.

- Niech będzie Anglia. Dunwold przez chwilę milczał.

- Jest jeden problem...

- Jaki?

- Wiele podpaleń pozostaje niewykrytych, prawda? Najczęściej uważa się je za efekt awarii sprzętu elektrycznego, przegrzania grzejnika... tego typu rzeczy. A to oznacza, że musimy sprawdzić każdy pożar, w którym zginęło dziecko.

- Chyba tak.

- Sporo roboty.

- Wiem.

- Jaki termin?

- Wszystko po pierwszym sierpnia.

- Rozumiem.

- Myślałem, że może warto spróbować zahaczyć Interpol.

- Chrzanię tę bandę. Mamy lepsze sposoby. Możemy się pobawić różnymi ciekawymi bazami danych. Uważam, że mogą nam w tym pomóc firmy ubezpieczeniowe. Tak przynajmniej bywało w przeszłości. Zadzwońię do Lloyda.

- A co z policją?

_ Oczywiście, że pogadam z policją, Europolem, Yardem... ale nie bardzo wierzę, że nam w czymkolwiek pomogą.

- Zaczekaj sekundę. Właśnie coś mi przyszło na myśl.

Lassiter wyjął skopiowane strony paszportu Grimaldiego i przejrzał stemple graniczne. Wkrótce znalazł to, czego szukał. - Sprawdź Sao Paulo, dobrze?

- Brazylia?

- Tak. Między trzynastym a osiemnastym września zeszłego roku. Zawiadom mnie, co znalazłeś.

- Jasne. Chcesz raport na piśmie?

- Nie. Tylko informacje. Chcę wiedzieć, na czym stoję.

- Budżet?

- Nie martw się. Rób wszystko, co musisz - odparł Lassiter. Właśnie zamierzał odłożyć słuchawkę, kiedy Dunwold powie działał:

- Sekundę! Joe, jesteś tam jeszcze?

- Tak.

- Jeszcze coś...

- Co takiego?

- To może chwilę zająć. A teraz są święta, nie? Ja wprawdzie będę pracował, ale...

- Rób, co się da.

- Oczywiście. Wesołych świąt itepe. Będę w kontakcie.

Lassiter spotkał się z Janaćkiem i Riordanem w holu hotelowym w pół do ósmej i kwadrans przed dziewiątą, po koszarnej jeździe przez śnieg, stali w windzie kliniki Panków, gdzieś na obrzeżach miasta. Lekarz w białym kitlu wskazał im drogę do oddziału, na którym leżał Jiri Reiner.

W pokoju było duszno, ale Reiner - najwyraźniej jedyny pacjent - leżał owinięty kocem. Był bardzo wychudzony, jego koścista twarz sprawiała, że oczy wydawały się nienaturalnie wielkie.

- W ogóle nie je - szepnął Janaček, przeciągając dłonią przez włosy. Doktor szepnął coś czeskiemu detektywowi do ucha, pokazał im na migi, by się skracali, a potem wyszedł.

Reiner wbił wzrok w Lassitera.

- Będę tłumaczył - oświadczył Janaček. - Co chcesz powiedzieć panu Reiner? Przepraszam... mister Reiner?

Chcę mu powiedzieć, że siedemnastego listopada tego roku zamordowano moją siostrę Kathy i jej syna Brandona. Poderżnięto im gardła. Potem podpalono ich dom. - Lassiter wziął głęboki wdech. - Ale coś nie wyszło i człowiek, który podpalił dom, wypadł przez parterowe okno w płonącym ubraniu.

Janaček przetłumaczył, a kiedy skończył, popatrzył na Lassitera.

- Mężczyzna został poważnie poparzony, ale przeżył - dodał Lassiter. - Kiedy policja go przesłuchiwała, odmawiał odpowiedzi, więc nie umiemy określić powodu czynu.

Gdy Janaček tłumaczył, Lassiter popatrzył na Reiner i chory odwzajemnił spojrzenie. W jego oczach pojawiły się łzy, ale nie próbował ich wytrzeć. Kiedy Janaček skończył, powiedział coś pełnym emocji głosem.

- Pyta, czy pana siostra i siostrzeniec nie żyli przez pożarem - przetłumaczył Czech. - Czy walczyli?

Lassiter domyślał się, do czego Reiner zmierza.

- Nie zginęli od ognia - odparł. - Zabito ich nożem. - Postanowił nie mówić o wielokrotnych ranach kłutych, jakie zadano Kathy, ani o „obronnych” ranach na jej dłoniach.

Reiner siedział na łóżku, mamrotał coś pod nosem, jakby powtarzał rytualne modlitwy, kiwał się w przód i w tył ze złożonymi dłońmi i zaciśniętymi powiekami. Gdy otworzył oczy i znów się odezwał, na twarzy miał ulgę. Najwyraźniej do tej pory przez cały czas zadreślał się myślą, że jego żona i syn spalili się żywcem. Teraz - choć nie było to wiele - mógł spróbować zastąpić te obrazy innymi. Powiedział coś do Janačka i detektyw przetłumaczył:

- Pyta, kim był ten człowiek.

- Jest Włochem. Nazywa się Grimaldi. Powiedz mu, że to człowiek ze złą przeszłością. Najemnik. Płatny zabójca.

Janaček przetłumaczył. Na dźwięk nazwiska Grimaldiego Reiner zagryzł dolną wargę i pokręcił smutno głową.

Lassiter wskazał kciukiem na swoją pierś, a potem rozłożył szeroko dłonie i ze zdziwioną miną powtórzył wyrażający niezrozumienie ruch głową Reiner.

- Paszport Grimaldiego dowodzi, że był w Pradze w czasie, kiedy zamordowano twoją żonę i syna...

- Już mu to powiedziałem - oświadczył Janaček.

- Powtórz.

Ale Reiner znowu pokręcił głową, a potem trzy razy się w nią klepnął, informując, że w środku nie ma żadnych odpowiedzi.

Przez kilka minut rozmawiali w ten sposób, stawiając sobie pytania i dając odpowiedzi przez Janačka. Czy obie kobiety się znały? Czy Hana Reiner była kiedyś w USA albo Kathy Lassiter w Czechach? Lassiter poprosił Riordana, by pokazał Reinerowi zdjęcie Grimaldiego, a także zdjęcie Kathy i Brandona, ale biedak jedynie kręcił głową i powtarzał: *Ne, ne. Nevim. Nevim.* Nie było potrzeby tego tłumaczyć. Potem Reiner wyjął spod poduszki niewielką fotografię w srebrnej ramce w kształcie serca, na której była jego żona z synem na ręku. Lassiter wziął zdjęcie i patrząc na uśmiechniętą matkę z dzieckiem, pokręcił głową. W końcu zjawił się lekarz i wściekł się, że jeszcze nie wyszli. Reiner powiedział coś - okazało się, że chce dostać adres i numer telefonu Lassitera. Joe dał mu wizytówkę. Doktor próbował ich wygonić, ale Lassiter podszedł do szpitalnego łóżka i ujął kościstą dłoń Jifiego Reinerja.

- Dowiem się, kto to zrobił - powiedział po angielsku, patrząc mu w oczy.

Reiner ścisnął mocniej rękę Lassitera i przyciągnął ją do swojej piersi. Potem zamknął oczy i wymamrotał:

- *Dekuji moc. Dekuji moc.*

- To znaczy: „Bardzo dziękuję” - wyjaśnił Janaček.

- Zrozumiałem.

Doktor zaczął szykować zastrzyk, więc ruszyli do wyjścia. Lassiter spojrzał przez ramię - oczy Jifiego Reinerja wbijały się w niego płomieniem. Nagle przyszło mu coś na myśl i szybko poprosił Janačka o zadanie pytania.

- Tylko jedno pytanie...

Janaček pokręcił przecząco głową, ale Lassiter kątem oka dostrzegł, że Jifi Reiner nieoczekiwanie silnym ruchem odsuwa rękę lekarza.

- *Prosim* - powiedział i wskazał na Lassitera.

- Spytaj go, czy jego żona była kiedykolwiek we Włoszech. Kathy była tam wiele razy i Joe chciał wiedzieć, czy spotkała tam może Grimaldiego - albo czy spotkała go Hana Reiner. Jednak kiedy Janaček spytał o to, Reiner odwrócił głowę.

Może Lassiter źle to odczytał, ale wydawało mu się, że Czech jest zażenowany. Po chwili mruknął coś do policjanta i znów się odwrócił.

- Mówi, że byli we Włoszech tylko raz. Na wakacjach. Ale teraz naprawdę musimy już iść.

Lassiter skinął głową i uniósł dłoń w pożegnalnym geście. Mężczyzna w szpitalnym łóżku siedział tak, by nie patrzeć mu w oczy.

- *Ciao* - powiedział cicho. - *Ciao.*

Rano Lassiter wiozł Riordana na lotnisko, przebijając się przez praski ruch zgodnie z dużymi, rzucającymi się w oczy niebieskimi znakami. Detektyw był niezwykle spokojny i milczący.

- Chciałbym porozmawiać z tobą o... - zaczął Lassiter.

- Nie krzycz...

- Nie krzyczę, mówię normalnym głosem.

Riordan jęknął, kiedy Lassiter wjechał na rondo, wdusił gaz do dechy i zmieniał pasy, próbując dostosować się do pojazdów z prawej i lewej strony. W połowie objazdu ronda zauważył niebieski drogowskaz i przecinając trzy pasy, ruszył w odpowiednim kierunku.

- Proszę... - jęknął Riordan. - Tylko nie to...

- Kara za grzechy - odparł Lassiter bez śladu współczucia. - Ile drinków wypiliście wczoraj wieczorem?

Riordan przez chwilę milczał, jakby liczył.

- Co to jest „drink”? - spytał w końcu.

Im dalej od centrum, tym bardziej degradowała się architektura. Kamień zastępował beton, ornamenty i pomniki - pusta nowoczesność. Nawet okna zdawały się zmieniać: robiły się jak puste oczy.

Riordan wziął głęboki wdech, a potem odchrząknął i usiadł prosto.

- Dobra... o czym chcesz gadać? Lassiter popatrzył na niego.

- O Włoszech.

- Włochy to było campari... O co chodzi?

Lassiter westchnął. Od czego zacząć? Od Bepiego.

- Cóż... zacznijmy od tego, że jeden z ludzi, z którymi pracowałem - człowiek, który pomagał mi w Rzymie został zabity. Kilka dni temu.

Riordan przez chwilę nie odpowiadał.

- Jesteś pewien, że to ma coś wspólnego z tobą?

- Nie mogę udowodnić, ale... tak, tak sądzę. Dzień wcześniej, kiedy wróciłem do hotelu, był w moim pokoju facet. Ogromny.

- To wtedy, gdy „upadłeś”?

- Tak. Myślałem, że mnie zabije, ale nagle skądś pojawiła się pokojówka.

- Jezus, Maria... Czego chciał?

- W tym problem. Nie wiem. Kiedy wszedłem, już tam był - włączył mój komputer i przeglądał jego zawartość. - Ulica zamieniła się w szerszą, skręcającą na wschód szosę i nagle znaleźli się na wsi, ale drzewa zniknęły. Słońce intensywnie świeciło w przednią szybę i Riordan się skrzywił.

Lassiter uważnie mu się przyjrzał. - Wyglądasz jak kupa - stwierdził.

Detektyw popatrzył na niego i powiedział obojętnym tonem, typowym dla człowieka na ciężkim kacu:

- Nic na to nie poradzę. Zorganizowali bankiet. Każdy musiał wznieść toast za wszystkich pozostałych. Kraj po kraju... a dawali różne wódki. Najlepiej pamiętam śliwownicę.

- Jesteś chyba na takie rzeczy trochę za stary, co? Riordan skwitował to upomnienie zmęczonym spojrzeniem i zapytał:

- Dlaczego ten facet sądził, że coś wiesz?

- Byliśmy trochę za głośni. ~ „My”?

- Człowiek, z którym pracowałem. Bepi. Ten, który zginął. Poszliśmy w miejsca, gdzie kiedyś mieszkał Grimaldi, rozmawialiśmy z jego siostrą...

- I czego się dowiedzieliście?

- Mniej więcej pięć lat temu nawrócił się.

- Z czego się nawrócił? Lassiter pokręcił głową.
- Był przedtem kimś w rodzaju szpiega albo najemnika. Zabijał ludzi.
- Skąd wiesz?

Lassiter popatrzył na niego z wyrzutem.

- Skąd wiesz? - powtórzył Riordan.
- Mam przyjaciela, który pracuje dla... agencji rządowej. Pokazał mi akta.
- Nareszcie coś konkretnego! Kiedy będę mógł je zobaczyć?
- Nie będziesz mógł.
- Dlaczego?
- Bo tateczka już nie istnieje.

Riordan jęknął z rozczarowania albo z bólu - a może z obu przyczyn razem. Otworzył usta, by coś powiedzieć, ale zmienił zdanie. Chwilę pomilczał, po czym zapytał:

- A na co się nawrócił?
- Na Umbre Domini. Oddał wszystko, co posiadał, religijnemu ugrupowaniu zwanemu Umbra Domini.

- Cień Pana... Lassiter był zaskoczony.

- Znasz łacinę?

- Nie znam. Po prostu zapamiętałem kilka słów.

- Rozumiem. Najdziwniejsze jednak w tym wszystkim jest to... - Lassiter urwał. - Wiesz o przekazie telegraficznym, który dostał Grimaldi?

- Wiem.

- Pieniądze pochodziły od Umbry Domini. Riordan prychnął.

- Skąd to wiesz? Szwajcarzy nie zdradziliby nam nawet zasranego przecinka w bankowych kontaktach!

Lassiter wzruszył ramionami.

- Przyjaciel. Jednorazowa przysługa.

Przez chwilę w samochodzie panowała cisza, a potem detektyw mruknął pod nosem:

- Ten przekaz telegraficzny... nigdy go nie ujawniliśmy. Lassiter zmienił pas ruchu.

- Jesteśmy prawie na miejscu. Riordan westchnął.

- I tak wiedziałem, że to ty.

Kiedy podjeżdżali do terminalu, Lassiter opowiedział Riordanowi o wyprawie do Neapolu i buteleczce na święconą wodę, która wypadła z kieszeni delia Torrego.

- Była taka sama jak ta Grimaldiego.

- No to co? - spytał detektyw. - Próbujesz mi wmówić, że ta religijna grupa - Umbra jakaś tam - zapłaciła Grimaldiemu, by zabił twoją siostrę?

- I siostrzeńca.

Daj spokój!

A także rodzinę Jifiego Reinera. I może jeszcze innych ludzi.

- Odbiło ci? Po co mieliby to robić? - Riordan popatrzył na zegarek, wciągnął powietrze przez zęby i pogrzebał w aktówce. - Lepiej będzie, jeśli zapiszę trochę tych bzdur.

- Nie musisz. Mam dla ciebie teczkę. Pozwól mi zaparkować i spotkamy się w środku. Kup sobie kawę.

- Będę w barze.

Piętnaście minut później Riordan wyglądał i czuł się znacznie lepiej.

- Co twoim zdaniem najlepiej pomaga? - spytał. - Sok pomidorowy czy wódka?

- Moim zdaniem wódka - odparł Lassiter, pchnął po blacie stolika szarą kopertę i usiadł.

Riordan wyjął okulary i zaczął przeglądać biuletyn Umbry oraz artykuły. Z głośników doleciała głośnie zapowiedź kolejnego lotu w czterech językach.

- No dobrze... - mruknął w końcu Riordan. - Dzięki za trop. Teraz tylko muszę iść po powrocie do szefa i powiedzieć mu, że zrobili to katolicy. Masz pojęcie, jaką burzę to spowoduje?

- Tu nie chodzi o „katolików”, a o organizację, która - tak a propos - ma jeden ze swoich domów pod Waszyngtonem. Gdzieś niedaleko Frederick. Może zechcesz go sprawdzić.

Riordan zmarszczył czoło.

- Jasne, sprawdzę. Będę jednak musiał powiedzieć o tym federalnym. Od chwili kiedy Grimaldi capnął pielęgniarkę, mam opiekuna z Biura. - Riordan spojrzał Lassiterowi w oczy, a potem ujął jego dłoń i ścisnął ją mocno. - „Derek Watson, Joe. Joe, prawda? Zrobimy, co tylko się da - chciałbym, żebyś o tym wiedział. Co tylko się da!”. - Puścił dłoń Lassitera i zamknął oczy. - Derek... będę go miał przy sobie od razu po powrocie.

- Więc zrób to przez niego. Weź go ze sobą.

- A zdawałoby się, że mają ważniejsze rzeczy do roboty... Lassiter wzruszył ramionami.

- Naprawdę tak by się wydawało.

- Cóż... hm... - Lassiter upił łyk kawy i postanowił zmienić temat. - Chciałem o coś spytać.

- O co? - Riordan zamieszał gałązką selera swoją Bloody Mary.

- Rozmawialiśmy już o tym. Chodzi o tę pielęgniarkę,

Juliette... Jak to się stało, że kiedy znalazła się w windzie z Grimaldim, miała przy sobie kluczyki do samochodu? Pytałeś ją o to?

Detektyw milczał przez chwilę, po czym odparł:

- Nie. Właściwie nie. Tak, powiedziałem, że to zrobię, ale... była dość rozpieprzona, kiedy ją znaleźliśmy, a potem pojawił się Derek i miał się tym zająć. Nie rozmawiałem z nią dłużej jak pięć minut. - Wzruszył ramionami. - Ale wspomniałem Derekowi o kluczach, bo pamiętałem, że prosiłeś, bym to wyjaśnił.

- I...?

- Nie wiem... chyba mnie olał. Stwierdził, że on zawsze trzyma klucze w kieszeni, więc może ona też. Ale czy ją zapytał? Nie wiem. - Riordan pogrzechotał lodem w szklance i dał kelnerowi znak, by podał następną.

Lassiter zmarszczył czoło.

- Zajmiesz się tym?

Riordan na kopercie, którą dostał od Lassitera, zanotował: JULIETTE - KLUCZE.

- A gdzie ona w ogóle mieszka? - spytał Lassiter. - Niedaleko szpitala czy...

- Nie. Ma tablice z Marylandu. Dojeżdża kawał drogi. Hagers-town... Emmitsburg.

- To na północ od Frederick - mruknął Lassiter.

- Wiem. Pamiętam, że szukała mieszkania bliżej szpitala, bo dojazdy ją zarzywały. Choć nie tak dużo dojeżdżała.

- Jak to?

- Bo była nowa. Dopiero co zaczęła pracować. Dwa tygodnie wcześniej.

- Chwileczkę! Chcesz powiedzieć, że dołączyła do personelu po przyjęciu Grimaldiego?

Riordan potarł oczy.

- Tak. Przeniosła się z... nie pamiętam. Skądś. W każdym razie miała niefart. Drugi tydzień w robocie i ktoś cię porywa... ciągle jeszcze się leczy.

- Nie wróciła do pracy? Riordan pokręcił głową.

- Zbyt wiele strachu się nałykała.

- Jimmy...

- Wiem, co masz na myśli - przerwał mu Riordan. - Pracowała dopiero drugi tydzień, miała przy sobie kluczyki...

- I mieszka w mieście, gdzie Umbra Domini ma dom.

Riordan westchnął i skinął głową.

- Masz rację. Sprawdzę to, okej? Nie trać nadziei. - Dokończył drinka. - Wracasz do Stanów na święta?

- Nie.

- Dlaczego?

Lassiter wzruszył ramionami.

- Nie chcę cię doprowadzać do płaczu, detektywie, ale po co mam wracać? Nikt mi tam nie został. Nie mam nikogo. Poza mną cała rodzina nie żyje.

- Więc dokąd pojedziesz?

- Nie jestem pewien. Prawdopodobnie z powrotem do Rzymu.

- Do Rzymu... Co mówiłeś o Rzymie? Że zdmuchnęli ci tam partnera? Marzysz o śmierci?

- Nikt nie będzie mnie szukał w Rzymie. Będę tam bezpieczniejszy niż gdziekolwiek indziej. Gdyby ktoś mnie szukał, robiłby to w Stanach.

Riordan chciał coś odpowiedzieć, ale z głośników ryknęła zapowiedź jego lotu. Zanim przetłumaczono ją na niemiecki, Lassiter zdążył zapłacić rachunek i stanąć z detektywem w kolejce przed bramką z detektorem metalu.

- Ta sprawa w Rzymie... - mruknął Riordan. - Z twoim przyjacielem...

- Bepim.

- Właśnie... - Riordan przerwał, by podać paszport i bilet do kontroli. - Coraz więcej trupów...

Żołnierz popatrzył na paszport, ostemplował go i oddał ze znudzonym uśmiechem. Kilka metrów przed nimi łysy mężczyzna opróżniał kieszenie, obok stał jakiś blondyn.

- Twoja siostra i siostrzeniec - ciągnął Riordan - to dwa. Dwayne trzy. I Bepi... Jeśli z twojego powodu, to cztery. Nie liczę kobiety z Pragi i jej syna, ale to byłoby sześć. - Zmarszczył czoło i przechylił głowę jak wsłuchujący się w odległy dźwięk pies. Chciał jeszcze coś dodać, ale żołnierz machnął ręką, by szedł dalej. Łysy został już sprawdzony i Riordan, by nie blokować mchu, położył aktówkę na taśmociąg, podniósł ręce do góry i zrobił krok naprzód, a potem zatrzymał się i odwrócił. - Bądź w kontakcie, dobrze? - powiedział. - Facet, który za tym stoi... ten Grimaldi... to niezły numer.

23

Boże Narodzenie nadeszło i minęło, ale nic nowego się nie wydarzyło.

We Włoszech święto to ma nieco inny charakter niż w Stanach. Nie ma tu w tym okresie gorączki obowiązkowego kupowania prezentów i urządzania przyjęć, nie ma wymuszonej świątecznej radości, więc w Rzymie panował spokój. Jeden dzień przechodził niezauważenie w następny i wkrótce nadszedł sylwester.

Jednak dla Lassitera był to dziwny i niespokojny czas. Wziął apartament w zwykłym, średniej klasy hotelu, znajdującym się zaraz na północ od ogrodów Villa Borghese. Poszedł do kliniki stomatologicznej przy Viale Regina Elena, gdzie mieszkający na stałe we Włoszech Anglik usunął to, co zostało po zębie, który stracił w Neapolu. Dwa dni później zrobiono mu w międzynarodowym szpitalu Salvator Mundi rentgen, z którego wynikało, że żebra są posiniaczone, ale całe.

Jadał w położonych na uboczu knajpkach i czytał książkę za książką. Spał do późna, a potem każdego dnia długo biegał. Początkowo zamierzał pójść na policję w związku z Bepim, ale krótka rozmowa z Woodym kazała mu zrezygnować z tego pomysłu. Co *mógł* powiedzieć policji? Miał tylko i wyłącznie podejrzenia, a przekazywanie ich miejscowym władzom nie było dobrym pomysłem. Przynajmniej tak uważał Woody. Oczyszczono SISMI, ale jak dokładnie? Grimaldi bez wątplenia miał tu i ówdzie przyjaciół. Kto wie, jakie powiązania mogły istnieć między SISMI a Umbrą Domini? Lepiej było się przyczaić i wrócić do akcji, kiedy wszystko się wyklaruje.

Tak więc cierpliwie czekał na zakończenie okresu świątecznego, nie rozpoczynając żadnych działań. Dzwonił co dzień do Stanów z automatu na dworcu, ale nie było żadnych nowych wiadomości. Rozmowy z AmExem wstrzymano do Nowego Roku.

- Nikt tak naprawdę teraz nie pracuje - wyjaśniła Judy. - Wszystko zostało zawieszono.

Lassiter sprawdzał więc tylko swoje automatyczne sekretarki. Kilka osób zapraszało go, kilka następnych dzwoniło, by „pozostać w kontakcie”, inni - nieco dalsi znajomi - składali życzenia świąteczne. Monica przesłała ciepłe, nieco afektowane życzenia, Claire - sztywne i niemal wrogie. Zamierzał zadzwonić do nich obu, ale tak naprawdę nie miał im nic do powiedzenia.

Którejś nocy siedział w starym, obitym brokatem fotelu i rozmyślał o swoim domu w McLean. Z „Herald Tribune” dowiedział się, że w Dystrykcie Kolumbii spadło dużo śniegu. Białe święta... Myślał o podjeździe i mostku, strumieniu i drzewach - wszystko było pewnie pokryte śniegiem, a dom przepelniało blade, odbijane przez śnieg światło, wpadające przez okna atrium.

Czasami myślał o Kathy i Brandonie. Zaczynał mieć trudności z przypomnieniem sobie, jak wyglądali. Myślenie o Brandonie przygnębiało go. Był takim wesołym chłopaczkiem. Miałby ze śniegu masę radochy. Za rok albo dwa zaczęłby się uczyć grać w piłkę nożną i Lassiter zadbałby o jego treningi. Zrobiłby z niego bramkarza. Brandon potrzebował ojca, nawet zastępczego, a kto lepiej się do tego nadawał od Joego Lassitera, członka-założyciela Przymierza?

Myślał także o Grimaldim. Myślał o termicie. TERMIT.

Ale odsuwał czym prędzej podobne myśli i przechodził do bezpieczniejszych. Poczta z pewnością już wypełniła kosz, do którego wrzucała ją podczas jego nieobecności gosposia. Góra czasopism, katalogów i kart z firm prawniczych z Waszyngtonu, Nowego Jorku, Londynu i Los Angeles. Firmy te nie używały nazwy „Boże Narodzenie”, przesyłano jedynie „pозdrowienia świąteczne”. Leżąc na łóżku i wpatrując się w sufit, Lassiter uświadomił sobie nagle, że wcale nie ma ochoty jechać do domu.

Nie dziś. Jutro też nie. Może nigdy.

Nie miał również ochoty na „oglądanie widoków”. Próbował to robić przez dzień lub dwa - poszedł do Biblioteki Watykańskiej i Kaplicy Sykstyńskiej. Jedno i drugie było imponujące, ale tak naprawdę interesował go jedynie Grimaldi. Rozwiązywał krzyżówki w „Herald Tribune” i pił zbyt dużo czerwonego wina do obiadu.

Nagle nadszedł sylwester - dzień, który tradycyjnie przeznaczają się na przyjrzenie się przeszłości i zrobienie planów na przyszłość. Zaczekał do ósmej, po czym zjadł samotną kolację w *trattoria*

niedaleko hotelu - kalmary z sosem marinara, sałatkę z koprem włoskim, ravioli nadziewane orzeszkami piniowymi i szpinakiem, plasterki pieczonej na grillu jagnięciny z mięta. Wypił espresso z cienką spiralką skórki cytrynowej, zjadł na deser tiramisu i wypił - na koszt restauracji - kieliszek vin santo.

Wino było bardzo dobre, więc zostawił sowity napiwek. Potem poszedł w kierunku hotelu i po drodze natknął się na stary bar w piwnicy o pięknych sklepieniach z cegły, z wielkim telewizorem. Zapelniali go robotnicy - bez żon, kręciło się jednak kilka kobiet - jaskrawo ubranych, z grubo wytuszowanymi rzęsami i czerwonymi paznokciami. Nie były to prostytutki, a jedynie lubiące dobrą zabawę dziewczyny. Śmiały się dużo i głośno, ale nie było w ich śmiechu radości, i Lassiter poczuł się jeszcze bardziej samotny.

Po ekranie telewizora biegali piłkarze. Fiorentina grała z Lazio. Oczywiście mecz szedł z kasety wideo. Zawodnicy Lazio chyba zwyciężyli, bo barowi kibice znali każdy zbliżający się moment glorii swoich ulubieńców oraz wszystkie przejawy perfidii przeciwnika, szturchali się za każdym razem, gdy coś miało się wydarzyć, i klęli niekompetencję sędziego.

Zbliżała się jedenasta, kiedy Lassiter zawołał młodego kelnera i postawił wszystkim kolejkę szampana. Kelner porozdawał kieliszki i z pomocą dwóch klientów napełniono je moët chandon, a potem wszyscy wzniesli beładny, chaotyczny toast, przerywany próbami śpiewu. Kilka minut później Joe postawił drugą kolejkę i zamierzał zamówić trzecią, ale kelner popatrzył mu w oczy i pokręcił głową. Wziął długopis Lassitera i napisał na kartce:

Moët & Chandon: 14 400 lirę Asti Spumante: 6 000 lirę

Potem pokazał na migi, że wszyscy w barze są pijani i szkoda im dawać moëta. Lassiter przyznał mu rację i rozlano asti spumante - co nie wpłynęło w widoczny sposób na pogorszenie radosnego nastroju. W końcu nadeszła północ i wszyscy zaczęli się ścisnąć. Kiedy Lassiter wreszcie wstał, by iść do hotelu - był tylko odrobinę mniej pijany od reszty - zgotowano mu owację na stojąco. Klaskano, wznoszono niezrozumiałe toasty, w końcu rozległo się ogólne: *Buona fortune!* Lassiter wyszedł, dając kelnerowi niemal dwieście dolarów napiwku.

Telefon obudził go dokładnie o ósmej rano. Przetaczając się na bok, Lassiter poczuł ukłucie przerażenia, kiedy przypomniał sobie kobietę, która całowała go przy wyjściu z baru. Miał nadzieję, że nie przyprowadził jej do hotelu, bo przecież... no, bo nie znał włoskiego.

Jezu, pomyślał, nawet nie mam kaca. Był jeszcze pijany.

- Hal-lo-allo! - buchnął ze słuchawki radosny głos Roya Dunwolda. - Obudziłem cię?

- Oczywiście, że nie. Właśnie się modliłem. Dunwold huknął śmiechem.

- Szalałeś na mieście, co? Chcesz oddzwonić za jakiś czas? Mogę poczekać.

Lassiter usiadł i cały świat lekko zawirował.

- Nie, nie trzeba. Nic mi nie jest.

- Cóż, wcale tak nie brzmiysz, ale co mi tam. Dzwonię, bo wreszcie coś dla ciebie mam. Parę rzeczy. Ale najpierw Brazylia.

- Hmm...

- Słuchasz?

- Jasne. Pewnie, że słucham.

- Chodzi o Rio. Odkrył to Danny, mój pomocnik. - Roy mówił krótkimi, urywanymi zdaniami, najwyraźniej przeglądał jakieś papiery i wyszukiwał najważniejsze fragmenty. - Druga rano, siedemnastego września... *chichi condo* w Leblon...

- Co to jest?

- Takie szpanerskie miejsce przy plaży. W pożarze zginęło dziecko... właśnie skończyło cztery lata... matka zamordowana. Duńska niania też. Ogień przeskoczył na inne domy, ale nikt z sąsiadów nie zginął... Szacowane straty... gaziliony cruzeiros... jest! „Ogień podejrzanego pochodzenia”.

Lassiter pokręcił głową. Najwyraźniej zrobił to zbyt energicznie, bo zabolęła.

- To już coś...

- Jest więcej. - Słysząc było, jak Roy przewraca kartki. - Władze uważają, że to było podpalenie. Dalsze dane o rodzinie.

Popatrzmy... zamożne małżeństwo o nazwisku Pena. Pani była psychiatrą, pan jest... dyrektorkiem! Rio Tino Zinc, hotele Shera-ton... itede.

- A dziecko to chłopak? Dziewczyna?

- Chłopak. Jedynek.

- No tak...

- Jeszcze nie skończyłem. Mam jeszcze jedno!

- Co jeszcze jedno?

- A jak myślisz? Kolejne przestępstwo, które pasuje do twojego schematu. Następny chłopak.

- Kiedy? Gdzie?

- W październiku. Matilda Henderson i jej syn Martin. Tutaj, pod samym nosem, przyjacielu. W pięknym mieście Londyn.

Samolot do Londynu był prawie pusty. Cóż, mieli Nowy Rok. Heathrow było podobnie wyludnione. Ale nawet mimo to mało brakowało, a Joe nie zauważyłby Roy a, kiedy wyszedł z przejścia z napisem: NIC DO OCLENIA.

Roy miał pewną cechę, która bardzo przydawała mu się w jego pracy wywiadowcy: niczym nie

wyróżniał się z tłumu. Opisuując swój wygląd, zawsze mówił, że jest „wszystko przeciętny, niegdyś młody”. Było w nim również coś, co sprawiało, że robił się niemal niewidzialny. Lassiter kiedyś zwrócił na to uwagę i Roy skinął głową, przyznając, że słyszy o tym nie pierwszy raz.

- To nie jest „dany od Boga talent” - wyjaśnił. - To umiejętność nabyta i dzięki niej do tej pory żyję.

Choć Joe dokładnie rozejrzał się po pustej hali, zobaczył Roya dopiero wtedy, gdy ten nagle zmaterializował się tuż przy nim. Miał na sobie gruby tweedowy płaszcz i pognieciony szalik, który wyglądał jak zrobiony na drutach przez kompletnego amatora.

- Składam sezonowe życzenia - szepnął Lassiterowi w samo ucho, wziął od niego torbę i poprowadził do wyjścia.

Zawsze parkował na zakazie, ale chyba nigdy nie dostawał mandatów - tym razem jego samochód stał tuż przy wyjściu, za autobusem. Powietrze było zimne i wilgotne i zalatywało olejem napędowym. Co kilka sekund powietrzem nad ich głowami wstrząsał lądujący samolot.

Lassiter ruszył do prawych drzwi, ale Roy zaprowadził go do lewych. Od kiedy Joe go znał, wywiadowca jeździł granatowym jaguarem. W drodze opowiedział o Hendersonach.

Matilda Henderson była zamożną kobietą dzięki „spadkowi j bardzo dobremu rozwodowi. Była dość znana w kręgach „ludzi o wysokich czołach”, jak to określił Roy. Pisała powieści. Dość wyszukane. Niezbyt dobrze się sprzedawały, ale zdobyła kilka nagród.

- Nigdy o niej nie słyszałem - stwierdził Lassiter.
- Nic dziwnego. Właściwie dopiero zaczynała stawać na własnych nogach. Czytałem jej nekrologi i kilka wywiadów. Wynika z nich, że urodziła syna, mając czterdzieści jeden lat. Według „Guardiana” dzieciak „otworzył śluzę jej płodności literackiej”.

- A co z mężem?
- Nie ma męża. Była z dzieciakiem sama. Poszła do jednego z tych miejsc...
- Jakich miejsc?
- Przecież wiesz! Tam, gdzie je pukają. Profesjonalnie.
- Zaraz, zaraz...

Jednak kiedy Roy zaczynał gadać, był nie do powstrzymania.

- To nienaturalne, i tyle. Zamiast mieć z tego trochę przyjemności, jak Pan Bóg przykazał, robią to z wyrachowaniem, na zimno. Nie twierdzę, że to coś złego, ale... Niektóre z tych kobiet idą do banku spermy i oglądają zdjęcia facetów, którzy byli „dawcami”, a potem czytają karty informacyjne tych, którzy im się spodobali. Wzrost, waga, iloraz inteligencji, kolor oczu, wykształcenie... Wybierają sobie „tatusia” jak tapetę!

Ta przemowa przypominała Lassiterowi Riordana - kiedy powiedział mu, że Brandon nie miał ojca. „Nie było ojca? Powiedz, jak to się udało, i możesz iść”.

Roy paplał dalej, ale Lassiter myślał o Kathy i zaczął w nim dojrzywać pewien pomysł. Ona też zaszła w ciążę w klinice płodności. Może właśnie to było elementem łączącym wszystkie te sprawy? Może Grimaldi był dawcą spermy? Może odbiło mu i ruszył śladem „swoich” dzieci, by je uśmiercić?

- Co by na to powiedział stary Darwin? - ciągnął Roy. - Powiem ci, co by powiedział. Nazwałby to „selekcją nienaturalną”, i tyle.

Lassiter opadł na fotel i słuchał Roya jednym uchem. Odrzucił Pomysł, że Grimaldi jest zwariowanym, mszczącym się na swoim potomstwie dawcą spermy. Nie wyjaśniało to śmierci

Bepiego ani obecności Umbry Domini. Ani tego, że ktoś wykopał Brandona i ponownie go spalił.

Od rana bardzo pogorszył mu się nastrój. Wiadomość od Roya o przypadku w Londynie tak go podekscytowała, że wsiadł do pierwszego samolotu. Kliniki płodności stanowiły nowy aspekt - coś w tym było, choć nie umiał określić, co to miałyby być. Na pewno stanowiły jednak element łamigłówek. Tak samo jej elementem była religia. Czuł, że węzeł, w jaki zasupłana była cała ta sprawa, rozluźnił się nieco, ale podniecenie nagle zamieniło się w zmęczenie. Jego żebra boleśnie pulsowały; miał ochotę wziąć prysznic i iść spać.

Jaguar wjechał w St James's Place i zatrzymał się przed hotelem „Dukes”.

- Jesteśmy na miejscu. Przepraszam, jeśli za dużo gadałem - mruknął Roy. - Następnym razem pójdę do Hyde Parku.

- Nie ma sprawy. Bardzo mi pomogłeś. Do samochodu podszedł portier.

- Zaczekaj chwilę - powiedział Roy do Lassitera i sięgnął na tylne siedzenie po dużą kopertę. - Weź to. Jest tu wszystko o sprawie Hendersonów i tej z Brazylii. Poza tym umówiłem cię jutro na kilka rozmów.

- Z kim?

- Z siostrą Matildy Henderson i jej najlepszą przyjaciółką, matką chrzestną chłopca. - Roy wrzucił bieg. - Około dziesiątej. Dobrze będzie?

Kiedy Joe skinął głową i wysiadł, nagle błysnęło, rozległ się grzmot i lunęło. Portier popatrzył na niego z oburzeniem, jakby to była jego wina.

24

Siostra Matildy Henderson miała na imię Honor i wyglądała na pięćdziesiąt lat. Jej siwe włosy były przycięte na wojskowego jeża. Nosiła ciężkie kolczyki i stylowe, choć obrzydliwe okulary. Była ubrana w workowate spodnie z gumkami wokół kostek, które przypominały Lassiterowi spodnie, noszone przez bohaterów rysunkowej baśni o Aladynie, którą oglądał z Brandonem. Jej mieszkanie w Chelsea było urządzone wyłącznie w czerni, bieli i szarościach. Nie zaproponowała gościom nic do picia, wskazała jedynie dłonią dwa niewygodne krzesła, które wyglądały jak zrobione z ogrodowej siatki.

- Jestem tutaj, ponieważ coś nas łączy... - powiedział Lassiter.

Uniosła brew.

Mimo tej chłodnej reakcji Joe opowiedział o tym, w jaki sposób zginęła jego siostra i siostrzeniec. Roy rzadko coś wtrącał. Lassiter przedstawił wszystko od początku do końca - od dnia, w którym dowiedział się o śmierci Kathy, po miniony poranek. Kiedy zamilkł, pokój aż zapulsował ciszą. Przerwała ją pani Henderson.

- W dalszym ciągu nie rozumiem, jaki jest cel pańskiego przybycia, panie Lassiter - oświadczyła.

Royowi Dunwoldowi opadła szczeka. Lassiter popatrzył na niego, a potem przysunął się bliżej pani Henderson.

- Pomyślałem sobie, że może... - zaczął - że jeśli w tym, co powiedziałem, jest coś, co... - zawahał się - coś, co kojarzy się pani z siostrą albo siostrzeńcem...

- Moja siostra i jej syn zostali zamordowani podczas snu przez szaleńca. Możliwe, że tego samego, który zabił pańską siostrę, ale *co* z tego?

Lassiter wbił w nią wzrok. Nie wiedział, co powiedzieć.

- Nie... nie chce pani, by znaleziono i ukarano tego, kto to zrobił?

Pani Henderson zaciągnęła się papierosem i wzruszyła ramionami.

- Musi pan nauczyć się z tym żyć - stwierdziła kwaśno. - Tak samo jak OJ. - Wstała. - Jestem buddystką i wierzę, że wszelkie tego typu sprawy same się rozwiązują w swoim czasie. Nie byliśmy sobie z siostrą zbyt bliskie i jestem pewna, że ktoś prędzej czy później panu o tym powie. Gdybym nie wyjechała na Antyle, na pewno byłabym podejrzana.

- Na pewno nie - wtrącił Roy. - Choć było jednak coś o spadku...

Wbiła w niego wściekły wzrok.

- Nie potrzebuję pieniędzy siostry. Być może przekażę je funduszowi powierniczemu i *ustanowię* nagrodę literacką imienia Matildy. A teraz, jeśli panowie nie mają nic przeciwko temu... - popatrzyła na zegarek - jestem umówiona.

Lassiter był jednak zdecydowany wydobyć z Honor Henderson wszystko - choćby tylko po to, by nie musieć jej więcej oglądać.

- Dlaczego miałyby być pani podejrzana?

- Moja siostra zdradziła mnie. Mieszkałyśmy razem przez wiele lat. Ja malowałam, ona pisała. Byłyśmy dość szczęśliwe... dopóki nie wpadła na absurdalny pomysł urodzenia dziecka.

- Nie pochwałała pani tego.

- Oczywiście, że nie, więc poprosiłam Matildę o znalezienie sobie mieszkania. Od samego urodzenia Martina - tak dała mu na imię - moja siostra się nad nim rozpląwała. Potrafiła mówić tylko o odparzeniach sutków, zabawkach i przygotowywaniu jedzenia dla dziecka. Prowadzenie z nią inteligentnej rozmowy przestało być możliwe... - Honor Henderson przerwała i zaczerwieniła się. - Ale już po wszystkim. Odplakałam swoje i panu radzę zrobić to samo, panie Lassiter. A teraz, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu... - Zaczęła popychać ich w stronę drzwi.

Tuż przed wyjściem Lassiter zatrzymał się i spytał:

- Pamięta pani, w jakiej była klinice?

- Nie, nie pamiętam - odparła z westchnieniem Honor. - Wiem tylko, że długo szukała. Była w Stanach, była w Dubaju... uwierzy pan? Była w wielu takich miejscach. Bez przerwy bełkotała o gęstości śluzu i cyklach miesięczkowych. - Zmarszczyła się z niesmakiem. - Nieustannie mierzyła temperaturę w pochwie i opowiadała mi o tym.

- Była we Włoszech? - zapytał Lassiter. - Człowiek, który zabił moją siostrę, jest Włochem - dodał.

- Nie wiem. Nie umiałyśmy się dogadać. Naprawdę, proszę... jestem umówiona.

Drzwi zatrzasnęły się.

- Obrzydliwa baba - stwierdził Roy. - Prawdopodobnie to ona ich zabiła.

Najlepsza przyjaciółka Matildy Henderson, Kara Baker, mieszkała po drugiej stronie Tamizy, w południowym Londynie. Roy przebijał się przez gęsty ruch, nie żałując sygnału, i w końcu przejechali przez most Hammersmith. Ledwie znaleźli się po drugiej stronie, zadzwonił telefon samochodowy. Roy zaklął.

- A niech go cholera... ktokolwiek to jest! - Podniósł słuchawkę, chwilę posłuchał, po czym z rezygnacją powiedział: - W dupie z nim! No dobrze, zadzwoń za godzinę.

Jeden z jego pracowników, prowadzący sprawę w Leeds, miał kłopoty z miejscową policją i Roy stwierdził, że będzie musiał zostawić Lassitera samego.

Barnes było pseudowiejską enklawą ze stawem z kaczkami i boiskiem do krykieta. Kara Baker mieszkała w solidnym ceglany budynku, otoczonym bukszpanowym żywopłotem. Na stojących po

bokach ścieżki postumentach trzymały wartość dwa kamienne lwy z zawiązanymi wokół szyi czerwonymi aksamitkami.

Kobieta, która otworzyła Lassiterowi drzwi, krańcowo różniła się od Honor Henderson - tak samo jej mieszkanie różniło się od achromatycznego apartamentu w Chelsea. Kara Baker dobijała do czterdziestki, ale było w niej jakieś pierwotne, elementarne piękno - miała rozczochraną grzywę rudych włosów, jasnobłękitne oczy i wspaniałe, bujne ciało.

Dom był umeblowany z rozmachem i eklektycznie, antyczne meble dzieliły miejsce z nowocześniejszymi sprzętami. Na wypolerowanej podłodze leżały stare orientalne dywany, wszędzie znajdowały się dzieła sztuki z najprzeróżniejszych okresów. Wszędzie też były rośliny, ich pnącza ciągnęły się po obramowaniu kominka, wspinały na kolumny w salonie, owijały wokół balustrad podwójnych schodów.

Było tu dość nieporządknie, wokół leżały porozrzucane gazety i czasopisma, książki, filiżanki i talerze, kapelusze i rękawiczki. Na fotelu rozpląszczył się czerwony termofor, na stołku przed pianinem dogorywała torebka chrupków.

Kara przeprosiła za bałagan, zatrzymała się na chwilę, by zrzucić buty na obcasie, i ruszyła dalej w samych pończochach.

- Filiżankę kawy? - zapytała przez ramię.

Lassiter poszedł za nią do kuchni - wielkiego, starego pomieszczenia z szeregiem oszklonych drzwi wzdłuż ściany. Usiadł przy starym wiejskim stole, podczas gdy gospodyni robiła kawę.

- Rozmawiał pan z Honor?

- Niewiele pomogła.

- Biedna Honny - powiedziała Kara Baker z westchnieniem. - Gra twardą, ale tak naprawdę bardzo rozpacza. Martwię się o nią.

- Jej zachowanie mogło zwieść.

- Wiem... potrafi udawać. Niech mi pan jednak uwierzy: Tils... czyli Matilda, tak ją nazywałyśmy... była jedyną osobą na świecie, która ją interesowała. No i Martin.

Lassiter uniósł brwi.

- Nie tak to przedstawiała.

Zadzwonił czasomierz i Kara - używająca do robienia kawy starego francuskiego ekspresu - powoli i fachowo pchnęła w dół rączkę z sitkiem, by oddzielić fusy.

- Nonsens - powiedziała, szukając filiżanek. - Właśnie dlatego mówię, że się o nią martwię. Widział pan jej mieszkanie, widział pan, jaka jest opanowana. Pokażę panu jej rysunek... - Postawiła na stole tacę z dwoma poszczerbionymi kubkami, alabastrową cukiernicą i kartonikiem śmietanki, podeszła do ściany i zdjęła z niej duży, oprawiony rysunek Piccadilly Circus. Postawiła go na krześle i oboje mu się przyjrzeni. - Widzi pan? Chyba nigdy nie widział pan niczego zrobionego z większym dupościskiem. - Wyciągnęła dłonie w kierunku obrazka. - Proszę... taka właśnie jest Honny.

Był to piękny rysunek o znakomitej kompozycji, ciekawej kresce i intrygującej perspektywie, ale tak skrupulatny i szczegółowy, że przypominał rysunki miast, jakie dzieci z Trzeciego Świata robią z wyobraźni.

- Rozumiem, co pani ma na myśli.

Przyjaciółka Matildy Henderson zamieszała kawę palcem i oblizwała go.

- Honor jest osobą z rodzaju tych, które psychologowie nazywają „typem zaprzeczającym”, tyle że ona nie zaprzecza faktowi, iż miały miejsca morderstwa ani że Tils i Martin nie żyją... zaprzecza

jedynie temu, że to ją dotknęło, że cierpi z tego powodu. Siostra i jej syn nie obchodzili jej, więc to, że nie żyją, również się nie liczy. - Kara upiła łyk kawy i westchnęła.

Kawa była naprawdę dobra, a gospodyni bardzo atrakcyjna - ale Lassiter czuł dziwną obojętność na jej wdzięki. Martwiło go to, ponieważ należała do typu kobiet, które bardzo go pociągały. Interesowała go nie fizycznie, a intelektualnie. Było to dosyć niepokojące.

- Hmm... - zamruczała Kara, obejmując kubek dłońmi. Popatrzyła na Lassitera i uniosła brwi, wyraźnie czekając na jego odpowiedź.

- Honor oświadczyła, że wykopała Matildę z domu z powodu dziecka - powiedział. - Że od czasu zajścia siostry w ciążę bardzo się od siebie oddaliły.

- Trele-morele. Była niezwykle podniecona myślą o dziecku. Spędzała całe godziny na studiowaniu najnowszych technik medycznych, ustalaniu procentowej skuteczności różnych klinik, zamęczała połowę położników i ginekologów z Harvey Street prośbami o konsultacje. Wszystko koordynowała, umawiała wizyty, pilnowała, czy Tils przyjmuje leki, które miały zwiększyć płodność, sprawdzała jej dietę. Robiła wszystko.

Lassiter pokręcił głową.

- Nie pasuje mi to do kobiety, z którą rozmawiałem.

- Nie musi mi pan wierzyć na słowo... może pan to sprawdzić. - Kara pochyliła się ku niemu. - Tils napisała w testamencie, że gdyby cokolwiek jej się stało, Honor ma się opiekować Martinem. A jeśli chodzi o wyprowadzenie się, to był pomysł Tils. Nie wyobrażała sobie, by Honor mogła pracować, kiedy w domu jest dziecko. Zaczęły szukać domu na wsi, gdzie mogłyby być razem w weekendy, i wtedy... - przerwała nagle, a jej oczy wypełniły się łzami. Pociągnęła nosem i potarła oczy. - Przepraszam. Tak bardzo mi brakuje Tils. Byłyśmy przyjaciółkami od zawsze, niemal od kołyski, i planowałyśmy zostać parą wesołych staruszek. Wie pan, miałyśmy nosić oburzające kapelusze i krążyć po Prowansji albo Toskanii, albo... - Kara straciła panowanie nad sobą i rozplakała się. Zakryła twarz dłońmi i wstała. - Przepraszam. Proszę mi wybaczyć. Zaraz wrócę.

Kiedy Lassiter został sam w kuchni, zaczął się zastanawiać, co ma robić dalej. Utknęli przy omawianiu relacji między siostrami Henderson, a musiał doprowadzić rozmowę do tego, co go naprawdę interesowało. Dlaczego zdaniem Kary ktoś chciałby zamordować jej przyjaciółkę. Kogo podejrzewa, jakie słyszała plotki. Chciał też opowiedzieć o Kathy i Brandonie. Zapytać, czy dostrzega jakieś podobieństwa.

Sprzątnął kubki, umył je i postawił na suszarce. Potem podszedł do lodówki, by odstawić karton ze śmietanką.

Lodówka była ogromna - zwłaszcza jak na warunki angielskie, gdzie normą są urządzenia znacznie mniejsze niż w Ameryce. Cały jej przód był pokryty - w dwóch albo nawet trzech warstwach - kawałkami papieru. Było to muzeum szkiców, fotografii, zaproszeń, wycinków prasowych, przepisów kulinarnych, pocztówek, starzejących się i zwijających żółtych samoprzylepnych karteczek, skrawków papieru z numerami telefonów bez nazwisk, biletów komunikacyjnych, dziecięcych rysunków.

Pociągnął drzwi, ale nie dały się otworzyć. Kiedy szarpnął mocniej, na podłogę poleciała garść papierów. Podniósł je i zaczął przyczepiać z powrotem do drzwi lodówki. Wśród nich w pewnym momencie zobaczył pocztówkę.

Wbił w nią wzrok i zamarł. Kilka lat temu dostał od Kathy taką samą pocztówkę. Było to zdjęcie w zdjęciu: w tle ukazano włoskie miasteczko na wzgórzu, sfotografowane ze sporej odległości.

Domy zbiły się w kupkę na skalistym zboczu, otaczał je średniowieczny mur. W większe zdjęcie wmontowano powiększenie - tak, jakby wybrany element oglądało się przez lunetę. W kółku znajdował się mały, ładny hotelik, który wydał pocztówkę - „Pensione Aquila”.

Lassiter doskonale pamiętał, co było napisane z tyłu pocztówki, którą dostał od Kathy, i mieszane uczucia, z jakimi to czytał. Właściwie nie czytał, a oglądał, bo Kathy narysowała na niej jedną ze swoich głupich zgadywanek. Cztery rysunekzki. Na pierwszym kobieta z literą K na piersi stała przed łucznikiem, na drugim łucznik naciągał cięciwę, na trzecim strzelał, na czwartym kobieta łapała się za pierś, z której wystawała strzała. Od razu się domyślił, że „K” oznacza „Kathy”, a hasło brzmi: ZOSTAŁAM TRAFIONA. Jak zwykle Kathy podpisała kartkę skośnym „P” Przymierza.

Zanim pojechała do Włoch, chciał, by zrezygnowała, by zaprzestała wariackiej pogoni za ciążą. Wydała już niemal sześćdziesiąt tysięcy dolarów, przez trzy lata walcząc o zostanie matką. Wykańczało ją to fizycznie i psychicznie. Z każdym miesiącem robiła się coraz kruchsza. Myśl, że ma iść do nieznannej włoskiej kliniki, niepokoiła Lassitera - choć przeprowadził wywiad i dowiedział się, że klinika cieszy się znakomitą reputacją.

Po otrzymaniu kartki martwił się, że szczęście Kathy skończy się kolejnym rozczarowaniem. Było tak w trakcie pierwszej ciąży - którą spowodowano w klinice w Karolinie Północnej, a zakończyła się poronieniem. Kathy była wtedy zrozpaczona. Nie chciał, by coś podobnego się powtórzyło.

Kiedy Kara Baker wróciła do kuchni, czytał znalezione kartkę.

Droga K!

Pięknie tu i spokojnie. Pola pełne słoneczników, które skłaniają nisko ciężkie głowy. Trzymaj za mnie kciuki. Całuję

Tils.

- Ależ proszę pana... - zaczęła Kara Baker, jednak natychmiast zamknęła usta, jakby nie mogła uwierzyć w to, co widzi. Uśmiechała się, ale patrzyła lodowato. - Przykro mi... chyba powinien pan iść.

- Przepraszam bardzo - odparł i uniósł pocztówkę do góry tak, jak podnosi się w sądzie dowody. - Odstawiałem śmietankę do lodówki i zrzuciłem trochę papierów na podłogę, a ta pocztówka...

Kara Baker przebrała się w spodnie od dresu i stary, powyciągany sweter. Widać było po niej, że płakała. Oczy miała czerwone, twarz poznaczoną plamami. Wyjęła mu z ręki pocztówkę, przeczytała i obróciła obrazkiem do siebie. Zagryzła dolną wargę i wciągnęła z wysiłkiem powietrze.

- To jest właśnie miasto, w którym była klinika. Tam Tils zaszła w ciążę z Martinem. Dlatego ją zachowałam.

- Montecastello di Peglia.

Ale ona zachowywała się, jakby go nie usłyszała.

- Pojechałam tam, by potrzymać ją za rękę. Piękne miasteczko w Umbrii... doskonale miejsce na urodzenie dziecka. - Kara ponownie odetchnęła głęboko. - Była taka... szczęśliwa. Przywiozłam jej butelkę wspaniałego szampana, bo oczywiście zapomniałam, że nie może pić alkoholu, nawet łyka. Tak więc wylałyśmy wszystko na trawnik pod kliniką.

- Jak dużo Roy pani powiedział? Popatrzyła na niego ostro.

- Jaki Roy? Ach... pański kolega.

- Powiedział pani, dlaczego tu jestem?

Przeciągnęła palcami przez włosy i zmarszczyła czoło.

- Wspomniał coś o pańskiej siostrze i jej synu. - Spojrzała na niego zdezorientowana. - Że jest być może jakiś związek z... Tils.

- Przeczytałem tę pocztówkę tylko dlatego, że...

- Nieważne. Nic się nie stało.

- Nie rozumie mnie pani. Dostałem od siostry taką samą pocztówkę... moja siostra zaszła w ciążę w tej samej klinice. Po wielu latach prób...

- Tak jak Tils. - Kara przełknęła ślinę. - Clinica Baresi. - Jej oczy rozszerzyły się nagle i przechyliła głowę. - Co pan ma na myśli?

Pokręcił głową.

- Nie wiem, co myśleć. Ale to dziwne, prawda? Czy Matilda wspomniała kiedyś o kimś nazwiskiem Grimaldi? Franco Grimaldi?

Kara pokręciła głową.

- Nie.

Spytał, czy może zadzwonić. Wzruszyła ramionami i wskazała ręką w kierunku oszklonych drzwi.

- Chyba pójde się wykąpać - oświadczyła.

Machnął ręką, by sobie nie przeszkadzała, i poszedł do telefonu. Zajęło mu to ponad dziesięć minut, ale w końcu przebił się do Pragi. Musiał jeszcze poczekać, aż Janaćek podejdzie do aparatu.

- *Ne?* - odezwał się czeski detektyw.

- Mówi Joe Lassiter. Przyjaciel Jima Riordana.

- Oczywiście, pamiętam - odparł tamten. - Szczęśliwego Nowego Roku.

Joe opowiedział mu, co odkrył.

- Mam jedno pytanie do Jifiego Reinera: czyjego żona zaszła w ciążę w klinice płodności, a jeśli tak, to gdzie? Chcę wiedzieć, czy to była Clinica Baresi we Włoszech. - Wyjaśnił, skąd to pytanie.

- Przekażę je panu Reinerowi - obiecał Franz Janaćek. - Zadzwońisz ponownie?

- Jasne.

- Chwileczkę! Możesz zaczekać? Zadzwońię do niego z drugiego aparatu.

- W porządku. Czekam.

Przez kilka minut siedział ze słuchawką w dłoni, obracając w myślach elementy łamigłówek. Gdyby się okazało, że żona Reinera zaszła w ciążę w Clinica Baresi, schemat byłby jednoznaczny: ktoś wyszukiwał dzieci z powstałych tam ciąż i po kolei je likwidował. Rzeź niewiniątek. Ale dlaczego? Kiedy się nad tym zastanawiał, dobiegł do niego słaby głos Janacka, więc szybko przystawił słuchawkę do ucha.

- Hel-lo? Lassiter?

Joe uświadomił sobie, że wstrzymuje oddech.

- Tak?

- Jifi z początku nie chciał odpowiedzieć. Spytał, po co ci ta informacja.

- I co?

- Powiedziałem mu: Jifi... zamordowano ci rodzinę. Odpowiedz mi. A on stwierdził, że w związku z tą sprawą... źle się czuje... jako mężczyzna. W końcu wyjaśnił dlaczego. Bo jego żona nie zaszła w ciążę z nim, ale dzięki doktorowi. Musiałem go przycisnąć. Jakiemu doktorowi? Gdzie? Nie ufałem mu, więc nie powiedziałem mu nazwiska. Mógłby powiedzieć tak albo nie i wcale nie to mieć na myśli. W końcu powiedział: Clinica Baresi we Włoszech.

Lassiter wziął głęboki wdech.

- Hej! Nie... no... nie mogę uwierzyć.

- Jedziesz tam? Do kliniki?

- To mój następny przystanek.

Porozmawiali jeszcze chwilę i Lassiter obiecał informować Czecha na bieżąco. Kiedy odkładał słuchawkę, do kuchni weszła Kara Baker - w białym frotowym szlafroku wyglądała czyściusięńko i bardzo apetycznie. Dotknęła ramienia Lassitera i popatrzyła na niego wymownie - jej spojrzenie informowało, że nie ma pod spodem bielizny.

Sam się zdziwił, kiedy stwierdził, że kręci głową, zaskoczyła go własna obojętność. Kara była naprawdę wspaniała, ale zamiast wyciągnąć do niej ramiona, zrelacjonował, czego właśnie się dowiedział od Janacka, i podziękował za kawę oraz pomoc. Wstał.

- Nie umiem wyrazić, jak bardzo mi pomogłaś. Mogłoby to potrwać miesiące...

- Być może - odparła pozbawionym wyrazu głosem. Lassiter popatrzył na nią i westchnął.

- Muszę iść...

25

Stał w oknie hotelowego pokoju, trzymał w dłoni szklaneczkę z laphroaigiem i obserwował siekący podwórko w dole deszcz. Zdawał się żyć własnym rytmem, atakował okno falami, jakby noc oddychała - wdech... wydech... wdech... wydech.

Raz za razem, kiedy przez niebo mknęła błyskawica, noc wybuchała jaskrawym światłem. Podwórko nagle robiło się jasne jak teatralna scena i przez długą chwilę widać było walący o kałuże deszcz, mokre ściany błyszcząły, ukazywały się niewyraźne kontury budynków w głębi. Gdy błyskawica gasła, rozlegał się wybuch grzmotu - tak głośny, aż pokój drżał, a potem baryton huk trwał długie sekundy i milkł powoli.

Lassiter wsłuchiwał się w syk deszczu, potrząsał lodem w szklance i zastanawiał się nad wszystkim, czego się dowiedział. Mordowano dzieci poczęte we włoskiej klinice płodności. Robił to fanatyk religijny, który najwyraźniej pracował dla dziwaczego katolickiego ugrupowania o nazwie Umbra Domini.

W jakim stopniu była w to wszystko zamieszana Umbra Domini? To prawda, że tuż przed śmiercią Bepi zajmował się badaniem ugrupowania, ale co z tego? Lassiter nie musiał być jego jedynym klientem, Włoch bez wątplenia miał inne sprawy. Jeśli zaś chodzi o pobicie w Neapolu, Lassiter podejrzewał delia Torrego o jego zorganizowanie, ale znów - co z tego? Nie miał na to żadnego dowodu, jedynie podejrzenia. Grimaldi i delia Torre mieli identyczne buteleczki na wodę święconą, ale choć było to bardzo ciekawe, również niczego nie dowodziło. Może rozdawano takie buteleczki najwierniejszym członkom Umbry Domini - Niebieskim? Może woda była poświęcona przez delia Torrego albo papieża? Może pochodziła z Lourdes? Choć znów: co z tego?

Był także przekaz telegraficzny.

Przeznaczenie pieniędzy - a suma była duża - pozostawało nieznane. Mogły mieć związek z działalnością Grimaldiego dla Salve Caelo, handlem bronią albo przekupywaniem Serbów - można się było jedynie domyślać, do czego służyły. Przekazu telegraficznego dokonano tuż przedtem, zanim rozpoczęła się seria zabójstw dzieci, ale to, że morderstwa zaczęły następować zaraz po przesłaniu pieniędzy, nie dowodziło związku przyczynowego. Byłby to klasyczny błąd logiczny: *Post hoc, ergo propter hoc* - „Po tym, a więc skutek tego”.

Lassiter popijał szkocką, rozkoszując się jej smakiem i zapachem. Wiedział znacznie więcej niż

miesiąć temu, ale wciąż zatrzymywał się na zasadniczym pytaniu: dlaczego?

Tego w dalszym ciągu nie wiedział i, co gorsza, zupełnie nie umiał sobie wyobrazić, dlaczego ktokolwiek - tym bardziej ktoś wierzący - miałby zacząć pasmo morderstw, których ofiarami były dzieci.

Jeśli zaś chodzi o Umbrę Domini, to dlaczego zakon religijny - bez względu na to, jak reakcyjny - miałby prowadzić wojnę z dziećmi? W swoim programowym biuletynie protestowali co prawda przeciwko nowoczesnym technikom sztucznego zapładniania i wielu innym sprawom, ale trudno było się w tym doszukiwać imperatywu zabijania. Musiało chodzić o coś innego - znacznie bardziej mrocznego. Tylko o co?

Noc pulsowała. Zaskwierczała kolejna błyskawica i pokojem znów wstrząsnął grzmot. Lassiter chodził po pokoju i popijał whisky. Bez względu na to, jak brzmiała odpowiedź, najbardziej prawdopodobnym miejscem, w którym się kryła, była Clinica Baresi. Oznaczało to lot do Rzymu z samego rana, wypożyczenie samochodu i trzy godziny jazdy do Montecastello. Wynajmie pokój w „Pensione Aquila” i stamtąd zacznie poszukiwania.

Wyjął z szafy notebook i zapisał kilka informacji, dotyczących zabójstw Hendersonów i rodziny Pena. Zapisał plik na twardym dysku, zaszyfrował go, podłączył telefon do modemu i przesłał zakodowane dane do komputera w swoim domu. Potem wysłał e-mail do Judy, informując ją, gdzie będzie przez najbliższe dni.

Gdy przejeżdżał przez średniowieczną bramę Todi - ślicznego miasteczka przycupniętego na stromym zboczu wzgórza, wznoszącego się nad płaskowyżem Umbrii, zbliżało się wpół do czwartej. Poinformowano go, że może dostać mapę okolicy w biurze turystycznym, mieszczącym się w jednej z przecznic odchodzących od głównej ulicy, ruszył więc w jej stronę, kierując się znakami z napisem CENTRO. Popędzany przez niecierpliwego taksówkarza, który akurat jechał za nim, skręcał co chwila w coraz węższe uliczki, i w końcu wyjechał na Piazza del Popolo.

Była to ogromna przestrzeń szarego kamienia, otoczona trzynastowiecznymi *palazzi*, zbudowanymi z tego samego materiału. Lassiter minął skupisko tablic i wjechał na znajdujący się u szczytu urwiska parking z widokiem na północ, ku Perugii.

Kiedy pracownik w zielonym mundurze poprosił go o pieniądze, Lassiter, niczym najgłupszy turysta, wyciągnął rękę pełną banknotów, by Włoch wziął tyle, ile uważa za stosowne. Parkingowy odliczył sześćset lirów, a potem delikatnie ujął czubkami palców stulirowy banknot, uniósł brwi i wskazał na swoją pierś. Lassiter zrozumiał - napiwek - i skinął głową. Mężczyzna zanotował coś na kawałku białego papierka i wsunął go za wycieraczkę.

- Biuro turystyczne? - spytał Lassiter.

- Ach... *si* - odparł mężczyzna. - *Si, si* - powtórzył i zaczął trzyminutową perorę, złożoną z wypowiedzianych w błyskawicznym tempie słów, którą zakończył węzowym ruchem nadgarstków. - *Szu-szu-szu* - powiedział, wznosząc dłonie wnętrzem do góry, jakby coś na nich pokazywał. - *Ecco!*

Lassiter był bardzo zdziwiony, gdy kierując się tymi wskazówkami, których tak naprawdę nie rozumiał, dotarł prosto pod drzwi biura. Pracownica właściwie nie mówiła po angielsku, ale w lot rozumiała, o co chodzi. Poruszając się szybko między szafami z aktami, błyskawicznie skompletowała zestaw składający się ze szczegółowej listy siedzib Umbrii, planu Todi i mapy okolic - w tym Montecastello - oraz zestawienia odbywających się tam festiwali, niedużego plakatu z herbem miasta i czterech pocztówek z widokami z regionu.

Lassiter podziękował, po czym wziął z biurka papier i długopis i napisał: CLINICA BARESI -

MONTECASTELLO?

Na widok tych słów kobieta zmarszczyła czoło i rozpoczęła skomplikowaną pantomimę. Wyciągnęła ręce w górę, skrzyżowała je i rozłożyła na boki, a potem zakasłała i przetarła oczy. Na koniec powiedziała głośno: PUFFF!

Joe nie miał pojęcia, co próbuje mu powiedzieć, uśmiechnął się jednak i udał, że rozumie.

- *Si, si* - odparł. - Żaden problem.

Kobieta popatrzyła na niego sceptycznie i wzruszyła ramionami, ale zaznaczyła drogę do kliniki oraz do „Pensione Aquila” na mapie i oddała mu ją.

- *Buona sera* - powiedziała na zakończenie.

Lassiter odebrał samochód od mężczyzny w zielonym mundurze, rozłożył mapę na fotelu pasażera i ruszył we wskazanym kierunku. Droga sprowadziła go w dół wzgórza, potem przejechał przez bramę i wyjechał między pola. Po kilkunastu zakrętach znalazł się na całkowicie płaskim terenie, przez który przepływała nieduża rzeka. Jadąc wzdłuż niej, jakieś osiem kilometrów dalej dotarł do najważniejszego punktu orientacyjnego - stacji benzynowej Agip. Rzeka miała w tym miejscu najwyżej piętnaście metrów szerokości, ale z mapy wynikało, że to potężny Tybr, co potwierdzał po włosku znak przed mostem: TEVERE.

Joe skręcił w lewo i przejechał kilka dalszych kilometrów, aż minął grupę niebieskich pojemników na śmieci, a potem szkółkę leśną. Widok posadzonych w równych szeregach drzewek - prawdopodobnie był to materiał hodowlany - sprawiał dziwne wrażenie. Za szkółką był rozjazd. Lassiter zjechał na pobocze i przyjrzał się mapie. Z prawej miał Montecastello - otoczone murem miasteczko, zbudowane na wysokiej, kopulastej skale, usytuowane jakieś dwieście pięćdziesiąt, trzysta metrów nad dnem doliny. Wyglądało tak samo jak na pocztówce, która spadła z lodówki Kary Baker - zdjęcie musiało zostać zrobione ze znajdującego się gdzieś niedaleko miejsca.

Pracownica biura turystycznego zaznaczyła, by jechał w lewo, więc zastosował się do tej wskazówki. Droga łagodnie się wznosiła - mijał zimowe rzyska pól uprawnych, gaje drzew oliwkowych i nieliczne skromne domy.

W końcu dotarł na miejsce. Z lewej strony stały dwie potężne kamienne kolumny, połączone płataniną wyschniętej roślinności. Z wysięgnika z kutego żelaza zwisała tablica, na której eleganckimi literami napisano: CLINICA BARESI. Wzdłuż długiego, wysypanego żwirem podjazdu, który zakręcał kawałek wyżej, rosły wysokie, smukłe cedry. Joe minął kolumny i kilkaset metrów dalej znalazł się na szczycie wzgórza.

W tym momencie ujrzał klinikę i poczuł się, jakby wbito mu nóż w serce.

Gdyby nie zbudowano jej z tego samego szarego kamienia co kolumny w dole drogi, z budynku nie pozostałoby nic poza poczerniałymi szczątkami. To właśnie chciała mu przekazać kobieta z biura turystycznego.

Dym. Ogień. PUFFF!

O ile było to możliwe w przypadku budynku zbudowanego z kamienia, Clinica Baresi spłonęła niemal do fundamentów. Tam, gdzie gorąco skruszyło zaprawę, kamienie pospadały na ziemię, tworząc poczerniałe sterty, w efekcie czego po wschodniej ścianie nie zostało nic poza szarym kominem, otoczonym osmalonymi gruzami. Zachodnia strona była mniej więcej cała, ale pozbawiona dachu. Bez dachu, okien i drzwi klinika wyglądała na zniszczoną znacznie dawniej, niż nastąpiło to w rzeczywistości.

Lassiter wysiadł z samochodu i wbił wzrok w ruinę.

Widok spalonego budynku przypominał mu straszliwy poranek, gdy zajechał pod dom Kathy, powietrze przepełnione smrodem spalonego plastiku i poddanego działaniu ognia metalu. Dokładnie pamiętał tamten widok - zwęglony szkielet poczerniałych belek i splątanego, osmalonego żelaza.

Spalona klinika przypominała mu także rozkopany grób Brandona. Choć policja zrobiła, co mogła, pozostały ślady: przewrócony nagrobek, wrzucone do dziury w ziemi kwiaty, kilka smug sadzy na czerwonej ziemi, garść rozsypanego popiołu...

Joe poczuł sunący w dół kręgosłupa lodowaty dreszcz i opanowało go wrażenie bezradności. Oparł się o samochód, jakby masa auta mogła go wesprzeć. Ogarnęło go nieміłe wrażenie, że gdziekolwiek się skieruje, natrafia na spaloną ziemię.

Zniszczenie kliniki mogło oznaczać ostateczny koniec śledztwa. Nareszcie znalazł konkret, coś łączącego śmierć siostry ze śmiercią innych kobiet, pierwszy wspólny mianownik w tej sprawie - i zniszczył go ogień.

Westchnął ciężko, czując, jak narasta w nim przygnębienie. Po raz pierwszy od śmierci siostry i Brandona zaczął wątpić, czy kiedykolwiek się dowie, dlaczego ich zabito.

Niezdecydowanie wrócił do rozstaju dróg i skręcił w lewo, by pojechać w górę, do Montecastello i „Pensione Aquila”. Słońce właśnie zachodziło i z daleka miasto wyglądało na tle płonącego nieba jak forteca.

Droga, najpierw łagodnie, potem coraz ostrzej, zaczęła się wznosić, zakreślając elegancką spiralę, prowadzącą ku murom położonego na szczycie miasta. Joe zmienił bieg z trójki na dwójkę, potem z dwójki na jedynkę i obserwował, jak wzrasta temperatura wody w chłodnicy. Po dziesięciu długich minutach dotarł do płaskiego terenu tuż pod murami.

Był w miejscu, które można było chyba określić mianem „poczekalni”. Urządzono tu mały park z ładną fontanną, w cieniu sosen siedziały matki z dziećmi w wózkach, na skraju w zbocze wzgórza wpiło się kilka domów. Resztę płaszczyzny zajmował parking, pięć miejsc było zarezerwowanych dla „Pensione Aquila”. Lassiter wjechał na jedno z nich, zgasił silnik i wysiadł. Nieopodal, na zardzewiałym metalowym słupie, wisiała czerwona skrzynka z dużym, białym, ręcznie namalowanym napisem MAPA. Joe podniósł pokrywę skrzynki i wyjął ze środka sztywny kartonik.

Po jednej stronie znajdowała się mapka, wskazująca, jak dotrzeć do pensjonatu, po drugiej - dwuczęściowy rysunek. Na pierwszym uśmiechnięty od ucha do ucha boy hotelowy w pasiastych spodniach i kapeluszu z napisem AQUILA schodził właśnie z parkingu, trzymając w każdym ręku po dwie walizki, a piątą pod lewą pachą. Drugi rysunek ukazywał tego samego boya w holu hotelowym, kłaniającego się nisko nobliwej starszej damie. Walizki stały tuż obok w równym szeregu. Ale Lassiter nie potrzebował usług boya.

Z mapą w ręku podszedł spacerkiem do skraju parkingu i wyjrzał w przepaść. W dole widać było wijącą się ciemną tasiemkę rzeki, a w dali migoczące światłami Todi. Gdzieś z bliska dolatywały dziecięce krzyki i Joe ze zdumieniem dostrzegł tuż pod sobą nieduże boisko piłkarskie, na którym odbywał się właśnie mecz, rozgrywany przez dwie sześciuosobowe drużyny chłopaków.

Boisko zrobiono tak, że mniej więcej połowa znajdowała się na wypoziomowanym fragmencie zbocza, a połowa na sztucznej, podpartej palami platformie. Wokół niej rozciągnięto na metalowych słupach czarną siatkę, mającą uniemożliwić spadnięcie piłki w przepaść.

Lassiter miał ochotę zatrzymać się tu na kilka minut, by popatrzeć, robiło się jednak coraz ciemniej i uznał, że powinien dotrzeć do pensjonatu, póki jeszcze widzi drogę.

Najwyraźniej samochody nie miały prawa wjazdu do miasteczka i zrozumiał dlaczego, gdy minął

zwieńczoną łukiem bramę. Po prostu nigdzie by się tu nie zmieściły. Przeszedł przez ciasny tunel, wycięty w murach obronnych, i wyszedł u stóp „Via Mayore” - schodów prowadzących do średniowiecznej uliczki, tak wąskiej, że gdyby wyciągnął ręce na boki, dotknąłby ścian domów. Kawalek dalej uliczka znów przemieniała się w tunel, który przebijał parter szarego kamiennego budynku i wychodził po drugiej stronie na mikroskopijny placyk.

Lassiter szedł cały czas pod górę i zanim doszedł do pomalowanego jasnymi kolorami owalnego szyldu, ciężko dyszał. Przymocowana obok masywnych drewnianych drzwi tablica informowała:

PENSIONE AQUILA

Joe był zaskoczony. Pensjonaty to zwykle skromne domy, ale „Aquila” mieściła się w eleganckim budynku, czymś w rodzaju niedużego pałacu.

Na rzeźbionych drzwiach widniał napis WEJŚCIE i Lassiter wszedł do oszczędnie umeblowanego holu z marmurową podłogą. Na ścianach wisiało kilka gobelinów, pod jedną z nich stał wspianały, czarny jak smoła fortepian, a na podłodze leżały stare, orientalne dywany. Za ogromnym, ale prawie pustym biurkiem - i znajdował się na nim jedynie okrągły metalowy stojak na pocztówki i oprawna w skórę księga meldunkowa - siedział mężczyzna około pięćdziesiątki. Miał siwe kręcone włosy i był ubrany w granatowy blezer ze złotym herbem. Był niemal teatralnie przystojny.

- *Pręgo?* - spytał.

Lassiter podszedł do biurka, jeszcze lekko dysząc od wspinaczki. Jego żebra boleśnie pulsowały.

- Joe Lassiter - przedstawił się.

Kiedy szukał włoskiego słowa „rezerwacja”, mężczyzna powiedział z doskonałym angielskim akcentem:

- Witamy w „Aquila”. Ma pan jeszcze jakiś bagaż? Mogę posłać Toniego.

- Pan mówi po... angielsku? - wyrzucił z siebie zdumiony Lassiter.

- No tak... mówię. Tak naprawdę jestem Anglikiem. Z po - j chodzenia.

- Przepraszam. Zaskoczył mnie pan.

- Większość ludzi jest zaskoczona. W Montecastello nie słyszy się zbyt często angielskiego języka, choć w lecie... jesteśmy | zalewani ludźmi z Chiantishire.

Lassiter roześmiał się.

- Z krainy chianti? Z Toskanii?

- Właśnie. Wtedy na odmianę nie słyszy się nic poza angielskim. Przynajmniej w sierpniu. - Uśmiechnął się. - Zazwyczaj nie mamy zbyt wielu turystów, a już w styczniu... - przerwał, by dać Lassiterowi okazję wyjaśnienia, dlaczego przybył do Montecastello w tak nierozsądnej porze roku. Joe odwzajemnił uśmiech, ale nic nie powiedział. - No to świetnie! Gdyby był pan uprzejmy wpisać się tutaj i dać mi na kilka godzin paszport, to zaprowadzę pana do pokoju. - Przekreślił księgę, otworzył ją na stronie z ostatnim wpisem i podał Lassiterowi długopis.

To, że mężczyzna mówił po angielsku, było szczęśliwym zbiegiem okoliczności. Mógł coś wiedzieć o Clinica Baresi i prowadzącym ją lekarzu. Najpierw jednak Lassiter potrzebował prysznic i nieco czasu do zastanowienia się nad wszystkim.

Ruszył za recepcjonistą, który nalegał na wzięcie od niego bagażu, i poszli szerokim korytarzem. Na ścianach wisiały kinkiety w kształcie orłów, które w szponiastych łapach trzymały grube białe świece.

Pokój, do którego go zaprowadzono, był duży, wysoki i umeblowany antykami. Recepcjonista

wskazał na nadjedzoną przez korniki komodę.

- Tam jest telewizor.

Choć pokój był stary, wyposażono go w nowoczesne grzejniki i miał równie nowoczesną łazienkę z marmurową podłogą. Zamontowano w niej nawet podgrzewany wieszak na ręczniki, a na haczyku na drzwiach wisiał bielusiński szlafrok.

- Jest pan zaskoczony - stwierdził recepcjonista.

- Bardziej niż zaskoczony.

Mężczyzna otworzył zasłonięte oszklone drzwi, które prowadziły na niewielki balkon. Wyszli na zewnątrz. Było ciemno, jedynie na horyzoncie niebo przecinała pozioma, nieco jaśniejsza fioletowa kreska.

- Jeśli powietrze jest czyste jak dziś - powiedział recepcjonista - widać stąd Perugię. - Machnął ręką w kierunku smugi w oddali. - Tam.

Weszli z powrotem do pokoju i mężczyzna ruszył do wyjścia, ale przed drzwiami zatrzymał się i odwrócił do Lassitera.

- Gdyby pan potrzebował faksu albo kopiarki, są do pana dyspozycji. Jeśli w tej czarnej torbie jest komputer, w gniazdko przy biurku jest wbudowany stabilizator napięcia. Czy... życzy pan sobie zjeść kolację? Jeśli nie ma pan ochoty jechać do Todi albo Perugii, może pan zjeść u nas. Podajemy o ósmej.

- Dziękuję, chętnie skorzystam z pańskiego zaproszenia.

Kiedy kończyli gnocchi, Lassiter sporo już wiedział o Nigelu Burlingamie - przystojnym mężczyźnie, który go przyjmował - i jego towarzyszu, Hugh Cockayne'u. Hugh również miał jakieś pięćdziesiąt lat i był tak przyjacielski i usługowy, jak Nigel przystojny. Wysoki i patykowaty, zdawał się składać głównie z nosa, uszu i rzednących włosów.

Byli parą oksfordzkich gejów i w latach sześćdziesiątych przyjechali do Włoch malować.

- Ale oczywiście byliśmy okropnymi malarzami - stwierdził wesoło Hugh. - Prawda, Nige?

- Owszem.

Przez jakiś czas mieszkali w Rzymie, a po śmierci ojca Nigela („umarł na apopleksję, zdaje się”), kupili winnicę w Toskanii.

- I jak wam poszło? - zapytał Joe.

- To było jeszcze gorsze od malarstwa - oświadczył Nigel.

- Kurz...

- Pot...

- Pamiętasz komary? Nigel roześmiał się.

- I ich zęby jak poszczerbione szkło!

- *A viperi!*

- Żmije? - spytał Lassiter.

- Właśnie... - przytaknął Hugh. - Bardzo groźne, choć każdy miał w lodówce antidotum. Były nie tylko na ziemi. Wspinały się na winorośle. Zbieracze byli przerażeni, prawda, Nige?

- Mhm...

- Pamiętam, jak kiedyś kogoś oprowadzałem... no wie pan: „A oto nasze winogrona *sangiovese*. Pochodzą z... Zasadziliśmy je w... „- i tak dalej. Podnoszę kiść winogron i nagle - Boże! - staję twarzą w twarz... zaraz! Twarzą w co? Twarzą w łeb? - Hugh odwrócił się do swojej przystojniejszej połowy. - Czy węże mają twarze?

Zaczęli dyskutować o tym, co trzeba mieć, by mieć „twarz”, i po chwili Nigel głęboko westchnął.

- Cóż, w każdym razie taka była ta nasza winnica.

- Nie mogliśmy sobie też poradzić z robotnikami - dodał Nigel. - Toskania została zalana emigrantami i winnica zesłała na...

- Poza tym to była cholernie ciężka robota. - Hugh skrzywił się i popatrzył na swego partnera. - A my nie jesteśmy stworzeni do ciężkiej roboty, prawda, Nige? No, takiej naprawdę ciężkiej.

Rozmowa toczyła się dalej w podobnym stylu, od czasu do czasu Hugh sprzątał talerze, a Nigel podawał nowe danie. Po gnocchi jedli pieczone na grillu baranie kotlety, następnie zieloną sałatę, owoce, na koniec wypili po szklaneczce *digestivo*.

Lassiter z przyjemnością słuchał obu Anglików. Nie zamierzał psuć kolacji swoją smutną opowieścią, ale w końcu stwierdził, że gospodarze przyglądają mu się wyczekująco.

- Zastanawiacie się, co tu robię? - zapytał. Nigel popatrzył na Hugh.

- Cóż... nie jesteśmy wścibscy, ale... tak. Ciekawi nas to.

- Troszeczkę - dodał z uśmiechem Hugh.

Z utrzymanego w rękę kieliszka Lassiter upił łyk Fernet Branca.

- Jeśli szuka pan nieruchomości - oświadczył Nigel - powiem od razu, że szkoda pieniędzy.

Lassiter pokręcił głową.

- Miałem nadzieję odwiedzić Clinica Baresi. Nigel syknął.

- Obawiam się, że nie ma pan szczęścia.

- Wiem. Widziałem ją dziś po południu. Kiedy to się stało?

- To było w... kiedy, Hugh? W sierpniu? Pod koniec lipca? W każdym razie w sezonie.

- Jak do tego doszło? - spytał Lassiter, choć znał odpowiedź.

- Podpalenie, prawda, Hugh?

- Chyba tak... Nie było żadnych dzieci ze świeczkami, petardami czy coś w tym rodzaju. Budynek pochodził z szesnastego wieku, przynajmniej jego starsza część. Dawniej był klasztorem.

- Przetrwał tyle stuleci i nagle... - Nigel pstryknął palcami - spalił się do fundamentów.

- Zawodowa robota. Nie zostało nic poza kamieniami. Cóż... sam pan widział. Zaprawa wyparowała. Ogień miał taką temperaturę, że niektóre kamienie popękały. Strażacy nie mogli podejść.

- Ktoś był w środku?

- Nie. To szczęście w nieszczęściu. Klinika była już zamknięta. - Hugh zapalił papierosa od płomienia świecy.

- Dlaczego?

- Baresi, lekarz, który ją prowadził, był już bardzo chory. Kiedy nie mógł pracować, działalność kliniki została zawieszona. Była nieczynna wiele miesięcy przed pożarem.

- Mógłbym się może spotkać z tym doktorem Baresim? Nigel i Hugh pokręcili jednocześnie głowami.

- Nieco za późno - stwierdził Nigel.

- Zmarł kilka miesięcy temu - wyjaśnił Hugh.

- Rak płuc - powiedział Nigel i ruchem wymanikiurowanej dłoni rozwiał dym z papierosa Hugh.

- Brakuje nam klientów z kliniki, choć jeśli popularność Todi będzie rosła w takim tempie jak dotąd, chyba wrócimy do obrotów z jej czasów... kiedyś.

- Jak to: „klientów z kliniki”? - zdziwił się Lassiter.

- W klinice nie było łóżek pobytowych, więc kobiety, które tam przyjeżdżały, mieszkaly u nas. Zaskoczenie Lassitera rozbawiło obu Anglików.

- Nie był to aż taki przypadek... - powiedział Hugh ze śmiechem. - W sumie jesteśmy w miasteczku jedyną możliwością.

- Mieliśmy umowę - dodał Nigel.

- Pacjentki doktora Baresiego miały specjalną stawkę i troskliwie się nimi zajmowaliśmy. Odbieraliśmy je z lotniska, organizowaliśmy transport, takie rzeczy.

- Poza tym nie były przecież chore - stwierdził Nigel. - Nie potrzebowały pobytu w szpitalu.

- A więc znaliście doktora?

Nigel i Hugh popatrzyli po sobie. Nigel pokiwał głową.

- Współpracowaliśmy, choć nie powiedziałbym, że byliśmy przyjaciółmi. W żadnym wypadku.

Hugh oparł się wygodnie.

- Nigel chce powiedzieć, że doktor był trochę homofobem.

- Ale jego pacjentki mieszkaly u was?

- Cóż... tak, w Montecastello nie ma wyboru. Mogły co prawda mieszkać w Todi, ale my byliśmy wygodniejsi. A jeśli chodzi

o Baresiego, rzadko go widywaliśmy.

Hugh zaczął zbierać naczynia. Okręzał stół, brał talerz po talerzu i stawiał go na tacy, którą balansował na przedramieniu, wykonując baletowe ruchy. Kiedy skończył, zatrzymał się z wysoko uniesioną tacą.

- Myślę, że *U dottore* mógł być jednym z nas - powiedział z uśmiechem. - Nigdy nie był żonaty. Żadnej kobiety. Zawsze elegancko ubrany. Zamiłowanie do antyków. Maleńki piesek.

1trzymał się od nas z daleka. Wszystko pasuje. Takie typy są najbardziej zażartymi homofobami.

- Jakie typy?

- Schowane w szafie - odparł Hugh, obrócił się na pięcie i ruszył do kuchni.

Nigel popatrzył za nim, po czym zwrócił się do Lassitera:

- Przykro mi. Musi pan być rozczarowany. Czy chodziło o... - przerwał i pokręcił głową. - Chyba nie powinienem pytać.

- O co?

- No wie pan... o pańską żonę. Przyjechał pan najpierw sam, by wszystko wy badać? Zamierzaliście... spłodzić dziecko? - Zasłonił oczy dłonią. - Proszę mi wybaczyć. Jestem zbyt ciekawy i mam złe maniery. Moi rodzice pewnie przewracają się w grobie.

- Nieważne - odparł Lassiter. - Nie chodziło o to. Nie mam żony.

Nigel odetchnął z ulgą.

- Cieszę się. To znaczy, że przynajmniej nie został pan pozbawiony nadziei.

Lassitera zainteresowała odpowiedź Nigela.

- Czy klinika Baresiego była... nie wiem, jak to określić... czymś w rodzaju ostatniej szansy dla niektórych par?

Nigel opadł na oparcie krzesła.

- Cóż, podejrzewam, że moje rozumienie misterium prokreacji jest nieco ograniczone ze względu na brak osobistego punktu odniesienia, ale nie powiedziałbym, że klinika była miejscem ostatniego ratunku. To nie Tijuana ani nic w tym stylu. Choć uważano, że staruszek był rewelacyjny, należał do innej ligi. Miał pacjentki z całego świata: z Japonii, z Ameryki Południowej... zewsząd. I większość

z nich wyjeżdżała stąd szczęśliwa.

- Czyżby? Na czym polegały szczególne umiejętności doktora?

Nigel zmarszczył czoło.

- Nie wiem. Jak powiedziałem, niezbyt się tym interesowałem. Kobiety rozmawiały jednak ze sobą o swoich problemach i twierdziły, że Baresi jest naprawdę skuteczny. Dokonał jakiegoś przełomu technicznego. Z jajami. - Nigel wzruszył ramionami. - Tylko tyle wiem.

- Nienawidzę określenia „jajo” - oświadczył Hugh, który właśnie wrócił z kuchni. - Co to za przyjemność wyobrazić sobie siebie jako jajo! - Skrzywił się. - Jakbyśmy byli kurami. Głupimi, masowo hodowanymi kurami! - Przerwał i znów się skrzywił. - Nige, nie mów „jaja”. To się nazywa „oocyt”.

- Naprawdę? - Nigel wyglądał na zaskoczonego.

- // *dottore* był między innymi pionierem metody, pozwalającej oocytom wytworzyć taki... pancierz... który w normalnym przypadku wytwarzają, kiedy ich ścianę przebił plemnik. Pancierz, który nie dopuszcza kolejnych plemników. Bo przecież... - uniósł ręce jak bokser, który wygrał walkę - zwycięzca już został wybrany!

Nigel wyglądał na przerażonego.

- W każdym razie - kontynuował Hugh - ten „pancierz” nie tylko powstrzymuje plemniki przed wniknięciem do środka, ale sprawia także, że oocyt wchodzi w niezwykle płodne stadium. Jest gotowy do rock and rolla, rozumie pan?

- Nie wiedziałem, że jesteś w tych sprawach tak dobrze poinformowany - mruknął Nigel, a potem odwrócił się do Lassitera i wyjaśnił: - Niektóre panie... biedactwa... bardzo potrzebowały jego sympatii i potrzymania za rękę.

Hugh kiwnął głową i zapalił papierosa.

- Zwłaszcza Hana.

- Jedna z naszych Czeszek - dodał Nigel.

- Była taka przestraszona i taka milutka... opowiedziała mi o wszystkim, absolutnie o wszystkim.

- Hana Reiner - powiedział cicho Lassiter. - Z Pragi.

- Zna ją pan? - spytał zaskoczony Hugh.

- Nie. Nigdy jej nie spotkałem - odparł Lassiter.

Jego prawa ręka leżała na stole, światło świecy rzucało niewyraźny cień na obrus. Joe, nieobecny duchem, patrzył na ten cień, a jego dłoń zaciskała się w pięść i rozluźniała. Cień wyglądał jak mroczny ptak, próbujący rozwinąć skrzydła.

- Ale... - zaczął Hugh. - W takim razie...

- Ona nie żyje. Hana Reiner nie żyje.

26

- Nie wierzę - wymamrotał Hugh, kiedy Lassiter skończył wyjaśniać, co go przywiodło do Montecastello. Gwałtownie zaciągał się papierosem i powoli kręcił głową.

Nigel spoglądał to na jednego, to na drugiego.

- O co w tym wszystkim chodzi? - zapytał.

- Miałem nadzieję, że w klinice jest coś, co... nie wiem... coś, co by wyjaśniło... - powiedział Lassiter. - A co z domem Baresiego? Może miał tam biuro i...

Hugh pokręcił głową i wyjaśnił, że doktor mieszkał w przybudówce kliniki. Kiedy się spaliła, z

dymem poszła również przybudówka i wszystko, co było w środku.

- Obawiam się, że nic nie zostało. Absolutnie nic.

- *Pas des cartes, pas des photos, et pas des souvenirs* - dodał Nigel.

- A co z pielęgniarkami? - spytał Lassiter. - Musiały wiedzieć...

- Nie było pielęgniarek. - Hugh zgasił papierosa. - Miał dwie laborantki, ale wątpię, by mogły okazać się w czymkolwiek pomocne.

- Laborantki? Chce pan powiedzieć, że facet prowadził klinikę i nie miał pielęgniarek?

- Był bardzo skryty, nie lubił ujawniać swoich tajemnic. Poza tym nie była to klinika w zwykłym znaczeniu tego słowa. Nic w stylu pan-doktor-tu-rządzi. Nie było tu tłumów pacjentów. To w ogóle nie był szpital. Raczej... ośrodek badawczy, prawda, Nigel?

- Mhm.

- Nie sędzę, by starszy pan przyjmował rocznie więcej niż pięćdziesiąt, może sześćdziesiąt pacjentek... choć z tego, co mówiono, wynikało, że gdyby chciał, mógłby mieć ich pięć razy tyle.

- Co robiły laborantki?

- Jedna sprzątała, czyściła wszystko i tak dalej. Druga chyba rzeczywiście pracowała w laboratorium, ale zdaje się, że nie widzieliśmy jej od pożaru. Prawda, Nigel?

- Prawda. Chyba ten pożar ją stąd wypłoszył. Ktoś mówił, że pojechała do Mediolanu.

Lassiter zmarszczył czoło i przez chwilę milczał, zastanawiając się nad czymś.

- Nie było nikogo więcej? Żadnych przyjaciół? Krewnych? Hugh popatrzył na Nigela.

- Nie sędzę. Nie do końca. Choć... może pan porozmawiać z księdzem.

- Oczywiście! - wykrzyknął Nigel. - *Padre*.

- Nie sędzę, by tak naprawdę byli przyjaciółmi...

- Ale grali w szachy na placu, nie? I czasem wypijali razem szklaneczkę...

Hugh skinął głową.

- Masz rację, Azetti byłby idealny.

- Jaki on jest? - spytał Lassiter.

- Żyje na uboczu - odparł Hugh. - Jest podejrzliwy. Miejscowi nie bardzo go lubią.

- Mówią, że jest trochę bolszewikiem - dodał Nigel i stłumił ziewnięcie. - Moim zdaniem właśnie dlatego tu jest.

- Mimo wszystko warto spróbować z nim porozmawiać - stwierdził Hugh. - Na dodatek dość dobrze mówi po angielsku.

- Poszukam go z rana - oświadczył Lassiter. - Gdzie go można znaleźć?

- W kościele. Na placu. Jeśli pochodzi pan trochę po miasteczku, w końcu dotrze pan tam. To nieuniknione.

Cała trójka wstała i Hugh powiedział, że skończy zmywać. Nigel dał ręką znak Lassiterowi, by za nim poszedł, i poprowadził go korytarzem, gasząc po drodze świece. Weszli do holu z recepcją, Anglik podszedł do biurka i spytał, czy Lassiter chce rano budzenie.

- Nie, dziękuję, mam budzik.

- W porządku. Ale mam tu coś dla pana... - Nigel otworzył leżącą na biurku, oprawną w skórę księgę, przewrócił kilka kartek i popatrzył na Lassitera. - To nasz rejestr gości. Jest prowadzony od dnia, kiedy otworzyliśmy pensjonat... mieliśmy wtedy wyremontowane jedynie trzy pokoje gościnne. Hughie kazał zrobić tę księgę w Gubbio. - Zamknął tomiszcze, by Lassiter mógł ocenić jakość wykonania i obejrzeć okładkę z ręcznie wykończonymi, malowanymi na złoto i zielono brzegami oraz

wspaniałym, tłoczonym orłem, trzymającym w szponach tablicę z napisem: AQUILA. Przeciągnął palcami po powierzchni, po czym otworzył rejestr na pierwszej stronie.

- Dwudziestego dziewiątego czerwca - przeczytał - tysiąc dziewięćdziesiąt osiemdziesiąty siódmy rok. Nasz pierwszy gość. Pan Vassari. Mieszkał dwa dni.

- Piękna księga - stwierdził Lassiter.

- Prawda? Ale chciałem ją panu pokazać dlatego, że są w niej wpisani wszyscy nasi goście. Nazwisko i adres, numer telefonu, czas pobytu. Jakiś czas temu szukałem wpisu dotyczącego pańskiej siostry i kiedy go znalazłem, przypomniałem ją sobie. Była spokojna. Dużo czytała. Poprosiła o mój przepis na babeczki. - Pokręcił ze smutkiem głową. - Proszę. - Otworzył księgę w pierwszej połowie. - Niech pan spojrzy.

Joe spojrział i zobaczył - zrobiony pięknym charakterem pisma - wpis dotyczący Kathleen.

Kathleen Lassiter - CB 207 Keswick Lane Burke, VA - USA 703-347-2122 Przyj.: 21.04.91.

Wyj.: 23.05.91.

Mieszkała tu przez trzydzieści dwa dni. Nie przypominał sobie, by trwało to tak długo. No, ale w końcu pracował - zawsze był cholernie zajęty.

- Co to? - spytał, wskazując na literki CB.

- Clinica Baresi. Musimy mieć informację o rodzaju rabatu. Mamy także inne wpisy. BT oznacza biuro turystyczne w Todi, AVM to Agencja Viagge Mundia - przedsiębiorstwo turystyczne.

Lassiter skinął głową.

- Są tutaj wszyscy nasi goście z kliniki - powiedział Nigel. - Niech pan patrzy.

Nagle Joe zrozumiał, o co Anglikowi chodzi.

- Czyli Hana Reiner...

-Hana, pańska siostra - wszystkie.

Lassiter z nadzieją pomyślał, że być może uda mu się wreszcie odkryć coś, co wskaże na związek siostry z innymi ofiarami. Może ich wizyty się na siebie nakładały...

- To będzie paskudnie nudna robota, ale można sporządzić osobną listę pacjentek kliniki - dodał Nigel.

Joe doskonale wiedział, jak nużące będzie przeglądanie księgi, wyszukiwanie wpisów CB i sporządzanie listy. Nie miał jednak wyboru.

- Cóż... - mruknął Anglik i zaczął zbierać się do wyjścia.

- Jeszcze jedno... - zatrzymał go Joe. - Mógłby mi pan powiedzieć, kiedy otworzono klinikę?

Nigel zmarszczył czoło.

- Hmm... nie wiem dokładnie. W dziewięćdziesiątym albo dziewięćdziesiątym pierwszym. Coś koło tego. - Powiedziawszy to, pomachał palcami w powietrzu, odwrócił się i ruszył w głąb korytarza.

Lassiter mozolnie przebijał się przez rejestr, aż znalazł pierwszą pacjentkę kliniki. Była nią Anna Vaccaro, kobieta z Werony, która przyjechała trzeciego maja 1990 roku. Została w „Aquila” siedem dni.

Kilka minut później Lassiter poszedł do swego pokoju, wziął notebook i wrócił do recepcji. Utworzył plik *cbgość.lst* i zaczął wpisywać nazwiska, adresy i daty. Wkrótce odkrył nie jeden schemat, a wiele. Niemal wszystkie kobiety pozostawały w pensjonacie przez pięć dni albo tydzień, było jednak kilka takich, które - jak jego siostra - mieszkały tu znacznie dłużej - trzydzieści dni lub nawet więcej.

Pierwszą z nich była Lanielle Gilot z Antwerpii, która przyjechała pod koniec września 1990 roku, a wyjechała miesiąc później. Siostra Lassitera też była miesiąc. W księdze musiało być takich kobiet więcej.

Joe właśnie wpisywał do komputera nazwisko pani Gilot, kiedy zjawił się Hugh z kieliszkiem brandy w ręku. Wyglądał na zaskoczonego, więc Lassiter wyjaśnił mu, co robi. Spytał także, dlaczego niektóre kobiety zostawały w pensjonacie przez niecały tydzień, a inne przez ponad miesiąc.

- Ze względu na różne procedury - odparł Hugh i oparł się o kolumnę. Był lekko pijany.

- Nie rozumiem...

Anglik zmarszczył czoło i popatrzył w sufit, jakby tam właśnie mogły się znajdować odpowiedzi. Kiedy opuścił głowę, Lassiter dostrzegł, że ma nieco zamglony wzrok.

- Ze względu na różne procedury - powtórzył. - Zapłodnienie *in vitro* było najszybsze. I bardzo skuteczne. Pobiera się od kobiety jajo i... czego tak naprawdę chcesz się dowiedzieć?

Lassiter wzruszył ramionami.

- Właściwie to nie wiem.

- No więc zapłodnienie *in vitro* wymagało krótkiego pobytu. Pacjentki wyjeżdżały już po kilku dniach. - Hugh zamknął oczy, skrzywił się i zastanawiał przez chwilę. - Były poza tym różne rodzaje... transferu. Transfer gamet. Transfer zygot **. - Zaśmiał się cicho. - Dziwny język jak na robienie dzieci, nie sądzisz? - Znów przerwał na chwilę, po czym powiedział powoli, starannie oddzielając słowa: - Wewnątrzjajowodowy transfer gamet. Spróbuj to, człowieku, wymówić na bańce. - Popatrzył na Lassitera z krzywym uśmieszkiem. - I co to jest ta idiotyczna... gameta? - wymamrotał i zakręcił brandy w kieliszku.

- A co z Haną Reiner? - spytał Lassiter i stuknął palcem w stronę, którą się właśnie zajmował. - Jeszcze do niej nie dotarłem. Co było u niej?

Hugh potarł oczy.

- Coś jeszcze innego. Przeszczep oocytu. Zajęło to miesiąc. U twojej siostry też tak było, prawda?

- Tak sądzę. Była u was dość długo. Wie pan, dlaczego to tyle trwało?

Hugh wzruszył ramionami, ale po chwili powiedział powoli:

- Chyba wiem... Hana mi wyjaśniła. Po pierwsze, tak długiego pobytu żądał stary Baresi. W innej klinice, w której Hana wcześniej była, szło się tylko na wszczepienie i dostawało zastrzyki i pigułki do brania w domu.

- Zastrzyki i pigułki?

- Tak. Chodziło o zsynchronizowanie organizmu pacjentki z organizmem dawcy.

- Jakiego dawcy?

- Dawcy jaja. To właśnie oznacza „przeszczep oocytu”. Lassiter popatrzył na niego zdumiony.

Hugh westchnął.

- Czasami... kobieta po prostu nie mogła zajść w ciążę, ponieważ jej jaja... były za stare.

- Co to znaczy?

- Hmm... mają je wszystkie kobiety... mają jaja od początku, od urodzenia. Ale to oczywiście wiesz.

- Oczywiście, wiem.

- A potem noszą w sobie wszystkie jaja, jakie przez całe życie wytworzą... Ale kiedy kobieta się starzeje, jajo też się starzeje i czasem sprawy się komplikują. Chromosomy się psują, rośnie ryzyko wad wrodzonych albo po prostu trudniej zapłodnić takie jajo. Właśnie po to stworzono tę technikę, by taka kobieta jak Hana mogła mieć dziecko. Ktoś taki jak Baresi pobierał jajo od młodszej kobiety - dawczyni - zapładniał je... hm... spermą męża pacjentki... i wszczepiał jej. - Zmęczony długą przemową, Hugh zamilkł i upił duży łyk brandy.

- Czyli... z biologicznego punktu widzenia... to wcale nie byłoby dziecko tej kobiety...

Hugh pstryknął paznokciem o brzeg kieliszka. Rozległo się ciche PING.

- Nie zgadzam się z tym. Z biologicznego punktu widzenia to jej dziecko. Nosi je, rodzi, karmi. W rozumieniu genetycznym jednak... nie mają ze sobą nic wspólnego. DNA pochodzi od męża i dawczyni. Hana chyba trochę się tym martwiła.

- Dlaczego pan tak sądzi?

- Cóż, jej syn nie był podobny do niej, prawda?

- Nie wiem - odparł Lassiter. - Widziałem zdjęcie, ale chłopiec był wtedy niemowlakiem.

Kontaktowaliście się ze sobą po jej powrocie do domu?

- Oczywiście. Przez dwa lata pisywaliśmy do siebie co tydzień. Potem jakoś to się urwało, ale przysłała mi zdjęcie małego i... podejrzewam, że przypominał dawczynię, bo nie było w nim wiele z Jifiego... co wcale zresztą nie było minusem...

- W dalszym ciągu nie pojmuję jednak, dlaczego to trwało aż cały miesiąc...

- Przede wszystkim z powodu zastrzyków hormonalnych. Mówiłem już. Kobieta, która miała dostać jajo, musiała zsynchronizować swój cykl... no wiesz... z cyklem dawczyni. A Baresi był Baresi.

- Nie bardzo rozumiem...

- Upierał się, by je mieć cały czas pod ręką, przez cały miesiąc - ale już mówiłem, że inne kliniki tak nie robią. Trzymał tu nawet miejscowe klientki. Lubił dokładnie wiedzieć, co się dzieje z hormonami. Nie chciał też, by latały samolotem... chodziło mu chyba o zmiany ciśnienia.

Lassiter coraz lepiej uświadamiał sobie, jak ogromne przeszkody musiała pokonać Kathy. Nigdy nie wspominała o zastrzykach z hormonów ani przeszczepach komórek jajowych. No, ale zawsze była skryta, jeśli chodziło o tego typu sprawy. Nie rozmawiałyby o tak intymnych szczegółach. Nawet z nim. A może zwłaszcza z nim.

- Chciałbym cię o coś zapytać... - powiedział Hugh.

- Proszę bardzo.

- Będziesz szedł za ciosem? Mam na myśli te morderstwa. Nigel śmieje się ze mnie z powodu Hany, ale ja naprawdę ją lubiłem. Szkoda, że tak niewiele wiem. Nie potrafię ci pomóc. - Rozłożył ręce, jakby chciał pokazać, jak bardzo jest bezradny, popatrzył na Lassitera i potężnie ziewnął. - No tak... jestem ^tęże nawalony. Chyba lepiej pójdę się przekimać - stwierdził i ruszył nieco niepewnie korytarzem.

Lassiter wrócił do rejestru gości. Przeciągał palcem po kolejnych stronach, nazwiskach i adresach, zaprogramowany na wylapywanie charakterystycznego CB. W którymś momencie przyszła mu do głowy pewna myśl.

Czy to możliwe, by morderstwa miały związek z dawcami jaj lub spermy? Znalazł kolejne nazwisko i wpisał je do komputera. Czasem ludzie prześladowali swoich genetycznych potomków:- byli to mężczyźni nie wiedzący o swoim ojcostwie, którzy dowiedzieli się o oddaniu dziecka do adopcji. Chyba mówiono o tym w programie „60 minut”...

Ale Grimaldi i eliminowanie potomków? Już raz taki pomysł odrzucił. Nie było powodu zakładać, że Grimaldi to dawca spermy - a nawet jeśli tak, dlaczego miałyby polować na swoje „dzieci”? Chyba że był psychicznie chory - jednak Lassiter już dawno odrzucił koncepcję choroby psychicznej.

Znalazł kolejne CB i wpisał dane.

A co, jeśli... jeśli chodziło o spadek? Jeżeli spadkobierca dowiedział się, że zmarły darczyńca był dawcą spermy, mógł się obawiać, że któregoś dnia zjawią się potomkowie i zażądają części spadku. Nie, to dość naciągane. Znacznie prościej byłoby zniszczyć akta kliniki, co zresztą zrobiono, ale jako „dodatek” do morderstw.

Jego palec dotarł do kolejnego wpisu - kobieta pozostawała w pensjonacie trzydzieści dwa dni. Była to jak na razie czwarta z „długopobytowych”. Jeszcze nie dotarł do Hany Reiner, ale z tego, co mówił Hugh, wynikało, że będzie jedną z tej grupy. Ponieważ Kathy i Hana zostały poddane procedurze wszczepienia cudzego oocytu, zaznaczał nazwiska tych kobiet dwoma gwiazdkami - na wypadek, gdyby się okazało, że dłuższy pobyt ma jakieś znaczenie.

Zaczął szukać dalej i dotarł do następnej „długoterminowej” pacjentki: Marie Sanders z Greenwich w Connecticut. Zameldowała się w pensjonacie 26 marca 1991 roku, wyjechała 28 kwietnia. Nagle znieruchomiał. Marie Sanders. Nazwisko brzmiało jakby znajomo, ale bardzo odlegle. Im usilniej próbował je jakoś zlokalizować, tym mniej znane mu się wydawało i w końcu zaczął wątpić, czy w ogóle je zna.

Kiedy doszedł do wpisu Kathy, nieoczekiwanie przypomniał sobie Marie Sanders. Była na pogrzebie jego siostry. Blondynka z ciemnowłosym chłopcem. Przed jego oczami pojawił się jej obraz: okulary przeciwsłoneczne, krótkie włosy, ciemna garsonka, kapelusz. Potem - na stypie - zdjęła okulary, ale opuściła woalkę, tak że do końca nie wiedział, jak wygląda. Pamiętał - powiedziała mu to - że dowiedziała się o śmierci Kathy przypadkiem, w trakcie podróży.

Pamiętał też łzy w jej oczach. Pamiętał jej głos. „Poznałam pańską siostrę... w Europie i bardzo ją polubiłam”.

Porównał wpisy w rejestrze. Oczywiście. Pobyt Marie w Aquili trwał trzydzieści dwa dni, tak samo jak pobyt Kathy. Zastosowano w ich przypadku identyczną procedurę, a ich pobyty w klinice nakładały się przez okres tygodnia.

Przewracał dalej kartki i zapisywał nazwiska pacjentek, aż dotarł do kolejnej „procedury oocytowej”:

Marion Kerr - CB 17 Elder Lane Bressingham, BC Przyj.: 17.11.92. Wyj.: 19.12.92.

Wpisał te dane do komputera i zamierzał przejść do następnej pacjentki, kiedy nagle doznał objawienia. Bressingham. Kolumbia Brytyjska. Kanada. Zapomniał nazwisko Kerr, bo wydawało się nieistotne dla sprawy. Teraz jednak przypomniał je sobie. Przeszukiwanie Nexisa... w Pradze... tuż przed spotkaniem z Jirim Reinerem... Kryterium podpalenie-zabójstwo-dziecko albo coś w tym rodzaju... Jednym z odpowiadających mu przypadków - a właściwie jedynym - był przypadek rodziny Kerrów.

Nie pamiętał szczegółów, ale jedno zapamiętał dokładnie; syn Kerrów został zamordowany, kiedy Grimaldi był w szpitalu. Dlatego właśnie uznał, że ta sprawa nie może mieć nic wspólnego ze śmiercią Kathy i Brandona. Odrzucił jakikolwiek związek, ponieważ dowodziłby istnienia więcej niż jednego zabójcy, to zaś oznaczało spisek. Grupę morderców dzieci.

Wydawało się to nie do pomyślenia, ale miał czarno na białym:

Marion Kerr - CB Bressingham, BC

Dowód był niepodważalny.

Potrzebował filiżanki kawy. Poszedł do swojego pokoju, wyjął z barku paczuszkę neski i zagotował filiżankę wody, używając grzałki, którą właściciele pensjonatu zapobiegliwie dostarczyli mu do pokoju.

Nie wiedział, co o tym wszystkim sądzić. Wpis o pobycie pani Kerr sugerował - dowodził! - że był więcej niż jeden morderca. Należało przyjąć, że Umbra Domini, śmierć Bepiego i pobicie w Neapolu to elementy tej samej konstrukcji. Kiedy jednak próbował odpowiedzieć na pytanie „Dlaczego?” - znaleźć jakiś sensowny powód - miał pustkę w głowie.

Zrobił sobie kawę i wrócił z nią do recepcji, gdzie komputer czekał na niego, jarząc się w ciemności.

Pracował jeszcze przez trzy godziny. Zdawał sobie sprawę, że robi się niedokładny, więc zmuszał się do dwukrotnego sprawdzania każdej strony. Jednak w którymś momencie przyłapał się na tym, że przewraca kartkę, właściwie na nią nie spojrzawszy, a koncentracja rozmywa się we mgle zmęczenia. Zmusił się do powrotu do ostatniego nazwiska, które wpisał, i rozpoczęcia od tego miejsca na nowo.

Dochodziło wpół do czwartej rano, kiedy stwierdził, że wreszcie znalazł schemat - choć był to raczej cień schematu. Postanowił nie myśleć o nim do momentu zakończenia wpisywania do komputera wszystkich pacjentek, bo gdyby to zrobił, prawdopodobnie zacząłby wybierać nazwiska pasujące do wydedukowanego schematu. Kiedy skończył, niebo zaczynało już jaśnieć.

Był okropnie zmęczony. Zamknął skórzaną oprawę rejestru gości i wstał, po czym przeciągnął się, aż chrupnęło mu w żebrach. Zgasił światło i poszedł do swojego pokoju.

Już u siebie, zaczął robić to, na co nie chciał sobie pozwolić na dole - z dwustu siedemdziesięciu dwu nazwisk na liście wybrał kobiety poddane przeszczepowi oocytu, czyli te, które pozostawały w pensjonacie przez miesiąc albo dłużej. Podwójne gwiazdki okazały się bardzo pomocne i komputer w ciągu kilku minut zestawiał listę złożoną z osiemnastu nazwisk. Wyłowił z niej pięć nazwisk kobiet.

Kathleen Lassiter Hana Reiner Matilda Henderson Adriana Pena Marion Kerr

Wiedział, że nie żyją. Nie żyły także ich dzieci. Wszyscy zginęli w płomieniach.

Zamknął oczy i zobaczył Brandona. „Wujku Joe! Wujku Joe! Popatrz, umiem zrobić koziołka!

Popatrz!”. Maleńkie ciało przetoczyło się nieporadnie, wcale nie był to koziołek, ale Brandon podskoczył w górę jak mistrz olimpijski w gimnastyce, wyrzucił triumfalnie ręce w górę i uśmiechnął się z dumą.

Lassiter otrząsnął się z tych wspomnień i powrócił do swojej listy. Kobiety pochodziły głównie ze Stanów Zjednoczonych i Europy Zachodniej, ale kilka mieszkało w innych miejscach: Hongkongu, Tokio, Tel Aviwie, Rabacie, Rio.

Przeniósł komputer na biurko pod oknem i podłączył modem. Używając programu N-cipher, zaszyfrował plik cbgość.lst. i przesłał go do swojego biura w Waszyngtonie. Potem napisał dla Judy Rifkin krótką notatkę, do której dołączył nazwiska i adresy osiemnastu wyszukanych pacjentek. Kazał przekazać Riordanowi, że przynajmniej pięć pierwszych kobiet nie żyje - razem z dziećmi - więc pozostałe mogą być w niebezpieczeństwie. Niech porozumie się z władzami kraju i miejsca zamieszkania pozostałej trzynastki i sprawi, by kobiety i dzieci dostały ochronę prewencyjną. Dodał jeszcze, że wróci za dzień lub dwa i wszystko wyjaśni. Do tego czasu niech Judy założy teczkę zmarłemu doktorowi Ignazio Baresiemu z Montecastello we Włoszech. Przydałoby się zebrać wszelkie informacje o Clinica Baresi oraz technice zapłodnienia zwanej „przeszczepem oocytów”. Na koniec poprosił o wsparcie dla Riordana w nawiązywaniu kontaktów z trzynastką kobiet z listy. Gdyby sprawą zajęli się tylko gliniarze, mogło się okazać, że z żadną z kobiet nie da się nawiązać kontaktu.

Notatka rozrosła się do dwóch stron i kiedy ją wysyłał, okropnie chciało mu się spać. Był jednak weekend i musiał liczyć się z tym, że Judy nie sprawdzi e-maili do poniedziałku rano. Popatrzył na zegarek. Dochodziło wpół do szóstej - w Waszyngtonie było wpół do dwunastej w nocy. Sięgnął po słuchawkę i zadzwonił do Judy do domu. Rozległy się cztery długie dzwonki i włączyła się automatyczna sekretarka. Po sygnale nagrał się: „Judy - tu Joe. Sprawdź natychmiast e-maile. To pilne. Do zobaczenia za kilka dni”.

Zdjął ubranie i położył się na łóżku na wznak. Zamknął oczy, by nie raziło go poranne światło, i czekał, aż odpłynie w sen.

Ale sen nie nadchodził. Zobaczył Marie Sanders, trzymającą za rękę synka. Oczy dziecka miały kolor mahoni i mały patrzył na niego jak z głębin studni. Potem ujrzał zwęgloną twarz Brandona i usłyszał głos Tommy’ego Truonga: „W chłopiec nie było krwi”. Przypomniało mu się puste spojrzenie Jifiego Reinera. I łzy Kary Baker.

Jezus Maria, co za kurewska sprawa, pomyślał i naciągnął kołdrę na głowę.

27

Zwłókł się z łóżka około jedenastej i stwierdził, że tych kilka godzin snu niewiele mu dało. Na szczęście prysznic poprawił mu samopoczucie, igły gorącej wody pobudziły twarz, wymasowały ramiona, zdjęły z niego nocne zmęczenie. Najchętniej nie marnowałby czasu na golenie się, ale rozsądek zwyciężył. Księża bywają dziwaczni. Przynajmniej tak mu się wydawało. Tak naprawdę tego nie wiedział.

Włożył skórzaną kurtkę i zszedł do recepcji. Nigel wymamrotał, że ma kaca, ale wskazał palcem w kierunku placu, na którym Lassiter miał znaleźć kościół i kawiarnię.

Było zimno, może pięć stopni, a niebo groziło deszczem. Joe skręcił w lewo i poszedł wąską, brukowaną uliczką na północ. Nie było tu ani chodników, ani samochodów, po obu stronach ciągnęły się ściany szarych domów z pozamykanymi okiennicami, mającymi chronić wnętrza przed zimowym

wiatrem.

Miasteczko nie bardzo mu się podobało. W zimie Montecastello nabierało innego charakteru - w dalszym ciągu wyglądało pięknie, ale równocześnie groźnie. Przez wieki fundamenty domów poprzesuwały się i budynki sprawiały wrażenie, jakby się do siebie nachylały przez jezdnię, przykucaly nad nią. Po przejściu jedną uliczką w dół i następną w górę Joe pomyślał, że całe miasteczko to jeden wielki labirynt - miejsce, w którym łatwo się zgubić, ale trudno schować.

Minął jeden nieoznakowany sklep, potem drugi. Nigdzie nie widział szyldów, może dlatego, że nie było tu potrzeby reklamowania niczego - każdy mieszkaniec musiał znać wszystkich innych i wiedział, kto czym handluje. We wszystkich sklepach zza oszklonych wejść, osłoniętych sznurami plastikowych koralików, migotało jarzeniowe światło. Kiedy z jednego z nich wyszedł starszy mężczyzna z torbą warzyw, paczką zawiniętego w papier mięsa i bochenkiem chleba, koraliki zafalowały i zaszeleściły. Mężczyzna rzucił do wnętrza *Ciao* i pospieszył swoją drogą.

Jeszcze jeden zakręt i Lassiter wyszedł z plataniny uliczek na otwartą przestrzeń głównego placu Montecastello - Piazza di San Foitunato. Jego cel - kościół San Giovanni Decollato - zajmował północną stronę niezbyt dużego placu. Był to prosty, surowy budynek z szarego kamienia, z jakiego były zbudowane wszystkie domy w miasteczku. Lassiter właśnie zamierzał wejść na schody kościoła, gdy poczuł zapach kawy. Zawrócił.

Naprzeciwko kościoła znajdowała się miniaturowa kawiarnia, zajmująca zagłębienie w murze - z zawieszonym paciorkami wejściem i wystawionymi na ulicę stolikami. Najwyraźniej było to miejscowe centrum detalicznego handlu grzechem - w jednym pomieszczeniu mieściły się bar przekąskowy, kiosk z gazetami, wypożyczalnia kaset wideo, knajpa, kawiarnia i sklep tytoniowy. Mimo chłodu Lassiter usiadł na zewnątrz i zamówił espresso.

Było zimno i dość cicho. Właściwie byłoby całkiem cicho, gdyby z kawiarni nie dolatywał natarczywy pisk i terkot gry komputerowej. Plac z trzech stron zamykały budynki, czwarty bok ograniczał niski mur miejski, zwieńczony blankami. Miał niecałe metr pięćdziesiąt wysokości - dzięki czemu można było patrzeć nad nim na płaskowyż Umbrii.

Przy stoliku obok Lassitera siedziało dwóch robotników w średnim wieku i grało w karty. Mieli na sobie wełniane kurtki, nałożone na tyle warstw innych ubrań, że wyglądali jak wytapicerowani. Popijali na zmianę kawę i brandy, klęli cicho, pomrukiwali coś pod nosem i wymieniali żartobliwe uwagi o kartach, które przydzielił im los.

Czekając na kawę, Joe przyjrzał się stojącemu przed kawiarnią stelażowi z gazetami. Przypięto do niego zabkami przynajmniej tuzin gazet, nie zauważył jednak wśród nich żadnej po angielsku. Był „Le Monde” sprzed trzech dni, ale Joe nie czuł się na siłach czytać po francusku. Zastanawiał się, czy użyć w rozmowie z księdzem kamuflażu. I jak zacząć. „Mógłby mi ksiądz powiedzieć wszystko, co wie o doktorze Baresim?”. Pokręcił głową.

Przyniesiono kawę i kiedy ją popijał, obserwował robotników przy kartach. Talia, której używali, była tak stara, że karty stały się wiotkie jak płótno. Trzymane normalnie w dłoni, załamałyby się, ujawniając przeciwnikowi numery i kolory, toteż gracze podpierali je od tyłu palcami drugiej dłoni, co wyglądało, jakby każdy trzymał w ręku kobiecą pierś.

Obaj mężczyźni - sądząc po ogorzalej skórze i siateczce zmarszczek wokół oczu - nie spędzali zbyt wiele czasu w zamkniętych pomieszczeniach. Wyglądali na pełnych wigoru, ostrych facetów, co podkreślały jasne oczy i zęby, kontrastujące z ciemną cerą.

Lassiter spróbował wyobrazić sobie miejsce w Ameryce, w którym taka dwójka mogłaby

siedzieć w styczniu w ulicy, popijać kawę i grać w karty. Nie przychodziło mu nic takiego do głowy - może z wyjątkiem baru piwnego dla robotników, ale to byłoby zupełnie co innego.

Na środku placu stała fontanna - zwykły prostokątny kamienny basen, o obramowaniu wznoszącym się kilkadziesiąt centymetrów nad ziemię. Na jego jedynej nieco wyższej pionowej ścianie znajdowała się zwietrzała płaskorzeźba, przedstawiająca łeb lwa. Jego paszcza była popękana i do basenu nie wpadał łukowaty strumień wody, a bulgocząca, bezładna kaskada. Ale fontanna była w pełni funkcjonalnym obiektem, nie ornamentem. Lassiter przez chwilę przyglądał się starszej kobiecie, która napełniała wodą dwa plastikowe kanistry.

Zamówił drugą kawę i kiedy ją robiono, podszedł do muru. Za blankami grunt opadał niemal pionowo. Była tam głównie skała, niemal cała ziemia dawno została wypłukana, w kamienistej glebie udało się utrzymać jedynie kilku karłowatym sosnom.

W oddali, tuż nad niedalekim sosnowym lasem, widać było Todi, które sprawiało wrażenie, jakby unosiło się w powietrzu. Mury opasywały zbocze wzgórza kilkoma skośnymi pasmami i wspinały się na szczyt, do najstarszej części miasteczka. Niżej panował chaos architektoniczny - efekt burzliwego rozrastania się Todi - ale na samym dole znowu powracał porządek. Od stóp wzgórza do rzeki ciągnęły się pola uprawne, i cały teren wyglądał jak patchworkowa kołdra.

Widok ten sprawił, że Lassiter poczuł dziwną tęsknotę za czymś, czego nigdy tak naprawdę nie poznał. Jeśli w Stanach Zjednoczonych kiedykolwiek uprawiano w ten sposób ziemię, musiało to być bardzo dawno temu - w dzisiejszych czasach, jeśli się chce zobaczyć podzielone na prostokąty pola, trzeba wzbić się siedem kilometrów w powietrze. Joe pomyślał, że naoglądał się za dużo malarstwa Cezanne'a i stąd ta nostalgia.

Nieco bliżej, po tej samej stronie rzeki, widział zasadzony przez ludzi młody las, obok którego przejeżdżał - z idealnie prostymi rzędami drzew. Widział też rozwidlenie drogi - jedno odgałęzienie prowadziło do Clinica Baresi - a raczej tego, co po niej zostało - drugie do Montecastello. Powiódł wzrokiem do punktu, w którym droga do miasteczka znikala w stromym zboczu. Pojawiała się ponownie kilkaset metrów pod miejscem, w którym właśnie stał - przy parku. Widział stąd wyraźnie swój srebrny samochód.

Wrócił do kawiarni, wziął do ręki czekającą na niego filiżankę i na stojąco wypił jej zawartość jednym haustem. Potem wsunął pod talerzyk pięć tysięcy lirów i ruszył przez plac w kierunku kościoła.

Wszedł po schodach i po otwarciu grubych drewnianych drzwi znalazł się w kruchcie. Świat modlitwy oddzielała od świata zewnętrznego drewniana ściana z drzwiami przy obu krańcach. Przedśionek był nie tylko buforem - musiał także pełnić rolę „izby skarbowej”, bo na starym stole leżały nierówne sterty ulotek, a obok nich stało metalowe pudło na datki. Joe wsunął do niego kilka banknotów i obchodząc ściankę działową, wszedł do środka kościoła.

Było tam dość ciemno i z początku dostrzegał jedynie wysoki sufit. Jego nozdrza natychmiast wypełnił zapach dymu świec i lekki odorek stęchlizny; z przodu, od ołtarza, dolatywał cichy szmer głosów.

Jedyne naturalne światło wpadało przez szereg okienek, umieszczonych wysoko na ścianie. Zimowe słońce świeciło blado i padało pod takim kątem, że rozświetlało nieco sufit, ale nie docierało do podłogi. Kandelabry niewiele pomagały - były nieliczne i miały słabe żarówki, które nie dawały zbyt wiele światła.

Nie wyglądały jak płomienie.

Blżej, w połowie nawy, stała ciemna figura, pod którą paliły się świece wotywny, spływające długimi kroplami wosku. Lassiter usiadł w jednej z tylnych ławek i czekał, aż jego oczy przyzwyczają się do ciemności.

Powoli zaczynał rozróżniać w mroku kontury wnętrza. Było bardzo obszerne. Wkrótce Joe - choć jedynie pod postacią niewyraźnych kształtów, podobnych do duchów plam i mignięć białych części garderoby - zobaczył zebraną przy głównym ołtarzu grupę ludzi. Przerażliwy wrzask niemowlaka uświadomił mu, że jest świadkiem chrztu.

Kilka minut później ceremonia się skończyła i zebrani ruszyli do wyjścia - prowadzeni przez matkę z wrzeszczącym dzieckiem. Procesję zamykał ksiądz. Był wysoki, jego głowa bujała się nad resztą uczestników ceremonii jak blady balon. Miał czterdzieści parę lat, brązowe kręcone włosy, wydatny podbródek i orli nos. Kiedy mijał Lassitera, ich oczy się spotkały i Joe odniósł wrażenie, że duchowny kogoś mu przypomina. Kogo? Gdyby nie był tak chudy, można by go uznać za przystojnego. Nie wyglądał jednak zbyt sympatycznie - w wyrazie jego twarzy było coś nieprzyjemnego i niepokojącego. Nagle Lassiter uświadomił sobie, kogo duchowny mu przypomina: Ichaboda Crane'a, straszącego ludzi i od wieków cierpiącego katusze*.

Przez dziesięć minut w przedsionku za plecami Lassitera bulgotały włoskie słowa i wybuchał śmiech, po czym dały się słyszeć odgłosy pożegnań: cmokanie warg w dubeltowych europejskich pocałunkach i pozdrowienia - mniej lub bardziej formalne.

Zaraz potem usłyszał, jak ze skrzypnięciem otwierają się drzwi kościoła, kostki jego nóg owiało chłodne powietrze, a mrok rozjaśniło dzienne światło. Stopy mężczyzn zaszurały o kamień, zastukały damskie obcasy, głosy ludzi zaczęły się oddalać.

Drzwi znów zaskrzypiały i ksiądz przeszedł obok niego, kierując się w stronę ołtarza. Lassiter wstał i zawołał cicho:

- *Scusi, padre!* Ksiądz odwrócił się.

- *Si?* Na tym jednak kończył się włoski Lassitera.

- Czy mógłbym chwilę z księdzem porozmawiać? Ojciec Azetti uśmiechnął się.

- Oczywiście - odparł po angielsku. - W czym mógłbym pomóc?

Joe wziął głęboki wdech. Nie bardzo wiedział, od czego zacząć.

- Proszę wybaczyć, że zajmuję księdzu czas, ale w pensjonacie powiedziano mi, że był ksiądz przyjacielem doktora Baresiego...

Uśmiech księdza zniknął, a on sam zamarł w bezruchu, patrząc nieufnie na Lassitera.

- Grywaliśmy w szachy - powiedział w końcu. Joe skinął głową.

- Słyszałem o tym. Właściwie to interesuje mnie... jego... klinika.

- Nie ma jej już.

- Wiem, ale... miałem nadzieję, że będziemy mogli... porozmawiać.

Drzwi kościoła jęknęły i po podłodze przetoczył się zimny podmuch. Dwa metry od nich z ciemności wyłoniła się kobieta w czerni, przeżegnała się i poszła przejściem w kierunku ołtarza. Lassiter i Azetti patrzyli, jak wchodzi do ławki, klęka i zaczyna się modlić.

Ksiądz popatrzył na zegarek i pokręcił głową.

- Przykro mi. Mam do drugiej spowiedzi.

- Oj... - mruknął rozczarowany Joe.

- Jeśli jednak chciałby pan poczekać... albo przyjść później... moglibyśmy porozmawiać u mnie.

Mieszkam tuż obok kościoła.

- Oczywiście, poczekam - powiedział z wdzięcznością Lassiter. - Pospaceruję po okolicy i pooglądam widoki.

- Jak pan sobie życzy - odparł Azetti i ruszył w kierunku ciemnego kształtu, mającego pod ścianą. Przypominał szafę z zasłonką, jednak kiedy ksiądz wszedł do środka, Lassiter pojął, że to konfesjonał.

Dwie godziny później Lassiter i Azetti siedzieli w gabinecie księdza i jedli polany sosem makaron, który jeden z parafian przyniósł do kościoła. Lassiter uznał, że musiał pomylić się w ocenie duchownego, okazał się bowiem znakomitym gospodarzem. Ukroił kilka kromek chleba z chrupiącą skórką i nalał im po kieliszku wina. Potem pokroił kromki oliwą i posypał je odrobiną soli oraz pieprzu. Lassiter, który usiadł plecami do elektrycznego kaloryfera, siedział beczynn timer i grzał się.

- A więc - zaczął ksiądz - przyjechał pan z powodu kliniki. Lassiter skinął głową.

- Cóż, jeśli ją pan widział, wie pan też pewnie, co się stało.

- Powiedziano mi, że to było podpalenie. Azetti wzruszył ramionami.

- I tak już od jakiegoś czasu była zamknięta. Mimo to szkoda. Nie spotkamy więcej nikogo takiego jak on.

- O kim pan mówi?

- O doktorze Baresim. Był bardzo utalentowanym człowiekiem. Nie jestem ekspertem, ale mówiono mi, że miał na swoim koncie wiele sukcesów...

- Naprawdę? - mruknął Lassiter, by zachęcić księdza do mówienia.

- Tak. Był nie tylko lekarzem, ale także naukowcem. Wiedział pan o tym?

Lassiter pokręcił głową.

- No proszę! W takim razie niewiele pan wie o Baresim. Ten człowiek był geniuszem. Mimo to biłem go w szachy, i to dość regularnie!

Lassiter roześmiał się.

- Robiłem chyba tyle błędów, że nie umiał przewidzieć moich ruchów - przyznał Azetti. - Zawsze narzekał, że psuję mu grę. Jeszcze wina?

- Nie, dziękuję - odparł Joe i pomyślał, że chyba zaczyna lubić doktora.

- Jego ojciec, dziadek - cała rodzina - wszyscy byli bogaci. Politycy i przedsiębiorcy budowlani. Bardzo skorumpowani - nawet jak na stosunki włoskie. Tak więc Baresi nigdy nie potrzebował pieniędzy. Nie musiał pracować, ale wciąż studiował. W Perugii genetykę, w Cambridge biochemię. W Cambridge! - Azetti nalał sobie drugi kieliszek wina, zanurzył w nim kawałek skórki od chleba i obgryzł brzegi. - Pracował w jednym z zuryskich instytutów i nawet odznaczono go jakimś medalem czy czymś w tym rodzaju.

- Za co?

- Nie wiem, chyba za badania. Ale oczywiście zrezygnował ze wszystkiego...

- Z czego?

- Z nauki.

- I zajął się medycyną? Azetti pokręcił głową.

- To było później. Najpierw studiował teologię. W Niemczech. Napisał książkę. Nawet ją mam. - Nie oglądając się, ksiądz sięgnął do regału za swoimi plecami i wyjął grube tomiszcze. Pchnął książkę przez stół w kierunku gościa.

Lassiter otworzył ją i pokręcił głową.

- Jest po włosku... Azetti uśmiechnął się.

- Tytuł brzmi: „Relikwia, totem i boskość”. Joe kiwnął głową i odsunął książkę na bok.

- Był prawdziwym autorytetem - dodał Azetti.

- Naprawdę? - mruknął Lassiter bez większego zainteresowania.

- Naprawdę.

- Makaron był wspaniały - oświadczył Joe. Rozmowa oddalała się od tematu, który go interesował, ale nie bardzo wiedział, jak na niego naprowadzić.

- Baresi uważał, że moc relikwii wypływa z istnienia u ludzi określonych, bardzo pierwotnych odruchów religijnych. Że ma związek z animizmem, pogańskimi wiarami naszych przodków. Twierdził, że ten sam instynkt, który skłania członka prymitywnego plemienia do zjedzenia serca wroga - dla wchłonięcia jego siły - skłania chrześcijan do wierzenia, że kość świętego albo nawet tylko jej okruch, noszony w sakiewce, może uchronić od choroby.

- Brzmi interesująco.

- To naprawdę bardzo ciekawe. Polecam tę książkę. Zajmuje się magią - ale w końcu niektórzy mogą twierdzić, że tym właśnie jest przyjmowanie komunii.

- Jak to?

Azetti wzruszył ramionami.

- Spożywamy Ciało Pana i pijemy Jego Krew. Dla wierzących to sakrament. Dla innych... coś innego. Może właśnie magia.

- To dość kontrowersyjne stwierdzenie. Ksiądz uśmiechnął się.

- Oczywiście. Jednak Baresi się tym nie przejmował. Miał nienaganną opinię, a w Watykanie bardzo go ceniono i często korzystano z jego pomocy.

- W jakim zakresie?

- Badania relikwii. Jeżeli jej pochodzenie i autentyczność wydawały się wątpliwe, wzywano Baresiego i proszono go o ekspertyzę. W większości przypadków sprawa była bardzo prosta. Często „oryginalna drzazga z Krzyża” okazywała się kawałkiem drewna tekowego, a kawałek skóry z głowy świętego Franciszka miał kod genetyczny wołu... Słyszał pan o Całunie z Turynu?

- Oczywiście - odparł Lassiter. - Kto nie słyszał?

- Baresi był jednym z naukowców, którzy go badali.

- Gdzieś czytałem, że okazał się fałszerstwem. Azetti zmarszczył czoło.

- Różne rzeczy się o nim mówi: „ładny kawałek trzynastowiecznego płótna”, dzieło Leonarda, pierwsza na świecie fotografia...

- A co na ten temat sądził Baresi?

- Twierdził, że to fałszerstwo, ale o niezwykle mrocznym pochodzeniu.

- Nie rozumiem.

- Opisał to dokładnie w swojej książce. Uważał, że historia wielu relikwii jest bardzo ponura, a Całun Turyński może się mieścić w tej tradycji. Był w przeszłości okres, w którym przywiązywano tak wielką wagę do relikwii, że gdy święty zachorował, ludzie zbierali się pod jego domem i czekali, aż umrze. Kiedy następował zgon, wpadali do domu i wybiegali z tym, co udało im się zdobyć - palcami, zębami, uszami - a potem sprzedawali te szczątki.

Lassiter popatrzył na swego gospodarza w osłupieniu.

- Naprawdę! Podobno w dwa dni od śmierci święty Tomasz z Akwinu został obdarty z ciała do kości. - Azetti roześmiał się. - Okrutne, co? Czasem nawet pomagano świętym umrzeć, posługując się trucizną.

- Ale ten całun to przecież tylko kawałek materiału... prawdziwy albo i nie.

- Tak, ale badania wykazały obecność płynów ustrojowych i bilirubiny.

- Co to jest?

- Barwnik żółci, normalnie wydalany z moczem. Czasem jednak - w krańcowym stresie, na przykład podczas tortur - ludzie wypacają bilirubinę.

- I jest w Całunie Turyńskim?

- Baresi znalazł na nim jej ślady. Uważał, że Całun Turyński to fałszerstwo, ale podejrzewał, że dla dokonania tego fałszerstwa ktoś został zamordowany.

- Dobry Boże... Azetti pokiwał głową.

- W trzynastym wieku relikwie miały wielką moc. Kościół będący w posiadaniu sławnej relikwii mógł przyciągnąć tysiące pielgrzymów, a pielgrzymi oznaczali pieniądze. Ale w czasie reformacji wiele relikwii spalono.

- Spalono... - powtórzył Lassiter. Słowo to przypomniało mu cel wizyty. Upił łyk wina. - Nie rozumiem tylko jednego: w jaki sposób doktor Baresi przeszedł od badania relikwii do medycyny?

- Cóż... najwyraźniej było to powołanie. Jeśli dobrze pamiętam, wstąpił do Akademii Medycznej tuż przed pięćdziesiątką. W Bolonii, na wydział położnictwa i ginekologii. - Azetti zmarszczył czoło.

- Podczas stażu zainteresował się niepłodnością. No a potem założył klinikę... co było sporą niespodzianką.

- Dlaczego?

- Cóż... jak pan wie, to bardzo emocjonalny problem. A Baresi był... niezręczny... Źle się czuł w kontaktach z ludźmi i nagle miał prosić kobiety, żeby się rozebrały! Poza tym był katolikiem, do tego bardzo pobożnym. Oczywiście wynikały z tego konflikty.

- Jakiego rodzaju? Ojciec Azetti westchnął.

- Wydając swój katechizm, kardynał Ratzinger wypowiedział się w imieniu całego Kościoła, który jest przeciwny wszelkim próbom mieszania się w proces naturalnego poczęcia.

- Kontroli urodzeń...

- Nie! Kościół jest przeciwny nie tylko przerywaniu ciąży, ale i klinikom płodności. Dzieci mają być poczynane w wyniku aktu połączenia płciowego, w sposób naturalny. Tak jak wbrew woli Boga jest antykoncepcja, tak samo - jak to się nazywa? - technologia rozrodu. Praktycznie wszystko, co się odbywa w klinikach płodności, jest zakazane przez Kościół.

- Ciekawe. A mimo to Baresi działał... Ksiądz odwrócił głowę.

- Wydawało mu się, że ma w tych sprawach dyspensę. - Westchnął. - Poza tym... nie był jedynym lekarzem, który w tej sprawie ignorował Watykan. Kontrola urodzeń jest zakazana, ale we Włoszech - kraju niemal całkowicie katolickim - ludzie mają małe rodziny, a mogę zapewnić, że nasz naród nie żyje cnotliwie. - Azetti wzruszył ramionami i ponownie napełnił swój kieliszek. - Teraz niech pan powie, co z pańską żoną? Potrzebuje porady?

Lassiter popatrzył na niego tępo.

- Jest w pensjonacie? Dziwi mnie, że odbyliście tak daleką drogę, nie dzwoniąc przedtem. Musi być bardzo rozczarowana. Jeśli chce pan, bym z nią porozmawiał...

- Nie, ojcze...

- Więc proszę mi powiedzieć, w czym problem. Umiem słuchać.

- To nieporozumienie.

- O...?

- Nie jestem żonaty.

Ksiądz popatrzył na Lassitera ze zdziwieniem.

- Wobec tego o co chodzi?

- Jestem tutaj, ponieważ w klinice była moja siostra. Kilka lat temu.

- Aha! Rozumiem! Pańska siostra! Czy wszystko zakończyło się pozytywnie?

- Tak. Miała wspaniałego chłopca.

Azetti uśmiechnął się na tę wiadomość i skinął głową, ale po chwili zmarszczył brwi.

- Nie rozumiem... Po co więc pan tu przyjechał?

- Moja siostra od listopada nie żyje. Ksiądz westchnął.

- Tak mi przykro. A co z chłopcem? Zajmuje się nim ojciec i pan, tak?

Lassiter pokręcił głową.

- Nie było ojca. Wychowywała go sama. Poza tym chłopiec również nie żyje. Oboje zostali zamordowani.

Azetti pochylił głowę.

- Jak to się stało? - spytał po chwili.

- Ktoś zabił ich, kiedy spali, i podpalił ich dom.

Ksiądz długo się nie odzywał. Odkroił kolejną kromkę i zanurzył jej brzeg w winie.

- I to pana tu sprowadza? - powiedział w końcu. Lassiter skinął głową.

- Mężczyzna, który ich zabił, był Włochem. Nie sądzę, by kiedykolwiek spotkał moją siostrę.

Potem się dowiedziałem, że...

Azetti powoli wstał i zaczął chodzić po pokoju. Sprawiał wrażenie podekscytowanego i niespokojnego, jakby po głowie krążyła mu jakaś niebezpieczna myśl.

- Chłopiec, powiedział pan?

Lassiter potwierdził ruchem głowy, wodząc oczami za księdzem.

- Zastanawiam się... - zaczął Azetti.

- Nad czym, ojczy?

- Zastanawiam się, czy może pan wie... może nie zdaje sobie pan z tego sprawy, ale... zastanawiam się, jaką zastosowano wobec pańskiej siostry procedurę. Istniały mianowicie...

- Wiem, że wszczepiano jej jajo. Jeśli się nie mylę, procedura ta nazywa się...

- Przeszczepem oocytu - dokończył ksiądz, wypowiadając te słowa tak, jakby wymawiał nazwę śmiertelnej choroby. Jeszcze przez chwilę chodził po pokoju, po czym podrapał się po głowie i popatrzył na Lassitera współczująco. - No cóż, takie rzeczy się zdarzają. Na świecie jest tyle przemocy... Zwłaszcza w Stanach

Zjednoczonych. Czy pańska siostra mieszkała w wielkim mieście? Mamy bardzo trudne czasy. Lassiter kiwnął głową.

- Ksiądz ma rację. Na świecie jest bardzo wiele przemocy. Ale moja siostra i jej syn nie byli jedyni.

- Co pan chce przez to powiedzieć?

- Zabito również drugiego chłopca, w Pradze. Mniej więcej w tym samym czasie. W identycznych okolicznościach. Trzeci zginął w Londynie. Następni w Kanadzie... w Rio... Bóg jeden wie gdzie jeszcze. Jestem tu dlatego, ponieważ wszyscy zostali spłodzeni w tutejszej klinice.

Azetti opadł ciężko na krzesło, spuścił głowę i zamknął oczy. Wsparł łokcie na blacie stołu i przeciągnął palcami przez włosy. W ciszy, jaka zapadła, Joe usłyszał, że za oknem zaczyna padać

deszcz.

Po minucie ksiądz złożył dłonie jak do modlitwy i jeszcze niżej opuścił głowę - aż czoło oparło się o czubki palców. Mruczał coś, ale nie dało się tego zrozumieć.

- Słucham? - spytał Lassiter.

- Cóż, wola boska! - zawołał nagle głośno Azetti. Gwałtownym ruchem położył dłonie na stole i popatrzył na Lassitera błędnym wzrokiem. - A może i nie!

- Ojciec...

- Nie mogę panu pomóc - stwierdził Azetti i odwrócił się.

- Sądzę, że ksiądz może.

- Nie mogę!

- W takim razie zginą kolejne dzieci. W oczach Azettiego błysnęły łzy.

- Nie rozumie pan - powiedział, wziął głęboki oddech i opanował się. - Konfesjonał jest święty. Cokolwiek zostało w nim powiedziane, jest zapieczętowane na zawsze. Powinno być zapieczętowane na zawsze.

- Co ma ksiądz na myśli, mówiąc „powinno”? Azetti pokręcił głową.

- Ksiądz wie, kto za tym stoi, prawda?

- Nie - odparł Azetti i Lassiter mu uwierzył. - Nie wiem. Naprawdę nie wiem. Mogę panu powiedzieć tylko jedno: każdy aspekt życia Baresiego jest elementem tej samej całości - jego Praca naukowa, jego badania religijne, jego praca w klinice. - Ksiądz wziął kolejny głęboki wdech i zamilkł.

I to wszystko?

- To wszystko, co mogę powiedzieć.

- Dziękuję za pomoc - odparł Lassiter z sarkazmem. - Zapamiętam to. A jeśli któraś z matek zapyta, dlaczego musiał zginąć jej syn, powiem jej o przysiędze księdza i o tym, że to sprawa pryncypiów. Na pewno to zrozumie. - Wziął płaszcz i wstał.

- Proszę zaczekać. Jest jeszcze coś... - Zanim Joe zdążył odpowiedzieć, Azetti wyszedł do pokoju obok. Dobiegające stamtąd odgłosy świadczyły o tym, że grzebie w biurku. W końcu trzasnęła szuflada i ksiądz wrócił. - Proszę - powiedział i podał swojemu gościowi Ust.

- Co to?

- Baresi przysłał mi go ze szpitala, kilka dni przed śmiercią. Sądzę, że da panu odpowiedź na kilka pytań.

Lassiter wpatrywał się w list, trzy zapisane po obu stronach kartki w kolorze łupin cebuli. Wysoko nad ich głowami zaczął dzwonić dzwon.

Azetti podciągnął mankiet i popatrzył na zegarek.

- Mam do ósmej spowiedzi. Jeśli pan wróci, przetłumaczę panu ten list.

- Nie mógłby ksiądz... Duchowny pokręcił głową.

- Nie mogę. To małe miasteczko i ludzie na pewno stoją już w oknach, zastanawiając się, co się stało.

- Ojciec...

- To czekało tysiące lat. Może poczekać jeszcze trochę.

Książd próbował mu coś powiedzieć, nie łamiąc swych ślubów. O różnorodności dziedzin, jakimi Baresi się zajmował, i o tym, w jaki sposób się łączyły. Nie układało się to jednak w żadną sensowną całość. A jeśli tak - Lassiter tego nie dostrzegał.

Stwierdził, że chyba powinien pobiegać.

Zawsze tak robił, kiedy miał do czynienia z problemem, którego nie umiał rozwiązać. Nastawiał umysł na „luz” i startował. Mniej więcej w połowie przypadków rozwiązanie przychodziło samo w trakcie bieganina, dostawał je niczym prezent.

Nie zamierzał jednak biegać w Montecastello. Aby pokonać choćby jaki taki dystans, musiałby okrążyć miasteczko kilka razy. Poza tym kocie łby to pułapka, można na nich skrócić kostkę nawet wtedy, gdy jest sucho; w dodatku ulice miasteczka były tak kręte, że nie dałoby się utrzymać równego rytmu biegu. Jeśli zaś chodzi o drogę prowadzącą z miasteczka w dół wzgórza, nic by go nie skłoniło do pobiegnięcia tamtędy - równie dobrze mógłby rzucić się w przepaść i próbować wspiąć się z powrotem.

Zrobił więc pierwszą rzecz, jaka mu przyszła do głowy: wsiadł do samochodu i ruszył mniej więcej w kierunku Spoleto. Próbował nie myśleć o niczym, kurczowo trzymał się nadziei, że odpowiedź przyjdzie sama. Jazda samochodem czasem również sprawdzała się jako technika medytacyjna, choć była znacznie mniej skuteczna od bieganina.

Według mapy Spoleto leżało czterdzieści kilometrów od Montecastello - akurat tyle, ile mu było potrzeba. Godzina jazdy w tamtą stronę, godzina jazdy z powrotem, spacer wokół Montecastello.

Rachunek okazał się jednak błędny. Mapa nie pokazywała dzielącego oba miasteczka łańcucha górskiego. Łącząca Spoleto i Montecastello droga okazała się wykutym w skalistym zboczu, asfaltowanym ciągiem zakrętów, każdy po sto osiemdziesiąt stopni. Spadek za krawędzią tej strony drogi, która akurat była zwrócona ku zboczu, zapierał dech w piersiach. Przejażdżka była wspaniała, jeśli chodzi o widoki, ale dotarcie do znaku SPOLETO 10 KM zajęło Lassiterowi półtorej godziny. Zaraz potem znalazł się za ogromną, poruszającą się w żółtym tempie ciężarówką, nie mógł jej jednak wyprzedzić, co skazało go na wspinanie się na wzgórze w chmurze dieslowskich spalin. Kiedy dotarł wreszcie do stacji benzynowej Agipu, jakieś osiem kilometrów na zachód od Spoleto, zawrócił. Ze światła dnia pozostał jedynie słaby rumieniec za górami. Zegarek na desce rozdzielczej wskazywał 18.15.

- Akurat się minęliście - powiedział Hugh, kiedy Lassiter wrócił do pensjonatu.

- Z kim?

- Nie podał nazwiska. Powiedział, że jest twoim przyjacielem. Lassiter się zdziwił.

- Nie mam tutaj „przyjaciół”. Zostawił jakąś wiadomość?

- Nie. Powiedział, że chce ci zrobić niespodziankę. Potem spytał, gdzie mógłby cię znaleźć i... -

Hugh zmarszczył czoło. - Powiedziałem, że poszedłeś zobaczyć się z *padre*.

Lassiter zamarł i musiało być w wyrazie jego twarzy coś świadczącego o niepokoju, bo Hugh aż jęknął.

- To był błąd, tak?

- Nie wiem. Jak ten człowiek wyglądał?

- Był duży. Og-rom-ny.

- Włoch? Hugh skinął głową.

- Jest stąd tylne wyjście? - spytał Lassiter. Anglik zbladł, po czym energicznie pokiwał głową.

- Jest - odparł i poprowadził Lassitera korytarzem, a potem przez kuchnię. Wyszli na uliczkę za

pensjonatem. - Bardzo mi przykro, Joe.

- Nie przejmuj się - mruknął Lassiter i ruszył truchtem w kierunku kościoła.

Wkrótce znalazł się w ślepych zaułku, rozjaśnianym nieco jedynie przez światło, padające ze znajdującego się wysoko w górze okna. Wiszący nad miasteczkiem księżyc schował się za gęstą warstwą chmur. Lassiter zdawał sobie sprawę z tego, że jego „przyjaciel” - prawdopodobnie Materac - będzie na niego czekał w kościele albo na placu, mimo to zamierzał spotkać się z księdzem. Było wcześniej, więc wokół będą się kręcić ludzie. Poza tym to był w końcu kościół. Może poprosi *padre*, by mu pozwolił odprowadzić się do domu.

Musiał źle skręcić - powinien już być na *piazza*. Zawrócił w kierunku, z którego przyszedł - albo tylko tak mu się wydawało, bo zagłębiał się coraz bardziej w labirynt uliczek i zaułków. Kiedy już zaczął wątpić, czy kiedykolwiek odnajdzie właściwą drogę, skręcił w lewo i nagle znalazł się na Piazza di San Fortunato.

Z każdym wydechem z jego ust wydobywał się gęsty obłok pary. Oddychał ciężko, ale nie od biegu. Buzowała w nim adrenalina, niemal czuł, jak wpada do komór serca niczym wodospad, a ponieważ doskonale wiedział, co taki stan może spowodować, stał przez chwilę na skraju placu. Głęboki wdech. Zatrzymać powietrze. Wypuścić je powoli. Jeszcze raz.

Po przeciwległej stronie placu, przy zamykającym go półtorametrowym murze zwieńczonym blankami, stało trzech mężczyzn i patrzyło w kierunku świateł Todi. Właściciel kawiarenki „Luna” zamykał interes, zasuwając na wejście roletę z żelaznych listew. Jeden z mężczyzn przy murze krzyknął do niego, że chce kupić papierosy, więc wszedł do środka. Lassiter dokładniej przyjrzał się ludziom przy blankach.

Okazało się, że się pomylił. Stało tam tylko dwóch mężczyzn, ale jeden był wielki jak dom i przypominał materac.

Joe oddychał już normalnie i kiedy obcy odwrócili się, by znów popatrzeć w kierunku Todi, przeciął plac na palcach, robiąc co dwa kroki krótkie przystanki.

Wnętrze kościoła było tak słabo oświetlone, że było w nim niewiele jaśniej niż na zewnątrz. Wosk spływał strumieniami po migoczących ciemnożółto świecach wotywnych, stojących w czerwonych jak krew miseczkach, elektryczny kandelabr jarzył się przyćmionym światłem.

- Ojcie...? - odezwał się Joe tak cicho, że sam ledwie słyszał swoje słowa. - Ojcie? - powtórzył. Nie otrzymał odpowiedzi, co oznaczało, że ksiądz musi być w mieszkaniu. Kiedy szedł przejściem między ławkami, uświadomił sobie, że jest mocno spóźniony. Ksiądz musiał być jednak gdzieś w pobliżu - bo nie zamknął kościoła.

Gdy Lassiter schodził po schodach, mężczyźni w dalszym ciągu stali przy murku, paląc papierosy. Poszedł do znajdującego się tuż przy kościele mieszkania księdza i zapukał w masywne drewniane drzwi. Nikt nie zareagował, więc spróbował przekręcić gałkę. Obróciła się i wszedł do środka. Światła były pogaszone, ale nie przeszkadzało mu to, jego oczy już dawno przyzwyczyły się do ciemności. Przesuwając się z pomieszczenia do pomieszczenia, wołał księdza po nazwisku, jednak odpowiadała mu tylko cisza.

Było to dziwne i dosyć niepokojące. Gdzie Azetti mógł się podziać? Joe wrócił do kościoła - może ksiądz modlił się w którejś z kaplic? Może podczas modlitwy tak się skupiał, że tracił kontakt z rzeczywistością i nie usłyszał wołania?

On sam nie bardzo wiedział, co to modlitwa. Prawdziwa modlitwa. Kiedyś, gdy Josie dostała nagle napadu religijności - potrwał zaledwie trzy tygodnie - uparła się, by razem z Kathy na zmianę

odmawiali modlitwę przed posiłkami i dziękowali za nie Panu. Gdy szli spać, musieli odmawiać Modlitwę Pańską - w jej obecności i na kolanach. Joe nigdy jednak nie zastanawiał się nad słowami, które wtedy wypowiadał. Były dla niego dźwiękami bez znaczenia. Niech się święci imię Twoje.

Niech się świę-ęci...

Zawołał ponownie, tym razem głośniej:

- Ojciec Azetti! To ja, Joe Lassiter! Żadnej reakcji.

Jedna ze świec wotywnych buchnęła wysokim płomieniem prysnął z niej wosk i w powietrzu rozszedł się charakterystyczny zapach, który kojarzył się Lassiterowi z urodzinowym tortem.

Może ksiądz poszedł do domu parafialnego? Może ktoś zachorował i ojciec Azetti musiał udzielić mu pomocy?

Postanowił zaczekać. Po chwili uznał, że powinien zapalić świeczkę za zmarłych. Niewielka strzałka wskazywała puszkę na datki i Lassiter wyjął z portfela banknot, złożył go wzdłuż i wsunął w szparę. Mógł to być zarówno jeden dolar jak i sto. Mogło być tysiąc lirów. Nie sprawdzał. Tak naprawdę było mu to obojętne. W jego głowie kotłowały się bezładne obrazy i luźne skojarzenia. Mężczyźni na zewnątrz... słowa księdza... ponure miasteczko...

Dla Kathy, pomyślał, zapalając świeczkę źdźbłem wysuszonej trawy. Potem zapalił drugą świeczkę - tuż obok. Dla Brandona, powiedział sobie, czując się, jakby pożyczał sobie czyjś rytuał. Ale przecież w końcu tak właśnie było.

Postanowił, że zaczeka jeszcze chwilę na Azettiego, po czym spróbuje znaleźć jakiś sposób, by oddalić się niezauważenie od placu. Usiądzie w ławce z dala od ołtarza i będzie obserwował wejście.

Nagle prawa stopa uciekła spod niego i poślizgnął się. Musiał zrobić dwa lub trzy kroki w bok i przytrzymać się boku ławki, by odzyskać równowagę.

Popatrzył na wykafelkowaną podłogę w miejscu, gdzie się poślizgnął. Ciemność odbierała przedmiotom barwy, dostrzegł jednak plamę, która sprawiała wrażenie czarnej, choć naprawdę miała inną barwę. Poczul bijący od podłogi zapach, którego raczej należałoby się spodziewać w rzeźni albo sklepie z mięsem.

Przyjrzał się bliżej posadzce i dostrzegł pełną strzyki krwi. Podniósł głowę i poszedł wzdłuż strzyki, by znaleźć miejsce, z którego wypływała. Po chwili stał przy konfesjonale. Choć nie miał ochoty wchodzić w krew, musiał to zrobić, bo jedyna droga do kabiny prowadziła przez krwawą strugę.

Jeszcze nigdy nie był we wnętrzu konfesjonału. Kiedy odsunął zasłonkę na bok, poczuł ulgę, okazało się bowiem, że jest pusty. Ulga była jednak krótkotrwała. Rozejrzał się i natychmiast dostrzegł dzielące kabinę przepierzenie. Od razu wiedział, co znajdzie po drugiej stronie.

Obcasy jego butów lepiły się, serce waliło w piersi jak oszalałe. Gdy odsunął zasłonkę drugiej części konfesjonału, znalazł Azettiego - siedział oparty głową o przepierzenie, uchem dotykał umieszczonej w nim kratki. W prawej skroni miał niewielką dziurkę, a w potylicy ranę wyjściową, w której mogła się zmieścić pięść. Lassiter wiedział bez patrzenia, że mózg księdza oblepia grubą warstwą ścianę za nim.

A więc pocisk o niskiej prędkości wylotowej. Półpłaszczowy, z miękkim wierzchołkiem - płaskim albo z wgłębieniem. Coś takiego przy uderzeniu natychmiast się odkształca, rozpada i rozpryskuje we wszystkie kierunki. Innymi słowy: dum-dum. Kiedyś trzeba było robić takie pociski samemu, nacinając ołowiany wierzchołek na krzyż, teraz można było je kupić - i były znacznie

skuteczniejsze.

Ksiądz siedział w konfesjonale z przyciśniętym do kratki uchem. Zabójca wszedł od strony spowiadającego się, usiadł i od razu, gdy tylko zaczął się „spowiadać”, wyjął pistolet. Być może powiedział: „Obraziłem Pana Boga następującymi grzechami...” - i w tym momencie strzelił księdzu prosto w ucho, używając pocisku, który zabiłby słonia.

Lassiter wyciągnął Azettiego z kabiny i ułożył go na podłodze. Nie bardzo wiedział, po co to robi, ale ksiądz sprawiał wrażenie, jakby było mu w konfesjonale niewygodnie. Szkoda, że nie ma poduszki, ale...

Nagle uświadomił sobie, że jemu również grozi niebezpieczeństwo. Zostawił księdza w przejściu między ławkami i ruszył w głąb kościoła, za ołtarz. Spędził tam pół godziny, z trudem poruszając się w ciasnej, zastawionej różnymi sprzętami przestrzeni, ale najwyraźniej nie było stąd wyjścia na zewnątrz. Wszystko wskazywało na to, że szczyt kościoła od strony ołtarza opiera się o inne budynki. W średniowieczu taka lokalizacja byłaby bardzo cenna - przynajmniej w obrębie murów obronnych.

Próba wyjścia przez mieszkanie księdza była tak samo bezcelowa, ponieważ przylegało do tylnego szczytu kościoła i prawdopodobnie stykało się z sąsiednimi budynkami. Jakie możliwości pozostawały? Ukrywanie się w kościele nie wchodziło w rachubę - Joe wiedział, że tamci mężczyźni prędzej czy później przyjdą tu ponownie.

Pchnął drzwi wejściowe i wyjrzał na plac. Był pusty i - przynajmniej przez chwilę - jasno oświetlony przez księżyc. Lassiter zszedł szybkimi krokami ze schodów i ruszył w kierunku fontanny, której bulgot był jedynym dźwiękiem na *piazza*. Księżycowe światło migotało na wypływającym z pyska lwa strumieniu wody, tworząc jasne, błyszczące pasmo.

W tym momencie dostrzegł mężczyznę.

Widział go wyraźnie, stojącego w jasnosrebrnym księżycowym blasku, w miejscu, gdzie *Via delia Felice* dochodziła do placu. W chwilę później księżyc schował się za chmurą i mężczyzna zniknął tak nagle, że Joe zadał sobie pytanie, czy przypadkiem go sobie nie wyimaginował. Odwrócił się w drugą stronę, ku ulicy, której nazwy nie znał, i zaczął iść - kiedy jednak księżyc znów rozświetlił ciemność, zobaczył, że zagroziła ją ściana.

Materac.

Joe zawrócił na pięcie i zaczął uciekać. Ale nie bardzo było dokąd.

- *Eccol 'Cenzo!* - zawołał cicho Materac. Miał zadziwiająco wysoki, niemal kobiecy głos.

Lassiter zaczął rozglądać się po placu, rejestrując jego poszczególne elementy: fontannę, kościół, kawiarnię, mur. Nie było drogi ucieczki. Materac i mniejszy mężczyzna szli w jego kierunku - oddaleni od siebie może pięć metrów, a od niego jakieś dwadzieścia. Widział w ciemności ich zęby. Uśmiechali się.

Zaczął się cofać - nieważne dokąd, byle dalej od zbliżającej się dwójki. Mniejszy mężczyzna sięgnął do wewnętrznej kieszeni i wyciągnął z niej coś, co wyglądało jak walther z nakręconym na lufę grubym cylindrem tłumika. Dokręcił go i powiedział cicho parę słów do swojego towarzysza. Lassiter dotknął plecami muru. Koniec drogi.

Mężczyźni zbliżali się bez pośpiechu, zdążył się więc przyjrzeć ich twarzom. Ten z bronią był młody i brzydki. Miał wielbłądzia głowę, jakby ściśnięto ją w imadle, nieruchome wylupiaste oczy, tępy wzrok i włosy tak krótkie, że sprawiały wrażenie cienia na głowie.

Materac był zrobiony z innego materiału - prawdopodobnie z żeliwnej wlewki. Tak jak całe ciało, jego twarz również była kwadratowa i sprawiała wrażenie, jakby potrzebowała golenia

przynajmniej raz na godzinę, a włosy wyglądały jak spleciona z trawy mata. Nawet mimo dzielącej ich odległości Lassiter widział zawziętość malującą się w jego oczach.

Mógłby się na nich rzucić albo spróbować przeskoczyć mur za plecami i zobaczyć, co się stanie. Ani jedna, ani druga ewentualność najprawdopodobniej nie rokowała przeżycia, ale któraś mogła dać mu jakąś szansę. Najchętniej by się odwrócił, by móc ocenić, jakie byłyby następstwa skoku za siebie: czy spadłby w przepaść i zginął, uderzając o skały albo o ziemię, czy może uderzyłby w zbocze, które nieco zamortyzowałoby upadek? Nie pamiętał, jak wygląda teren pod murkiem, ale nie mógł odwrócić wzroku od idących na niego mężczyzn.

Jednak kiedy niższy zaczął podnosić broń, Lassiter zrozumiał, że już podjął decyzję. Błyskawicznie położył lewą dłoń na szczycie muru, obrócił się i skoczył w otchłań. Zza jego pleców - a właściwie z góry - doleciało charakterystyczne trzaśnięcie i trzy szybko oddane po sobie strzały rozdarły powietrze, przez które leciał.

Nie żyję, pomyślał. Nie żyję. Jestem martwy. Wokół niego wirowała ciemność i oczy były bezużyteczne. Nagle, bez żadnego ostrzeżenia, siła grawitacji rzuciła nim o zbocze góry, uderzenie wypchnęło mu z płuc całe powietrze i potoczył się w dół po skałach. To leciał w powietrzu, to staczał się jak lawina - prawie zupełnie nie panując nad swoim ciałem. Udało mu się jednak podciągnąć kolana do piersi i objąć głowę ramionami. Człowiek-pocisk.

Jego ostatnią spójną myślą było, że jeśli w cokolwiek uderzy, będzie po nim. Skała, pomyślał. Głowa... skała... głowa jest jak skorupka jajka... jajko pęka... wszędzie rozpryskuje się mózg. Albo drzewo... nawet drzewo... rozerwie mnie na dwie części. Spadające ciało porusza się ruchem przyspieszonym.

Nagle stwierdził, że niczym baseballista, który wchodzi ślizgiem na bazę, hamuje nogami, wyciągając je przed siebie, choć dłonie drapią bezskutecznie grunt. Kiedy przesuwiał się przez jakiś krzew, zerwało mu paznokcie, ale na szczęście zdążył zamknąć oczy. Wreszcie - choć nastąpiło to dość gwałtownie - zatrzymał się, zapierając się stopami o głaz.

Był bezpieczny.

Chyba że nie żył. Nie - na pewno żył. Za bardzo go wszystko bolało. Poobtłukiwane wcześniej żebra paliły żywym ogniem, a prawa kostka rwała, jakby wbito w nią stalowy trzpień. Od i wnętrza stopy do samej pachwiny promieniował przeraźliwy, wyjący, „sopranowy” ból. Czuł w ustach smak krwi, skóra na policzku była szorstka od zadrapań i bał się poruszyć.

Co będzie, jeśli spróbuje wstać i mu się to nie uda? Bał się, że mógł utracić władzę w nogach. Leżał więc i spoglądał na księżyc, bawiący się z chmurami w chowanego. Powietrze było ciężkie od zapachu sosnowej żywicy, a noc wydawała się dziwnie jasna. W oddali słychać było pogwizdywanie tysiąca ptaków. PTAKÓW?

Co?!

Gdzie ja jestem?

No tak...

Musi wstać. Gdyby się okazało, że nie może się poruszyć, zawsze będzie mógł zacząć krzyczeć i poczekać, aż Materac z koleżką poczęstują go kulką, by zakończyć jego cierpienia.

Z jękiem przetoczył się na brzuch, złapał gałąź najbliższej sosny i podciągając się, wstał z trudem. Lekko się zataczając, rozejrzał się wokół i stwierdził, że stoi na zboczu góry tuż nad murami miasta. Parking znajdował się mniej więcej sto metrów od niego, a tuż za nim wyłaniał się z ciemności jaskrawo oświetlony prostokąt boiska piłkarskiego. Znów doleciał do niego gwizd i Joe

pojął, co słyszy - nie były to gwizdy ptasie, ale ludzkie. W typowo włoskim stylu kibicowano jakiemuś ważnemu meczowi piłki nożnej. Było zbyt wiele hałasu i światła jak na nieformalne towarzyskie spotkanie.

Lassiter strzepnął z siebie grudki ziemi i rozejrzał wokół za czymś, co mogło posłużyć za laskę. Znalazł suchą sosnową gałąź i sprawdził, czy wytrzyma jego ciężar. Zgięła się, ale nie pękła.

Pokuśtykał w kierunku parkingu, próbując zapanować nad bólem kostce. Bez względu na to, czy była złamana, czy tylko skręcona, ból z każdym krokiem narastał. A miał do zrobienia mnóstwo kroków. Dojście do parkingu zajęło mu dziesięć minut. W chwili gdy tam dotarł, od strony boiska doleciał radosny ryk. Ktoś musiał strzelić bramkę.

Parking był niewielki, wypełniony samochodami i rowerami ludzi, którzy przybyli na mecz. Joe stał w cieniu cyprysa i szukał wzrokiem auta z wypożyczalni, którym przyjechał. Bał się, że ktoś je zastawił, ale nie - nic nie blokowało wyjazdu na drogę. Właśnie zamierzał ruszyć do niego, kiedy na przednim siedzeniu stojącego piętnaście metrów dalej czarnego rovera błysnął płomyk zapalniczki. Nie było widać twarzy, ale w samochodzie siedziały dwie osoby i nie wyglądały na parę kochanków.

Lassiter ostrożnie wciągnął powietrze, jakby łykał gorący płyn.

Oczywiście, pomyślał. Z miasta był tylko jeden wyjazd. Materac nie musiał się zbytnio wysilać: jeśli zwierzyna niezabiła się podczas skoku, to gdzie przyjdzie, jeśli nie do swojego samochodu? Joe zaczął się zastanawiać, co robić. Może powinien stoczyć się dalej, do końca zbrocza, i pojechać do Todi autostopem?

Mógł wrócić do Montecastello, ale byłoby to pchaniem się w pułapkę. A co z boiskiem piłkarskim? Gdyby udało mu się tam dostać, mógłby się zgubić w tłumie... Nie! Miał podarte i zakrwawione ubranie - tylko część krwi była jego - całą twarz poznaczoną siateczką drobnych cięć i chodził jak Blaszyński Człowiek. Wszystko to razem powodowało, że nie istniał we Włoszech tłum wystarczająco duży, by mógł się w nim zgubić. Na jego widok ludzie prawdopodobnie zaczęliby wrzeszczeć. Ale przecież on też mógł zacząć się drzeć - może zjawiłaby się policja? Gdyby jednak tak się stało... co wtedy? Zamknęliby go przynajmniej do czasu znalezienia tłumacza. Byłby bezpieczny, ale tylko dopóty, dopóki Umbra Domini albo SISMI nie znalazłyby dojścia do współwięźniów, co wydawało się nietrudne do załatwienia - w końcu były to Włochy. Wtedy bez najmniejszej wątpliwości znaleziono by go rano powieszzonego na własnym pasku.

Ten wariant więc również odpadał. Poza tym rover stał między nim a boiskiem, między nim a policją. Pozostawało tylko jedno...

Przed nim stały rowery pozostawione w długim stojaku. Podeszedł do niego, pochylając się jak najniżej. Przesuwał się od roweru do roweru i w końcu znalazł to, czego szukał: zdezelowaną wyścigówkę, której właściciel nawet nie uznał za konieczne przypinać.

Wydostanie się stąd niepostrzeżenie nie będzie łatwe, ale jeśli Materac i jego kompan nadal będą się koncentrować na jego samochodzie, może nie przyjrzą się zbyt dokładnie człowiekowi na rowerze. Gdyby jednak się przyjrzeliby - wtedy cała sprawa szybko się zakończy. Strzelą mu w łeb i odjadą.

Wahał się, ale nie miał wyboru. Jeśli zachowa się odpowiednio cicho, może uda mu się przejechać obok. Wziął głęboki wdech, przerzucił lewą nogę przez ramę, a prawą mocno nacisnął pedał. Rower potoczył się w kierunku czarnego samochodu i zaczął nabierać prędkości. Równocześnie rozległ się przeraźliwy terkot.

TYRK
TYRK tyrk TYRK tyrktyrk
TYRKTYRKTYRKTYRKTYRKTYRKTYRK

Lassiter rozejrzał się, szukając źródła dźwięku, i szybko dostrzegł przyczynę problemu: właściciel roweru spinką do bielizny przyczepił do błotnika asa pik i brzeg karty uderzał w szprychy. Niech to cholera! Samochód przed nim rósł i... Ale udało mu się minąć wypożyczone auto i błyskawicznie zbliżał się do wyjazdu z parkingu. Był wolny! Przynajmniej tak mu się zdawało - dopóki za jego plecami nie zawył silnik. Spojrzał przez ramię i zobaczył, jak zapalają się reflektory, i po chwili samochód z dwoma mężczyznami w środku ruszył w jego kierunku.

Był już jednak poza parkingiem i ponieważ szaleńczo pedałowal oraz jechał w dół zbocza, wciąż nabierał prędkości. Droga owijała się wokół góry jak korkociąg, schodziła spiralą ku płaskowyżowi, i Joe miał wrażenie, że znalazł się w środku wielkiego wiru. Nie umiał określić, jak szybko jedzie, ale tempo było przerażające. Na szczęście czarny rover został z tyłu, widać było jedynie blask świateł reflektorów - sam samochód krył się za zakrętem. I nie doganiał go.

Lassiter pędził, od czasu do czasu dotykając lekko hamulców, pochylając się na zakrętach i pozwalając sile grawitacji robić swoje - błagając przy tym Boga, by uchronił go przed wyfrunięciem w przepaść. Serce mu waliło, wiatr kłuł w oczy, a karta do gry tak szybko uderzała w szprychy, że jeździe towarzyszyło nieprzerwane hałaśliwe buczenie.

Powoli płaskowyż zbliżał się coraz bardziej i Joe stwierdził, że spadek drogi maleje. Było jasne, że wkrótce teren całkowicie się wypłaszczy i siła grawitacji zacznie działać przeciw niemu. Straci prędkość, tamci go dogonią i...

Nagle znalazł się na płaskowyżu. Zjechał z góry niczym rozpedzona kula do kręgli i śmignął jak wystrzelony dnem doliny w kierunku plantacji drzew, którą przedtem widział. Znajdowała się jakieś osiemset metrów od niego, ale zanim dojechał do polanki na skraju, czarny rover miał go już w światłach.

Przejechał przez polankę, kręcąc jeszcze szybciej pedałami, by jak najprędzej dotrzeć do drzew. Kiedy zniknął w mroku między nimi, maksymalnie wykorzystał rozpęd. Gdy rower stanął, rzucił go i kuśtykając, ruszył głębiej w las.

Był to bardzo dziwny las - drzewa nie miały liści, rosły w równusieńkich odstępach i były mniej więcej tej samej wielkości. Nie było tu poszycia, a wszystkie gałęzie poniżej dwóch metrów nad ziemią poprzycinano.

Lassiter odwrócił się: ścigający go samochód miał zapalone długie światła i wjeżdżał na polanę. Po chwili zahamował i stanął na wolnym biegu przodem do lasu. Światła zgasły, drzwi się otworzyły i Materac oraz jego kompan wyskoczyli na zewnątrz.

Joe stał jak wmurowany, nie mogąc uwierzyć w to, co się wokół działo. Nie powinno go tu być. Miał tyle najrozmaitszych kontaktów, a skończy, chowając się za drzewem w czyimś lesie. Miał dostęp do ogromnych zasobów informacji i mógł korzystać z pomocy różnych firm. Kilkudziesięciu twardzieli na trzech kontynentach wiele by dało, by móc dla niego pracować, a on tymczasem tkwił w tym dziwnym lasu, przemykając się między drzewami.

Ale zajebicie zimno, pomyślał. A jeszcze ta kostka... Bez oglądania wiedział, że jest paskudnie opuchnięta. Na szczęście nie była złamana i albo zaczynały działać endorfiny, albo skręcenie nie było tak poważne, jak sądził na początku, bo mógł iść - wystarczyło jedynie wytrzymać ból.

Z oddali dolatywał cichy szmer rzeki i Lassiter ruszył w jej kierunku w nadziei, że szum wody da

mu dodatkowy kamuflaż. Poza tym, gdyby doszło do najgorszego, zawsze będzie mógł wskoczyć do rzeki, zanurkować i...

Utopić się. Temperatura wody najprawdopodobniej nie przekraczała dziesięciu stopni Celsjusza.

Usłyszał za plecami chrzęst łamanych gałęzi i odwrócił się. Wielbłądzia Morda zbliżał się wpatrzony w ziemię pod nogami, szedł aroganckim, miękkim krokiem polującego drapieżcy. Lassiter schował się za drzewo, może dziesięć metrów od niego. Nagle mężczyzna stanął, rozejrzał się i rozpiął rozporek, a potem z westchnieniem odwrócił się w kierunku drzewa i zaczął oddawać mocz.

Lassiter zobaczył unoszący się znad ziemi obłoczek pary i uświadomił sobie, że w tej właśnie chwili przeciwnik jest najłatwiejszy do pokonania. Jeśli miał go unieszkodliwić, to teraz. Wziął głęboki wdech, wyszedł zza drzewa i ruszył do ataku od tyłu.

Gdyby mógł poruszać się normalnie, przebyłby dzielącą ich odległość w czterech albo pięciu krokach i załatwiłby Włocha hakiem w potylicę. Miał dobry cios i gdyby walnął jak należy, Wielbłądzia Morda padłby na ziemię z fiutem w rękę.

Niestety jego kostka była zbyt słaba, by mu pozwolić na szybkie poruszanie się, i zbyt bolesna, by mógł to robić bezgłośnie. Zanim dotarł do przeciwnika, ten odsunął się od drzewa i odwrócił. W następnym ułamku sekundy - nagle i nieoczekiwanie - Lassiter leżał już na ziemi z przyciśniętym do niej prawym policzkiem. Prawa ręka Wielbłądziej Mordy była przewleczona pod jego pachą, a wnętrze dłoni przyciskało kark. Drugą ręką Włoch trzymał Joego za lewy nadgarstek - dzięki temu chwytowi mógł użyć jego twarzy jako pługa.

Lassiter wił się i młócił pięściami, ale nie mógł wyrwać się z uchwytu, który wcale nie był zaimprovizowany. Facet jest zapaśnikiem, pomyślał, do tego dobrym. Słyszał oddech Włocha i czuł odorek jego potu.

Przez długą chwilę leżeli przyciśnięci do siebie, w milczeniu naprężając mięśnie, ale nie poruszyli się nawet o centymetr. Nagle Włoch rozluźnił chwyt, puścił lewy nadgarstek Joego i sięgnął po coś. Kiedy to robił, jego ciężar zmalował. Lassiter zamachnął się łokciem, nic to jednak nie dało. Mężczyzna złapał go za włosy na potylicy i szarpnął do tyłu. Księżyc błysnął na ostrzu noża i Lassiterowi przemknęła przez głowę myśl: zaraz poderżnie mi gardło...

Włoch pomrukiwał coś groźnie, jakby informował Lassitera, że pozostało mu jeszcze tylko kilka sekund życia. Joe zacisnął zęby i spróbował przycisnąć podbródek do mostka, opierając się ciągnącej go za włosy ręce. Kiedy dotknął brodą piersi, natychmiast wyrzucił głowę do tyłu, wbijając ją Włochowi w twarz.

Mężczyzna zawył i odtoczył się na bok. Lassiterowi udało się wstać.

- 'Cenzo?' - doleciał z polanki niecierpliwy głos. - 'Cenzo?' Włoch leżący przed Lassiterem uniósł się na kolana, ale Joe dobrze wyćwiczonym ruchem bramkarza wymierzył nogą w jego głowę, jakby była piłką futbolową, i z całym okrucieństwem, na jakie potrafił się zdobyć, wbił mu podbicie w usta. Niemal się spodziewał, że głowa mężczyzny oderwie się od tułowia, jednak Wielbłądzia Morda przetoczył się tylko po ziemi i wstał. Pluł zębami, ale nie wypuścił noża z ręki.

Natychmiast ruszył na Lassitera, wbijając wzrok w jego oczy. Joe nie miał gdzie uciekać i nie pozostawało mu wiele możliwości działania. Włoch zamachnął się i rozplątał rękaw jego skórzanej kurtki, a potem znów chlasnął nożem, błyskawicznym ruchem z nadgarstka, który miał mu rozpruć brzuch. Lassiter skoczył w bok.

Ponownie doleciał do nich głos z polanki:

- 'Cenzo? Smarrito o qui?'

Wielbłądzia Morda, nie odwracając wzroku od Lassitera, krążył wokół niego, przygotowując się do śmiertelnego uderzenia.

- *Dove sta, eh?*

Tego było już widocznie za wiele. Zirytowany Włoch na ułamek sekundy odwrócił głowę w kierunku głosu i kiedy to zrobił, Joe zaatakował, zadając w dwie sekundy pięć uderzeń. Zaraz potem cofnął się, spodziewając się, że przeciwnik upadnie - co okazało się błędem, bo Włoch wcale nie upadł, ale skoczył na niego.

Mimo zaskoczenia Lassiterowi udało się ponownie trafić Wielbłądzią Mordę, któremu tym razem nóż wyleciał z ręki. Joe zanurkował, chwycił nóż, odwrócił się i... ponownie znalazł się na ziemi. Leżał na brzuchu w paraliżujących kleszczach, które unieruchomiły go niemal całkowicie. Mógł poruszać wyłącznie rękami, ale też nie za bardzo. Machał więc tylko z łokci w tył, jak w trakcie ćwiczeń sztangielkami na triceps.

Ponieważ jednak miał w ręku nóż, wystarczyło i to. W pewnym momencie poczuł, że ostrze trafia w coś twardego i Wielbłądzia Morda westchnął boleśnie. Lassiter dalej machał ręką jak zepsuta lalka i za każdym razem w coś uderzał, ale nie mógł wbić ostrza głęboko ani szczególnie mocno. W końcu jednak Wielbłądzia Morda zawył i zaczął odtaczać się na bok. Joe zamachnął się szerokim łukiem i uderzył ostatni raz. Poczuł, że przecina coś... jakby sznurek. Przekręcił się na bok, wstał i popatrzył na przeciwnika.

Włoch siedział na ziemi z dłońmi złożonymi na podolku, z wyrazem zaskoczenia na twarzy. Jedno z jego oczu - to, w które Lassiter trafił nożem - było zakrwawioną jamą, a z gardła, niczym pulsująca fontanna, tryskała krew.

Po chwili przewrócił się i przestał oddychać.

Lassiter, ciężko dysząc, pokuśtykał w kierunku rzeki. Walcz albo uciekaj. Tym razem musiał zrobić jedno i drugie. Był po czubek głowy napompowany adrenaliną i okropnie chciało mu się pić. Zanim jednak dotarł do rzeki, między drzewami pojawił się snop silnego światła, który zaczął omiatać las.

Lassiter odwrócił się i wbił wzrok w źródło światła.

Czarny rover miał przy drzwiach kierowcy zamocowany szperacz i Materac właśnie go używał, by odnaleźć w lasku swojego koleżkę i ściganą zwierzynę. Światło było na tyle jaskrawe, że bez problemu dostrzegłby kumpla - gdyby tamten stał. Tak jednak nie było i już nigdy nie będzie. Wielbłądzia Morda leżał na plecach, a Joe sunął w kierunku szperacza, używając jako osłony drzew.

Materac przez chwilę nasłuchiwał, a potem zatrzymał światło w jednym miejscu. Kiedy to zrobił, z umieszczonej przy pasku od strony pleców kabury wyjął pistolet i pobiegł przez polanę w kierunku lasu. Lassiter był zaskoczony - nie sądził, by mężczyzna podobnych rozmiarów mógł poruszać się w takim tempie i z taką gracją.

Nie zastanawiał się jednak nad tym zbyt długo. Jak najciszej zaczął przemieszczać się ku skrajowi polany. Powstrzymywał się, by nie biec, ale kiedy Materac wrzasnął pełnym przerażenia głosem: *'Cenzo!* - pokuśtykał jak najszybciej do samochodu i wskoczył do niego z nadzieją, że kluczyki będą tkwiły w stacyjce albo na siedzeniu będzie leżała broń.

Niestety.

Od strony lasu doleciał wściekły ryk. Lassiter gorączkowo szukał kluczyków - opuścił osłony przeciwsłoneczne, otworzył schowek...

Spomiędzy drzew doleciał kolejny ryk i kiedy Joe podniósł wzrok, ujrzał biegnącego w kierunku

samochodu Materaca, oświetlonego szperaczem jak silos. Niemal w tym samym momencie kątem oka dostrzegł kluczyki - leżały na podłodze. Złapał je i zaczął przymierzać do stacyjki - jeden, drugi... Dopiero przy trzecim silnik ożył. Materac stał już na skraju polany i podnosił pistolet do strzału.

Lassiter wrzucił wsteczny, wdepnął gaz do dechy i ruszył tyłem ku drodze. Materac, choć szybko małał w świetle reflektorów, najwyraźniej nie zrezygnował, bo zaczął strzelać. Pierwszy pocisk strzaskał jeden z reflektorów, drugi ozdobił przednią szybę pajęczyną pęknięć, trzeci zrykoszetował od maski. Joe zawrócił kontrolowanym poślizgiem i kiedy wrzucał jedynekę, o karoserię zadudniły następne strzały - czwarty i piąty.

Opuścił nisko głowę, wbił pedał gazu do podłogi i z rykiem silnika pomknął przed siebie, starając się przypomnieć sobie, jak biegnie droga. Nie podnosił głowy przez pięć, może sześć sekund, aż usłyszał pulsujące trąbienie, a noc zamieniła się w serię błysków. Gdy spojrzął nad deską rozdzielczą, żołądek podszedł mu do gardła - prosto na niego pędziła wielka ciężarówka, której kierowca miگاł długimi światłami i trąbił.

Odruchowo szarpnął kierownicą w prawo i kiedy tir śmignął obok, wypuścił powietrze w długim, szarpanym wydechu. Jechał niewłaściwym pasem.

Tak? No to mnie zastrzelcie, pomyślał.

29

Todi czy Marsciano?

Rover cicho pracował na wolnym biegu przed znakiem STOP, gdzieś na środku pustkowia. W prawo czy w lewo? Na północ czy na południe? Niewiele myśląc, Lassiter szarpnął kierownicą w lewo i ruszył w kierunku Marsciano - nieważne, co tam było, byle nie skończyć na górskiej drodze do Spoleto albo, co gorsza - nie znaleźć się w drodze powrotnej do Montecastello.

Miasto było pułapką, ślepym zaułkiem - być może łatwo je było obronić, ale trudno z niego uciec. A on to właśnie teraz robił: uciekał. Przed Materacem, to oczywiste, ale także przed policją. Ksiądz nie żył i było jasne, że rano Lassiter stanie się podejrzanym numer jeden. Kiedy Nigel i Hugh dowiedzą się o śmierci Azettiego, natychmiast sobie przypomną, że Joe wybierał się do niego - po czym zniknął, nie zabierając rzeczy.

Mógł oczywiście iść na policję i wszystko wyjaśnić - od Bepiego do Wielbłądziej Mordy, z Azettim po drodze. Jednak jazda na policję kradzionym samochodem, w zakrwawionym ubraniu, do tego przy znajomości zaledwie dziesięciu włoskich słów nie wydawała się dobrym pomysłem. W najlepszym wypadku musiałby przez kilka dni odpowiadać na pytania, a zanim wskoczył na rower, zdecydował, że nie będzie sprawdzał prawdopodobieństwa przeżycia we włoskim więzieniu.

Po dojechaniu do kolejnego skrzyżowania skręcił na Perugię i ruszył na północ. Byle dalej od Umbrii. Dalej od Rzymu. Dalej od każdego miejsca, w jakim kiedykolwiek już był.

Potrzebował telefonu i miejsca do umycia się - znalezienie jednego i drugiego na pewno nie będzie łatwe. We Włoszech jest mnóstwo publicznych toalet, ale w obecnym stanie z pewnością do niewielu z nich mógłby wejść, nie prowokując wrzasku. Przydatna mogła się okazać toaleta na stacji benzynowej, jednak jak na razie nie minął żadnej otwartej.

Potarł do przedmieść Perugii i pojechał za znakami do A-1, pięknej włoskiej autostrady. Była płata, ale za to najwyraźniej nie obowiązywało na niej ograniczenie prędkości i w regularnych odstępach znajdowały się miejsca na odpoczynek z pełnym zestawem usług: stacjami benzynowymi, telefonami i toaletami. Jedyne problem polegał na tym, że każde takie miejsce było jasno oświetlone.

Cóż, nie miał wielkiego wyboru.

Pędził przez ciemność ponad sto czterdzieści na godzinę, kiedy silny podmuch wiatru zachybotał samochodem i lunęło. Nagle - choć zupełnie stracił widoczność - poczuł nienaturalny spokój, jakby wyssało z niego całą adrenalinę. Podejrzywał, że tak też właśnie było - prawdopodobnie po prostu się zużyła.

Spojrzał we wsteczne lusterko, a ponieważ nie dostrzegł za sobą żadnych świateł, zjechał na pobocze, gdzie dokładnie sprawdził wszystkie dźwignie i przyciski na desce rozdzielczej. Kiedy znalazł uruchamianie wycieraczek, włączył je i wrócił na jezdnię.

Punkty postojowe nie były tak liczne jak w Stanach. Zanim dotarł do pierwszego - kilka kilometrów na południe od Florencji - była północ. Wjechał na parking. Większość samochodów i ciężarówek stała jak najbliżej budynków, zajął więc najodleglejsze miejsce na parkingu, gdzie szansa spotkania kogoś była najmniejsza. Potem zapalił górne światło i obejrzał swoją twarz.

Wyglądała gorzej, niż sądził. Kołnierzyk koszuli nasiąkł krwią, choć nie bardzo wiedział - jego własną czy cudzą. Policzki miał poznaczone krzyżującymi się pod wszelkimi możliwymi kątami ranami ciętymi, powstałymi w trakcie spadania ze zbocza, a na skroni dość głębokie rozcięcie. Dotknął go palcami, jednak szybko je cofnął - rana mocno krwawiła, a włosy wokół niej były sztywne od krwi.

Zgasił lampkę na suficie, otworzył drzwi i wyszedł na zewnątrz, w lodowaty deszcz. Jego ubranie było w beznadziejnym stanie. Miał krew na marynarce, na koszuli, na spodniach. Własną, Azettiego i człowieka, którego zabił.

Co robić? Czy jeśli postoi wystarczająco długo na deszczu, krew zostanie spłukana? Nie - jedynie dostanie zapalenia płuc.

Zrobił więc to, co w jego sytuacji było najmniejszym złem: rozebrał się do podkoszulka i zmoczył koszulę w kałuży oleistej wody. Choć smród oleju napędowego przyprawiał go o mdłości, wytarł koszulą krew z twarzy, a potem z marynarki, włożył ją na podkoszulek i otworzył maskę samochodu. Silnik był zadziwiająco czysty, ale znalazł dość brudu, by jako tako zasmarować krwawe plamy na spodniach.

Kiedy skończył, pokuśtykał przez parking i wspinał się schodami do restauracji nad autostradą. Nadchodzący z przeciwka biznesmen dziwnie na niego popatrzył, nic jednak nie powiedział. Było to zachęcające.

Po chwili dotarł do tablicy informacyjnej. Na jednej ze strzałek znajdowała się para ludzików w kresek i Lassiter poszedł we wskazanym przez nią kierunku.

Męska toaleta była ogromna i - rzecz zdumiewająca - wyposażona w prysznice. Pracownik zlustrował wchodzącego Lassitera od stóp do głów i skinieniem głowy wskazał w głąb pomieszczenia. Potem podniósł dłoń i poruszając palcami, dał mu do zrozumienia, że powinien wziąć prysznic.

Był Turkiem, może Bułgarem, w każdym razie skąpił ręczników. Lassiter chciał sześć, kąpielowy zaoferował dwa, w końcu jednak ustąpił, ale napisał na kartce kilka liczb: tyle za kąpiel, tyle za każdy ręcznik. Uniósł brew i pokazał pantomimicznie golenie, po czym wskazał na tacę z mydłem, jednorazowymi maszynkami, płynem po goleniu i czymś do włosów. Lassiter wziął, co mu było potrzebne, zczekał, aż kąpielowy zsumuje rachunek, a kiedy go zobaczył, zapłacił dwa razy tyle.

- *Grazie* - dodał na koniec.

Kąpiel była rewelacyjna - dopóki nie użył mydła. Rany zapiekły jak diabli. Lassiter zmył z

włosów krew, wyprał jak umiał spodnie i zawijał je w kolejne ręczniki, by odcisnąć jak najwięcej wody. Plamy zostały, ale nie było już widać, że to krew.

Kiedy wychodził, rzucił na siebie okiem w lustrze i pomyślał, że wygląda jak człowiek, który przegrał wojnę.

Minęła już północ i jeśli Roy był w domu, to z pewnością spał, bo po pięciu dzwonekach włączyła się automatyczna sekretarka. Lassiter wsunął kartę w automat i spróbował ponownie. Potem jeszcze raz.

Wreszcie po drugiej stronie rozległ się trzask i ze słuchawki doleciało:

Dunwold.

Roy, mówi Joe Lassiter. Obudziłeś się?

Mhmmmmmm-hmnn.

Mam problem.

__ Hunnh...

.Roy, mówię poważnie... Obudź się! Mam kłopoty.

Hunnh! Jasne. Wcale nie śpię. Jakie kłopoty?

- Miałem... hm... zginęli ludzie. Nie mogę dostać się do swojego paszportu. Poza tym nie mam forsy i...

- I...? Jest jeszcze jakieś „i”?

- Podróżuję kradzionym samochodem.

- A poza tym?

- Poza tym wszystko gra.

- To świetnie. Gdzie jesteś?

- Na autostradzie niedaleko Florencji. Na parkingu z restauracją. Jestem trochę poobijany i potrzebuję... wyjechać. Do Francji albo Szwajcarii - gdzieś, gdzie będę mógł iść do ambasady po nowy paszport. A właściwie jaki mamy dziś dzień?

Przez chwilę w słuchawce panowała cisza.

- Niedziela. Bardzo wczesnie rano.

- Rozumiem. W poniedziałek, najpóźniej we wtorek będzie zadyma.

- Powiedziałeś, że ktoś został ranny?

- Powiedziałem, że ktoś zginął.

- Rozumiem, więc został bardzo poważnie ranny. I jedziesz... pożyczonym...

- Zgadza się.

- Nie chcę, żebyś myślał, że ci nie zamierzam pomóc, ale to z ambasadą... czy to dobry pomysł?

Na pewno mógłbym ci zorganizować dokumenty na inne nazwisko, choć do wtorku... nie sądzę.

- Spróbuję w ambasadzie. Najważniejsze jest dla mnie wydostanie się z Włoch. I to szybko.

- No dobrze, rozumiem, daj mi godzinę... nie, lepiej dwie, i zadzwoń znowu. Jeśli mnie nie złapiesz, dzwoń co godzina. Znajdę kogoś, kto po ciebie podjedzie.

- Jeszcze jedno...

- Do usług - już zapisuję!

- Potrzebuję jakiegoś ubrania.

- Boże drogi! Jesteś goły?

- Nie, nie jestem. Ale mam mokre spodnie!

- Rany! Musiało być naprawdę nieźle!

- Roy... załatw mi kilka zasranych rzeczy do ubrania!

- Oczywiście. Zobaczą, co da się zrobić.

Postanowił nie czekać na parking, ale ruszyć dalej na północ. Tam była granica, poza tym gdyby tu został, zaczęłyby się ściągać na siebie zainteresowanie. Na autostradzie rozkręcił mocniej ogrzewanie, włączył radio i czekał, aż spodnie wyschną.

Jakieś dziesięć kilometrów na południe od Bolonii - jechał niecałe sto czterdzieści - dogoniła go biała alfa, zrównała się z nim, zwolniła i zaczęła jechać obok. Jechali tak przez dwa lub trzy kilometry, aż wreszcie Lassiter, zirytowany, odwrócił się z wściekłą miną do kierowcy obok - i w tym momencie zobaczył, że ma do czynienia z gliniarzem. Odruchowo zwolnił, policjant także, po czym podniósł palec i z pozbawioną jakichkolwiek emocji twarzą wskazał na pobocze.

Lassiterowi nawet przez myśl nie przeszło, by uciekać. Był zbyt zmęczony, nie znał tutejszych dróg i mógłby się po prostu zabić. Zjechał więc na pobocze i z rezygnacją czekał na dalszy rozwój wydarzeń.

Alfa stanęła tuż za nim i policjant wysiadł z dłonią na kaburze. Lassiter położył dłonie na kierownicy i patrzył przed siebie. Kiedy gliniarz zapukał w okno, opuścił szybę.

Policjant przyglądał mu się przez chwilę - obejrzał cięcia na twarzy i ranę na skroni, a potem popatrzył na popękaną przednią szybę.

- *Patente* - powiedział w końcu i wyciągnął rękę. Lassiter sięgnął po portfel, wyjął prawo jazdy i podał je gliniarzowi.

- *Grazie, signore* - odparł policjant i obejrzał dokument. - *Inglese?*

- Amerykanin. Policjant skinął głową.

- *Momento* - powiedział i powoli obszedł samochód od przodu.

Przykucnął na chwilę, by przyjrzeć się rozbitemu reflektorowi, po czym wstał i przeciągnął dłonią po masce, zatrzymując się przy każdej dziurze od kuli. Przez długą chwilę przyglądał się przedniej szybie, a kiedy skończył oględziny, wrócił do okna Lassitera. Joe był pewien, że już po wszystkim, i zamierzał sięgnąć do klamki, ale policjant wyjął bloczek i zaczął wypisywać mandat. Kiedy skończył, oderwał go od bloczka i podał Lassiterowi.

- *Parla italiano?* - zapytał.

Lassiter zaprzeczył.

Policjant ponownie kiwnął głową, a potem wskazał na rozbity reflektor, rozbity szybę i w końcu na sumę na kartce. Mandat wynosił dziewięćdziesiąt tysięcy lirów, czyli mniej więcej sześćdziesiąt dolarów. Lassiter wyjął banknot o nominale stu tysięcy lirów i podał go policjantowi.

Grazie - powiedział.

- *Per favore* - odparł policjant, wyjął z płaszcza wielki, zamykany na suwak portfel i włożył do niego pieniądze. Potem wyjął dziesięć tysięcy lirów i podał Lassiterowi. - *Ecco la sue cambia, signore.*

Joe skinął głową, zastanawiając się, czy to nie jakiś żart. Policjant dotknął daszka czapki.

- *Buon viaggio* - pożegnał Lassitera i wrócił do swojego samochodu.

Dziesięć minut później Lassiter zatrzymał się na kolejnym parking. Roy odebrał po trzecim dzwonku.

- Zaczekaj sekundę, Joe, dobrze? Mam rozmowę na drugiej linii - oświadczył. W chwilę później odezwał się ponownie. - No dobrze, właśnie coś znalazłem... a raczej kogoś. Znalazłem kołesia z branży import-eksport. Taki niby wolnościowiec. Wozi do Słowenii olej z oliwek, a stamtąd wywozi

papierosy. Wszystko legalnie, z wyjątkiem podatków... Wygląda na to, że ich nie płaci, ma jakieś swoje sposoby przechodzenia przez granicę. Nie będzie to tanie, ale możesz z nim jechać, jeśli chcesz. Jako dodatkowy bagaż. Zainteresowany?

- Tak. Nie! To znaczy... gdzie, do cholery, jest ta Słowenia?
- Kiedy ostatnim razem sprawdzałem na mapie, była w Jugosławii.
- Ile chce?
- Dwa koła... dolców. Żadnych czeków.
- Nie ma problemu. Tyle że... nie mam takiej sumy przy sobie.
- Nie martw się. Załatwię to. Lassiter odetchnął z ulgą.
- Posłuchaj, Roy... Jeśli kiedyś będziesz miał cokolwiek, w czym mógłbym...
- Naprawdę?
- Jasne.
- Byłoby coś takiego...
- Co?
- Mógłbyś mi pozwolić otworzyć biuro w Paryżu. Lassiter roześmiał się.
- Żartujesz.
- Nie. Miałbym mnóstwo zleceń.
- Porozmawiamy o tym, kiedy wrócę.

Instrukcje Roya były proste i jasne. Miał pojechać A-13 do Padwy, zjechać na A-4 i dążyć dalej na północ. Spotkanie nastąpi na pięćdziesiątym szóstym kilometrze, między Wenecją a Triestem, w jedynym punkcie usługowym przy autostradzie na tym odcinku. Mężczyzna, który będzie tam na niego czekał, miał mieć wyszyty na kieszonce kombinezonu napis MARIO. Spotkają się w barze, gdzie Lassiter ma wejść z egzemplarzem „Oggi”.

- Wszędzie kupisz tę gazetę - zapewnił go Roy.

Chyba żeby. Stoiska z gazetami otwierano o siódmej, a spotkanie wyznaczono na szóstą.

Lassiter dyskretnie przejrzał kosze na śmieci, ale zostały już opróżnione. Nie pozostawało mu nic innego, jak stać przy barze i mieć nadzieję, że MARIO to nie nazwa firmy transportowej.

Był przy czwartym cappuccino, kiedy do środka wtoczył się przyprószonego siwizną człowieczek w niebieskim kombinezonie. Miał w ręku pakunek, w kącie ust papierosa, a na piersi napis MARIO. Podszedł do baru, popatrzył na Lassitera, zamówił espresso i odwrócił się.

Lassiter odczekał minutę i zaczepił go.

- *Scusi...* - powiedział cicho, wyczerpując tym swoją znajomość włoskiego. - *Scusi!*

Mario ostentacyjnie odwrócił się do niego plecami i machnął ręką, sygnalizując: „Daj mi święty spokój”.

Lassiter odczekał chwilę, po czym postukał małego człowieczka w ramię.

- Nie wie pan, gdzie mógłbym kupić egzemplarz „Oggi”? - spytał. Mario pokręcił głową. - Szukam „Oggi”! Takiej włoskiej gazety. OU-GGI. Słyszał pan kiedyś o niej?

Mario popatrzył na niego z wyrazem wściekłego zdziwienia na twarzy i pytaniem w oczach - pytaniem, które nie wymagało tłumaczenia: „Całkiem oszalałeś, człowieku?”.

- Jest jeszcze za wcześnie, *signore* - wtrącił barman, posyłając Lassiterowi ostrzegawcze spojrzenie. - Musi pan poczekać.

Lassiter wzruszył ramionami, a Mario wstał, rzucił na ladę kilka monet, wziął swoją paczkę i nie odwracając się, poszedł do toalety. Joe odczekał długą minutę, po czym również poszedł do toalety.

Kiedy wszedł, Mario podał mu pakunek i wskazał głową jedną z kabin.

- Mówisz po angielsku? - spytał Lassiter.

- *No*. Ciekawe.

Pakunek był owinięty brązowym papierem i starannie okręcony szpagatem. W środku znajdował się taki sam kombinezon jak Maria, tyle że na kieszonce był wyszyty napis CESARE. Lassiter zdjął spodnie, włożył kombinezon i popatrzył po sobie. Nogawki były za krótkie, a eleganckie mokasyny pasowały do tego stroju jak kapelusz z rafii do smokinga. Mimo wszystko był to mundur, wiadomo zaś, że każdy mundur jest znakomitym przebraniem. Nieważne, czy jest się gońcem Federal Express, pielęgniarką, gliniarzem, czy - jak teraz w jego przypadku - smerfem. Ludzie widzą uniform i nie patrzą na twarz. Kombinezon był lepszy od spodni także dlatego, że był suchy.

Lassiter przebrał się, a swoje mokre spodnie wcisnął do kosza na śmieci.

Ciężarówka Maria była karłowatym furgonem, większym od pikapa czy furgonetki, ale znacznie mniejszym od każdego samochodu dostawczego, widywanego na amerykańskich drogach. Była jednak radiofonizowana i wyposażona w zamontowane w drzwiach pięćdziesięciowatowe głośniki.

Niestety muzyczny gust Maria koncentrował się na europopie i bardzo starym rock and rollu. Gorzej - uwielbiał śpiewać. Choć Lassiter musiał przyznać, że ma dobre płuca, niestety nie miał żadnych zahamowań.

- *AU the little birds on Jay-bird Street...*

Poczuł, że ktoś szarpie go za ramię, i nagle oprzytomniał. Siedział na miejscu pasażera w ciężarówce i trzymał na kolanach swoją skórzaną kurtkę. Piekła go twarz, kostka boleśnie pulsowała, a okolica żeber sprawiała wrażenie, jakby zdarto przykrywającą je skórę. Poza tym czuł się niezle - pomijając mgłę, w której pływał. - *Attenzione!*

Lassiter aż podskoczył. Odwrócił się.

No tak, Mario... Siedzący za kierownicą kurdupel w niebieskim kombinezonie przyglądał mu się z powagą i przyciskał palec do ust. - *Niente* - powiedział na wypadek, gdyby Lassiter nie zrozumiał poprzedniego komunikatu. W radiu szedł „The Wanderer”. *Go ‘round and ‘round and ‘round...*

Znak przy drodze informował, że znajdują się niedaleko miejscowości Gorizia, choć Lassiter nie miał zielonego pojęcia, co to oznacza. Wkrótce dojechali do szlabanu granicznego, przy którym był kolejny znak: SANT’ ANDREA ESTE. Z niewielkiego drewnianego baraku wyszedł umundurowany mężczyzna, uśmiechnął się i machnął, by podjeżdżali.

Mario stuknął Lassitera w ramię i - przytrzymując kierownicę kolanami - przechylił głowę, złożył dłonie i zamknął oczy. Potem wyprostował się i wycelował palec w pierś Lassitera. Joe zrozumiał bez pudła.

Oparł się o drzwi, rozluźnił i zamknął oczy. Prawie. Minęli znak z napisem N. GORICA i wkrótce dotarli do kolejnego budynku. Tym razem z bloków żużlobetonu. Wyszedł z niego mężczyzna w szarym mundurze i dał Włochowi znak, by wszedł do środka. Wyraźnie chciał, by obaj wysiedli, ale Mario pokręcił głową i współczująco popatrzył na „śpiącego” Lassitera. Popłynął potok włoskiego, i w końcu pogranicznik wzruszył ramionami. Mario zeskoczył na ziemię i poszedł za funkcjonariuszem do budynku. Lassiter patrzył przez uchylone powieki, jak Mario dołącza do siedzącej przy stole grupy grających w karty mężczyzn.

Słuchanie ich niezrozumiałej rozmowy było dziwne i denerwujące. Co miał znaczyć ten gest? - zastanawiał się Joe. A to słowo? A tamten ruch?

Wszystko trwało jakieś dwadzieścia minut. Mario najpierw wypił kawę, potem aperitif.

Potem jeszcze jeden.

Lassiter zgrzytał zębami przy każdym opowiadanym przez mężczyzn dowcipie i każdym następnym papierosie. Od czasu do czasu buchał paroksyzm śmiechu. W końcu wszyscy wstali i zaczęli się żegnać. Zaraz potem pojawił się Mario, wsiadł do ciężarówki, machnął ręką i ruszyli.

Kolejny znak informował, że są już w Słowenii. Na jego widok Lassiter uniósł kciuk. Mario wyszczerzył zęby w uśmiechu i lekko wzruszył ramionami. Nic wielkiego.

Droga prowadziła wzdłuż wąskiej rzeczki, której koryto stanowiło dno biegnącej między górami doliny. Po obu stronach ciągnęły się sady jabłkowe i winnice. Wszędzie sterczały kawały wapienia, a na ziemi leżały dwa centymetry świeżego śniegu. Okolica wyglądała na zadbaną i dostatnią. Znaki na skrzyżowaniach wskazywały drogę do miejscowości, których nazw Lassiter nie był w stanie wymówić: Ajdovscina, Postojna, Vrhnika, Kranj. Jediną miejscowością, o której słyszał, była Lubiana - stolica.

Dotarcie tam zajęło im półtorej godziny, a potem nagle znaleźli się w centrum. Nie było tu przedmieść - pośrodku wspaniałej, dziewiczej krainy wyrastało piękne miasto. Mario zatrzymał się przed stacją kolejową i odwrócił do Lassitera.

- Luublana - powiedział. Joe po raz pierwszy usłyszał, jak wymawia się to słowo.

Uściskał dłoń Maria i zamierzał wysiąść, ale Włoch dotknął rękawem jego kombinezonu i powiedział coś, co chyba oznaczało: „Oddaj”. Lassiter obrócił dłonie wnętrzem do góry, skrzyżował je i położył na podolku, energicznie kręcąc głową.

Mario zrozumiał - Amerykanin nie miał spodni. Uśmiechnął się, wrzucił wsteczny bieg i podjechali do niedzielnego targowiska. Choć w większości straganów sprzedawano warzywa i jedzenie, można było tu także kupić ubranie. Lassiter wybrał sobie dzinsy i podkoszulek z napisem: I V LUBLANA.

Przebrał się z tyłu furgonetki i po uściśnięciu ręki Maria wysiadł przy Grand Hotelu.

- *Arrwederci* - powiedział na pożegnanie.

- Do zobaczenia - odparł Mario i szczerząc zęby w uśmiechu, odjechał.

Hotelowy recepcjonista był łysy, miał wąsy wygięte jak rączka do walizki i jaskrawoczerwony nos. Kiedy poprosił o paszport, Lassiter pokręcił głową.

- Przykro mi - powiedział. - Muszę jutro rano iść po nowy. Recepcjonista przyjrzał się jego twarzy i zmarszczył z troską czoło.

- Miał pan wypadek? - spytał, delikatnie dotykając palcami swoich policzków. - Samochodem?

Lassiter uznał, że to niezły pomysł.

- Właśnie...

- Oj... - jęknął współczująco recepcjonista. - Wezwać lekarza?

Lassiter pokręcił głową.

- Nie, jutro wracam do Stanów. Potrzebuję jedynie trochę odpoczynku.

- Oczywiście... - odparł recepcjonista i podał mu kartę meldunkową.

Rano Lassiter znalazł w starej części miasta sklep z męską odzieżą i wybrał sobie włoski garnitur oraz inne części garderoby. Gdy skracano mu spodnie, zjadł śniadanie złożone z kawy i crois-santów, przeczytał „Herald Tribune” i kupił w pobliskiej aptece laskę. Potem wrócił po garnitur i resztę ubrań.

Kiedy szedł do hotelu, zbliżało się południe. Szybko się przebrał i wyszedł znów na miasto, by zrobić sobie zdjęcia do paszportu. Potem poszedł do ambasady amerykańskiej na ulicy Prazakowej i

nakłamał ile wlezie. Wczoraj wieczorem był w kasynie. Poznał dziewczynę. Pokłócił się z kimś tutejszym, a kiedy obudził się rano, był w hotelu, ale bez paszportu - i wszystko wskazywało na to, że przegrał walkę. (Choć nie przypominał sobie, by się z kimś bił).

Urzędnik, z którym rozmawiał, miał jakieś dwadzieścia trzy lata, a na jego twarzy było wypisane: „Dopiero co skończyłem college”.

- Sądzi pan, że skradziono panu paszport?

- Nie wiem - odparł Lassiter. - Naprawdę nie wiem.

- Hm... Zgłosił pan ten incydent policji?

- Nie.

- Dlaczego?

- Nie sądzę, by moja narzeczona wykazała się odpowiednim zrozumieniem.

- O!

Ku zaskoczeniu Lassitera uwierzono mu na słowo. Jeszcze bardziej mu ulżyło, kiedy - po sprawdzeniu jego danych w komputerze - okazało się, że nikt nie szuka we Włoszech turysty-zabójcy o nazwisku Joe Lassiter. Procedura biurokratyczna okazała się krótka i bezbolesna i w ciągu godziny miał w ręku tymczasowy paszport, ważny na rok.

Dalej sprawy potoczyły się równie gładko. Samolotem linii Air Adria dostał się do Paryża, autobusem przejechał z Orły na lotnisko

Charles'a de Gaulle'a i wszedł do samolotu lecącego do Waszyngtonu. Kiedy usiadł w fotelu pierwszej klasy, poprosił stewardesę o Bloody Mary i zamknął oczy.

Słuchając otaczających go odgłosów, czuł się prawie tak, jakby już wrócił do USA. Stewardesy były tak wspaniałe amerykańskie, że miał ochotę dawać im napiwki tylko za to, że istnieją.

W końcu 747 z pomrukiem ustawił się na pasie startowym, rozgrzał silniki i potoczył się ku horyzontowi. Po chwili wspinali się nad Bois de Boulogne. Podwozie się schowało, napis, by zapiąć pasy, zgasł. Jedna ze stewardes przyszła z Bloody Mary.

- O Boże - jęknęła, stawiając drinka na tacy Lassitera. - Co się panu stało?

- Spadłem ze skalnej ściany - odparł.

Obdarowała go promiennym uśmiechem, torebką solonych orzeszków i żartobliwym klepieniem w przedramię.

- Ale z pana...

- Naprawdę.

- I jak pan to zrobił? - spytała, a kiedy usiadła obok i skrzyżowała nogi, nagromadzona w rajstopach elektryczność strzeliła z cichym trzaskiem.

Joe wzruszył ramionami.

- To nie było trudne - powiedział. - Po prostu skoczyłem w dół. - Stuknął brzegiem szklaneczki w plastikowe okno i wznosił toast za Roya Dunwolda. - Za szeroki błękitny horyzont!

- Klink! - odpowiedziała stewardesa. - Klink-klink!

30

- Była bardzo silna burza, sir! - mówił taksówkarz. - Bardzo silna. Prawdziwy huragan!

- Widzę - odparł Lassiter, mając nadzieję, że Freddy pamiętał o sprzątnięciu jego podjazdu. - Musiało być paskudnie.

- O tak, sir! Chętnie o wszystkim opowiem! Napiszę do domu o „Burzy z Dziewięćdziesiątego

Szóstego”.

- A gdzie to jest? - spytał Lassiter, patrząc na jarzące się w świetle księżyca tumany śniegu.

- Co, sir?

- Pański dom.

- O... w Pindi, sir. No a ta burza... Ludzie z telewizji nazwali ją „Burzą z Dziewięćdziesiątego

Szóstego”. Bardzo dramatycznie to brzmi, prawda?

- Trzeba skrócić w lewo.

- Mogę o coś zapytać, sir? Daleko pan podróżował?

- Włochy. Kierowca skinął głową.

- I obrabowali pana? Lassiter pokręcił głową.

- Nie. Zrobili mi różne inne rzeczy, ale nie obrabowali.

- To gratuluję.

- Czego?

- Podróżowania bez bagażu. Nawet jako imigrant...

- Za rogiem w lewo.

- W porządku. Nawet jako imigrant przywiozłem do Ameryki znacznie więcej rzeczy. Ale widzę, że jest pan zwolennikiem niewiązania się, sir... tylko dodatkowa marynarka, nic więcej. Jest pan bardzo mądry. Dziękuję. Jestem bardzo niezwiązany.

Widzę, sir.

Podjazd po prawej.

Z tym wielkim domem?

Zgadza się.

Mój Boże! Jest taki nowoczesny...

- Dziękuję.

- Kojarzy mi się z Leonardem Nimoyem.

Lassiter dał kierowcy dwie dwudziestki, zrezygnował z pokwitowania i kazał zatrzymać resztę. Machnął mu na pożegnanie, odwrócił się i wszedł po schodach do frontowych drzwi.

U szczytu zawahał się. Dom był ciemny, kompletnie ciemny - nie zostawił go takim. Zawsze, kiedy wyjeżdżał, starał się zostawiać jedno lub dwa światła - nie tyle po to, by odstraszyć włamywaczy, a po to, by witało go w chwili powrotu. Ale jedynym światłem, jakie teraz widział, było migotanie czerwonej diody alarmu na aluminiowym panelu przy drzwiach.

Przynajmniej alarm jest włączony, pomyślał. Miał model, który wyposażano w akumulator na wypadek przerw w dostawie prądu.

Mając dom i biuro chronione systemami alarmowymi najnowszej generacji, Lassiter wiedział, że zostawianie w okolicy domu zapasowego klucza jest głupotą.

- Nawet nie zdaje pan sobie sprawy, jak łatwo je znaleźć - powiedział mu fachowiec od alarmów. - Złodzieje używają detektorów metalu, obserwują mieszkańców...

Tak więc nikomu nie powiedział, że trzyma na zewnątrz zapasowy klucz, teraz jednak cieszył się, że go ma. Sam klucz i tak niewiele dawał, jeśli nie znało się kodu. Przelazł przez śnieg, który sięgał mu niemal do bioder, i pomacał pod tarasem. Trzymał klucz na jednym z legarów, gdzie był niewidoczny i możliwy do znalezienia jedynie dotykiem. Był na miejscu. Po wejściu do budynku Lassiter wystukał na panelu kombinację, która wyłączała alarm.

Potem zamknął za sobą drzwi i stanął w ciemnościach, wsłuchując się w odgłosy domu. Po

Neapolu zrobił się ostrożniejszy, nie było jednak nikogo. Przez okna sączyło się do środka łagodne światło, odbite od śniegu. Wcisnął klawisz na ścianie, ale lampy się nie zapaliły. Kiedy dotarło do niego znaczenie tego faktu, pojął, że wyłączone musi być także ogrzewanie.

Westchnął. Temperatura w domu pewnie nie przekraczała siedmiu, ośmiu stopni, ale mimo to nie musiał jechać do hotelu. W gabinecie miał kominek i rozkładaną kanapę. Prześpi się na niej, a jeśli rano nadal nie będzie światła, przeniesie się do „Willarda”.

Telefon oczywiście działał, więc zgłosił awarię prądu. Kobieta, która odebrała zgłoszenie, roześmiała się.

- Gdzie pan był? - spytała. - W McLean nie ma prądu od trzech dni! Wkrótce jednak powinni usunąć awarię.

Kiedy Lassiter się obudził, ogień na kominku dawno zgasł, ale ogrzewanie już działało i wnętrze domu zmieniało się powoli z zimnego w chłodne. W bojlerze było wystarczająco dużo ciepłej wody na letni prysznic. Potem Joe szybko się ubrał. Gdy zastanawiał się, ile rzeczy ma do zrobienia w biurze, usłyszał cichy szum.

Pracował wiatraczek w komputerze. Pecet musiał się uruchomić w nocy, kiedy przywrócono prąd. Lassiter podszedł do biurka i wyłączył monitor. Ale coś go zaniepokoiło.

Jeśli komputer załadował się po przywróceniu dopływu prądu, musiał być włączony, gdy nastąpiła awaria - trzy dni temu. Oznaczało to jedno z dwojga: albo wyjeżdżając do Włoch zapomniał go wyłączyć, albo ktoś włamał się do jego domu.

- Nie zostawiłem włączonego komputera... - mruknął pod nosem. - Nigdy tak nie robię.

A więc ktoś włamał się do domu podczas jego nieobecności. Ale jak? Alarm działał - a był naprawdę dobry. By go ominąć, trzeba było być dobrej klasy fachowcem. Rozglądając się, Lassiter nie zauważył, by cokolwiek zginęło. Na komodzie leżał wart dwa tysiące dolarów zegarek na rękę, wieży stereo nie ruszono, alkoholi nie tknięto. W szafce w rogu stały pierwsze wydania książek, szacowane na ponad dwadzieścia pięć tysięcy. Litografie w salonie były warte jeszcze więcej.

Niczego nie tknięto. Poza komputerem.

Lassiter usiadł przed nim i kilka razy wcisnął klawisz ENTER. Program autoexec.bat zaczął robić swoje i po chwili na środku ekranu pojawił się napis: HASŁO?

Hasło, jakie dla siebie wybrał, składało się z przypadkowo zestawionych liter, cyfr i znaków interpunkcyjnych i było praktycznie nie do odgadnięcia. A bez hasła nie było dostępu do twardego dysku, niemożliwe było wykonanie jakiejkolwiek operacji czy wydobyć informacji. Ale jakiś człowiek pokonał alarm i dostał się do jego komputera... Dlaczego brak hasła go nie powstrzymał? Nie wiadomo. Przecież hasła są po to, by powstrzymać niepowołanych przed dostępem, przekonywał Lassiter sam siebie. Oczywiście alarmy też.

Sięgnął do stojącej na podłodze obudowy, by wyłączyć komputer. Przez chwilę nie mógł znaleźć wyłącznika, a kiedy spojrzął w dół, zobaczył, że komputer nieznacznie przesunięto. W dywanie, w miejscu, w którym przez ponad rok tkwiła nóżka, zostało małe zagłębienie. Było oddalone od korpusu o jakieś dwa centymetry.

Ponosi cię wyobraźnia, powiedział sobie. Prawdopodobnie zostawiłeś komputer włączony, kiedy jechałeś do Włoch. To by wszystko wyjaśniało.

Ale prawda była inna i doskonale o tym wiedział.

- Hej, Joe...

- A tobie co się stało?

- Witamy z powrotem, panie Lassiter!

- Miło cię znów widzieć.

Kiedy mijał boksy, idąc w kierunku swojego gabinetu, machano mu, uśmiechano się i patrzono na niego z prawdziwą troską. Zamknął za sobą drzwi, rzucił płaszcz i laskę na kanapę, włączył interkom i polecił sekretarce:

- Sprawdź, czy gdzieś w pobliżu nie ma Murraya Fremaux.

- Mówisz o naszym komputerowcu?

- Właśnie.

- Sprawdź, ale jest do ciebie mnóstwo telefonów...

- Trudno, daj mi jak najszybciej Murraya.

Dwie minuty później do gabinetu - z kubkiem kawy w dłoni i zmartwieniem w oczach - wszedł Murray.

- Co z tobą? - spytał Lassiter, zdziwiony ponurym wyrazem jego twarzy.

- Jeszcze nigdy nie byłem w pańskim gabinecie...

- I co z tego? Siadaj.

- Tak, ale...

- Co?

- Nie wiem... znaczy się... będę wywalony?

- Nie.

- To wspaniale. - Murray z wyraźną ulgą opadł na krzesło. - Dopiero co kupiłem camry.

- Gratuluję. Ale teraz posłuchaj: jestem przekonany, że podczas mojej nieobecności ktoś się włamał do mojego mieszkania.

Murray zmarszczył czoło.

- Zdawało mi się, że ma pan alarm.

- Mam. Obeszli go.

- Obeszli...?

- Tak.

Komputerowiec przez chwilę milczał, zastanawiając się nad czymś, po czym spytał:

- Zabrali coś?

- Nie. Nic, co by się rzuciło w oczy, ale... może weszli do komputera.

Murray skinął głową.

- To możliwe.

- Ale jak? Mam przecież hasło, a...

- Hasła są nic niewarte.

- ...wszystko naprawdę ważne jest zaszyfrowane - dokończył Joe.

Murray nie wyglądał na przekonanego.

- Czego pan używa?

- N-cipher.

- To dobry program.

- Więc niczego nie przeczytali?

- Nie wiem. Zauważył pan coś jeszcze?

- Sądzę, że... przesunęli komputer.

- Dlaczego pan tak uważa?

- Ponieważ... kiedy chciałem go wyłączyć, okazało się, że jest odsunięty kilka centymetrów od miejsca, w którym zawsze stoi.

Murray ponownie skinął głową.

- Wygląda na to, że zabrali go do czyszczenia.

- Co?!

- Podejrzewam, że wyjęli twardy dysk z obudowy, skopiowali jego zawartość i włożyli go z powrotem. W takim przypadku hasło jest bezużyteczne.

- A zaszyfrowane pliki? Komputerowiec westchnął ze współczuciem.

___ - To zależy... Gdzie trzyma pan klucz, na miękkim czy na twardym dysku? - Na twardym.

- Poważny błąd.
- Czyli mają wszystko?
- Prawdopodobnie.

Lassiter jęknął. Pomyślał o wiadomościach, które przesłał z Montecastello - o liście kobiet, które poddano przeszczepom oocytu w Clinica Baresi, prośbie do Judy o skontaktowanie się z Riordanem i tak dalej. Na szczęście te najważniejsze wysyłał z notebooka, były więc bezpieczne.

- Może jednak udało się panu coś zachować? - zapytał komputerowiec.

Joe skinął głową.

- Wysłałem z Włoch kilka dość poufnych wiadomości. Na szczęście e-mailem.

Murray odwrócił wzrok.

- Co jest?! - spytał Lassiter. - O co chodzi?

- Prawdopodobnie też je mają.

- Słucham? W jaki sposób? To niemożliwe.

- Nie do końca. Pozwoli pan, że zadam pytanie: co pan robi, logując się do Internetu?

Lassiter wzruszył ramionami.

- Niewiele. Wszystko odbywa się automatycznie. Właściwie jedynie wciskam Alt-E, resztę robi komputer.

Murray kiwnął głową.

- Tak myślałem. Używa pan automatycznej procedury logującej... makra, zgadza się? Z wbudowanym pańskim hasłem.

- No to co?

- To, że ten, kto włamał się do pańskiego domu, zna już to hasło.

- Więc je zmienię.

- Dobry pomysł - zaśmiał się Murray, ale natychmiast spowaźniał. - To działa tylko w jedną stronę. Mają wszystkie pańskie stare e-maile... bez względu na to, z jakiego komputera pan je wysłał.

Lassiter wpatrywał się w niego nieruchomo.

- Są zarchiwizowane na pańskim lokalnym serwerze internetowym - wyjaśnił komputerowiec. - Każdy, kto zna hasło, może się tam dostać.

Lassiter opadł na oparcie fotela i zamknął oczy. A więc stąd wiedzieli, gdzie jest. W Montecastello. W „Aquila”. Po chwili otworzył oczy.

- Dziękuję, bardzo mi pomogłeś. Murray wzruszył ramionami.

- Przykro mi - mruknął, po czym wstał i ruszył do wyjścia.

- Kiedy będziesz przechodził koło gabinetu Judy, poproś, by wpadła do mnie na chwilę, dobrze? - powiedział Lassiter.

Komputerowiec zatrzymał się w drzwiach.

- Judy...?

- Tak. Judy Rifkin. Murray przełknął ślinę.

- Nie sądzę, by była u siebie. Lassiter zmarszczył brwi.

- Jak to? - Popatrzył na zegarek. Było wpół do jedenastej.

- Nie sądzę, by wypuścili ją ze szpitala wcześniej niż po południu.

- Z jakiego szpitala?

- Jest chyba w Sibley.

- Z jakiego powodu? Co się stało?

- Miała wypadek.

- Jaki wypadek?

- Było to w trakcie przyjęcia... nie wiem, z jakiej okazji je zorganizowano, w każdym razie...

najwyraźniej otwierała szampana i... i... strzeliła sobie korkiem w oko.

- Czym?

- Korkiem.

- Żartujesz.

- Wiem, co pan myśli: to typowa rana yuppie, ale... sprawa była chyba dość poważna. Mike powiedział, że musieli ją znieczulić, by nie ruszała okiem. Martwili się o siatkówkę.

- Kiedy to się stało?

- W piątek wieczorem - odparł Murray, machnął ręką i zamknął za sobą drzwi.

Lassiter siedział bez ruchu w fotelu, przyglądał się przedmiotom na biurku i zastanawiał, czym by tu rzucić. Na pewno nie *netsuke*, nie skarabeuszami - za bardzo je lubił. Może zszywaczem albo taśmą samoprzylepną? Może nożyczkami? Nożyczki mogłyby się nawet wbić w ścianę.

W końcu jednak niczym nie rzucił. Wstał i zapominając o lasce, pokuśtykał korytarzem do boksu Freddy'ego - kwadratowego pomieszczenia o boku metr osiemdziesiąt, zdominowanego ogromnym plakatem „Metropolis” Fritza Langa.

- Cześć, szefie! Witaj z powrotem!

- Dzięki - odparł Lassiter i przyciągnął krzesło do biurka. - Masz minutę?

Freddy opadł na oparcie, skrzyżował ramiona na piersi i przyjął wyczekującą postawę.

- Chciałbym, żebyś coś dla mnie zrobił.

- Słyszałeś o Judy? Lassiter skinął głową.

- Tak. Dlatego tu jestem. Przesłałem jej w weekend notatkę i obawiam się, że jej nie dostała.

- Podejrzewam, że masz rację.

- Murray wie, jak się do wszystkiego dostać. Powiedz mu, że chcę, by ci przesłał dwustronicową notatkę, którą przesłałem Judy... - Lassiter zaczął liczyć - ...w piątek wieczorem waszego czasu.

- Załatwione.

- Kiedy ją dostaniesz, chcę, żebyś zostawił wszystko, nad czym pracujesz. Chcę, żebyś zrobił dwie rzeczy: skontaktował się z kobietami, których lista znajduje się w materiale - jest ich chyba trzynaście - i zebrał co się da na temat naukowca o nazwisku Baresi: książki, artykuły... wszystko, co tylko da się znaleźć.

Freddy skinął głową.

- Rozumiem. Ale... co jest ważniejsze?

- Kobiety.

- Poproszę chłopaków z działu badawczego, żeby zajęli się naukowcem, kobiety wezmę sam.

Lassiter podziękował i wrócił do swego gabinetu. Chciał zadzwonić do Judy, najpierw jednak musiał porozmawiać z Rior-danem. I z „Aquilą”.

Zostawił wiadomość na automatycznej sekretarce detektywa z prośbą o jak najszybsze oddzwonienie, po czym wykręcił numer pensjonatu w Montecastello.

- Pronto!

- Hugh?

- Nie, Nigel.

- Nigel! Joe Lassiter przy aparacie.

- O... - Zapadła długa cisza. - Co słyszeć?

- Prawdę mówiąc, jestem nieco poobijany.

- No tak, cóż, my też nie mieliśmy miłych dni.

- Wiem.

- Słyszałeś o ojcu Azettim?

Lassiter skinął głową, zapominając, że Nigel go nie widzi.

- To ja go znalazłem w kościele.

- Hm... znaleziono jeszcze jedną ofiarę.

- W lesie, tak? Poniżej miasta.

Tym razem przerwa była jeszcze dłuższa.

- Zgadza się... - powiedział w końcu Nigel.

- To nie ofiara - oświadczył Lassiter. - Ten człowiek próbował mnie zabić. Posłuchaj: zamierzam nawiązać kontakt z ambasadą włoską i złożyć oświadczenie...

- Zanim to zrobisz, chyba powinienes... porozmawiać z adwokatem.

- Dlaczego?

- Ponieważ... Kiedy znaleziono mężczyznę w lesie... byliśmy obaj przekonani, że to ty. Powiedziałeś, że idziesz spotkać się z Azettim, i tak dalej. Potem usłyszeliśmy, że znaleziono ciało, a ty nie wróciłeś do pensjonatu... więc poszliśmy na policję.

- Nie martw się tym.

- Nawet nie wiesz, jak nam ulżyło... znaczy się, że to ktoś inny. Ale policja chce, byś... pomógł jej w śledztwie.

- Wcale mnie to nie dziwi. - W tym momencie zaczęło migać światelko, informując Lassitera, że ma rozmowę na drugiej linii. Wcisnął HOŁD i przełączył się.

- Joe! Tu Jack!

- Zaczekaj sekundę - powiedział Joe i wrócił do poprzedniej rozmowy. - Posłuchaj, Nigel, muszę odebrać rozmowę na drugiej linii. Powiedz policji, że skontaktuję się z włoską ambasadą w Waszyngtonie. Moim zdaniem dobrze by było, gdybyś dał policji waszą księgę meldunkową.

- Księgę? Dlaczego?

- Ponieważ ludzie, którzy zabili Azettiego, mogą po nią przyjść. Tak będzie dla was bezpieczniej.

- Rozumiem. Skorzystam z tej rady.

- Muszę kończyć - stwierdził Lassiter i znów przełączył się na linię numer dwa. - Cześć!

- Mam kilka nowych informacji - oznajmił Riordan.

- Dobrych czy złych?

- Lepsze być nie mogą. Mamy twojego kołosa.

- Jakiego „mojego kołosa”? Grimaldiego.

- Co?!

- Zdejmujemy go za godzinę. Chcesz przyjechać?

Dwadzieścia minut później Lassiter siedział obok Riordana w nieoznakowanym crownie victoria, jadącym Beltway na północ, w kierunku Marylandu. Na desce rozdzielczej jadącego nieco powyżej

stu czterdziestu kilometrów na godzinę samochodu wirował „kogut”.

- Kiedy wrócimy do biura, dam ci listę z nazwiskami - powiedział Lassiter.

- Co to za lista?

- Osób do zabicia. Kobiet i dzieci. Będziesz musiał skontaktować się z policją w miejscach zamieszkania każdej z tych kobiet i objąć je ochroną.

Riordan sięgnął do kieszeni i wyjął z niej zdjęcie.

- Popatrz na to - poprosił, podając je Lassiterowi. Fotografia ukazywała Grimaldiego, stojącego na werandzie starego domu w stylu wiktoriańskim. Choć połowa twarzy człowieka na zdjęciu była jedną wielką blizną, był to bez najmniejszej wątpliwości Grimaldi. Lassiter się uśmiechnął.

- Skąd to masz?

- Zdjęcie z nadzoru. Zrobione teleobiektywem. Widzisz ziarno? Zrobione przez FBI, przedwczoraj.

- Jak go znaleźli?

- Pamiętasz tamtą pielęgniarkę?

- Tak.

- Okazało się, że mieszka w domu zakonnym, na północ od Frederick, niedaleko Emmitsburga.

- „Domu zakonnym”? Niech zgadnę...

- Nie musisz. Powiedz tylko: „A nie mówiłem?” - i skończ na tym.

- Co to właściwie jest? Klasztor?

- Nie mam pojęcia, jak to nazywają. Coś w rodzaju miejsca odosobnienia. Z zewnątrz wygląda jak zwykły, duży dom na zadupiu.

- I należy do Umbry Domini?

- Według biura miejscowego rzeczoznawcy do spraw nieruchomości właścicielem jest Umbra Domini.

Lassiter z westchnieniem opadł na oparcie i przejechali w milczeniu dziesięć, może dwanaście kilometrów. W końcu nie wytrzymał jednak i powiedział:

- No cóż... A nie mówiłem?

Dwadzieścia minut później dołączyli do czterech nieoznakowanych aut policyjnych, ambulansu i pojazdu telekomunikacyjnego, stojących za żółtą taśmą policyjną, rozciągniętą wokół jednej z posesji. Na środku ulicy stała matowoczarna, ciężko uzbrojona furgonetka, a w górze krążył helikopter, tłukąc łopatami wirnika powietrze. Na zewnątrz taśmy dwóch miejscowych policjantów żartowało i rozmawiało z grupką dzieciaków na BMX-ach.

Wszyscy koncentrowali uwagę na wielkim wiktoriańskim domu, stojącym na polance między uśpionymi ogródkami i pozbawionymi liści dębami. Na trawniku przed domem - otoczona śniegiem - stała figura Matki Boskiej z małym Jezusem na ręku.

Riordan podjechał do krawężnika, wysiedli i podeszli do samochodu, w którym mieściła się centrala telekomunikacyjna. Przednie drzwi wozu były otwarte, na fotelu pasażera siedział mężczyzna w granatowej wiatrówce i rozmawiał przez telefon komórkowy. Na widok Riordana uniósł podbródek w milczącym pozdrowieniu. Wokół furgonetki stało w małych grupkach kilkunastu mężczyzn. Wszyscy mieli na sobie wiatrówki z dużym napisem FBI na plecach.

- To Drabowsky - poinformował Lassitera Riordan. - Jest w waszyngtońskiej delegaturze kimś w rodzaju numeru dwa.

- A co się stało z Derekiem? Riordan zmrużył oczy.

- Masz dobrą pamięć.
- Więc?
- Nie wiem. Chyba go przeniesiono. Teraz mam Drabow-sky'ego. Jest znacznie starszy rangą.
- To na pewno, ale co on tu właściwie robi?
- Cóż, prowadzi całe to przedstawienie.
- Widzę, ale dlaczego?
- Porwanie samochodu z bronią w ręku. Sprawa federalna.
- Nie to mam na myśli. Zastanawia mnie, od kiedy tacy jak on uczestniczą w zatrzymywaniu podejrzanych?

Zanim Riordan zdążył odpowiedzieć, Drabowsky rzucił telefon na siedzenie obok siebie, wystawił nogi na zewnątrz i zeskoczył na ziemię.

- No dobra, słuchać wszyscy! - krzyknął i klasnął w dłonie, by ściągnąć uwagę agentów. - Wyjdą za trzy minuty! Osiem osób! Po kolei. Osiem! Wszyscy zrozumieli? - Agenci mruknęli potakująco. - Gdy znajdą się na zewnątrz, LaBrasca i Seldes będą ich po kolei identyfikowali. Kiedy dam znak - ale dopiero wtedy - oddział specjalny wejdzie do domu i sprawdzi go pokój po pokoju. Potem dokonamy przeszukania. Jakies pytania? - Drabowsky rozejrzał się. - Doskonale. Aha, jeszcze jedno... Pamiętajcie o tym, że to nie narkomańska melina, a dom wspólnoty religijnej. Tylko jedna ze znajdujących się w środku osób jest oskarżona o przestępstwo, więc trzymajcie nerwy na wodzy, panowie! Jasne? Wobec tego ruszamy!

Agenci nagle ożyli i zaczęli zajmować pozycje za samochodami. Drabowsky podszedł do Riordana, by uścisnąć mu rękę.

- Miło, że wpadłeś - powiedział. Riordan wzruszył ramionami.
- Byłem w okolicy. Poza tym chciałem, żebyś kogoś poznał. Joe Lassiter - Tom Drabowsky. Drabowsky zmarszczył czoło, ale podał Lassiterowi rękę.
- Siostra Joego została...
- Wiem - odparł Drabowsky. - Chyba nie zamierza pan zrobić nic, co nam może utrudnić robotę, co?

Lassiter pokręcił głową.

- Nie. Chciałem tylko zobaczyć tego skurwiela.
- To dobrze, ponieważ...
- Zaczynamy! - przerwał mu Riordan, kiwając głową w kierunku domu.

Drzwi do budynku otworzyły się i na zewnątrz wyszła kobieta w średnim wieku, z dłońmi splecionymi na czubku głowy. Za nią wyszedł ironicznie uśmiechający się małolat, potem starszy mężczyzna w aluminiowym balkoniku. Mieszkańcy domu jeden po drugim zapełniali prowadzącą do ulicy ścieżkę, skąd agenci FBI brali ich po kolei i holowali na tył furgonetki, gdzie przeprowadzano procedurę identyfikacyjną.

- A oto i ona - szepnął Riordan, kiedy na zewnątrz wyszła pielęgniarka.

Szła z oczami wbitymi w ziemię. Za nią pojawił się krępy Koreańczyk, zaraz za nim pracownik poczty w służbowym mundurze, dobrze ubrany Latynos i młoda kobieta w kitlu.

Na tym był koniec.

- A gdzie Grimaldi? - spytał po bardzo długiej minucie Lassiter.

Riordan pokręcił głową.

- Nie wiem - mruknął i popatrzył na Drabowsky'ego, który mówił coś cicho do telefonu

komórkowego. Nagle z boku domu zrobiło się poruszenie - trzech agentów FBI podbiegło na przygiętych nogach do bocznych i tylnych drzwi budynku, a potem jeden po drugim weszli do środka.

Lassiter spodziewał się w każdej chwili wybuchu strzelaniny, ale w budynku panowała cisza. Minęła minuta, potem druga i trzecia. W końcu agenci wyszli, pokręcili głowami i schowali broń do kabur.

- Rozejrzyjmy się! - wrzasnął Drabowsky i ruszył ścieżką w kierunku domu, a za nim dwóch agentów.

Lassiter odwrócił się do Riordana.

- Sądziłem, że Grimaldi będzie w środku.

- Ja też.

- Zrobili mu zdjęcie. Był tu.

- Wiem.

- Więc co się, do cholery, dzieje?

- Nie mam pojęcia.

Poszli za Drabowskim. Kiedy jednak doszli do prowadzących do wejścia stopni, zastąpił im drogę agent FBI.

- Nie możecie wejść do środka. Riordan machnął swoją legitymacją.

- Policja hrabstwa Fairfax - oświadczył. - To nasza sprawa. Agent niechętnie odsunął się na bok.

Dom był urządzone bardzo prosto. Pomalowane na biało ściany były prawie puste, częste szorowanie wypolerowało podłogę z surowego drewna. W jadalni stał długi sosnowy stół z ławkami po obu stronach - i nic więcej. W kuchni na emaliowanym piecyku, który znał lepsze czasy, perkotał w garnku kapuśniak. W salonie ustawiono w krąg osiem prostych krzeseł, jakby pomieszczenie służyło do grupowych dyskusji.

Agenci FBI sprawdzali sypialnie, przerzucali zawartość szuflad. Lassiter i Riordan chodzili od pokoju do pokoju w poszukiwaniu Drabowsky'ego. W końcu go znaleźli.

Grzebał w komodzie w pokoju, którego jedynym umeblowaniem poza tym był materac na podłodze i stojąca lampa. Obok materaca stał słój maści Silvadene i kosz na śmieci, do połowy wypełniony zużytymi bandażami.

- To jego pokój - stwierdził Lassiter i podniósł z podłogi egzemplarz „L'Osservatore Romano”. - Był tu.

Drabowsky popatrzył na niego przez ramię.

Zwiął nam.

Pech - mruknął Riordan.

- Powinniście zobaczyć łazienkę w głębi korytarza - rzucił Drabowsky. - Wygląda jak szpital polowy. Ta pielęgniarka dobrze się nim zajmowała.

Lassiter odłożył gazetę i spojrzał na niego.

- Mogę o coś zapytać? Drabowsky wzruszył ramionami.

- Jak on, kurwa, uciekł?

- Nie ma potrzeby kłąć - stwierdził sztywno Drabowsky.

- Był pod obserwacją! - krzyknął Lassiter. - Jak, do kurwy nędzy, udało mu się zwać, skoro siedzieliście na progu domu?

- Nie był pod obserwacją - odparł Drabowsky.

- Gówna prawda! - zaprotestował detektyw.

- Przerwaliśmy obserwację wczoraj wieczorem.
- Co... zrobi... liście? - wystękał Riordan.
- Kto wpadł na ten chory pomysł? - spytał Lassiter.
- Ja - odparł Drabowsky.

Lassiter i Riordan wymienili się spojrzeniami. Detektyw pokręcił głową.

- Tom... na Boga... dlaczego uznałeś, że to dobry pomysł?

- Ponieważ to teren wiejski! - wrzasnął Drabowsky. - Może to zauważyłeś? Mieszka tu tylko kilka osób, a furgonetka obserwacyjna tkwi przed domem jak dynia! Nie chciałem go wystraszyć, jasne?!

- Czy to jasne? Nie, to wcale nie jest jasne. Skurwiel zwał - warknął Lassiter.

- Na to wygląda - odparł Drabowsky.

Lassiter obrócił się na pięcie i wyszedł, Riordan również.

- Coś tu śmierdzi - stwierdził Lassiter. - Coś zostało naprawdę spieprzone.

- Wiem, co masz na myśli.

- To przecież nielogiczne!

- Wiem.

- Co z tego, że Grimaldi domyśliłby się, że jest obserwowany? Co by zrobił - wykopałby sobie tunel, żeby wydostać się na zewnątrz?

- Nie wiem. Nie wiem też, co zamierzali federalni.

Kiedy wyszli z domu i szli ścieżką w kierunku samochodów,

Joe dostrzegł pielęgniarkę. Rozmawiała z jednym z agentów FBI. Ręce miała skute kajdankami, ale uśmiechała się. Lassiter zatrzymał się.

- Nie rób tego - ostrzegł go Riordan.

Joe nie mógł się jednak powstrzymać. Podeszedł do kobiety, chwycił ją za ramię i energicznym ruchem odwrócił twarzą do siebie.

- Pani przyjaciel zaszlachtował moją rodzinę. Wie pani o tym, prawda? Zabił ich we śnie. Odważny facet...

- Hej! - wrzasnął agent i odepchnął rękę Lassitera. - Dość tego!

Juliette popatrzyła na Lassitera pełnymi wyrazu brązowymi oczami.

- Przykro mi, ale... czy spodziewał się pan czegoś innego? Nagle, niczym Mahatma Gandhi, wkroczył między nich Riordan.

Machał uspokajająco rękami.

- Daj spokój, Joe. Chodźmy! - Ujął Lassitera za ramię, odciągnął go od pielęgniarki i poprowadził w kierunku samochodu.

- Czy spodziewałem się czegoś innego? - mruzczał do siebie Lassiter. - Miałem się tego właśnie spodziewać?

Judy wróciła do biura w czwartek. Przyszła do pracy z klapką na lewym oku.

- Skończyło się - powiedziała zaraz po zamknięciu drzwi gabinetu Lassitera.

Lassiter popatrzył na nią ze zdziwieniem.

- Co? Twoja kariera mediatora?

- Nie, twoja detektywa - odparła Judy. Lassiter opadł na oparcie fotela.

- Naprawdę? - Nienawidził sam siebie za to, że próbował powiedzieć to chłodno i obojętnie, jakby cała sprawa niewiele go interesowała.

- Naprawdę. Właśnie to świętowałam. Mamy umowę. W każdym razie w zarysie. - Judy usiadła na krześle i skrzyżowała nogi. - Jeszcze tylko ich prawnicy muszą spisać wszystko czarno na białym, a nasi przejrzeć dokumenty... i już cię nie ma.

- To dobrze. Jak oko?

- Zagoi się. Interesuje cię, ile dostaniesz?

- Nawet bardzo - odparł Lassiter.

- Tak myślałam. W sumie osiemnaście pięćset.

- Naprawdę?

- Dwanaście będziesz mógł zatrzymać, reszta idzie dla udziałowców mniejszościowych.

- Takich jak ty.

- Takich jak ja, Leo, Dunwold i wszyscy inni. Nawet Freddy ma jeden albo dwa udziały.

- To się nazywa podział zysków.

- Wiem, jak to się nazywa.

Zadzwoił wewnętrzny telefon i Lassiter podniósł słuchawkę.

- Tak? - Słuchał przez chwilę, po czym zakrył mikrofon dłonią. - O wilku mowa - szepnął do Judy, po czym rzucił do słuchawki: - Przyślij go.

Judy popatrzyła na niego ze zdziwieniem.

- To Freddy - wyjaśnił Joe. - Masz coś przeciwko temu?

- Nie - odparła Judy i podniosła się. - Zaraz wrócę. Lassiter pokręcił głową.

- Nie wychodź. To zajmie tylko sekundę. Chcę uzgodnić z tobą, jak przekazać ludziom tę wiadomość.

Rozległo się pojedyncze stuknięcie i wszedł Freddy. Wyglądał na przybitego.

- Witaj - powiedział na widok Judy. - Słyszałem o wypadku. Cieszę się, że nic ci nie jest. - Potem odwrócił się do Lassitera. - Chodzi o nazwiska, które mi dałeś do sprawdzenia...

- Prawdopodobnie będziesz mógł dać sobie z tym spokój. Przekazałem tę listę Jackowi Riordanowi.

Freddy pokręcił głową.

- Jestem gotów.

- Jesteś gotów?

- Tak, praktycznie tak.

- I co?

- Te kobiety nie żyją.

- Co?

Freddy przełknął ślinę.

- Przykro mi, ale... żadna z tych kobiet nie żyje.

31

Lassiter nie wiedział, co powiedzieć. Żadna z nich nie żyła?

No to, pomyślał, sprawa jest zakończona. Nie zostało nic więcej do zrobienia.

Księga gości pensjonatu i lista, która powstała na jej podstawie, dały mu nadzieję, że być może część kobiet i dzieci pozostaje jeszcze przy życiu. Gdyby tak było, dalsze śledztwo służyłoby czemuś więcej niż zemście czy zaspokojeniu ciekawości. Dopóki przynajmniej niektóre z tych kobiet żyły, mógł je uratować - a one mogłyby w zamian za to pomóc mu odkryć, dlaczego zamordowano Kathy i

Brandona.

Teraz jednak, skoro nie żyły... Nagle poczuł się jak wyrzucony na brzeg rozbitek, który nie ma dokąd pójść.

Prawda jest taka, że każdy z nas jest pozostawiony sam sobie i bezradny, pomyślał. Wciąż zdarzają się jakieś katastrofy, nieszczęścia i tragedie. Żyjemy w świecie szarpanym gwałtownymi wichrami, pełnym atakujących podstępnie pasożytów. A także zdrażliwych podwodnych prądów. Dlatego ludzie modlą się i biorą witaminy. Dlatego stukają w niemalowane drewno i piszą listy do redakcji gazet. Wszystko to służy zachowaniu złudzenia, że życie jest uczciwe, a nawet jeśli nie do końca uczciwe, to da się je jakoś przeżyć, bo jeśli podejmie się odpowiednie środki zapobiegawcze, można ochronić siebie i tych, których się kocha. Ale nie da się tego zrobić - witaminy nie działają, nikt nie czyta listów i nie ma Boga, który słuchałby naszych modlitw.

Dlaczego Kathy? Dlaczego Brandon? A dlaczego nie?

- Eee... hm... Joe? Nic ci nie jest? - zapytał Freddy.

. Skądże. Przepraszam. Jestem jedynie... zaskoczony.

Nic dziwnego. W każdym razie, jak mówiłem, jestem praktycznie gotów z listą i...

Lassiter uniósł rękę.

Sekundę... co to *ma* znaczyć: „praktycznie gotów”? Jesteś gotów czy nie?

- Jednej nie znalazłem - wyjaśnił Freddy. - Jeszcze nie. Nie jestem więc pewien, że nie żyje, ale...

- Kogo?

- Marie Williams. Z Minneapolis. Lassiter chwilę pomyślał, po czym zapytał:

- Jak dokładnie sprawdzałeś? Freddy wzruszył ramionami.

- Niezbyt dokładnie. Tak samo jak inne.

- To znaczy jak?

Freddy wyjął z aktówki kartonową teczkę i położył ją między sobą a Lassiterem. Zastukał w karton palcami.

- W środku jest raport o każdej osobie z listy. Jodie zrobiła połowę, połowę ja, kilka przypadków za oceanem zbadali nasi tamtejsi współpracownicy. Ale nie wgłębialiśmy się w szczegóły. Przeprowadziliśmy tylko podstawowe badania.

- Na przykład jakie?

- Cóż, najpierw dzwoniliśmy pod podany numer telefonu. Jeśli go nie mieliśmy, znajdowaliśmy go na podstawie adresu, używając Criss-Crossa. Większość numerów nie odpowiadała, ale kilka razy odebrali mężowie. Rozmawialiśmy także z sąsiadami. Najnowsze dane są w Internecie, na CD-ROM-ach mamy dane z ostatnich ośmiu lat. Wpisuje się adres i komputer podaje, kto mieszka naprzeciwko albo po drugiej stronie ulicy. Tak więc dzwoniliśmy do sąsiadów i... opowiedzieli nam, co się stało. Za każdym razem historia była taka sama, z niewielkimi wariacjami. Ginęła matka i dzieciak, czasami cała rodzina. Za każdym razem w ogniu.

- W każdym przypadku był dzieciak?

- Tak, chłopiec. Zawsze był to chłopiec, a żaden nie miał więcej jak cztery lata.

- A co z Tokio i Rabatem? Te przypadki również sprawdziliście?

- Korzystaliśmy z pomocy podwykonawców. Tam było tak samo.

- Ile spraw zostało oficjalnie potwierdzonych?

- Wszystkie. Mamy datę każdego incydentu i sprawdzaliśmy lokalne gazety. Rozmawialiśmy z

inspektorami ubezpieczeniowymi, strażą pożarną, domami pogrzebowymi. Te kobiety na pewno nie żyją.

- Z wyjątkiem tej z Minneapolis?

- Tak. Z wyjątkiem Marie Williams. Może.

Lassiter otworzył teczkę i zaczął przeglądać akta. Żadna z notatek nie miała więcej niż stronę.

Helene Franek

302 23 Bórke SW

Vasterhojd, Szwecja

Ur.: 11.08.1953. Zm.: 3.09.1995.

August Franek Adres ten sam Ur.: 29.05.1993. Zm.: 3.09.1995.

Przyczyna śmierci: prawdopodobnie zatrucie dymem.

Potwierdzenie śmierci:

1. Rejestr Narodowy (#001987/8), Sztokholm

2. Annelie Janssen z Vasterhojd 033-107003 (sąsiadka)

3. Maj Christianson ze Sztokholmu 031-457911 (matka/babcia zmarłych)

Sporządził: Fredrik Kellgren Agencja Ogon Forsiktig Sztokholm, Szwecja 031-997-444

3.02.1996.

Lassiter przerzucał kartki, aż doszedł do wpisu:

Marie A. Williams

9201 St. Paul Boulevard #912

Minneapolis, Minnesota

Tek: 612-453-2735 (do 9.09.1991)

- Co z nią? - zapytał.

- Była moja - odparł Freddy. - Już patrzę. Zadzwoiłem pod podany numer, ale jest martwy. -

Unióś palec. - *Nie, chwileczkę...* kiedy dzwoniłem, *zapiszczał faks*. Dzwoniłem ze trzydzieści razy, aż wreszcie *ktoś podniósł słuchawkę i powiedział: „To jest numer faksu”*. *Ja na to, że wiem i żeby nie odkładał słuchawki. Okazało się, że to agent ubezpieczeniowy i ma ten numer od dwóch lat.*

- Co oznacza, że Williams wyprowadziła się stamtąd przynajmniej dwa lata temu.

- Nieco ponad. Sprawdziłem adres w Criss-Crossie i okazało się, że do tego domu podłączonych jest dwieście telefonów.

- Czyli to budynek z mieszkaniami do wynajęcia.

- *Zgadza się. Coś w rodzaju „Fountains”*. W każdym razie przebiłem się do administratora i sprawdził, co chciałem. Powiedział, że Marie Williams mieszkała tam kilka lat, ale *wyprowadziła się w dziewięćdziesiątym pierwszym*. Nie podała nowego adresu. Sypnął się, że *wciąż jeszcze mają jej kaucję, co by oznaczało, że wyprowadzała się w pośpiechu*.

- Pamięta ją?

- Nie. *Jest nowy*. Tak samo sąsiedzi.

- I to wszystko?

- Chyba tak. Była drugą, którą sprawdzałem, Jodie dopiero zaczynała swoją część listy. Od *podwykonawców z zagranicy jeszcze nic nie mieliśmy, więc sądziłem wtedy, że... no wiesz... że któraś odbierze. Dlatego nie naciskałem*. Nawet nie sprawdziłem jej *konta...* - Freddy urwał i po chwili zapytał: - Mam to zrobić?

Lassiter wstał i podszedł do kominka.

- Nie, Freddy. Odwalileś kawał dobrej roboty. Sądziłem, że to zajmie ze dwa tygodnie.

- Sam też byłem zaskoczony. Ale właściwie nie ma w tym nic dziwnego. Te kobiety miały nie więcej niż czterdzieści, czterdzieści pięć lat, były dobrze ustawione zawodowo, żadna nie chowała się przed komornikiem. Większość miała mężów, były ustabilizowane. W normalnym przypadku, jeśli weźmie się dziesięć osób, przynajmniej jedna trzecia będzie trochę trudna do zlokalizowania. Rozumiesz... kobiety zmieniają po ślubie nazwiska, ich mężowie są służbowo przenoszeni. Te z twojej listy było bardzo łatwo odnaleźć. Dobre obywatelki *pozostawiają* mnóstwo śladów stóp.

- Z wyjątkiem Williams.

- Tak... z wyjątkiem niej.

Lassiter wziął pogrzebacz i wzruszył drewno w kominku.

- Dobrze... od tego miejsca przejmuję sprawę.

- Tak sądziłem - mruknął Freddy. - Ale...

- Co?

- Nie chciałbym rozwiewać twoich nadziei, ale... ten, kto to zrobił, był bardzo dokładny.

Dlaczego akurat ona miałaby przeżyć?

Lassiter wzruszył ramionami, pomyślał jednak: a dlaczego nie?

Kiedy Freddy wyszedł, zabrał się do porównywania dat urodzin z akt z danymi z księgi *meldunkowej*. Było tak, jak się spodziewał - z dat urodzenia wynikało jednoznacznie, że wszyscy chłopcy zostali poczęci w klinice Baresiego. Gdy Marie Williams wyprowadzała się z mieszkania w Minneapolis, musiała być w pierwszych miesiącach ciąży.

Wzruszył jeszcze raz polana w kominku i wyjrzał przez okno. Na ulicach ciągle panował chaos spowodowany czwartą wielką śnieżycą tej zimy. Minał już tydzień, ale z powodu rekordowo niskich jak na Dystrykt Kolumbii temperatur śnieg jeszcze nie stopniał. Każdej nocy temperatura spadała poniżej minus dziesięciu stopni Celsjusza. Mróz ukrył stojące wzdłuż krawężników samochody w kryptach ze śniegu i lodu. Jeden z właścicieli takiego niewidocznego auta stał właśnie po drugiej stronie ulicy i wtykał małą amerykańską flagę w szczyt zamarznętego, szarego pagórka. Kiedy to zrobił, czerwonym sprayem napisał wielkimi literami na przybrudzonym śniegu: AUTO. Potem się cofnął i dokładnie przyjrzał swemu dziełu. W końcu sobie poszedł, zadowolony, że dzięki temu, co zrobił, pług nie zgniotą mu zakopanego pod śniegiem samochodu. Dystrykt był jednak finansowo pod kreską i połowa pługów śnieżnych czekała na naprawy, których nikt nie robił. W efekcie ulice zwęziły się do szerokości zaułków, a chodniki zamieniły w brudne, wydeptane ścieżki.

Kiedy Lassiter patrzył przez okno, pomyślał, że całe miasto potrzebuje zabiegu chirurgicznego - poszerzenia zatykających się tętnic.

Zahuczał interkom.

- Detektyw Riordan - zaanonsowała melodyjnym głosem Victoria. - Linia pierwsza.

W pierwszej chwili zamierzał polecić jej, by przekazała, że go nie ma, ale zmienił zdanie.

- Łącz.

- No i? - zaczął Riordan. - Dzwoniłeś do Conwaya? Lassiter westchnął.

- Właśnie zamierzałem do niego dzwonić.

- Zachowujesz się jak matoł, wiesz o tym? Po tym, co się stało we Włoszech...

- Byłem zajęty.

- Nie wyskakuj mi z czymś takim, dobrze? Sam z siebie robisz jaja. Gdzieś po okolicy kręci się Grimałdi, a naprawdę nie mam pojęcia, co knuje. Zrób mi przysługę: nie każ nam przyczepiać ci do

ogona kilku chłopaków... bo zrobię to, Joe, jak Boga Kocham! Znajdź sobie jakąś ochronę. Stać cię na to.

- W porządku. Zadzwoń.

- Obiecujesz? Przysięgam na Boga, że zadzwonię do Terry'ego i sprawdzę.

- Obiecuję.

- To dobrze. - Ze słuchawki doleciało huknięcie, jakby Riordan walnął pięścią w biurko. - To bardzo dobrze!

- Jest coś nowego?

- Na temat Grimaldiego? - Riordan prychnął. - Nic. Zero. Ten facet to Houdini.

- Ale chyba ktoś mu pomagał?

- Pewnie... rozmawialiśmy z nią.

- Nie mam na myśli pielęgniarki. Mówię o ekipie obserwacyjnej.

- Co mam powiedzieć? Drabowsky to pierdoła. Bez dwóch zdań.

- Jesteś pewien?

Riordan przez chwilę milczał, po czym spytał:

- Sądysz, że Biuro mu pomogło?

- Nie wiem, co o tym sądzić, ale... zresztą nieważne. Mam coś dla ciebie.

- Na jaki temat?

- Listy, którą ci dałem. Z rejestru pensjonatu.

- Ach tak, kobiet, które były w tej klinice... Dopiero zaczęliśmy ją obrabiać.

- Możesz dać sobie spokój.

- Dlaczego?

Lassiter wyrzwał przez okno. Padało coraz gęściej.

- Nie żyją.

- Kto nie żyje?

- Te kobiety. I ich dzieci.

Po długiej przerwie Riordan spytał:

- Wszystkie?

- Prawdopodobnie. Jednej nie udało nam się znaleźć. Marie Williams. Inicjał drugiego imienia

A.

- Zobaczą, co się da zrobić, ale... zaczekaj sekundę. - Ktoś przy Riordanie darł się po hiszpańsku,

ktos inny mu odkrzykiwał. Po chwili krzyki ścichły. Riordan najwyraźniej zakrył mikrofon ręką, po czym sam się wydarł: „Hej! Zamknijcie się, do jasnej cholery!”. Natychmiast zapadła cisza. Chwilę później detektyw wrócił do rozmowy z Lassiterem. - Informuj mnie na bieżąco, dobrze?

- Jak każesz, Jim. Będę cię informował na bieżąco.

- I koniecznie zadzwoń do Terry'ego Conwaya.

- Na pewno to zrobię.

Riordan chwilę pomilczał, a kiedy się odezwał, jego głos wyraźnie stwardniał:

- Mogę o coś zapytać?

- Tak...?

- Uważasz, że już po wszystkim, prawda? Wszystkie nie żyją, z wyjątkiem jednej, która prawdopodobnie też nie żyje. Wydaje ci się więc, że już po wszystkim. Mam rację? Założę się, że tak. Powiem ci jednak jedno: w dalszym ciągu nie wiemy, o co w tej sprawie chodzi. Tak więc nie

wiemy, czy już po wszystkim... tylko oni to wiedzą.

- Zadzwoń do Terry'ego.

- Zrób to.

Nie zadzwonił jednak do Terry'ego. Przynajmniej nie od razu.

Zamiast tego przejrzał swój notes z telefonami i wyszukał numer telefonu swojego ulubionego handlarza informacjami na Florydzie, działającego pod przykrywką interesu „Kupno-sprzedaż przez telefon”.

- Mutual General Services - powiedziała kobieta, która odebrała telefon już po pierwszym dzwonku. Była to jedna z cech tej firmy i bardzo się Lassiterowi podobała. Poza tym byli skuteczni, szybcy i dyskretni. No i nie używali poczty głosowej.

- Joe Lassiter z Lassiter Associates. Mamy u was otwarte konto... - wyrecytował szereg numerów.

- Co możemy dla pana zrobić?

- Chcę historię konta Marie Williams. Ostatnie znane miejsce pobytu to Minneapolis. - Podał dokładny adres i spytał: - Jak daleko możecie się cofnąć?

Odpowiedź była natychmiastowa:

- To zależy tylko od pańskich możliwości finansowych, pamięta pan sprawę Bridey Murphy?

Terry Conway, miły facet, który kilka lat grał jako ofensywny obrońca w NFL, miał magisterium z prawa i dobrą głowę do interesów, prowadził firmę pod nazwą Gateway Security. Robił dzięki niej znacznie większe pieniądze od tych, jakie kiedykolwiek zarabiał jako futbolista, bo dopóki nie poszło mu kolano, był zawodowcem.

Gateway była firmą, która zajmowała się zapewnianiem ochrony osobistej bogatym i sławnym: dyplomatom i politykom, sławom życia publicznego i dyrektorom firm oraz ich rodzinom. Terry nie konkurował z Wackenhutem ani żadną z firm wynajmu gliniarzy - ludzie, których zatrudniał, nie byli bramkarzami, ale wysokiej klasy specjalistami.

Lassiterowi jednak nie podobał się pomysł wynajęcia goryla. Oznaczało to oddanie się pod nadzór i rezygnację z jakiegokolwiek prywatności, ponieważ ochroniarze nie odstępowali swojego podopiecznego ani na krok.

Joe dokładnie to znał, bo niejednemu ze swoich klientów organizował ochronę. Początkowo wszyscy czują wdzięczność z powodu „zapewnionego im bezpieczeństwa”, ale po jakimś czasie większość ludzi zaczyna narzekać. Czy to naprawdę konieczne? Jak długo to jeszcze potrwa?

W końcu jednak zadzwonił. Kiedy Terry podszedł do telefonu, Lassiter powiedział:

- Mam w Waszyngtonie człowieka, który potrzebuje waszych usług. Cywil, dyrektor firmy, bez rodziny, trzydzieści pięć lat...

- Powiązania z rządem?

- Nie. Ale mu poważnie grożono...

- Jak?

- Strzelano do niego.

- To rzeczywiście podpada pod „poważne groźby”.

- Uważamy więc, że może byłoby dobrze...

- Kto to?

- Ja.

Zapadła długa cisza.

- Hmm... to niedobra wiadomość - oświadczył w końcu Ter-ry. - Jeśli cię zastrzelą, stracę jednego z moich najlepszych klientów. - Znów zamilkł, a potem dodał: - Przyślę Bucka. Spodoba ci się.

- To Buck jak dolar czy jak jeleń *?

- Bardzo śmieszne. Będzie w twoim biurze około szóstej, pošlemy także kogoś do twojego domu, by rozejrzał się po okolicy. Ale na razie powinieneś iść do hotelu... na jedną noc. Z Buckiem.

- Miejmy nadzieję, że mi się spodoba - mruknął pod nosem Lassiter.

Ledwo odłożył słuchawkę, zahuczał faks. Z nagłówka wynikało, że nadawcą jest Mutual General Services. Potem pod umieszczonym na początku wydruku nazwiskiem - Williams, Marie A. - zaczął pojawiać się wykaz wpłat i wypłat z jej konta. Podano również jej datę urodzenia (8 marca 1962) oraz numer ubezpieczenia społecznego.

Mając czyjś adres, datę urodzenia i numer ubezpieczenia, można z łatwością uzyskiwać dostęp do jego rachunków bankowych, danych medycznych, hipotek, dokumentów podatkowych i wielu innych danych. Poza tym numer ubezpieczenia społecznego dostarcza wielu istotnych informacji: pierwsze trzy cyfry oznaczają miejsce urodzenia, co mogło Lassiterowi pomóc odnaleźć panią Williams.

Wziął z półki egzemplarz *Open Sourcebook* i otworzył na rozdziale dotyczącym numeru ubezpieczenia społecznego. Liczba 146 oznaczała Maine. Odłożył książkę i zajął się historią konta. Natychmiast zwrócił uwagę na jego szczególne cechy.

Po pierwsze konto było prowadzone nienagannie - nie było uwag o uzupełnianiu go ze spóźnieniem ani wystawianiu czeków bez pokrycia. Ani jednej. Już to było niezwykle, ale jeszcze bardziej niecodzienny był fakt, że zostało otwarte w 1989 roku. Oznaczało to, że - jeśli data urodzenia była prawdziwa - Marie Williams do dwudziestego szóstego roku życia płaciła za wszystko gotówką. Po osiągnięciu tego wieku American Express wystawił jej Platynową Kartę, a dwie karty - obie z wielkimi limitami kredytowymi - wystawiła jej VISA. Od tego wystartowała.

Jak coś takiego jest możliwe? - zastanawiał się Lassiter. To tak, jakby nagle wyskoczyć zupełnie dorosłym z głowy Wielkiego Kredytodawcy. Skąd ta kobieta się wzięła?

I gdzie zniknęła? Karty kredytowe były ważne do 1991 roku, równocześnie z wygaśnięciem ich ważności konto zostało zlikwidowane. Od tego czasu było martwe. Żadnych kredytów, zabezpieczeń, adnotacji.

Ale to jeszcze nie wszystko. Raporty kredytowe zawsze zawierają wykaz przeprowadzonych sprawdzań *. Jeśli chcesz wynająć mieszkanie, właściciel domu najprawdopodobniej przeprowadzi kontrolę twojej teczki kredytowej, a fakt, że tego zażądał, będzie odnotowany we wszystkich następnych raportach kredytowych. Jeśli złożysz wniosek o udzielenie kredytu w „Macy's”, zamierzasz kupić samochód albo szukasz pracy - istnieje duże prawdopodobieństwo, że ktoś zrobi ci sprawdzian rzetelności kredytowej, co również będzie umieszczane w przyszłych raportach kredytowych. Tak samo elementem przyszłych raportów stanie się badanie konta Marie Williams przeprowadzone przez Lassitera - a właściwie przez Mutual.

Od 1991 roku - poza jednym przypadkiem - nie sprawdzano historii kredytowej Marie Williams, co oznaczało, że zniknęła z systemu. Choć było to możliwe, wydawało się raczej nieprawdopodobne - nawet bankruci występują o karty płatnicze, wpłacając gotówkę, by móc korzystać z karty. Kto jej nie ma, nie może wynająć samochodu ani niczego zarezerwować.

Braku jakichkolwiek operacji na koncie Marie Williams nie mogły wyjaśnić ani wyjazd za granicę, ani zamążpójście. Ale mogłoby go wyjaśnić przyłączenie się do jakiejś sekty albo przejście

na barterowy tryb życia. Może przystąpiła do Moona albo hodowała kartofle i wymieniała je na pampersy? A może po prostu nie musiała wynajmować samochodu, niczego rezerwować ani wystawiać czeków?

Jedynym wyjątkiem było badanie wiarygodności kredytowej z 19 października 1995 roku. Na dwa tygodnie przed zamordowaniem Kathy i Brandona. Według raportu badanie przeprowadzano z Chicago, na zlecenie firmy o nazwie Allied National Products, która prawdopodobnie była taką samą lewizną jak Mutual.

Nie musiało to oczywiście jeszcze nic znaczyć, ale było zastanawiające. Gdyby przeprowadzono więcej badań, Lassiter uznałby, że Marie A. Williams po długich wakacjach powróciła do normalnego życia. Tak jednak nie było. Przeprowadzono tylko jedno badanie - w październiku - i do momentu zainteresowania się kontem przez Lassitera panowała cisza.

Odłożył teczkę na bok i zadzwonił przez interkom do Judy.

- Czego?! - wrzasnęła.

- Ee... mówi Joe Lassiter. Jestem jeszcze właścicielem tej firmy?

Judy zachichotała.

- Przepraszam, Joe, ale pali mi się biurko. W czym ci mogę pomóc? - Znów zachichotała. - Czego chcesz?

- Mamy podwykonawcę w Minneapolis?

- Oczywiście. Pamiętasz sprawę Cowlesa? Facet stamtąd zrobił ogromną robotę. George albo jakoś podobnie... Gerry? - Lassiter pamiętał tę sprawę, ale nie przypominał sobie, kto był podwykonawcą. Judy już szukała w komputerze. - Gary. Gary Stoykavich. Twin Cities Research. - Wyrecytowała numery telefonów i rozłączyła się.

Przy nazwisku Stoykavich i miejscu zamieszkania - Minneapolis - głos Gary'ego był niespodzianką.

- Dobry wieczór - zadudnił. - Twin Cities Research. - Mówił głębokim barytonem, przypominającym do złudzenia głos Fatsa Domino, i bez wątpienia był Murzynem.

- Joe Lassiter przy aparacie. Jakiś czas temu robiłeś coś dla nas...

Przerwał mu basowy śmiech.

- Oczywiście, że robiłem. Prawdę mówiąc, odwaliłem kawał roboty. Dla panny Joo-dee Rif-kin.

- Zgadza się.

- Cóż więc mogę zrobić dla ciebie, mister Joe Lassiter? Jeśli się nie mylę, jesteś Wielkim Szefem... czy może mamy do czynienia z niezwykle zbiegiem nazwisk?

- Nie, to ja.

Stoykavich roześmiał się ponownie, ze słuchawki doleciał długi, przypominający przeciągły grzmot odgłos.

- No to mów. Słucham.

- Szukam kobiety, która mieszkała w Minneapolis w dziewięćdziesiątym pierwszym - powiedział Lassiter i podał wszystkie dane.

- Mam jedno pytanie - oświadczył Stoykavich. - Ta Marie Williams wyprowadziła się czy jest „zaginiona”? A jeśli jest zaginiona, to czy się ukrywa?

Lassiter przez chwilę zastanawiał się, co odpowiedzieć.

- Nie wiem - odparł w końcu.

- Może to mieć zasadniczy wpływ na budżet.

- Rozumiem, ale... panie Stoykavich... podejrzewam, że pani Williams nie żyje.

- O!

Lassiter obiecał przesłać faksem raport kredytowy i streścił, co już w tej sprawie zrobił Freddy. Stoykavich miał sprawdzić wydział komunikacji, redakcje i sądy.

- Jeszcze jedno - dodał Lassiter. - Możliwe, że była w tym czasie w ciąży... to znaczy na pewno była. Mniej więcej w czwartym miesiącu.

- Może da się to jakoś wykorzystać. Coś jeszcze przychodzi ci do głowy?

- W tej chwili nie.

- No to ruszam pełną parą.

Lassiter czytał właśnie wstępną wersję umowy dotyczącej sprzedaży Lassiter Associates, kiedy zadzwoniła Victoria z informacją, że chce z nim rozmawiać Deva Collins z działu badawczego.

- Przyślij ją.

Deva była młoda i nerwowa. Kiedy weszła, odrzuciła do tyłu długie blond włosy i zdjęła okulary, po czym stanęła na baczność z plikiem dokumentów w ręku. Joe poprosił, by usiadła.

- To materiał wstępny - zaczęła. - Ściągnięty z Internetu.

- O jakim materiale mówimy?

Spojrzała na niego przestraszona - jakby przyłapano ją naga w publicznym miejscu. Założyła z powrotem okulary, co dodało jej nieco pewności siebie.

- Hmm... na temat włoskiego doktora, Ignazia Baresiego.

- Wygląda na to, że jest tego sporo.

- Och, to głównie materiał wtórny... komentarze naukowców i innych badaczy, dotyczące jego prac. Próbowałam się przez to przebić. Druga część pliku - od żółtej kartki w dół - to materiał całkowicie bezwartościowy: albo wymienia się jedynie jego nazwisko, albo ktoś cytuje którąś z jego publikacji. Zatrzymałam go, ponieważ zdawało mi się... sama nie wiem... tak na wszelki wypadek. Może pan zechcieć napisać do autora.

- A jeśli chodzi o oryginalne publikacje Baresiego?

- Dokładne sprawdzenie wymaga nieco więcej czasu, choć wydaje mi się, że znalazłam już większość. - Zawahała się. - No, nie ja sama... my wszyscy. Część materiałów znajduje się w zbiorach bibliotek uniwersyteckich, ale jest bardzo rozproszona, ponieważ zajmował się dwiema dość odległymi od siebie dziedzinami. Już kiedyś o nim słyszałam.

- Naprawdę? Zaczerwieniła się.

- Moim głównym przedmiotem na uczelni było religioznawstwo porównawcze, i wszędzie go cytowano.

- To wspaniale. Powinno to pani pomóc przeprowadzić badania. - Chciał dodać jej otuchy, ale najwyraźniej tylko ją wprawiał w zakłopotanie.

- Może troszkę - przyznała. - Przynajmniej wiem, gdzie są jego najważniejsze publikacje. Problemem była jednak genetyka. Poradziliśmy sobie, choć musieliśmy zadzwonić po pomoc do Georgetown.

- To wspaniale. Deva rozpromieniła się i znów zdjęła okulary.

- Większość jego artykułów możemy wypożyczyć z bibliotek. Będzie jednak trzeba zrobić streszczenia... chyba że chce pan pełne tłumaczenia.

- Ile to zajmie? Pokręciła głową.

- Streszczenia... nie wiem. Tłumaczenia - wieczność. To nie opowiadania, ale poważne naukowe

opracowania.

- A co z jego książką?

- Jest w kilku bibliotekach uniwersyteckich, jednak jak na razie znalazłam tylko włoskie wydanie.

Była również opublikowana po angielsku, ale trudno znaleźć egzemplarz. Będę dalej próbować, jeśli się nie uda, może znajdę chociaż streszczenie.

Lassiter popatrzył na leżące na jego biurku dokumenty.

- Dziękuję, Deva. Wygląda na to, że dobrze się spisałaś. - Wstał i podał jej rękę.

Zaczerwieniła się znowu i Joe przez chwilę się obawiał, że zaraz przed nim dygnie.

Kiedy wyszła, wziął do ręki pierwszy z brzegu dokument. Był to artykuł opublikowany w „Journal of Molecular Biology”, autorstwa niejakiego doktora Waltera Fieldsa.

Rola białek represorowych w transkrypcji polimerazy RN A. Komentarz do wyników badań opublikowanych przez Ig-nazia Baresiego, Ezry Sidrana i wsp., przedstawionych na Corocznej Konferencji Biogenetyki w Bernie, 11 kwietnia 1962 roku.

Lassiter z trudem przebił się przez pierwszy podrozdział i stwierdził, że nie rozumie ani słowa. Marszcząc czoło, odłożył dokument na bok i wziął następny.

Regulacja transkrypcji u eukariotów. Kolokwium (pod auspicjami King's College w Londynie): Uwagi

To również wykraczało poza jego możliwości. Kolejny tytuł brzmiał:

Cechy związane z płcią: chromosom X, allele recesywne, zespół Klinefeltera i Turnera.

Komentarz do ostatnich badań. Baresiego, S. Rivelego i C. Wilkinsona.

Ten materiał był zrozumiały mniej więcej przez stronę, potem jednak zaczął robić się coraz bardziej hermetyczny. Lassiter, sfrustrowany, rzucił go na biurko, opadł na oparcie fotela i zamknął oczy. Problem był znacznie bardziej skomplikowany, niż mu się wydawało. Potrzebował „rabina” - kogoś, kto mu przedstawi treść artykułów językiem zrozumiałym dla średnio inteligentnego absolwenta amerykańskiej wyższej uczelni.

Zanotował sobie: RABIN.

Być może i to nie wystarczy. Opublikowane prace Baresiego wcale nie musiały być kompletne. A jeśli po „porzuceniu” genetyki prowadził dalsze badania na własną rękę - w swojej klinice, „w podziemi”? Gazety były pełne artykułów o dylematach etycznych, pojawiających się w związku z badaniami genetycznymi. A jeśli Baresi odkrył coś i... A niech to cholera! Takie spekulacje do niczego nie prowadzą - nie było żadnego dowodu, że Baresi kontynuował badania.

Lassiter ponownie odwrócił się do sterty artykułów i zaczął je rozkładać na dwie kupki - „genetyczną” i „teologiczną”. W którymś momencie wydało mu się, że może spróbować przeczytać jedną z późniejszych, teologicznych prac. Jej tytuł brzmiał:

Wczesne wspólnoty chrześcijańskie a kerygmat. Analiza tekstowych podobieństw źródeł regionalnych z okresu współczesnego Ewangelii według Marka. I. Baresi, *Journal of Comparative Religion*, vol. 29, 11 sierpnia 1971.

Zadzwoił interkom. Victoria. Lassiter odłożył dokument na biurko. Może teologia wcale nie okaże się łatwiejsza od genetyki...

- Tak, słucham?

- Czy zostaliśmy sprzedani? - spytała Yictoria.

- Słucham?!

- Na linii pierwszej dzwoni „Business Week”.

- Powiedz im, że nie.

- Nie zostaliśmy sprzedani czy...

- Że mnie nie ma.

- Rozumiem... na drugiej linii jest pan Stoykavich.

- Odbiorę. - Podniósł słuchawkę. - Cześć, Gary. Czego potrzebujesz? Masz jakieś pytania?

- Nie, nie... - zadudnił Stoykavich. - Nie mam pytań. Mam odpowiedź.

- W dwie godziny? Chcesz mi powiedzieć, że znalazłeś Marie Williams?

- Nie, nie, tej odpowiedzi nie mam. Jeszcze nie. Pamiętasz, jak pytałem, czy ta kobieta chce zostać znaleziona? Mam odpowiedź na to pytanie.

- I jak brzmi?

- Zdecydowanie nie chce.

- Nie rozumiem... O co chodzi, Gary?

- Przykro mi to mówić, bo byłem gotów przepracować bardzo dużo godzin rozrachunkowych. Niestety nic z tego, przyjacielu. Marie Williams zniknęła dziewiętnastego września, ponieważ osiemnastego września odkryto jej tożsamość.

- O czym ty mówisz? Jej tożsamość? Jaką „tożsamość”?

- Marie Williams to Callista Bates! Co ty na to?

- Żartujesz... - Przed oczami Lassitera mignęły zdjęcia zamieszczane w brukowcach: Callista w Cannes. Callista w Le Dôme. Callista w zaciszu domowym. Od siedmiu albo ośmiu lat aktorka nie nakręciła żadnego filmu, ale jej twarz ~ zawsze piękna - nieustannie spoglądała z wywieszonych na stojakach w supermarketach gazet żyjących z sensacyjnych doniesień. Tak jak Garbo, stała się symbolem, ponieważ odeszła w szczycie znakomitej kariery, zamieniając blask na codzienność. Jednak w jej przypadku sprawa była jeszcze bardziej tajemnicza i ponura niż w przypadku Garbo. Każde przypomnienie nazwiska „Bates” - tak jak „Lindbergh” czy „Sharon Tate” - było nawiązaniem do głośnej historii, której szczegóły znali wszyscy.

Pewien pensjonariusz więzienia stanowego w Lompoc w stanie Kalifornia, odsiadujący osiemnaście lat za szczególnie brutalne zranienie, włamanie i gwałt, dostał w połowie odsiadki obsesji na punkcie Callisty. Zaczął pisać do studia, w którym kręciła filmy, prosząc o zdjęcia, wstąpił do jej fanklubu i zapisywał wszystkie swoje uwagi i spostrzeżenia dotyczące aktorki w grubym notesie - a jego cela stała się betonową kaplicą, poświęconą Jedynej i Najwspanialszej - Słodkiej Calliście Bates.

Po zwolnieniu warunkowym w 1988 roku facet wsiadł do autobusu jadący do Beverly Hills, gdzie piloci wycieczek pokazywali turystom jej dom. W ciągu następnych miesięcy krążył po okolicy i zostawiał przy frontowej bramie posiadłości aktorki dziwaczne „prezenty”. Była wśród nich kasetka z nakręconym w Niemczech sadomasochistycznym filmem i zdjęcie ciężarowca z kolczykami w sutkach, ubranego jedynie w czarny kaptur. Inne upominki również były dość makabryczne.

Potem zaczęło się na całego. Domofon Callisty dzwonił co noc - choć nikogo nie było przy bramie. Telefon dzwonił o najróżniejszych godzinach - mimo że aktorka wciąż zmieniała numer - i ten sam głos mówił: „Callisto, ty dziwko - wpuść mnie!”.

Dwa razy mężczyźnie udało się przejść przez mur, dzielący posiadłość od ulicy, na szczęście przestraszyło go szczekanie starzejącego się labradora Callisty - Kerouaca. Pewnego razu, kiedy aktorka wyjmowała listy ze skrzynki, okazało się, że pływają we krwi. Innym razem, gdy podjechała pod dom samochodem i czekała, aż otworzy się brama, natręt nagle się zmaterializował, zaczął

szarpać za klamkę auta i wrzeszczeć, by go wpuściła do środka.

Policja była grzeczna i bardzo zatroskana, ale nieskuteczna. Przez miesiąc lub dwa patrolowano okolice domu Callisty - radiowozy przejeżdżały w późnych godzinach w pobliżu posiadłości i przeszukiwały szperaczami drzewa i krzewy, nic to jednak nie dało. Aktorka zainstalowała sobie telefon z identyfikacją dzwoniącego numeru, ale prześladowający ją szaleniec korzystał tylko z automatów. Po wielu miesiącach fałszywych alarmów i prawdziwych alarmów bez ujęcia sprawcy, policja stwierdziła: „To jakieś dzieciaki” - jakby mogło to wyjaśnić krew w skrzynce pocztowej, pornograficzne zdjęcia i napad na samochód.

Tego wieczoru, kiedy psychopata zabił psa i sforsował drzwi wejściowe, Callista siedziała w salonie i czytała. Usłyszała szczeknięcie zwierzęcia i skowyt agonii, a potem brzęk tłuczonego szkła. Wiadomości jeszcze przez tydzień odtwarzały przerażony, zdyszany głos aktorki, dzwoniącej pod 911: „Mówi Callista Bates... Mariposa dwieście jedenaście... w domu jest mężczyzna... z nożem... zabił mojego psa... a teraz jest w salonie...”. Policja przyjechała po czterech minutach, napastnik zdążył jednak dwa razy uderzyć nożem - przecinając ścięgna w prawym nadgarstku aktorki.

Ostatnie zdjęcia, jakie jej zrobiono, ukazywały Callistę na schodach przed gmachem sądu, po wydaniu wyroku na człowieka, który ją napadł. Wyglądała bardzo pięknie w sukience koloru lodowatego błękitu, a powiedziała jedynie: „I to by było na tyle, kochani”.

Udzieliła potem tylko jednego wywiadu. Mówiła o powrocie do pracy, ale brukowce nie pomyliły się, przepowiadając, że zamierza uciec od świata. W ciągu następnego roku sprzedała dom i meble - i zniknęła.

Nigdy więcej jej nie widziano, choć raczej należałoby powiedzieć, że widywano ją wszędzie - czasem nawet w różnych miejscach w tym samym czasie.

Dla popkultury Callista Bates stała się czymś w rodzaju Marilyn i JFK* jednocześnie - fantomem, którego nazwę pisze się sprayem na przesłach mostów i ścianach budynków.

Było coś jeszcze, co miało z nią związek... Lassiter poczuł nagły przypływ adrenaliny. Niestety - mgliste skojarzenie odplynęło w siną dal. Kiedyś pamiętał. Teraz zapomniał.

- Nie, wcale nie żartuję. Odnalazłem byłego administratora budynku. Mieszka na Florydzie. Kiedy go zahaczyłem o Marie Williams, od razu zapytał: „Jest pan z prasy?”. Spytałem: „Z jakiej?” - a on odparł: „»Z Enquirer«,.. Powiedział mi, że Marie

Williams to jedyna z mieszkanek, którą zapamiętał... kiedy się dowiedział, że to Callista Bates, o mało nie fiknął kozła. Pokazywał dziennikarzom jej mieszkanie, jego zdjęcie ukazało się w gazecie, pytał mnie, czy chciałbym obejrzeć wycinki.

- Gary, „Enquirer” nie jest akurat... - zaczął Lassiter sceptycznym tonem.

- Sekundę! Momencik! Wiem, co chcesz powiedzieć, ale posłuchaj: pamiętam tę historię. Ty nie możesz jej pamiętać, ponieważ nie mieszkasz w Minneapolis, a także dlatego, że co tydzień pojawiają się plotki, że ktoś gdzieś widział Callistę. Ostatnio czytałem, że widziano ją na wyspie Norfolk lub podobnym dziwnym miejscu.

- Tak, ważyła trzydzieści kilo i miała białaczkę.

- Właśnie... przerobili komputerowo jej postać, by wyglądała jak szkielet. Ale nie o to chodzi - chcę powiedzieć, że Minneapolis to moje rodzinne miasto i pamiętam wywiad w telewizji, jaki zrobiono z kobietą, która wypatrzyła Callistę, tyle że nie zwróciłem na niego szczególnej uwagi i nie zapamiętałem nazwiska „Marie Williams”.

- Dlaczego więc uważasz, że to była ona?

- Bo rozmawiałem z dziennikarzem.

- Z „Enquirerem”?

- Tak.

Lassiter parsknął śmiechem.

- Chwileczkę! - zawołał Stoykavich. - Ci chłopcy są znacznie ostrożniejsi, niż ci się wydaje.

Muszą, bo co drugi dzień ktoś ich skarży. - Detektyw przerwał na chwilę. - Słuchasz mnie?

- Pewnie, jestem jednym wielkim uchem.

- Doskonale. To się odbyło w ten sposób: jakaś kobieta zadzwoniła do redakcji „Enquirerem” i oświadczyła: „Widziałam ją z agentem handlu nieruchomościami. W Century Dwadzieścia Jeden!”. Była to jakaś wścibska baba, dzwoniła z przedmieść.

- Myślałem, że Callista mieszkała w centrum, w budynku z apartamentami.

- Przedtem tak, ale teraz kupowała dom. Wygodny. W ładnej okolicy. Za gotówkę. Pośrednik twierdził, że sprawa jest już zaklepana. W tym momencie zjawił się jakiś cwaniak z „Enquirerem” i sprytnie wyciągnął od recepcjonistki nazwisko Williams. Pojechał do jej mieszkania w Fountains i zapukał do drzwi, ale dama zniknęła.

- Skąd wiesz, że to była Callista Bates?

- Ten cwany reporterzyna - nazywa się Michael Finley - porobił zdjęcia. Zanim poszedł zapukać do drzwi, siedział w samochodzie pod budynkiem i robił zdjęcia. Przychodziła i wychodziła, przychodziła i wychodziła... widziałem te fotografie. Wprawdzie ma na nich brązowe włosy i inną fryzurę i nosi okulary przeciwsłoneczne, ale wygląda dokładnie jak ona. Bez dwóch zdań.

- Wygląda jak ona...

- Jeszcze nie skończyłem! Zadzwoniłem do Finley a. Powiedział mi, że ma dowód na to, że to była Callista Bates.

- Jaki?

- Przeprowadził sprawdzian kredytowy. Podał numer ubezpieczenia społecznego Marie Williams, ale z nazwiskiem Callista Bates. I dostał wszystko! Okazało się, że Callista Bates to nazwisko sceniczne, wymyślone przez jej agenta. Takie, które pasowałoby dobrze do afisza. Nie kręciła jednak z numerem ubezpieczenia społecznego, ale właściwie dlaczego miałyby to robić? Niezależnie od tego, jak się nazywała, musiała płacić zaliczki na podatek dochodowy. Tak więc używała prawdziwego numeru ubezpieczeniowego.

- Czy nie pojawiłby się w wielu miejscach?

- Właściwie nie, poza tym wtedy jeszcze się nie ukrywała. Agent płacił jej przez utworzoną na jej nazwisko firmę pożyczkową i kiedy się o niej dowiedziała, nazwała ją „Wielką Amerykańską Firmą”, by móc mówić, że jest szefową wielkiej amerykańskiej firmy. Ma poczucie humoru. W każdym razie agent miał tylko jej numer PIN. Callista sama prowadziła swoje księgi rachunkowe. I sama płaciła podatki. Tak więc numer jej ubezpieczenia społecznego nie musiał się często pojawiać.

- Więc jej prawdziwe nazwisko brzmi Marie Williams, ale zmieniła je na Callista Bates, kiedy zaczęła grać?

- Tak. Zmieniła je z powrotem na Marie Williams, gdy wyjechała z Kalifornii. To, co zrobiła, było naprawdę niełatwe, zwłaszcza jeśli się weźmie pod uwagę, jak bardzo była znana.

- Co się stało z Finleyem?

- O, Finley doskonale się ustawił. Do dziś żyje z publikowania prawdziwych i nieprawdziwych informacji na jej temat. No wiesz: „Ulubione restauracje Callisty!”, „Callista pojawia się na Rodeo

Drive!”, „Tajne miejsca, w których Callista się ukrywa”... tego typu rzeczy.

Lassiter poczuł ogarniający go lęk. Już widział tytuły w wystawionych w supermarketach gazetach: SERYJNY ZABÓJCA ŚCIGA CALLISTĘ I JEJ UKRYWANE PRZED ŚWIATEM DZIECKO. Widział migawki ze specjalnego wydania telewizyjnego programu „Najbardziej poszukiwani ludzie w Ameryce”: Riordan rzuca słuchawkami, kamera robi najazd na leżące na jego biurku otwarte akta. Pokazują okaleczoną twarz Grimaldiego, a potem zaczyna się ponura parada zaszlachtowanych dzieci, zamordowanych matek, spalonych domów. Kiedy program się kończy, na ekranie pojawia się numer linii specjalnej: 1-800-CALLISTA (1-800-225-4782). POMÓŻ NAM JĄ ZNALEZĆ, ZANIM ONI TO ZROBIĄ!

- Gary, ile mu powiedziałaś? Czy w rozmowie padło moje nazwisko?

- Nie. Nie wymieniałem go. Poinformowałem go, że zatrudniła mnie grupa samopomocy nachodzonych wbrew swej woli kobiet. Ale zanim cokolwiek powiedział, musiałem mu dać dwieście dolców.

Lassiter zastanawiał się przez chwilę.

- Dobrze się sprawiłeś, ale... nie jestem jeszcze pewien, co dalej. Wydaje mi się, że jeśli przedtem trudno ją było znaleźć, to...

- Teraz będzie jeszcze trudniej. Zgadzam się. Mam jednak kilka tropów. Administrator powiedział, że pracowała w bibliotece jako wolontariuszka. Chodziła na wykłady do lokalnego college'u. Do tego dochodzi sprawa ciąży. Mogła uczęszczać do szkoły rodzenia, chodzić na spotkania grupy samopomocy dla samotnych matek... Mógłbym to posprawdzać.

- Czemu nie? Zobacz, czego uda ci się dowiedzieć. Daj mi też numer do tego dziennikarza. Jak on się nazywa? Finley?

Stoykavich podał mu numer.

- Kiedy będziesz dzwonił do Finleya, trzymaj się za portfel - dodał i roześmiał się, co zabrzmiało jak przetaczający się w oddali grzmot.

CALLISTA BATES.

To, co Joe usłyszał, było jak gra w dobrą-złą wiadomość, gdy jedna wcale nie różni się od drugiej. Jeżeli tak trudno znaleźć Callistę, trudno będzie ją ostrzec - ale także trudno zabić. Lassiter był jednak pewien jednego: jeśli on jej nie znajdzie - nikt jej nie znajdzie.

Wstał i podszedł do okna. Zapadł już półmrok i było tak zimno, że przestało padać. Niebo nad Pentagonem miało krwisty, ciemnoszafirowy kolor, a od oświetlonej kopuły Kapitolu bił zimny blask, przypominający sprzedawane w Chinatown ozdoby z kości słoniowej. W górze, między kłębowiskiem świecących intensywnym blaskiem gwiazd, wisiał cienki sierp księżycy.

Lassiter czuł, jak powoli poprawia mu się nastrój. Może jednak Callista żyła. Może...

Zahuczał interkom.

- Co jest?

- Ktoś chce się z tobą widzieć - powiedziała Victoria głosem pełnym dezaprobaty.

- Kto?

- „Buck”.

Mężczyzna, który wszedł do gabinetu, miał mniej więcej metr sześćdziesiąt pięć wzrostu i czterdzieści lat. Włosy szesał do tyłu i spał w kucyk, skóra jego twarzy była ciemnobrązowa - taki

kolor można osiągnąć jedynie przy użyciu samoopalacza. Nie miał właściwie szyi, bo wyrastająca z barków kolumna wydawała się ich przedłużeniem. Wyglądał jak bohater kiepskiego filmu akcji.

- Jestem Buck - oświadczył i wyciągnął rękę na powitanie.
- Dzięki za przyjście - odparł Lassiter, kiedy wymienili powitalny uścisk dłoni.
- Mogę się rozejrzeć?
- Proszę bardzo.

Ochroniarz zaczął chodzić po pomieszczeniu, patrzył i zapamiętywał wszystkie szczegóły.

- Co tam jest? - spytał, wskazując oszklone drzwi.
- Pysznic.

Buck zajrzał do środka. Następnie podszedł do okna, przez chwilę, która bardzo się Lassiterowi dłużyła, wyglądał na ulicę, po czym zaciągnął zasłony. Odwrócił się w końcu, by znów zlustrować pokój.

Wreszcie usiadł na skraju stojącego przy kominku barcelońskiego krzesła i splótł dłonie.

- Terry pokrótce wprowadził mnie w sprawę, możesz więc robić swoje. Będę jedynie... obserwować. - Powiedziawszy to, Buck wyjął ze swojej aktówki książkę i zaczął czytać. Lassiter przyjrzał się tytułowi: *Język japoński dla średnio zaawansowanych*.

Wrócił do dokumentów na biurku - dalej dzielił je na „genetyczne” i „teologiczne”. Kiedy skończył, było wpół do szóstej. Poprosił Victorię, by połączyła go z dziewczyną z działu badawczego.

- Myślisz, że jeszcze nie wyszła? - upewnił się.
- Na pewno nie, ale...
- Co?
- Co to za człowiek? - zapytała, chichocząc.
- Masz na myśli Bucka? To moja opiekunka. Buck nie uniósł wzroku znad książki.
- O! To znaczy goryl! - zawołała podekscytowana. - Zaraz ci złapię Devę.

Po chwili Deva Collins była na linii. Zapytała, w czym może pomóc.

- Potrzebuję „rabina”.
- Kogo...?

Deva nie знаła jeszcze zbyt dobrze firmowego slangu. Pojęcie „rabin” wprowadziła Judy na określenie specjalisty, z którym konsultowano się podczas śledztwa. Najczęściej „rabinem” był dziennikarz, czasem naukowiec, a służył jako przewodnik po terenie stanowiącym tło śledztwa: raz chodziło o przemysł tekstylny, innym razem o handel, jeszcze innym o Amerykańskie Towarzystwo Lekarskie. Teraz Lassiter potrzebował kogoś umiającego mówić prostym językiem o biologii molekularnej. Wyjaśnił to Devie.

- Oczywiście. Na pewno znajdę kogoś.

- To świetnie. Liczyłem też na to, że może będziesz mogła wprowadzić mnie w zagadnienia zawarte w tekstach teologicznych. To mnóstwo materiałów... może mogłabyś poukładać wszystko pod kątem „kto jest kto”, wkładu Baresiego i innych tego typu kryteriów.

Dziewczyna zaśmiała się nerwowo.

- Nie wiem... nie jestem ekspertem..

- Nie potrzebuję eksperta.

- Cóż, w takim razie spróbuję. Sporządzić notatkę?

- Może wystarczy, jeśli porozmawiamy?

- O, nie... - wymamrotała wyraźnie spłoszona Deva. - Wolę ułożyć sobie myśli na papierze.

- W porządku - odparł Lassiter i poprosił, by zleciła komuś z działu badawczego zrobienie zestawienia informacji o Calliście Bates.

- Oczywiście... - powiedziała Deva z wahaniem, a po chwili spytała: - To do innej sprawy?

- Nie.

- O... rozumiem.. Będę miała notatkę na jutro wieczór. Może być?

Zapewnił, że będzie znakomicie. Kiedy odłożył słuchawkę, Buck przewrócił kartkę książki i mruknął:

- Callista Bates... to była szprycha!

Godzinę później Lassiter usiadł na ciasnym fotelu pasażera szarego buicka, który czekał przy krawężniku pod Lassiter Associates. Buck zajął miejsce kierowcy.

- Od jutra będzie szoferował Pico - oświadczył, swobodnie manewrując samochodem po pokrytych lodem ulicach. - Kocha to maleństwo. A ja? Boję się za mocno nadepnąć na pedał, no i zupełnie nie znam się na silniku. To, co ten wóz ma pod maską, jest niesamowite.

Wkrótce znaleźli się na Memoriał Bridge i przecięli skuty lodem Potomac. Minęli Pentagon i pojechali na południe Shirley Highway. Buck przez cały czas opowiadał o samochodzie.

- Ludzie gadają o kuloodpornych autach, ale nie wiedzą, o czym mówią. Jest tu centymetr lexanu - powiedział, stukając w boczną szybę. - Dobry materiał. Zatrzymuje wszystko... niemal wszystko. Bo przecież jeśli komuś naprawdę na kimś bardzo zależy, użyje C-4.

Wnętrze buicka wyglądało normalnie, ale było znacznie ciasniejsze od wnętrza zwykłego samochodu tej marki, do tego tak uszczelnione, że zatraskując drzwi, Lassiter poczuł ucisk powietrza w uszach. Buck wyjaśnił, że ciasnota wnętrza to efekt założenia płyt pancernych oraz zamontowania większego od standardowego zbiornika i hydrauliki do podnoszenia nadwozia przy jeździe w trudnym terenie.

- Czuję się jak James Bond - mruknął Lassiter. Buck uśmiechnął się.

- Każdy tak mówi.

Zatrzymali się przy „7-Eleven”, żeby kupić piwo, a potem przy wypożyczalni sieci „Blockbuster”, by wziąć kilka kaset z filmami Callisty Bates. Kiedy zajechali pod „Comfort Inn”, Buck poszedł ich zameldować. Lassiter został w samochodzie i pomyślał, że siedzenie w tym aucie przypomina siedzenie w bankowym sejfie.

W końcu Buck wyszedł z hotelu, przeszedł ostrożnym krokiem przez oblodzony parking i wsiadł.

- Wziąłem połączone pokoje, z magnetowidem - poinformował Lassitera.

Zajechał od tyłu motelu i poszli schodami na drugie piętro.

- Mogliśmy zamieszkać w „Willardzie” - stwierdził Lassiter. - Wolałbym.

Buck pokręcił głową.

- To miejsce jest lepsze. Jeśli ktoś by szukał Joego Lassitera, na pewno nie zacznie od „Comfort Inn” na przedmieściach.

Ich pokoje znajdowały się na końcu korytarza, naprzeciwko klatki schodowej. Były połączone drzwiami w dzielącej je ścianie, dość duże i przyjemnie urządzone. Miały wielkie łóżka, a z okien widać było Między stanową 95.

- Dostałem maksymalny rabat - powiedział z dumą Buck. - Sześćdziesiąt cztery dolary za noc! Do tego ze śniadaniem i podatkiem! - Podszedł do okna i zaciągnął zasłony. - W takim hotelu jak ten mają dość dobrą ochronę. W nocy zamyka się drzwi, więc każdy, kto chce wejść, musi dzwonić. Mają też uzbrojonego strażnika, który siedzi w holu wejściowym. Inne, większe hotele, takie jak „Willard”, mają portiera przy drzwiach. - Ochroniarz pokręcił głową. - Jakby był do czegokolwiek potrzebny.

Lassiter wyciągnął się na łóżku i zaczął przeglądać kasety z filmami.

Szybki tor - komedia, 114 min., 1987. Callista Bates, Matthew McBride.

Pełna zabawnych gagów burleska: uczniowie szkoły średniej wymyślają plan, który pozwoli im obłowić się na giełdzie.

Callista Bates lepiej wyczuwa komediowe momenty niż rolex mierzy czas! Cztery gwiazdki! [„New York Times”]

Wykręcaliśmy sobie kciuki ze śmiechu! [Siskel & Ebert]

„Blockbuster”: Jeśli ten film ci się spodobał, obejrzyj *Rybkę zwaną Wandą*. Dostępny we wszystkich wypożyczalniach.

Na drugiej kasecie był film science fiction.

Pippa, s.f. 127 min., 1986.

Opowieść o Pippie, uwspółcześniona i umiejscowiona w Hamlin w Ohio *. W nominowanej do Oscara roli „Penny” Callista Bates jest punkującą zebraczką, której gra na harmonijce ustnej chroni miasto przed szturmem zarażonych śmiertelnym wirusem szczurów. Starszyzna miasta nie zamierza zapłacić Pippie - jednak wkrótce gorzko tego pożałuje.

Zachwycające! [„New York Daily News”]

Przerażające! [„Premierę”]

Callista jest niesamowita. Ty też zechcesz za nią pójść! [„Rolling Stone”]

Lassiter pamiętał zamieszanie po premierze *Pippy*, pamiętał, że koniecznie chciał obejrzeć film, a nawet wybrał się na rozdanie Oscarów z... kim? Z Gillian. Natychmiast mu się przypomniała - dołeczki w policzkach, mlecznobiałe piersi. Co się z nią stało?

Rozdanie Oscarów było nudne jak flaki z olejem, ale Gillian się uparła. Zgodził się, nie kryjąc niechęci, i wytrzymał wieczór pełen „rewelacyjnych” dowcipów, sztucznej sentymentalności i piosenek ze scenografią jak z rzymskiego burdelu - wszystko to jeszcze pogarszał opór Gillian, która nie chciała dać się uwieść. Siedziała jak przyklejona do kanapy, jedynie od czasu do czasu się zrywała, by dopingować swych faworytów. Kiedy w końcu ogłoszono nazwisko „najlepszej aktorki”, kamera odprowadziła wybrankę do sceny i wróciła do Callisty Bates. Gillian była oburzona, że

Callista nie dostała statuetki, ale była oczarowana - Lassiter zresztą też - kiedy aktorka niczym złośliwy diabełek wyciągnęła harmonijkę ustną i zagrała do kamery. Łobuzerski wyraz jej oczu świadczył, że „Penny” doskonale wie, jak sobie radzić.

Lassiter w końcu nigdy nie obejrzał filmu i ledwie pamiętał rok 1986. Został wtedy właścicielem firmy, zatrudniał nowych pracowników i wynajmował biura, miał bowiem więcej zleceń, niż mógł przerobić. Pamiętał, że pracował po szesnaście godzin na dobę, ale poza tym cały rok - a także Gillian - rozplynęły się we mgle zapomnienia.

Buck właśnie telefonował - zamawiał pizzę w pobliskim lokalu, reklamującym się posiadaniem „prawdziwego ceglanego pieca” i darmowymi dostawami.

Potem zadzwonił do Pico i Chaza - pozostałych członków „zespołu”, którzy sprawdzali dom Lassitera w McLean. Po krótkiej rozmowie wybuchnął piskliwym śmiechem.

- Nie. Nie robią tego - oświadczył. - Zadzwonię rano. - Odłożył słuchawkę i zwrócił się do Lassitera. - Mieszkasz na wsi?

Lassiter pokręcił głową.

- Większość ludzi nie uważa McLean za wieś.

- Pico zobaczył jelenia. Przestraszył się jak cholera. - Roześmiał się. - Wiesz, o co mnie spytał?

Lassiter pokręcił głową.

- Czy jelenie gryzą.

Siedzieli na kanapie, jedli pizzę i oglądali *Szybki tor*. Piwo było zimne, sałatka krucha, a pizza lepsza, niż się spodziewali.

Film był śmieszny, bardzo śmieszny, ale mimo to Lassiter wyraźnie widział, że balansuje na krawędzi. Reżyser z cięższą ręką i mniej utalentowani aktorzy - i całe przedsięwzięcie mogłoby się okazać katastrofą.

Callista miała genialne wyczucie komediowego momentu i wydobyła wszystko z roli, która kwestionowała komunał o głupiej blondynce. Tytułowa bohaterka nie była głupią blondynką, ale sprytną intrygantką, która wie, kiedy udawanie głupoty może przynieść korzyść.

Buck znał film na pamięć i przed co lepszymi kawałkami trącał Lassitera łokciem, informując go, co za chwilę się wydarzy.

- Teraz pójda do World Trade Center - popatrz na tego małego gościa na drugim planie!

Mniej więcej w połowie filmu klepnął Lassitera w ramię.

A to... stary... popatrz na to!

Callista, ubrana w ciemną garsonkę i płaski kapelusik z czarną koronkową woalką, jest w domu pogrzebowym. W otoczonej kwiatami otwartej trumnie leży jej współnik i udaje trupa. Callista powoli podchodzi do trumny przejściem między krzesłami, klęka przy niej i zaczyna się modlić. Tak przynajmniej wydaje się wszystkim zebranym - do momentu, gdy kamera robi najazd i staje się jasne, że Callista kłóci się z „trupem”, choć oboje robią to przez zaciśnięte zęby.

- Daj mi klucz - żąda Callista.

- Nie mogę! Zobaczą, że się ruszam.

- W której jest kieszeni? Sama go sobie wezmę.

- I zostawisz mnie tutaj? O, nie!

Ku przerażeniu stojącego nieopodal właściciela domu pogrzebowego i konsternacji pozostałych żałobników, Callista zaczyna przeszukiwać kieszenie „zmarłego”.

- Przysięgam na Boga, Walter, jeśli nie dasz mi tego cholernego klucza, to cię zabiję!

- Nie możesz mnie zabić - odpowiada trup, unosząc się na łokciu. - Już jestem martwy! W tym rzecz!

Dyrektor domu pogrzebowego mdleje, Callista znajduje klucz i...

- Stop! - krzyknął nagle Lassiter, złapał pilota i wcisnął cofanie.

- O rany... - jęknął Buck. - Co ty wyprawiasz? To jeden z najśmieszniejszych kawałków!

Lassiter podniósł rękę i syknął, by siedział cicho. Ochroniarz przypomniał sobie, że zainteresowanie Lassitera Callista Bates nie ma nic wspólnego z rozrywką.

- Pójdę się odlać - oświadczył z obrażoną miną. - Może znajdę trochę lodu.

Lassiter, nie słuchając, kiwnął głową, po czym przesunął taśmę do przodu, do miejsca, którego szukał: ujęcia pokazującego twarz Callisty za woalką. Wcisnął pauzę i zatrzymane zbliżenie zaczęło drgać na ekranie.

Nie miał już wątpliwości. TA KOBIETA BYŁA NA POGRZEBIE KATHY I BRANDONA.

Callista Bates.

Stojąc w pokoju w „Comfort Inn” i wbijając wzrok w drżący ekran, przypominał sobie pogrzeb, jakby i on był filmem.

Wypolerowane drewniane trumny - jedna mała, druga duża, jedna Kathy, druga Brandona - spoczywają w głębokich, prostokątnych wykopach, przygotowanych na ich przyjęcie... na obu leżą białe róże, powrzucone do dołów przez żałobników. Właśnie spada ostatnia róża - jak na zwolnionym filmie - uderza w drewno i lekko się od niego odbija.

Lassiter stoi w dyskretnym oddaleniu i czeka na kondolencje tych, którzy zebrali się na cmentarzu, by pożegnać Kathy i jej syna. Pierwsza osoba, która do niego podchodzi, jest mu - jak wiele innych obecnych osób - nieznana: to ubrana na czarno atrakcyjna blondynka w staromodnym kapeluszu z woalką z rzadko tkanej koronki.

Powrócił na chwilę do rzeczywistości i spojrzał w ekran telewizora, a potem zamknął oczy, by odświeżyć wspomnienie.

Kobieta wydała mu się znajoma, ale nie umiał jej nigdzie przyporządkować. W końcu uznał, że to któraś z sąsiadek Kathy albo matka kolegi Brandona z przedszkola. Chłopiec był mniej więcej w tym samym wieku co Brandon, miał ciemne, kręcone włosy i śniadą cerę, jakby urodził się nad Morzem Śródziemnym. Lassiter był zażenowany, że nie pamięta nazwiska kobiety - pochylił się do niej i zapytał: „Znamy się?”. Kobieta pokręciła głową. „Poznałam pańską siostrę... w Europie”.

Nagle magnetowid wyłączył pauzę i telewizor ożył. Callista schowała klucz do kieszeni, zaczęła się przepychać między żałobnikami i...

Dźwięk wydawał się Lassiterowi o wiele za głośny - jakby ktoś pogłodził go w jego głowie. Wyłączył telewizor i próbował pomyśleć. Kobieta musiała mu się przedstawić na pogrzebie, na pewno to zrobiła, ale nie pamiętał nazwiska. Nigdy go sobie nie przypomniał.

Usiadł z westchnieniem na kanapie i otworzył puszkę z piwem. Callista Bates, Marie Williams - nieważne: w listopadzie i ona, i jej syn żyli. Czy jednak żyli teraz - a jeśli tak, to gdzie byli?

Wrócił Buck z plastikowym kubelkiem pełnym lodu.

- Dzięki, że zaczekałeś - rzucił, wskazując na ciemny ekran. - Doceniam to.

Skończyli pizzę, wypili prawie całe piwo i dokończyli oglądanie filmu. Lassiter był nastawiony analitycznie, szybko jednak się wyluzował, śmiał się i czekał, aż Buck znów dźgnie go w ramię.

Kiedy film się skończył, poszedł pod prysznic, a ochroniarz zabrał się za telefony. Obejrżeli razem wiadomości, potem przez kilka minut patrzyli, jak Knicks leją Bullets. W końcu Buck wstał.

- No cóż... idę się trochę przekimnąć. Będę tuż obok... siemano.

SIEMANO. Woody czasami tak mówił. Myśl o Woodym coś Lassiterowi przypomniała... prawie. Uświadomił sobie też, że poza tym, czego nie może sobie przypomnieć, a co ma jakiś związek z Woodym, jest jeszcze coś. Coś związanego z tożsamością Marie Williams. Nagle lampka się zapaliła: a jeśli to był Grimaldi?

A jeśli to Grimaldi był zleceniodawcą drugiego badania rejestru kredytowego Marie Williams?

Lassiter wstał z łóżka, wyjął z aktówki teczkę, otworzył raport kredytowy Williams i popatrzył na ostatnią stronę:

Zlecenie na zbadanie konta: 19.10.95. - Allied National Products (Chicago).

CHICAGO - dawna baza „NN”.

Gdyby nie telefon Grimaldiego do „Embassy Suites”, gdzie wynajął pokój jako „Juan Gutierrez”, jego tożsamość być może do dziś byłaby nieznana. Lassiter popatrzył na datę badania wiarygodności kredytowej Marie Williams - zostało przeprowadzone dwa tygodnie przed zamordowaniem Kathy.

Nie dowodziło to wcale, że krył się za tym Grimaldi - w końcu Joe sam zrobił coś podobnego poprzez handlarza informacjami w Miami. Chociaż... jeśli ktoś szukał „Marie Williams” i miał jedynie jej stary adres, sprawdzian wiarygodności kredytowej byłby dobrym początkiem. Przy odrobinie szczęścia można było w ten sposób poznać nowy adres, a nawet jeśli nie - numery kart kredytowych. Mając je, Grimaldi mógł śledzić jej ruchy - gdyby nie zaczęła uciekać i nie zrezygnowała z korzystania z kart kredytowych, co prawdopodobnie uratowało jej życie.

Kierowca - Pico - był przystojnym, małomównym Kubańczykiem i zawiózł ich do Lassiter Associates w rekordowym czasie. Pokonywał zatłkane i oblodzone ulice centrum z taką łatwością, z jaką Michael Jordan doskakiwał do kosza.

Buck siedział w sekretariacie, denerwując swoją obecnością Victorię, a Lassiter w gabinecie. Zadzwoił do działu badawczego z prośbą o przeprowadzenie sprawdzenia wiarygodności kredytowej Kathleen Annę Lassiter, zamieszkałej ostatnio na Keswick Lane 132, Burkę. Zapadła chwila ciszy, po czym inspektor, z którym rozmawiał, spytał:

- Czy to...

- Tak.

- Rozumiem. Już się biorę do roboty. Potem Lassiter zadzwonił do Woody'ego.

W którymś momencie w nocy przypomniawszy sobie, dlaczego zaczął myśleć o Woodym - chodziło o jednego z jego braci Andy'ego albo Gusa. Albo Oliviera.

Kiedy Joe Lassiter i Nick Woodburn byli uczniami w St. Alban's rodzina Woody'ego była sławna. Nie w ten sposób jak rodzina Lassitera, ale z powodu swojej liczebności.

U Woodburnów było jedenaścioro dzieci - siedmiu chłopaków i cztery dziewczyny - a liczba ta była tak niecodzienna w stosunku do normy w prywatnych szkołach Dystryktu Kolumbii, że kiedy szli, ciągnęło się za nimi niczym mantra: MAJĄ JEDENAŚCIORO DZIECIAKÓW - A NAWET NIE SĄ KATOLIKAMI - NIE SĄ NAWET KATOLIKAMI - NIE SĄ NAWET KATOLIKAMI.

Ulubionym zajęciem kolegów Nicka była zastanawianie się dlaczego pani Woodburn jest stale w ciąży, oraz obliczanie opłaty za naukę za każdym razem, kiedy kolejny Wood-dzieciak zjawiał się w przedszkolu w Sidwell, St. Alban's czy National Cathedral. Lassiter spędził połowę dzieciństwa w domu Woodburnów w Georgetown - domu z własną nazwą, własnym „terenem” i wystarczającą liczbą rodzeństwa, przyjaciół i przydatków, by bawić się w „zdobywanie flagi”.

Kiedy zadzwonił do Woody'ego do departamentu stanu, przyjaciel wprawdzie odebrał,

powiedział jednak tylko:

- Nie mogę teraz rozmawiać. Jestem na posiedzeniu.
- Nie chcę rozmawiać z tobą, a z jednym z twoich braci.
- Chętnie bym się zabawił w zgadywanie, ale...
- Tym z gazety.
- Gusem? Gus byłby na mojej liście zdecydowanie ostatni. Zaczekaj sekundę... już ci daję jego numer.

Złapanie Augustusa Woodburna, zastępcy redaktora naczelnego „National Enquirer”, było trudniejsze od skontaktowania się z jego bratem, kierującym jedną z najtajniejszych komórek amerykańskiego rządu. Lassiter musiał się w końcu zadowolić obietnicą sekretarki, że przekaże A.W. wiadomość.

Gus od zawsze kochał dziennikarstwo. Wydawał w St. Alban's pismo „Bulldog”, szlifował pióro w „Post”, a w Yale pisał do gazetki uniwersyteckiej - aż do ostatniego roku studiów, które porzucił, by się ożenić z zawodową narciarką wodną. Po przeprowadzce na Florydę, gdzie jego żona pracowała w Cypress Gardens, znalazł pracę w „Enquirerze”.

W każdej innej rodzinie uznano by go za czarną owcę, ale klan Woodburnów był duży, więc umiał wybaczać. „Nie uwierzyłbyś, kogo ten dzieciak jest w stanie dorwać przez telefon” - powtarzał często z dumą Woody.

Lassiter pomyślał o Gusie, ponieważ kiedyś, przerzucając kanały, zobaczył go w telewizji. Trafił na jedno z tych odbywających się przy okrągłym stole przedstawień, podczas których drapieżny prowadzący prowokuje mecz na wrzaski między mędrkami i dziennikarzami. Lassiter natychmiast przeskoczyłby dalej, gdyby szyderczo uśmiechnięty prowadzący nie zapowiedział: „Pan Augustus Woodburn, zastępca redaktora naczelnego »National Enquirer«. Temat: Etyka w mediach”.

Ktoś najwyraźniej wpadł na pomysł, by wypchnąć Gusa jako chłopca do bicia przed front cnotliwych dam i dżentelmenów z „Harper's”, „Washington Post”, „Timesa” i NPR*. Ale to Gus, dobrze wyglądający chłopak po trzydziestce, z kształtnym podbródkiem i przenikliwie patrzącymi błękitnymi oczami, sprzął tamtych na kwaśne jabłko. Kiedy zaczęto szydzić z „brukowego dziennikarstwa”, przypuścił frontalny atak na establishment.

Przypomniał kolegom i koleżankom, że „Enquirer” zarabia w tradycyjny sposób - na sprzedaży gazet, a nie na reklamach firm produkujących alkohol i papierosy. Jeśli zaś chodzi o zawarte w gazecie treści, to fakt, że „Enquirer” nigdy nie zdobył nagrody Pulitzera, ale w końcu straciła ona na wiarygodności w efekcie skandalu z Janet Cooke. Potem, wymieniając z imienia i nazwiska uczestników programu oraz ich sponsorów, Gus oświadczył, iż mało prawdopodobne, by dziennikarz mógł bezstronnie przedstawić jakikolwiek temat - nieważne, czy chodziłoby o ograniczenie prawa do posiadania broni, czy opiekę zdrowotną - jeśli NRA ** albo Amerykańskie Towarzystwo Lekarskie zapłaciłoby mu trzydzieści tysięcy dolarów za wygłoszenie wykładu na ten temat.

„Ale pracownicy »Enquiraera« nie wygłaszają wykładów. Tak naprawdę to nawet o nich nie piszemy” - stwierdził na koniec.

Publiczność wstała i pożegnała go burzliwymi oklaskami. Gus oddzwonił tuż przed drugą po południu. Lassiter zaczął się przedstawiać, ale dziennikarz mu przerwał.

- Pamiętam cię. Elizabeth Goode rzuciła mnie dla ciebie, kiedy byłem w drugiej klasie, a ty w czwartej.

- Przykro mi.

- Poradziłem sobie z tym jakoś. No więc, o co chodzi? Nic mi nie przychodzi do głowy.

Było to może nieco niezręczne, ale Lassiter zaczął od tego, że liczy na dyskrecję. Gus się roześmiał.

- Przerabiam to dziesięć razy dziennie. Odpowiedź brzmi: oczywiście. Możesz na mnie liczyć. Honor buldoga.

- Chodzi o Callistę Bates.

- Moja ulubiona gwiazda filmowa. Co z nią?

- Szukam jej.

- Jak każdy. Dostajemy na jej temat tyle informacji, że tylko Elvis ją przebija. Choć osobiście mam nadzieję, że nigdy się nie znajdzie. Bo jeśli się znajdzie, będzie to bombowa wiadomość przez tydzień, a potem zostanie kolejną aktorką, usilnie próbującą zwrócić na siebie uwagę.

Lassiter zażartował, że w takim razie, jeśli odnajdzie Callistę, zachowa to dla siebie. Wyjaśnił bez szczegółów, dlaczego jest zainteresowany aktorką - że to sprawa osobista i nie może powiedzieć nic więcej, ale jeśli gazeta jest w posiadaniu jakichkolwiek informacji mogących ułatwić ustalenie miejsca jej pobytu, nawet takich, które nie wydają się zbyt sensowne...

- Jestem mile połączony, że przychodzisz z tym do mnie - przerwał mu Gus. - Ale... Callista Bates? Jeśli mam być szczery, od jej zniknięcia z Minneapolis nie pojawiło się nic sensownego. Oczywiście mnóstwo razy „widziano ją”, jeśli rozumiesz, co mam na myśli, ale... co z tego? Minęło prawie sześć lat.

- Cóż, jeśli cokolwiek usłyszysz...

- Może się zdarzyć. Mamy wolnego strzelca, który robi na Calliście karierę.

- Finleya?

- Rozmawiałeś z nim?

- Ja nie, ale ktoś, kto dla mnie pracuje.

- Mam nadzieję, że był dyskretny, bo Finley to pitbull. Posłuchaj: mogę kazać zajrzeć do archiwum, sprawdzić gorącą linię, zobaczyć, co da się znaleźć. Powiem, że uaktualniamy dane, i zlecę to Finleyowi. Prawdopodobnie i tak musielibyśmy to kiedyś zrobić. W każdym razie spojrzę, czy jest coś wartego zachodu, i jeśli się okaże, że tak, skontaktuję się z tobą.

- Dzięki, Gus. Jestem ci winien przysługę.

- Dwie. Nie zapominaj o Elizabeth Goode.

Późnym popołudniem z działu badawczego przysłano Lassiterowi kopertę z raportem o wiarygodności kredytowej jego siostry. Obejmował sześć stron, ale Lassiter spojrzął od razu na sam koniec, gdzie znajdowało się zestawienie przeprowadzonych badań. Było tak, jak się spodziewał: 19.10.95. wniosek o badanie złożyła Allied National Products.

To przypieczętowywało sprawę. Ten sam handlarz informacjami, który sprawdzał „Marie Williams”, sprawdził jego siostrę - w dodatku tego samego dnia. To musiał być Grimaldi.

Zabębnił palcami w blat biurka. Co teraz? Po chwili zastanowienia zadzwonił do działu badawczego.

- Chciałbym dostać odpis aktu urodzenia na nazwisko Marie Williams. Inicjał drugiego imienia A, jak Alabama. Urodzona ósmego marca tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego drugiego. Nie znam dokładnego miejsca urodzenia, ale gdzieś w Maine. Porozumie się z naszym podwykonawcą w stolicy stanu... muszą tam mieć Biuro Statystyki Medycznej albo coś w tym rodzaju. Niech przefaksują wszystko, co znajdą.

W najgorszym przypadku będą to imiona rodziców i miejsce urodzenia. Choć Callista niekoniecznie musiała wrócić do domu, mogła być w kontakcie z rodzicami albo kimś, z kim dorastała. Wszystko jedno - w końcu był to jakiś trop!

Nie pozostawało wiele więcej do zrobienia. Gary Stoykavich grzebał w Minneapolis, próbując dowiedzieć się jak najwięcej o tamtejszym dwuletnim pobycie Callisty. Gus Woodburn szukał śladów w archiwum „Enquirer”, a podwykonawca firmy Lassitera w Maine szukał aktu urodzenia Callisty. Deva Collins pisała notatkę o religijnych studiach Baresiego i - jeśli nie zapomniała - znajdzie kogoś, kto będzie umiał wyjaśnić, co Baresi zdołał w dziedzinie genetyki.

Właśnie to przetrwał, kiedy zadzwonił jeden z chłopaków z działu badawczego z informacją, że „w drodze jest tona materiałów od Katza i Djammy”.

- A to kto taki?

- Firma public relations, która zajmowała się Callistą Bates.

- Miło, że zechcieli pomóc.

- Nie są całkiem bezinteresowni. Gość, z którym rozmawiałem, powiedział, że jeśli uda się nam ją odnaleźć, kryje się za tym masa forsy. Tristar chce ją mieć do biografii Grety Garbo, a Nicky Katz twierdzi, że może wytargować dla niej ośmiocyfrową gażę. Musiałem im obiecać, że jeśli czegokolwiek się dowiemy, damy znać.

Resztę dnia Lassiter spędził na spotkaniach z pracownikami szczebla kierowniczego i konsultacjach z prawnikami, podczas których zajmowano się głównie tym, co ujęto w kontrakcie sprzedaży firmy „małym drukiem”. Gdziekolwiek się ruszył, Buck szedł dwa kroki za nim i rozglądał się wokół, jakby gabinet Lassitera był wielki jak Dealey Plaza. Obecność ochroniarza denerwowała ludzi, Lassiter nie wyjaśniał jednak, kim jest Buck, czerpiąc perwersyjną przyjemność z jego nieustannej obecności.

Kiedy mniej więcej o szóstej weszła Deva Collins i - rumieniąc się lekko - położyła mu na biurku kilka kartek, był już zmęczony.

- Ta-daa! - powiedziała triumfująco.

- Co to? Natychmiast się strapiła.

- Moja informacja.

- Twoja „informacja”? Deva zaczerwieniła się.

- O Ignaziu Baresim.. o jego wkładzie w nauki religijne.

- Ach tak! - Lassiter potarł oczy. - Świetnie! - Próbował powiedzieć to entuzjastycznie, ale był za bardzo zmęczony. W tej chwili miał jedynie ochotę iść do domu, napić się czegoś i obejrzeć ze swoim nowym kumplem Buckiem kolejny film z Callistą Bates.

Popatrzył na notatkę. Pięć albo sześć stron.

Jego zainteresowanie rozwikłaniem zagadki - a dotyczyło to także związku Baresiego z Umbrą Domini i morderstwami - zaczęło maleć od momentu, gdy obejrzał *Szybki tor*. Teraz liczyło się tylko odnalezienie Callisty Bates i jej syna. Żywych albo martwych. Kiedy tego dokona, będzie mógł powrócić do szukania Grimaldiego i ustalenia przyczyny tego, co się stało.

Młoda kobieta sporo się jednak w końcu napracowała, toteż nie chciał sprawiać wrażenia niezadowolonego. Wziął więc notatkę, oparł podbródek na dłoni i zaczął czytać.

Ignazio Baresi (1927-1995): Wkład w bibliastykę

Raport przygotowała: C. Deva Collins *Dane biograficzne oraz spis publikacji*

Lassiter szybko przejrzał tę część. Baresi zaczął studia na Sorbonie w wieku trzydziestu siedmiu

lat, od uczestnictwa w kursach filozofii i religioznawstwa porównawczego. Po roku przeniósł się do Niemiec, na Uniwersytet Monasterski. A potem, już jako profesor wizytujący Harvard's School of Divinity*, nagle porzucił dziedzinę, którą się dotąd zajmował, i w 1980 roku powrócił do Włoch. Ale mimo krótkiego czasu trwania jego kariery jako religioznawcy wywarł znaczący wpływ na rozwój tej dziedziny nauki.

Potem była ułożona chronologicznie lista publikacji Baresiego. Lassiter szybko ją przejrzał, jego wzrok zatrzymał się jedynie na kilku tytułach: *Chrystus jako istota zasadniczo ludzka: dogmat czy dictum?* (1974)... *Kult bogini a Najświętsza Maria Panna* (1977). Był także tytuł jego jedynej książki: *Relikwia, totem i boskość* (1980).

BIBLISTYKA I CHRYSSTOLOGIA. Deva opisywała tu istotę tej dziedziny, która jej zdaniem od stu pięćdziesięciu lat koncentrowała się na „poszukiwaniu historycznego Jezusa”. Naukowcy zajmowali się odkrywaniem mitów oraz analizowaniem doktryn, narzuconych po „fakcie zbawienia”, by po ich usunięciu móc określić, które części Ewangelii są „weryfikowalnie prawdziwe”. Ale choć stosowano coraz bardziej skomplikowane metody badawcze, odpowiedź na pytanie: „Co można stuprocentowo potwierdzić, jeśli chodzi o życie i śmierć Jezusa?” - brzmiała: „Właściwie nie”.

PRACE BARESIEGO. Pierwsza opublikowana praca Baresiego, napisana jako magisterium, zajmowała się wpływem wydarzeń zewnętrznych na doktrynę kościelną. Baresi podkreślał, że upieranie się Kościoła przy ludzkiej, cielesnej naturze Jezusa wcale nie wynika z Ewangelii, lecz jest wynikiem odporu, jaki musiano dać pewnej chrześcijańskiej sekcji, twierdzącej, że Jezus może mieć wyłącznie boską naturę. W Ewangelii niewiele mówi się o urodzeniu Chrystusa (ledwie wspomina się o Marii), tak samo niezbyt szczegółowo przedstawia się jego cierpienia. Doktrynalne upieranie się przy tym, że Jezus przyszedł na świat jako człowiek, zmarł jako człowiek i odczuwał ból jak człowiek, można prześledzić w sztuce chrześcijańskiej. Choć nie istnieje „wczesna” sztuka chrześcijańska - pierwsi chrześcijanie wychowali się w tradycji semickiej, zabraniającej tworzenia wizerunków - gdy zaczęła się ona rozwijać, przedstawienia Chrystusa szybko się zmieniały: od radosnego, „słonecznego” młodzieńca, otoczonego promieniami (IV w. n.e.) do Chrystusa cierpiącego, przybitego gwoździami do krzyża i krwawiącego z ran (VII w. n.e.).

Deva podkreśliła fakt, że choć praca ta mieści się jeszcze w ramach tradycji biblistyki, późniejsze prace Baresiego gwałtownie od niej odstąpiły. We wstępie do swojego drugiego znaczącego artykułu doktor zaznaczył swój brak zainteresowania kierunkiem, w jakim idą badania Biblii. Napisał w nim: „podczas gdy moi koledzy zajmują się zrywaniem kolejnych warstw masy perłowej w celu dotarcia do nieredukowalnego ziarna w środku, czynnika podrażniającego, który spowodował powstanie chrześcijaństwa, ja bardziej jestem zainteresowany całą tą wspaniałą perłą i nieustannie żywym pasmem wiary”.

Były to podwaliny „synkretycznej” teorii chrześcijaństwa Baresiego - według której Kościół katolicki rozwinął się tak szybko przede wszystkim dzięki temu, że potrafił wchłaniać elementy innych systemów religijnych. Doktor podkreślał jednak, że jeśli Kościół chce się dalej rozwijać, musi pozostawać otwarty na wpływy „przeciętnego wiernego”.

Kilka artykułów Baresiego na ten temat zostało skrytykowanych jako przeróbki wcześniejszych publikacji dotyczących badań z zakresu religii porównawczej, ale jego zwolennicy uważali je za otwarcie nowego kierunku w biblistyce. W swoich pracach doktor Baresi szczegółowo przedstawił wchłanianie przez chrześcijaństwo różnych praktyk z innych systemów religijnych.

SZTUKA. Powstanie sztuki religijnej było wynikiem dotarcia chrześcijaństwa z jego historycznej

bazy w Palestynie do Rzymu, w którym dominowała starożytna sztuka pogańska. Ale sztuka chrześcijańska rozwijała się bardzo szybko - między innymi prawdopodobnie dlatego, że w którymś momencie przywódcy Kościoła dostrzegli jej użyteczność jako instrumentu propagandowego, służącego „rozpowszechnianiu wiary”.

PIELGRZYMKI. Baresi przyrównywał akt pielgrzymowania do świętych miejsc, które stały się powszechnie znane bardzo wcześniej (już w IV w. n.e.), do rytuałów animistycznych oraz prymitywnego kultu krewnych i przodków.

NAJŚWIĘTSZA MARIA PANNA A KULT BOGINI. Wyniesienie Najświętszej Panienki, niemal nie wspominanej w Ewangeliach, na tak znaczącą pozycję, również odzwierciedla wpływ prymitywnych systemów wiary, opartych na „kulcie bogini” i „kulcie płodności”. Maria jest chrześcijańskim wariantem takich mitycznych postaci jak Isztar, Kybele czy Demeter.

NARODZENIE CHRYSYUSA. Zdaniem Baresiego opowieść, w której światło jasnej gwiazdy zapowiada narodziny Pana, zawiera elementy różnych tradycji religijnych, koncentrujących się wokół Słońca (np. mitraizm) oraz Księżyca.

RELIKWIA, TOTEM I BOSKOŚĆ. W książce tej Baresi przeanalizował rozwój kultu męczenników i świętych w chrześcijaństwie, co doprowadziło do powstania powszechnej wiary w moc relikwii, oraz stwierdził, że niemal na pewno kult ten miał swe korzenie w prastarych totemicznych i animistycznych systemach religijnych.

Totemy i fetysze różnią się od relikwii, choć wszystkie dają ich posiadaczowi moc. Totemy i fetysze są symboliczne, relikwie zaś to autentyczne szczątki ludzi uważanych za świętych albo przedmioty uświęcone kontaktem z „ciałem świętego”.

Totemy i fetysze mają często związek ze zwierzętami i obydwa przekazują ich siłę plemieniu albo pojedynczej osobie. Zdaniem Baresiego prehistoryczne malowidła na ścianach jaskiń miały znaczenie totemiczne - zarówno honorowały zwierzęta, jak i „chwyciły” ich siłę.

Baresi przyrównywał wierzenia totemiczne i wiarę w relikwie do bardzo prymitywnych rytuałów - w których na przykład pito krew lwa, aby uzyskać jego siłę. Rytuały kanibalistyczne często obejmują spożywanie krwi i narządów wewnętrznych zgładzonego wroga w celu przejęcia jego siły i wchłonięcia duszy. Doktor analizował totemiczną moc obiektów rytualnych w wielu religiach i wyjaśniał występujące w niektórych kulturach przeniesienie wiary w posiadanie siły z przedmiotów na twory abstrakcyjne: słowa, zaklęcia oraz - szczególnie w judaizmie i islamie - litery i cyfry.

Druga część książki Baresiego zajmowała się relikwiami, zwłaszcza ich rolą w chrześcijaństwie. W czwartym wieku naszej ery wierzono, że relikwie mogą wypędzać demony, leczyć choroby i tak dalej. Ponieważ były reprezentacją mocy łatwo zrozumiałą dla przeciętnego człowieka, nic dziwnego, że ich popularność gwałtownie rosła. W dziewiątym wieku istniała już wyspecjalizowana dziedzina handlu - z centrum w Rzymie - zajmująca się sprzedażą relikwii w całej Europie. W średniowieczu każdy, nawet najmniejszy kościółek, musiał posiadać odpryski kości, ścinki paznokci albo zęby świętych i męczenników - często trzymane w kunsztownych relikwiarzach. Relikwie stanowiły przedmiot tak wielkiego pożądania, a wiara w ich moc była tak silna, że handlarze pilnowali osób, uważanych za święte - zwłaszcza jeśli były chore - i natychmiast po ich zgonie wkraczali do domów i obdzierali ich ciała do nagiej kości.

Jednak największą moc przypisywano relikwiom pochodzącym od Jezusa i Marii. Napletek Jezusa był przechowywany w wysadzanych drogimi kamieniami relikwiarzach w wielu kościołach - tak samo siano ze Żłóbka oraz włosy, pępowina, zęby mleczne, łyzy, krew i paznokcie małego Jezusa.

Wszędzie były włosy Marii, ampułki z mlekiem z jej piersi oraz kawałki skał, na które kapnęło mleko, powodując, że kamień stał się śnieżnobiały. Były też oczywiście relikwie z męki Chrystusa: ciernie z korony i cała Korona Cierniowa (w Sainte Chapelle w Paryżu), trzy włócznie Longinusa, którą przebito Jezusowi bok, fragmenty szat, nasączonych potem Chrystusa, w tym również chusta, którą miał owiniętą głowę, oraz sławny Całun Turyński. Istniały odpryski marmurowej płyty, którą zasłonięty był grób Chrystusa, płótno, w które owinięto Go po śmierci, Jego sandały i każdy możliwy do wyobrażenia przedmiot, jaki mógł znaleźć się w kontakcie z ciałem Chrystusa. (Nie było oczywiście zębów ani kości - czyli zwykłych relikwii - ponieważ zostały wzięte do nieba).

Doktor wymieniał wiele cudów przypisywanych różnym relikwiom i próbował prześledzić ich pochodzenie. Choć istniało mnóstwo falsyfikatów - z samych drzazg z Krzyża dałoby się zbudować dowolną liczbę stodół - wiara w moc relikwii jest tak prastara i wynika z tak pierwotnych instynktów, że pogląd, iż może nie być relikwii związanych z Chrystusem, budził powszechne oburzenie. Baresi argumentował, że jeśli współcześni ludzie tak łatwo potrafią uwierzyć, że coś tak ulotnego i niematerialnego jak wizja Marii Panny może wskazać źródło leczniczej wody - czego dowodzą pielgrzymki do Lourdes - to raczej mało prawdopodobne, by liczni wyznawcy Jezusa nie zachowali świętych pozostałości po tym, kto był żywym Bogiem.

Baresi kończył stwierdzeniem, że rytuał eucharystii, w którym symboliczne wino i chleb są przemieniane w Krew i Ciało Chrystusa, to również praktyka oparta na prymitywnej animistycznej wierze w moc relikwii. Transsubstancjacja nie jest niczym innym jak duchowym przemianieniem symbolicznej relikwii (wina) w rzeczywistą relikwię (krew).

(Uwaga: Panie Lassiter, większość zawartych tu informacji pochodzi z pracy doktorskiej studentki z Georgetown, napisanej w 1989 roku. Autorka nazywa się Marcia A. Ingersoll i jeśli pan chce, mogę dać panu jej adres. Deva).

33

Podczas następnego tygodnia nie odkryli niczego, co by choć trochę posunęło sprawę naprzód.

Podwykonawca w Auguście przekazał, że 8 marca 1962 roku w stanie Maine nie urodziła się żadna Marie A. Williams.

- Mogła zmienić nazwisko - zasugerował - ale jeśli to zrobiła, nic nie poradzimy. Zmiany nazwisk nie są rejestrowane w taki sposób, by dało się prześledzić, z jakiego nazwiska na jakie dokonano zmiany - nie mogę sprawdzić wszystkich dziewczynek urodzonych ósmego marca sześćdziesiątego drugiego. Mogę jednak - i właściwie już to zrobiłem - poszukać MARY Williams, gdyby przypadkiem miał pan złe imię.

- I co?

- Znalazłem siedemnaście urodzonych po roku dziewięćset pięćdziesiątym, cztery z nich mają drugie imię zaczynające się na A. Jednak żadna nie jest tą, której pan szuka: daty urodzenia nie pasują. Rok nie pasuje, nic nie pasuje.

Na tym był właściwie koniec. Nie odzywał się ani Gus Woodburn z „Enquirer”, ani Gary Stoykavich z Minneapolis. Jedyna nowa informacja została dostarczona przez chłopaka z działu badawczego, który przyszedł z kartonowym pudełkiem, zawierającym zestawienie danych o Calliście Bates, uzupełnione materiałem od agencji Katz & Djamma. Była to chaotyczna kompilacja danych zebranych z Internetu, gazet, czasopism, filmów, zdjęć, fanzinów, scenariuszy i transkryptów. Znajdowało się tu również zeznanie Callisty z procesu przeciwko człowiekowi, który ją zaatakował

w domu, a także wywiady udzielone „Rolling Stone” i „Premiere” oraz w programie „60 minut”. Chłopak zaczął się usprawiedliwiać.

- Próbowaliśmy uporządkować jakoś ten materiał, ale nie wiedzieliśmy, czego pan szuka... - Wzruszył bezradnie ramionami i dodał: - Tak więc ułożyliśmy wszystko chronologicznie.

- Nie szkodzi - uspokoił go Lassiter. - Sam nie wiem, czego szukam, i nie dowiem się, póki się na to nie natknę. Chyba po prostu będę musiał przeczytać wszystko po kolei.

Tak też zrobił. Przeczytał wszystko o Calliście Bates - od dekonstrukcjonistycznych przeglądów w „Cinema Aujourd’hui” po sensacyjne (i spekulatywne) rozważania brukowców na temat jej życia miłosnego. Dowiedział się, jakie wpływy uzyskał każdy jej film, jaki jest jej ulubiony kwiat (kwiat marchwi siewnej), ulubiona działalność dobroczynna (Towarzystwo Ochrony Zwierząt) i co sądzi o pokarmach biodynamicznych. Mógł wyliczyć wszystkie sytuacje, w których ją „widziano”, a ich wachlarz był bardzo szeroki: od studia muzycznego w Muscle Shoals po melinę opiumową w Chiang Mai - i obejmował niemal cały świat. („Umiera w szwajcarskiej klinice na zniekształcającą twarz i ciało chorobę!”, „Mieszka jako klaryska w Kalkucie!”). Wkrótce - choć pozostało mu jeszcze wiele do przeczytania - miał wrażenie, że wie wszystko o Calliście Bates - poza tym, gdzie się urodziła, gdzie mieszka i jak się obecnie nazywa.

Wieczorami oglądał filmy. Obejrzał je wszystkie - z Buckiem i Pico - rozciągnięty na podłodze w salonie. Z powodu śniegu i lodu na ulicach bieganie stało się praktycznie niemożliwe, zaczął więc ćwiczyć ze swoimi opiekunami unoszenie tułowia. Nie był szczęśliwy z tej zamiany.

Wiedział jedno o Calliście: była kameleonem i prawdopodobnie dlatego udało jej się tak skutecznie zniknąć. Jakąkolwiek grała rolę, wydawało się, że taka jest naprawdę - bez względu na to, w co ją ubrano i kogo kazano grać.

Może właśnie to czyniło z niej wielką aktorkę - a może co innego. Wokół Callisty Bates zawsze robiono wiele szumu, a jej gwiazda świeciła aż do chwili, gdy - jak wiele innych aktorek - nagle zniknęła w gwałtownym jaskrawym wybuchu, dołączając do konstelacji tych, co przedwcześnie zmarli.

Albo zaginęli.

Mimo wszystko, myślał Lassiter, w przypadku Callisty ten szum był uzasadniony. Była wspaniałą aktorką. Nigdy nie widziało się, jak pracuje machina filmowa, ani nie miało się wrażenia oglądania „przedstawienia” - aż do końca, a wtedy człowiek stwierdzał, że przez dwie godziny nie odrywał od niej oczu. Uwagę przykuwała nie tylko jej uroda. Wręcz przeciwnie - jej atrakcyjność była często przysyłana rolami, jakie grała: punkowej, ćpającej minstrelki w *Pippie*, rozpaplanej gospodyni domowej w *Dziennej lilii* czy sztywnej pani naukowiec w *Deszczu meteorów*.

Rozmyślając nad tym, przypomniał sobie nagle, że ma zadzwonić do Davida Torgoffa. Był on konsultantem, z którego usług firma Lassiter Associates korzystała podczas śledztw, kiedy pojawiały się kwestie dotyczące DNA. „Chodzący oksymoron” - jak go nazywano - był profesorem mikrobiologii w MIT i wslawił się umiejętnością prostego przedstawiania skomplikowanych naukowych zagadnień. Jeśli to była prawda, mógł przeprowadzić Lassitera przez polisylabyczną mgłę badań Baresiego z zakresu genetyki.

Joe przeszukał biurko i właśnie znalazł numer Torgoffa, gdy zadzwoniła Victoria.

- Dzwoni pan Coppi. Z Rzymu. Lassiter nie miał pojęcia, kto to taki.

- Połącz. Po chwili w słuchawce rozległ się nieznamy głos:

- Pan Lassiter? Pan Joe Lassiter?

- Tak?

- Proszę mi wybaczyć, ale... muszę się upewnić, że rozmawiam z właściwą osobą. Czy jest pan Joem Lassiterem, który niedawno gościł w „Pensione Aquila” w Montecastello di Peglia?

Między obydwoma krajami na długą chwilę zawisło milczenie. Lassiter czuł, jak do krwi napływa mu adrenalina.

- Kim pan jest?

- Przepraszam, panie Lassiter. Nazywam się Marcello Coppi i jestem adwokatem z Perugii.

- Mm-hmnnn...

- Dostałem pański numer telefonu od znajomego z *carabinieri*.

- Rozumiem. O co chodzi?

- Obawiam się, że mam niemiłe wieści.

- Panie Coppi... proszę... Włoch odchrząknął.

- Policja zamierza wkrótce złożyć do sądu akt oskarżenia przeciwko panu o morderstwo... sekundę... Giulia Azettiego i Vincenza Yaresego.

Lassiter czuł, jak z jego płuc uchodzi całe powietrze.

To absurd! Gdybym zamierzał zabić Azettiego, po co miałbym mówić, że idę na spotkanie z nim? Nie żył już, kiedy go znalazłem!

- Nie wątpię w pańską niewinność, panie Lassiter, ale odradzałbym omawianie szczegółów linii obrony przez telefon. Celem mojego telefonu jest zasugerowanie, że w pańskim interesie byłoby dysponowanie przedstawicielem prawnym - tutaj, we Włoszech... i zaoferowanie moich usług.

Lassiter wziął głęboki wdech, po czym wypuścił powietrze w kierunku sufitu.

- Zapewniam, że mam najlepsze referencje, panie Lassiter. Gdyby się pan skontaktował z amerykańską ambasadą...

- To nie do wiary!

- Tak, zgadzam się. To dość niezwykle. Właściwie policja powinna przeprowadzić rozmowę z panem w Waszyngtonie, ale w tym przypadku... Powiedziano mi, że zaraz po tym, jak sąd postawi pana w stan oskarżenia, policja złoży wniosek o ekstradycję.

- Dlaczego?

- Nie wiem. Może z powodu nacisków...

- Aha... domyślam się, skąd te naciski pochodzą. Proszę posłuchać: obecna chwila nie jest dla mnie najlepsza, by być gdziekolwiek ekstradowanym...

- Czy to ma być żart?

- Tak. Sens jest jednak taki: czy gdyby reprezentował mnie pan we Włoszech, mógłby pan opóźnić procedurę?

- Nie wiem. To możliwe, oczywiście, ale...

- Musiałby pan dostać zaliczkę.

- Cóż... no tak, oczywiście.

Ustalili sumę i Coppi obiecał informować Lassitera na bieżąco o rozwoju wypadków, a Lassiter przyrzekł znaleźć sobie adwokata, który reprezentowałby go w Stanach. Wymienili pożegnalne grzeczności, po czym Lassiter odłożył słuchawkę, opadł na oparcie i zaczął mruzczyć „pieprzeni... pieprzeni...” - dopóki do gabinetu nie zajrzała Victoria.

- Joe?

- Wejdz.

Podeszła do biurka i podała mu kopertę Federal Express.

- Z „National Enquirer”. Właśnie przed chwilą przyszło.

- O! Świetnie. Dziękuję.

Zaczął otwierać kopertę, a Victoria odwróciła się do drzwi, zaraz jednak stanęła.

- Hmm... Lassiter podniósł głowę.

- Tak?

- Byłam ciekawa...

- Czego?

- Chodzi o Bucka. Lassiter prychnął.

- Wszyscy są ciekawi, ale o co konkretnie chodzi?

- Hm... byłam tylko ciekawa, czy... jest żonaty... Lassiter zmarszczył czoło.

- Nie wiem. Nigdy o tym nie rozmawialiśmy. Chcesz, żebym go o to spytał?

- Nie - odparła Victoria i zaczerwieniła się. - Nieważne. - Zamknęła za sobą drzwi.

Lassiter objął głowę dłońmi. Włochy zapowiadały się na katastrofę. Nie chodziło o wygranie sprawy w sądzie. Był pewien, że by mu się to udało - gdyby doszło do procesu. Nigdy jednak do niego nie dojdzie - wiedział, że jeśli zostanie wydany Włochom, zginie w tamtejszym więzieniu.

Chyba że przedtem unieszkodliwi przeciwnika.

Podniósł głowę, usiadł wygodnie i zaczął bębnić palcami w blat. Co robić? Nie tracić zimnej krwi. Dopóki nie zrobi się gorąco. A potem wiać, ile sił w nogach.

Koperta od Gusa zawierała notkę oraz zdjęcie formatu dwadzieścia na dwadzieścia cztery, ukazujące śmiejącą się kobietę, która uklękła, by zapiąć suwak kurtki chłopcu. Zostało zrobione pod McDonaldem, gdzieś, gdzie było zimno: na ziemi leżały sterty przybrudzonego śniegu, na drugim planie widać było zaparkowane samochody i góry. Lassiter patrzył na kobietę i myślał: to ona, prawdopodobnie ona. Nie był jednak pewien. Widział tylko jej profil na trzy czwarte, w dodatku trochę nieostry. Zdjęcie było najwidoczniej powiększeniem i... mogła to być ona, ale tak samo mogłaby to być inna, podobna do niej kobieta.

Jednak to musiała być ona albo jej siostra - dowodziła tego obecność chłopca. Stał przed kobietą z czapką narciarską w jednym ręku i Big Makiem w drugim. Jego włosy były plątaniną ciemnych loków i zdawał się patrzeć w obiektyw z dna studni.

„A to jest Jesse” - powiedziała. Pamiętał to doskonale i równie dobrze pamiętał, że przedstawiła mu się z nazwiska. Stała tuż obok, dwa metry od grobu Kathy i przedstawiła się. Nazywała się...

Uciekło mu. Całkowicie uciekło mu to z głowy. Westchnął z rozczarowaniem i zaczął czytać dołączoną do zdjęcia notkę.

Joe.

Poszukiwacze Callisty twierdzą, że to ona, ale co oni wiedzą? Przesłano to do nas rok temu, jednak koperta rozplynęła się w niebycie gdzieś między punktem przyjmowania listów a moim biurkiem. Nie wiemy więc, kto zrobił zdjęcie ani gdzie, ale jeśli ci w czymś pomoże... (Wygląda na to, że ma dziecko! Owoc miłości? Obiekt szantażu? Jeśli się czegoś dowiesz, daj znać!)

Gus

Lassiter miał w biurku szkło powiększające i wyjął je, by dokładniej przyjrzeć się zdjęciu. Callista i Jesse byli na pierwszym pianie, restauracja tuż za nimi, z lewej stało zaparkowanych kilka samochodów, w głębi - daleko - wznosiły się góry.

Gdyby zdjęcie zrobiono pod nieco innym kątem, dałoby się odczytać numery rejestracyjne

samochodów - wtedy można by spróbować ustalić, gdzie cyknięto fotkę. Fotografujący tak jednak wykadrował ujęcie, że widać było na nim tylko górne części aut.

Mimo wszystko na zdjęciu była pewna wskazówka: przez szkło powiększające widać było, że zbrocza gór w tle pocięte są siateczką śladów pozostawionych przez narciarzy. Może któryś z czterdziestu ludzi w biurze rozpozna to miejsce? Zadzwoił do Victorii i poprosił, by przyszła.

- Robimy konkurs - powiedział i podał jej zdjęcie. - Kto mi powie, gdzie zrobiono to zdjęcie, wygrywa weekend w Nowym Jorku na dwie osoby z pokryciem wszystkich kosztów.

Victoria popatrzyła na zdjęcie.

- Skąd mieliby to wiedzieć?

- Gdybym znał odpowiedź, nie ogłaszałbym konkursu. Pomyślałem sobie, że może powinnaś zwrócić im uwagę na trasę narciarską w tle. Może ktoś ją widział.

- Jaką trasę narciarską?

- Tutaj. Tuż za restauracją. Widać ślady nart.

- To rozmazanie.

- To nie jest rozmazanie. Ktoś, kto jeździ na nartach, od razu to zauważy.

- Jeżdżę na nartach i mówię ci, że to rozmazanie.

Lassiter skrzywił się.

- Zrób trochę odbitek i rozdaj je, dobrze? Nigdy nic nie wiadomo. Victoria wzruszyła ramionami.

- Oukkkejjj... - powiedziała śpiewnie i poszła do kopiami.

Wieczorem Lassiter zjadł chińszczyznę na wynos i splukał ją zbyt wieloma chińskimi piwami. Po raz trzeci obejrzał *Deszcz meteorów* i położył się, myśląc: będę potrzebował adwokata. Kolejnego adwokata, poprawił się po chwili. Kogoś, kto dołączy do kontyngentu radców prawnych reprezentujących firmę, wesprze wysiłki prawników, finalizujących umowę z Amexem, kogoś, kto w tandemie z Marcellem Coppim zajmie się amerykańską częścią jego problemów - krótko mówiąc, potrzebował specjalisty od prawa kryminalnego. Wiedział, że to zły znak, kiedy liczba adwokatów zaczyna przekraczać liczbę przyjaciół...

Rano zatrzymał się w drodze do pracy w pralni, by odebrać koszule i skórzaną kurtkę. Ku swojemu zaskoczeniu zobaczył, że do kieszeni kurtki przypięto kopertę: list Baresiego do ojca Azettiego. Podczas ucieczki z Montecastello całkowicie o nim zapomniał. Obejrzał go pobieżnie i wsunął do kieszonki koszuli. Kiedy buick toczył się GW Parkway w kierunku mostu Key, Lassiter czytał „Washington Post”. Pico i Buck siedzieli z przodu i cicho rozmawiali. W którymś momencie Buck nagle się odwrócił,

- Mamy problem.

- Bez jaj - burknął Lassiter.

- Naprawdę. Od dwóch dni ciągniemy za sobą ogon. Lassiter podniósł głowę znad gazety i odruchowo spojrział przez ramię. Jechały za nimi tysiące samochodów.

- Nic nie widzę. Jest szczyt.

- Buck ma rację - stwierdził Pico. - Zeszłej nocy pod domem stał samochód.

- Całą noc - uściślił Buck.

- Kiedy poszliśmy do pralni, wjechali na stację benzynowe po drugiej stronie ulicy. Moim zdaniem jeżdżą za nami od wczoraj rano.

Lassiter opuścił gazetę.

- Dlaczego nie wezwiecie glin?

Buck wzruszył ramionami.

- r - Wezwać gliny? To właśnie są gliny.

- Skąd wiesz?

- Mają tablice Biura - wyjaśnił Pico. - Miasto wydaje je hurtem, więc numery idą po kolei.

Wszystko wiadomo na kilometr. Jakby wozili ze sobą dzwonek.

- DING-DONG! - zilustrował to onomatopeicznie Buck. Pico się roześmiał.

- "Tu Radio Kolor!". Tyle że oni krzyczą: „Delegatura waszyngtońska!”.

Lassiter wziął głęboki wdech, zamknął oczy i wypuścił powietrze.

- Czy powinniśmy o czymś wiedzieć? - spytał Buck. Lassiter pokręcił głową.

- Miałem problem we Włoszech. Podejrzewam, że to jego dalsza część.

Kiedy dojechali do firmy, Pico pojechał zaparkować w garażu podziemnym, a Buck poszedł z Lassiterem na górę. Gdy otworzyły się drzwi windy i wysiedli, ochroniarz szesał włosy do tyłu i ni stąd, ni zowąd powiedział:

- Ta Victoria... niezła dziewczyna, co?

Po wejściu do gabinetu Lassiter natychmiast podszedł do okna i wyjrzał. Po drugiej stronie ulicy, na zakazie parkowania, stał - aż prosząc się o mandat na pięćdziesiąt dolarów - niebieski taurus. Nie było widać, czy ktoś w nim siedzi, ale z rury wydechowej wydobywała się cienka strużka dymu. Lassiter zgrzytnął zębami, zaciągnął zasłony i podszedł do biurka.

Leżała na nim owinięta w szary papier paczka. Spojrzał na adres zwrotny: Instytut Światła. Rozerwał papier.

W środku znajdował się całkiem przyzwoity - choć nie w idealnym stanie - egzemplarz *Relikwii, totemu i boskości*. Brakowało obwoluty, wiele kartek miało ośle uszy, ale książka wyglądała ciekawie. W środku znajdowały się czarno-białe reprodukcje, przedstawiające tak mało znane malowidła, jak *Wysłannik Abgara otrzymuje od Chrystusa płótno z podobizną Chrystusa, Miasto Hierapolis, Maria karmiąca Jezusa piersią* czy *Rzeź niewiniątek*.

Ostatnie malowidło, przypisywane pomorskiemu (gdańskiemu?) rniistrzowi, datowane na lata 1490 - 97, było częścią dzieła o nazwie *Tryptyk jerozolimski*. Według towarzyszącego reprodukcji tekstu, obraz ukazywał sadyzm dręczycieli Chrystusa oraz metafizyczny ślub Chrystusa ze świętą Weroniką.

Lassiter zaczął przerzucać kartki.

W pierwszym rozdziale omawiano genezę kultu relikwii i ikon. Przeciwstawiano judaizm kulturze greckiej, którą Baresi określał jako politeistyczną, osiadłą i ikoniczną - miał na myśli to, że Grecy organizowali swoje życie wokół miast-państw i sztuki przedstawiającej. Natomiast judaizm był definiowany jako „monoteizm lingwistyczny”, religia nomadów, dla których najważniejsze było słowo, nie obraz. Chrześcijaństwo traktowano jak sektę żydowską, jak odstępców. Z biegiem czasu stawało się coraz bardziej ikoniczne, aż wreszcie - około 325 r. n.e. - zaczęły pojawiać się pierwsze wizerunki Chrystusa.

Rozdział drugi - „Krew i gnoza” - poświęcony był stosunkowi chrześcijan i żydów wobec fizjologii człowieka, zwłaszcza wobec menstruacji, czy - jak to wtedy nazywano - „miesięcznego krwawienia”. Lassiter czytał, kiedy zadzwonił Riordan.

- Coś się pojawiło - oświadczył bez wstępów. Lassiter odłożył książkę.

- Co? Pielęgniarka zaczęła mówić?

- Nie, pielęgniarka nie mówi. Pielęgniarka się modli. Odmawia różaniec za różańcem.

- Więc co? Znalazłeś Grimaldiego?

- Nie, choć chyba wiem, jak się urwał. A nie wygląda to dobrze.

- Co masz na myśli?

- Dostaliśmy spis rozmów, które przeprowadzono z domu w Emmitsburgu w ciągu ostatnich sześciu miesięcy. Sprawdzamy, z kim rozmawiali... może w ten sposób się dowiemy, gdzie udał się pan Grimaldi.

- Dobry pomysł.

- Pewnie. No więc wziąłem tę listę i zacząłem sprawdzać numery przy użyciu Criss-Crossa, bo to kilkaset numerów.. i wiesz co?

- Jimmy...

- Zgadnij!

- Prowadzili sekstelefon.

Riordan wydał z siebie nosowe D0111NG, całkiem niezłe imitujące sygnał, pojawiający się w telewizyjnych show po podaniu błędnej odpowiedzi.

- Źle! Jest mnóstwo rozmów do pewnego domu w Potomacu. Nie musisz zgadywać, do kogo należy. - Dziękuję.

- Bo nigdy byś nie zgadł. Ten szczególny dom należy do naszego wspólnego przyjaciela... Thomasa Drabowsky'ego.

Lassitera zatkąło. Przez chwilę siedział nieruchomo i tarł oczy.

- Tego gościa z FBI? - spytał w końcu.

- Tak.

- Uważasz, że Grimaldi dzwonił do Drabowsky'ego?

- Nie, nie, nie! Rozmowy, o których mówię, są stare... odbyły się, zanim Grimaldi pojawił się na scenie. Sierpień, wrzesień, październik... urywają się po aresztowaniu Grimaldiego.

- Więc... o co chodzi?

- Niemal wszystkie rozmowy prowadzono w weekendy albo w nocy, podejrzewam więc, że chodziło o sprawy osobiste. Nadążasz?

- Nie bardzo.

- Pojechaliśmy z Derekiem do Emmitsburga...

- Z Derekiem?

- Tak, wrócił do sprawy. No więc pojechaliśmy tam i zacząłem po kolei rozmawiać z mieszkańcami. Czwarta osoba - ten taki myszowaty - mówi: „O, to moje rozmowy. Rozmawiałem z Thomasem”. Ja na to: „Czyżby? A mógłby pan powiedzieć o czym?”. Na to on: „Oczywiście. Rozmawialiśmy o działaniach zewnętrznych. Thomas pomaga nam w weekendy w schronisku i kuchni dla bezdomnych. Jest święty”. No to ja: „Czyżby? A kim jest ten Thomas?”. Ten mi na to: „Zwykłym członkiem, jak każdy z nas”...Członkiemczego?”- pytam. „Umbry Domini. Nowicjuszem”. No to ja: „A kim jest ten Thomas w normalnym życiu, kiedy nie pomaga biednym?”. Facet mi na to: „Nie wiem. Nie rozmawiamy o naszym życiu świeckim”. - Riordan wybuchnął śmiechem. - Gość rozmawia z detektywem z wydziału zabójstw i mówi: „Nie rozmawiamy o naszym życiu świeckim!”. Jesteś w stanie w to uwierzyć?

Lassiter długo się nie odzywał.

- Więc co się, twoim zdaniem, wydarzyło? - spytał w końcu.

- To jasne. Nie umiem tego udowodnić, ale wiem. Kiedy Grimaldi leżał w szpitalu, rozpuszczono

wici. Jak pamiętasz, zaraz potem na oddziale poparzeń Fairfax General pojawiła się Juliette. Kiedy przenoszono Grimaldiego, pomogła mu uciec i sama ukryła się w Emmitsburgu.

- To już wiemy.

- Słuchaj dalej! Potomac nie jest jedynym miejscem, gdzie dzwoniли. Dzwonili do Włoch. Telefon z Emmitsburga do Neapolu... chyba coś ci to mówi! Wiesz, do kogo dzwoniли?

- Nie muszę zgadywać.

- Właśnie, Grimaldi dzwonił do kwatery głównej Umbry Domini. Sprawdziłem.

- Czy to nie było... bo ja wiem... ryzykowne?

- Dlaczego? To ich dom i jeśli od czasu do czasu dzwonią do centrali, co w tym zakazanego? Ale ciekawa jest zbieżność w czasie. Pierwszy telefon miał miejsce dzień po bryknięciu Grimaldiego ze szpitala, więc moim zdaniem składał raport.

- Zgadzam się.

- Następnym telefon miał miejsce dwa tygodnie temu... tuż po rozpoczęciu obserwacji.

- Emmitsburg zadzwonił do Neapolu?

- Właśnie. Moim zdaniem musieli zauważyć nadzór. Co nie było zbyt trudne, bo w końcu nie ma tam wielkiego ruchu.

- Więc Grimaldi zadzwonił do Neapolu i...

- Bibbity-bobbity-bum! Sprawę przejmuje Drabowsky. THOMAS, spec od „działań zewnętrznych”. Nadzór znika. I znika Grimaldi.

Lassiter zastanawiał się nad tym przez chwilę.

- Co zamierzasz? - zapytał w końcu.

- Co zamierzam? Powiem ci, co zamierzam. Schowam się do torebki mamusi i zasunę od środka suwak. Potem nadam się na pocztę na Marsa... dokładnie tak zrobię!

- Mówię poważnie.

- Ja też. Spójrz na to z mojego punktu widzenia: za trzydzieści cztery dni idę na emeryturę. Nie potrzebuję tego gówna! W dodatku niczego nie jestem w stanie udowodnić. To tylko spekulacje.'

- Nie! Masz przecież rachunki telefoniczne!

- Tak, ale nie zdradzają treści rozmów! Zgadujemy. A jeśli chodzi o Drabowsky 'ego, nie wolno nam wykorzystywać przeciwko niemu religii, jaką wyznaje. Pomyśl o tym. Co mam powiedzieć? „Aresztujcie go, bo karmi bezdomnych”? Żartujesz? Nie wspominając już o tym, że nie jest w Biurze szeregowym żołnierzem. Jest generałem brygady. Zadrzesz z nim, to z pewnością będziesz miał kłopoty. - Riordan westchnął i zamilkł. Po chwili zapytał: - A co z tobą? Masz coś dla mnie?

- Nie - odparł Lassiter, coś sobie jednak przypomniał. - Może.

- Może? Co znaczy to „może”?

- Mam list... od Baresiego.

- Napisał do ciebie?

- Nie, to list do księdza. Kiedy go przetłumaczę, przyślę ci kopię.

Gdy Riordan się rozłączył, Lassiter zaczął zastanawiać się nad Drabowskim. Jego myśli nie były wesołe. Jeśli ktokolwiek mógł znaleźć Callistę Bates, to tylko Biuro. A jeśli ktoś z Biura chce mu przysrać, z łatwością może to zrobić.

Zahuczał interkom.

- Na zewnątrz jest Dick Biddle. Chcesz go zobaczyć? - spytała Victoria.

- Jasne. Przyślij go.

Biddle był starszym panem, który przyszedł do nich pięć lat temu, po przejściu na emeryturę w departamencie stanu. Był wysoki, szczupły i miał patrycjuszowski wygląd. Zawsze nosił ciemnoszare garnitury, burgundowe krawaty i drogie spinki do mankietów. Palił papierosa za papierosem i miał denerwujący zwyczaj niestrząsania popiołu tak długo, aż wszyscy wokół koncentrowali się głównie na tym, kiedy spadnie.

Wszedł do gabinetu z zapalonym papierosem, usiadł, skrzyżował nogi i położył na biurku zdjęcie formatu dwadzieścia na dwadzieścia cztery. Papieros dymił kilka centymetrów od jego ucha. Lassiter zauważył, że popiół ma prawie dwa centymetry. Ciekawe, jak szedł, by go nie stracić?

- Zawsze lubiłem „Lowella”, ale słyszałem też wiele dobrego o „Peninsuli”. Każdy się nada.

- Do czego? - spytał Lassiter, patrząc na zdjęcie. Była to fotka z „Enquirera” z „chyba Callistą” przed McDonalodem w nieznannej miejscowości.

- Do przenocowania mnie w Nowym Jorku przez weekend. Wygrałem konkurs.

Zaciągnął się papierosem i Lassiter z fascynacją obserwował, jak siła ciężkości walczy z oporem słupka popiołu.

- Wiesz, gdzie to jest?

- Wiem - odparł Biddle i wypuścił ku sufitowi chmurę dymu.

- I... podzielisz się ze mną tą wiedzą?

- Oczywiście. To gdzieś w Mainey. Lassiter patrzył na niego z niedowierzaniem.

- „Gdzieś w Mainey”? Na przykład? Lillehammer? Biddle uśmiechnął się.

- Nie. Raczej Sunday River. Albo Sugarloaf. Jedno albo drugie, ale zdecydowanie Maine. - Znow się zaciągnął. Popiół wyglądał jak poziomy nawias.

Lassiter spojrzał na zdjęcie.

- Po czym to poznajesz?

- Jest tu śnieg. To pierwszy ślad.

- Aha...

- Jest ośrodek narciarski, a Maine ma niejednego.

- Tak...

- I są niedźwiedzie. Lassiter popatrzył na zdjęcie.

- Jakie niedźwiedzie? Tu nie ma żadnych niedźwiedzi.

- Są. - Biddle skinął głową w kierunku szkła powiększające go Lassitera. - Polarne.

Lassiter wziął szkło i zaczął się przyglądać zdjęciu.

- Gdzie?

- Na oknie furgonetki.

Lassiter spojrzał. Tylną szybę auta pokrywała warstwa soli i brudu i ktoś napisał na niej: UMYJ MNIE! - i obok: NAPRZÓD, WY NIEDŹWIEDZIE!

- Masz na myśli ten napis?

- Mam na myśli niedźwiedzia polarnego w dolnym prawym rogu.

Lassiter przysunął szkło powiększające do powierzchni zdjęcia, a potem je cofnął. Na szybie widać było białą owalną plamę.

- Chodzi o tę białą plamę? Nie możesz wiedzieć, co to jest!

- Niedźwiedź polarny. Galopujący.

- Skąd wiesz?

- Ponieważ chodziłem do Bowdoin. To moja *alma mater*. Znam tego niedźwiedzia.

- Mnóstwo szkół ma niedźwiedzie jako...

- Totemy.

- Właśnie. - Lassiter zaczął rozglądać się za popielniczką. Parabola popiołu na papierosie detektywa drżała.

- Zwykle są to niedźwiedzie brunatne, czarne albo grizzly. Kiedy uczniowie wiwatują, krzyczą: „Naprzód, Niedźwiedzie!” albo „Ura-ura, Niedźwiedzie!”. W Bowdoin jest inaczej. My mówimy: „Naprzód, WY Niedźwiedzie”. Nikt inny tak nie mówi.

- Daj spokój...

- Praktycznie to opatentowaliśmy. Właśnie dlatego mogę twierdzić, że biała plama, na którą patrzysz, to *Ursus maritimus*. Uwierz mi.

Lassiter opadł na oparcie fotela i odłożył szkło powiększające.

- Co nie dowodzi, że furgonetka znajduje się w Maine, a jedynie, że pochodzi z Maine. Więcej nic.

Biddle stuknął palcem w papieros i kiedy popiół poleciał na dywan, uśmiechnął się. Lassiter jęknął.

- Zakładam, że szukasz kobiety z tego zdjęcia - powiedział Biddle.

Lassiter kiwnął głową.

Starszy pan eleganckim łukiem postawił stopę na dywanie i wdeptał w niego popiół.

- Masz jakiś powód zakładać, że jest gdzieś indziej niż w Maine?

Lassiter pokręcił głową.

- Nie. Tak naprawdę właśnie tam się urodziła.

- Naprawdę? - Biddle wstał.

- Tak.

- No to w porządku. - Ruszył do wyjścia. - Mam rezerwować?

Lassiter ponownie wziął szkło powiększające i po raz setny przyjrzał się zdjęciu. Kiedy je odłożył, powiedział:

- Rezerwuj. Dobrej zabawy.

Gdy drzwi się zamknęły za Biddle'em, podszedł do okna i wyrzwał. Niebieski taurus stał tam gdzie przedtem. Wrócił do biurka i zadzwonił do Victorii.

- Przyślij do mnie Bucka. I powiedz Freddy'emu, że chcę się z nim widzieć.

Potem zadzwonił do Bostonu, do poleconego mu przez Devę genetyka. Podniesiono słuchawkę po pierwszym dzwonku.

- *Was ist?*

No proszę, naprawdę proste słowa.

- Doktor Torgoff? David Torgoff?

- Tak?

Weszli Buck i Freddy i Lassiter dał im ręką znak, by siadali.

- Mówi Joe Lassiter... z Waszyngtonu.

- O! Przepraszam. Myślałem, że to mój partner od racquetballu. Lassiter uśmiechnął się.

- Jest Niemcem?

- Nie. To taka... zabawa. Trudno to wyjaśnić. Żeby zrozumieć, musiałby pan tu być.

- Właściwie zamierzam do pana przyjechać, dlatego dzwonię. Będę dziś po południu w Bostonie i miałem nadzieję, że... gdyby miał pan w sobotę trochę czasu...

- Chyba nic z tego, ale możemy się spotkać w niedzielę. Może być wczesnym popołudniem? Koło drugiej?

- Druga jest świetna. - Lassiter zapisał, jak dojechać, i odłożył słuchawkę. Potem zwrócił się do Bucka i Freddy'ego. - Pico jest na dole?

Buck kiwnął głową.

- Oczywiście. Czeka w garażu. Chcesz, żeby wszedł na górę?

- Nie. Chcę, żebyście wszyscy trzej wsiedli do samochodu i wyjechali z garażu... i to szybko. Nie zabijcie nikogo, ale kiedy znajdziecie się na ulicy, gaz do dechy.

- Gdzie mamy jechać? - spytał Buck.

- Wszystko jedno, dopóki stojący po drugiej stronie ulicy taurus będzie jechał za wami.

- Chcesz, żebym jechał z nimi? - spytał Freddy.

- Tak, chcę, byś usiadł z tyłu. Jako przynęta. Freddy z namysłem skinął głową.

- Będę przynętą w charakterze złudzenia optycznego czy... jako kaczka na odstrzał?

- Lepiej niż złudzenia optycznego - odparł Lassiter i wstał. Podszedł do wieszaka, zdjął swój płaszcz i rzucił go Freddy'emu. - Włóż go i poszukaj jakiegoś kapelusza.

Buck pokręcił głową i zmarszczył czoło.

- Nie wiem, Joe... Terry kazał mi trzymać się ciebie jak łupina ziarnka ryżu.

Lassiter kiwnął głową i włożył skórzaną kurtkę, którą odebrał rano z pralni.

- Kiedy będziesz się widział z Terryem, Freddy, powiedz mu, że kazałem Buckowi zastopować. I pamiętaj: gaz do dechy - powtórzył i wypchnął obu na zewnątrz.

Wrócił do biurka, włożył do aktówki książkę Baresiego i garść artykułów o Calliście, zgasił światło i podszedł do okna. Stojąc z boku, wyjrzał na ulicę. Po oblodzonych chodnikach szli nieliczni piesi, na ulicach praktycznie nie było samochodów. Minęła minuta, dwie, trzy - nagle z podziemnego garażu niczym rakieta wystrzelił buick, podskoczył w górę na krawężniku, a gdy opadł na jezdnię, spod kół wytrysnęły fontanny śniegu. Skręcił w prawo, zarzucił tyłem i wjechał na skrzyżowanie. Chwilę później wyjechał szerokim łukiem spod krawężnika taurus i buksując oponami w śniegu, pognał, rycząc silnikiem, za buickiem.

Lassiter wziął aktówkę, wyszedł z gabinetu i ruszył w kierunku windy na końcu korytarza. Na jego widok Victoria zawołała:

- Joe!

- Tak? - Wcisnął klawisz przywołujący windę.

- Na dole w recepcji jest marshał federalny - powiedziała, zakrywając dłonią mikrofon słuchawki. - I człowiek z włoskiej ambasady. Co im powiedzieć?

- Żeby wjechali na górę.

Victoria zaczęła mówić do telefonu, Lassiter czekał na windę. Kiedy przyjechała, nie wsiadł, ale trzymał drzwi, by się nie zamknęły - i równocześnie patrzył na zapalające się nad drugą windą cyferki.

3... 2 - 1 - P... 1 - 2 - 3 - 4... 5

Za kilka sekund druga winda będzie na górze. Lassiter machnął ręką, wsiadł do kabiny i odwrócił się do Victorii.

- Powiedz im, że musiałem na sekundę wyjść i zaraz wracam.

Zameldował się w „Marriott Long Wharf” jako Joe Kelly i zapłacił z góry gotówką, zostawiając pięćdziesiąt dolarów kaucji na poczet rozmów telefonicznych. Jeszcze nie uciekał naprawdę, ale także nie spacerował po parku. Jeśli Umbra Domini chciała, by wytoczono mu proces we Włoszech, na pewno mogła do tego doprowadzić - jeśli to, co się już działo, nie było ich robotą. Jedynym powodem zjawienia się w jego biurze marshala z kimś z włoskiej ambasady mogło być to, że włoska policja chciała z nim porozmawiać - i opinia, że jest niebezpieczny.

Uznał, że najlepiej zachować dyskrecję - przynajmniej do momentu odnalezienia Marie Williams.

Do spotkania z Torgoffem został mu dzień, z którym musiał coś zrobić, choć nie miał nic do roboty. Wędrował więc zaśnieżonymi ulicami Bostonu, aż znalazł budkę, w której sprzedawano tureckie kanapki. Dziesięć minut później był w swoim pokoju, siedział na kanapie z nogami na stoliku do kawy i czytał wycinki prasowe o Calliście Bates, które brał po kolei z leżącego na stoliku stosiku.

W kolejnych artykułach nie było wiele nowego. Po jakimś czasie prasa zaczęła przerabiać własne doniesienia i opatrywać praktycznie te same teksty nowymi tytułami i innymi zdjęciami. Przeczytał kilka artykułów, nie znajdując żadnego szczegółu, z którym się dotychczas nie spotkał. Czytanie tego było robotą głupiego, ale pozwalało zabić czas.

Wziął do ręki transkrypt wywiadu, przeprowadzonego z Callistą podczas już nieistniejącego późnowieczornego talk-show o tytule *Reel Time* *. W późnych latach osiemdziesiątych program miał opinię „dość stonowanego” i „wiedzącego, co nowoczesne”, choć okazał się zbyt przeintelektualizowany, by osiągnąć sukces komercyjny. Lassiter dość dobrze pamiętał surową scenografię i rozmowy „jeden na jednego” z aktorami, reżyserami, scenarzystami i krytykami.

Transkrypt datowany był na 27 kwietnia 1988, kiedy Callista promowała czarny kryminał pod tytułem *Róża czerwona*. Rozmawiała z nią Valery Fine i najwyraźniej była zdecydowana na więcej niż jedynie reklamę nowego filmu Callisty.

VF: No proszę, Oscar w kieszeni za *Zaginiony horyzont*, a nowy film jest przebojem... latasz dość wysoko, prawda? Do czego da się to porównać?

CB: Do czego da się porównać? Nie wiem. (Śmieje się). Wysokie latanie? Podejrzewam, że to jak łapanie gejzera.

VF: Sprawiasz wrażenie takiej „pozbieranej”... jeśli wolno użyć tego nieliterackiego określenia. Chcę powiedzieć, że miałaś dość dziką jazdę, a mimo to wyglądasz na bardzo... poukładaną. Starannie wybierasz role, odrzucasz mnóstwo ofert... sprawiasz wrażenie osoby jakimś sposobem odpornej na blichtr.

CB: Nie powiedziałabym.

VF: Ja bym to właśnie tak określiła. Jesteś niesamowicie zrównowazona. Nawet się zastanawiam, czy kiedykolwiek zrobiłaś coś naprawdę głupiego?

CB: (Śmieje się). Oczywiście. Boże - „zrównowazona”! Jakie to nudne!

VF: Oczywiście, że „zrównowazona”, biorąc pod uwagę, że jesteś światową boginią miłości. No wiesz: siedzisz tu, jesteś Callistą Bates i równocześnie jesteś „dziewczyną z sąsiedztwa”.

CB: (Śmieje się). Do czego dążysz? Zaczynam przez ciebie wyglądać jak Betty Crocker...

VF: Wątpię. Po pierwsze, jesteś zbyt ulotna jak na Betty Crocker. Opowiedz nam o sobie... o prawdziwej Calliście Bates.

CB: Nie.

VF: Nie?!

CB: Właśnie. Chcę pozostać ulotna.

VF: Dlaczego? Znam podstawową zasadę: nie będziemy rozmawiać o twojej rodzinie, dzieciństwie i niczym podobnym, dlaczego jednak chcesz całkiem wykluczyć ludzi ze swego życia? Jesteś bystrą, inteligentną kobietą. Czytasz, masz różne zainteresowania. Dlaczego ludzie nie mieliby o tym wiedzieć? Nadałoby ci to... szerszy wymiar.

CB: Aleja nie chcę, by ludzie wiedzieli o mnie różne rzeczy. VF: Dlaczego?

CB: (Wzdycha). Spróbuję ci to wyjaśnić. Wiesz, jak to jest, kiedy gdzieś pojawia się kamera... filmuje się godne uwagi wydarzenie albo reporter rozmawia z kimś na żywo po meczu, prawda? Wtedy zawsze w tle widać grupkę ludzi, podskakujących i machających do kamery, marzących o tym, by pokazano ich w telewizji.

VF: (Macha). „Hej, mamó! Hej, tato!”. Czy właśnie to masz na myśli?

CB: Dokładnie. Jeśli uda im się dostać do wiadomości albo innego programu, są zachwyceni i podekscytowani. To dla nich wiele znaczy. Stają się elementem innego świata - Świata Telewizyjnego - który wydaje im się prawdziwszy.

VF: Wiesz, co jest w tym dziwnego? Zdarzyło mi się dokładnie to samo! To znaczy nie muszę nikomu mówić, by mnie oglądał, ponieważ wszyscy i tak to oczywiście robią (śmieje się), ale znajomi często mnie proszą, bym ich obejrzała w telewizji: „Hej, Val - jeśli złapiesz w telewizorze mecz Lakersów, poszukaj mnie! Siedzę sześć rzędów za ławką rezerwowych, nieco w prawo!”.

CB: No właśnie. Choć to twoja przyjaciółka i ciągle się widujecie. W naturze. Nie musisz oglądać jej w telewizji, ale ona chce, żebyś ją oglądała.

VF: To nie była przyjaciółka, a facet.

CB: (Śmieje się). Nieważne... w każdym razie to jedna z reakcji na kamerę, istnieje jednak inna. Są ludzie, którzy nie chcą być w telewizji, nie chcą, by ich filmowano, ponieważ uważają, że czyni to ich mniej realnymi. Znasz ten przesąd prymitywnych kultur - członkowie szczepów nie chcą, by robiono im zdjęcia, ponieważ uważają, że aparat odbiera duszę?

VF: Oczywiście, ale chwileczkę! Mieliśmy rozmawiać o tobie!

CB: (Śmieje się). Już dochodzimy do mnie! Chcę powiedzieć, że jestem jakby połączeniem obu powyższych przykładów. Kiedy gram, skaczę jak wariatka i chcę, by wszyscy na świecie mnie widzieli, ale w prawdziwym życiu... ja - prawdziwa ja? O, nie! Wtedy jestem jak mieszkaniec Borneo. Nie chcę rozmawiać o moim życiu prywatnym, ponieważ kiedy to robię, źle się czuję. Mam wrażenie, jakbym traciła kawałki duszy.

VF: Daj spokój, czy to nie jest trochę... pretensjonalne? Nie chcę ci zabrać ani kawałka duszy. Chcę tylko jakiejś opowieści. Czegoś o Calliście-Osobie, a nie o Calliście-Gwieździe.

CB: (Wzdycha). Nie rozumiesz tego, ponieważ... to ty zadajesz pytania.

VF: Świetnie. Zamieńmy się. Zadaj mi pytanie. O co chcesz.

CB: Dobrze. (Odchrząkuje). Jak często się masturbujesz?

VF: (Piszczy i śmieje się). To nie fair! Ja ciebie nie pytałam o nic takiego!

CB: Ale jakiś żądny sensacji dziennikarz mógłby spytać.

VF: Wtedy mogłabyś po prostu odmówić odpowiedzi.

CB: A ludzie uznaliby, że jestem „wymijająca” albo nie znam się na żartach. Nie staram się być trudna, dawniej paplałam o sobie non stop.

VF: Nie do końca.

CB: Fakt, nie do końca. Ale nawet to, co mówiłam, pewnego razu mnie przeraziło.

VF: Co masz na myśli?

CB: Cóż, poznałam kogoś. Wiedział o mnie wszystko - a przynajmniej tak mu się wydawało - tyle że wszystko widział jak w krzywym zwierciadle. Po jakimś czasie człowiek przestaje mówić o wielu rzeczach, ponieważ jeśli się nimi dzieli, przestają do niego należeć. Znikają. To znaczy... chyba nie wyjaśniam tego zbyt dobrze.

VF: Ale taka jest cena sławy. Jeśli chcesz, by ludzie płacili pięć dolarów, żeby cię obejrzeć - nie sądzisz, że jesteś im coś winna?

CB: Nie sądzę. Uważam, że płacą, by móc obejrzeć film, a nie dowiedzieć się, którego z Lakersów najbardziej lubię albo jak wyglądałam w piątym roku życia.

VF: Więc nie zamierzasz mi pomóc?

CB: Jesteś bezlitosna!

VF: Proszysz... Tylko o jedną rzecz... jedną, zwykłą rzecz!

CB: Dobrze, ale to głupie. Nie głupkowate ani śmieszne, tylko idiotyczne - jak ryzykowanie. (Wzdycha). Kiedy po raz pierwszy przyjechałam na Zachodnie Wybrzeże, miałam dziewiętnaście lat, żadnych pieniędzy i całą drogę - sama prowadząc - zrobiłam Guntherem...

VF: Kto to?

CB: Giinther to bus, volkswagen. Stary VW z łysymi oponami, kiepskimi hamulcami i popsutym ogrzewaniem. Było w nim zawsze gorąco, a musiałam się przepchać przez całe Rockies. Poza tym to niezbyt bezpieczny samochód. Na dodatek dla oszczędności musiałam w nim spać - czasem na poboczu, czasem na parkingach. Do dziś nie mogę uwierzyć, że coś takiego zrobiłam.

VF: Stało ci się coś złego?

CB: Nie, ale nie o to chodzi. Przeważnie ludzie byli dla mnie bardzo mili, ale zdarzyło się kilka rzeczy, które mogły... ja wiem... źle się skończyć.

VF: Na przykład?

CB: Facet, który próbował wciągnąć mnie siłą do swojego samochodu. Albo koleś, który wlaź na dach volkswagena i nie chciał zejść - kompletnie naćpany.

VF: Ale mimo wszystko ci się udało, prawda? Czy nie to właśnie się liczy?

CB: Nie. Miałam szczęście. Ktoś inny mógłby go nie mieć.

VF: Dobra uwaga. Muszę jednak zapytać: którego z Laker-sów najbardziej lubisz?

Wywiad ciągnął się jeszcze przez dwie albo i trzy strony. Kiedy Lassiter skończył czytać, odłożył transkrypt i sięgnął po następny artykuł, ale zmienił zdanie. Ta historia Callisty o busie... miała z czymś związek... Tylko z czym?

Nagle przypomniał sobie. Mniej więcej w tym czasie, kiedy aktorka zniknęła, był w „L.A. Style” artykuł pod tytułem: „To by było na tyle, kochani! Callista znika!”.

Miał go ze sobą? Większość materiału na jej temat zostawił w Waszyngtonie, wziął tylko to, czego jeszcze nie czytał, i parę „kluczowych” artykułów, które wybrał. Artykuł z „L.A. Style” powinien być wśród nich... i był. Zaczął szukać miejsca, które mu było potrzebne.

Artykuł był w zasadzie wywiadem, jakiego Callista udzieliła w „Beverly Hills Hotel”, gdzie mieszkała po sprzedaniu swojego domu. Został tak wystylizowany, że właściwie więcej mówił o autorze niż o aktorce. Każdy akapit był pełen nieistotnych szczegółów, mających świadczyć o wielkiej spostrzegawczości przeprowadzającego wywiad dziennikarza. Oczy Callisty miały kolor „sinego indygo”, a napytania odpowiadała z „synkopowanym cynizmem mocno oparzonej kochanki”. Co to miało znaczyć?

Tekst zaaranżowano wokół zdjęcia gwiazdy. Siedziała w szortach i bluzce, krzyżując nagie nogi

(„jedyną oznaką napięcia był rzadki, niecierpliwy skurcz palca u nogi”).

Pozbywała się piętna miasta. To było jasne. Dom zniknął, meble zostały sprzedane, Bentley odesłany handlarzowi, od którego go kupiła. W hoiu przy drzwiach czekała samotna walizka.

Spytałem, co zamierza. Przez chwilę siedziała w namiocie milczenia, w którym mieszkała od procesu, po czym potrząsnęła wspaniałą grzywą włosów i powiedziała: „Coś wymyślę”. Mówiąc, mieszkała słomką płyn w szklance i obserwowała, jak skraplające się na szkle krople spływają w kierunku stołu.

- Zatrzymała pani coś? Pokręciła głową.

- Żadnych ubrań? Obrazów? A co z mercedesem?

- Sprzedałam go - odparła. Za jej plecami po oświetlonej jaskrawym słońcem ścianie wspinała się jaszczurka, co wyglądało jak rodem z halucynacji. Callista uśmiechnęła się. Założyła okulary słoneczne i wstała. Było jasne, że wywiad jest skończony. - Pomyślałam sobie, że mogę odjechać na koniu, na którym przyjechałam - powiedziała. Potem się odwróciła i odeszła.

Lassiter odłożył artykuł i zmarszczył czoło. Był rozczarowany. Sądził, że znajdzie więcej. A jednak: „koń, na którym przyjechała”. Być może tym koniem był stary VW-bus. Gunther...

Zadzwoił do Minneapolis, do Gary'ego Stoykavicha.

- Masz coś dla mnie? - zapytał.

- Nic.

- Mógłbyś się dowiedzieć, jakim samochodem jeździła Williams, kiedy mieszkała w Minneapolis?

- Już to wiem. Dwoma samochodami, nie jednym. Miała hondę accord, kupioną na miejscu, i volkswagena.

- Garbusa?

- Nie. Busa.

- Naprawdę?

- Naprawdę. A najśmieszniejsze jest to, że kiedy wyjeżdżała, właśnie jego zabrała. Porzuciła hondę. Zostawiła ją na parkingu i wzięła tego cholernego busa. Może miała dużo rzeczy i był bardziej przydatny? Tak przynajmniej uważa Finley.

Optymizm Lassitera zgasł.

- A więc Finley wie, że miała busa...

Nie było to pytanie, a stwierdzenie. Lassiter poczuł pustkę, bo stało się jasne, że jego nowy „ślad” to kolejna ślepa dróżka. Jeśli Finley wiedział, że Callista wyjechała busem, na pewno nie spuścił go z oka.

- Jasne, że wie - odparł Stoykavich. - Przepuścił jej nazwisko i numer ubezpieczenia przez każdy wydział komunikacji w Stanach, z Alaską włącznie.

- I nic?

- Znalazł mnóstwo Marii Williams, ale żadna nie miała busa VW. Albo - jeśli miały - okazywało się, że żadna z nich to nie ona.

Cholera! - pomyślał Lassiter.

- Nasikałem komuś do ogródka? - zapytał Stoykavich.

- Nie - burknął Lassiter i odłożył słuchawkę.

Ale prawda była taka, że jego ogródek całkiem nieźle obsikano.

Grimaldi i jego przyjaciele mieli trzy lub cztery miesiące więcej na szukanie Marie Williams.

Ponieważ z pewnością koncentrowali się na tych, które najłatwiej było wyeliminować, taki okres był bardzo długim czasem. Ale jeśli mnie ciężko idzie, pomyślał po chwili Joe - Grimaldiemu też niełatwo.

Chyba że pomaga mu Drabowsky i FBI...

Podszedł do okna i wyrztał na szary, miejski krajobraz. W szybę plaskał deszcz ze śniegiem. Kiedy zawiął wiatr, o szkło zagrzechotała chmura kryształków lodu.

Przetarł oczy i usiadł. Spróbował wyobrazić sobie „Marie Williams” - czy jak tam się teraz nazywała - wjeżdżającą bussem w las, żeby go tam ukryć. A może zaparkowała volkswagena na ulicy w jakimś mieście i zostawiła go tak, jak zostawiała inne swoje rzeczy?

Nie. Gdyby chciała go porzucić - dawno by go gdzieś zostawiła. Nie zrobiła tego jednak. Wyjechała nim - i nadal nim jechała. A to oznaczało... właśnie: co?

Jeśli w dalszym ciągu miała busa, był prawdopodobnie zarejestrowany na nowe nazwisko. Tam, gdzie przyjechała. Tam, gdzie się ukrywała.

Wziął głęboki wdech i powoli wypuścił powietrze. To, że urodziła się w Maine i zrobiono jej zdjęcie w Maine - albo komuś do niej podobnemu w miejscu, które zdaniem Dicky'ego Biddle'a znajdowało się w Maine - wcale jeszcze nie oznaczało, że tam mieszka.

Ale z drugiej strony - czemu nie? Gdzieś przecież musiała być, a nawet przy tak wątpliwych dowodach było bardziej prawdopodobne, że mieszka w Maine niż na przykład... w Finlandii.

Lassiter sięgnął po słuchawkę. W Maine mieszkał tylko milion ludzi, ile więc może być tam volkswagenów busów, do tego zarejestrowanych na kobiety? Znalazł numer telefonu wydziału komunikacji w Auguście i zadzwonił. Oczywiście urząd był zamknięty. Będzie musiał zadzwonić w poniedziałek rano.

Z westchnieniem wziął kolejny artykuł o Calliście. Pochodził z czasopisma dla kobiet i dotyczył „wróżenia z ręki” - przedstawiano w nim odciski dłoni czterech sławnych osób, a grupa chiromantów je analizowała. Według nich Callista ciepiąca na „nadmiar melancholii”.

Następnego dnia złapał pociąg linii T do Cambridge i wysiadł na przystanku naprzeciwko MIT. Natychmiast pożałował, że nie wziął taksówki. Chodniki i rynsztoki były w katastrofalnym stanie. Tony soli rozpuszczały lód, ale woda nie miała gdzie spływać. Tworzyła przy krawężnikach wielkie kałuże, zmuszając przechodniów do okrążania ich wielkim łukiem, a miejscami do olimpijskich skoków.

Gabinet Torgoffa mieścił się w wydziale biologii Whitaker College of Health, Science and Technology. Torgoff czekał na niego - krępy, niewysoki młodzieniec z ciemnymi włosami i wesołym uśmiechem. Był ubrany na sportowo - w dżinsy, buty do chodzenia po górach i czerwony podkoszulek z dwoma identycznymi podobiznami Roya Orbisona, umieszczonymi pod napisem: ONLY THE CLONELY.

- Przepraszam za strój - powiedział Torgoff i wstał, by się przywitać. - Ale zawsze się tak ubieram.

Gabinet był mały, pełen piętrzących się wszędzie książek i czasopism. Ściany zawieszono mapami i różnymi spisami, na jednej z nich wisiał tybetański kalendarz, na drugiej ponaklejano samoprzylepne kartki do robienia notatek i mnóstwo satyrycznych rysunków o szalonych naukowcach. Z sufitu - niczym ogromny lep na muchy - zwisał zakurzony i powyginany model podwójnej spirali DNA, zrobiony z pokrytego zielonym plastikiem ogrodowego drutu i kawałków tektury. Obok biurka stały sztalugi, a na biurku - między stertami papierzyśk - leżała kostka Rubika: zabawka, której

Lassiter nie widział od lat. Torgoff wskazał mu krzesło i usiadł w fotelu - obciążonym zielonym sztruksem majstersztyku ergonomii.

- Co pan wie o genetyce? - zaczął naukowiec. Lassiter popatrzył na niego i wzruszył ramionami.

- To nie jest podchwytliwe pytanie. Jeśli zacznę od operonu laktozowego i transkrypcji polimeraz RNA, może się pan pogubić. Nie byłoby to dobre. Dlatego lepiej niech pan mi powie... - postukał się w skroń - co pan tam ma.

Lassiter przez chwilę się zastanawiał.

- Mendel. Był taki gość, co nazywał się Mendel. Istnieje dziedziczność...

- Świetnie! To już coś!

- Geny dominujące i recesywne.

- Umiałby pan o nich opowiedzieć?

- Nie, ale kiedyś umiałem. No i... - Lassiter spojrział w sufit i widząc zwisający z niego model molekuly DNA, dodał: - Podwójna spirala.

- Wie pan, co to jest?

- DNA. Choć podejrzewam, że więcej niż o samym DNA wiem o badaniach DNA. Nie umiałbym opowiedzieć, co to jest DNA.

- Niech pan spróbuje.

- Cóż... każda nasza komórka zawiera DNA. DNA każdego człowieka jest niepowtarzalne. Coś jak odciski palców.

- Doskonale, O. J.! Co pan jeszcze wie?

- To wszystko. Nie odróżnię chromosomu od pontiaca.

- Hram... - Torgoff pokiwał głową jak zawodowy gracz w golfa, który po poproszeniu kandydata na ucznia o pokazanie kilku uderzeń doszedł nagle do wniosku, że lekcja musi się zacząć od formułki: „Miejsce, w którym się znajdujemy, nazywa się klubem golfowym...”. - Świetnie. Ustaliliśmy, że wie pan o genetyce praktycznie tyle co nic. Nie ma sprawy. Wszystko gra. - Torgoff klasnął językiem o podniebienie i złożył dłonie. - Następne pytanie: pańska asystentka powiedziała, że interesuje się pan Baresim...

- Zgadza się.

- No więc jak? Interesuje się pan genetyką czy Baresim?

- Najbardziej chyba interesuję się badaniami, które prowadzi.

- W porządku. Możemy więc zapomnieć o Mendlu. A może i nie, ponieważ Mendel i Baresi byli bardzo podobni. Obaj zadawali podstawowe pytania. I obaj wyprzedzali swoją epokę.

- Jak to?

- Kiedy Mendel przesiadywał w przyklasztornym ogródku i sporządzał notatki dotyczące grochu, wszyscy byli zapatrzeni w Darwina. Który - jak pan zapewne wie - stwierdził, że organizmy ewoluują, reagując na naciski środowiskowe - choć nie umiał powiedzieć, jak to się dzieje.

- A Mendel umiał. Torgoff wzruszył ramionami.

- Tak naprawdę to również nie. Wywnioskował jedynie to i owo. Jak na przykład to, że cechy dziedziczne są przekazywane z pokolenia na pokolenie niezależnie. Innymi słowy - niektórzy ludzie o błękitnych oczach są daltonistami, a inni nie. Określa się to mianem „zasady niezależnego dziedziczenia cech”. Zrozumiał także istnienie dominacji. Zauważył, że jeśli skrzyżuje się wysokie rośliny z niskimi, nie otrzyma się roślin średnich, ale wysokie. Dopiero kiedy hybrydy zostaną ponownie skrzyżowane ze sobą, zaczyna działać gen recesywny - wtedy uzyska się zarówno rośliny

niskie, jak i wysokie. Nadaża pan?

- Trzymam się.

- To świetnie. Mendel sformułował kilka praw dziedziczności. Dzięki temu rozwiązał jedną z najstarszych tajemnic wszechświata, ale nikt tego nie zauważył. Wszyscy byli zapatrzeni w Darwina i trwało to trzydzieści lat! Do momentu, aż inny naukowiec przeprowadził te same eksperymenty co Mendel i - przeglądając publikacje na ten temat - odkrył, że na nowo wymyśla koło. Mendel był pierwszy. Mniej więcej tak samo było z Baresim - ciągnął Torgoff. - Kiedy prowadził swoje prace, wszyscy byli zapatrzeni w Watsona i Cricka. - Profesor wziął do rąk kostkę Rubika i nie przerywając mówienia, zaczął nią manipulować. - Uzyskał doktorat z biochemii, mając chyba dwadzieścia dwa lata czy coś koło tego. W każdym razie w pięćdziesiątym trzecim roku. Ten rok jest dla genetyków jak tysiąc siedemset siedemdziesiąty szósty czy coś takiego *. Wielki rok! Panowało wtedy ogromne podniecenie, ponieważ pojawiła się perspektywa rozwiązania - nareszcie - szeregu podstawowych zagadnień. A sednem tego wszystkiego było DNA - cząsteczka obecna w każdej komórce każdego żywego organizmu. Wiedzano już wtedy, że DNA jest kluczem do dziedziczności - ale jak działa? Jak reguluje reakcje chemiczne w komórce? Bo to właśnie robi: syntetyzuje białka, w tym aminokwasy, które uczestniczą w niezbędnych do życia reakcjach biochemicznych. Nadaża pan?

- Nie za bardzo...

- Nie szkodzi! Sedno polega na tym, że DNA reguluje szereg niezwykle skomplikowanych procesów. Zanim udało się je zrozumieć, ktoś musiał wymyślić, jak wygląda struktura cząsteczki DNA. Tak też się stało. W tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym trzecim dwóch gości - Watson i Crick - wymyśliło model przestrzennej budowy DNA. Oto on. - Podniósł wzrok ku podwójnemu korkociągowi z drutu i kartonu, zwisającemu z sufitu. - Podwójna spirala. Podwójny heliks. Skręcona drabina.

Jak pan woli. Był to więc bardzo podniecający okres dla kogoś, kto właśnie uzyskał doktorat z biochemii. Wystarczyło, że rozumiano - choć jedynie w podstawowym zakresie - jak wygląda struktura DNA, a realna stała się myśl, że któregoś dnia zrozumiemy również, w jaki sposób DNA się powiela, jak działają geny i wiele innych zagadnień. W tym czasie Baresi pracował w instytucie LeBange...

- Gdzie to jest? - spytał Lassiter.

- Berno. Szwajcaria. Wylęgarnia wielkich idei. Od zawsze. W każdym razie Baresi zaczął dość konwencjonalnie - od badań *E. coli*...

- To bakteria.

- Właśnie. Bardzo prosty organizm, łatwy do hodowli i mnoży się jak szalony... stąd jego popularność wśród badaczy. Jak wszystko inne, co żyje - z wyjątkiem pewnych organizmów wirusowych i dziwacznych maleństw zwanych prionami - *E. coli* jest utworzona z DNA, tak samo jak pan i ja. Jest więc idealnym obiektem badań. Baresi nie zatrzymał się jednak przy tej bakterii. Po roku lub dwóch przeszedł do badań krwi...

- Przeszedł?

- To nie aż tak odległa dziedzina. Kiedy mówimy o „badaniach krwi”, mamy na myśli czerwone krwinki. A czerwone krwinki są pod dwoma względami jak bakterie: po pierwsze, nie mają jądra, po drugie, łatwo je zdobyć. Wciąż je wytwarzamy. Tak więc Baresi prowadził nowatorskie badania, ale były one niczym w porównaniu z następnym krokiem, jaki zrobił. Zanim jednak powiem, na czym ten krok polegał, musi pan zrozumieć, że Baresi nie tylko był geniuszem, ale był także geniuszem

indukcyjnym - człowiekiem zdolnym stawiać niesamowite hipotezy. I jak większość geniuszy indukcyjnych, miał dość obojętny stosunek do nagród, rozgłosu czy opinii kolegów. Nie gnał za kolejnym „wielkim odkryciem” - robił tylko to, co chciał. Tak więc skręcał, gdzie chciał, i podążał w kierunkach, w których nie podążał nikt inny.

- Co to znaczy?

- W przypadku Baresiego znaczyło, że porzucił badania krwi i zajął się badaniem komórek zwierzęcych zawierających jądro.

- Dlaczego to było takie rewolucyjne?

- Ponieważ w tamtych czasach badania w tej dziedzinie wiązały się z wielkimi trudnościami. Obecnie mamy kilka rodzajów komórek, które nadają się do badań, ale w latach pięćdziesiątych?

Komórki zwierzęce są trudne do hodowli i nie zawsze długo żyją. Mogło to powodować poważne problemy, gdyby bowiem staruszkowi Baresiemu nagle przedwcześnie wymarła kultura komórek - a wcale nie było to takie nieprawdopodobne - straciłby całe miesiące pracy. Do dziś nie wiem, jak mu się udawało. Wiem jednak, dlaczego właśnie tym się zajął.

- Tak?

- To oczywiste. Szukał głównej żyły złota.

- Czyli?

- Mechanizmu różnicowania się komórek. Nie da się prowadzić badań w tym zakresie, nie pracując z komórkami posiadającymi jądro. U organizmów jednokomórkowych różnicowanie nie istnieje. Występuje jedynie w przypadku komórek z jądrem. - Torgoff opadł na oparcie fotela.

Po chwili Lassiter przerwał ciszę:

- Może będzie to dla pana wstrząs, doktorze, ale nie wiem, co znaczy „różnicowanie”. Przynajmniej nie do końca. - I zaraz dodał: - Tak naprawdę to nic o tym nie wiem.

Torgoff się uśmiechnął.

- No tak... różnicowanie. Już wyjaśniam. - Wziął głęboki wdech. - Jestem pewien, iż słyszał pan, że zaczynamy istnieć jako zapłodnione jajo, zwane zygota. Jest to pojedyncza komórka. W jądrze tej komórki kłębi się płątanina chromosomów, czyli łańcuchów DNA, zawierających specyficzne informacje genetyczne - pod postacią genów. Gdyby to pana ciekawiło, dodam, że każdy gatunek ma stałą, sobie tylko właściwą liczbę chromosomów w komórkach. Na przykład psy mają siedemdziesiąt osiem chromosomów, ryby dziewięćdziesiąt dwa. Pan i ja mamy po czterdzieści sześć chromosomów - połowę dostaliśmy od matki, połowę od ojca. Połowę z jaja, połowę z plemnika, który się w nie wbił. Jasne?

Lassiter skinął głową i Torgoff kontynuował:

- Nasze geny - a mamy ich setki i tysiące - występują w dwóch kompletach chromosomów, z których każdy liczy dwa dziesięcia trzy geny. Jeden jest odpowiedzialny za kolor oczu, inny za rodzaj krwi i tak dalej. W rzeczywistości nie jest to takie proste, ale... rozumie pan sens. Wszystko od samego początku znajduje się w jednej zapłodnionej komórce. Potem komórki zaczynają się dzielić. - Torgoff złożył dłonie i zaczął je rozsuwać. - Robią się dwie, potem cztery i tak dalej. Każda z tych komórek, wczesnych komórek embrionalnych, zawiera ten sam materiał genetyczny - DNA, chromosomy i geny: w takiej samej ilości. I to decyduje, kim będzie dziecko: mną, panem czy Babę Ruth. Wkrótce jednak, kiedy zarodek rozrośnie się do ośmiu albo szesnastu komórek, zaczynają się one różnicować. JAKIMŚ sposobem zaczynają przyjmować różne role: stają się komórkami mózgowymi, wątrobowymi, nerwowymi i tak dalej. Choć wszystkie zawierają to samo DNA,

aktywują albo „akcentują” różne geny. Akcentowane geny określają, jakie enzymy komórka ma wytwarzać, a enzymy z kolei określają, jakim rodzajem komórki dana komórka się stanie. Jest to bardzo ciekawe zagadnienie: ponieważ wszystkie komórki zawierają tę samą informację genetyczną, można by sądzić, że mają te same możliwości. Tak jednak nie jest. Wczesna komórka embrionalna jest „totipotenna”: może wygenerować cały organizm - człowieka, kota, żyrafę - z jednej komórki. Jednak komórka nerwowa jest w stanie tworzyć wyłącznie komórki nerwowe. Jak to się dzieje?

- Liczy pan na to, że odpowiem na to pytanie?

- Nie. Nad tym właśnie pracował Baresi. Badał proces różnicowania się komórek i szukał mechanizmu, który tym steruje. Wyprzedził wszystkich o trzydzieści lat. - Torgoff wziął głęboki wdech, wypuścił powietrze i rozejrzał się. - Może kawy?

- Dobry pomysł.

- Na rogu jest fajna mała kawiarenka. - Torgoff popatrzył na kostkę Rubika w swoich dłoniach, przez chwilę się zastanawiał, po czym trzy razy błyskawicznie obrócił ściankami. Kiedy odstawił kostkę, była ułożona. Wstali, Torgoff wziął z wieszaka czerwony szalik i owinał go sobie wokół szyi. Potem wbił się w zniszczony marynarski płaszcz i założył wełnianą marynarską czapkę. - No to chodźmy.

Powietrze na dworze było mroźne. Kiedy szli gęsiego wąską, wydeptaną w śniegu ścieżką, Torgoff kontynuował wykład.

- Siedzi pan proces O. J.?

- Nie - odparł Lassiter. - Dużo się o nim mówi? Profesor roześmiał się głośno.

- Pamięta pan, ile wysiłku włożono, by zamącić wyniki badań DNA, posługując się statystyką? - Torgoff zaczął cytować agresywnym, afektowanym tonem: - „A więc nie może pan z całą pewnością powiedzieć, że to DNA Nicole Brown Simpson, tak? Jest pan w stanie jedynie stwierdzić, że istnieje sta-tys-tycz-ne prawdo-podo-bieństwo, iż DNA należy do Nicole Brown Simpson, tak? Tak czy nie?!”. „Tak, to prawda, ale aby znaleźć taki sam wzór, potrzebowalibyśmy ośmiu miliardów próbek. Ponieważ na całym świecie nie ma tylu ludzi, więc...” - Torgoff wyciągnął rękę w górę. - „Sprzeciw, Wysoki Sądzie, świadek nie odpowiada na pytanie. Spytałem, czy można z ostateczną pewnością stwierdzić, że ta próbka DNA należy do Nicole Brown Simpson. Tak czy nie?”. „Ale...”. „Tak czy nie?”.

Kawiarnia mieściła się w długim, wąskim pomieszczeniu z pokrytym parą szklanym frontem. Na ścianie z gołych cegieł udrapo-wano włoską flagę, a powietrze było aż gęste od zapachu świeżo mielonej kawy. Torgoff i Lassiter usiedli przy oknie i zamówili po kawie z mlekiem. Niedaleko nich, przy trzech różnych stolikach, siedziało trzech młodzieńców i czytało trzy różne książki. Lassiter pomyślał, że każdy wygląda jak Raskolnikow.

- No więc - powiedział Torgoff - mamy w sobie DNA. DNA jest w każdej komórce naszego ciała taki sam. Dlatego odrobina nasienia, kropla krwi, pukiel włosów, skrawek skóry - wszystko to może być użyte do identyfikacji osoby poprzez porównanie z próbką jej krwi. Każda komórka - nieważne jakiego rodzaju, zawiera DNA tej osoby - a jest on niepowtarzalny, czyli u każdego człowieka inny.

Przyniesiono kawę i Lassiter z fascynacją patrzył, jak Torgoff wsypuje do swojej filiżanki cztery łyżeczki cukru.

- Zasadniczo biorąc, w zróżnicowanej komórce DNA „mówi” genom, że ta właśnie komórka będzie włosami - niech więc zapomni o takich cechach jak kolor oczu, rodzaj krwi itepe. Proszę sobie wyobrazić DNA jako pianino o stu tysiącach klawiszy - a każdy z nich to jakaś cecha genetyczna. W zróżnicowanej komórce większość klawiszy jest „obsadzona”, są więc wyłączone. Nie pracują. Pozostaje jednak i tak mnóstwo działających klawiszy: w przypadku włosów trzeba określić stopień skręcenia, barwę, grubość... i tego typu rzeczy. Inne klawisze są nieaktywne.

- Na zawsze?

- Z tego, co wiemy - tak. Kiedy DNA zaakcentuje określony gen, nie ma powrotu. Komórka nerwowa to komórka nerwowa. Nie może stać się krwinką. Nie może stać się komórką mózgową.

- Jak do tego dochodzi? - zapytał Lassiter. Temat zaczynał go coraz bardziej interesować, choć nie widział żadnego związku z morderstwami. - W jaki sposób komórka decyduje, czym ma zostać?

- Nie wiem. Nikt tego nie wie. Tego właśnie próbował dowiedzieć się Baresi - trzydzieści albo czterdzieści lat temu.

- I dowiedział się? Torgoff wzruszył ramionami.

- Nic o tym nie wiem. - Przerwał na chwilę, po czym kontynuował: - Problem polega na tym, że przestał publikować. W którymś momencie przestał dostarczać artykuły do naukowych periodyków. Nie wiadomo też, jak długo prowadził badania w tej dziedzinie. Mógł je przerwać po kilku miesiącach albo latach. Słyszałem, że ostatnio przeniósł się do Niemiec i studiuje...

- Teologię.

- Właśnie! - Torgoff spojrział na Lassitera. - Zgadza się. No cóż... - popatrzył na zegarek i zmarszczył czoło. - Muszę iść po syna. Proszę pana, biologia jest obecnie „najgorętszą” nauką. A tak się akurat składa, że najgorętszą dziedziną biologii jest to, nad czym pracował Baresi - wieki temu.

- Różnicowanie?

- Otóż to. Baresi badał komórki totipotenne u embrionów żaby. Sądząc po ostatnich artykułach, jakie opublikował, dzielił zarodki w fazie cztero - i ośmiokomórkowej, stosując sprzęt, który musiał być bardzo prymitywny. Potem hodował podzielone embriony, by sprawdzić, czy są w stanie wykształcić identyczne narządy.

- Klonował żaby?

- Nie. Robił „bliźniaki”.

- Na czym polega różnica?

- Nawet identyczne bliźnięta otrzymują materiał genetyczny z dwóch źródeł: od matki i od ojca. Klony dostają go z jednego źródła: matki albo ojca. Jeśli chce się stworzyć klona, należy usunąć

materiał genetyczny z jaja matki i zastąpić go jądrem komórki totipotentnej, czyli komórki znajdującej się w najwcześniejszym stadium wzrostu komórkowego. Wtedy otrzyma się kłona - jego cała informacja genetyczna będzie pochodzić tylko z jednego źródła.

- Naprawdę można to zrobić?

- Pewnie. Zrobiono to z owcą w Roślin Institute. To koło Edynburga.

Lassiter myślał o tym, co przed chwilą usłyszał.

- Jeśli dało się to zrobić z owcą, można by to zrobić też z człowiekiem, prawda?

Torgoff wzruszył ramionami.

- Teoretycznie.

- Czyli, gdyby ktoś zechciał, mógłby mnie sklonować...

- Nie - odparł naukowiec. - Nie mógłby.

- Dlaczego?

- Ponieważ wszystkie pańskie komórki są zróżnicowane. Ostatnim razem, kiedy miał pan w sobie totipotentną komórkę, był pan mniejszy od kropki nad i. Można by - teoretycznie - sklonować pańskie dziecko, ale tylko gdyby udało się do niego dostać w najwcześniejszej fazie embrionalnej. Kiedy byłoby jeszcze kłębuszkiem totipotentnych komórek. Czterech. Ośmiu. Góra szesnastu.

- To byłoby możliwe?

Torgoff uniósł wzrok do sufitu i pokiwał się na boki.

- Może. Kiedyś. Może byliby w stanie zrobić coś takiego w Roślin, ale gdyby to zrobili, poszliby siedzieć.

- Dlaczego?

- Ponieważ na Wyspach Brytyjskich klonowanie ludzi jest zakazane. Wracając jednak do Baresiego: wiele z tego, co robił, uważamy za normalne. Dziś na całym świecie „robi się” w klinikach płodności dzieci. Ale w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych wyglądało to nieco inaczej. W nauce nazywamy to „ucieczką do przodu”. Wie pan, jeśli zastanowić się nad tym, ile Baresi musiał wymyślić technicznych innowacji, by poradzić sobie z podstawowymi sprawami technicznymi... O co chodzi?

Lassiter pokręcił głową.

- Wie pan, co Baresi ostatnio robił?

- Chyba pisał coś o religii - odparł Torgoff.

- Nie, na tym nie koniec. Porzucił religię i zaczął studiować w akademii medycznej. Miał wtedy może pięćdziesiąt lat, coś koło tego. Specjalizował się w ginekologii i położnictwie. A potem założył klinikę płodności.

Torgoff uniósł brew.

- Cóż... miał doświadczenie w tej dziedzinie. Pewnie odnosił spore sukcesy.

- Tak... chyba tak. Torgoff westchnął.

- Mimo wszystko to smutne.

- Dlaczego?

- Ponieważ był znakomitym badaczem i biorąc pod uwagę to, co zrobił i czego szukał...

- Co pan ma na myśli? Czego „szukał”?

- Istotą jego badań nad procesem różnicowania było odkrycie sposobu odwrócenia całego procesu... przywrócenia zróżnicowanym komórkom totipotencji.

- Po co? Co by to dało?

- Co by to dało? To byłby święty Graal!

- Jak to?

- Ponieważ gdyby udało się tego dokonać... - Torgoff zmarszczył czoło. - Trudno to objąć umysłem. To byłoby warte... biliony dolarów. Ale pieniądze byłyby w tym wszystkim najmniej ważne. Gdyby komuś udało się odwrócić proces różnicowania, zmieniłby świat.

- W jaki sposób?

- Ponieważ... wtedy można by pana sklonować. Można by sklonować każdego. Można by wykopać z ziemi Beethovena, Custera i Elvisa i zrobić z ich szczątków dzieci! Mógłby pan przywrócić do życia własną matkę! Można by hodować narządy i wycinać je klonom, gdyby człowiek potrzebował nowego płuca, wątroby, tętnicy. Wyobraża pan sobie implikacje etyczne i społeczne takiego odkrycia? Nikt by nie chciał adoptować dzieci, gdyby można było zamawiać własne kopie - albo kopie dowolnych ludzi. A gdyby połączyć klonowanie z technologiami rekombinacji DNA, można by tworzyć klony nie całkiem ludzkie - wymienne człowiekopodobne twory, mogące służyć jako mięso armatnie, gladiatorzy i niewolnicy. Zamiast hodowli biodynamicznych mielibyśmy hodowle narządów.

Lassiter prychnął.

- Chyba pan nieco przesadził, doktorze. Torgoff roześmiał się i pokręcił głową.

- Nie. Wszystko, co do tego potrzebne, to komórka z jądrem i nienaruszonym DNA - odrobina krwi, kosmyk włosów, kawałek mięśnia. Po odwróceniu procesu różnicowania i przywróceniu komórkom totipotencji można z nich stworzyć kompletny nowy organizm. Trzeba jedynie umieścić jądro w jajku, z którego usunięto jego własne jądro. I wyhodować je. Sprytne, nie?

- Co ma pan na myśli, mówiąc „wyhodować je”?

- Cóż, gdyby to był człowiek, należałoby sprawę potraktować jako przeszczep oocytu. Pojęciem tym określamy...

- Wiem, co to jest - przerwał mu Lassiter. - Moja siostra miała robiony taki przeszczep.

- O! No więc... jest pan zorientowany. - Torgoff ponownie popatrzył na zegarek i poruszył się niespokojnie w fotelu. -

Naprawdę muszę iść. Chodzi o dwunastolatka i bilety na mecz hokejowy...

- Jeszcze sekundę. Gdyby Baresi tego dokonał... to znaczy gdyby odkrył sposób na odwrócenie procesu różnicowania komórek - dowiedzielibyśmy się o tym, prawda?

- Na pewno. - Torgoff wstał. - To byłoby odkrycie tak znaczące jak wynalezienie koła. Na pewno byśmy się o tym dowiedzieli. Chyba że...

- Że co?

Torgoff owinął się ciasniej szalikiem i podniósł kołnierz płaszcza. Wsunął czapkę głęboko na oczy.

- Bo ja wiem? Chyba że miałby wątpliwości. No wie pan... był religijny, prawda?

Wracając metrem do „Marriotta”, Lassiter nie wiedział, co o tym wszystkim myśleć. Czyżby Baresi dostrzegł Boga w cząsteczce związku chemicznego i dlatego zajął się teologią? Może. Ale co to miało wspólnego z Umbrą Domini i pasmem morderstw, ciągnącym się od Tokio po Waszyngton?

Koła pociągu stukotały, a Joe czuł rosnącą niecierpliwość. Dlaczego miał w ogóle zakładać, że zamięłowanie Baresiego do nauki i religii miało związek z całą tą sprawą? Ponieważ ksiądz tak powiedział?

TAK.

Kluczem do wszystkiego była najwyraźniej klinika - nie nauka i nie religia. KLINIKA PŁODNOŚCI. To ona była ogniwem łączącym ofiary. Po chwili Joe uświadomił sobie, że przecież, zamiast ganiać za fantomami, może porozmawiać z kobietami, które były pacjentkami kliniki. Miał ich nazwiska i adresy. Tych, których pobyty wynosiły około tygodnia. Żadnej nie przeszczepiano oocytu i żadna - o ile się orientował - nie zginęła. Było ich około setki, a nie rozmawiał z żadną z nich.

Ale Freddy i Riordan rozmawiali. I wszystko, czego się dowiedzieli, dało się streścić w jednym zdaniu: „Czyż życie nie jest wspaniałe?”. Zarówno dla Riordana, Freddy’ego i Lassitera było jasne, że żadna z tych kobiet nie była zagrożona. A jednak...

Opuścił głowę, przeciągnął palcami przez włosy i jęknął. Musiał to zrobić bardzo głośno, bo kiedy podniósł wzrok, mężczyzna po drugiej stronie przejścia wpatrywał się w niego z lekkim niepokojem. Lassiter niemal czytał w jego myślach: Jezu, akurat tego mi było potrzeba - następny pieprzony psychiczny...

Nagle przyszła mu do głowy kolejna myśl, a trafiła go tak mocno, że zadrżał i usiadł wyprostowany jak deska: a jeśli Baresi tego dokonał? Jeśli korzystał ze swojej kliniki, by klonować...

Ciąg logiczny się załamał. Klonować - CO? Albo: KOGO? Lassiter znów jęknął i mężczyzna naprzeciwko wstał, zaklął i ruszył w drugi koniec wagonu.

A jeśli naprawdę tego dokonał? Co wtedy? Co to mogło oznaczać? Może zmienił po jakimś czasie zdanie i kazał zamordować stworzone przez siebie dzieci?

Odpowiedź nadeszła natychmiast: to absurd. Poza tym chłopcy z kliniki nie mogli być klonami. Nie byli do siebie podobni. Brandon nie był podobny do Jessego, a ani jeden, ani drugi nie byli podobni do żadnego z chłopców, których fotografie oglądał. Ani do Martina Hendersona, ani do chłopaka Jifiego Reintera. Każdy był inny.

Klony więc odpadały. Chyba że...

Chyba że co? Chyba że byli klonami jakiejś grupy.

Ale jakiej? Kolegium Kardynalskiego? Drużyny AC Milan?

To było naprawdę absurdalne. Nawet jeśli Baresi mógł czegoś takiego dokonać - dlaczego miałby to robić? Nic nie sugerowało, że dzieci były częścią eksperymentu. Kobiety przyjeżdżały do kliniki, zachodziły w ciążę i jechały do domów. Wszystko odbywało się całkiem normalnie i o ile Lassiter się orientował, Baresi nigdy nie poprosił o zdjęcie żadnego z chłopców, nie śledził też ich rozwoju. Przeprowadzał czysto medyczną procedurę i na tym koniec.

Tyle tylko, że nie była to prawda.

Ponieważ wszystkie jego pacjentki zamordowano.

35

W Waszyngtonie rzadko bywało tak zimno.

Siedząc w wynajętym taurusie przed wydziałem komunikacji w Portland w stanie Maine, Lassiter trzymał dłonie przed wylotami nawiewu ciepłego powietrza i klął siebie samego. Nie powinien był użyć w biurze „Hertza” karty kredytowej. Powinien zapłacić gotówką. Ale nie wynajęto by mu samochodu za gotówkę, nie miał więc wyboru. A poza tym - jakie to miało znaczenie?

Choć jego palce owiewał strumień ciepłego powietrza, były lodowate od zdrapywania lodu z przedniej szyby, co zrobił złożonym egzemplarzem „Portland Press-Herald”. Nie jestem

odpowiednio przygotowany, myślał. Takie zimno - „przemysłowe” zimno - bywa w Minnesocie albo Saskatchewan. Skórzana kurtka nie chroniła przed nim, tak samo do niczego były drogie rękawiczki od Bergdorffa Goodmana. Potrzebuję rękawic z elektrycznym ogrzewaniem, pomyślał. I kombinezonu kosmonauty.

Zegarek na desce rozdzielczej wskazywał 8.56. Jeszcze cztery minuty do otwarcia. Powiniennem być pojechać do Sunday River i pokazać zdjęcie każdemu, kto tam pracuje. Ludziom, którzy wynajmowali mieszkania, ludziom, którzy ostrzyli narty, instruktorom narciarskim, szefom firm wynajmujących opiekunki do dziecka. Ale co by to miało dać? Każdego weekendu przewalał się przez Sunday River trylion ludzi, zdjęcie miało dwa lata, a poza tym nic nie sugerowało, że Marie Williams tam przebywała. Nie sprawiała wrażenia osoby, która przyjechała na narty. Stała pod McDonaldem, a góry były w tle, daleko.

Zdjęcie zostało jednak rzeczywiście zrobione przed „tą” górą.

W Sunday River. W motelu sieci „Ramada” leżały broszury, więc mógł porównać zdjęcie ze zdjęciem z reklamówki - bez dwóch zdań była to ta sama góra. A to oznaczało, że ta kobieta była w Maine - przynajmniej przez chwilę. Dwa lata temu.

Lassiter włączył radio i patrzył, jak z wydziału komunikacji wychodzi przypominająca kształtem gruszkę kobieta z dwiema flagami w rękach. Omijając lód na parkingu, podeszła do masztu flagowego i najpierw wciągnęła sztandar USA. Kilka sekund później do góry powędrowała flaga stanu Maine z sosną w ozdobnym herbie, po bokach którego stali kosiarz i marynarz. Zrobiwszy swoje, kobieta pospieszyła z powrotem do biura.

Głos w radiu oznajmił, że jest minus czternaście stopni „i robi się corrrazzz cieplej!”

Punkt dziewięta kobieta, która wieszała flagi, przekręciła klucz w drzwiach wydziału komunikacji i równocześnie zgasło kilkanaście silników. Z samochodów zaczęły wychodzić ranne ptaszki w puchowych kurtkach. Wszyscy natychmiast ruszyli sznurkiem w stronę budynku. Lassiter dołączył do nich i po chwili stał przed okienkiem z napisem INFORMACJA.

Zawsze uważał, że dostęp do informacji o tablicach rejestracyjnych powinna mieć jedynie policja. Był to jednak bardzo staromodny pogląd, pochodzący z czasów, kiedy jeszcze istniało coś takiego jak „prywatność”, a ludziom się wydawało, że są właścicielami dotyczących ich faktów. W Epoce Informatyki nie czas był pieniądzem, a informacje. Tak więc stan Maine również w którymś momencie dołączył do stanów sprzedających informacje każdemu, kto był gotów za nie zapłacić.

Lassiter doskonale wiedział, że istnieją firmy sprzedające spisy nazwisk, zestawione według potrzeb klienta. Jeśli ktoś potrzebował listy nazwisk bezdzietnych właścicieli domów, których wspólny roczny dochód przekracza sto tysięcy dolarów, do tego mieszkających w obrębie wyznaczonym przez określone kody pocztowe - informację taką można było uzyskać w kilka minut. Jeśli ktoś chciał, aby powyższą listę ograniczyć do białych mężczyzn, którzy debetowali konta, też dało się to załatwić.

Wydział komunikacji stanu Maine był równie sprawny w dostosowywaniu sprzedawanych przez siebie list do potrzeb klienta. Dzięki komputerowi usługa była dostępna z zastosowaniem dowolnych kryteriów. Kiedy Lassiter powiedział, że chce mieć spis nazwisk i dat urodzenia właścicieli busów marki Volkswagen, wyprodukowanych w latach 1965-75, urzędniczka spytała jedynie:

- Chce pan wydruk czy naklejki na koperty?

- Wystarczy wydruk - odparł Lassiter, po czym podał urzędniczce banknot studolarowy i trzy dziesiątki (za „ekspres”).

- Może pan odebrać jutro, po dziesiątej.

Miał więc do zabicia całą dobę. Połowę czasu zamordował, jeżdżąc samochodem po okolicy bez szczególnego celu. Lubił Maine. W skalistym terenie, śniegu i sosnach było coś czystego i wolnego. Mijał dziesiątki niedużych miasteczek i wsi, które sprawiały wrażenie, jakby zbudowano je wokół lodowisk i budek z gazetami, przystani dla łodzi i księgarń. I choć niektóre psuł widok pustych albo pretensjonalnie odrestaurowanych budynków, czuł z nimi emocjonalną więź. Może było to złudzenie, ale wydawały się znacznie lepszym miejscem do zachowania cywilizowanego życia niż pokawałkowane „miasta”, ciągnące się w górę i w dół wybrzeża.

Kiedy wrócił do motelu, była piąta i zdążyło się już ściemnić. Usiadł w fotelu, położył nogi na biurku i zaczął czytać kolejne artykuły o Calliście.

Przebijał się przez materiały dostarczone przez agencję, coraz bardziej cofając się w przeszłość, i właśnie dotarł do roku 1986. Dziesięcioletnie artykuły o Calliście Bates nie zalewały człowieka lawiną szczegółów dotyczących jej osoby, nie prezentowały parady dawnych kochanków i przyjaciół, próbujących dodać sobie znaczenia zrozumiałymi tylko dla nich anegdotami, ale były za to pełne najdziwszych spekulacji na temat tego, kim ona jest, skąd pochodzi i dlaczego tak skrywa swoją przeszłość.

Wyłynęła w Hollywood w 1984 roku w remake'u *Zaginionego horyzontu*, „małym” filmie, który nieoczekiwanie stał się przebojem. Powszechnie uważano, że zaskakujący sukces tego filmu był przede wszystkim zasługą nieznannej aktorki, grającej główną rolę kobietą. Choć posługiwała się bardzo prostymi środkami wyrazu, rozświetlała cały ekran. Film z łatwością mógłby stać się kliwosentymentalnym, „nowoczesnym” melodramatem z pompatyczną muzyką i wyidealizowanymi krajobrazami, ale osobowość Callisty uratowała go przed jego niewydarzonymi twórcami, a jej obsadzenie dowiodło, że szef castingu jest geniuszem.

W 1990 roku (kiedy aktorka zniknęła), jej niezłomne milczenie na temat przeszłości zostało zaakceptowane i nikt się już nim nie przejmował. Jednak w 1986 roku szczegóły z jej prywatnego życia były wodą na młyn brukowców. Cytowano aktorkę, że istnieje - choć cienka - granica między wolnością prasy i prawem do intymności, a ci, którzy ją przekroczą, niech przestaną liczyć na to, że będzie odpowiadać na telefony. Reakcje na to oświadczenie były różne. Niektóre wydawnictwa unikały zadawania Calliście pytań o jej przeszłość, inne jednak zleciły swoim dziennikarzom prześledzenie jej. Argumentowały przy tym, że to, co aktorka mówi, to jedynie pozory, sama bowiem najlepiej wie, że gdy przestanie *się* o niej pisać, jej kariera załamie się, zanim zdąży się rozwinąć.

Callista stwierdziła: świetnie, wy macie swoją pracę, ja mam swoją i jeśli zdecydujecie się grzebać w mojej przeszłości, wasza sprawa - nie spodziewajcie się jednak, bym chciała wam w tym pomagać. Wkrótce odbyła się premiera *Pippy*, a kiedy film okazał się wydarzeniem, brukowiec pod nazwą „Startrak!” opublikował sensacyjną informację, wydedukowaną z wywiadu przeprowadzonego z prywatną sekretarką Callisty.

SKRYWANA TRAGEDIA CALLISTY: JEST SIEROTĄ!

Aktorka nigdy nie próbowała dementować tej informacji - ani jej nie potwierdziła. Po prostu zwolniła sekretarkę i poinformowała jej następczynię, że telefony od redakcji pisma „Startrak!” należy ignorować.

Chwile potrwało, zanim brukowce pojęły, jak poważnie Callista traktuje swoją zapowiedź. Przez dwa lub trzy lata nadal pojawiały się wyssane z palca historyjki o młodości tak popapranej, że aktorka nie jest w stanie jej wspominać. Pojawił się przynajmniej tuzin „rodziców”, twierdzących, że

Callista jest ich jedynym dzieckiem, a pocztą pantoflową krążyły plotki o tragicznym dzieciństwie, liczne jak kulki w pachinko, z których część publikowano: że utopiła swojego młodszego braciszka, występowała w filmach porno oraz że *ma na koncie* wyroki za oszustwa pocztowe, kradzieże sklepowe i handel bronią.

Jedno z wydawnictw posunęło się nawet tak daleko, że umieściło zdjęcie Callisty na liście gończym. Zainstalowano „gorącą linię”, zaczynającą się od ośmiuset i sfabrykowano przy użyciu grafiki komputerowej szereg zdjęć, przedstawiających aktorkę w wieku szesnastu, dwunastu, ośmiu i czterech lat oraz zaraz po urodzeniu.

Jeden z tytułów brzmiał: ZNASZ TĘ DZIEWCZYNKĘ? - inny błagał: MAMO CALLISTY - GDZIE JESTEŚ?

Było to śmieszne, oburzające i raniące - odniosło jednak całkiem przeciwny skutek. „New Yorker” uczynił ją główną bohaterką liczącego dwanaście tysięcy słów artykułu na temat „przerzutów sławy” i negatywnego wpływu tego zjawiska na prywatne życie osób publicznych. W ślady „Yorkera” poszli inni dziennikarze, chwając opór Callisty - choć jednocześnie cytowali stwierdzenie Andy’ego Warhola o nieuniknioności wrzawy wokół znanych ludzi.

Z detektywistycznego punktu widzenia z żadnego artykułu nic nie wynikało. Callista mogła być sierotą albo jednym z pięcioraczków - nie dałoby się tego ustalić. Informatorzy brukowców są najczęściej anonimowi i niewiarygodni. Ale jedno było jasne: kiedy przyjdzie co do czego, Callista Bates nie podziękuję Lassiterowi za to, że ją wyśledził.

Wieczorem poszedł do lokalu o nazwie „Muddy Rudder”, gdzie zjadł homara i splukał go butelką pilsnera urquella.

- W zimie są słodsze - powiedziała z entuzjazmem kelnerka. Lassiter dopiero po minucie pojął, że chodzi jej o smak homara.

O dziesiątej wieczorem był już w pokoju i zabrał się do czytania „Boston Globe”. Rozpisywano się głównie o sprawach, które już nie były najświeższe - jeżdżąc po południu samochodem wzdłuż wybrzeża, o większości z nich słyszał w radio. Przekazywano najnowsze szczegóły dotyczące katastrofy samolotu, przedstawiano aktualności z Bośni, informacje o stopach procentowych, wyborach wstępnych oraz fałszerstwach na Bliskim Wschodzie.

Kiedy podróżował, zwykle bardzo pobieżnie przeglądał lokalne wiadomości - cóż go mogły interesować polityczne manewry w Bostonie albo defraudacja środków przeznaczonych na dobroczynność w Foxboro? W tym numerze „Globe” znalazł jednak w części lokalnej ciekawy artykuł o pisarzu Nicku Oglesbym i gdy przewrócił stronę, szukając dokończenia artykułu, zamarł na widok *Mlvia delia Torre*, uśmiechającego się ze sporego zdjęcia.

Towarzyszący fotografii artykuł zatytułowano: TŁUMY SŁUCHAJĄ MSZY PO ŁACINIE.

BROCKTON. Mimo zdradliwych dróg i temperatur w okolicy zera, ponad tysiąc wiernych przybyło w niedzielę do katolickiego kościoła pod wezwaniem Naszej Pani Pomocnej Chrześcijanom, by wysłuchać ojca *Silvia delia Torre*, odprawiającego mszę po łacinie.

Stojąc plecami do zebranych, przywódca zakonu tradycjonalistów celebrował mszę potężnym głosem, który wypełniał kościół, doprowadzając wielu obecnych do łez. Podczas gdy jedni chwalili „potęgę i piękno ceremonii”, inni mówili o poczuciu niemal mistycznego związku z pokoleniami katolików, którzy odprawiali msze w tym właśnie starożytnym języku.

W swym kazaniu, wygłoszonym po angielsku, *delia Torre* wezwał do „bardziej atletycznego katolicyzmu” i nakłaniał obecnych do „dania twardego odporu odrażającym wynaturzeniom nauki”.

Przywódcą tradycjonalistów jest we Włoszech zwierzchnikiem gwałtownie rozrastającego się zakonu laickiego o nazwie Umbra Domini. Przybył do Bostonu w piątek, aby przeciąć wstęgę w nowym hospicjum zgromadzenia w Brookline.

Reguła Umbry Domini odrzuca szereg zmian wprowadzonych przez Drugi Sobór Watykański i podkreśla prawo katolików do wyznawania wiary w tradycyjny sposób. Ta odmienność doktrynalna została kilka lat temu zaaprobowana przez Watykan.

Rzecznik zgromadzenia stwierdził, że plan amerykańskiej podróży delia Torrego jest „elastyczny” i nie wyznaczono terminu wyjazdu.

Lassiter przeczytał ten artykuł z łomoczącym sercem, a kiedy skończył - przeczytał go ponownie. Potem nalał sobie szkockiej z minibarku i - wpatrując się w zdjęcie księdza - wychylił alkohol jednym haustem.

Rano pojechał do wydziału komunikacji. Odbijające się od śniegu światło powodowało, że przez całą drogę musiał mrużyć oczy. Niebo całkowicie zakrywały chmury i choć temperatura wspięła się nieco wyżej niż poprzedniego dnia, zrobiło się wilgotniej. Efektem tej mieszanki był wnikający w każdy zakamarek ubrania ziąb i marzenia o Florydzie.

Urzędniczka w „Informacji” dała mu szarą kopertę, z którą podszedł do długiego stołu pod ścianą. Siedziała przy nim blondynka o bladej niezdrowej cerze i wypełniała formularz długopisem, zamocowanym do stołu na krótkim łańcuszku.

Wydruk liczył mniej więcej dziesięć stron i wymieniał każdego VW busa z lat 1965-75, którego zarejestrowano w stanie Maine. Dane ułożono alfabetycznie, a zawierały nazwisko właściciela, jego adres i datę urodzenia, numer rejestracyjny samochodu i rok jego produkcji. Szczególnie ważne były daty urodzenia, dzięki temu Lassiter mógł zawęzić listę do kobiet po trzydziestce.

Callista urodziła się w 1962 roku.

Spodziewał się żmudnej pracy. Po odrzuceniu mężczyzn i zawężeniu spisu do kobiet w odpowiednim wieku zamierzał każdą osobiście odwiedzić w domu. Sunąc po liście od A do Z, stawał właśnie siedemnastego ptaszka, kiedy ujrzał zapis:

Sanders, Marie A.

Ur.: 08.03.62.

Skr. poczt. 39

Cundys Harbor, 04010 Maine

Volkswagen (bus): 1968

EAW-572

Pierwsze, co zwróciło jego uwagę, to „62”, potem „Marie”. Wbił wzrok w datę. 08.03. Urodziła się ósmego marca? Był pewien, że znalazł to, czego szukał.

Jezus Maria... znalazłem ją wreszcie, pomyślał.

Walnął pięścią w stół, a dziewczyna z niezdrową cerą podniosła głowę i popatrzyła na niego z taką wrogością, że się przeraził. Wsunął listę do kieszeni i pobiegł do samochodu, o mało nie wywracając się na lodzie.

To musiała być ona. Prawdopodobieństwo, że w stanie Maine mieszkały dwie Marie, urodzone ósmego marca tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego drugiego roku i posiadające volkswagena busa, było raczej niewielkie.

Jednym szarpnięciem otworzył skrytkę, wyjął mapę i zajrzał do indeksu. Cundys Harbor: K-2. Zaczął wodzić palcem po pustym płaskowyzu Quebecu, przeciął granicę z Maine, zjechał w dół po

plataninie jezior i miast i zatrzymał się na kropce niedaleko brzegu - nieco na południe i wschód od Brunswicku.

Godzinę później jechał między sosnami rosnącymi na terenie Bowdoin College (dzięki, Dicky Biddle!). Skręcił w prawo przy znaku z napisem:

WYSPA ORRS

Nawet przy nisko wiszących chmurach okolica wyglądała pięknie - głązy koloru łupku i ciemnozielone sosny odcinały się wyraźnie od chmur. Światło miało szczególny koloryt, było intensywnie szare, co sygnalizowało bliskość oceanu. Jechał według mapy i mijał kolejne pozamykane na zimę punkty gastronomiczne i handlowe: restaurację nad brzegiem, budkę reklamującą paszteciki z homarem, sklep z pamiątkami. Droga w końcu się rozwidliła - ślepa lewa odnoga, prowadząca do wioski Cundys Harbor, nie tylko skręcała łukiem, ale gwałtownie się zwężała. Widząc flagę, Lassiter skierował się na nią i po chwili wjechał na niewielki parking przy poczcie, pełniący również funkcję sklepu spożywczo-przemysłowego.

Od razu dostrzegł stojącego niedaleko niebieskiego busa VW i nawet bez dokładnego przypatrywania się wiedział, że należy do Callisty. Jedna naklejka na zderzaku oznajmiała: FRODO ŻYJE, druga: WIZUALIZUJ WIRUJĄCY GROCH. Między naklejkami znajdowała się tablica rejestracyjna:

EAW-572

I co teraz? Stał na półce skalnej tuż obok niewielkiego budyneczku, jakieś trzydzieści metrów od brzegu zatoki. Należało zakładać, że Callista... że Marie jest w sklepie. Ale tyle razy ją prześladowano, śledzono... nie zamierzał jej przestraszyć.

Mogła go pamiętać z pogrzebu Kathy, jednak nie oznaczało to jeszcze, że się ucieszy z jego odwiedzin. Podszedł do wody, zastanawiając się, co robić. Do tej pory tak bardzo skupiał się na szukaniu, że nawet nie pomyślał, jak ma wyglądać samo spotkanie. Stał w rozterce nad wodą i wpatrywał się w przybój.

Cundys Harbor wyglądało jak widoczek z pocztówki, ale nie stanowiło obiektu muzealnego. Była to rybacka wioska, której męska część mieszkańców w dalszym ciągu wypływała na morze łowić. Drewniane nabrzeże było pokryte warstwą pąkli, piętrzyły się na nim pułapki na homary i inne rybackie akcesoria, na kotwicy w porcie stała zbieranina przeróżnych jednostek. Był wśród nich duży rdzewiejący trawler i kilka starych kutrów homarowych, między którymi cumowały dwie błyszczące nowe łodzie z centralnymi sterówkami.

Był odpływ i mulista, poprzecinana skałami oraz zarzuconą żółtymi wodorostami płaszczyznę brzegu pokrywał lód, który skuł powierzchnię, a kiedy woda odpłynęła, popękał i się pokruszył. Niebo zaciągnęły podłużne pasma chmur i ciemniało. Gdy przenikliwy wiatr zadął mocniej, Lassiter zaczął dygotać. Powinien kupić sobie ciepły płaszcz. Albo wejść gdzieś.

Poczto-sklep był antycznym budyneczkiem obstawionym wewnątrz regałami, na których stały różnego rodzaju artykuły spożywcze, ze staromodną chłodnią na mleko, jajka i piwo. Kiedy Joe wszedł, siwa kobieta za ladą podniosła wzrok znad gazety.

- Witam! - powiedziała, wymawiając to słowo tak, jakby wypowiadała ostrzeżenie.

Lassiter uśmiechnął się, podszedł prosto do opalanego drewnem pieca i zaczął grzać sobie ręce. Sklep był pełen map pływów i zwykłych map, przynęt, scyzoryków, latarek, artykułów spożywczych, tanich cukierków, sprzętu elektrycznego, ciastek, gazet i precli. Pod przeciwległą ścianą znajdowała się miniaturowa poczta z dużą skrzynką do wrzucania listów, kontuarem i szeregiem niedużych

brązowych skrytek pocztowych.

Nie było tu jednak ani Callisty Bates, ani Marie Sanders.

W końcu siwa kobieta odezwała się z gardłowym maineńskim akcentem:

- Mogę w czymś pomóc, mój drogi? A niech to.

- Mam nadzieję. Szukam Marie Sanders.

- Ojej! - zawołała kobieta, wyraźnie spłoszona.

- To jej samochód, ten na zewnątrz?

- Tak... zgadza się. Ale jej samej nie ma. Jest pan znajomym Marie?

Lassiter skinął głową.

- Kiedy się jej pani spodziewa?

- Za miesiąc. Może za sześć tygodni.

Lassiter pokręcił głową, zdezorientowany i rozczarowany.

- Sądziłem, że tu mieszka.

- Jasne, że mieszka. Niedokładnie tutaj, ale niedaleko. - Czyli... podróżuje...

Bładobłękitne oczy kobiety błysnęły za okularami i nagle zachichotała jak nastolatka.

- O rety... chyba nic pan z tego mojego gadania nie rozumie. Pokażę panu. - Narzuciła obszerny niebieski sweter i dała Lassiterowi znak, by wyszedł z nią na zewnątrz. Zamknęła drzwi pchnięciem biodra. Wiatr wiał tak mocno, że kiedy szli na nabrzeże, musieli schylić głowy. - Tam - powiedziała i wskazała na widoczny na horyzoncie łańcuszek wysp. - Są na ostatniej.

Lassiter zamrugał.

- Mieszkają tam?

- Ano! W przejrzysty dzień widać dym z komina! - Wzdrygnęła się. - Chodź do środka, słodziutki.

Zrobię herbaty.

Wrócili do sklepu.

- Chyba musi mieć radio - zauważył Lassiter.

- Ma telefon komórkowy.

- W takim razie...

- Ale nie działa.

- Żartuje pani.

Kobieta pokręciła głową i weszła za kontuar, by włączyć elektryczny czajnik.

- Nie. Jonathan próbował ją złapać tuż przed ostatnim wielkim sztormem i słyhać było tylko jeden ciągły szum. Może mieć problem z akumulatorem... to się już zdarzało. Popatrz pan tutaj... - Wyszła zza kontuaru i podeszła do wielkiej mapy na ścianie. Była to mapa morska - ląd był blady, na wodzie roilo się od danych dotyczących głębokości, prądów i kształtów dna. Kobieta położyła palec na porcie w kształcie perskiej szabli. - Jesteśmy tutaj - powiedziała, po czym przesunęła palec na jedną z trzech wysepek - a pańska znajoma tutaj.

- Sanders Island - przeczytał. Wyspa SANDERS? W takim razie musiało to być jej prawdziwe nazwisko, rodowe.

- Na mapie jest taka nazwa, słodziutki, bo kiedy kapitan Sanders kupił tę wyspę - o, dawno temu! - chciał, by tak właśnie się nazywała, i dopiął swego! Ale nie znajdziesz tu nikogo, kto by ją tak nazywał - wszyscy mówią Rag Island.

- Czemu tak ją nazwano?

Kobieta weszła za kontuar i wyłączyła czajnik.

- Popatrz na linię brzegową. Ta wyspa ma więcej wyszczerbień i poszarpań, niż da się zliczyć. A ta zaraz obok - Dutchess Is land - ma brzeg tak gładki, że ledwie da się znaleźć miejsce do przywiązania łodzi.

Lassiter patrzył niewidzącym wzrokiem na regalik z tanimi cukierkami. Były tam Marie Janes, Tootsie Rolls, „atomowe grzyby”.

- Cukru? - spytała kobieta. - Śmietanki? Pół na pół?

- Jedno i drugie, proszę.

- Jak ja. Też lubię białą i słodką. - Po chwili postawiła na kontuarze dwie filiżanki. Z delikatnej chińskiej porcelany, na talerzykach. - Nie przepadam za kubkami - dodała.

Lassiter w ciągu kwadransa dowiedział się od niej („Maude Hutchinson - ale powiem ci, że nie mam nic wspólnego z Maude z TV”), co lubi, a czego nie, jak długo tu mieszka („od zawsze, mój drogi”) oraz poznał trochę faktów dotyczących historii Cundys Harbor. Kiedy rozmawiali, przyszło kilku mężczyzn po papierosy i kobieta po pocztę. Gdy Lassiter ponownie zagał o Marie Sanders, pili już drugą herbatkę.

- A więc Marie zostaje sama przez całą zimę na wyspie?

- Z chłopcem. - Maude zamieszała cukier. - Pierwszy raz. Nie było tam chyba nikogo ze dwadzieścia pięć lat! Jasne, że pamiętałam Marie z tamtych czasów, ale po tylu latach wcale jej nie poznałam.

- Chce pani powiedzieć, że... znała ją jako dziecko?

- No jasne! Znałam jej rodziców. Mieszkali na wyspie całą rodziną. Nawet brat, choć był chorowity. Owijali go w koce i wynosili tak do łodzi. A stary John Junior? Był z niego wspaniały żeglarz! Spędzali na wyspie każdy weekend lata - i wszystkie wakacje. Była z niej taka chudzinka... miała z pięć lat. A teraz siedzi tam z własnym chłopakiem.

- Jej rodzice mieszkają tu w okolicy? Pokręciła głową.

- Boże, nie! Nie żyją od lat. Marie ci nie mówiła?

- Nie.

- Nie dziwię się. Jest z tych, co nie chwala się swoimi sprawami. Boże, pobłogosław jej... - Wciągnęła gwałtownie powietrze. - Pewnego dnia John Junior pojechał chlać do Portland i Amanda wyjechała po niego. Kiedy wracali, powiedział, że może prowadzić, i chyba tak też było... przez parę minut. Do chwili, aż wjechali na tory. Adwokaci mówili, że szlaban był popsuty, ale nigdy tego nie udowodniono, a prawda była taka, że John Junior był nerwowy jak osa. Niemal go widzę, jak próbuje prześcignąć Pociąg. - Pokręciła głową. - Cóż, siostra Amandy wzięła Marie. Mieszkały w Connecticut. Wtedy widziałam ją ostatni raz, aż...

- ...pokazała się niedawno - dokończył Lassiter.

- Tak. Jest śliczna jak obrazek i odważna jak cholera. Zaraz potem na wyspę zaczęli jeździć robotnicy, zakładać szambo, ocieplenia, dobrą łazienkę, piece na drewno, robić przystań i jeszcze nie wiadomo co. - Kobieta znowu wciągnęła głośno powietrze i pokręciła głową. - W całym mieście o tym mówiono... że to idiotyczne. Jeśli zechce sprzedać dom, nakłady nigdy jej się nie zwrócą.

- Dlaczego?

- Nie ma tam prądu i prawdopodobnie nigdy nie będzie. - Dopiła herbatę. - Jak czasy się zmieniają!

- Co ma pani na myśli?

- Kiedyś było tak, że ludzie przyjeżdżali tu nad morze albo płynęli na wyspy... chodziło o powrót

do natury, ucieczkę od codzienności. O to, by trochę pomieszkać w lesie - bez telefonów i tosterów, tylko ze świecami, piecykiem i wodą ze strumieni i beczki na deszczówkę.

Lassiter bąknął coś o skautingu i modzie na powrót do natury.

- Kiedy kapitan kupił... - uśmiechnęła się i pochyliła głowę - ...Sanders Island, zrobił to dlatego, że wyspy były najlepszym miejscem na świecie. Wtedy im coś było bardziej odludnego, tym lepiej, ale teraz nikt nie chce żyć w prymitywie, ludzie chcą żyć tak jak na co dzień, wygodnie, tylko gdzie indziej. Stare domy na wyspach zaczęły się rozpadać - bo nikt nie chce żyć inaczej niż we własnym wygodnym domu.

- Najchętniej zabraliby je ze sobą. Zachichotała.

- Zgadza się. Bóg nie pozwolił pominąć choćby jednego odcinka „60 minut” albo meczu Red Soxów.

- Więc będzie mieszkać tam całą zimę bez prądu?

- Najpierw spędziła tam całe lato, potem mieszkali od maja do listopada. Ten rok jest pierwszy, kiedy próbuje wytrzymać przez cały czas. - Kobieta zmarszczyła czoło. - Oczywiście paru ludziom to się nie podoba, wcale a wcale, mimo że miejscowi są znani z tego, że nie wtykają nosa w cudze sprawy.

- Dlaczego im się to nie podoba? Bo wyspa leży na odludziu?

- Nie, to nikogo tu nie rusza. Niezadowoleni są tylko mężczyźni... są źli z zazdrości. Ona sama rąbie drewno, zakłada sieci, dba o swoje sprawy... a mężczyźni nie mogą zrozumieć, jak kobieta potrafi sobie poradzić bez ich pomocy. Kobiety martwią się o chłopca.

- A pani? Wzruszyła ramionami.

- Też się o niego martwiłam, ale Jesse to taki słodziak... i jest szczęśliwy. Ona świata poza nim nie widzi. Zaczęłam więc sobie myśleć: czego takiego mu brakuje? Komiksów, gier telewizyjnych i Wal-Marta?

- A gdyby wydarzył się jakiś wypadek? Kobieta westchnęła.

- No tak... Wszyscy z nią o tym rozmawiali, a ona odpowiadała: „Mamy raketnicę. Gdyby cokolwiek złego się wydarzyło, dam znać”. Mimo to wolałabym, gdyby miała odpowiednią łódź.

- Nie ma łodzi?

- Ma, ale kiepską. Nie taką, która nadaje się na zimę przy tych wodach. - Przerwała na chwilę, po czym spytała: - Jak poznałeś Marie?

W jej głosie był sztuczny brak zainteresowania i Lassiterowi przemknęło przez myśl, że kobieta może podejrzewa, iż to on jest ojcem Jessego.

- Poznaliśmy się na pogrzebie mojej siostry - odparł - a ponieważ byłem w sprawach zawodowych w Portland, pomyślałem sobie, że może ją odwiedzę. Nigdy nie wspominała o wyspie.

- Uśmiechnął się i pokręcił głową. - Zastanawiam się - powiedział, jakby dopiero mu to przyszło do głowy - czy jest tu ktoś, od kogo mógłbym wynająć łódź?

- O nie, mój drogi. Nikt, kogo znam, nie wynajmie ci teraz łodzi. Nie o tej porze roku.

- Dlaczego? Z powodu lodu?

- Nie ma tu zbyt wiele lodu. Zamarzamy nieczęsto, raz na parę lat. Jest za dużo wody.

- Więc dlaczego taki kłopot z łodziami?

- Bo jest zimno, słodziutki. Mała łódka nie będzie bezpieczna. Potrzeba czegoś z kabiną i ogrzewaniem. Inaczej wystarczy drobny problem z silnikiem... oderwanie się nitu, zawleczeni czy czegoś w tym rodzaju... i zamarzasz jak sople. W otwartej łódce jest paskudnie zimno. A jeśli

wypadnie się za burzę... koniec pieśni. Nie sądzę, by ktoś wytrzymał dłużej niż dwie minuty.

- Więc w zimie nikt nie wypływa?

- Tylko homarowcy i jeżonurcy są wystarczająco szaleni... ale gdyby nie pieniądze, oni też by tego nie robili.

- Jeżonurcy...?

- To ci, co nurkują za jeżowcami. Jeżowce lubią zimną wodę, a Japończycy lubią jeżowce. Tak mi mówiono. Osobiście nigdy bym tego nie tknęła.

- Myśli pani, że któryś z łowców homarów albo jeżowców zechciałby mnie zabrać na wyspę?

Kobieta zrobiła powątpiewającą minę.

- Homarowcy? Nie. W zimie wypływają tylko ci, co mają naprawdę duże łodzie. Jeżonurcy? Może. Ale to by kosztowało kilka groszy.

- Nie szkodzi. Wie pani, gdzie mógłbym jakiegoś znaleźć? Zapytać nie zaszkodzi.

- Możesz iść do Erniego. To sklep z wyposażeniem dla łodzi, spotykają się tam rybacy. Zazwyczaj zawsze ktoś się tam kręci.

Lassiter podziękował i zapewnił, że rozmowa była dla niego ogromną przyjemnością.

Kobieta była wyraźnie zadowolona i nieco zażenowana. Zaczęła nerwowo zbierać filizanki.

- Nie sądzę, byś dziś dokądkolwiek popłynął - mruknęła. - Szykuje się kiepska pogoda.

Ernie, właściciel sklepu i równocześnie komendant portu, powtórzył tę przepowiednię, kręcąc potężną głową. Sklep wypełniał najróżniejszy sprzęt - wielkie różowe boje do cumowania, tysiące mosiężnych okuć w niewielkich opakowaniach, mapy, raketnice, kamizelki ratunkowe i mnóstwo innych rzeczy. W głębi pocharkiwiała radiostacja - niezrozumiały głos przerywał co pewien czas burzę zakłóceń, nadając jakiś komunikat.

- Kanał pogodowy mówi, że w drodze jest kolejny północno-wschodniak. Nie powinien się zjawić przed ranem. Panu może to wystarczyć, ale... nie wiem. Nie podoba mi się to. Nikomu bym nie radził wypływać. Absolutnie, drogi panie.

- Właściwie to miałem nadzieję porozmawiać z kimś, kto... Ernie kiwnął głową w kierunku tyłu sklepu.

- Jak pan chcesz, to próbuj pan. Jest tam paru chłopaków. Pytać zawsze wolno.

- Nie chcecie, żebym płynął, bo potrzebujecie czwartego do gry - mówił młody mężczyzna o imieniu Roger do swoich towarzyszy. - Ale nic z tego. W Tokio płacą za kilo jeżowca dwieście dolców, a jeśli szybko paru nie znajdę, tłumik w moim aucie zrobi się jeszcze głośniejszy.

Był wielkim, pogodnym chłopakiem z długimi czarnymi włosami i brodą w kolorze „pieprz i sól”, grubymi brwiami nad bystrymi oczami i śnieżnobiałymi zębami. Miał na sobie jasnożółty kombinezon i buty tak gigantyczne, że wyglądał jak Paul Bunyan. Lassiter właśnie się z nim umówił, że za trzysta dolarów zawiezie go na Rag Island, a następnego dnia go stamtąd zabierze.

Jeden z mężczyzn przy stole - pokręcił głową.

- Sztorm idzie - powiedział tonem typu: „a nie mówiłem?”. - Popatrz na barometr.

- Nie ma jeszcze ostrzeżeń dla najmniejszych jednostek - odparł Roger. - Poza tym jak jutro będzie sztorm, zakręci dnem i do weekendu będę robił w gacie ze szczęścia.

- Twój pasażer będzie potrzebował nieprzemakalnego kombinezonu.

- Może weźmie twój? I tak się nigdzie nie wybierasz. - Roger zwrócił się do Lassitera. - Chcesz piankę? Nie zmarzniesz.

- Nie wiem - odparł Lassiter. - Zrobię, co każesz.

- Będziesz jej potrzebował... - Roger zwrócił głowę ku ścianie, na której kiwało się wahadło zegara informującego o pływach. - Jeśli wiatr walnie mocniej, da ci popalić... - Przekrzywił głowę. - Możesz zamarznąć na wylot i stracę licencję.

- Zamarznąć... na wylot? - spytał Lassiter. Roger kiwnął głową.

- No tak. Ale myślę, że będziesz mógł wziąć mój stary kombinezon. Spory z ciebie gość.

Jeden z mężczyzn przy stole roześmiał się.

- Twój stary kombinezon? Kiedy widziałem go ostatnim razem, był rozdarty na dupie. Po co go w ogóle trzymasz?

- To tylko małe rozdarcie. Przecież Joe nie będzie nurkował, nie? Pianka ma go tylko ogrzać w łodzi. No i nie zamarznie, kiedy go wysadzę na brzeg.

- Rodge ma rację - stwierdził mężczyzna w czapce Red Soxów. - Żeby zabić muchę, nie potrzeba bomby atomowej, a na małą wycieczkę łódką nie trzeba idealnej pianki.

Roger przyniósł z magazynku w głębi baraku piankowe kombinezony i specjalną ocieplaną bieliznę, po czym ustalili szczegóły.

- Nie pachną za ładnie - powiedział do Lassitera, rzucając mu kalesony. - Przepraszam.

Lassiter wzruszył ramionami, rozebrał się i zaczął wkładać przyniesione przez Rogera rzeczy. Kiedy skończył, zwinął swoje ubranie w niewielki pakunek i nałożył na kombinezon skórzaną kurtkę. Wyjął z kieszeni spodni portfel, ale gdy zaczął go wsuwać do wewnętrznej kieszeni kurtki, stwierdził, że coś już tam jest.

List Baresiego.

- Coś się stało? - spytał Roger, widząc jego minę.

- Nie, skądże znowu. Coś mi się tylko przypomniało. Wsunął portfel obok listu i zapiął kieszeń. Włożył ubranie do plastikowego worka i zasupłał go. Umowa była taka, że Roger zawiezie go jeszcze tego samego dnia na wyspę i odbierze następnego popołudnia, przy przyływie.

- Oczywiście jeżeli pogoda pozwoli - zastrzegł się młody rybak. - Może się zmienić.

Lassiter wiedział, że plan jest ryzykowny - wchodzenie bez pozwolenia na wyspę, należąca do kobiety, którą straszliwi psychopatyczni natręci, nie mogło być inne, miał jednak nadzieję, że Marie przypomni go sobie z pogrzebu Kathy, poza tym był przekonany, że uda mu się wszystko wyjaśnić. Fakt, że nie będzie mógł opuścić wyspy do powrotu Rogera, może się nawet okazać plusem. Nie będzie mogła zatrzaskać mu drzwi przed nosem, będzie musiała zaprosić go do domu.

Poza tym nie mógł czekać miesiąc albo sześć tygodni, aż Marie Sanders zjawi się na lądzie stałym. Jeśli on ją znalazł, oni też mogą - a z pomocą Drabowsky'ego długo to nie potrwa.

Poszedł za Rogerem do nabrzeża, czyli pływającego pomostu, przymocowanego do schodzącej z brzegu lekkim spadkiem w dół rampy. Roger wyjaśnił, że to jedynie nabrzeże zimowe, skonstruowane tak, by w razie złej pogody móc je wraz z rampą bez trudu wyciągnąć z wody. Zeszli w dół rampą, która unosiła się i opadała w rytmie podpływania pod nią i ustępowania fal.

- Zaczekaj chwilę - powiedział Roger. - Zaraz wracam. Wziął czerwony ponton i rzucił go na wodę. Wskoczył do środka i powiosłował do błyszczącej białą łodzi z namalowaną na dziobie nazwą: GO-4-It. Wszedł na pokład, wciągnął ponton i przywiązał go. Minutę później silnik wydał z siebie basowe kasznięcie i zaskoczył, a dziób łodzi zaczął powoli skręcać. Z elegancją świadcząca o fachowości sternika łódź podpłynęła do nabrzeża, Roger wyskoczył i przytrzymał ją tak, by Lassiter mógł wejść na pokład.

Kokpit był pełen najróżniejszego sprzętu: butli do nurkowania, masek, lin, aparatury do

oddychania, bojek znakujących i innych rzeczy, których przeznaczenia Lassiter nie umiał się domyślić. Nagle - kiedy Roger odepchnął łódź od nabrzeża i wdrapał się na nią - łódź skoczyła gwałtownie do przodu. Weszli do kabiny, gdzie na podłodze stał niewielki, rozżarzony grzejnik.

Manewrując łodzią, Roger zaczął opowiadać o łowieniu jeżowców.

- To niebezpieczna praca, ale w dobry dzień mogę wyłowić ponad czterysta kilo. Płacą za kilo dwa dolary siedemdziesiąt pięć.

- Dlaczego w zimie? Woda jest lodowata - powiedział Lassiter, podnosząc głos, by przekrzyczeć silnik. Byli już na otwartym morzu.

- Taki jest sezon: od września do kwietnia. Kiedy łowi się je w lecie, ikra stanowi trzy procent wagi ciała, a w zimie dziesięć do czternastu. Dlatego łowienie w zimie bardziej się opłaca.

- To znaczy, że chodzi o ikrę, tak?

- Właśnie. Za to płacą. Japsy nazywają ją *uni*.

Lassiter czuł się wspaniale. Łódź była dobrze zaprojektowana, zdawała się mknąć bez trudu po szczytach fal. Cundys Harbor skurczył się za ich plecami do rozmiarów zabawki.

- Lubisz ją? - spytał Lassiter.

- Kogo?

- Ikrę. - Jeść?

- No.

- Boże, nie! - jęknął Roger. - Z Japońcami to jest tak... uważaj! - Zasłonił Lassitera ręką i gwałtownie skręcił w lewo. Rozległo się głuchoe tąpnięcie i łódź zadrżała pod ich stopami. - Kurrwa... mać - wydusił spomiędzy zaciśniętych zębów. Zredukował moc, aż przestali się posuwać do przodu i jedynie bujali się na boki na falach.

- Co się stało? - spytał Lassiter.

- Przywaliliśmy w kłodę.

- Skąd wiesz?

- Kiedy pływają po wierzchu, widać je. Kiedy toną, też dobrze. Ale kiedy się odpowiednio nasączą... wiszą tuż pod powierzchnią. Nie ma mowy, by je zobaczyć. - Dodał gazu i zaczął się wsłuchiwać w odgłos silnika. Pracował nierówno. Roger przekrzywił głowę. - Brzmi, jakbym ją tylko trącił. Może uda się wylądować. - Nagle walnął pięścią w konsolę, tuż nad kluczykiem zapłonu i dźwignią zmiany biegów. - Jasna cholera! Trzecia śruba w tym roku! - Po chwili na jego twarz wypłynął szeroki uśmiech, zawrócił, ustawił łódź na kursie i pchnął do przodu dźwignię przepustnicy. Chwilę później GO-4-It gnała przez fale. - O czym to mówiłem, zanim tak gwałtownie mi przerwano? - zapytał Roger i roześmiał się.

- O Japończykach! - przypomniał mu Lassiter, przekrzykując ryk silnika.

- No właśnie! Myślę sobie, że lubią wszystko, co jest trudne do zdobycia albo inne. Jak te małe drzewka... *bonsai*. Drzewo chce rosnąć duże - więc oni chcą, by urosło małe. I popatrz na ich ogródki - pełno w nich skał! Ikra jeżowców to kolejny przykład, bo jest niesmaczna. A inne rzeczy, które jadają - choćby rozdymka trująca. Przygotuj źle tę rybę, to zjesz kęs i nie żyjesz. - Roger rozejrzał się i zmarszczył czoło. - Chyba będziemy mieć sztorm nieco wcześniej. Rozejrzyj się.

Lassiter popatrzył wokół - fale były wyższe. Wiatr wiał silniej i wszędzie było widać na falach białe czapy. Mimo to jego zdaniem łódź powinna dać sobie radę.

- Jeśli jeszcze się pogorszy, wyrzucę cię i będę musiał zwiewać z powrotem. Ta zima zachowuje się jak dziwka.

- Jeśli byłby problem z lądowaniem na brzegu...

- Nie będzie problemu - stwierdził Roger, machając ręką. - Od zawietrznej jest dobre miejsce.

Problemem będzie nurkowanie. Nie mogę nurkować przy burzy, kiedy jestem sam.

Otworzył otoczone metalową obwódką okienko w przedniej szybie i wystawił głowę na zewnątrz. Nagle w kabinie zrobiło się mokro i lodowato. Po kilku sekundach Roger schował głowę i zamknął okienko.

- Zaczyna zdrowo dąć. - Wzruszył potężnymi ramionami. - Chyba cię wysadzę i zaraz wracam.

Najwyraźniej nie chciało mu się więcej gadać. Wziął kasetę i wsunął ją do magnetofonu. Zaczęło się od piosenki *Little Feat* i Roger bujał ramionami, wykonując coś w rodzaju rock and rolla w miejscu. Miał co najmniej metr dziewięćdziesiąt trzy wzrostu, ale poruszał się całkiem zgrabnie. Kiedy zaczął śpiewać, Lassiter stwierdził, że ma również niezły głos.

- Powinieneś zostać rockandrollowcem! - krzyknął. Łódź podskakiwała na falach, robiąc trzydzieści, może nawet trzydzieści pięć węzłów. Roger uśmiechnął się i machnął wielką dłonią w lewo.

- Pine Island - wyjaśnił. Potem nieco przykucnął, zawirował wokół własnej osi i klasnął w dłonie. - *If you'll be my Dixie chicken...* - zaśpiewał.

Lassiter wpatrywał się w wodę przez pełną smug soli przednią szybę i zastanawiał się, co powie Marie. „Niech pani nie strzela...”, albo: „Poznaliśmy się na pogrzebie mojej siostry”.

- Dutchess Island! - wrzasnął Roger, pokazując ręką zarys wyspy.

Zaczęła się następna piosenka: *Sultans of Swing* Dire Straits. Gdy z głośnika potoczyły się gitarowe licksy, Roger stuknął Lassitera w ramię i wskazał w przód i nieco w lewo.

- Rag Island. Widzisz ją?

Kiedy Joe podążył za spojrzeniem Maineńczyka, dostrzegł ciemną masę skał i drzew. Kiwnął głową i uśmiechnął się.

Roger ponownie skoncentrował uwagę na muzyce. Śpiewał wraz z Markiem Knopflerem, oddając się bez reszty temu zajęciu - oczy miał półprzymknięte, jakby nie mógł sobie pozwolić na utratę koncentracji. Gdyby Joe nieco trzeźwiej myślał, zaniepokoiłby się. Ale niestety również bujał w obłokach.

Słuchał drążących basów i synkopowanych licksów i mimo przeraźliwego zimna czuł się wspaniale: gnał przez fale na ratunek samotnej kobiecie, otoczony muzyką i wodą. Niemal czuł, jak grzywy białej piany rozpryskują się na boki, rozcinane ostrym dziobem. A Roger, jego nowy przyjaciel, wielki niczym Paul Bunyan poławiacz jeżowców, człowiek o jasno określonych poglądach na temat japońskiej kultury i znakomitym głosem, stał przy sterze i prowadził łódź prosto na...

Skały.

Wyspa wychynęła z ciemności, a kiedy na nią sunęli, Lassiter odwrócił się do swojego towarzysza z pytającym spojrzeniem - i zbladł na widok przerażenia w oczach wielkiego Maineńczyka.

- Cholera jasna! - wrzasnął Roger i gwałtownie zakręcił sterem. Potem rzucił się na przepustnicę w daremnej próbie wyhamowania, zanim łódź uderzy w brzeg.

Zanim rąbnęli w skały, Lassiter usłyszał jeszcze Marka Knopflera, który śpiewał właśnie: „Zespół gra Dixie, na cztery czwarte rżnie...” - i pomyślał: Hm... dwie piosenki pod rząd ze słowem „Dixie”...

Zaraz potem czas się zatrzymał, a kadłub „GO-4-It” wałnął z ogromną siłą w pokryte wodorostami głazy. Uderzenie rozpruło dno łodzi, Lassitera rzuciło na konsolę, kabina rozpękała się z trzaskiem i ze wszystkich stron zaczęła się wlewać woda. Głowę Joego wypełniła kaskada rozrywających uszy trzasków i wystrzałów oraz odgłosów rwanych poszyc.

Zgasło światło i wszystko ogarnęła natrętna ciemność. Poziom wody wciąż się podnosił. Z mroku wychynęła ręka i złapała Lassitera za ramię. Jednak w tym momencie - fala musiała unieść kadłub nad skały - podłoga stanęła dęba. Na chwilę znikło ciężenie, łódź i cały świat wokół trwały zawieszony w powietrzu, zatrzymane w apogeum procesu zniszczenia - i nagle GO-4-It znów załomotała o skały.

Tym razem czaszka Lassitera trafiła w coś twardego. W jego głowie eksplodowało jaskrawe światło, a przed oczami przemknęła krwistoczerwona parabola. Trzymająca go za ramię ręka rozluźniła chwyt i natychmiast znalazł się w wodzie - otumaniony i obolały.

Coś złego działo się we wnętrzu jego głowy. Dźwięki były nie takie jak należy - odległe, przytłumione, syczące, podobne do tych, jakie wydaje otwarta butelka wody sodowej.

Przez ułamek sekundy poczuł grunt pod stopami, zaraz jednak stracił z nim kontakt. Odruchowo zaczął walić nogami, jakby jechał w wodzie na rowerze. A była okropnie zimna. Lodowata. Wpływała przez dziurę w kombinezonie, dźgając jak nóż o lodowym ostrzu. Lassiter czuł, jak ucieka z niego całe ciepło, i wiedział, że ma zaledwie minutę - potem umrze, roztrzaskany o skały, utopiony albo „zamarznięty na wylot”. Ta myśl wypchnęła z jego ust jęk, otworzył oczy i mimo iż sól piekła, dostrzegł krąg pomarańczowych, ognistych języków, strzelających to tu, to tam krótkimi, gwałtownymi płomieniami.

„Jesteśmy sułtanami...”

Nagle znikąd wyskoczyła ściana czarnych skał. Zimno ścisnęło coraz bardziej płuca Lassitera, wyciskając z nich resztki powietrza. Przez sekundę znów poczuł coś pod stopami i z walącym sercem zrobił krok, potem następny. Woda spłynęła mu z klatki piersiowej, opadła do pasa, kolan, kostek. Rozległ się grzechot - i miliony kamyków zaczęły staczać się ku wodzie na fosforyzującej pianie. Przez chwilę Lassiter był jak sparaliżowany, zaraz jednak odwrócił się i z przerażeniem ujrzał Wielką Falę, spadającą na niego z nieba niczym ogromny czarny dom.

36

- Mamo, chyba się obudził!

- Jesteś tym razem pewien? - zapytał kobiecy głos.

- Tak. Chcesz wiedzieć dlaczego?

- Nie.

- Po-nie-waż... Powiedziałaś: „nie”! - Lassiter usłyszał dziecięcy chichot. - Ale przecież chcesz wiedzieć, mammo!

- Masz rację. Chcę.

- Ponieważ chociaż ma zamknięte oczy, pod spodem się poruszają. Bardzo szybko, jakby skakały.

Lassiter czuł na swoim policzku delikatne dmuchnięcia. Słodki oddech dziecka. Brandon? Znów rozległ się kobiecy głos:

- To, że się poruszył, wcale nie znaczy, że się obudził. To odruch. Prawdopodobnie usłyszał przez sen, jak upuściłam patelnię, i przestraszył się.

- Co to jest „oruch”?

- Odruch.

- Co to jest?

- Coś takiego, kiedy ciało reaguje samo z siebie. Na przykład... gdybym udała, że chcę ci wsadzić palec w oko, to nawet gdybyś nie chciał, zaciśniesz powieki.

- Chyba żebym wiedział, że wcale mi nie chcesz go wsadzić - wtedy trzymałbym oczy otwarte.

- Nie, właśnie na tym polega odruch, że nie możesz się powstrzymać. Jeśli coś leci na twoje oko, automatycznie się zamyka, żeby go nic nie zraniło.

- No to spróbuj wsadzić mi palec w oko - zaśmiało się dziecko. - Ale nie naprawdę.

- Pozwól mi najpierw pozmywać, dobrze?

- Dobrze - odparło dziecko i zaczęło nucić jakąś piosenkę. Lassiter, pływający w dziwnej, odległej przestrzeni, zaczynał sobie powoli przypominać: muzyka, ogromna fala, tonięcie... Jego powieki zamrugały i rozmazana mała twarz, oddalona o jakieś trzydzieści centymetrów, odsunęła się gwałtownie do tyłu.

- Aaaaa! Otworzył oczy! - zapiszczało dziecko, równocześnie zachwycone i przerażone. - Mamo! Obudził się!

- Och, Jesse... - powiedział kobiecy głos i zbliżył się. - Wpatrujesz się w niego tak długo i tak bardzo chcesz, by się obudził...

- Niiieeee! Popatrzył na mnie. Naprawdę.

Światło raniło oczy Lassitera, więc zamknął je ponownie, tym razem jednak nie wrócił do zimnej, martwej przestrzeni, w której był niedawno.

Głos kobiety spłynął na niego prosto z góry.

- Jess~see... on ciągle jeszcze śpi.

- Zdawało mi się... ale może to był tylko odruch...

- Ach, ty... - powiedziała pobłaźliwie. - Skąd ty masz ten swój spryt? - Musiała chłopca połaskotać albo nim obrócić, bo mały zachichotał radośnie.

- Jeszcze!

Po głowie Lassitera nadal krążyło: „Na cztery czwarte... na cztery czwarte”. Co było na cztery czwarte? Potem pomyślał: jestem zamarznięty na wylot i pewnie nie żyję. Otworzył oczy.

Kobieta trzymała chłopca pod pachami i kręciła nim jak na karuzeli - tak energicznie, że aż fruwały mu włosy. Machnęła nim raz, drugi, potem zwolniła, przyciągnęła go do siebie i postawiła na podłodze. Dzieciak zataczał się na boki, chichotał i czekał, aż pokój wokół niego przestanie wirować. Po chwili spojrzał Lassiterowi w oczy i na jego twarzyczce pojawił się wyraz wielkiej powagi.

- Popatrz... - szepnęła.

Matka powiodła wzrokiem za palcem chłopca i zamarła.

- Mówiłem ci...

Wyraz beztrioski na twarzy kobiety ustąpił ostrożności.

- Miałeś rację, Jesse - powiedziała powoli. - Obudził się. Uratowaliśmy cię - oświadczył Jesse, wpatrując się wielkimi brązowymi oczami w Lassitera. - Przestałeś nawet oddychać, ale mama wdmuchała ci powietrze. Musiałem liczyć - to było bardzo ważne - i wyplułeś wodę. - Na jego twarzy pojawił się przeproszący wyraz. - Musieliśmy przeciąć twoją piankę i nie da się jej naprawić. Jak...

- Ciii... - przerwała mu kobieta.

Małe palce dotknęły czoła Lassitera i pogłaskały je.

- Nic ci nie będzie - powiedział chłopczyk.

Joe słyszał swój własny oddech - urywany i głośny.

- Był pan nieprzytomny - wyjaśniła kobieta. - Dwa dni. Lassiter jęknął.

- Ściągnięcie pana tutaj z plaży zajęło nam sporo czasu.

- Byłeś jak kawałek lodu - dodał Jesse. - Niebieski. Uratowaliśmy cię.

Skądś dolatywał jeszcze jakiś dźwięk i Lassiter zmarszczył czoło, starając się go zlokalizować.

W końcu uświadomił sobie, że to bębniący o dach deszcz. Otworzył usta, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk.

- Jesse, przynieś szklankę wody - powiedziała kobieta.

- Już idę - odparł chłopiec. Zaturpały oddalające się kroki, potem rozległo się chrobotanie nóg przesuwanego stołka.

Kiedy mały wrócił, kobieta uniosła głowę Joego do szklanki, którą trzymał Jesse. Lassiterowi udało się upić kilka łyków, po czym opadł z powrotem na poduszki.

- Był ze mną jeszcze jeden człowiek... - wymamrotał, usiłując sobie przypomnieć, jak jego towarzysz się nazywał.

Kobieta powoli pokręciła głową.

- Znaleźliśmy tylko pana. ROGER. Nazywał się Roger. „Jesteśmy sułtanami...”

Nagle wszystko mu się przypomniało z taką gwałtownością, że aż zadrżał. Kathy. Brandon. Bepi. Ksiądz. Tylu zabitych...

- Callista... - jęknął.

Kobieta wzięła gwałtowny wdech i odciągnęła chłopca od łóżka. Przez jakiś czas słyhać było wyłącznie sztorm. Kiedy w końcu się odezwała, jej głos miał twarde brzmienie.

- Kim pan jest? - zapytała.

Gdy obudził się ponownie, była noc. Pomieszczenie jarzyło się maślanym światłem, padającym z dwóch zwisających z sufitu lamp naftowych. Rozejrzał się i stwierdził, że jest w dużym, wyłożonym sosnowym drewnem pokoju, ze słupami, belkami i krokwiami. Niemal całą oddaloną o kilka metrów ścianę w głębi zajmował mamuci kominek. W kominku stał piec na drewno, za jego szklanymi drzwiczkami tańczyły płomienie. Nie widać było kobiety ani chłopca, ale słyhać było głos - cichy pomruk, dobiegający z za jego pleców.

Muszę wstać, pomyślał. Uniósł się na łokciu i spuścił nogi z łóżka. Kiedy z trudem zajął pozycję siedzącą, ogarnęła go fala mdłości. Wziął głęboki wdech, ale pokój nadal pulsował. W końcu stanął - kiwając się jak pijak na silnym wietrze. Nagle jednak podłoga pomknęła do góry i huknęła o podłogę jak ścięty toporem.

- Oszalał pan? - krzyknęła kobieta, pakując go z powrotem do łóżka. Opadł na materac. - Był pan przez dwa dni nieprzytomny.

- Mam bardzo poharataną twarz?

- Nie... - odparła zdziwiona. - Co to za pytanie?

- Nie to miałem na myśli... chciałem... - Była piękniejsza, niż ją pamiętał. Widać to było nawet w słabym świetle. Zagubienie zniknęło, była dojrzała, silniejsza i bardziej kobieca. - Chciałem spytać... czy mnie pani poznaje?

- Nie. Kim pan jest?

- Była pani na pogrzebie. W Wirginii. Pogrzebie mojej siostry i jej syna.

Wpatrywała się w niego bez ruchu.

- Kathy Lassiter... i Brandona. Zmarszczyła czoło i w jej oczach coś drgnęło.

- To było w listopadzie. Miała pani kapelusz z woalką. I jasne włosy.

Choć próbowała to ukryć, widział po oczach, że go poznaje. Domyślał się, co jej krąży po głowie: „Nie przybył tu bez powodu”. A ten powód to na pewno nic miłego.

- Poznałyście się we Włoszech... w klinice.

- Słucham...? - Odsunęła się od łóżka i nerwowo odgarnęła włosy z twarzy.

- Nie chodzi mi wcale o Callistę Bates. Szukałem nazwiska ^W księdze meldunkowej...

Jakiej księdze meldunkowej?

- Pensjonatu „Aquila”. Szukałem Marie Williams i... od kryłem, że to pani.

Zbliżyła się do łóżka i usiadła obok, ale tak, by nie mógł jej dosięgnąć.

- Nie rozumiem... dlaczego pojechał pan do kliniki?

Opowiedzenie całej historii zajęło Lassiterowi godzinę. Dwa razy zawodził go głos i musiała mu dać wody. Lampy naftowe zaczęły dymić, więc dołała nafty. Od czasu do czasu wstawiała, by dorzucić drewna do pieca, a kiedy skończył, stwierdziła:

- Nie pojmuję tego.

- Słucham?

- Nic z tego nie rozumiem. Dlaczego ktokolwiek miałby coś takiego robić?

Lassiter pokręcił głową.

- Nie wiem, faktem jest jednak, że było osiemnaście kobiet i osiemnastu chłopców, a wy jesteście jedynymi, którzy pozostali.

Wsunęła palce we włosy i zacisnęła je na nich nerwowo. Wyglądała na tak łatwą do zranienia, że miał ochotę wziąć ją w ramiona i dodać jej otuchy. Oczywiście nie było o tym mowy. (

- Skąd mam wiedzieć, że pan nie kłamie? - spytała w końcu.

- Ponieważ mnie pani pamięta i wie, kim jestem.

Puściła włosy i odeszła od łóżka. Po chwili usłyszał skrzypnięcie drzwi piecyka i stuk wrzucanego do środka polana. Drzwiczki skrzypnęły ponownie, kiedy je zamykała, a jej cień zaczął przesuwać się po suficie, ogromny w słabym świetle lamp. W końcu opadła na fotel na biegunach.

- Może pani sprawdzić. Niech pani zadzwoni do pensjonatu i porozmawia z właścicielami. Może pani zadzwonić do Jima Riordana w Wirginii - pracuje w policji hrabstwa Fairfax. Może pani też zadzwonić do...

- Nie mam telefonu. Poza tym tu jesteśmy z Jessem bezpieczni. Nikt nas nie znajdzie.

- Skąd ta pewność? Ja was znalazłem. Wbiła w niego wzrok i zmieniła temat.

- Sztorm słabnie. Jutro wypłynie Straż Wybrzeża i zacznie pana szukać. Zabiorą pana na ląd i będzie pan mógł o nas zapomnieć. To straszne... to z pańską siostrą i resztą, doceniam pańską troskę, ale... Jessemu i mnie nic nie będzie.

Westchnął. Nic więcej nie mógł zrobić.

- Jak pani chce, ale jeśli nie chce pani dać sobie pomóc, może zechce pani pomóc mnie?

- W jaki sposób?

- Zacząłem to śledztwo, ponieważ nie mogłem zrozumieć, dlaczego ktoś miałby chcieć zabić Kathy - i w dalszym ciągu tego nie wiem. Może mógłbym zadać pani kilka pytań...

- Na przykład jakich?

- Nie wiem dokładnie... dlaczego pojechała pani do kliniki Baresiego? To znaczy - dlaczego tam,

a nie gdzie indziej?

Callista - Marie - wzruszyła ramionami.

- Z tego samego powodu co Kathy. Sprawdziłam to miejsce. Klinika miała dobre wyniki, Baresi był bardzo szanowany. Poza tym ta klinika jako jedna z pierwszych zaczęła stosować tego rodzaju zabiegi. Jedyнным argumentem przeciwko był fakt, że znajdowała się za granicą, ale nawet to okazało się dla mnie plusem. Musiałam wrócić do Włoch.

- Wrócić...?

- Mieszkałam tam jako dziecko. Niedaleko Genui.

- Dorastała pani we Włoszech? Pokręciła głową.

- Skończyło się na trzech latach. Jednak gdyby ciotka nie zachorowała, pewnie kończyłabym szkołę średnią w Arenzano.

- Ale...

- Mój wuj prowadził różne budowy. Ciągłe się przenosiliśmy. Mieszkaliśmy w Pakistanie, Arabii Saudyjskiej... a także tutaj, w Stanach. Trzecią klasę podstawówki skończyłam w Tulsie, potem chodziłam do szkoły w Wilmington w stanie Delaware, potem mieszkaliśmy w Tacomie - ale bardzo krótko. Ósmą i dziewiątą klasę skończyłam w Houston. Później były Włochy. Tak naprawdę mieszkałam tam dłużej niż gdziekolwiek indziej.

- Kobieta w sklepie powiedziała, że pani rodzice zmarli, kiedy była pani dzieckiem.

- Tak. Wzięli mnie do siebie wuj z ciotką. Chyba nie bardzo chcieli, ale ciotka była moją jedyną krewną.

- I nazywali się Williams? Kiwnęła głową.

- Alicia i Bill Williams.

- Adoptowali panią? Formalnie? To pytanie rozdrażniło ją.

- Jaki to ma związek z pańską siostrą? - zapytała.

Ma związek z panią. Ponieważ jeśli panią adoptowali, gdzieś istnieje ślad na papierze. W jakimś sądzie.

Chcieli, żebym nazywała się tak samo jak oni. Pamiętam, jak ciotka kiedyś powiedziała, że będzie mniej „zamieszania”, jeśli wszyscy będziemy nosić to samo nazwisko. Różne nazwiska powodowały komplikacje przy przekraczaniu granicy. - Pokręciła głową i roześmiała się. - Tak więc adoptowali mnie nie dlatego, że mnie kochali, ale dlatego, że tak było praktyczniej. Sprawiało mniej kłopotów. - Przerwała i znów się roześmiała. - Nic dziwnego, że byłam taka popaprana.

- Tak to określali? Zacisnęła usta i westchnęła.

- Nie powinnam narzekać. Mieli po pięćdziesiąt parę lat... Traktowali mnie dobrze.

- Dlaczego miała pani być „popaprana”?

- Chyba byłam „trudnym” dzieckiem. Moi rodzice zginęli, a tuż przedtem zmarł mój brat. Ciągłe przeprowadzanie się też nie było łatwe, a ciotka Alicia i wuj Bill przez większość czasu w ogóle nie zwracali na mnie uwagi. Poza Arabią Saudyjską nie chodziłam do angielskojęzycznych szkół. Po jakimś czasie uznałam, że najlepiej być niezauważaną. I dość dobrze mi się to udawało.

Lassiter popatrzył na nią sceptycznie.

- Sądziłbym raczej, że nawet jako dziecko rzucała się pani w oczy.

- Nie. Naprawdę. Byłam brzydkim kaczątkiem. Odstawały mi uszy, miałam za duży nos, usta - wszystko zbyt duże. Wyglądałam jak niezgrabny, nieproporcjonalny szczeniak.

Lassiter się roześmiał.

- Ciotka czasem mi się przyglądała, kręciła głową i mówiła: „Może dogoni to, co ma za duże”, ale było jasne, że nie wierzy we własne słowa - powiedziała Marie i nagle zmarszczyła czoło. - Ale jaki to ma związek z pańskimi poszukiwaniami? - zapytała, patrząc na niego nieufnie. - Chyba czas...

- Pomyślałem sobie, że może było coś szczególnego w klinice doktora Baresiego...

- Owszem. Nie pozwalał wybierać. To na pewno różniło go od innych. Większość kobiet z pewnością uważała takie podejście za minus, ale ja nie. Moim zdaniem było plusem.

- Nie bardzo rozumiem... Co „wybierać”?

- Dawców spermy. Dawczyń jaj.

- A wolno coś takiego robić? Skinęła głową.

- W większości miejsc tak. Pojechałam do pewnej kliniki w Minneapolis - sprawdzić, jakie mają warunki. Przegonili mnie przez wszystkie etapy „poradnictwa i przedstawili całą procedurę ze szczegółami. Pytali o wszystko: Czy jest pani mężatką? Czy chce pani użyć do zapłodnienia spermy męża? Nie? W porządku - w takim razie proszę to przejrzeć - i dali mi atlas z reklamówkami dawców! Nie mogłam uwierzyć. - Zaczęła mówić wazeliniarskim, piskliwym głosem „zza ekranu”, reklamującym podczas teleturnieju nagrodę. - Dawca sto dwadzieścia trzy to inżynier astronautyki o atletycznej budowie, osiągnął tysiąc pięćset punktów w Teście Przydatności Naukowej i jest doskonałym baseballistą. Dawca sto pięćdziesiąt dziewięć ma metr dziewięćdziesiąt osiem i waży...

- Wzdrygnęła się i wydała z siebie teatralny okrzyk zgrozy.

Lassiter wybuchnął śmiechem.

- Trochę za bardzo śmierdzi rasą panów?

- Odrobinę. W klinice Baresiego niczego takiego nie było. Nie informowali o dawcach. Ani słowa. Mnie się to podobało. Nie chciałam nic wiedzieć. - Jej głos znów stał się głosem kogoś całkiem innego - tym razem pojawił się w nim gardłowy włoski akcent: - Marrree - ja! *Carissima!* To będzie *una sorpresa piccola!*

- Co to znaczy?

- „Mała niespodzianka”. Baresi rozmawiał ze mną po włosku. - Uśmiechnęła się na wspomnienie doktora. - Bardzo go lubiłam.

Wyglądała na bardziej rozluźnioną, spróbował więc ponownie:

- Wiem, że nie chce pani tego słyszeć, ale pozostanie tutaj jest naprawdę niebezpieczne.

Zmęczona tym sporem, odwróciła głowę.

- Niech pani posłucha... ci ludzie mają mnóstwo pieniędzy - i nie tylko. Także kontakty. Znajomości w FBI. Jeśli mnie udało się panią znaleźć...

- Jak mnie pan znalazł?

- Przez Gunthera. Popatrzyła na niego zdziwiona.

- Przez mój samochód?

- W zasadzie tak.

- Już go nie nazywam „Gunther”.

- To nieistotne.

- Wiem, ale...

- Niech mi pani odpowie na jedno pytanie: jak to się w ogóle Pani udało?

- Co?

- Stworzenie nowej tożsamości. Całkiem nieźle sobie pani z tym poradziła... przynajmniej jak na amatora.

- Dziękuję... Kupiłam podręcznik. W takim sklepie w Kolo rado. Mają tam najdziwniejsze rzeczy: jak wysadzać obiekty, jak szukać jedzenia, jak zbudować mózdzierz. Chyba obsługują Sporą grupę dziwaków, z tych, co to lubią uważać się za „milicję ludową”.

- I po prostu zrealizowała pani zawarte tam zalecenia?

- Tak. Coś w tym stylu. Kazali iść na cmentarz i wybrać sobie nazwisko z grobu dziecka, ale już miałam nazwisko - nieużywane przez dwadzieścia pięć lat - więc nie musiałam tego robić. Miałam nawet akt urodzenia. A ponieważ byłam wtedy w ciąży, nieco mi się spieszyło.

- Akt urodzenia Marie Sanders.

- Tak. Mój prawdziwy akt urodzenia. Był w szarej kopercie, którą woziałam ze sobą wszędzie od osiemnastego roku życia. Przechowywałam w niej także kilka moich mlecznych zębów, zdjęcie ślubne rodziców, wycinek z gazety ze zdjęciem dziadka wodującego statek i kilka obligacji państwowych, które rodzice! kupili mi zaraz po tym, jak się urodziłam. Tak dotarłam do i Kalifornii - i sprzedawałam obligacje.

- Ale...

- Proszę pana - przerwała mu i gwałtownie wstała. - Moim zdaniem powinniśmy się trochę przespać. Zwłaszcza pan. - Zdmuchnęła lampy naftowe i wyszła.

Spał w nocy jak zabity, a rano obudził go głos Jessego, który mówił do matki:

- Jest tak ciepło, mammo... Nie potrzebuję rękawiczek. Mogę zdjąć? Proszę...

- Cóż...

- Jest prawie gorąco, mammo. Wyjdź na zewnątrz i zobacz. I Gorąco. I jest mgła. Nie widać nawet Bear Island!

Trzasnęły zamykane drzwi i Lassiter otworzył oczy. Widząc, że jest sam, usiadł i owinał się kołdrą. Spuścił nogi z łóżka, powoli pozwolił nogom przejąć ciężar ciała i poczłapał do fotela przy piecu.

Minęła minuta. Potem druga i trzecia. Nagle drzwi otworzyły się z hałasem i do środka wpadł Jesse. Na widok Lassitera zahamował.

- Hej! - zawołał. - Wstałeś! Zagrasz ze mną w bierki? Mamę już to znudziło. Proszę...

Zaczęli grać. Całe przedpołudnie spędzili na grze w bierki i cukierkowy kraj. Marie znalazła w skrzyni na strychu jakieś stare ubrania i włożył je. Były trochę podarte i zalatywały stęchlizną, ale pasowały.

Lassiter był zachwycony samowystarczalnością miniaturowej rodziny. Mieli piwnicę pełną warzyw, sprzęt do łowienia ryb i pułapki na węgorze. Z belek zwisały sznury suszonych owoców, warkocze cebuli i czosnku, wiązki suszonej czerwonej papryki i suszonych ziół. Mieli puszki z ryżem, fasolą, mlekiem w proszku i proszkiem jajecznym. Mąkę, cukier, płatki owsiane. W studni była woda, którą Marie - a nawet Jesse, stojąc na stołku - pompowali prosto do kuchni.

- Czasami zamarza - przyznał Jesse - ale mamy dużo, naprawdę DUŻO butelek. I beczki na deszczówkę. Chcesz zobaczyć?

Dzieciak był niesamowity i Lassiter wiele razy zauważył, jak matka obserwuje go z takim samym wyrazem oczu, z jakim Kathy patrzyła na Brandona: z miłością i dumą. „Czyż on nie jest wspaniały?”.

Zjedli lunch, po którym Marie miała z synem lekcję czytania. Lassiter siedział w starym, pięknym drewnianym fotelu na werandzie, patrzył na ocean i słuchał. Kiedy skończyli lekcję, Jesse wybiegł na dwór, by pokazać Lassiterowi, w jaki sposób transportują ciężkie przedmioty między domem a

wodą.

- Jak Gipcjanie - powiedział, wyciągając spod werandy proste sanie.

Był to właściwie kawał zardzewiałej blachy z przymocowanym z jednej strony „dyszlem” z dość grubej belki. Belkę nawiercono, a przez otwory przeciągnięto linę. Dla zademonstrowania, jak sanie działają, Jesse położył na nich kawał skały, chwycił linę drobnymi rączkami i wciągnął konstrukcję na pierwszy z dwóch cienkich okrągłych palików. Powoli, dysząc i stękając, zaczął ciągnąć ciężar ku wodzie, co metr się zatrzymując i przenosząc palik, z którego sanie zjechały, na przód.

„Tak przewozili kamienie do budowy piramid - wyjaśnił. - Bo nie znali koła.

Przy kolacji Marie stwierdziła, że jeśli mgła się rozwieje, rano prawdopodobnie należy się spodziewać Straży Wybrzeża.

- Pan Lassiter będzie mógł wrócić do cywilizacji - dodała.

- Nie może tu zostać? - spytał Jesse. - Z nim jest weselsiej.

- Weselej - poprawiła go matka. - Oczywiście, że nie może zostać. Ma własne życie, do którego musi wracać. Prawda?

Lassiter patrzył na nią przez długą chwilę.

- Oczywiście. Jak najbardziej.

Było to jawne kłamstwo i zmywając naczynia (Marie czytała Jessemu w pokoju obok), zastanawiał się nad nim. Prawda była taka, że - choć ich znalazł - sprawa nie była zakończona. I nie zakończy się, póki...

Póki nie dowiem się, co się stało i DLACZEGO.

Kiedy Marie położyła syna spać, przyszła do salonu i usiadła przed kominkiem. Wyglądała na smutną, więc spytał dlaczego.

- Chodzi o to, że... odkąd pan się zjawił... Jesse jest tak podniecony i... widzę teraz, jakie to egoistyczne...

- Mieszkanie na wyspie? Skinęła głową.

- Ale to nie potrwa wiecznie. Na jesieni pójdzie do przedszkola, więc... będziemy musieli znaleźć dom w mieście.

- Nie obawia się pani, że ktoś panią rozpozna? Pokręciła głową.

- Właściwie nie. Moja obecność tutaj jest tak anonimowa... a poza tym... byłam wtedy całkiem inna.

- Ma pani na myśli swój wygląd?

- Nie. Stosunek do życia. To, co było kiedyś, wydaje mi się teraz całkiem nieważne. Liczy się tylko Jesse.

- I właśnie dlatego musi pani stąd zniknąć. Popatrzyła na niego z irytacją.

- Sądziłam, że to zamknięty temat. Westchnął.

- Jak pani chce. Proszę mi jednak zrobić przysługę: kiedy zjawi się Straż Wybrzeża, niech pani nie mówi, że mnie pani widziała.

- Dlaczego? - spytała z błyskiem podejrzliwości w oku.

- Ponieważ ci sami ludzie, którzy szukają pani, szukają także mnie. Jeśli Straż Wybrzeża zabierze mnie na ląd, ktoś będzie musiał napisać raport i będzie w nim moje nazwisko. Ponieważ zginął tutejszy mieszkaniec, sprawą zajmie się prasa i lada chwila w miasteczku pojawią się ludzie, których nigdy przedtem tu nie widziano. I wie pani co? Zaczną zadawać następujące pytania: Wynajął łódź, by wypłynąć w trakcie sztormu? A dokąd to? Kogo chciał odwiedzić? - Przerwał i westchnął. -

Lepiej będzie, jeśli dostanę się na ląd na własną rękę.

- Jak?

- Ma pani łódź. Może mnie pani podwieźć do brzegu. Podciągnęła kolana do brody.

- I co dalej? Wyrzucę pana na skałach?

- Tak.

- To szalone. Co pan dalej zrobi?

- Proszę się nie martwić. Pokręciła głową.

- Łódź nie jest spuszczone na wodę. Nawet pomost nie jest jeszcze spuszczone!

- Jak to: pomost nie jest spuszczone na wodę? To gdzie jest?

- W zimie trzeba go wyciągać na brzeg, bo inaczej zabierze go kra. Zatoczka zamarza raz albo dwa razy w roku.

- Ale jeśli coś jest przywiązane... Roześmiała się.

- Tu chodzi o tony lodu! Kiedy zaczyna topnieć i robi się odpływ...

- Przecież nie ma lodu.

- Teraz nie, ale... - Westchnęła. - Chyba możemy zrzucić pomost na wodę... Wtedy... chyba będę mogła zawieźć pana na ląd.

- O nic innego nie proszę.

- Niech będzie. Tak zrobimy.

Siedzieli przez chwilę w milczeniu. Lassiter odwrócił się, a potem znów na nią popatrzył.

- Mogę o coś spytać?

- Boże! Jest pan gorszy niż Jesse!

- Mówię poważnie... chodzi o klinikę. Wszystkie kobiety, które zginęły, zostały poddane tej samej procedurze i zastanawiałem się... dlaczego pani ją przechodziła?

- Co... przeszczep oocytu?

- Tak. W pani wieku to... dość niezwykle. Pozostałe kobiety były jak Kathy... starsze. Sądziłem, że... zdawało mi się, że ta procedura jest po to, by... - Popatrzył w sufit. - Chyba zapędzam się w zbyt osobiste regiony...

Nie, dlaczego? - powiedziała tonem typu „a co mi tam?”. - I tak o wszystkim panu opowiadam. W moim przypadku powodem nie była bezpłodność. Mogłabym mieć dziecko i bardzo, bardzo chciałam urodzić. Jednak aby to było możliwe, musiałam skorzystać z cudzego materiału genetycznego.

- Dlaczego?

- Zespół Duchenne'a.

- Co to jest? Wbiła wzrok w ogień.

- Jest taki gen... jego nosicielkami są kobiety i przekazują go choć na nie same nie ma żadnego wpływu; Oddziałuje tylko na mężczyzn.

- Co się wtedy dzieje?

- To zaburzenie chromosomu X, tak jak hemofilia... Kto na to choruje, umiera bardzo młodo. Mój brat dożył trzynastu lat.

Lassiter przypomniał sobie, jak Maude opowiadała, że brat Marie był wynoszony do łodzi owinięty w koce. - Przykro mi.

Usiadła głębiej w fotelu i opowiedziała, czym jest dystrofia mięśniowa Duchenne'a: postępującym, wyniszczającym zanikiem mięśni. Zmiany w mięśniach zaczynają się w okolicy ud i pośladków i powoli przesuwają się do góry. Z początku chory dziwnie chodzi, potem ma trudności z

chodzeniem, wreszcie nie jest w stanie się poruszać. Zanikają mięśnie nóg i choroba posuwa się coraz wyżej, aż zaatakuję przeponę, co powoduje trudności z oddychaniem i niemożność kasłania. W końcu chory dostaje zapalenia płuc albo zapada na inną chorobę zakaźną i umiera.

- Badano mnie, kiedy miałam dwadzieścia kilka lat, i okazało się, że jestem nosicielką - wyjaśniła.

- Czy wszystkie pani dzieci dostałyby tej choroby? - zapytał. Pokręciła głową.

- Ryzyko wynosi za każdym razem pięćdziesiąt procent. Co oznacza, że obawa urodzenia chłopca z Duchenne'em jest jak jeden do czterech.

- Nie brzmi to aż tak źle...

- Lepiej grać w rosyjską ruletkę. To wygląda zupełnie inaczej z punktu widzenia matki. Ale mam już Jessego i... nie ma takiej możliwości, bym kogokolwiek na świecie bardziej pokochała.

- Nic dziwnego. To wspaniałe dzieciaki.

- Poza tym, kiedy dowiedziałam się o swoim nosicielstwie, wcale nie byłam załamana. Nie byłam wtedy z nikim związana, nie myślałam o dziecku. Drzwi były zamknięte, jednak nie zamierzałam do nich pukać.

- Co sprawiło, że zmieniła pani zdanie? Wzruszyła ramionami.

- Mieszkałam w Minneapolis. Prowadziłam życie w ukryciu.

Byłam... samotna i oderwana od wszystkiego, ale zdawałam sobie sprawę z tego, że gdybym miała dziecko, wszystko by się zmieniło. Myślałam o adopcji, jednak to było zbyt skomplikowane i nie udałooby się. Natknęłam się na artykuł o nowej technice, wykorzystującej jako dawczyni, i bardzo mnie to zainteresowało. Dwa miesiące później siedziałam w samolocie do Włoch, a po kolejnych dwóch miesiącach byłam w ciąży.

Kiedy zjawiała się Straż Wybrzeża, Lassiter i Jesse znajdowali się na przeciwległej stronie wyspy - na „wyprawie badawczej”.

Było jak na tę porę roku nietypowo ciepło, niemal wiosennie. Lassiter szedł za chłopcem wąską ścieżką między drzewami, stąpił po grubym dywanie opadłych sosnowych igieł i obserwował wiszącą w gałęziach drzew mgłę. Ich pierwszym przystankiem był „port”, gdzie na skalistej półce, pokrytej warstwą pokruszonych muszli małży, leżały dwie łodzie - bezpieczne i suche. Położono je do góry dnem bez podpórek, tak że opierały się o skałę szczytami burt - ale przywiązano je linami do pnia pobliskiej sosny. Był to skif o długości mniej więcej pięciu metrów i mała szalupa. Niedaleko znajdowała się niewielka szopa z „całym naszym sprzętem do pływania”. W środku, na drewnianym stelażu, stał silnik zaburtowy firmy Evinrude, były także baki na benzynę, wiosła, kamizelki ratunkowe, cumy, kotwice, przynęty na ryby i wiele innych rzeczy.

Pomost do cumowania był nowy i pomalowany na szaro. Jedną jego część zamocowano na stałe do półki skalnej w ten sposób, że wychodziła niczym wiszący taras nad wodę, nad pal do wskazywania głębokości wody. Reszta pomostu - przypominająca tratwę pływająca konstrukcja oraz pochylnia zejściowa - została wciągnięta na półkę skalną, gdzie czekała na zwodowanie i połączenie z częścią stałą.

Lassiter szedł za Jessem od zatoczki do zatoczki. Z jednej z pułapek na węgorku uwolnili parę krabów, a potem Jesse pokazał mu dąb, rosnący przez porzuconą ramę łóżka tak, że gruby pień niemal skrył w sobie zardzewiały metal. Ostatni przystanek stanowiła zatoczka na czubku wyspy, gdzie znajdowała się stara wiata na łodzie i pozostałości starej przystani.

- Zazwyczaj tutaj trzymano łodzie w zimie - powiedział Jesse - ale teraz... - urwał, a potem

przekrzywił głowę i uniósł w górę palec.

Lassiter w tym momencie również to usłyszał: basowe buczenie silnika.

- Straż Wybrzeża - wyjaśnił Jesse. Odgłos silnika narastał, jednak po chwili ucichł. Wkrótce doleciał do nich wiszg znacznie mniejszego silnika. - To ich mała łódka. Ponton. - Popatrzył uważnie na Lassitera. - Pokazywałem ci już mój fort?

- Nie.

- To chodź. - Wziął Lassitera za rękę i poprowadził go gąbczastą ścieżką do „fortu” - polanki otoczonej płataniną niskich świerków i jodeł. Kładąc na ziemi suche patyki, Jesse zrobił na polance kilka „pokojów”. Zaprosił Lassitera do „salonu”, gdzie usiedli na zgniłej belce - „kanapie” - i zaczął opowiadać bajkę o zagubionej focie i szukających ją ludziach.

Opowieść była niezwykła, a kiedy chłopiec skończył, zza drzew doleciał do nich cichy, modulowany gwizd. Lassiter rozpoznał melodyjkę - oznaczała: „raz, dwa, trzy - wolny jesteś ty”. Straż Wybrzeża przypląnęła - Straż Wybrzeża odpłynęła.

- Co z Rogerem? - spytał Lassiter. Marie pokręciła głową.

- Nie znaleźli go, ale w końcu znajdą. Prąd zanosí wszystko za Nubble, więc...

- Pytali o mnie? Skinęła głową.

- Powiedzieli, że Roger wiózł kogoś do mnie i że znaleźli w Cundys Harbor samochód.

Lassiter odwrócił głowę i zaklął. Cholera jasna!

- Pytali, czy znam niejakiego Lassitera. Aż jęknął ze złości.

- Dlaczego im pani nie powiedziała, że tu jestem?

- A miałam?

- Oczywiście, że nie.

- Nie spodobali mi się. Powinni mieć ze sobą łódź ratunkową... a tak w ogóle, to jestem pewna, że nie wszyscy byli ze Straży Wybrzeża.

- Jak to?

- Dwóch było w garniturach.

- Jak wyglądali?

Marie wzruszyła ramionami.

- Wysocy.

Sądzi pani, że to gliniarze?

- Możliwe.

- Ale niekoniecznie, tak?

- Właśnie. To mnie zaniepokoiło. Lassiter westchnął.

- Co chcieli wiedzieć?

- Cóż... o panu. Czy widzieliśmy, jak łódź tonęła i - aha! - gdzie jest Jesse. „Hej, a gdzie mały?”.

- Co pani powiedziała?

- Że kiedy to się stało, spaliśmy, a następnego dnia, kiedy znaleźliśmy łódź, nikogo przy niej nie było. I że Jesse właśnie śpi.

- Sądzi pani, że uwierzyli? Skinęła głową.

- Tak. Jestem dobrą aktorką. Przynajmniej kiedyś byłam. Po południu, kiedy zjedli lunch, a przypląwowi brakowało jeszcze godziny do maksymalnego poziomu, zaczęli spuszczać pomost na wodę. Była to skomplikowana operacja, która zajęła im niemal trzy godziny. Gdy skończyli, Lassiter wszedł na pływającą część przystani i manewrował nią za pomocą wiosła, podczas gdy Marie i

Jesse opuszczali na linach rampę. Wreszcie Lassiter zatrzaskał blokady i opadł zmęczony na deski.

- Nie mogę uwierzyć, że robiła to pani sama - powiedział. Jesse był oburzony.

- Nie robiła tego sama.

Szalupa była na tyle lekka, że mógł ją nieść jeden dorosły, a potem Lassiter postawił ją na wodzie z pomocą Jessego. Następnie razem z Marie potoczyli skif w kierunku wody na trzech okrągłych palikach. Co metr Jesse wołał: „Okej!”, więc zatrzymywali się i czekali, aż przeniesie ostatni okrągłak do przodu. Kiedy dotarli do brzegu, wepchnęli skif na kilka desek i używając ich jako dźwigni, zwodowali go do morza. Lassiter poszedł do szopy i po chwili pojawił się z silnikiem w rękach i zdziwioną miną - nie mógł uwierzyć, że jest w stanie samodzielnie dźwigać taki ciężar. Wspólnie zamocowali silnik do rufy i podłączyli bak z paliwem. Jesse - w ogromnej kamizelce ratunkowej wyglądał jak ludzik z reklamy opon Michelina - podłączył przewody paliwowe, najpierw do silnika, potem do zbiornika. Kilka razy ścisnął gumową gruszkę i pod okiem matki wcisnął starter. Po paru próbach silnik zakasłał i ryknął, wypływając chmurę gęstego, niebieskiego dymu.

Wieczorem, kiedy Jesse poszedł spać, usiedli przed ogniem.

Marie siedziała w bujanym fotelu, z kolanami podciągniętymi do piersi.

- Ma pan pieniądze? - spytała nieoczekiwanie. Lassiter był zaskoczony.

- Nie brakuje mi. Marie uśmiechnęła się.

- Nie chodzi o to, czy w ogóle. Czy ma pan pieniądze przy sobie? Kiedy dostanie się pan na brzeg... będzie pan rozbitkiem.

Lassiter kiwnął głową. Zdawało mu się, że robi postępy, ale... najwyraźniej nie mogła się doczekać, by się go pozbyć. Wstał powoli i podszedł do haczyka, na którym wisiała jego skórzana kurtka.

- Chyba nie powinno mi zabraknąć pieniędzy - powiedział. - Ale co z wami?

Marie pokręciła głową.

- O nas proszę się nie martwić. Znikniemy za dzień lub dwa. Mam pieniądze, możemy się ukryć gdzie indziej. Tym razem zrobię to lepiej.

- Mógłbym w tym pomóc. Byłem specjalistą od takich rzeczy. Sięgnął do kurtki i wyjął portfel.

Na podłogę spadła przemoczona koperta i pochylił się, by ją podnieść. List Baresiego.

- Mógłby pan wziąć Gunthera. Wymaga nieco pracy, ale...

- Pani zna włoski, prawda?

- Słucham?

- Umie pani czytać po włosku?

- Oczywiście, ale...

W kopercie były trzy albo cztery kartki w kolorze łupin cebuli - wilgotne i posklejane. Lassiter wrócił do ognia, usiadł u stóp Marie i ostrożnie rozdzielił kartki.

- Bogu dzięki za długopisy - mruknął.

- O czym pan mówi? Co to jest?

- List, który Baresi napisał do księdza z Montecastello. Ksiądz dał mi go przed śmiercią i... proszę... - Podał Marie kartki. - Proszę go przetłumaczyć.

Wzięła kartki z wahaniem i zaczęła czytać, początkowo z pewną trudnością, zaraz jednak poszło jej znacznie lepiej.

- Drugiego sierpnia tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego piątego roku. Mój drogi Giulio...

Będąc tak blisko śmierci, piszę do Ciebie z otwartym i radosnym sercem, pewien, iż niedługo

stanę przed obliczem naszego Pana, by zostać osądzonym.

Rozumiem teraz, iż udałem się do Ciebie w chwili największej słabości, szukając poprzez spowiedź nie tylko wybaczenia Kościoła, ale także jego współdziału. Ogrom największej tajemnicy mego życia oraz głębia tego, co uważałem za mój grzech, zdawały się tak wielkie, że nie umiałem unieść tego ciężaru sam i uznałem, iż muszę się nią z kimś podzielić.

Tak też zrobiłem, a był to błąd.

Powiedziano mi, że zamknąłeś kościół i pojechałeś do Rzymu. I że zostałeś tam przez wiele dni. Och, Gildio, jakże musiałem Cię zaniepokoić!

Wiem jednak teraz - jedynie soczewka fałszywej dumy sprawiła, że sądziłem, iż można by pomylić wolę Boga z moimi osiągnięciami. Wiem teraz to, co ty jako człowiek Kościoła wiedziałeś od zawsze: jesteśmy narzędziami Pana, a to, co robimy, nie jest niczym mniej i niczym więcej jak realizacją Jego woli.

Katastrofalne odkrycie, którego dokonałem, pozwalające przywrócić komórki do...

- Nie wiem, co to znaczy - powiedziała Marie, wskazując na jedno ze słów.

Lassiter popatrzył.

- Totipotencja - wyjaśnił. - To z genetyki. Marie kontynuowała:

...pozwalające przywrócić komórki do stanu totipotencji, było w ramach Wielkiego Planu nieuniknione. Gdyby nie dokonał go wczoraj Ignazio Baresi, jutro dokonałby go ktoś inny. Jeśli nie w Zurychu, to w Edynburgu.

Właśnie w tym - w nieuniknioności tego, co zrobiłem - widać rękę Boga. Ponieważ taka jest i taka być musi „nieuniknioność”: jest częścią Planu Boga, wplecioną w świat wokół nas.

Jakże inaczej, mój Przyjacielu, jeśli nie działaniem tego Planu, można by wyjaśnić to, że mikrobiolog zajął się badaniem relikwii? Relikwii! Czymże się różnią od magicznych symboli fetyszy i króliczych łap? Są swego rodzaju „pomocą wizualną” dla prostaczków, czyniąc kompleksowe, metafizyczne doktryny dostępnymi dla przeciętnego człowieka. Ten gwóźdź przebił rękę Chrystusa! Ta drzazga wbiła się w Jego ciało! Chodził wśród nas. Istniał naprawdę.

A jednak... niemal wbrew mej woli odkryłem, że te obiekty, umieszczone pod mikroskopem, okazują się pełne możliwości. Protekcyjny punkt widzenia, z jakim początkowo podchodziłem do tego tematu, wkrótce zastąpiło głębsze zrozumienie. Po pięćdziesięciu latach studiów odkryłem to, co każdy wieśniak wyczuwa intuicyjnie - że obiekty te są istotnymi i namacalnymi ogniwami, łączącymi nas z Bogiem.

Jak wiesz, nie jest to punkt widzenia, do przyjmowania którego zachęca się w Rzymie. Watykan wołałby zapomnieć o czasach, kiedy handel relikwiami tak bardzo się rozwinął - gdy płacono fortuny za kawałki ciała, a wyspecjalizowani handlarze truli świętych, by szybciej sprzedać ich kości. Watykan zawsze uważał kult relikwii za zagrożenie. Kiedy relikwie wielkiej mocy trafiały do odległych diecezji, pielgrzymi szli tam wraz ze swymi majątkami. A Watykan na tym tracił.

Jako watykański konsultant, miałem do wykonania proste zadanie: dyskredytować fałszerstwa. Tak też robiłem. Odkryłem, że „obojczyk świętego Antoniego „jest kawałkiem owczego żebra, a „materia, którą ocierano czoło Jezusa”, została utkana w XV wieku.

Wiele obiektów, które badałem, było - jak spodziewał się Watykan - fałszerstwami. Nie wszystkie jednak. Istniały takie, których nie można było dyskredytować: ich pochodzenie wydawało się autentyczne, wiek odpowiedni. Mogły być tym, za co je uważano - ale niekoniecznie.

Wtedy zająłem się medycyną, zachwycony odkryciem, że mógłbym posłużyć jako akuszerka

Boga - i na tym polegała praca, której poświęciłem resztę życia.

Marie popatrzyła na Lassitera.

- O czym on pisze? Lassiter jedynie pokręcił głową.

- Niech pani czyta dalej.

Nie było to trudne. Moje studia medyczne trwały stosunkowo niedługo. Założenie kliniki było łatwe, a potem zaczęły przyjeżdżać do mnie kobiety z całego świata - w tajemniczy sposób dowiadując się o tym, co robię. Używając DNA pobranego z kilkunastu relikwii o najpewniejszym pochodzeniu, dokonałem niepokalanego poczęcia u osiemnastu kobiet.

Kto wie, Przyjacielu, co z tego wyniknie? Może dzieci nie będą niczym więcej jak dziwną bandą prymitywnych wieśniaków, przeniesionych w nasze czasy ze starożytności bez uzasadnionego powodu. A może rzeczywiście splodziłem na nowo Chrystusa? Nigdy się tego nie dowiem. Ty też się nigdy nie dowiesz. Musimy jednak mieć nadzieję.

I tak, mój Przyjacielu, żegnam Cię z nadzieją, że uspokoilem Twój umysł. To prawda, ukląknę przed Tobą w chwili zwątpienia, lecz był to ludzki odruch. Chrystus także wiedział, co oznacza wątpić - choć ja już nie wątpię.

Sprawa jest już tylko w rękach Boga. I zawsze w nich była.

Ignazio.

- Joe? - Głos Marie drżał. - O czym on pisze? Lassiter przez długą chwilę milczał.

- Ma pani coś mocniejszego do picia? - zapytał w końcu. Marie wstała, podeszła do szafki i wróciła z butelką koniaku i dwoma filizankami. Nalała im po miarce i powtórzyła pytanie:

- O czym on pisał? Lassiter upił spory łyk.

- Jesse...

- Co z nim?

- Cóż... Baresi... próbował sklonować Jezusa.

- Co?! Lassiter westchnął.

- Może Jesse... może Jesse to Jezus.

Siedzieli do późna i Lassiter opowiedział Marie o tym, czego dowiedział się od profesora MIT.

- Tak to wygląda - mówił, nalewając sobie trzeci raz koniaku. - Brał próbkę z relikwii, która wydawała mu się autentyczna, izolował jedną z komórek z jądrem i przywracał ją do stanu totipotentnego. Potem potrzebował już tylko jaja i pragnącej mieć dziecko kobiety.

- *Una sorpresa piccola* - powiedziała Marie.

- Kiedy miał jajo, zamieniał jego jądro jądrem z komórki z relikwii, wszczepiał je i...

Ogień trzasnął, posyłając na podłogę snop iskier.

- Nie mogę w to uwierzyć. Skąd wiedział - po dwóch tysiącach lat - która relikwia jest prawdziwa? - zapytała Marie. - Nie ma możliwości tego ustalić.

Lassiter opowiedział o skrupulatnych badaniach Baresiego nad pochodzeniem relikwii, o jego umiejętności przeprowadzania badań DNA, naukowych referencjach - ale Marie wciąż kręciła głową.

- Z tego, co pan mówi, wynika jedynie, że mógł znacznie lepiej od innych zgadywać, ale i tak pozostawało to jedynie mądre zgadywanie. - Kiedy zamierzał odpowiedzieć, podniosła w górę palec. - Sekundę! Pański siostrzeniec Brandon... wyglądał jak Jesse?

- Nie, on...

- A inni? Wyglądali tak samo?

- Nie widziałem zdjęć wszystkich chłopców, ale nie. Między kilkoma mogły być pewne podobieństwa, lecz...

- No więc sam pan widzi - powiedziała, jakby wszystko zostało wyjaśnione. - W takim razie nie mogli być klonami, czyż nie? Klony nie mogą się różnić. Tak więc Baresi jedynie zgadywał - nic więcej. Jeśli chłopcy nie byli identyczni, nie da się powiedzieć nic poza tym, że istnieje NIEWIELKIE prawdopodobieństwo, że może JEDEN został stworzony z prawdziwej relikwii. Reszta to... kopia rzeźnika, piekarza, rzemieślnika robiącego świeczniki. - Wyrzuciła dłonie w powietrze. - Tak więc to, co pan sugeruje... jest szalone!

Lassiter zgadzał się, że Baresi nie mógł polegać na autentyczności każdej użytej relikwii i prawdopodobnie dlatego chciał zwiększyć szansę poprzez zastosowanie DNA z wielu relikwii.

- Być może żadna z tych relikwii nie była autentyczna powiedział - ale to nie ma najmniejszego znaczenia.

- Jak pan może tak twierdzić?

- Nieważne, kogo Baresi sklonował, Jezusa czy Ala C?.

- Nie rozumiem...

- Ponieważ istnieje prawdopodobieństwo, że przynajmniej jedna relikwia była prawdziwa... komuś zależy na usunięciu ryzyka. Dlatego zginęła moja siostra, Brandon i wszystkie pozostałe kobiety z dziećmi. Dlatego musi pani stąd uciekać.

- Nie mogę uwierzyć, by ktokolwiek coś takiego robił...

- Fakty jednak mówią co innego. Więcej - poszli krok dalej i zadbali o to, by nie przetrwał nawet ślad DNA. Dlatego palono dzieci - aby wyeliminować ryzyko. Ktokolwiek to robi, dokonuje egzorcyzmu. Ogniem.

- Niech pan nie przesadza...

- Kiedy zabito Brandona, złapano mężczyznę, który podłożył ogień. Coś się stało i spieprzył robotę. Ciało nie zostało całkowicie spalone i dało się dzieciaka rozpoznać - ledwie, ale się dało. Tak więc po pogrzebie wykopali go i spalili ponownie.

- Ale przecież to tylko dzieci... Kolejne dusze dla Kościoła.

- Tu nie chodzi o Kościół katolicki. Sprawcą jest Umbra Domini. To chrześcijanie-eksterminatorzy, którzy rzucają bomby na kliniki przerywania ciąży, podjęli krucjatę przeciwko muzułmanom w Bośni i... - Lassiter uniósł ręce w geście bezsilności. - Proszę pani, zdaniem Umbry Domini to, co zrobił Baresi, jest straszliwą zbrodnią.

- Dlaczego?

- Ponieważ według nich wywrócił wszystko do góry nogami... zakwestionował rację bytu Kościoła. Bo przecież Bóg stworzył człowieka na swój obraz, nie odwrotnie. - Po policzkach Lassitera spływały łzy i wreszcie wiedział, że poznał prawdę. - Proszę dać sobie pomoc, bo oni nie spoczną, póki nie znajdą Jessego.

- Ale jak? Jeśli jest tak, jak pan mówi, kto byłby w stanie nam pomóc?

- Kiedy byłem w wojsku, miałem... śmieszna pracę. - Popatrzyła na niego, jakby oszalała, ale mówił dalej: - Kierowałem zespołem utajniania ISA.

- Co to jest?

Lassiter wzruszył ramionami.

- Intelligence Support Activity. Coś podobnego do CIA, tyle że ci, co tam pracują, wiedzą, co robią. W każdym razie chodzi o to, że mogę stworzyć pani i Jessemu takie tożsamości, których nikt

nie rozgryzie. Napakuję je autentycznymi faktami i obiecuję, że nie da się was wysledzić. Nigdy. Musi mi jednak pani zaufać. I natychmiast wyjechać. Mamo? - Jesse stał w drzwiach, w piżamie, i tarł oczy.

- Cześć, skarbie - powiedziała Marie głosem pełnym miłości Co się stało?

- Miałem zły sen.

- O mniiiiee... - wymruczała, kiedy wspiął jej się na kolana i oparł głowę o jej ramię. Pocałowała go i pogłaskała po głowie. - Nie przejmuj się.

-Źli ludzie...

Marie przytuliła go i spytała:

- Przeczytać ci coś?

Jesse podniósł tłusty paluszek i wskazał na Lassitera.

- Nie. On!

- Nie wiem, czy...

- Z wielką przyjemnością - oświadczył ochoczo Lassiter. - Zabrać cię na barana?

Kiedy Lassiter klękał, by Jesse mógł wspiąć mu się na barki, kątem oka dostrzegł, że Marie przygląda mu się, ale nie umiał zinterpretować jej miny.

- Hejjjjja! - zawołał Jesse, gdy Lassiter wstał. - Ale wysoko!

Poszli do pokoju małego, pochylając się po drodze pod belkami i we framugach drzwi. Jesse raz za razem wyciągał rękę w górę, by musnąć sufit. Kiedy się położył, oznajmił, że nie chce niczego słuchać, ale sam chce coś przeczytać Lassiterowi.

- No dobrze. Dawaj.

Chłopiec wyjął spod poduszki książkę i z poważną miną powiedział:

- Doktor Seuss. - Otworzył książkę na pierwszej stronie i pochyliwszy się nad nią, zaczął mówić:

- Jedna ryba...

Jego ciało powoli poruszyło się w tył, a kiedy niemal opadał na plecy, krzyknął:

- Dwie ryby! Bujnął się do przodu.

- Czerwona ryba!

I znów do tyłu - tym razem z głupkowatą miną, szeroko wybałuszonymi oczami i oczami wbitymi w sufit:

- Niebieska ryba!

Wykrzyknąwszy to, padł na plecy i zaczął się śmiać radośnie.

37

Lassiter klęczał na pomoście i odwiązywał szalupę, kiedy Jesse powiedział:

- Patrz, mamo - łódź.

Odwróciwszy się w kierunku, w którym chłopiec wskazywał, Lassiter uniósł wzrok do horyzontu i zmrużył oczy, by przebić się wzrokiem przez kłęby mgły. Nic nie widział poza niebem w kolorze łupku, skałami, sosnami i falującym oceanem. Nagle dostrzegł: biały jacht motorowy na grzbiecie ciemnej fali.

- Kto to? - spytał.

Marie przysłoniła oczy dłonią i skrzywiła twarz od uderzenia wiatru.

- Nie wiem - odparła. - Nigdy przedtem ich nie widziałam. Lassiter zaklął pod nosem i przywiązał ponownie szalupę węzłem cumowym. Właśnie zamierzali popłynąć do skifu, by wyruszyć

na brzeg, teraz jednak było to niemożliwe.

- Ma pani lornetkę?

Marie skinęła głową i wzięła Jessego na rękę.

- W domu.

Ruszyła biegiem, a Lassiter za nią. Aby cokolwiek widzieć w zacinającej mżawce, musiał mocno mrużyć oczy.

Lornetka wisiała na haczyku obok wielkiej skrzyni na książki. Przyłożył ją do oczu i zaczął nastawiać ostrość. Choć łódź była zbyt daleko, by rozróżnić szczegóły twarzy przybyłych, widać było, że jest ich trzech.

- To oni? - spytała Marie, stając obok.

- Jeszcze nie jestem pewien. - Joe zmusił wzrok do koncentracji na twarzach trzech mężczyzn, siedzących w łodzi. Nagle jeden z nich - potężna góra mięśni - wstał i wyciągnął rękę, wskazując dom na wyspie. Lassiter nie musiał widzieć twarzy, by wiedzieć kto to. - To oni - powiedział.

Marie głośno wciągnęła powietrze i przycisnęła do siebie małego.

- Nie możemy tu zostać - stwierdził Lassiter. - Jest tu jakieś miejsce, gdzie można się schować?

Zastanawiała się przez chwilę.

- Możemy iść do wiaty na łodzi. Nie znają wyspy. Może tam nie dotrą.

- Dobrze. Proszę wziąć latarkę. - Podeszedł do szafki, w której trzymała karabin. - Gdzie ma pani amunicję?

- W pudle na chleb.

Powinien był się domyślić. Wziął broń, podeszedł do pudła i otworzył je. W środku leżał bochenek chleba sitkowego, kilka pełnoziarnistych bułek, a w głębi paczka naboju.

Była niepokojąco lekka.

Lassiter rozerwał opakowanie i stwierdził, że jest w nim tylko jeden nabój. Jęknął.

- Gdzie reszta? Marie aż się skuliła.

- Nie wiem. Chyba... może je zużyłam.

- Jak to?

- Ćwicząc. - Na widok miny Lassitera dodała: - W końcu w zimie nie ma tu zbyt wiele do roboty...

Popatrzył na nią z niedowierzaniem.

- I co mam teraz robić? Kazać im się ustawić w rzędzie? Przesadził. Twarz Marie skurczyła się ze strachu, aż Jesse podbiegł pocieszyć matkę. Objął ją małymi rączkami za nogi.

- Nie płacz, mam... nie płacz. Lassiter uniósł dłonie.

- Przepraszam - burknął - naprawdę. Niech pani zabierze Jessego do wiaty... przyjdę za kilka minut.

Marie kiwnęła głową, zrobiła dwa kroki, zatrzymała się jednak i odwróciła.

- A co... co pan zamierza?

- Nie wiem. Przykopać im!

Wypchnął oboje z domu i patrzył, jak znikają między drzewami. Załadował jedyny nabój do karabinu i wyszedł na zewnątrz. Ukląkł na prawe kolano, oparł broń o balustradę werandy i zaniknął lewe oko. Powoli przesuwiał wylot lufy, aż nadpływająca łódka znalazła się na muszce.

Celownik był majstersztykiem. Wyraźnie widział siedzącego z tyłu delia Torrego w czarnej sutannie. Choć wiatr dziko szarpał, ksiądz, nie zwracał najmniejszej uwagi na pogodę. Łódź płynęła

jakieś dwieście metrów od brzegu i choć strzał z tej odległości był trudny, Lassiter wiedział, że na pewno by nie spudłował. Wziął głęboki wdech i zatrzymując środek narysowanego w obiektywie krzyża dokładnie na piersi księdza, powoli wypuszczał powietrze.

Jeden strzał i byłoby po wszystkim, myślał, czując, jak palec zaciska mu się na języku spustowym. Zabicie delia Torrego byłoby jak obcięcie łba zmił. Ciało może jeszcze przez jakiś czas by żyło, ale byłoby ślepe i pozbawione możliwości działania.

A może i nie.

Przesunął lufę dwa centymetry w lewo, aż krzyżyk celownika zatrzymał się tuż pod prawym okiem Materaca. Włoch coś krzychał do delia Torrego, nieświadom faktu, że jego życie zależy od pociągnięcia palcem. Choć łódź się bujała, Lassiter dopasował się do jej rytmu i wiedział, że gdyby zechciał, bez trudu zabiłby olbrzyma.

Strzelaj, powiedział sam do siebie. Strzelaj! Chyba nie chcesz jeszcze raz zatańczyć z tą górą mięsa. Dwa razy próbował cię zabić, zamordował Azettiego i prawdopodobnie także Bepiego. Argumenty były przekonujące, zanim jednak skończył je rozważać, poczuł, jak lufa sama przesuwa się kolejny raz w lewo. Po chwili miał w lunecie Grimaldiego.

Siedział na rufie i - ponury jak burzowy deszcz - patrzył prosto przed siebie. Łódź zdążyła się już zbliżyć do brzegu na sto metrów i parła prosto na pomost pod domem. Mimo złej pogody rysy Grimaldiego były tak wyraźnie widoczne w lunecie, że Lassiter widział, iż przydałoby mu się golenie. Zrób to! Zrób to dla Kathy i Brandona.

Dla Jessego i Marie.

Dla Jirego. Dla mnie.

Jeśli pociągnę za spust, mówił sobie Lassiter, kula przebije mu czaszkę, przeleci przez mózg i wyskoczy na zewnątrz, wrywając wielką dziurę w potylicy. Jego palec połaskotał spust.

Nie, jednak nie, pomyślał. Nie szukają mnie. Nawet nie wiedzą, że tu jestem. A jeśli stwierdzą, że dom jest pusty... może odpłyną.

Argumentacja nie była przekonująca, ale miała moc jedynej nadziei. W końcu nie miał M-16 z pełnym magazynkiem, a jedynie stary karabin z jednym nabojem. Nie mógł tą bronią dokonać wielu zniszczeń, a jeśli nawet by ich dokonał - najprawdopodobniej zaraz potem sam zostałby zniszczony. Lepiej zaczekać.

Z westchnieniem, które przypominało głuche warknięcie, opuścił lufę i wstał. Łódź była już prawie przy pomoście i pasażerowie wstali, nie mogąc doczekać się zejścia na ląd. Lassiter cofnął się o krok, potem następny i jeszcze następny - aż schował się za rogami domu i znalazł na ścieżce, którą poszli Jesse i Marie.

Wśród drzew panował mrok. Na ścieżce, niczym dym z ogniska, wiała się mgła, z drzew skapywały krople deszczu. Za głazami utrzymały się gdzieś placki śniegu, ale z ziemi wybijały już pierwsze kielki paproci. Powietrze było niemal gęste od zapachu żywicy.

Lassiter nie zwracał na to wszystko uwagi, sunąc bezgłośnie przez las - jego kroki głużyła gruba warstwa sosnowych igieł.

Wkrótce dotarł na miejsce.

Ścieżka wychodziła na znajdującą się tuż przy brzegu skalną półkę. Nad samą wodą przycupnął niski, rozpadający się baraczek; ślady na kamiennym fundamencie wskazywały, że podczas przypływu omywa go woda. Dwadzieścia lat temu budynek dawał schronienie kilku niedużym łodziom i kajakom, dziś był szarą ruiną z zapadającym się dachem i powybijanymi oknami.

Lassiter rozejrzał się na boki w nadziei, że znajdzie lepsze miejsce na kryjówkę, niestety niczego takiego nie zobaczył. Wokół były jedynie deszcz - coraz ulewniejszy, ocean - coraz burzliwszy, i drzewa - coraz ciemniejsze.

Przeciął skalną półkę, podszedł do wiaty, otworzył drzwi i wszedł do środka.

- Marie? - W środku panowały egipskie ciemności, ale nagle dźgnął go w oczy oślepiający palec światła. - Jezu! - wrzasnął, a serce podeszło mu do gardła.

- Jesse! - krzyknęła Marie. - Zgaś ją!

Światło natychmiast zgasło i Lassiter znów stał w kompletnej ciemności.

- Gdzie jesteście?

- Pozwoliłam mu trzymać latarkę...

- Nic się nie stało.

Przed jego oczami tańczyły kolorowe plamy, jakby patrzył na ożywiony nagle marmur. Bardzo powoli zaczęły się materializować normalne kształty. Podpory pod łódź. Sterta pułapek na homary. Rybackie sieci na ścianach.

- Co się dzieje? - spytała Marie. Siedziała skulona w kącie i trzymała Jessego w ramionach.

- Nic takiego... wszystko będzie dobrze.

- Na pewno?

Nie mógł dalej kłamać.

- Nie. Nie do końca. Ścieżka idzie tu prosto z domu. Wystarczy, że nią pójdą... czy jest tu jeszcze jakaś kryjówka?

Marie zastanawiała się przez chwilę.

- Nie - odparła w końcu.

- Musi coś być.

- To mała wyspa... może dojdą do wniosku, że nas nie ma? Lassiter pokręcił głową.

- Piec jest ciepły. Domyśla się, że jesteśmy. Przynajmniej pani i Jesse.

Latarka znów zapaliła się i zgasła.

- Jesse... - szepnął Lassiter. - Nie...

- Przepraszam... - załkał chłopiec.

Lassiter usiadł pod wybitym oknem tuż przy drzwiach i oparł karabin o skrzyżowane ramiona. Myślał o trójce, którą miał na muszce. Powinienem był zabić któregoś, myślał. Della Torrego albo Grimaldiego... Grimaldiego albo Materaca.

- Co zrobimy? - spytała Marie. Lassiter pokręcił głową.

- Jeszcze nie wiem.

Minuty mijały powoli. Wiatr dął, wył basem, od którego jęczały krokwie. Szukanie ich po nocy nie będzie dla delia Torrego łatwe. Nie przy tej pogodzie. Jeśli jest mądry. Jeśli jest mądry, wróci na ląd i spróbuje ponownie rano. To jedyne rozsądne wyjście, pomyślał Lassiter. Dlaczego jednak - mimo że było to takie rozsądne - nadal czuł niepokój?

Miał nadzieję wbrew nadziei i wiedział o tym - odgłos zbliżających się przez las głosów jedynie to potwierdził. Z początku nie słyszał słów, potem - choć je słyszał - nic nie rozumiał.

- *Franco? Dove sta?*

Lassiter czekał z gotową do strzału bronią. Marie i Jesse siedzieli na podłodze pod przeciwległą ścianą i wstrzymywali oddech.

- Nie martwcie się - szepnął Lassiter, próbując ich uspokoić. Ale mężczyźni byli tuż za ścianą i

obchodzili wiatę. Serce

Lassitera zmieniło się w werbel.

Nagle ciemność przeciął promień światła i zaczął omiatać ściany od prawej do lewej, a potem w odwrotnym kierunku, tworząc ogromne cienie. Światło padało przez okno nad głową Lassitera i po sekundzie ich przyszpiliło. Jesse i Marie skamienieli w jasności niczym przerażone jelenie.

- *Ecco!*

Rozległ się głośny trzask i drzwi zostały wyrwane z zawiasów, a w ciemnej plamie zmaterializował się potężny kształt. Materac wszedł do środka, odsuwając na bok połamane drewno. Stojąc w zniszczonej framudze, patrzył przez chwilę na przerażoną kobietę i wystraszone dziecko. Kiedy w końcu zrobił krok w ich kierunku, Lassiter mruknął:

- Cześć, duży...

Włoch odwrócił się z rykiem, ale zanim skończył obrót, Lassiter strzelił. Pocisk trafił wielkoluda prosto w twarz, przebił kość policzkową, wirując pomknął przez mózg, sprawił, że potężne ciało uniosło się na chwilę w powietrze, po czym wyleciał z tyłu głowy, odrywając kawał potylicy. Huk wystrzału wypełnił barak. Marie wrzasnęła, a Materac padł na podłogę jak naręcze mokrego prania.

Lassiter rzucił karabin i na rękach i kolanach podpełzł do ciała. Szukając broni, którą zabity musiał mieć przy sobie, patrzył w twarz tamtego, wyrażającą kompletne zaskoczenie. Nagle usłyszał dobiegający z góry, z lewej strony głos:

- *Ciao.*

Nawet bez patrzenia wiedział kto to, a jednak odwrócił głowę. Tuż za wyrwanymi drzwiami stał Grimaldi, z berettą w dłoni.

Już nie żyję, pomyślał Lassiter. Wszyscy nie żyjemy.

Grimaldi powiedział coś po włosku przez ramię i tuż obok niego pojawił się delia Torre, z latarką w ręku.

- Cóż za szczęście cię tu znaleźć... - mruknął, świecąc Lassiterowi w oczy. Potem promień światła powoli powędrował do ciała na podłodze, gdzie w kałuży krwi i rozbryzniętego mózgu leżał Materac. Della Torre przeżegnał się i wszedł do baraku. Poruszał latarką szerokimi łukami na boki, aż przyszpilił jej światłem Jessego i Marie. - Wiesz, kim oni są? - spytał, a kiedy Lassiter się nie odezwał, wymamrotał: - To złe towarzystwo, Joe... - Potem powiedział: - No dobrze... wszyscy wstawać! Wracamy do domku. Tam przynajmniej jest ciepło.

Grimaldi zapytał coś po włosku i delia Torre pokręcił głową.

- *No, portali tutti* - odparł.

W chwilę później cała piątka szła przez las.

Jesse i Marie szli pierwsi, prowadzeni upiornym światłem latarki delia Torrego. Za nimi wlokł się Lassiter, potem szedł Grimaldi, na końcu ksiądz. Choć były najemnik szedł półtora metra za nim, Lassiter czuł wycelowaną prosto w swój kręgosłup berettę, jakby broń była fantomową kończyną. Jeśli rzucę się w las, pomyślał, zastrzeli mnie na miejscu. Jeśli nie - zrobi to później. Tak czy siak, Marie i Jesse są martwi. Nie ma wyjścia.

Chyba że delia Torre popełni błąd.

Choć mało prawdopodobna, była to jedyna nadzieja, więc trzymał się jej kurczowo i szedł dalej.

Doszli do domu przemoczeni. Grimaldi doprowadził ich do kuchennego stołu i dał pistoletem znak, by usiedli. Della Torre zapalił lampę naftową i dorzucił drewna do pieca. Po chwili podszedł do stołu z lampą i usiadł naprzeciwko Jessego i Marie.

- A więc - zaczął i złożył dłonie - jesteśmy wreszcie razem! - Zwracając się do Grimaldiego, wymamrotał coś po włosku i popatrzył na ścianę, gdzie na gwoździu wisiał zwój sznura. Potem spojrzął na Marie, która trzymała Jessego na kolanach. - Powiedz mi coś, Joe... Wiesz, kto to była Lilith?

Lassiter pokręcił głową.

- Nie. Nigdy o niej nie słyszałem.

Do stołu zbliżył się Grimaldi - z liną - i podał della Torremu beretkę. Potem odwrócił się do Marie i zaczął przywiązywać ją do krzesła. Odruchowo próbowała wstać, lecz Grimaldi złapał ją za nadgarstek i wykręcając rękę, zmusił do opadnięcia na krzesło.

Kiedy skończył ją wiązać, Jesse wrócił na kolana Marie.

- Wszystko będzie dobrze, mamó - powiedział łagodnie. - Wszystko będzie dobrze.

Della Torre odchrząknął.

- Lilith była żoną Adama... przed Ewą - powiedział.

- Niech pan posłucha - wtrąciła Marie. - Jeśli zostawi pan Jessego w spokoju, zrobię wszystko, co pan zechce.

Della Torre odwrócił się do niej.

- Powinnaś tego wysłuchać, bo dotyczy właśnie ciebie - oświadczył, a potem ponownie zwrócił się do Lassitera. - Kiedy Lilith porzuciła Adama - pewnie rozbawi cię to, Joe, bo nie mogli się pogodzić co do tego, kto ma być na górze! - aniołowie błagali ją, by wróciła.

Lassiter myślał właśnie: może spróbować coś z lampą naftową? Zamiast tego spytał jednak:

- I wróciła?

Della Torre pokręcił z żalem głową.

-Nie. Nie wróciła. Była tak nieszczęśliwa z Adamem i tak bardzo niezadowolona z Boga, że zaczęła żyć z Szatanem. Urodziła mu nawet dzieci. - Ksiądz wyciągnął rękę i z uśmiechem zmierzwił Jessemu włosy. - Były oczywiście demonami.

Lassiter skinął głową.

- Dużo ich się dziś widuje. Mam o to żal do MTV. - Della Torre klasnął językiem o podniebienie - TKL TKL TKL - i pochyliwszy się do przodu, powiedział: - „A dziesięć rogów, które widziałeś, i Bestia - nienawidzić będą Nierządnicy i sprawią, że będzie spustoszona i naga, i będą jedli jej ciało, i spalą ją ogniem”. - Opadł na oparcie krzesła i dodał: - Apokalipsa świętego Jana, rozdział siedemnasty, wers szesnasty. - Potem odwrócił się do Grimaldiego i znowu powiedział coś do niego po włosku. Grimaldi rozłożył ręce i wzruszył ramionami.

- Skończyła im się lina - wyjaśniła Marie. Della Torre wyglądał na zaskoczonego.

- Znasz włoski?

- *Chi lasci andare, padre.*

Della Torre przez chwilę udawał, że rozważa tę propozycję. W końcu powiedział:

- Nie mogę tego zrobić.

Skinął na Grimaldiego, by się zbliżył. Kiedy ten podszedł, ksiądz szepnął mu coś do ucha. Grimaldi kiwnął głową i poszedł do kuchni. Zaczął grzebać w szufladach, aż znalazł dwa kuchenne noże. Wrócił, podał je księdzu i przejął pistolet.

Marie zbladła i Jesse mocniej ją objął.

Della Torre zwrócił się do Lassitera.

- Daj rękę - rozkazał, trzymając w dłoni ostry nóż z piętnastocentymetrowym ostrzem.

Lassiter popatrzył na niego i powiedział:

- Niestety muszę odmówić...

Della Torre dał znak Grimaldiemu, który stanął za Lassiterem.

Lassiter spodziewał się ciosu, ale zamiast tego poczuł lekki dotyk kantu dłoni Włocha na karku - nieco w prawo od kręgosłupa. Usłyszał trzask repetowanej broni i nagle zrozumiał, dlaczego Grimaldi trzyma dłoń na jego karku: zamierzał strzelić w dół, w płuca, i po prostu nie chciał, by w chwili strzału obryzgała go krew.

Wziął głęboki wdech, mruknął jakieś przekleństwo i wyciągnął dłoń do delia Torrego. Ksiądz ujął ją, odwrócił wnętrzem do góry i przyjrzał się jej. Potem delikatnym pchnięciem w dół położył dłoń Lassitera na stole i przystawił do niej ostrze noża.

- Czy ktoś czytał ci kiedyś z ręki, Joe?

Lassiter pokręcił głową i zachrypniętym głosem odparł:

- Nie. Nigdy.

- Widzisz tę linię? Tę krótką, tutaj? To twoja linia życia - powiedział delia Torre, zamachnął się i z całej siły wbił ostrze w dłoń Lassitera, przybijając mu ją do stołu.

Ból był tak gwałtowny i przenikliwy, że głowa Lassitera poleciała odruchowo do tyłu, a z jego ust wydobył się chrapliwy jęk. Usłyszał cichy krzyk Marie - jakby była bardzo daleko - i w tym momencie Grimaldi przycisnął do blatu stołu jego drugą dłoń. Ktoś wyprostował mu palce i po chwili prawą dłoń przebiło ostrze noża do owoców. Tym razem wykrzyczał coś, co zabrzmiało jak łańcuch urywanych samogłosek i również zakończyło się jękiem.

Pozwolił opaść głowie na stół i jęczał przez zaciśnięte zęby. Leżał tak - zdawało mu się - bardzo długo, ale prawdopodobnie trwało to jedynie kilkanaście sekund. Kiedy podniósł wzrok, delia Torre przyglądał mu się uważnie. Jesse płakał, wydając z siebie przedziwne, charkoczące dźwięki. Marie była biała jak fosfor.

Lassiter popatrzył na swoje przyszpilone do blatu dłonie. Było zadziwiająco mało krwi, mimo to żołądek mu się przewracał. Wziął głęboki wdech i pochylił się do delia Torrego.

- Ty jebany psychopato - wysyczał - kompletnie ci odbiło?

- Musieliśmy improwizować.

Grimaldi zachichotał. Żołądek Lassitera znów się zabujał i nagle zrobiło mu się bardzo zimno.

- Nie rozumiesz, o jaką stawkę idzie gra - oświadczył ksiądz.

- Doskonale rozumiem.

- Wątpię - odparł delia Torre, ale zanim dokończył, w pokoju zapulsowało światło błyskawicy. Po chwili jak wybuch granatu zadudnił grzmot i o okna załomotał deszcz. Ksiądz rozejrzał się wokół, wyraźnie zmartwiony. - Zastanawiam się, jak przy tym deszczu...

Lassiter nie słuchał go. Przyglądał się swoim dłoniom i zastanawiał, czy będzie miał dość odwagi, by wyrzucić stół do góry nogami. Gdyby udało mu się to zrobić, siła ciężkości powinna wyrwać noże z jego rąk.

Della Torre pokręcił głową.

- Nie słuchasz, co mówię. Lassiter popatrzył na niego.

- Jestem nieco zdekoncentrowany.

- Wobec tego nie jesteś chyba odpowiednią osobą, którą powinienem o to pytać - oświadczył ksiądz, po czym mruknął coś do Grimaldiego po włosku. Tamten skinął głową, zapiął płaszcz i wyszedł na dwór, w deszcz.

Della Torre znów popatrzył na Lassitera.

- Wydaje ci się, że wiesz, o jaką stawkę idzie, Joe, ale w rzeczywistości nic nie rozumiesz. Nie możesz rozumieć, ponieważ dopóki nie wierzysz w Boga tak mocno, jak wierzysz w naukę - a po to, aby naprawdę zrozumieć, należy wierzyć w jedno i drugie - nic nie rozumiesz. Wiesz, kim jest ten chłopiec?

- Wiem, za kogo go uważasz. Ksiądz przekrzywił głowę.

- Naprawdę? Za kogo?

- Uważasz, że to Jezus Chrystus.

Della Torre wyduł wargi, przez chwilę się zastanawiał, po czym pokręcił głową.

- Nie. Nie uważam tak. Gdybym tak uważał, klęczałbym. Naprawdę! Nie jest nim jednak. Nie może nim być.

- Jesteś pewien?

Della Torre machnął niezdecydowanie rękami.

- Jestem pewien, że „stworzył Bóg człowieka na swój obraz” * - nie na odwrót. To dziecko jest czymś odrażającym i ma swe imię.

- On ma na imię Jesse - powiedziała Marie.

- Jego imię to Antychryst! - Ksiądz wpatrywał się przez chwilę w Marie płomiennym wzrokiem, zaraz jednak jakby złagodniał. - Osiągnięcie Baresiego było dość spektakularne. W kilka lat zrobił to, czego innym nie udało się dokonać przez stulecia.

- To znaczy co? - spytał Lassiter. Równocześnie myślał: Musisz się tylko rzucić do przodu. To potrwa sekundę. Stół się przewróci i... Nie, nie mogę... po prostu nie mogę...

Della Torre patrzył na niego, jakby czytał w jego myślach. W końcu powiedział:

- Wyczarował z krwi demony.

Od drzwi zawiąło zimnym powietrzem - to Grimaldi wracał z kanistrem benzyny. Zadał księdzu jakieś pytanie i Della Torre kiwnął głową, a potem znowu zwrócił się do Lassitera.

- Jestem nieco zdenerwowany - oświadczył, jakby się tłumacząc. - Jeszcze nigdy czegoś takiego nie robiłem.

Zrób coś... zrób coś... zrób to... - mruzczał Joe pod nosem sam do siebie i zagryzając zęby, szukał w sobie odwagi, która pozwoliłaby mu przewrócić stół.

- Jeśli chodzi o nich, nie mamy wyboru - stwierdził Della Torre, kiwając głową w kierunku Marie i Jessego - ale w twoim przypadku możemy sprawę nieco skrócić.

Palce Lassitera kurczyły się i prostowały wokół ostrzy. Grimaldi zaczął odkręcać zakrętkę kanistra.

- Nie... dziękuję... - wymamrotał Joe.

- No cóż - westchnął ksiądz i wstał. - Nadszedł czas. Pochylił się do przodu i umoczył palec w krwi ściekającej z prawej dłoni Lassitera. Potem odwrócił się do Marie i napisał jej na czole szóstkę, złapał Jessego za ramię i zrobił to samo. Znów wziął na palec nieco krwi i napisał tę samą cyfrę na czole Lassitera, po czym cofnął się, by obejrzeć swoje dzieło.

Przez chwilę Lassiter nie rozumiał, zaraz jednak uświadomił sobie, co to oznacza. On, Jesse i Marie - 666 - Bestia*.

Della Torre odwrócił się od nich, sięgnął do kieszeni sutanny i wyjął z niej buteleczkę ze święconą wodą, którą Lassiter natychmiast rozpoznał. Wyciągnął zatyczkę i machnął buteleczką we wszystkie cztery kąty pokoju. Krople wody rozpryskiwały się, on zaś mamrotał po łacinie.

Nagle Grimaldi stanął za Marie i Jessem. Odwrócił kanister do góry nogami i zaczął lać im benzynę na głowy, wypełniając pomieszczenie gryzącym zapachem. Lassiter próbował wstać - teraz albo nigdy! - ale Marie podjęła decyzję za niego. Opierając się mocno plecami o krzesło, przyłożyła stopę do skraju blatu i pchnęła.

Lassiter zawył z bólu, noże oderwały się od blatu, a lampa naftowa huknęła o podłogę u stóp delia Torrego i zapaliła mu sutannę. Ksiądz ze zdziwionym spojrzeniem pochylił się i zaczął klepać dłońmi w płomień, Marie wrzasnęła na Jessego, że ma uciekać, a Grimaldi darł się na wszystkich i na nikogo. Nagle pokój wypełniły tańczące cienie - delia Torre zamienił się w pochodnię i wrzeszcząc, ruszył biegiem do drzwi, chcąc wybiec na dwór, na deszcz.

Grimaldi zrobił krok w jego kierunku, by mu pomóc, ale zanim dotarł do niego, Lassiter zaatakował. Z taką siłą uderzył Grimaldiego w plecy, że kanister pofrunął na księdza. Płonąca sutanna natychmiast zamieniła się w supernową, a po podłodze baraku zaczęły skakać płomienie. Lassiter wbił Grimaldiego w ścianę, a potem, odwróciwszy Włocha twarzą do siebie, złapał go za poły i wbił mu czoło w nasadę nosa. Coś pękło - rozległ się odgłos, jakby łamano długopis - i Grimaldi zaczął osuwać się na podłogę. Lassiter podciął mu nogi i kiedy Włoch uderzył o ziemię, wbił mu czubek buta w pierś.

A potem jeszcze poprawił i kopał raz za razem, starając się trafić w głowę. Grimaldi odtoczył się na bok - i nagle wstał, strzelając.

W jednej sekundzie oddał trzy strzały, na szczęście chaotycznie wystrzeliwane pociski trafiły w sufit, ścianę i drzwi. Lassiter skoczył na niego i posłał beretę wysokim łukiem w powietrze. Zaczęli pełzać w kłębach dymu na kolanach, macając wokół w poszukiwaniu broni.

Kiedy w chwilę później błyskawica ją oświetliła, obaj skoczyli, lądując na podłodze bok w bok. Lassiter sięgnął jednak odrobinę dalej. Ale gdy zamykał dłoń na kolbie, Włoch walnął go łokciem w usta i wtoczył mu się na plecy, a potem objął ramieniem za szyję i zaczął miażdżyć mu tchawicę.

Był niesamowicie silny.

Lassiter opierał się jak mógł, nic to jednak nie dało. Jego mięśnie zaczynały wiotczeć, przed oczami latały mu świetliste smugi i wiedział, że lada chwila życie opuści jego ciało. Wyciągnął rękę do tyłu i kiedy pistolet oparł się o coś twardego, strzelił.

Grimaldi wrzasnął, gdy kula roztrzaskała mu kolano. Lassiter zaczął pełznąć ku ścianie, starając się równocześnie złapać choć trochę powietrza. Znowu błysnęło i Lassiter ujrzał Grimaldiego niczym na scenie - siedział na płonącej podłodze, obejmował się za kolano i kiwał w przód i w tył.

Jego wykrzywiona bólem twarz przypominała Lassiterowi wizerunek świętego Sebastiana.

Mimo to go zastrzelił - jednym pociskiem, który pozostawił niedużą dziurkę nad lewym okiem.

Marie krzyknęła - ogień był już niecały metr od jej krzesła. Jesse stał obok i próbował rozplatać sznur, ale miał zbyt małe i słabe palce. Lassiter podszedł, rozwiązał Marie i wyprowadził oboje na zewnątrz.

Na ścieżce tuż pod domem leżała na deszczu jęcząca, dymiąca kupka.

- Jesse, nie patrz - powiedziała Marie, przyciągając chłopca do siebie.

Lassiter ukląkł obok księdza i aż się skrzywił - jego twarz była zwęgloną maską. Nie miał włosów i brwi, z jego oczodołów sączył się mętny płyn. Joe był pewien, że delia Torre nie żyje póki ten się nie poruszył, jęcząc.

- Musimy go zawieźć do szpitala - stwierdziła Marie. - Możemy wziąć ich łódź. Szybko!

Lassiter popatrzył na nią, jakby oszalała.

- Nie możemy tego zrobić - oświadczył.
- On umrze!
- Oczywiście, że umrze. Chcę, żeby umarł.
- Nie możemy go tak zostawić. Jest poniżej zera. A on jest poparzony!

Lassiter wstał.

- Posłuchaj, jeśli weźmiemy go do szpitala... to szaleństwo nigdy się nie zakończy. Milion ludzi myśli tak samo jak on. Kiedy się dowiedzą, że ty i Jesse żyjecie - a dowiedzą się tego na pewno - przyjdą po was. Nie możemy zabrać go do szpitala. Musimy uciekać.

Marie pokręciła głową.

- Jest człowiekiem. Lassiter długo jej się przyglądał.
- No dobrze - powiedział w końcu. - Weź Jessego do łodzi. Zajmę się nim.

Marie wzięła syna za rękę i ruszyli do pomostu. Prawie już na nim byli, kiedy na ścieżce za ich plecami rozległ się wystrzał i zrozumiała, że nie pojedą do szpitala.

Epilog

Nie rozmawiała z nim przez kilka dni i ostatecznie minął miesiąc, zanim przyznała, że nie popełnił morderstwa, a *coup de grace* był w równej mierze aktem łaski, jak i koniecznością. Podróżowali w tym czasie jako rodzina. Lassiter stosował wszelkie znane sobie sztuczki, by stworzyć im nowe tożsamości.

Nie wystarczyła prosta zmiana nazwisk, trzeba było przygotować „legendy” - w pełni poparte „faktami” życiorysy ze świadectwami pracy, dowodami usług medycznych, świadectwami szkolnymi, zalegalizowanymi danymi o podejmowanych kredytach - do tego legalne paszporty i numery ubezpieczenia społecznego. Cała procedura trwała trzy tygodnie i kosztowała pięćdziesiąt tysięcy dolarów, a kiedy została zakończona, Lassiter ukrył to przed Marie.

- Pozbędziesz się mnie za kilka dni - obiecał. - Zaraz po tym, jak z Liechtensteinu przyjdą karty kredytowe z wzorami podpisów.

„Kilka dni” zmieniło się - jak tego Lassiter oczekiwał - w kilka tygodni, nadeszła wiosna i wtedy po raz pierwszy ją pocałował.

Nazwisko na skrzynce pocztowej brzmiało: Shepherd. Stała ona na końcu długiego podjazdu w Karolinie Północnej, na przedgórzu, u stóp gór Blue Ridge. Podjazd wił się przez czterdzieści hektarów pofalowanych łąk pastewnych i kończył przy kamiennej stodole, stojącej niedaleko wielkiego, starego farmerskiego domu, który wymagał mnóstwa pracy. Posiadłość otaczało półtora kilometra płotu z pomalowanych na biało desek, a patrolowała ją arabska klacz ze źrebakiem.

Był to piękny wiejski teren, jednak nieco zbyt daleko położony od Raleigh i każdego innego miasta, by dojeżdżać tam do pracy. Z tego powodu większość mieszkających w okolicy ludzi prowadziła własną działalność gospodarczą.

Pan Shepherd nie był wyjątkiem: handlował rzadkimi książkami i pierwszymi edycjami za pośrednictwem poczty. Było to kolejne dziwaczne zajęcie mieszkańca okolicy, w której osiedliło się wielu dziwaków - nie wzbudzało więc zbytniego zainteresowania sąsiadów. W promieniu półtora kilometra od posiadłości Shepherdów mieszkał światowej sławy lutnik, małżeństwo hodujące strusie, kobieta organizująca dla firmy Smith & Hawken prezentacje kulinarne oraz mężczyzna budujący kamienne mury bez użycia zaprawy. Niedaleko nich osiedlił się także mężczyzna podejrzewany o to, że jest hodowcą marihuany, dwaj pisarze i projektant gier planszowych.

Shepherdowie żyli skromnie, przynajmniej na razie, i powoli remontowali dom - wiele prac

wykonując własnoręcznie. Plan był taki, że pozostaną przez jakiś czas razem, a potem rozwiodą się i każde pójdzie swoją drogą. Stanowiłoby to ważny element legend, nad tworzeniem których wspólnie pracowali. Ponieważ jednak wśród prostych przyjemności wiejskiego życia uświadomili sobie, że łączy ich głębokie uczucie, musieli z tego planu zrezygnować. Tak więc przysłowiowe małżeństwo z rozsądku okazało się małżeństwem z miłości.

Przeszłość dała o sobie znać tylko raz. Dwa lata po tym, jak opuścili Maine, program „Nierozwiązane tajemnice” wyemitował reportaż pod tytułem „Przeklęta wyspa”. Lassiter i Marie patrzyli z przerażeniem, jak Robert Stack prowadzi widzów przez barwną rekonstrukcję wydarzeń, które doprowadziły do ich ucieczki z wyspy.

Zobaczyli niebieskiego taurusa, wjeżdżającego do zamglonego Cundys Harbor. Potem w niczym nie przypominający Lassitera aktor spotkał się z aktorem w niczym nie przypominającym Rogera Bowkera i obaj wsiedli na łódź nieco przypominającą GO-4-It. Przeprowadzono wywiad z prawdziwą Maude oraz kapitanem portu. „Wiedzieliśmy, że idzie sztorm - powiedział kapitan - Ale Roggar był uparty!”.

Nie odtworzono spektakularnego rozbicia się łodzi - Stack jedynie o nim opowiedział. Kiedy skończył, pokazano sekwencje szybko zmieniających się zdjęć, które ukazywały waszyngtońskie biuro Lassiter Associates, dom Lassitera w McLean („Ładny” zauważyła Marie) i jego samego.

- Nie jesteś na nim podobny do siebie - powiedziała Marie. - Wcale a wcale.

- To chyba dobrze, prawda?

Narrator powiedział, że zniknięcie Lassitera zbiegło się w czasie ze sprzedażą firmy, po czym zapytał: „W jakim celu Joe Lassiter przybył na wyspę? Czy prowadził jakieś śledztwo?”. Tak - prowadził śledztwo.

Uwaga ta nie od razu została wyjaśniona, bo potem nastąpiły reklamy, a po nich kolejna rekonstrukcja wydarzeń. Na przystań na Bailey Island wjechał czarny mercedes i wysiadło z niego trzech mężczyzn. Pochylili się nad mapami morskimi i mamrocząc po włosku, zaczęli palcami wytyczać trasę do Rag Island.

Teraz narrator był na wyspie - stał przed wypalonym domem. Znów pokazano sekwencję zdjęć: wiatę na łodzi, przystań, skały, na których rozbiła się GO-4-It, zbliżenie zachodzącego słońca.

Rozmowy z szefem policji z Brunswicku, kapitanem Straży Wybrzeża i attache ambasady włoskiej kazały Stackowi postawić pytanie: co ci ludzie tu robili? Ekran wypełniły zdjęcia delia Torrego, Grimaldiego i Materaca. Jeden - charyzmatyczny katolicki kleryk, drugi - potrójny morderca, trzeci - łamignat, ścigany w swoim kraju za wielokrotne stosowanie przemocy. Co ich połączyło? Po co przybyli na tę odległą wyspę?

Kim była tajemnicza kobieta, mieszkająca na wyspie z dzieckiem? Nie odnaleziono żadnych zdjęć ani jej, ani jej syna. Kiedy Maude mówiła o decyzji Marie, by „mieszkać na odludziu”, do kamery przysunięto rysunek, który na szczęście w niczym nie przypominał Marie.

Ogień, który zniszczył dom Marie Sanders, nie był jedynym ogniem tej nocy. Kilka godzin później widziano drugi ogień - na morzu. Policja jest przekonana, że spłonął jacht motorowy, który ojciec delia Torre wynajął rankiem tego samego dnia. *Jeśli* rzeczywiście tak było, eksperci są zgodni, że o tej porze roku nikt, kto mógłby przeżyć pożar, nie byłby w stanie dopłynąć do brzegu.

Kiedy technicy z wydziału medycyny sądowej przeczesywali wyspę, odkryli szczątki mężczyzny: Franca Grimaldiego.

Co się stało z pozostałymi? Przez ekran przemknęła procesja twarzy: Joego, Rogera, Materaca,

Jessego, Marie i delia Torrego. Może pochłonęła ich woda, może są pogrzebani na wyspie. A może... istnieje niewielka szansa, że Marie Sanders i jej syn uciekli z wyspy na tej łódeczce! Ekran wypełniła fotografia szalupy Marie. Znalaziono ją następnego dnia, wyrzuconą na ląd.

Program zakończył się zdjęciem z lotu ptaka, a Robert Stack powiedział:

„Jedno, co wiemy na pewno: na Przeklętą Wyspę przybyło siedem osób i żadnej nie widziano więcej żywej”.

Z programu nic nie wynikło. Nikt nie skojarzył tej sprawy z rodziną Shepherdów. I nic w tym dziwnego, bo w chwili nadawania programu byli już całkowicie zintegrowani z miejscową społecznością i niejedynym mieszkańiec okolicy byłby gotów przysiąc, że mieszkają tu od zawsze. Marie chodziła do miejscowego college'u na kurs logoterapii, a Joe trenował piłkarską drużynę siedmiolatków.

Jeśli chodzi o Jessego, jego imię było jedynym, którego nie zmienili. I tak zresztą mówili do niego Jay - co jego rówieśnicy zmienili na J.J.

Miał wielu przyjaciół i był bardzo lubiany w szkole. Na wywiadówce wychowawca jego klasy stwierdził, że ma wrodzony talent przywódczy i wielkie zdolności dyplomatyczne. Może któregoś dnia będzie pracował w ONZ-cie?

Na razie jego zdolności wykorzystywano przy dowozie dzieci do szkoły - był członkiem patrolu bezpieczeństwa autobusu szkolnego.

Joe lubił obserwować ze swojego gabinetu na piętrze, jak Jesse maszeruje podjazdem do miejsca, skąd zabierał go autobus - pomarańczowy, „świecący” także w dzień materiał jego pasa był widoczny nawet wtedy, jeśli prawie całkiem zasłaniała go wierzba. Jednak tego dnia Jesse nagle zatrzymał się w połowie drogi, odstawił na ziemię pudełko z lunchem i pognął z powrotem w kierunku domu. Wpadł jak bomba przez frontowe drzwi. - Czego zapomniałeś? - zawołała z kuchni Marie.

- Nakarmić rybki! - odkrzyknął, biegnąc po schodach Rybki były początkiem menażerii, którą Jesse postanowił założyć - wkrótce miał do nich dołączyć dopiero co urodzony szczeniak Prickle, krzyżówka czekoladowego labradora i coonhounda, należących do przyjaciela Jessego, Ethana. Jesse dostał od kierowcy autobusu psie łóżko z czerwonym kocem - jego pies był zbyt rozpieszczony - „chce spać tylko na kanapie”. Chłopiec planował mieć potem drugiego psa, „żeby mogły się przyjaźnić”, a także kota i kozę.

Jesse sam zajmował się rybkami - z wyjątkiem czyszczenia akwarium, bo było zbyt ciężkie. Kiedy jednak pomogło mu się wylać wodę, czyścił akwarium i mył kamienie. Poza tym codziennie karmił rybki, a w zimie sprawdzał temperaturę, by nie zrobiło się im za zimno.

Bardzo kochał swoje rybki. Było ich siedem i każda miała imię. Wolno mu było trzymać w nocy zapaloną lampkę akwariową i lubił je wtedy obserwować z łóżka, patrzeć, jak prześlizgują się przez wodę łagodnymi zakolami, wpływają do swojego podwodnego zamku oraz chowają się za falującymi soczystozielonymi roślinami. Lubiał też obserwować sznury srebrnych bąbelków powietrza, uciekających z napowietrzacza.

Wpadł do pokoju - czuł się nieco winny, choć nie zapomniał, ale PRAWIE zapomniał.

- Jesteście głodne? - spytał, po czym ostrożnie zdjął wierzch akwarium, odstawił go na bok i z półki na dole wziął pudełko z karmą. Starannie nabrał jedzenie plastikową łyżeczką. Wiele razy go instruowano, jak ważne jest dawanie rybkom tyle, by akurat wystarczyło, ale w żadnym wypadku nie za dużo. Równomiernie rozsypał różnokolorowe płatki i ukląkł przed akwarium. Lubiał patrzeć, jak

rybki jedzą, jak podpływają do powierzchni, biorą w pyszczki drobiny jedzenia i znów nurkują. Czasem do nich mówił, co też zrobił i teraz.

- Nie walczcie - jest dość jedzenia. Nagle zmarszczył czoło.

Jedna z pasiastych rybek - schowana za rośliną - nie poruszała się. Jesse wstał i popatrzył na nią z góry. Wyglądała na chorą. Leżała na boku, brzuch miała wzdęty, jej ogon sprawiał wrażenie zbyt białego i pokrytego śluzem - w dodatku był poszarpany. Po chwili Jesse zobaczył, że podpłynęła do niej jedna z gurami i wyskubała następny kawałek!

- Hej, ty! - krzyknął, a potem włożył dłonie do wody, podsunął je pod martwą rybkę i wyjął ją z wody. Kiedy woda spłynęła z nieruchomego ciała, Jesse przełożył je tak, że leżało w jednej jego ręce, i palcami drugiej przeciągnął kilka razy po wzdętym boku. - Nic ci nie będzie - powiedział, po czym znów wziął rybkę w obie ręce i powoli włożył dłonie do wody, tuż pod powierzchnię. Potem rozsunął ręce i patrzył.

Ryba odpłynęła.

„KB”